



John Gilstrap  
**ZAKŁADNIK**

Świat Książki

**Zakładnik to kolejna po *Bez przebaczenia* powieść z serii o Jonathanie Grave'ie.**

W sierocińcu prowadzonym przez ojca Doma, serdecznego przyjaciela Jonathana Grave'a, dochodzi do napadu. Napastnicy porywają dwóch chłopców, raniąc przy tym dozorcę. Na brzegiem Potomaku, w namiocie, będącym jego jedynym domem, mieszka Harvey Rodriguez, weteran wojenny, zapomniany przez wszystkich, borykający się z wojenną przeszłością, człowiek bez perspektyw, za to z wielkim bagażem doświadczeń. Nieoczekiwanie znajduje w pobliskich zaroślach nieprzytomnego chłopca. Zajmuje się nim, ratuje mu życie i nie wie jeszcze, że na dziecko został wydany wyrok śmierci.

John Gilstrap, amerykański pisarz, autor bestsellerowych thrillerów oraz scenariuszy dla Hollywoodu. Jest także znanym ekspertem w dziedzinie materiałów wybuchowych oraz zachowania się ognia.

*Jonathan Grave - mój ulubiony rozjemca i superbohater powraca w doskonałej formie. Zakładnik to powieść typowa dla Gilstrapa: postacie są całkowicie realne, tempo akcji oszałamiające, narracja niczym z dobrze naoliwionego karabinu maszynowego. Majstersztyk!*

**JEFFERY DEEVER**

**Książka, która uzależnia.**

**„PUBLISHER'S WEEKLY”**

Zdjęcie na okładce © wspan / Fotobaza.com

[www.swiatksiazki.pl](http://www.swiatksiazki.pl)

ISBN 978-83-7799-082-7



9 788377 990827

Cena: 36,90 zł

# John Gilstrap

# ZAKŁADNIK

*Z angielskiego przetoczył Jerzy Malinowski*



Świat Książki

Tytuł oryginału Hostage Zero

Redaktor prowadzący

Grażyna Brzezińska

Projekt okładki

Mariusz Filipowicz

Redakcja

Jacek Ring

Korekta

Anna Wasilewska, Dorota Wojciechowska

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych — żywych czy martwych — jest całkowicie przypadkowe.

Copyright © 2010 John Gilstrap, Inc.

Copyright © for the Polish translation

by Weltbild Polska Sp, z o.o.,

Warszawa 2011

Świat Książki

Grupa Wydawnicza Weltbild

Warszawa 2011

Weltbild Polska Sp, z o.o.

02-103 Warszawa,

ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: [www.weltbild.pl](http://www.weltbild.pl)

Skład Laguna

Druk i oprawa

Cpi Moravia Books s.r.o.

Brněnská 1024

CZ 69123 Pohorelice

ISBN 978-83-7799-082-7

Nr 10926848/9/2011

*Pamięci emerytowanego  
starszego sierżanta sztabowego Jamesa Nelsona Suddertha.*

*Nielatwo o prawdziwych bohaterów.*

*James był jednym z nich.*

# Rozdział 1

Harvey Rodriguez czekał do świtu, nim odważył się wyjść i obejrzeć ciało. Chciał mieć pewność, że uzbrojeni ludzie już dawno odeszli i nie stanie się dla nich celem, dlatego większą część nocy spędził, leżąc nieruchomo w namiocie rozbitym pośród drzew i starając się pozostać niewidoczny.

Gdyby miał choć trochę rozsądku, skorzystałby z osłony nocy, żeby stąd zniknąć, ale za każdym razem, gdy już zamierzał uciec, przekonywał sam siebie, że nie powinien tego robić. Wykorzystał ten czas do obmyślenia strategii.

Z jednej strony przebywał tu już dostatecznie długo, żeby zaczęły mu się wyczerpywać zapasy, a nawet jeśli morderca opróżnił kieszenie trupa, to zawsze mogło zostać coś wartościowego, choćby skarpetki, które miał teraz na nogach. Albo zegarek. Dziesięcioletni timex Harveya miesiąc temu wysiadł.

Z drugiej strony, kiedy nie ma się domu i żyje się dzięki mimowolnej szczodrości innych, ostatnią rzeczą, jakiej by się pragnęło, jest wplątanie się w sprawę morderstwa. Skąd mieliby się wziąć ludzie, którzy zaświadczyliby o jego niewinności? Już słyszał w głowie przebieg przesłuchania.

*Gdzie byłeś poprzedniej nocy?*

*W domu.*

*Czyli gdzie?*

*Tam gdzie sobie pościelę. Poprzedniej nocy to był las niedaleko Kinsale.*

*Tam gdzie doszło do morderstwa?*

*Tak, proszę pana. Cholerny zbieg okoliczności. Leżałem sobie w swoim namiocie, kiedy usłyszałem kogoś w lesie. Chciałem wyjrzeć i wtedy usłyszałem strzał, więc się schowałem.*

Kto w to by uwierzył? Ale ucieczka wyglądałaby jeszcze gorzej. Harvey nie znał zbyt wielu ludzi, ale nikt nie jest zupełnie niewydziałny. Prędzej czy później ktoś znalazłby ciało, a bezdomny włóczęga stałby się pierwszym podejrzanym. Zwłaszcza jeżeli nosiłby skarpetki i zegarek nieboszczyka.

Okay, okradanie trupa było złym pomysłem. Nie robi tego.

Gdyby był porządnym obywatelem, wezwałby pomoc, ale uznał, że powinien się z tym wstrzymać. Wybrał to miejsce na swoje obozowisko właśnie dlatego, że znajdowało się z dala od wszystkiego. A to oznaczało, że wołanie o pomoc należało potraktować dosłownie — przyłożyć do ust złożone dłonie i głośno krzyżeć. Trudno to było pogodzić z planem pozostania niewidocznym.

Podsumowując, cokolwiek zrobi, ma przechłapano, ale teraz i tak zamierzał rzucić okiem na ciało. Był to sobie winny. Do diabła, tamten trup był mu to winny, skoro przez niego nie spał całą noc.

Już czas. Starając się zachować ciszę, Harvey wyczołgał się z podniszczonego namiotu Colemana i rozejrzał dokoła. W porównaniu z parnymi nocami ostatnich tygodni, ta była wyjątkowo chłodna, ale poczuł już na skórze pierwsze ciepłe promienie słońca. To typowa pogoda w tej części świata. Zima dawno minęła, a do następnej jeszcze daleko.

Zima to najcięższe doświadczenie dla Harveya Rodrigueza. Ludzie pytali, dlaczego latem nie wędrował gdzieś, gdzie nie było zim, ale on był w każdym calu obywatelem Wirginii. W tej części stanu — wzdłuż półwyspu Northern Neck na Potomacu — zimy były stosunkowo łagodne. Rzadko padał śnieg, a powstały nocą szron za dnia topniał. Niewiele zdarzało się dni, kiedy nie mógł złowić czegoś jadalnego w rzece, a jeszcze mniej, kiedy w sidła nie wpadła jakaś wiewiórka czy opos.

Harvey wyprostował się, zerknął na swoje łuszczące się adidasy i postanowił zostawić je tam, gdzie leżały. W gumowej podeszwie lewego buta za chwilę pojawi się dziura, a chciał, żeby przetrwały choć jeszcze jeden deszczowy dzień. Obserwował horyzont,

szarpiąc się z tasiemką spodenek kąpielowych, które służyły mu za szorty, i na próżno starając się zawiązać ją ciasniej. Upały miały jedną wadę: trudno było przybrać na wadze.

Unikając wszelkich gwałtownych ruchów, Harvey wykonał obrót o pełne trzysta sześćdziesiąt stopni, nasłuchując i wypatrując niebezpieczeństwa. Zadowolony, że może się bezpiecznie poruszać, ściągnął z gałęzi wietrzący się przez całą noc cenny T-shirt z emblematem FBI i włożył go.

Następnie ruszył ostrożnie przez wysoką trawę i krzewy w kierunku wody — w stronę miejsca, gdzie, jak przypuszczał, leży ciało. Patrzył pod nogi. Wdepnięcie gołymi stopami w czyjeś flaki nie byłoby miłym początkiem dnia.

Coś przykuło jego uwagę, na lewo, na godzinie jedenastej. Zatrzymał się w pół kroku i przykucnął. Czyżby coś się tam poruszyło? Raczej nie. To była jedna z tych intuicyjnych myśli, które od czasu do czasu przebiegały przez jego głowę. Wiedział, że należy w takich sytuacjach odczekać, aż umysł rozwiąże zagadkę. Wokół niego tylko bryza delikatnie poruszała żdźbłami wysokiej trawy, wskutek czego ład wyglądał tak samo jak woda.

W takim razie co to było?

W głowie zaświtała mu myśl: anomalia tła.

Kiedy ktoś leży nieruchomo w oczekiwaniu — albo jest martwy — wydaje mu się, że skrywa go otaczająca wysoka trawa. I miałyby rację, gdyby nie istniało coś takiego jak anomalia tła. Kiedy wszystko powiewa na wietrze, anomalią jest nieruchoma kępa roślinności. W tym wypadku było to wyraźnie widoczne. Harvey widział w falującej powierzchni trawy obszar dokładnie odpowiadający rozmiarom porzuconego ciała.

Podchodząc bliżej, pomyślał przelotnie o odciskach stóp i innych cholernych śladach, jakie zostawiał, ale gdyby przyszło co do czego, mógłby przynajmniej wykazać, że te ślady prowadziły wprost do jego namiotu. Poza tym powinny się tu znajdować jeszcze inne odciski stóp — należące do prawdziwego zabójcy.

— Jak się obrócisz, i tak dupa zawsze z tyłu — mruknął.

Znajdował się w odległości dziesięciu stóp, kiedy pośród poruszających się żdźbeł trawy mignął mu niebieski materiał.



To na pewno był trup.

Zwolnił.

— Halo! — zawołał. — Hej, nic ci nie jest?

Trup się nie poruszył. Gdyby to zrobił, Harvey pewnie narobiłby w gacie.

Kiedy stanął przed nim i zobaczył zwłoki w całości, zasłonił usta dłonią. Przerazenie skręciło mu wnętrzności.

Harvey Rodriguez zrobił coś, co nie zdarzyło mu się od lat. Zaczął płakać.

## Rozdział 2

Lipiec w Wirginii.

Choć słońce już zaszło, w powietrzu wciąż wisiała wilgotna zawiesina. Dwóch mężczyzn wysiadło z wypożyczonego chevroleta caprice i zamknęło drzwi. Mieli na sobie standardowe umundurowanie agentów FBI, których udawali — białe koszule i kiepskiej jakości krawaty pod niewyszukanymi prążkowanymi marynarkami. Niebieską u mniejszego i szarą u jego atletycznego kompana.

Olbrzym — Brian Van de Meulebroeke z urodzenia, a Boxers dla przyjaciół — szarpał się z kołnierzykiem niczym mały chłopiec w kościele.

— Przysięgam na Boga, w Panamie było chłodniej — mruknął. Jonathan Grave uśmiechnął się.

— Ale potem przyjdzie jesień — odrzekł. W czasach, kiedy niewygody były częścią ich patriotycznego poświęcenia dla Boga i ojczyzny, obaj spędzili dziesiątki miesięcy w cuchnących tropikach, ale dzisiaj w Wirginii, w garniturach od Brooks Brothers, było im wyjątkowo nieprzyjemnie.

Lateksowe maski na twarzach nie poprawiały tego stanu rzeczy. Ich cel znajdował się pół przecznicy dalej, charakterystyczny poprzez swoją zwyczajność. Przysadzisty, zbudowany z czerwonej cegły i wykończony białym kamieniem budynek więzienia Basin wyglądał jak nieudana praca domowa studenta architektury. Można było go uznać za niewielką szkołę podstawową albo nawet centrum rekreacji.

— To najidiotyczniej wyglądające więzienie, jakie kiedykolwiek widziałem — odezwał się Boxers, jakby czytając w myślach Jonathana.

— Cienkie ściany i słaba ochrona.

Mimo że podszywali się pod agentów FBI, samochód zostawili na płatnym parkingu, tak jak wszyscy inni. Boxers wyglądał na rozłoszczonego, kiedy Jonathan czekał, aż wydfubie z kieszeni trzy ćwiartki dolara na parkomat.

— Dlaczego, do cholery, to ja płacę? — mruczał Boxers. — Ty jesteś milionerem.

Jonathan nie odezwał się. Ponieważ to on podpisywał czeki z wypłatą dla Boxersa, nie było mu go żal. Wiedział też, że znajdzie tę pozycję na liście wydatków Boxersa.

— Jakieś pytania dotyczące planu? — zapytał Jonathan, kiedy znaleźli się w odległości pięćdziesięciu jardów od celu.

— Ani jednego — odparł Boxers. Jego zadanie nie było w najmniejszym stopniu skomplikowane. Miał obejść budynek dookoła, znaleźć słabe punkty ochrony i opracować najlepszą drogę ucieczki. W pierwszej fazie użycie śmiertelnej broni nie było przewidziane, ale gdyby okazało się, że niezbędna będzie terapeutyczna dawka materiałów wybuchowych, miał za nie również odpowiadać Boxers.

— Jesteś z nami, Kwoko? — odezwał się pozornie do siebie Jonathan.

W słuchawkach wetkniętych w ich uszy rozległ się kryształowo czysty głos.

— Cały czas. — Głos należał do Venice Alexander (należało wymawiać „Wenicze”, a nie „Wenis”), kobiety, która zajmowała się administracyjną stroną życia Jonathana, a przede wszystkim potrafiła sprawić, że wszystkie elektrony w cyberprzestrzeni tańczyły tak, jak im zagrała. Niezliczona liczba administratorów sieci i szefów ochrony na całym świecie nie mogła wyjść ze zdumienia, jakim cudem ich „niemożliwe do złamania” zabezpieczenia zostały złamane.

— Na ekranach mam obraz z całej sieci kamer i prawie od godziny wszystko nagrywam — ciągnęła Venice. — Kiedy

przekroczycie próg drzwi wejściowych, będę mogła pomachać wam na powitanie.

Zbliżając się do głównego wejścia, Boxers trzymał się z tyłu, poza zasięgiem zewnętrznych kamer.

— Powodzenia, szefie — powiedział. — I dobrego nosa. — Oddzielił się i rozpoczął swój spacer wokół budynku.

Jonathan uśmiechnął się cierpko. Grymas niezadowolenia wypęłniał mu policzki i powiększał nos, co zapewne oszuka program do rozpoznawania twarzy. Zwykle nie stosował takich metod. Przyszło im jednak pracować zbyt blisko własnego podwórka, dlatego środki bezpieczeństwa musiały ulec zaostrzeniu. Założył nawet szkła kontaktowe, które zmieniły kolor jego oczu z niebieskiego na brązowy.

Pociągnął za uchwyt prawego skrzydła drzwi i wszedł do recepcji, która przypominała ośrodek narciarski z lat siedemdziesiątych. Na ścianach dominowały chropowate beżowe cegły, ułożone poziomo od brązowych płytek podłogowych po dźwiękochłonne sufitowe.

Szef działu przyjęć — tylko taki tytuł przychodził Jonathanowi do głowy, kiedy patrzył na tego człowieka — siedział w drugim końcu prostokątnego pomieszczenia i na widok wchodzącego gościa na jego twarzy odmalowało się rozdrażnienie.

— Pora odwiedzin skończona — ogłosił.

— Oczywiście — potwierdził Jonathan i sięgając do kieszeni po oryginalną odznakę Biura, odniósł wrażenie, jakby oficer się go spodziewał. — Agent Harris, FBI.

— Tylko tego mi trzeba — wyjęczał.

— Nie interesuje pana, kogo zamierzam odwiedzić?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Jedyne więzienie federalne to Jimmy Henry. Porwanie i usiłowanie zabójstwa.

— O niego właśnie mi chodzi — odrzekł Jonathan. Był teraz na tyle blisko, że widział identyfikator: DIANE. Miał nadzieję, że to jego nazwisko, a nie imię.

Strażnik podążył za jego spojrzeniem.

— Jeśli zamierza pan stroić sobie żarty, lepiej niech pan sobie daruje — odezwał się. — Nawet nie ruszę się z krzesła.

— Mam na imię Leon — skłamał Jonathan. — Z takim imieniem nie żartuje się z innych.

Męska solidarność to piękna rzecz.

— Proszę podejść do drzwi. — Diane wskazał głową ciężkie stalowe wrota. — Otworzę panu.

Jonathan przeszedł drogę, którą znał już dzięki Venice. Dwie godziny temu oglądał to miejsce ze swojego biura w Fisherman's Cove. Pierwsze drzwi prowadziły do służby bezpieczeństwa, w której dominowała wysoka do piersi lada. W innych okolicznościach przypominałoby to bar.

— Wydaje mi się, że marnuje pan czas — powiedział Diane, wchodząc do służby drugimi drzwiami, po przeciwnej stronie kontuaru. Sięgnął pod ladę i wyciągnął stamtąd długie, prostokątne pudełko. — Poproszę o pański pistolet i wszelką inną broń. Jimmy Henry od razu odmówił składania zeznań. Jego adwokatem jest Ben Johnson. Zna go pan?

— Nigdy o nim nie słyszałem — odparł Jonathan. Z kabury przy pasku od spodni wyjął piętnostrzałowego glocka kalibru dziewięć milimetrów, odłączył magazynek, cofnął zamek i włożył broń wraz z amunicją do pudełka. Na ścianie pod sufitem dostrzegł zamontowane kamery, ale nigdzie nie dopatrzył się wykrywacza metalu.

— Ben jest dobry w swoim fachu. Po tym, jak powiedział dzieciakowi, żeby się zamknął, ten przestał się w ogóle odzywać.

— Hmm. Mogę z nim teraz porozmawiać?

— Jest pan pewny, że tego chce? Odkąd powołał się w sądzie na Piątą Poprawkę, nic, co powie, nie może zostać użyte przeciwko niemu.

— W takim razie muszę uważać, o co pytam, prawda? — Jonathan naśladował protekcjonalny ton, który tyle razy słyszał z ust agentów federalnych.

Diane uniósł część kontuaru i otworzył znajdujące się pod nim drzwiczki. Chwycił wiszącą na ścianie słuchawkę telefonu i wybrał wewnętrzny 4272. Jonathan zapamiętał numer, choć nie był pewny, czy mu się do czegokolwiek przyda.

— Cześć, Chase, tu Bill. Wpuszczam agenta FBI. Chce pogadać z tym dzieciakiem Henrym. — Chwila przerwy. — Co, myślisz, że nie mam tu zegara? Nie dzwoniłem do niego. Właśnie się pojawił. Ano tak, oni wszyscy są tacy.

Odwiesił słuchawkę, a potem wcisnął i przytrzymał przycisk pod

ładą. Zabrzęczał zamek i Jonathan pociągnął za drzwi, za którymi znajdowało się fluorescencyjne piekło bloku więziennego. Przekraczając próg, poczuł wydobywające się ze zbrojonych betonowych ścian lata zinstytucjonalizowanego strachu i cierpienia. Czy zbudował je stan Wirginia, czy Saddam Husajn, wspólnym mianownikiem wszystkich więzień było wszechobecne cierpienie.

Kilka jardów dalej stał kolejny strażnik. Na jego identyfikatorze widniało BATTLES.

— Trochę późno pan przychodzi — odezwał się. — Myślałem, że wy, federalni, pracujecie tylko na dzienną zmianę.

Jonathan wymówił się od pogaduszek.

— Muszę porozmawiać z Jimmym Henrym — powiedział. — Macie tu pokój przesłuchań? — Na to pytanie znał już odpowiedź.

Słyszac poważny ton gościa, Battles spoważniał. Wskazał zabezpieczone pomieszczenie w jednej czwartej długości korytarza.

— Będę wdzięczny, jeśli go pan tam doprowadzi — rzekł Jonathan i ruszył przed siebie.

Battles potruchtał za nim, próbując dotrzymać mu kroku.

— Po co ten pośpiech? — zapytał. — Zwykle wcześniej dzwonicie.

Jonathan pominął milczeniem pytanie i podszedł do drzwi.

— Chcę, żeby wszystkie urządzenia rejestrujące były wyłączone.

Battles stanął raptownie w miejscu.

— Tak się nie postępuje.

— Dzisiaj będzie inaczej. Może wreszcie zrobimy to, co mamy zrobić?

Battlesowi to się nie spodobało. Miał to wymalowane na twarzy. Mimo to otworzył drzwi i wpuścił Jonathana do środka.

— Proszę tu usiąść, zaraz go przyprowadzę.

Kiedy Jonathan wszedł do środka, drzwi zamknęły się za nim, a strażnik przekręcił klucz. Jakby czytając w jego myślach — a zdarzało się to często — Venice szepnęła mu do ucha:

— Nie martw się, że będą cię nagrywać. Mam kontrolę nad ich rejestratorami. Nawet jeśli ich nie wyłączą, wykasują wszystko.

Wiedząc, że Venice go widzi, dyskretnie skinął głową. Jonathan usiadł na jedynym przytwierdzonym śrubami do podłogi metalowym

krzesła, które nie było wyposażone w pierścień do mocowania kajdan więźnia.

Battles kazał Jonathanowi czekać dobre dziesięć minut. Jonathan dostrzegł wysoko w narożniku kamerę i mimo przebrania, starał się nie patrzeć w jej obiektyw.

Klucz w zamku przekreślił się i Battles wprowadził do pomieszczenia Jimmy'ego Henry'ego. Dziewiętnastoletni więzień miał około sześciu stóp wzrostu, a sądząc z postury skrywanej pod pomarańczowym kombinezonem, musiał ciężko pracować. Jego ciemnobrażowe włosy były zmierzwione, jakby dopiero co oderwał głowę od poduszki, a oczy miał głęboko zapadnięte. Najwyraźniej był wściekły, że ktoś wyrwał go z łóżka, ale wołał nie wyrażać na głos swoich obiekcji.

— Siadaj — rozkazał Battles, wskazując wolne krzesło.

Jimmy posępnie skinął głową i szurając skutymi nogami po podłodze, podszedł do krzesła i usiadł. Ponieważ ręce miał przykute do pasa w talii, sadowił się ostrożnie. Kiedy nie można się osłonić przed upadkiem, człowiek uzmysławia sobie, jak wrażliwą częścią ciała jest nos i zęby. Battles przykuł go do krzesła.

— Nie sądzę, żeby to było konieczne — wtrącił Jonathan.

Battles rzucił mu spojrzenie, ale nie przerywał roboty.

— Proszę zastukać w drzwi, kiedy będzie chciał go pan odesłać z powrotem — powiedział Battles i wychodząc, zamknął za sobą drzwi.

Jonathan rozparł się na krzesła, skrzyżował ramiona i założył nogę na nogę.

— A więc ty jesteś Jimmy Henry.

— Już mówiłem, nie będę z nikim gadał — odparł Jimmy. — To wbrew prawu ściągać mnie tutaj o tej porze. Pozbawia mnie pan snu.

— Dźwięk wyłączony — Jonathan usłyszał w słuchawce głos Venice. — Sami to zrobili.

— A więc znasz swoje prawa... — stwierdził rozbawiony Jonathan.

— Pewnie, że znam.

— Uhu-hu. A jak sądzisz, dlaczego się tu znalazłeś?

Jimmy rzucił mu gniewne spojrzenie. Ale skoro miał milczeć, to milczał.

— Świetnie — powiedział Jonathan. — Więc naprawdę przez cały czas siedziałeś cicho? Do niczego się nie przyznałeś? — W jego głosie pojawiła się nuta uznania.

W spojrzeniu Jimmy'ego zaszła jakaś zmiana. Zniknęła wojowniczość.

— Będę z tobą szczery — powiedział Jonathan. Pochylił się do przodu i oparł o zimny blat stołu. — Ale najpierw musisz zrozumieć, że najszybszym sposobem na śmierć jest wkurzenie mnie. A to najłatwiej osiągnąć, powtarzając to, co zamierzam ci powiedzieć. Zrozumiałeś?

Teraz Jimmy wydawał się rozbawiony. Jonathan był o dobre trzy cale niższy od faceta, którego chciał zastraszyć, i szczerze mówiąc, nie budził strachu. Ale nadrabiał intensywnością spojrzenia. Kiedy do Jimmy'ego to dotarło, uśmiech zgasł mu na wargach.

— W porządku, zrozumiałem.

— Na pewno, Jimmy? Tu nie ma miejsca na błędy.

— Co z ciebie, do cholery, za agent FBI?

Jonathan przyjął z powrotem wygodną pozycję.

— O to właśnie chodzi. Nie jestem agentem FBI. Jestem przyjacielem, o którego istnieniu nigdy nie wiedziałeś. Moim zadaniem jest wydostanie cię stąd.

Jimmy rzucił przez ramię nerwowe spojrzenie na drzwi.

— Co masz na myśli? — zniżył głos do szeptu.

— Pracuję dla ludzi, którzy nie chcą, żeby wyciekły jakieś szczegóły na temat tego, co zrobiłeś dziś rano. Są na to dwie metody: mogą wynająć kogoś, kto cię zabije, lub mogą wynająć mnie, żebym cię stąd wydostał. Na twoim miejscu wybrałbym mnie.

— Ale dlaczego?

— Bo byłeś jedynym durniem, który dał się złapać. Żyjesz jeszcze tylko dlatego, że złożono to na karb twojej młodzieńczej głupoty, ale ważność oferty wyciągnięcia z pudła wygasa za trzy sekundy. No więc, zamierzasz współpracować czy nie?

Kolejne zerknięcie przez ramię.

— Jak zamierzasz to zrobić?

— To moje zmartwienie, nie twoje. Bądź gotowy o drugiej w nocy. I trzymaj gębę na kłódkę. Zapłacono mi za próbę, nie za sukces. Jeśli mnie zdradzisz...



Ożywiony nagle Jimmy stanowczo potrząsnął głową.

— O Boże, nie. Nie zrobię tego.

Jonathan nie spieszył się. Chciał jeszcze bardziej nastraszyć chłopaka.

— Świetnie. Odwiedzę cię powtórnie o drugiej. Masz leżeć w łóżku i udawać, że śpisz. Kiedy wstaniesz, ubierz się tak, jak teraz. Nie próbuj robić niczego na własną rękę. Kiedy nadejdzie odpowiedni czas, masz tylko wykonywać moje polecenia. — Jonathan wstał. — Do zobaczenia wkrótce.

Kiedy Jonathan szedł w stronę drzwi, Jimmy podniósł się szybko z krzesła.

— Zaczekaj. Skąd mam wiedzieć, że mówisz prawdę? Skąd mam wiedzieć, że uciekając z tobą, będę bezpieczny?

— Tego nie wiesz — odpowiedział ze śmiertelną powagą Jonathan — ale pomyśl, jaką masz alternatywę. Jesteś porywaczem, synu. Jeśli facet, do którego strzelałeś, umrze, czeka cię śmiertelny zastrzyk.

— Nikogo nie zastrzeliłem. To był jakiś walnięty gość.

Jonathan uciszył go gestem wyciągniętej dłoni.

— Daruj sobie. Nic mnie to nie obchodzi. A przynajmniej nie teraz. Trzymaj nadal język za zębami, a wszystko będzie dobrze. — Zastukał w drzwi, przywołując Battlesa.

## Rozdział 3

Ciało w podartej piźamie należało do małego chłopca. Hervey nie był przygotowany na takie znalezisko. Dzieciak leżał na plecach, miał zamknięte oczy i usta zaklejone taśmą. Nogi były lekko przekrzywione, ale ręce spoczywały na brzuchu, jakby ułożył je przedsięwiorca pogrzebowy. Harvey nie był w tej dziedzinie ekspertem, ale ocenił wiek chłopca na trzynaście, czternaście lat. Może odrobinę mniej.

Zalała go niespodziewana fala emocji. W pierwszej chwili poczuł zakłopotanie, ale szybko wytłumaczył sobie, że to przecież takie ludzkie. Widział w swoim życiu niejedną śmierć. Po pewnym czasie można do tego w pewien sposób przywyknąć. Ale nie dotyczyło to dzieci. Jeśli przywykło się do widoku martwego dziecka, nie było sensu dalej żyć.

Harvey przez dłuższy czas — trzy, cztery, może pięć minut — stał bez ruchu, zastanawiając się, co ma zrobić. Czym innym byłoby pozostawienie w lesie ciała takiego menela jak on na pastwę myszów, lisów i psów, ale nie mógł przecież...

Pierś chłopca się uniosła. Ruch był niezbyt wyraźny, ale jednak był.

Harvey pochylił się niżej i zobaczył, że się mylił. Dzieciak nie był martwy. Miał zaróżowioną twarz. Chwycił jego rękę. Była ciepła. Harveyowi zaczęło szybciej bić serce. Przyłożył dłoń do szyi chłopca. Opuszkami dwóch palców znalazł krtań, a potem przesunął je w zagłębienie pomiędzy chrząstką pierścieniową a przednią granicą mięśnia mostkowo-obojczykowego. Spodziewał się znaleźć słaby, nitkowaty puls, a tymczasem poczuł silny.

Z bliska spostrzegł, że w taśmie zakrywającej usta chłopca znajduje się niewielkie, półcalowe nacięcie. Wetknął w nie dwa palce i poczuł ciepły, wilgotny oddech.

Coś tu było nie w porządku. Uniósł jedną dłoń dziecka i puścił ją. Opadła na ziemię niczym kamień. Chłopiec był wyziębiony. Żrenice pod powiekami miały wielkość łebka od szpilki. Podano mu narkotyki.

Harvey wyprostował się na klęczkach. Wyciągnął szyję, żeby zobaczyć, czy nie nadciąga jakaś nieoczekiwana pomoc. Nie widząc nikogo, poczuł ulgę. Należało teraz wykonać następny krok, ale jak wytłumaczyłby to, co robi?

Musiał dzieciaka rozebrać do naga. Przecież został postrzelony. Nie widział żadnej dziury ani krwi na pizamie, ale to jeszcze nie znaczyło, że nie ma jej na ciele chłopca. Harvey drżącymi palcami rozpiął cztery guziki i rozsunął poły pizamy. Klatka piersiowa i brzuch wyglądały normalnie, choć zauważył lekki siniak na piersi poniżej obojczyka. Dzieciak był szczupły, ale nie chorobliwie chudy.

Prędkość, z jaką powróciły dawne umiejętności, zaskoczyła Harveya. Złożył dłonie, prawą umieścił na lewej, jakby zamierzał skoczyć na główkę do wody i palcami zbadał brzuch. Był miękki, a więc nie doszło do żadnego poważnego wewnętrznego krwawienia. Wątroba i śledziona miały normalne rozmiary.

Harvey doszedł do punktu, w którym brak diagnozy jest tak samo niepokojący, jak postawienie choćby najgorszej.

Położył dłonie na biodrach chłopca, wsunął palce pod gumkę w pasie i zsunął spodnie od pizamy do łydek. Tu także nie znalazł żadnych śladów urazu, stwierdził za to, że chłopiec wszedł już w okres dojrzewania i z całą pewnością nie jest praktykującym żydem. Czując narastającą ulgę z faktu, że nie było żadnej rany po pocisku, spróbował chłopca podnieść. Kiedy ciało dzieciaka oparło się klatką piersiową o uda klęczącego Harveya, uniósł bluzę pizamy i westchnął z ulgą, nie znajdując na plecach żadnego zewnętrznego urazu. Przewrócił chłopca z powrotem na wznak i poprawił jego strój.

Co jeszcze pozostało? — zastanawiał się, usiłując przypomnieć sobie szkolenie w piechocie morskiej.

Oczywiście! Ramiona. Skoro nie było śladu po kuli, pozostawały ramiona. Podciągnął rękaw pizamy na lewej ręce chłopca i w zgięciu łokciowym dostrzegł siniaka. Miejsce ułknięcia igłą i wstrzyknięcia tam czegoś, co zważyło dzieciaka z nóg, wyglądało niczym otoczony purpurową obwódką środek tarczy strzelniczej.

Szesnaście godzin później chłopiec wciąż się nie budził. Kręcił się od czasu do czasu, a w ostatnich godzinach zaczął wydawać jakieś bełkotliwe pomruki, ale pozostawał nieprzytomny.

Harvey przypomniał sobie listę narkotyków, które mogły dawać tak długotrwały efekt i uświadomił sobie, jak dużo szczęścia ma ten dzieciak, że żyje. Pozostawało ryzyko uszkodzenia wątroby lub ustania pracy nerek, ale mało z każdą kolejną oznaką dochodzenia chłopca do siebie.

Z biegiem czasu coraz mniejsze znaczenie miało pytanie „jak”, a coraz większe „dlaczego”. Ktoś, kto był na tyle wściekły, żeby wstrzyknąć dzieciakowi nadmierną dawkę narkotyku i porzucić go na pewną śmierć na pustkowiu, z pewnością wściekłby się jeszcze bardziej, gdyby dowiedział się, że jego plan zawiodł. A z kimś takim Harvey nie chciał mieć do czynienia.

Gdyby Harvey miał więcej oleju w głowie, uciekłby jak najdalej od tego dzieciaka i dopiero potem zaczął się zastanawiać nad wezwaniem pomocy. Gdyby... Ale Harvey nie miał dość rozsądku. Zamiast tego postanowił bawić się w sanitariusza, sprawdzać oddech i puls chłopaka, gotów w każdej chwili do akcji reanimacyjnej.

A jeśliby się pojawił znowu tamten zły człowiek? Cóż, byłoby to fantastycznym zakończeniem fantastycznego dnia, prawda?

Rozpierała go wściekłość.

Chłopiec leżał teraz w namiocie Harveya, w jego śpiworze, pod siatką chroniącą od komarów. Teraz, kiedy ponownie zapadały ciemności, poprawa stanu zdrowia zależała od siły organizmu dzieciaka i samego Boga.

Intuicja podpowiadała Harveyowi, że chłopiec wydobrzeje, jak się porządnie wyśpi. I co dalej?

Oto jest pytanie.

Harvey już widział te nagłówki: BEZDOMNY ZNAJDUJE NIE-KOMPLETNIIE UBRANEGO CHŁOPCA. Jezu!

Ubiegłej nocy martwił się, że w sąsiedztwie leży trup, ale dopiero odnalezienie żywego chłopca mogłoby trafić na czołówki gazet. W dzisiejszych czasach najmniejsza niestosowność może uczynić z człowieka pedofila.

Co w takim razie miał robić? Zgłoszenie tego policji równało się odebraniu biletu do więzienia. Nawet jeśli dzieciak zaświadczyłby, że Harvey nie zrobił mu nic złego, policjanci automatycznie zaczęliby podejrzewać, że było wręcz przeciwnie. A kiedy w ich głowach zaświtałaby taka myśl, fakty przestałyby się liczyć.

Po pierwszej godzinie czy dwóch, kiedy dzieciak jeszcze się nie poruszał, a jego źrenice wciąż miały wielkość łebka szpilki, Harvey zastanawiał się, czy nie zostawić chłopca i nie poszukać pomocy, ale co by się stało, gdyby w tym czasie stan malca drastycznie się pogorszył? Przyprowadziłby policjantów do ciała chłopca, który umarł w jego namiocie.

Nie, to było wykluczone.

Witajcie w świecie gównianych wyborów — w roli głównej Harvey Rodriguez.

Harvey siedział na nylonowym składanym krzeselku kempingowym i doglądał jednopalnikowej maszynki turystycznej, na której podgrzewał kawę pozostałą z lunchu. Aby być blisko chłopca, postanowił wyjąć ze swoich zapasów na czarną godzinę puszkę tuńczyka. Miał nadzieję, że dwukrotnie zagotowana kawa zabije smak martwej ryby.

Chłopiec zakaszłał.

Harvey obrócił głowę. Kaszel jest świadomym działaniem świadczącym o wyższym poziomie przytomności. Oznaczało to, że chłopiec się budzi.

Harvey zostawił kawę na maszynce, tylko wyłączył palnik, i wczuł się do namiotu. Zapalniczką, którą miesiąc temu znalazł w śmietniku, zapalił lampę gazową. Odsunął moskitierę, pochylił się nad twarzą chłopca i odstawił lampę na bok. Zauważył, że na policzku chłopca pojawiła się strużka śliny, i wytarł ją opuszką kciuka.

Chłopiec pod wpływem jego dotyku drgnął.

— Hej, synu, obudziłeś się?

Żadnej reakcji.

Harvey delikatnie chwycił dzieciaka za ramię i potrząsnął nim.

— Kolego, otwórz oczy.

Zatrzepotały powieki.

— O to właśnie chodzi. No, dalej, otwórz oczy. Jesteś bezpieczny. Nic ci nie będzie.

Chłopiec znowu zakasłał i z wyraźnym wysiłkiem nieznacznie unióśł głowę. Był już prawie całkiem rozbudzony. Harvey energicznie potrząsnął jego ramieniem.

— Dobrze ci idzie. Otwórz oczy. Daj znać, że nic ci nie jest. Powiedz coś do mnie. Nie znam nawet twojego imienia.

Chłopiec zmarszczył czoło i skrzywił się. Harvey odsunął dalej lampę.

— To był dla ciebie długi, ciężki dzień, przyjacielu — powiedział Harvey. — Otwórz oczy i wróć na ziemię.

Powieki się rozchyliły. Chłopiec unióśł ręce i nasadą dłoni potarł oczy. Przez kilka sekund wyglądał jak każde inne dziecko zbudzone z głębokiego snu. Nagle wróciła mu świadomość. Cofnął ręce i przerażony próbował przetoczyć się na bok, ale zaplątał się w śpiwór.

Harvey wyciągnął rękę, żeby go pogłaskać, ale pod wpływem jego dotyku chłopiec wrzasnął:

— Zostaw mnie!

Harvey cofnął rękę, jakby dotknął gorącej kuchenki.

— Pomocy! — krzyczał chłopiec. Harvey wpadł w panikę.

— Ciii...! Cholera, synu, bądź cicho!

— Na pomoc! Nie rób mi krzywdy! Zostaw mnie w spokoju!

To był koszmar. Harvey zerknął przez rozchylone poły namiotu na zewnątrz, jakby spodziewał się tam zobaczyć policjanta.

— Nie dotykam cię, synu — wyszeptał. — Jezu, uratowałem ci życie. Uspokój się.

Chłopiec próbował zrzucić z siebie przykrycie, ale im mocniej wierzył nogami, tym bardziej się zaplątywał.

— Nie rób mi więcej krzywdy!

— Posłuchaj! — tym razem głośno warknął Harvey w nadziei, że przywróci to chłopcu rozsądek. — Nie jestem tym, który cię skrzywdził. Ja cię uratowałem. — Uniósł lampę do swojej twarzy. —

Spójrz na mnie. — Ciągnął. — To nie ja cię skrzywdziłem.

W pierwszej chwili wydawało się, że chłopiec go nie słyszy; w dalszym ciągu walczył ze śpiworem, a strach i frustracja dodawały mu sił. Nagle znieruchomiał. Tak jakby słowa Harveya wreszcie do niego dotarły. Uniósł głowę i z nachmurzoną miną przyjrzał się ryksom twarzy mężczyzny.

— Jesteś tu bezpieczny — Harvey wrócił do łagodnego tonu.

Dzieciak patrzył to w jeden, to w drugi kąt namiotu.

— Gdzie oni są?

— Poszli sobie. Jakies dwadzieścia godzin temu.

To było zbyt dużo informacji nawet dla całkiem jasno myślącego człowieka, a cóż dopiero dla chłopca, który właśnie budził się z narkotycznego zamroczenia.

— Nic ci już nie grozi — powtórzył Harvey.

Takich słów dzieciak oczekiwał, choć trudno mu było w nie uwierzyć.

— Gdzie ja jestem?

— Na zupełnym odludziu — odpowiedział Harvey, a widząc grymas na twarzy chłopca, dodał: — Jesteś w lesie w Wirginii niedaleko Potomacu. A ludzie, którzy cię skrzywdzili, myślą pewnie, że nie żyjesz.

— To ja nie żyję? — Chłopiec nie odzyskał jeszcze jasności umysłu.

Harvey uśmiechnął się.

— Żyjesz i masz się dobrze. Miałeś szczęście. — Wyciągnął rękę. — Harvey Rodriguez. Miło cię poznać.

Chłopiec przyjrzał się wyciągniętej dłoni i lekko się cofnął.

— Dokąd oni poszli?

Harvey trzymał wyciągniętą rękę.

— Po prostu poszli sobie.

Chłopiec potrząsnął głową.

— To wiem, ale dokąd?

Harvey roześmiał się i opuścił dłonie.

— Tylko tyle. Nie potrafię inaczej odpowiedzieć na twoje pytanie. — Odtworzył w pamięci wszystkie wcześniejsze wydarzenia. — Ty jesteś zaskoczony, że żyjesz, a ja byłem jeszcze bardziej zaskoczony, kiedy cię tu znalazłem — powiedział i ponownie wyciągnął

rękę. — Spróbujmy jeszcze raz. Nazywam się Harvey Rodriguez.

Chłopiec uściśnął jego dłoń.

— A ja Jeremy Schuler. — Tym razem przyjazny uścisk wyraźnie go uspokoił.

— Miło mi cię poznać, Jeremy. Jesteś głodny?

Jeremy potrząsnął głową.

— Mogę dostać trochę wody?

Harvey przelał wodę z plastikowej butelki po mleku do metalowego kubka, z trudem powstrzymując się przez zasypaniem dzieciaka gradem pytań. Chłopak potrzebował czasu, żeby odnaleźć się w terażniejszości, nim Harvey wciągnie go z powrotem w przeszłość. Wręczył Jeremy'emu kubek.

— Pij małymi łydkami, nie łąpczywie — ostrzegł. — Twój żołądek być może jeszcze się na dobre nie obudził.

Chłopiec wziął łyk i przełknął.

— Dziękuję — powiedział.

— Bardzo proszę. — Patrzył, jak Jeremy pije, aż zdał sobie sprawę, że zaczyna to być dla niego kłopotliwe. — Coś ci powiem — rzucił, klaszcząc w dłonie. — Zostawię ci tu lampę, a sam na zewnątrz przygotuję jakąś kolację. Jeśli zmienisz zdanie na temat jedzenia, będzie już gotowe.

Stan zdrowia chłopca nie był dramatyczny, więc dzieciak nie potrzebował natychmiast pożywienia, ale im szybciej coś zje, tym lepiej.

Z klocka drewna służącego mu za stolik nocny wziął latarkę i wyczołgał się z namiotu, sięgnął do szafki będącej jego spiżarnią. Przekręcił klucz w zamku, uniósł skobel i odchylił wieko.

Jeremy miał być jego pierwszym kompanem od pięciu lat, chciał więc trafić w jego kulinarny gust. Wyciągnął paczkę makaronu i ser — produkty, które zawdzięczał wsparciu armii Stanów Zjednoczonych. Pewnego wyjątkowo mroźnego zimowego dnia Harvey postanowił spędzić noc w schronisku. Nie znosił tej instytucji, nie cierpiał panującego w niej tłoku, ale wielkie wrażenie sprawiła na nim hojność proboszcza kościoła Świętej Katarzyny, który rozdawał wszystkim chętnym wojskowe racje żywnościowe. Nie mogły się one równać z potrawami jakiegokolwiek restauracji, ale smakowały całkiem przyzwoicie i pozwalały od czasu do czasu porządnie zaszaleć.



Dzisiaj postanowił zrezygnować z podgrzania porcji w dołączonym do pojemnika chemicznym podgrzewaczu, a zamiast tego upi-trasić danie na kuchence. Nie wiadomo dlaczego, jedzenie smakowa-ło lepiej, kiedy do jego przygotowania używało się prawdziwego płomienia. Zaczęła się właśnie gotować woda, gdy w wejściu do namiotu pojawił się Jeremy.

— Mogę jednak zjeść kolację? — zapytał.

Harvey uśmiechnął się i wskazał mu krzeselko turystyczne.

— Czuj się jak u siebie w domu — powiedział.

# Rozdział 4

Venice Alexander na próżno próbowała zdrzemnąć się na sofie w swoim gabinecie. Kiedy zamykała oczy, ciemności wypełniał obraz obryzganym krwią ścian i czerwonej kałuży na podłodze. Widziała przerażenie i smutek na twarzach dzieci. To było zupełnie niewyobrażalne, że ten dramat mógł się rozegrać na ich oczach. A przecież tak wiele już przeszły w ciągu swojego krótkiego życia.

Próbowała odsunąć od siebie te myśli. Były bezproduktywne. Teraz należało skoncentrować się na misji. Starła się nie skupiać na dobrych i złych stronach tego, co robią, w nadziei, że pewnego dnia osiągnie tę równowagę emocjonalną, jaką wykazywał w takich chwilach Digger.

Mogła udawać — zmusić się do przywdziania maski — ale kiedy było już po wszystkim, przypominała sobie, że naprawdę istniało dobro i zło, i w końcu dobro zwyciężało, nawet jeśli trzeba było za to zapłacić ogromną cenę.

Lata pracy z Diggerem Grave'em w Security Solutions nauczyły ją, że kiedy stawka była naprawdę wysoka, cel uświęcał środki. Przy odpowiednio wysokiej cenie prawo stojące na przeszkodzie wymierzaniu sprawiedliwości musiało ustąpić. Zajmowali się przede wszystkim łączeniem rodzin i dla Diggera i Boxersa łamanie reguł było nieodłączną częścią gry. Venice starała się usprawiedliwiać takie postępowanie wyższą koniecznością, ale sama nie była do końca przekonana.

To między innymi z tego powodu Jonathan nazywał ją duszą ich zespołu.

Ponieważ o zaśnięciu nie było mowy, ostatnie pół godziny spędziła na ponownym sprawdzeniu połączenia z więzieniem Basin w stanie Wirginia. W przeciwieństwie do Jonathana, który z powierzchni ziemi widział tylko jedną trzecią budynku, ona była odpowiedzialna za monitorowanie wszystkiego. Nocna zmiana, która rozpoczynała się o dziesiątej i trwała do szóstej rano następnego dnia, liczyła sześciu strażników rozmieszczonych w recepcji i trzech blokach więziennych oddzielonych od siebie stalowymi wrotami bezpieczeństwa.

Venice wyświetliła na środkowym monitorze plan więzienia, żeby przypomnieć sobie jego rozkład. Część więzienia przeznaczona dla dorosłych przypominała szeroką niesymetryczną literę V, gdzie lewy, dłuższy bok zajmował blok męski, a prawy, krótszy — kobiecy. Oba bloki łączyły się w części administracyjnej budynku, gdzie znajdowała się recepcja i główna służa bezpieczeństwa. Korytarze wewnątrz poszczególnych bloków były przedzielone dodatkowymi pośrednimi drzwiami, które w razie buntu więźniów mogły odizolować jedną trzecią bloku. Strażnicy, którzy akurat nie patrolowali korytarzy, pracowali przy biurkach w pilnie strzeżonych pomieszczeniach na końcach obu bloków.

Venice mogła na swoich monitorach zobaczyć każdy zakamarek więzienia, nawet wnętrza cel, gdyby przysłała jej na to ochota. Ale to jej nie interesowało. Nie widziała nic szczególnie ekscytującego w podglądaniu samotnie spędzających czas mężczyzn i kobiet — szczególnie w nocy.

Kiedy rozpocznie się operacja, będzie miała w krótkim czasie bardzo dużo do zrobienia i nie może sobie pozwolić na jakikolwiek błąd. Zaprogramowała wcześniej wszystkie odpowiednie komendy i nie tylko wprowadziła je do pamięci, ale także zapisała na kartce, którą położyła obok klawiatury. Poruszała palcami nad klawiaturą, ćwicząc ich wprowadzanie, tak jak pianista ćwiczy bezgłośnie przed występem na scenie.

Mając w końcu pewność, że zrobiła wszystko, co należało, otworzyła w oddzielnym oknie pasjansa i ułożyła go cztery razy z rzędu.

O pierwszej czterdzieści pięć założyła słuchawki z mikrofonem i czekała na sygnał od szefa. Znając Jonathana i Boxersa, ostatnie

trzy godziny spędzili pewnie w jakiejś restauracji przy dobrym jedzeniu.

W słuchawkach rozległ się trzask.

— Kwoko, tu Skorpion. Jesteś tam?

Ulga. A zaraz potem przyплыw niepokoju.

— Jestem — odpowiedziała. — A co z Olbrzymem?

— Jestem w sieci — odezwał się Boxers.

— Co widać na twoich monitorach? — zapytał Jonathan.

— Nudna noc w więzieniu — odparła Venice.

— Jakieś pytania dotyczące planu?

Venice powstrzymała się przed szybką odpowiedzią.

— Rozpatrzyłam wszystkie scenariusze, jakie mi przysły do głowy, i wydaje mi się, że jesteśmy gotowi — powiedziała. Nieważne, że każdy plan diabli brali już po pięciu sekundach od chwili, gdy zaczynało się go wprowadzać w życie.

Przez myśl przemknęły jej ponownie obrazy obryzanych krwią ścian.

— Chłopaki? Dopadnijcie tego sukinsyna, dobrze?

Jonathan i Boxers w mrocznym wnętrzu furgonetki wymienili spojrzenia.

— Czy Venice właśnie zakłęła? — wykrztusił z siebie Boxers. To tak jakby muzułmanin sięgnął po drinka. To się po prostu nie zdarzało.

— Tak, zakłęłam — usłyszeli jej głos w słuchawkach. — Przepraszam, ale... — Urwała nagle.

— Wiem, o co ci chodzi — odezwał się Jonathan. — W takim razie do dzieła.

Światło w kabine samochodu było wyłączone, więc kiedy Jonathan otworzył drzwi pasażera i wysiadł, świat wokół niego nadal spowiadał mrok.

— Zachowaj cierpliwość, Olbrzymie — zwrócił się do Boxersa. — Zaufaj rozwiązaniom rodem z dwudziestego pierwszego wieku.

— Oczywiście — odparł Boxers — ale nie przestałem ufać dziewiętnastowiecznym wariantom awaryjnym. — Boxers uwielbiał wysadzać w powietrze różne rzeczy.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Venice odegra w tej operacji kluczową rolę, obserwując z odległości ponad sześćdziesięciu mil każdy ruch na ekranie swoich monitorów. Jonathan nie pojmował wszystkich szczegółów technicznych, ale nieraz w przeszłości miał okazję przekonać się o umiejętnościach Venice i dlatego wierzył, że potrafi ona wykonać każde zadanie, którego się podejmie.

Rola Boxersa była nie mniej ważna. Jeżeli coś pójdzie nie po ich myśli, jedynym ratunkiem będzie wielkie bum.

Jonathan szedł po własnych, wcześniejszych śladach. Kiedy dotarł do kontuaru, odniósł wrażenie, że wszystko przebiega wyjątkowo łatwo.

W jego fachu nie wróżyło to nic dobrego.

Granville George dostrzegł coś kątem oka — ruch na ekranie monitora, który o tej porze powinien pokazywać tylko nieruchomy obraz. Natychmiast zorientował się, że to agent FBI, który odwiedził ich wcześniej po południu. Obejmując nocną zmianę, Granville przeczytał wpis Billa Diane'a do książki wejść, a Battles osobiście powiedział mu, co myśli o tej wizycie. Co takiego mieli w sobie wszyscy federalni, że każdy z nich był kutasem? Przypuszczał, że na Akademii FBI przechodzili specjalne kursy pompowania sobie ego.

Pewnie żaden federalny by nie uwierzył, ale on, Granville nie zamieniłby się z nim na stanowiska, nawet gdyby mieli mu podwoić pensję. Wolał żyć w społeczeństwie, w którym spektrum zbrodni było mniej więcej stałe, jak to w dużym mieście, ale i tak stanowiło margines. Pokuta, jaką była służba w więzieniu — sześciomiesięczne zesłanie za rozbicie w czasie pościgu radiowozu — kończyła się za piętnaście dni, a potem miał znowu wrócić na ulicę i robić to, co lubi najbardziej.

Patrzył, jak mężczyzna w garniturze przemierzył poczekalnię i podszedł do okienka recepcji.

— Agent Harris z FBI — powiedział, wyciągając odznakę. — Muszę porozmawiać z Jimmym Henrym.

Granville wziął do ręki czarną skórzaną okładkę odznaki i dokładnie się jej przyjrzał — nie dlatego, że musiał to zrobić, ale dlatego, że mógł. Jej waga świadczyła o tym, że mężczyzna jest czysty.

Fałszywe odznaki rzadko były wykonane z tak dobrego metalu jak oryginały.

— Chyba jest trochę późno? — zagderał, zwracając odznakę właścicielowi.

— Prawo nigdy nie śpi — odparł agent.

Granville przewrócił oczami.

— Ale nasi podopieczni śpią, a zrywanie ich o drugiej w nocy to prosta droga do wywołania buntu.

— Po to są zamki w drzwiach — odpowiedział agent z uśmiechem. — Naprawdę muszę z nim porozmawiać.

— O czym?

— O poufnych sprawach. Może już go pan obudzić?

Granville westchnął wymownie, a potem podniósł się z krzesła i ruszył w stronę drzwi po swojej lewej stronie.

— Proszę tu na mnie poczekać. — Teoretycznie miał prawo przetrzymać agenta do pobudki o szóstej trzydzieści, ale nie zamierzał odpowiadać draństwem na draństwo. Dość już wkurzył swoich szefów, którzy odesłali go na pół roku służby do więzienia. Nie było sensu irytować ich jeszcze bardziej.

Venice poczekała, aż strażnik odejdzie od biurka, policzyła do pięciu i przystąpiła do pracy. Wszystko przebiegało zgodnie z planem, wystarczyło więc kilka uderzeń w klawisze. Ekran monitorów na biurku na chwilę stały się czarne, a kiedy ożyły, pokazywały Jonathana ubranego tak jak teraz, przechodzącego, tak jak teraz, przez służbę bezpieczeństwa. Tyle że był to obraz sprzed sześciu godzin.

Wszystko, co Venice nagrała wcześniej, przesłała teraz na monitory strażników. Wszystko, prócz obrazu z kamery monitorującej hol i recepcję. Plan nie był niezawodny, ale biorąc pod uwagę, jak mało było czasu na jego przygotowanie, wydawał się świetny.

Jonathan ruszył za drugim strażnikiem — chudym jak szczapa blondynem z napisem na identyfikatorze: R. SHENTON — w stronę pokoju przesłuchań i zdecydowanym krokiem podszedł do stołu.

— Za minutę wracam z Henrym — powiedział przed wyjściem Shenton. Jonathan zwrócił uwagę, że w przeciwieństwie do swojego kolegi z popołudniowej zmiany nie zamknął za sobą drzwi na klucz.

— Idzie w stronę celi Henry'ego — odezwał się w słuchawce głos Venice. Kiedy Jonathan nie odpowiadał, dodała: — Wszyscy strażnicy patrzą na pętlę z kamer. Dźwięk w pokoju przesłuchań wyłączony.

— Dzięki — odezwał się Jonathan i dodał: — Nie muszę wiedzieć, co jest w porządku, chcę mieć informację, jeśli coś będzie nie tak. — Nie znosił pogaduszek przez radio.

W przeciwieństwie do swojej poprzedniej wizyty, kiedy grał przed kamerą, teraz nie usiadł. Przemierzał odcinek podłogi pomiędzy drzwiami a stołem. Kiedy przyjdzie czas działania, musi poruszać się szybko.

Rzut oka na zegarek potwierdził, że minęły zaledwie dwie minuty, a zdawało mu się, że piętnaście. Wiedział, że Shenton potrzebuje czasu, żeby zakuć w kajdany Henry'ego i przeprowadzić go korytarzem, ale trudno mu było zachować zimną krew.

— Są na korytarzu, idą w twoim kierunku — powiedziała Venice. — Jeszcze dziesięć sekund.

Jonathan odwrócił się w stronę otwierających się drzwi i usunął na bok, żeby przywitać gości. Jimmy Henry był, tak jak poprzednio, skuty. Ręce miał przykute do pasa, a kostki u nóg skrupowane długim na trzy stopy łańcuchem. Wcześniejszą butę i arogancję zastąpiła teraz aura strachu i potulności.

— Proszę go posadzić na krzesło — polecił Jonathan. Wyciągniętą ręką wykonał gest, jakim maître d'hôtel pokazuje gościom stolik w restauracji. Bezcelnością było takie zachowanie w miejscu, gdzie rządził strażnik, ale to nic w porównaniu z tym, co miało nastąpić za chwilę.

Przepuścił więźnia, a kiedy w jego zasięgu znalazł się Shenton, Jonathan uderzył go otwartą dłonią w miejsce, gdzie zawias łączył zuchwę ze szczęką. Był to ulubiony punkt, w który starał się trafić każdy bokser, tak więc Shenton został błyskawicznie załatwiony. Kiedy zaczął osuwać się spiralnym ruchem na ziemię, Jonathan złapał go pod pachy.

— Jasna cholera! — wrzasnął Jimmy, odskakując w tył i przewracając się o krzesło, na którym miał usiąść. — O, w mordę!

— Zamknij się — syknął Jonathan. Dociągnął strażnika do przytwierdzonego do podłogi stołu i delikatnie ułożył na podłodze. Sięgnął po kajdanki i przykuł Shentona do nogi od stołu.

— Zabiłeś go? — zapytał Jimmy, usiłując wstać. — Jezu, poleciał tak, jakbyś go zabił.

— Nikogo nie zabiłem — odparł Jonathan. Miał tylko nadzieję, że nie złamał strażnikowi szczęki. Pochylił się i przeszukał mu kieszenie.

— Co teraz robimy? — zapytał Jimmy. Rzucił się do drzwi i spojrzął na prawo i lewo.

— Włóż do środka i zamknij drzwi — polecił Jonathan. W kieszeni strażnika znalazł pęk kluczy i zaczął je przeglądać. Był tam typowy klucz Schlage, zapewne od domu, kluczyk do hondy i drugi do forda. Żaden nie przypominał klucza do specjalnych zamków. Znalazł jednak kluczyk do kajdanek, a to był dostateczny powód, żeby cały pęk włożyć sobie do kieszeni marynarki.

— No! — zawołał Jimmy. — Masz go. To kluczyk do tych pieprzonych bransoletek. — Uniósł ręce wysoko i potrząsnął łańcuchami.

Jonathan podniósł się i wymierzył palec wskazujący w pierś Jimmy'ego Henry'ego.

— Posłuchaj mnie — powiedział. — To moja akcja, nie twoja. Nie potrzebuję twoich rad. Moim zadaniem jest wyciągnąć cię stąd. Twoim — robić to, co ci się każe. Powiedz, czy to nie jest dla ciebie zbyt skomplikowane.

Jimmy, najwyraźniej dotknięty, cofnął się.

— Nie musisz być taki niemiły, gościu.

Jonathan zbliżył swoją twarz do twarzy Jimmy'ego, tak że ich nozy prawie się zetknęły.

— Wyciągam cię z więzienia, zasrańcu. Wszędzie tu pełno uzbrojonych strażników, a ja bardzo chcę obudzić się jutro rano żywy. To wystarczający powód, żeby być niemiłym.

Więzień, cofając się o krok, zabrzączał łańcuchami.

— Słuchaj gościu, naprawdę...



Jonathan uciszył go gestem wyciągniętego palca.

— Siedź cicho, rób tylko to, co ci każe. Zapamiętaj to, a wszystko będzie dobrze. — Zaczekał na skinienie głowy oznaczające, że jego słowa dotarły do Henry'ego. — Dobrze. Kiedy wyjdziemy na korytarz, pójdziemy w lewo aż do wyjścia. A potem odjedziemy stąd.

Więzień przekrzywił z niedowierzaniem głowę.

— Tak po prostu?

— Tak po prostu.

W słuchawce rozległ się głos.

— Skorpion. — To była Venice. — Mamy problem.

## Rozdział 5

Jak na kogoś zupełnie niegłodnego, Jeremy Schuler miał niesamowity apetyt. Pożarł bułkę z serem tak łapczywie, że mało nie odgryzł sobie palca. Do tego pieczoną fasolę i ciasto pomarańczowe. Ten chudzielec pochłonął na jednym posiedzeniu więcej kalorii niż Harvey przez cały dzień. Najwyraźniej był dzieckiem, któremu rzadko czegokolwiek brakowało. Harvey wiedział z doświadczenia, że ludzie, którzy zaznali niedostatku, jedzą z większym upodobaniem.

— To było naprawdę dobre — odezwał się Jeremy, zlizując z palców resztki ciasta.

— Cieszę się, że ci smakowało.

— Jest jeszcze?

— Nie dziś. — Odmawiając, Harvey był przygotowany na kłótnię, która ku jego zaskoczeniu nie wybuchła. Dzieciak skinął tylko głową i odłożył talerz na kolana.

Harvey zabrał talerz i polał wrzątkiem z naczynia na kuchence. Złachanym ręcznikiem wytarł go do sucha. Jeremy się nie odzywał. Przyglądał się tylko uważnie, co zaczęło być irytujące.

— Jeśli coś ci chodzi po głowie, synu, lepiej to z siebie wyrzucić — zachęcił go Harvey.

Ta uwaga musiała zaskoczyć chłopca.

— Chcę wrócić do domu — powiedział.

— Domyślam się — odparł Harvey. — A gdzie jest twój dom?

— Chodzę do szkoły w Fisherman's Cove. I tam mieszkam. Nazywa się to Resurrection House.

Harvey słyszał o tym miejscu. Miało związek z parafią Świętej Katarzyny, dzięki której zjedli dzisiejszą kolację. Ale zawsze wydawało mu się, że to jest sierociniec.

— Dobrze, wyruszymy tam rano. To daleka wyprawa, a ja nie mam samochodu. Nocą będzie trwała jeszcze dłużej.

— A jeśli po mnie wrócą?

W tym pytaniu pobrzmiewała już nuta paniki.

— Nie martwiłbym się tym — odparł Harvey. — Mieli cały dzień, żeby po ciebie wrócić. Gdyby zamierzali to zrobić, już dawno by tu byli. — Może gdyby mówił bardziej pewnym tonem, sam by w to uwierzył. A prawda była taka, że Jeremy nie był gotów na tego rodzaju wędrówkę.

Jeremy myślał chwilę, nim odpowiedział.

— Nie chcesz wiedzieć, co się stało?

— Oczywiście, że chcę. Ale tylko wtedy, gdy zechcesz mi sam opowiedzieć.

— Zostałem... porwany — wydusił z siebie. Zaciął się przy ostatnim słowie i w słabym świetle lampy Harvey zobaczył, jak oczy zaczynają mu lśnić od łez.

— Kilku mężczyzn wpadło do mojego pokoju. — Jeremy starał się opanować drżenie głosu. — Związali Anthony'ego, a potem... — Słowa urwały się. Chłopiec wziął głęboki oddech. — A potem zabili pana Stewarta.

Harvey poczuł narastający ucisk w żołądku.

— Kto to jest Anthony? — zapytał. Jeremy zasłonił dłonią oczy.

— Mój kolega z pokoju — pisnął.

Harveyowi zakręciło się w głowie. Było gorzej, niż przypuszczał.

— Kilku mężczyzn wpadło do twojego pokoju i zabrało cię stamtąd?

Jonathan opuścił dłoń, skinął głową i podciągnął nogi pod brodę.

— A kim jest pan Stewart?

— Dozorcą — odpowiedział Jeremy ze spuszczoną głową. — Był moim przyjacielem.

— Dlaczego ktoś zrobił coś takiego?

— Zabrali też inne dzieci — mówił dalej Jeremy. — Co najmniej jedno.

— Jesteś pewny?

Jeremy wydawał się z każdą chwilą kurczyć, był coraz młodszy i coraz mniejszy. Siedział z pochyloną głową i opuszczonymi ramionami. Przez chwilę Harvey myślał, że chłopiec zasnął.

Ale nagle uniósł głowę. Wziął głęboki oddech i opowiedział całą historię.

## Rozdział 6

Granville George oderwał wzrok od dziennika wejść i odchylił się do tyłu w średniowiecznym narzędziu tortur, które służyło mu za krzesło. Był pewien, że szeryf specjalnie zamówił to gównno, żeby maksymalnie uprzykrzyć mu sześciomiesięczną zsyłkę. Tak jakby ogłupiająca praca nie była dostatecznie bolesną karą.

Przeciągając się, rzucił okiem na ekran monitora. Bez większego zainteresowania zerknął też na pozostałe monitory. W skrzydle kobiecym Terry Milan, tak jak powinna, patrolowała właśnie korytarz. Korytarz skrzydła męskiego był pusty — nic w tym dziwnego, skoro Rob Shenton zajmował się aktualnie agentem Harrisem. Trzech pozostałych strażników zajętych było pracą biurową w sekcji bezpieczeństwa.

Coś tu jednak się nie zgadzało. Granville spojrzął na obraz z pokoju przesłuchań. Siedział tam przy stole Henry, a naprzeciwko jego gość z FBI. Gdzie w takim razie był Rob? Musiał stać w kącie, którego nie obejmowała kamera. Ale to też nie trzymało się kupy. Chase Battles powiedział mu podczas przekazywania służby, że ten dupek z FBI bardzo nalegał na pozostanie z więźniem sam na sam.

I teraz na ekranie to Chase Battles, a nie Rob Shenton, wychodził z pokoju przesłuchań i zaczynał obchód. Chase Battles z popołudniowej zmiany.

— O, cholera! — zaklął Granville. — O, jasna cholera! — Zerwał słuchawkę z widełek i grzmotnął dłonią w przycisk alarmu.

Venice zorientowała się, że coś nie gra, kiedy zobaczyła, jak strażnik za biurkiem zrywa się na równe nogi. Rzuciła szybkie spojrzenie na monitor z odtwarzanym obrazem i wtedy zrozumiała. Pознаła postać strażnika.

Kiedy Granville sięgnął po telefon, uprzedziła go i wystukując odpowiedni kod, zablokowała łączność telefoniczną. Na szczęście wcześniej się na przygotowała.

— Skorpion, mamy problem — rzuciła do mikrofonu. Jednocześnie spostrzegła, że strażnik sięga ręką do swojej konsoli, a chwilę później w głośnikach rozległ się rozdzierający uszy pisk.

— Co to jest, do diabła? — warknął Jonathan.

Venice zignorowała pytanie, bo nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— O kurwa! — wymamrotał Jimmy Henry, ale jego słowa utonęły w przeraźliwym wyciu alarmu.

Jonathan też zaklął w myślach. Radiotelefon przy pasku Shentona ożył.

— Alarm! Alarm w skrzydle A!

Jonathan położył dłoń na piersi Jimmy'ego.

— Działamy dalej zgodnie z planem — powiedział, udając spokój — tylko bardziej zdecydowanie. Trzymaj się blisko mnie. — Chwycił za klamkę i nacisnął.

Drzwi były zamknięte.

— Kwoko? — zawołał przez radio. Venice wyczuła w jego głosie skrywaną złość. — Drzwi są zamknięte.

Na taką ewentualność nie byli przygotowani.

— Uruchomienie alarmu musiało spowodować zablokowanie wszystkich drzwi — domyśliła się Venice.

— Więc może byś coś otworzyła?

Venice postanowiła nie odpowiadać równie zirytowanym tonem. Nie mogła też jednak otworzyć drzwi w dającej się przewidzieć

przyszłości. Wciśnięcie przycisku alarmu sprawiło, że jej wcześniej przygotowane kody przestały działać. Lampki przy wszystkich drzwiach paliły się na czerwono, ale kiedy zerknęła na ekran monitora, zobaczyła, jak człowiek za biurkiem gorączkowo wystukuje coś na klawiaturze komputera i po chwili lampka głównych drzwi recepcji rozbłysła zielenią. Strażnik wybiórczo odblokowywał drzwi, umożliwiając w ten sposób swoim kolegom działanie.

Teraz zaczynał się wyścig, kto szybciej potrafi pisać na klawiaturze.

Granville starał się nie absorbować swojej uwagi zastanawianiem się, kto złamał protokoły zabezpieczające w więziennym komputerze. Ani kto, ani dlaczego, nie miało teraz większego znaczenia. Istotny był tylko fakt, że ktoś próbował na jego zmianie uciec.

To nie mogło się udać.

Kiedy tworzono ten system bezpieczeństwa, zaopatrzone go w mechanizm blokujący wszystkie drzwi w razie kłopotów z którymś z więźniów. Według instrukcji ponowne otwarcie poszczególnych drzwi powinno nastąpić po jednym kliknięciu myszą. Tyle że dziś ta opcja nie działała. Ktokolwiek grzebał w ich komputerze, pozmieniał ustawienia i Granville musiał wklepywać dla każdego drzwi z osobna odpowiednie kody.

Gdzieś na półce za jego biurkiem leżała instrukcja, ale teraz nie miał czasu jej przeglądać, musiał polegać na własnej pamięci. Zdążył wcześniej z nudów przeczytać całe to badziewie — był pewnie jedynym strażnikiem, któremu chciało się to zrobić. Nigdy nie przypuszczał, że czytanie instrukcji alarmu może mu się do czegośkolwiek przydać, ale ponieważ był maniakiem komputerowym, zrobił to z przyjemnością. Teraz wystarczyło sobie przypomnieć.

Otwarcie każdego drzwi wymagało wystukania długiej serii liczb, najpierw indywidualnego numeru drzwi, a potem odpowiedniego kodu odblokowującego. Przebiegał szybko palcami po klawiaturze, próbując otworzyć służbę między pokojem operacyjnym a skrzydłem A, ale kiedy wcisnął ENTER, zobaczył zieloną lampkę przy drzwiach recepcji. Zdał sobie sprawę, że przez pomyłkę otworzył niewłaściwe drzwi. Zaklął pod nosem.

Po chwili się uspokoił. Przynajmniej jedne drzwi były otwarte. Czas na kolejne.

I wtedy, nieoczekiwanie, lampka kontrolna drzwi recepcji ponownie zmieniła kolor na czerwony.

A więc miał przeciwko sobie żywego przeciwnika! Ktoś unieważniał jego komendy.

Venice wstukała kod blokujący jednocześnie wszystkie drzwi. Anulowała w ten sposób komendy wydawane przez strażnika i zyskiwała czas na odszukanie w swojej ściągawce kodów otwierających poszczególne drzwi.

Z przekleństwa, jakie wyrzucił z siebie strażnik na widok zielonej lampki przy drzwiach recepcji, Venice zrozumiała, że popełnił błąd i teraz zajmie się bardziej użytecznymi drzwiami. Jeżeli uda mu się utorować drogę swoim kolegom, nim ona uwolni szefa, zrobi się naprawdę źle.

Znalazła na skraju biurka swoją ściągawkę. W wyścigu jednak została daleko w tyle. Strażnik tak bardzo wysforował do przodu, że tylko oszustwo mogło jej pomóc. Ponownie wprowadziła kod blokujący wszystkie drzwi i zaczęła z wciśnięciem klawisza ENTER do chwili, gdy przy drzwiach do recepcji zapali się zielona lampka.

W chwili gdy uruchomiła komendę, kolor zmienił się na czerwony.

— Kim ty, do diabła, jesteś?! — wrzasnął Granville, waląc pięścią w blat biurka.



## Rozdział 7

*Jeremy Schuler skrzywił się, kiedy w ostrym świetle dostrzegł przez przymknięte powieki siateczkę drobnych naczyń krwionośnych. Próbował się odwrócić, ale światło podążyło za jego twarzą.*

— *Zgaś to — próbował powiedzieć, ale jego struny głosowe wciąż jeszcze były uśpione i z gardła wydobyl się tylko niezrozumiały jęk.*

*Jakaś silna dłoń zacisnęła się na jego ustach.*

— *Spróbuj pisnąć, a wydlubię ci oczy — usłyszał zachrypnięty głos tuż przy swojej twarzy. Mężczyzna cuchnął czosnkiem i dymem papierosowym. — Rozumiesz?*

*Pod uciskiem dłoni zaczął tracić oddech i nie był w stanie odpowiedzieć. Skinął głową i ucisk zelżał.*

— *Jak się nazywasz? — szepnął mężczyzna.*

— *Jeremy — wy dyszał. Odkasznął i spróbował ponownie: — Jeremy Schuler. — Na prawo od siebie usłyszał dźwięk dartego materiału. Krótki rzut oka wystarczył, żeby dojrzał trzech mężczyzn stłoczonych na łóżku kolegi z pokoju, Anthony'ego. Chłopiec wierzył nogami i próbował krzyczeć, ale chyba miał zakneblowane usta. Jeremy'ego dobiegł odgłos uderzenia i hałas na sąsiednim łóżku ucichł.*

— *Spójrz na mnie — odezwał się głos. Jeremy skrzywił się pod wpływem światła.*

— *Nie patrz na nich. Ile masz lat?*

*Jeremy poczuł, jak jego ciałem wstrząsają niemożliwe do pohamowania dreszcze.*

— *Trzy... trzynaście — wyjąkał.*

— *No dobrze, Jeremy. Jeśli chcesz dożyć czternastych urodzin, rób, co ci każemy, rozumiałeś?*

*Jeremy kiwnął głową.*

— *Powiedz na głos.*

— *Zrobię wszystko, co każecie.*

— *Mądry chłopiec.*

*Rozdzierający dźwięk dochodzący z części pokoju Anthony'ego ucichł, a mężczyźni otoczyli teraz łóżko Jeremy'ego.*

— *Gotowe — odezwał się jeden z nich.*

*Światło latarki powędrowało z twarzy Jeremy'ego na łóżko Anthony'ego. Chłopiec leżał jak mumia, obwiązany dookoła taśmą. Świdrujący źrenice promień powrócił.*

— *Wstawaj! — polecił napastnik, zrywając z Jeremy'ego kołdrę i koc. — Wyskakuj z łóżka.*

*Te kilka skrawków materiału było dla niego całym schronieniem, a teraz został tak okrutnie obnażony. Zwinął się w kłębek.*

*Ta chwila wahania rozwścieczyła napastnika. Chwycił Jeremy'ego za rękę, wyciągnął z łóżka i rzucił na podłogę.*

— *Powiedziałem wstań!*

*Jeremy podniósł się i wyprostował, poprawiając piżamę. W Resurrection House wszyscy nosili takie same jasnoniebieskie piżamy z granatowymi lamówkami — niczym bohaterowie serialu Leave it to Beaver.*

— *Nie podskakuj, gówniarzu — odezwał się napastnik. — Mogę cię zabić bez mrugnienia okiem.*

*Jeremy kiwnął głową i zadrżał jeszcze mocniej. Wciąż był zaspany i miał nadzieję, że to był tylko bardzo realistyczny, koszmar ny sen.*

— *Znasz Evana Cuinna? — zapytał Czosnkowy Oddech.*

*Jeremy ponownie kiwnął głową.*

— *Tak — odpowiedział i w formie zabezpieczenia dodał: — proszę pana.*

— *Wiesz, gdzie jest jego pokój?*

— *Co on zrobił? — Siarczysty policzek sprawił, że zobaczył przed oczami gwiazdy. W ustach poczuł smak krwi, która po chwili spłynęła strużką z warg na podbródek. — Tak — odpowiedział. — Wiem, gdzie jest jego pokój.*

*Potężna dłoń Czosnkowego Oddechu zacisnęła się na ramieniu podnoszącego się z podłogi chłopca.*

— *Zaprowadź nas tam. — Mężczyzna przysunął wyciągnięty palec do twarzy Jeremy'ego tak blisko, że chłopiec nie widział go*

wyraźnie. — *I ani mru-mru.*

*Jeremy pociągnął nosem i energicznie kiwnął głową. Jego usta znów wypełniły się krwią.*

*Evan Guinn mieszkał z Zaimem Ahmadem sześć czy siedem pokoi dalej, po przeciwnej stronie korytarza. Obaj byli nieudacznikami. Przyjaźnili się tylko ze sobą.*

*Jeremy szedł wzdłuż korytarza. Cała grupa podążała za nim zadziwiająco bezgłośnie. Na błyszczących kafelkach ani razu nie zaskrzypiał żaden but. Jeremy wiedział, że zostawia na podłodze ślady krwi. Wyobrażał sobie zrzęczenie pana Stewarda wycierającego je rano.*

*Jeden z mężczyzn wyprzedził go i kluczem otworzył drzwi pokoju Evana. Najpierw je lekko uchylił, a potem otworzył na tyle szeroko, że jego dwóch kompanów wślizgnęło się w panujący po drugiej stronie mrok. Jeremy usłyszał dźwięk przesuwającego się po podłodze łóżka, a potem odgłosy walki. Nim zdążył się zorientować, co się dzieje, Czosnkowy Oddech chwycił go za ramię i odciągnął od drzwi.*

*Kiedy dotarli do drzwi przeciwpożarowych na końcu korytarza, przystanęli.*

— *Co jest za tamtymi drzwiami?* — zapytał Czosnkowy Oddech, wskazując palcem przeciwległą ścianę.

*Jeremy odpowiedział bez wahania. Szybko się uczył.*

— *Skrzydło, w którym mieszkają dziewczynki. Ale tam jest alarm.*

*Co on wyprawiał? Dlaczego ich ostrzegł? Gdyby uruchomił się alarm, może napastnicy by uciekli. Cóż, jego reakcja była instynktowna.*

— *Czy te drzwi prowadzą na zewnątrz?*

*Jeremy pokręcił głową.*

— *Nie wiem. Nigdy ich nie otwierałem.*

— *Co tu się dzieje?* — usłyszeli za plecami.

*Jeremy, nie patrząc, rozpoznał głęboki, dudniący głos pana Stewarda. Obrócili się obaj jednocześnie i ujrzeli zwalistą sylwetkę mężczyzny. Na twarzy, zwykle promieniejącej serdecznością — szczególnie na widok Jeremy'ego — malował się teraz groźny grymas, wyraźne ostrzeżenie dla każdego, kto znalazłby się w zasięgu jego rąk. Jeremy'ego zaskoczył fakt, że pan Stewart nosi taką samą kretyńską niebieską pizamę jak chłopcy.*

*Jeden z mężczyzn, którzy wcześniej związali Anthony'ego taśmą, wyciągnął skądś pistolet.*

— *Zajmij się swoimi sprawami — warknął ostrzegawczo.*

*Jeśli nawet pan Stewart wystraszył się na widok broni, to nie dał tego po sobie poznać. Jego spojrzenie stało się jeszcze twardsze.*

— *To nie wasz dom — warknął.*

— *Teraz już tak — odparł Czosnkowy Oddech. I tonem, którym prosi się o podanie solniczki, dodał: — Zastrzel go.*

— *Nie! — krzyknął Jeremy, ale było za późno. Pistolet wypalił — nieprawdopodobnie głośno w niewielkim korytarzu — i pan Stewart runął bezwładnie na podłogę. Nie poruszał się.*

— *Panie Stewart! — wydarł się Jeremy, ale jakaś dłoń zakryła mu usta. Czosnkowy Oddech uniósł go, trzymając za głowę, tak że bose stopy chłopca straciły kontakt z podłogą.*

— *Co jest, do kurwy nędzy?! — rozległ się czyjś głos w głębi korytarza za ich plecami. To jeden z mężczyzn, który wcześniej wszedł do sypialni, wychylił się na korytarz z bronią w rękę.*

— *Pora iść — odparł Czosnkowy Oddech.*

*Jeremy'ego zaskoczył ten zupełny brak emocji. Przecież ci ludzie przed chwilą zabili najwspanialszego człowieka w Resurrection House. Wbił paznokcie w dłoń Czosnkowego Oddechu i zaczął rozpaczliwie wierzcąc nogami. Nie zamierzał tak zostawić pana Stewarta.*

*Napastnik tylko wzmocnił uścisk.*

— *Zabieraj tego drugiego — zawołał i mężczyzna zniknął z powrotem w sypialni Evana.*

— *Puść mnie! — krzyknął Jeremy, ale nikt na niego nie zwracał uwagi.*

*Otworzyły się kolejne drzwi i krzyknął jakiś chłopiec. Jeremy rozpoznał jego twarz, ale nie pamiętał imienia.*

— *Na pomoc! — wrzasnął Jeremy, ale chłopiec schował się do pokoju i zatrzęsnął za sobą drzwi.*

— *Na schody! — zakomenderował Czosnkowy Oddech. Dalsza walka nie miała sensu. Jeremy się poddał. Kolejne drzwi i kolejny krzyk.*

— *Mitch! Uważaj! — rozległ się męski głos.*

*Nagle Jeremy poczuł, jakby zderzył się z pociągiem. Pofrunął w powietrzu i zobaczył wszystkie gwiazdy przed oczami, zderzając się z nieustępliwą betonową ścianą.*

*Zawirowało mu w głowie, ale jak przez mgłę słyszał kolejne krzyki. Kiedy doszedł do siebie, minęła dobra sekunda lub dwie, nim pojął, co widzi. Pan Stewart walczył z mężczyzną, który go porwali.*

Zwarci ze sobą toczyli się po podłodze, zostawiając na niej krwawe ślady.

— Pomocy! — krzyknął Jeremy i choć otwierały się kolejne drzwi, to żadne z dzieci stojących w progu nic nie zrobiło.

W ciągu kilku sekund mężczyzna z głębi korytarza włączył się do walki i chwytając pana Stewarta za górę piżamy, odciągnął go od Czosnkowego Oddechu. Kiedy piżama rozerwała się i poodpadały guziki, dozorca ponownie rzucił się na napastnika. Tyle że teraz stracił już efekt zaskoczenia. Drugi mężczyzna złapał go tym razem za ramiona i przytrzymał, tak że pan Stewart z trudem mógł wykonać jakiegokolwiek ruch. Jego klatka piersiowa i brzuch były mokre od krwi, lecz mimo to się nie poddawał.

— Uciekaj, Jeremy — powiedział. — Dzieci, wracajcie do pokojów i zamknijcie...

Czosnkowy oddech uderzył go z całych sił w żebra, w miejsce skąd najprawdopodobniej płynęła krew.

Pan Stewart skrzywił twarz w grymasie bólu, ale nie krzyknął. Spojrzał za to Jeremy'emu głęboko w oczy i powtórzył:

— Uciekaj! — A przynajmniej próbował to powiedzieć, gdyż z jego gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

Jeremy nie mógł się poruszyć. Nie potrafił ocalić przyjaciela, nie potrafił ocalić siebie. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że krzyczał, zastaniając sobie usta dłonią i patrząc, jak napastnicy zadają kolejny cios panu Stewartowi. A potem jeszcze jeden. I jeszcze jeden, po którym dozorca osunął się na podłogę.

— Powiedziałem, że czas już iść — przypomniał swoim współnikom Czosnkowy Oddech. Następnie podszedł do Jeremy'ego, przykleknął przy nim i tym razem delikatnie złapał go za ramię. — Idziesz z nami, Jeremy — powiedział.

Jeremy wstał. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył, nim zastonili mu twarz szmatą o dziwnym zapachu, były twarze tych wszystkich dzieci, które pozwoliły, żeby go porwano. Które pozwoliły, żeby zginął pan Stewart.

*Ciemność.*

To wszystko, co pamiętam — zakończył Jeremy. W trakcie opowieści jego głos stopniowo cichł, aż wreszcie zmienił się w ledwie słyszalny szept. Kiedy podniósł głowę, Harvey ze zdumieniem dostrzegł w słabym świetle lampy, że oczy chłopca są mokre od łez.

— Dlaczego oni to zrobili? — zapytał.

— Nie wiem — odparł Harvey, ale jego słowa utonęły w mroku nocy. Serce tłukło mu się w piersi i wysilał ze wszystkich sił umysł, żeby znaleźć jakieś racjonalne wyjaśnienie. To było coś gorszego niż zwykle porwanie. Ci ludzie — kimkolwiek byli — zaciągnęli Jeremy'ego aż tutaj, żeby go zabić. A potem nie zrobili tego. Po co w ogóle go porywali, skoro zamierzali go zabić? W końcu zamordowali Stewarta, dlaczego nie strzelili do chłopca? Co gorsza, dlaczego oddali fałszywy strzał, udając, że go zastrzelili?

Harvey czuł panikę rosnącą niczym grzyb atomowy. Grzyb był wielki i wywołał falę przypiływu, która wciąż rosła i rosła, by w końcu przełamać się nad nim i go zgnieść. Od wielu lat nie przeżył takiego ataku paniki.

Nie miał dokąd uciec. Był za to dzieciak, którego nie znał, a który powinien teraz leżeć martwy, i niewątpliwie byli ludzie, którzy zamierzali naprawić swój błąd. Jeśli dopadną dzieciaka, dopadną także jego, i co wtedy?

O nie. Wybrał ten zabawny styl życia specjalnie po to, by nie przydarzały mu się podobne historie. Był wcześniej odpowiedzialny za zbyt wielu ludzi. Walczył w nie swoich wojnach. Nie zamierzał robić tego ponownie.

Musiał się pozbyć tego dzieciaka. Powinien był pozwolić mu umrzeć. Powinien był zostawić go na pastwę losu, zebrać swoje manatki i wiać stąd jak najdalej. Zresztą co to był za dobytek? Szafka pełna gotowego żarcia i trochę przyborów toaletowych?

Powietrze stało się nagle zbyt ciężkie, by nim swobodnie oddychać. Harvey ścisnął rękoma klatkę piersiową, starając się zapanować nad atakiem paniki. Czasami to działało, a czasami nie. Kiedy nie działało, robiło się paskudnie.

Zamknął oczy i spróbował przywołać obraz pogodnego jeziora, w którym dawno temu pewien psychoanalityk nauczył go szukać schronienia, kiedy zbliżał się atak. Jeśli zdoła dotrzeć do jeziora, nim przełamie się fala, atak minie. Jeśli nie, przeżyje kolejne zaciemnienie. Powędruje tam, gdzie zaprowadzi go umysł, a kiedy będzie po wszystkim, pozostanie mu ocena dokonanych zniszczeń.

Proszę — błagał w duchu. — Pozwól mi zwyciężyć. Przegrana przekreśliłaby ostatnie cztery lata sukcesu. — Boże, proszę, spraw, żeby tak się nie stało.

Ujrzał gładką jak lustro powierzchnię, w której odbijało się nieskazitelnie błękitne niebo i zielone sosny. Zobaczył siebie jako małego chłopca siedzącego ze zwisającymi bosymi nogami na skraju pomostu i łowiącego okonie.

Ten obraz zrodził się pod wpływem hipnozy i ilekroć się pojawiał, zawsze wydawał się realny. Harvey czuł ciepło promieni słonecznych na karku i chłód wody na palcach u nóg. Te wrażenia były równie prawdziwe, jak prawdziwe było zwolnienie pulsu i regularny oddech. Przełamał falę, nim ona załamała się nad nim. Zwyciężył i był z tego dumny.

— Nic ci nie jest?

To był Jeremy. Podniósł się z krzesła i przykucnął koło Harveya. Dotyk dłoni chłopca przywrócił go do rzeczywistości.

— Nic ci nie jest? — zapytał powtórnie Jeremy.

Harvey wciągnął głęboko powietrze przez nos i wypuścił je z cichym świstem przez usta. To go uspokoiło. Panika minęła.

— Mamy razem do zrobienia kilka ważnych rzeczy, młody człowieku — odparł.

## Rozdział 8

— Instaluję ładunek burzący — zabrzmiał głos Boxersa w uchu Jonathana.

Ramowy ładunek wybuchowy, który olbrzym przyniósł ze sobą, mógł z łatwością pokonać solidnie zabezpieczone drzwi, ale nie bez narobienia porządnego bałaganu. Jonathan chciał powiedzieć „nie”, ale sprawy zaczęły przyjmować zły obrót.

— W porządku — odezwał się. — Ale nie odpalaj go bez rozkazu. — Mieli w końcu uwolnić jednego więźnia, a nie całe więzienie.

— Co się, do cholery, dzieje? — dopytywał się Jimmy Henry. Sprawiał wrażenie przerażonego i gotowego dołączyć do przeciwników. — I z kim wciąż rozmawiasz?

Jonathan go zignorował.

— Mów, Kwoko — rzucił do mikrofonu.

— Jest źle — odparła Venice. Jonathan słyszał w tle stukot klawiatury. — Zorientowali się, co robimy, i próbują nas powstrzymać. Na razie są tak samo zamknięci w środku jak wy, ale to nie potrwa wiecznie. Kiedy wydobędziecie się na zewnątrz, będziecie musieli szybko uciekać.

Tak jakbym zamierzał się guzdrać — pomyślał, ale nie powiedział tego głośno.

Zabrzącał zamek i Jonathan wypchnął Henry'ego przez otwarte drzwi na korytarz. Skierował go w lewo w stronę drzwi przeciwpożarowych, ale obejrawszy się za siebie, dostrzegł cały szereg twarzy przyciśniętych do kuloodpornej szyby sali nadzoru. Nie znał nikogo z tych ludzi, ale nie miał wątpliwości, że marzą tylko o tym, żeby go zabić.



Jonathan próbował zmusić swój cenny ładunek do większego pośpiechu, ale łańcuchy ograniczały ruchy chłopaka do dziecięcych kroczków. Znajdowali się pięć stóp od wyjścia ewakuacyjnego, kiedy z hukiem otwarły się drzwi salki nadzoru i na korytarz wypadło pięciu wkurzonych strażników.

— Ej, wy! — krzyknął jeden z nich. — Stać!

— Są tu! — wrzasnął Jimmy.

— Widzę — warknęła Jonathan. — Kwoko?

— Gotowe — odparła Venice i w tej samej chwili zabręczała zamek drzwi przeciwpożarowych.

— Nie bądź głupi! — krzyknął strażnik.

Jonathan otworzył błyskawicznie drzwi i popchnął Jimmy'ego z takim impetem, że więzień wylądował na linoleum za progiem. Po drugiej stronie zapał się z całych sił o drzwi, póki nie usłyszał dźwięku zatraskującego się rygla. Ułamek sekundy później chmara strażników naparła na zamknięte już drzwi.

— Zbyt blisko — powiedział Jonathan. Kiedy w końcu zdecydował się spojrzeć strażnikom po drugiej stronie w oczy, z ulgą stwierdził, że żaden z nich nie ma broni. Nie powinno to być zaskoczeniem, noszenie broni w obecności zatwardziałyich kryminalistów mogło się źle skończyć.

Znajdowali się teraz w jednej trzeciej długości drogi ku wolności, zamknięci w samym środku więziennego bloku. Dokoła obudzeni hałasem więźniowie z twarzami przyklejonymi do prostokątnych szyb w drzwiach cel wykrzykiwali przekleństwa lub słowa zachęty. Jak przewidywał strażnik George, mieszkańcy więzienia Basin nie lubili, gdy ich budzono w środku nocy.

„Po to macie zamki w drzwiach” — mimowolnie przypomniał sobie swoją przemądrzałą uwagę.

— Jasna cholera — zaklął. — Słuchaj, Kwoko, mam pomysł.

— Nie teraz — warknęła. Znowu w tle słyszał wściekłe walenie w klawiaturę.

— Otwórz drzwi — powiedział. — Wszystkie. Drzwi do cel też. Strażnicy będą mieli zajęcie.

Słusznie zinterpretował jej milczenie, była tym pomysłem zbulwersowana.

— Wszyscy nie wyjdą z cel, potrzebujemy tylko jednego lub dwóch. Kiedy strażnicy się nimi zajmą, my uciekniemy. — W tym czasie Jimmy Henry już doczłapał do kolejnych drzwi przeciwpożarowych.

— Ale ja nie mogę...

— Zrób to, do diabła. — Jonathan zatęsknił za czasami, kiedy ludzie nie kwestionowali jego rozkazów.

Granville czuł, że zaczyna wygrywać. Ten, kto znajdował się po przeciwnej stronie, też zdawał sobie z tego sprawę. Dlaczego bowiem wciąż zamykał drzwi, zamiast otworzyć te, które umożliwiłyby ucieczkę jego współnikom? Wprowadził właśnie ostatnią cyfrę kodu otwierającego drzwi przeciwpożarowe C pośrodku skrzydła A i wcisnął ENTER, kiedy...

...lampki absolutnie wszystkich pieprzonych drzwi tego więzienia zapaliły się na zielono.

Wszystkie zamki zabrzęczały jednocześnie w chwili, gdy Jonathan dotarł do drugich drzwi przeciwpożarowych. Otworzyły się bez trudu, podobnie jak drzwi, za którymi stali strażnicy. Jonathan przez chwilę zastanawiał się, czy się nie przeliczył. Kiedy chmara strażników rzuciła się w jego kierunku, więźniowie wciąż pozostawali za drzwiami.

— Jesteście wszyscy wolni, do cholery! — wrzasnął.

Dowódca strażników — mężczyzna tylko odrobinę mniejszy od Boxersa i wściekły jak diabli — znajdował się już tylko dziesięć stóp od Jonathana, kiedy otworzyły się drzwi pierwszej celi i w korytarzu pojawił się prawie nagi olbrzym z długimi włosami i ramionami szczelnie pokrytymi tatuażami członka gangu motocyklowego.

Nawet jeśli strażnik go dostrzegł, nie dał tego po sobie poznać. Chciał dopaść Jonathana i Henry'ego. Z błysku w jego oku można było przyjąć za pewnik, że chce ich widzieć martwych. Jonathan uskoczył w bok i pochylił się, szykując do nieuchronnej walki. Gdyby można było strażnika zabić, zadanie nie byłoby trudne, ale ponieważ nie wchodziło to w rachubę, wszystko zależało od wytrzymałości na ból.

Strażnik przygotował się do gwałtownego skoku, by rozszarpać Jonathana, ale widać było, że zamierza trafić w klatkę piersiową. Jonathan w ostatniej chwili pochylił się i zrobił dwa kroki do przodu, blokując cios i posyłając przeciwnika na deski.

Następnie rzucił się do otwartych drzwi i zatrzasnął je za sobą.

— Zamykaj! — wrzasnął. — Zamykaj szybko!

Usłyszał dźwięk zatrzaskiwanego rygla, a potem ponowne brzęczenie zamka.

— Co ty wyprawiasz? — warknął do Venice.

— To nie ja — odparła. — Ubiegli mnie. Przytrzymaj drzwi.

Jonathan zaparł się ramieniem o drzwi, a nogami o śliskie linoleum. Słyszał, jak po drugiej stronie narasta bunt, który nie przeszkodził komuś napierać z wielką siłą na drzwi. Drzwi uchyliły się na cal. Jeszcze jedno takie uderzenie, a Jonathan nie wytrzyma.

Z tyłu pojawił się jakiś cień i nim Jonathan zdążył zareagować, jakieś dwie czarne dłonie spoczęły na drzwiach obok jego dłoni. Jonathan poczuł na karku ciężki oddech.

— Musisz mocniej naciskać — odezwał się głos. — Inaczej tu wejda.

Jonathan obrócił głowę i ujrzał właściciela głosu i rąk — młodego człowieka, sądząc z muskulatury, ciężarowca.

— Wyszedeł z jednej z cel — wyjaśniła Venice, zanim Jonathan zdążył zadać pytanie. — Okay, już mam.

Rygiel ponownie zablokował drzwi. Zyskali trochę czasu.

— Ładunki na miejscu, szefie — zameldował Boxers.

— Czekaj — powiedział Jonathan. — Nie jestem jeszcze gotowy do odpalenia.

— Z kim ty, kurwa, gadasz? — zapytał jego nowy kompan.

— Nieważne — odparł Jonathan.

— Te pieprzone drzwi są zamknięte! — wrzasnął Jimmy z drugiego końca korytarza. Dzielili go od wolności tylko jedna para drzwi i to wznagało jego motywację. Nie wiedział tylko, że gdyby Boxers wysadził teraz drzwi, nie byłoby co z niego zbierać.

— Co wy, kurwa, robicie? — zapytał więzień.

— Uciekamy! — zawołał Jimmy, a jego słowa wywołały porządne zamieszanie w celach. Wszyscy chcieli uciec.

— Naprawdę? — zapytał Jonathana więzień.

Jonathan kiwnął głową.

— Obawiam się, że tak. — Ruszył w stronę ostatnich drzwi. Więzień podążył za nim.

— Antoine Johnson — powiedział, wyciągając rękę. Jonathan stłumił chichot i nie zwalniając kroku, uściśnił wyciągniętą dłoń.

— Miło cię poznać.

— Idę z wami.

— Nie — odparł Jonathan, nie patrząc więźniowi w oczy. Antoine złapał go za ramiona i zatrzymał.

— Chyba nie dosłyszałeś, co powiedziałem.

Tym razem wzrok Jonathana przeszył Antoine'a na wylot.

— Zabieraj te łapy — warknął. — Doceniam to, że nam pomogłeś, więc nie chcę ci zrobić krzywdy.

Antoine wydawał się kompletnie zaskoczony. Puścił Jonathana i cofnął się o krok.

— Daj spokój, człowieku. To nie miejsce dla mnie. Jestem niewinny.

— Na pewno — odparł Jonathan — ale przyszedłem tu tylko po niego. — Ruchem głowy wskazał Jimmy'ego.

Zamek w ostatnich drzwiach zabrzączał i Jimmy sięgnął do klamki.

— Stój! — zawołał Jonathan. — Nie ruszaj się, póki ci nie powiem. — Spojrzał na Antoine'a. — Nie idź za nami — powiedział.

— Jak chcesz mnie zatrzymać? — Tak bardzo chciał groźnie wyglądać, że wydawało się, jakby urósł o cal.

Jonathan zrobił krok w jego kierunku i zniżył głos do szeptu.

— Jeśli zobaczę cię za tymi drzwiami, zabiję. Pomogłeś nam tutaj, doceniam to. Nie każ mi cię zabijać, Antoine.

Więzień cofnął się o krok.

— To co mam robić?

Jonathan wzruszył ramionami.

— Poczekaj, aż otworzą się drzwi twojej celi, i wracaj do niej.

— Skorpion, musimy iść — powiedział Boxers.

— Masz rację — odpowiedział Jonathan. Wyciągnął rękę do Antoine'a. — Dziękuję. I powodzenia.

Antoine spojrział na wyciągniętą dłoń jak na coś odrażającego.

— Uwierz mi — powiedział Jonathan. — Za dwanaście godzin będziesz się z tego głośno śmiał.

— Digger! — usłyszał w słuchawce warknięcie Venice.

Antoine przekrzywił głowę.

— Będę się śmiał, tak?

Jonathan uśmiechnął się.

— Obiecuję.

Więzień uściśnął rękę Jonathanana.

— Ty pieprzony popaprańcu.

Jonathan zakończył rozmowę szybkim skinieniem głowy i zniknął za drzwiami. Chwilę potem zatrzasnął się zamek drzwi.

Dwa kroki za drzwiami Jonathan i Boxers chwycili Henry'ego za ramiona, pochylili go i zaczęli nieść w stronę furgonetki, którą Boxers zaparkował przy krawężniku po drugiej stronie ulicy. Identycznie postępuje Secret Service, kiedy do jej podopiecznego ktoś otwiera ogień.

Tylne drzwi czekały otwarte. Kiedy zbliżyli się na odległość kilku jardów, Boxers odłączył się i wskoczył za kierownicę, a Jonathan wepchnął ich cenny ładunek na stalową podłogę odrapanej furgonetki. Dopiero gdy skręcili za róg, Jonathan wychylił się i zamknął tylne drzwi.

— To było niesamowite, chłopie! — Jimmy śmiał się. — Naprawdę cholernie niesamowite. Już myślałem, że...

— Zamknij się — warknął Jonathan.

W ciemnościach Jonathan widział tylko sylwetkę Jimmy'ego.

— Chryste, człowieku, chyba nie zamierzasz...

Jonathan złapał za nogawkę pomarańczowego kombinezonu Jimmy'ego i pociągnął, przewracając go na plecy. Zanim więzień zdążył zareagować, Jonathan wymierzył mu potężny cios w genitalia. Reakcja była natychmiastowa. Dzieciak zakrztusił się i zwinął w kłębek. Kiedy próbował złapać oddech, Jonathan zaczął zaklejać mu oczy taśmą.

— Człowieku, kurwa mać, co ty...

Jonathan zacisnął dłoń na jego ustach z taką siłą, że poluzował mu ząb, i przycisnął jego głowę do podłogi furgonetki.

— Zamknij się, śmieciu — syknął. — Milcz, póki nie pozwolę ci mówić. I przysięgam na Boga, że jeśli jeszcze raz powiesz do mnie „gościu”, rozkwaszę ci nos.

Jimmy płakał z bólu i przerażenia.

— Zrobię, co zechcesz — zachlipał. — Przysięgam na Boga, jestem po twojej stronie.

— Nie bądź tego taki pewny, synu — rzucił z przedniego fotela Boxers.

— Co zamierzacie ze mną zrobić?

Jonathan uderzył go ponownie w genitalia, tym razem mocniej.

— Nie rozumiesz polecenia „zamknij się”? — warknął.

Chłopak zaczął się krztusić, a kiedy w końcu zwymiotował,

Jonathan z zadowoleniem uznał, że w końcu osiągnął swój cel. Jimmy nie zaryzykuje kolejnego ciosu, więc Jonathan nie musi go więcej bić. Jądra są wyjątkowo wrażliwe na ból, a jednocześnie zupełnie niezniszczalne. Uderzając faceta w jaja, nie tylko zwraca się na siebie całą jego uwagę, ale także zyskuje sporą przewagę psychologiczną. Im młodszy cel, tym przewaga większa. Wygląda na to, że Bóg, tworząc ciało człowieka, zadbał o interesy przesłuchujących.

Co do wymiotów, były nieszczęśliwym, ale przewidywalnym skutkiem ubocznym — i powodem, dla którego Jonathan nie zakleił więźniowi ust. Nie chciał, żeby dzieciak zadławił się śmiertelnie wymiocinami, dopóki nie da im tego, czego chcą.

Jechali osiem mil pośród pól uprawnych Wirginii, mijali po drodze tysiące akrów ziemi, na której tylko gdzieś rośnie dające cień drzewo. W mroku poprzedzającym świt cały płaskowyż miał niebiesko-czarną barwę. Ponieważ nie włączyli GPS, Jonathan wątpił, czy Boxers dostrzeże wąską drogę, w którą mieli skręcić.

Jechali bez świateł dzięki noktowizorom. Furgonetka podskakiwała na wybojach, a wraz z nią podskakiwał leżący na metalowej podłodze Jimmy. Ale milczał, jeśli nie liczyć kilku instynktownych reakcji na ból i strach.

Na końcu długiej polnej drogi znajdował się parkan z desek, a w nim otwarta brama. Dalej stała ogromna stodoła. Właścicielem tej posiadłości był Horne, stary znajomy Jonathana, który nie zadawał zbędnych pytań. Domyślał się, czym zajmuje się Jonathan, i nigdy nie odmawiał współpracy.

Wjechali do stodoły i zatrzymali się. Jonathan czekał spokojnie, aż Boxers wysiądzie z samochodu, zamknie drzwi stodoły i otworzy tylne drzwi furgonetki.

— Posłuchaj, Jimmy — powiedział Jonathan łagodnym, uspokajającym tonem. — Teraz cię przeniesiemy. Mam nadzieję, że będziesz współpracował.

Strach sprawił, że oddech Jimmy'ego przyspieszył.

Jonathan dał znak podbródkiem Boxersowi, który złapał chłopaka za kajdanki u nóg i przeciągnął na otwartą platformę nad tylnym zderzakiem. Jego nogi opadły i Jimmy przyjął postawę siedzącą, a Boxers pochylał się, żeby zarzucić go sobie na ramię. Kolejna fala strachu sprawiła, że zaczął się nerwowo rzucać, ale szybko się uspokoił i znieruchomiał.

— Dobrze postępujesz — pochwalił go Jonathan. — Później może być gorzej, więc nie panikuj. Kiedy mój przyjaciel postawi cię na ziemi, stój spokojnie. Za minutę wszystko zrozumiesz.

Mrok we wnętrzu rozjaśniało słabe światło rzucane przez pół tuzina gołych żarówek zwisających ze znajdującego się na wysokości dwudziestu stóp sufitu. Boxers podszedł do podtrzymującego dach słupa i postawił chłopaka na ziemi.

— To może być straszne — uspokajał Jonathan. — Odpręż się, nie będzie bolało.

— Nie róbcie mi krzywdy! Proszę! — zaczął krzyczeć Jimmy. Nie mógł się opanować.

Zgodnie z instrukcjami Jonathana Horne wbił w sam środek słupa, na wysokości sześciu i pół stopy, ogromny gwóźdź. Na nim zawiesił grubą obrozę ze smyczą. Boxers bez słowa zdjął obrozę z haka i założył ją na kark więźnia.

— Nie zamierzamy cię udusić — uspokoił go Jonathan, uprzedzając kolejny napad paniki. — Nawet jej ciasno nie założymy. Po prostu nie chcemy, żebyś uciekł.

Chłopak coraz szybciej oddychał. Próbował zapanować nad szlochem, ale bezskutecznie.

Boxers postąpił tak, jak obiecał Jonathan, i przed zapięciem obroży wsunął dwa palce pomiędzy nią a szyję Jimmy'ego. Następnie uwiązał smycz do gwoźdźnia, pozostawiając dość luzu, by chłopak się nie udusił, lecz na tyle mało, żeby nie zapomniał, że jest bezsilny. Na

dodatek założono mu opaskę na oczy. Przez dobrą minutę Jimmy był pozostawiony samemu sobie. W tym czasie Boxers poszedł do furgonetki po narzędzia potrzebne do kolejnego etapu. Pochylił się i wyjął z samochodu ciężką gumową pałkę. Wielkością i kształtem przypominała kij baseballowy; była na tyle giętka, że nie łamała kości, i na tyle wielka, że uderzenie nią musiało boleć jak diabli.

Dla rozluźnienia mięśni Boxers zakręcił młynka ramionami, a następnie stanął przy lewym boku chłopaka i przyjął pozycję odbijającego baseballisty. Spojrzał na Jonathana w oczekiwaniu na sygnał i kiedy zobaczył, że szef kiwa głową, zamachnął się. Pałka trafiła dokładnie w kość biodrową Jimmy'ego. Po stodole rozniósł się dźwięk przypominający stłumiony wystrzał z pistoletu.

Jimmy ryknął. Był to gardłowy, zdławiony krzyk, w którym zawierało się zarówno przerażenie, jak i ból. Taśma, która przesłaniała mu oczy, nie pozwoliła dostrzec, co wywołało ból, a skute kajdanekami ręce i założona na szyję obroza uniemożliwiały obronę.

— Błagam! — wrzeszczał. — Czego ode mnie chcecie?!

Jonathan wstrzymał się z odpowiedzią przez dziesięć sekund. Nie cierpiał takich metod przesłuchania, ale zaginęło dwoje dzieci, nie miał więc czasu na subtelności. Ustanawiając jako punkt odniesienia ból, miał nadzieję, że jedno uderzenie pałką wystarczy.

Patrząc na łkającego dziewiętnastolatka, zrobiło mu się go żal.

— Chcę, żebyś mnie posłuchał, Jimmy — zwrócił się do niego łagodnym tonem.

— Proszę, nie bijcie mnie więcej.

— Więc nie zmuszaj mnie do tego — odparł Jonathan. — Ale musisz zdawać sobie sprawę, że tamto uderzenie było tylko wstępem. Możemy ci łoić skórę przez całą noc. Chyba nie podoba ci się taki pomysł, co?

Jimmy rozpaczliwie potrząsnął głową.

— Zrobię, co tylko chcecie.

— Mam nadzieję. Ale będę z tobą szczery. Mój przyjaciel ma odmienne zdanie. Wolałby bić cię tak długo, żebyś resztę życia spędził w wózku inwalidzkim. — Była to klasyczna zabawa w dobrego i złego policjanta, ale w tym wypadku także coś więcej — stwierdzenie faktu.

— Przysięgam na Boga, zrobię wszystko, co każecie.



— No dobrze. Zaczniemy od poprzedniego wieczoru. Kiedy dowiem się wszystkiego, co wiesz, daruję ci życie.

— Ja byłem tylko kierowcą — chlipnął Jimmy. — Nie wszedłem do środka. Nie miałem nic wspólnego ze strzelaniną. Przysięgam na Boga.

— Ale wiedziałeś, że macie porwać dzieci.

Jimmy się nie odezwał.

Jonathan domyślał się, że chłopak szuka właściwej odpowiedzi.

— Okłamując mnie, popełnisz błąd — ostrzegł go. — Mamy cię ponownie uderzyć?

— Tak — powiedział Jimmy i natychmiast się poprawił: — To znaczy nie! Nie musicie mnie bić. Tak, wiedziałem, że mamy zgarnąć dzieciaki.

— Z jakiego powodu?

— Nie powiedzieli mi.

— Nie pytałeś?

Jimmy potrząsnął głową.

— Nie chciałem wiedzieć. Nie musiałem wiedzieć.

— Na pewno słyszałeś jakieś nazwiska — naciskał Jonathan. — Musiałeś słyszeć, kogo chcą porwać.

— Wiedziałem, że będzie dwójka — odparł Jimmy. Mówił z emfazą, starał się udowodnić, że jest wiarygodny. — Ale usłyszałem tylko jedno imię. Evan jakiś tam. Irlandzkie nazwisko.

— Guinn — odpowiedział Jonathan.

— O właśnie. Kiedy wychodzili, usłyszałem, że kogoś zastrzelili.

— Więc Guinn to jedyne nazwisko, jakie słyszałeś? — podsumował Jonathan.

— Przysięgam na Boga. — Mimo luzu, jaki pozostawił mu Boxers, Jimmy stał na palcach z uniesionym podbródkiem.

— Dlaczego właśnie on, a nie kto inny? — zapytał Jonathan.

Oddech Jimmy'ego znowu przyspieszył. Przyjął strategię, że nie zna odpowiedzi na zadawane pytania.

— Nie wiem. Przysięgam na Boga. Wiem tylko o Evanie Guinnie, bo podsłuchałem to nazwisko.

— Dlaczego go porwali?

— Nie powiedzieli.

— Wmawiasz mi, że nie pytałeś.

Jimmy się zawahał.

— Słuchajcie, wiem tylko, że facet zapłacił mi sześćset dolarów za prowadzenie samochodu.

— Zdawałeś sobie sprawę, że chodzi o porwanie dziecka — naciskał Jonathan — ale nie przyszło ci do głowy, żeby zapytać dlaczego?

Jimmy odważył się postawić pięty na ziemi i oprzeć plecami o słup.

— Wydawało mi się to oczywiste — odpowiedział z ledwie zauważalnym wzruszeniem ramion. — Chodzi mi o to, że to jest sierociniec dla dzieci kryminalistów, prawda? Pomyślałem sobie, że jeden drugiego wkurzył i któryś postanowił porwać dzieciaka.

Zanim Jonathan zdążył go powstrzymać, Boxers z całych sił uderzył gumową pałą w drewniany słup. Stodoła zadrżała w posadach.

— I to ci się wydaje w porządku? — warknął.

— Ja tylko mówię, co się stało! — wrzasnął Jimmy i znów stanął na palcach.

Jonathan wyciągnął rękę, żeby uspokoić Boxersa, rzucając mu jednocześnie groźne spojrzenie. Sam też chciałby tego dzieciaka zatłuc na śmierć, ale w końcu byli profesjonalistami i mieli do wykonania konkretne zadanie. Nie było czasu na wybuchy złości.

— Uspokójcie się — próbował załagodzić sytuację. — Obaj weźcie głęboki wdech. Mówię poważnie. — Dał sobie kilka sekund i posłuchał własnej rady. — Posłuchaj Jimmy, trudno nam uwierzyć, jak można zgodzić się na porwanie dwójki dzieci i nawet nie zapytać o powód.

— Gdyby oni chcieli, żebym go znał, toby mi powiedzieli — wyjaśnił Jimmy. — Pożą tym wydawało mi się, że wiem. To przecież byli przestępcy.

— Kto cię wynajął? — zapytał Jonathan.

— Facet o nazwisku Sjogren. Jerry, jak mi się wydaje. A może George, nie pamiętam. Wiele razy dla niego wcześniej pracowałem.

— Porwania? — zapytał Jonathan.

Jimmy gwałtownie potrząsnął głową.

— Nie. Nic z tych rzeczy. Raz obrobiliśmy bank, ale łup był mały, a tak to zwykle sklepy. Nikt nigdy przy tym nie ucierpiał.

— Ale mógł — wtrącił Boxers.

— Nikt nie ucierpiał — powtórzył Jimmy.

Jonathan po raz kolejny spojrzął z dezaprobatą. Boxers zrozumiał. W czasie przesłuchania musieli skoncentrować się na jednym celu. Boxers dobrze o tym wiedział, ale był wściekły.

— Co się stało z człowiekiem, do którego strzelali? — zapytał Jimmy.

— A co cię to obchodzi? — spytał Jonathan.

Jimmy prychnął i pokręcił głową.

— Robiłem tam za pieprzonego kierowcę, tak? Nie planowałem takiego gówna. Nie jestem jakimś pojebanym bydlakiem, który porywa dzieci, ale wiem, że mam u stróżów prawa przesrane, skoro brałem w tym udział. To nie znaczy, że życzę komuś śmierci. — Jimmy zaczął podnosić głos. — Zarabiałem na życie. Nie myślałem, że to się tak potoczy.

Jonathan postanowił wrócić do tematu.

— Ten Sjogren... Pisze się go S-H-O-G-R-E-N?

— Nie wiem. Nie pisujemy do siebie listów.

— Siedzieliście razem?

Mimo strachu i niewygody Jimmy zdołał się roześmiać.

— Sjogren nie brudzi sobie rąk.

— Jest tylko pośrednikiem? — odpowiedział mu Jonathan.

— Zgadza się. Ludzie, którzy potrzebują pomocy, zwracają się do niego.

— Kim są jego klienci?

— Swoją pierwszą robotę odwaliłem dla oprycha Sammy'ego Bella. Nie wiem, czy o nim słyszeliście.

Jonathan spojrzął porozumiewawczo na Boxersa. Sammy Bell wymuszał okupy i pracował dla rodziny Slaterów. Ich interesy często kolidowały z interesami ojca Jonathana. Kiedy jakieś dziesięć lat temu staruszek Slater kopnął w kalendarz, Sammy przejął interes.

— A to porwanie to też robota Sammy'ego Bella? — zapytał Jonathan.

— Nie, nie, nie, nie. Ja tego nie powiedziałem. Mówiłem o tym, jak pierwszy raz spotkałem Sjogrena. Nie wiem, czy w porwanie był zamieszany Sammy Bell.

— Gdzie można znaleźć tego Sjogrena?

Jimmy znów zaczął szybciej oddychać.

— Nie wiem — odparł. — Nigdy nie próbowałem go znaleźć. Nie musiałem. To on mnie znajduje, kiedy trzeba.

— Sjogren to prawdziwe nazwisko?

— Zawsze tak go nazywałem.

— A pozostali? — Jonathan przeszedł dalej. — Jak się do nich zwracasz?

W głosie Jimmy'ego pojawiły się oznaki frustracji.

— Jezu, wam się wydaje, że poszedłem z nimi na piwo. W ogóle się do nich nie zwracałem. Nie chciałem nawet z nimi gadać.

— A to dlaczego?

— Straszni, straszni faceci. Jakby byli wkurzeni na cały świat. Warczeli na siebie jak stare małżeństwo.

— Ilu ich tam było?

Jimmy wahał się. Dużo czasu zajęło mu liczenie w pamięci.

— Czterech — odparł w końcu. — Ze mną pięciu. Oni się chyba znali i nie podobało im się, że się za nimi włokę.

Na te słowa Jonathan przekrzywił ze zdziwieniem głowę. Zauważył, że Boxers wykonał podobny gest.

— Wleciesz się?

— No tak, jak młodsza siostra, którą brat zabrał, idąc na randkę.

— Rozumiem, co miałeś na myśli — powiedział Jonathan — zdziwił mnie tylko dobór słów.

— Ale tak to właśnie wyglądało. Przypuszczam, że coś się musiało stać z ich kierowcą. I dlatego wzięli mnie.

— Coś się stało, to znaczy co?

Jimmy był coraz bardziej sfrustrowany.

— Skąd mam, kurwa, wiedzieć?! — krzyknął.

Jego nieoczekiwany wybuch sprowokował Boxersa do jeszcze jednego uderzenia pałką w gruby drewniany słup.

— No, dalej! — wrzasnął Jimmy. — Uderz mnie znowu, fiucie! Ale zanim ze mnie wyciśniecie jakąś informację, musicie mi ją najpierw wcisnąć. Po prostu nie wiem nic o tym, o co mnie pytacie.

— Spokój! — rozkazał Jonathan.

— Ludzie, kim wy jesteście? — zapytał Jimmy.

Jonathan był zdumiony, że dopiero teraz o to pyta.

— Wierz mi, kiedy ci powiem, będziesz żałował, że się dowiedziałeś — odparł. — Chcesz mi wmówić, że nie słyszałeś nazwisk

ludzi, z którymi tam byłeś? Przecież musieli się jakoś do siebie zwracać.

Jimmy wziął głęboki wdech i opanował się.

— Dowodził nimi chyba Ponder. To on był najbardziej wkurzony, kiedy robota zaczęła się pieprzyć.

— Jak się z nimi rozstałeś? Kiedy po raz ostatni widziałeś swoich kumpli? — zapytał Boxers.

Jimmy ponownie wziął głęboki wdech.

— Wyrzuciłem ich przy jakimś magazynie w Kinsale — odparł. — Magazyn miał taką głupią nazwę, gdzie zamiast słowa „you” była litera U. Zabrali dzieciaki i nawet się za mną nie obejrżeli.

— Dlaczego przy magazynie?

— Pewnie trzymali tam jakieś rzeczy — powiedział Jimmy i zaraz dodał: — Nie jestem dość cwany. A oni, przysięgam na Boga, nie zdradzili mi swoich planów.

— Co widziałeś?

— Staralem się widzieć jak najmniej. Mówię wam, ci goście byli naprawdę straszni. Wiecie, jak to jest, jak na człowieka napadną, to nie chce patrzeć prosto w oczy facetowi z bronią w rękę, żeby go nie zastrzelił. Tak było z tymi gośćmi.

Jonathan nigdy nie miał podobnego odczucia, ale raz czy dwa sam wywołał takie uczucie u innych.

— Powiedz w takim razie, co widziałeś, kiedy starałeś się nic nie widzieć.

Tym razem wahanie Jimmy'ego trwało długo — jakieś dwadzieścia sekund. Taki rodzaj wewnętrznej dysputy zapowiadał coś ważnego.

— Najpierw obiecacie, że mnie nie zabijecie — zaczął się targować Jimmy.

Jonathan rzucił spojrzenie Boxersowi. To było przesłuchanie, a nie runda negocjacji. Reguły zabraniały zawierania jakichkolwiek układów z celem. Aby utrzymać pozycję przywódczą, cel musiał cały czas czuć się bezsilny.

Tym razem Jonathan postanowił zaufać swojemu instynktowi.

— Nie jestem mordercą — wyjaśnił. — Nie uрониłbym łzy, gdybyś wpadł pod ciężarówkę, ale póki jesteś gotów współpracować, nie zamierzam cię zabijać.

Kolejna przerwa.

— Mieli tam helikopter — wyznał w końcu. — Nie był bardzo duży. Śmigła, czy jak to się tam nazywa, miał złożone z tyłu, ale widziałem jego przód.

Jonathan poczuł ucisk w żołądku.

— Więc wywieźli dzieci śmigłowcem.

— Tak sędzę — Jimmy znów uderzył w płaczący ton. — Kiedy go zobaczyłem, wiedziałem od razu, że wdepnąłem w niezłe gówno. Boże święty, helikopter. Kim oni są? Kogo na to stać? Spieprzałem stamtąd jak najszybciej.

Myśli Jonathana krążyły wokół śmigłowca. Jimmy zadał właściwe pytania. Kto dysponował takim sprzętem?

— Dokąd spieprzyłaś? — zapytał.

Jimmy roześmiał się z przymusem.

— Do więzienia — odparł. — Miałem porzucić furgonetkę na parkingu przed McDonaldem w Motross, gdzie miał na mnie czekać ford mustang, ale zatrzymała mnie po drodze policja. — Westchnął. — Chyba miałem zbyt ciężką nogę.

Jonathan nie podzielił się z nim informacją, że jego furgonetka została zauważona przez świadka. Gdyby nie jakiś cierpiący na bezsenność człowiek, zatrzymanie skończyłoby się dla Jimmy'ego mandatem za nadmierną prędkość.

Wyczerpał mu się zasób pytań. Spojrzał na Boxersa, który wzruszył ramionami. On też nie miał więcej pytań.

## Rozdział 9

Granville George starał się ukryć rozbawienie na widok ekip FBI i policji stanu Wirginia, które próbowały dociec, co się stało. Ten, kto zaplanował całe to zamieszanie, mógł być z siebie dumny — nawet jeżeli Granville'a kosztowało to dodatkowe godziny spędzone na służbie.

Szeryf Charles Willow poderwał tyłek z łóżka, żeby uczestniczyć w śledztwie, i sądząc z jego wyglądu — rozczochranych włosów i siwej szczeciny na policzkach — wybiegł z domu, nie spojrzawszy w lustro.

W tej chwili szeryf skupiał całą uwagę na tym, żeby być jak najbardziej użyteczny. Policjanci i agenci FBI jak jeden mąż uznali, że jako nadzorca więzienia jest raczej obiektem śledztwa niż jego uczestnikiem. I chociaż, w sensie dosłownym, miał w ręku wszystkie klucze, to na razie siedział w recepcji, gdzie atrakcyjna sierżant Lindsey Wilson z policji stanowej po raz trzeci wysłuchiwała relacji Granville'a.

— Nie ma w FBI żadnego agenta specjalnego Leona Harrisa — odpowiedziała na przekazaną właśnie przez szeryfa informację.

— Nie jestem głuchy — powiedział Granville. — Nie jestem też specjalnie tępy. Mniej więcej w chwili, gdy ten człowiek powalał na ziemię mojego kolegę, zacząłem podejrzewać, że to oszust. Ile razy mam to powtarzać?

Szeryf Willow skorzystał z okazji, żeby się wtrącić.

— Radzę uważać na ton, jakim pan mówi.

Granville zignorował jego uwagę.

Podobnie sierżant Wilson.

— Przeszanę zadawać pytania, kiedy pan wyjaśni, dlaczego wpuścił oszusta do strefy chronionej.

— Ponieważ był oszustem z oryginalną odznaką FBI — wyjaśnił po raz kolejny Granville.

— Niemożliwe. — To był agent specjalny William Meyer z FBI, którego rola była dla Granville'a niejasna, jeśli nie liczyć faktu, że Jimmy'emu Henry postawiono zarzuty federalne. — Musiała być sfalszowana.

— W takim razie to było świetne fałszerstwo.

— Może dla niewprawnego oka — skomentował Meyer. Wilson mu przyznała rację. Wyglądało na to, że rząd federalny i stan Wirginia wspólnie uznali, że Granville miał zaćmienie umysłu.

— Spotkaliście się wcześniej? — Granville wskazał sierżant i agenta.

— Nie — odpowiedziała sierżant Wilson. I sądząc z tonu jej głosu, była z tego powodu zadowolona.

— To skąd pani wie, że on jest agentem FBI?

Meyer nadął się z oburzenia.

— Ma odznakę, tak? — Granville odpowiedział za nią. — Więc nie grzebie mu pani w życiorysie i nie zdejmuje odcisków palców? Wystarczy odpowiednie zachowanie, odznaka i broń, prawda? Tak samo było ze mną.

Sierżant Wilson uśmiechnęła się. Agent Meyer nie.

— Idźmy dalej — powiedziała.

— Nie — odparł Granville. Starał się panować nad głosem, ale przychodziło mu to z coraz większą trudnością. — Zostańmy tu, gdzie jesteśmy, dopóki wszyscy nie przyjmą do wiadomości faktu, że nie jestem idiotą. A może nawet wszyscy zgodzimy się co do tego, że jestem nie tylko ofiarą, ale wręcz główną ofiarą tego, co tu się stało.

Szeryf Willow postąpił krok naprzód.

— Proszę sobie darować, szeryfie. Wiem, że cała ta sytuacja jest dla departamentu kłopotliwa. Ja chyba najlepiej zdaję sobie z tego sprawę.

— Zaczyna pan przyjmować pozycję obronną. — Meyer przewrócił oczami i machnął lekceważąco ręką.



Granville zerwał się na równe nogi, przewracając przy okazji krzesło.

— Obroną? A może wreszcie zaczniemy rozmawiać o tym, co tu się dziś w nocy naprawdę wydarzyło?

— Próbujemy to robić od pierwszej chwili — rzekła sierżant Wilson.

— Gówno prawda. Próbujecie wszyscy bezpiecznie się okopać, tyle że w waszym schronie nie ma dla mnie miejsca. — Poczuję, jak czerwienieją mu policzki, i wiedział już, że oddalają się jego marzenia o wyrwaniu się zza biurka. — To, co naprawdę się tu zdarzyło, było bardzo starannie zaplanowaną i błyskotliwie przeprowadzoną ucieczką z więzienia.

— Wolałbym nie słyszeć w pańskim głosie takiego zachwytu — zwrócił mu uwagę Willow.

Granville rzucił mu gniewne spojrzenie.

— Na miłość boską, szeryfie, proszę wreszcie przejrzeć na oczy. „Zachwyty” to nie jest właściwe słowo, ale dość bliskie. To był plan doskonały. — Zwrócił się teraz do agenta Meyera. — A dlaczego pan wątpi w to, że zespół, który zdołał włamać się do naszego systemu zabezpieczeń i zatrzeć za sobą wszelkie ślady, nie potrafił podrobić kawałka blachy w cennej odznace FBI oraz kilku świstków papieru?

Przerwał. Zadał pytanie, tymczasem jedyną odpowiedzią agenta Meyera były zaczerwienione uszy. Granville przeniósł swoją uwagę na szefa.

— Kiedy będzie się pan zastanawiał, co powiedzieć swoim współpracownikom, może pan im wspomnieć, że dzięki mnie i innym kompetentnym funkcjonariuszom, których pan zatrudnił, nie doszło do masowej ucieczki więźniów.

Szeryf Willow już zamierzał wybuchnąć gniewem, ale kiedy dotarł do niego sens słów, uspokoił się.

Granville, zbliżając się do sedna, ściszył głos.

— W tym, co widziałem dzisiaj w nocy, było sporo heroizmu. Jeden z funkcjonariuszy został obezwładniony i ciężko pobity, a cała reszta z narażeniem życia przywracała porządek.

Zwrócił się teraz do Meyera.

— Podejrzewam, że wasz więzień ma jakichś bardzo ważnych

przyjaciół, którzy nie chcieli, żeby pozostawał w więzieniu. Pomoc, jaką otrzymał, nie była tania.

— Ale przecież on jest nikim — powiedziała sierżant Wilson.  
— Jimmy Henry to drobny oszust, który zaliczył dwie czy trzy wpadki. Trudno go podejrzewać o powiązania z kimś ważnym.

Granville poczuł, że zyskał sobie uznanie. Policjantka mówiła wprost do niego.

— Został oskarżony o udział w tej wczorajszej strzelaninie w szkole, zgadza się? — zapytał. Znał odpowiedź, więc mówił dalej:  
— Może to była forma samosądu. Uwolnili go z więzienia, żeby potem powiesić.

— Na miłość boską, George — warknął szeryf Willow.

Granville nie zamierzał spierać się z szefem, który właśnie patrzył na schyłek swojej kariery.

— Czy w słowach lub zachowaniu tego Leona było coś, co pozwoliłoby panu przypuszczać, że może chodzić o samosąd? — zapytała sierżant Wilson.

Granville wzruszył ramionami.

— Nie. Ale nie było też w jego słowach czy zachowaniu nic, co kazałoby mi wątpić, że jest agentem FBI.

— Zupełnie jak z powieści Zane'a Graya — powiedział Meyer, mając na myśli znanego pisarza szmirowatych westernów.

— Wiecie chyba, co to za szkoła? — ciągnął Granville. — Rodzice uczniów siedzą w więzieniu. To idealne środowisko, w którym może pojawić się samosąd w wydaniu Zane'a Graya.

— Warto się temu przyjrzeć — zgodziła się Wilson. — Zaczniemy od rodziców tych dwóch porwanych...

Przerwał jej chrząknięciem policjant, który był zbyt stary, żeby nie mieć na pagonach kilku pasków. W wyciągniętej dłoni trzymał telefon komórkowy.

— Przepraszam, pani sierżant, dzwoni gajowy. Najpierw pytał o szeryfa Willowa, ale kiedy mu powiedziałem, że to pani prowadzi dochodzenie, stwierdził, że chce rozmawiać z wami obojgiem.

— Gajowy? — zdziwiła się Wilson. Spojrzała na Willowa. — Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym przełączyła na głośnomówiący?

Szeryf wzruszył ramionami. Wcisnęła guzik w telefonie.

— Mówi sierżant Wilson z policji stanu Wirginia — odezwała się. — Jest przy mnie szeryf Willow. W czym możemy pomóc?

Dochodzące z głośnika dźwięki w tle świadczyły o tym, że gajowy znajduje się poza pomieszczeniem.

— Witam — odpowiedział czyjś młody głos. — Tu Paul Johnson ze służby leśnej parku narodowego. Jestem przy muzeum Jerzego Waszyngtona nad Popes Creek.

W recepcji wszyscy jednocześnie wzruszyli ramionami.

— Okay — powiedziała Wilson.

— Chyba mam tu coś, co należy do was. — Słysząc było w jego głosie, że się uśmiecha. — A właściwie kogoś. Mówi, że nazywa się Jimmy Henry. Czy to wam coś mówi?

Poranna zmiana pracowników muzeum Jerzego Waszyngtona była wstrząśnięta, kiedy znalazła mężczyznę w kajdanach przykutego do obelisku stojącego przy wejściu do parku. Według raportu, jaki został sporządzony przez służbę leśną parku narodowego, młody mężczyzna spał na ziemi. Kiedy robotnicy dostrzegli łańcuchy, kajdany i pomarańczowy kombinezon, powiązali to z usłyszanymi przez radio wiadomościami, zadzwonili do przełożonego, nie zbliżając się nawet do uciekiniera.

Kiedy Jimmy Henry przyjechał, Granville George czekał na niego w więzieniu. Nie uzgodnił z szefem pracy w godzinach nadliczbowych, ale nie dbał o to. Jeśli nawet miał kilka godzin przepracować za darmo, było warto. Najważniejsze, żeby zatriumfowała sprawiedliwość.

Do przewiezienia Jimmy'ego Henry'ego wysłano z hrabstwa Middlesex do hrabstwa Westmoreland specjalny samochód. Granville chciał go przywitać w więzieniu, by dać mu do zrozumienia, że trzeba ponosić konsekwencje swoich czynów i że Jimmy dokonał niewłaściwego wyboru.

Reguły postępowania w takich sytuacjach były jasne. Jimmy Henry był traktowany jak nowo przybyły więzień. Jego rzeczy osobiste — nie miał takich — powinny zostać spisane. Następnie trafił do sali przyjęć, gdzie został rozebrany do naga i dokładnie przeszukiwany. Ta część procesu przyjęcia więźnia nie sprawiała Granville'owi specjalnej przyjemności, ale dawno temu już przestał męską nagość

traktować wstydliwie. Raz zdarzyło się, że ktoś dosłownie wepchnął sobie do tyłka broń, dlatego dokładne przeszukanie było tak ważne.

Był przygotowany na widok jakichś śladów upokorzenia, ale nie na krwiaki. Lewa noga Jimmy'ego była dosłownie purpurowa. Czarny pas na skórze świadczył o silnym uderzeniu. Kiedy wezwano do więzienia lekarza — miejscowego doktora, który dorabiał sobie do pensji — ten znalazł jeszcze zasinienia w okolicy krtani, nie licząc otarć i zadrapań spowodowanych przez łańcuchy.

— Kto ci to zrobił? — zapytał lekarz.

— Nie mam panu nic do powiedzenia — odparł Jimmy.

— W twoim interesie jest opowiedzieć o ludziach, którzy cię torturowali — wtrącił agent Meyer. Sierżant Wilson też była w po-koju, ale nie odzywała się. Jeśli Granville się nie mylił, była zakłopotana nagością więźnia.

— A kto mówi o torturach? — zapytał Jimmy. — Upadłem, to wszystko.

— To musiał być niezły upadek — zauważył Granville.

Ale więzień postanowił milczeć.

— Znam swoje prawa — powiedział. — Nie muszę niczego mówić bez adwokata.

— Kto cię stąd wyciągnął? — zapytał szeryf Willow.

Sierżant Wilson położyła rękę na jego ramieniu.

— Poprosił o adwokata — zwróciła mu uwagę. — Koniec zadawania pytań.

Granville stał obok, kiedy Jimmy wkładał nowy pomarańczowy kombinezon, a potem zaprowadził więźnia do jego celi.

Kiedy szli głównym korytarzem, Granville zawołał do pozostałych więźniów.

— Spójrzcie, panowie. Możecie próbować, ale nigdy nie uda wam się uciec. — W szybach drzwi pojawiły się twarze. — Jimmy Henry wrócił do nas po zaledwie pięciu godzinach spędzonych na wolności. Wywołał całe to zamieszanie i co wam wszystkim z tego przyszło? Czterdzieści osiem godzin w całkowitym zamknięciu. Jak zaczniecie świrować w celach, nie miejcie o to pretensji do mnie ani do pozostałych strażników. Pamiętajcie, że to Jimmy nabroił.

Jimmy rzucił mu wystraszone spojrzenie, ale Granville nie przejął się tym. Taka informacja mogła oznaczać dla więźnia ciężkie

pobicie przez kolegów, tyle że Jimmy powinien pomyśleć o tym wcześniej.

— Jesteś porywaczem — powiedział Granville, kiedy dotarli do drzwi celi — i kimś, przez kogo więźniowie stracili wiele przywilejów. Na twoim miejscu bardzo bym uważał. — Jimmy wybałuszył oczy, kiedy ta prosta prawda do niego dotarła. — Zastanowiłbym się nad jakąś współpracą.

Przez twarz chłopaka przebiegł jakiś cień, ale zniknął równie szybko, jak się pojawił. Może to strach? A może ponure pogodzenie się z losem?

— Coś panu powiem, George. Na pańskim miejscu już dawno strzeliłbym sobie w łeb. A teraz niech mnie pan zostawi w spokoju.

Postawa więźnia rozwścieczyła Granville'a. Nie był przygotowany na okazany mu brak szacunku. Bez słowa otworzył drzwi celi i wpuścił Jimmy'ego do środka.

Zamykając drzwi, zerknął w lewo, i zobaczył jak inny więzień, Antoine Johnson, wychyla się z szerokim uśmiechem na twarzy.

— Czego tu szukasz? — warknął Granville.

Antoine zachichotał cicho.

— Cieszę się, że jestem mądrzejszy od niego — odpowiedział.

Evan Guinn wiedział, że się porusza.

Niczego nie widział ani nie słyszał, a głowa bolała go tak, jakby ktoś walnął w nią młotkiem, ale wiedział, że nie leży bez ruchu. Miał wrażenie, że płynie. A może kręci się w kółko. Nie było to przyjemne uczucie, jakby był Harrym Potterem i latał na miotle. Czuł mdłości, takie same jak rankiem, kiedy Powell Andersen potraktował grupkę chłopców z Resurrection House bimbrem przyniesionym przez wujka Eda. Evan podejrzewał, że ojciec Dom domyślał się czegoś, choć o nic nie pytał.

Płynąc, Evan miał jednocześnie wrażenie, że został do czegoś zakotwiczony. Nie czuł żadnych sznurów ani łańcuchów, ale kiedy próbował się poruszyć, miał wrażenie, jakby jego ręce i nogi ważyły po sto funtów każda.

Chciał biec. Ale po co?

Mężczyźni w ciemności. Mężczyźni o silnych rękach, z taśmą. Dziwnie cuchnąca szmata na jego twarzy.

Został porwany. Porwany. Czy to możliwe?

Kto chciałby go porwać?

Im dłużej o tym myślał, tym większy czuł zamęt w głowie. Chciał się poruszyć, biec, ale jego ciało było sparaliżowane.

Prócz powiek. Pokonując olbrzymią ociężałość, jaka owładnęła każdą część ciała, zdołał unieść powieki. Najpierw lewą, następnie prawą. Trudno mu było skupić wzrok, ale w końcu się udało.

Leżał na plecach i patrzył na niski sufit, z którego wystawały jakieś gałki i inne dziwne rzeczy. Te rzeczy rzucały ostry cień, z którego wynioskował, że światło pada z boku, a nie z góry, jak przypuszczał wcześniej. Obrócił głowę w prawo — ostrożnie, powoli, starając się nie wprawić w ruch młota, który znajdował się pod jego czaszką i od czasu do czasu w nią uderzał — i ujrział owalne okno, a za nim niebo. Okno było niewielkie, zbyt małe, by się przez nie precyzyjnie.

Znajdował się w samolocie. Nigdy wcześniej nie leciał, ale widział wnętrza samolotów w filmach. Na myśl o tym, że leci, po raz pierwszy po przebudzeniu poczuł strach. Porwanie porwaniu nierówne, pomyślał. Jeśli zabierają cię dokądś samolotem, to możesz przecież zniknąć na zawsze, czyż nie?

Obróciwszy głowę w lewo, potwierdził tylko swoje podejrzenia. To na pewno był samolot.

— Budzi się — powiedział jakiś głos i Evan wystraszył się, jakby zrobił coś złego. Gdyby udało mu się uruchomić własne struny głosowe, toby przeprosił.

— Nie na długo — odparł inny głos.

Cienie uniosły się i w zasięgu wzroku Evana pojawił się mężczyzna.

— Musisz mieć cholernie wydolną wątrobę, synku — powiedział. Dochodził od niego wyraźny zapach czosnku.

Evan nie był zdolny zrobić cokolwiek — mówić, krzyczeć czy choćby przewrócić się na bok, patrzył więc tylko, jak mężczyzna unosi plastikową strzykawkę i nakłada igłę.

Przebiegło mu jeszcze przelotnie przez myśl, że drugi koniec strzykawki musi być wbity w jego ramię, ale po chwili odplynął w niebyt.

# Rozdział 10

Trzasnęła gałązka.

Jakby pod jakimś ciężarem. Harvey wiedział, że zbliża się ktoś, kto chce go zabić.

Zdrzemnął się na turystycznym krzeselku, pozostawiając śpiwór i materac Jeremy'emu. Nie planował głęboko zasypiać. Nie planował w ogóle spać. Do diabła, nie planował niczego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Teraz to już nie miało znaczenia; był rozbudzony, wstał nowy dzień, złociste słońce wisiało na wschodzie nisko nad horyzontem. Nie poruszając się, otworzył oczy i omiół wzrokiem okolicę. Poranek nie przyniósł niczego nowego.

Kolejne trzaśnięcie. I szelest.

Z mrocznej głębi namiotu dał się słyszeć szept Jeremy'ego:

— Harvey?

Słowa były ledwie słyszalne, ale w uszach Harveya zabrzmiały jak krzyk.

— Ciiii... — szepnął. — Słyszę.

W trójkątym otworze pojawiła się twarz chłopca.

— Kto to?

— Może tylko jeleń — odpowiedział z nadzieją.

— Ale ja słyszałem samochód — odparł Jeremy.

Harvey poczuł ucisk w żołądku. Przecież sam nie wierzył, że to może być jeleń.

Jeremy wysunął się jeszcze trochę z namiotu.

— Czy to oni?

Weź się w garść — powiedział do siebie Harvey. Nie mógł sobie pozwolić na utratę panowania nad sobą.

— Harvey?

— Pssst... — tym razem uciszył go bardziej stanowczo. Przede wszystkim musieli zachować ciszę. I pozostać niewidoczni. Nie zaszkodziłaby też podróż w czasie i zmiana decyzji o wmieszanu się w tę paskudną historię.

— Harvey? Boję się.

Której części słowa „pssst” ten dzieciak nie rozumiał?

Jeremy gramolił się z namiotu. Podszedł do Harveya, przykucnął obok krzesła i przywarł do ramienia mężczyzny.

Spodziewa się, że go obronię — pomyślał Harvey w nowym ataku paniki. To było głupie posunięcie. W życiu Harveya Rodrigueza było miejsce tylko dla jednej ważnej dla niego osoby. Dla Harveya Rodrigueza. Jeśli temu obcemu, Jeremy'emu, choć przez chwilę przemknęła przez głowę myśl, że Harvey dla jakichś szczytnych celów zaryzykuje swój święty spokój, to się mylił.

Odgłosy stały się wyraźniejsze. Minutę później słyhać już było głosy. Kilka chwil później Harvey potrafił już rozróżnić padające słowa.

— ...żadnego sensu.

— A czy kiedykolwiek taka robota miała sens?

— I ja mam za to płacić? To nie w porządku.

Oba głosy należały do mężczyzn i nie brzmiały ani staro, ani młodo. Potwierdziło się to kilka chwil później, kiedy Harvey zobaczył ich na własne oczy. Znajdowali się o trzydzieści jardów od nich, ubrani w dżinsy i T-shirty. Torowali sobie drogę w wysokiej trawie, zmierzając w kierunku miejsca, gdzie znalazł nieprzytomnego chłopca.

Jeremy mocniej ścisnął ramię Harveya.

— To naprawdę oni, prawda? — pisnął.

— Nie ruszaj się — polecił Harvey. Wschodzące słońce świeciło teraz przybyszom prosto w oczy, jeśli więc nie będą się ruszać, istniała szansa, że pozostaną niezauważeni. Mężczyźni szli, nie podejrzewając żadnego niebezpieczeństwa, co oznaczało, że nie będą się zbyt wnikliwie przyglądać otoczeniu. W ludzkiej naturze leży traktowanie pierwszego wrażenia jako czegoś normalnego — dzięki



temu można być niewidocznym nawet tam, gdzie trudno o kryjówkę. Ale tysiące lat ewolucji nie zdołały dziś pozbawić człowieka instynktownej reakcji na jakikolwiek ruch.

Obaj mężczyźni mieli atletyczną posturę, szczególnie ten, który znajdował się bliżej Harveya. Jego T-shirt był co najmniej o dwa rozmiary za mały, materiał ciasno opinał bicepsy. Pod pachą niósł złożony szary worek na zwłoki.

— Połóż się na ziemi — szepnął Harvey. — Powoli, bardzo powoli. — Mówiąc te słowa, uwolnił ramię z uścisku chłopca i przycisnął go do ziemi. Jeremy nie opierał się.

Położył się płasko na brzuchu z rękami złożonymi pod klatką piersiową.

Sam Harvey zsunął się na brzeg krzeselka i oparł łopatkami o składane oparcie. W rezultacie leżał teraz płasko z twarzą ku niebu i nie spuszczał z oczu niespodziewanych gości.

— Gdzie on jest? — zapytał Mięśniak.

— Wiem tyle co ty — odparł drugi. Wyglądał na równie potężnie zbudowanego, tylko miał na sobie większy T-shirt. I nosił dłuższe włosy — po bokach, nie na czubku głowy. — Gdzieś tu musi być.

— Takie gadanie nie wystarczy. Jerry powiedział, żeby pójść na koniec parkingu, a potem w kierunku wody. Tak powiedział, i tak zrobiliśmy. Pokaż mi teraz martwego dzieciaka.

Leżąc na ziemi, Harvey nadal widział nad falującymi źdźbłami trawy czubki głów mężczyzn.

— Musi tu gdzieś być.

— Może ktoś go przeniósł? — zastanawiał się Mięśniak.

— Wykluczone. Gdyby ktoś go znalazł, roiłoby się tutaj od glin. Słyszałyś o tym w wiadomościach. I tak wszyscy już dostali świra na punkcie tego, co się stało w szkole. Wyobrażasz sobie, co by się działo, gdyby znaleziono trupa jednego ze smarkaczy?

Mięśniak przyznał mu rację skinieniem głowy.

— No dobrze, ale jak trup mógł wstać i pójść sobie?

Kontynuowali w milczeniu poszukiwania. Kiedy słońce powędrowało wyżej, szczegóły wyglądu mężczyzn stały się lepiej widoczne. Przez głowę Harveya przemknęła przerażająca myśl, że ci

dwaj są gliniarzami. Wyglądali na gliniarzy, zachowywali się i postępowali jak wojskowi. Harveyowi jeszcze szybciej zaczęło bić serce. Gliniarze próbujący zabić dzieciaka, a pomiędzy nimi on. Jednym słowem — miał przesrane.

— Billy! — zawołał Długowłoso. — Spójrz na to. — Według wyliczeń Harveya mężczyzna stał dokładnie w miejscu, gdzie znalazł Jeremy'ego. — Trawa jest zgnieciona.

Harvey usiłował sobie bezskutecznie przypomnieć, co zostawił tam na miejscu. Był wtedy zbyt skoncentrowany na dzieciaku.

Billy podszedł do swojego kompana.

— Rzeczywiście zgnieciona. A gdzie trup?

— Jezu, nie wiem. Może zwierzyna go gdzieś zaciągnęła?

— A gdzie krew?

Harveyowi po raz pierwszy przyszło do głowy, żeby rzucić się do ucieczki w stronę lasu. Tamtym chodziło o dzieciaka, więc gdyby on uciekł...

...to ruszyliby za nim w pogoń, a potem go zabili. Kogo on próbował oszukać?

— Zaczynam wątpić, czy dzieciak był martwy — odezwał się Długowłoso.

Nastąpiła długa przerwa.

— Nie wystarczy tak myśleć.

— Zastanów się. To wszystko tłumaczy.

Billy był zupełnie zdezorientowany.

— Mówiłeś, że był ranny i zgubił się.

— Być może. A może... — Uniósł wzrok wprost w kierunku obozowiska Harveya. — Co to, kurwa, jest?

Jednocześnie wyszarpnęli spod swoich T-shirtów broń i wymierzili ją w Harveya.

— Hej, ty tam! — wrzasnął Długowłoso. — Nie ruszaj się.

— Cholera! — jęknął Billy. — Kto to jest?

Liczba pojedyncza — pomyślał Harvey. Widzą tylko mnie.

— Wstań! — rozkazał Długowłoso. — I zrób to powoli, jeśli nie chcesz umrzeć.

Harvey poderwał głowę. Umieranie nie było na jego liście dzisiejszych rzeczy do zrobienia.

— Harvey... — jęknął Jeremy.

Zignorował chłopca. Podnosząc się, przycisnął ręką głowę chłopca do ziemi, jakby wspierał się na kamieniu. Najważniejsze, że go nie widzieli. Jeśli go zobaczą, zaczną strzelać. A kiedy zabiją chłopaka, po co mieliby zostawiać Harveya przy życiu? Jeremy powinien zniknąć, a skoro było to niemożliwe, to przynajmniej powinien się nie pokazywać.

— Cześć — powiedział Harvey najspokojniej jak mógł.

Spojrzał na broń w rękach mężczyzn i poznał standardowe wojskowe beretty kalibru 9 milimetrów. Policja nie używała takiej broni, a przynajmniej nie tutaj, w hrabstwie Westmoreland.

— Dlaczego nas podsłuchujesz? — zapytał Billy.

Harvey uznał, że Billy jest bardziej rozgorączkowany i to jego trzeba pierwszego zagadać.

— Trudno nie słyszeć, jak ktoś gada pod gołym niebem — powiedział. — Tak tu cicho. — Mówiąc to, zrobił kilka kroków do przodu, mając nadzieję, że skoro nie widzieli chłopca, nie powiążą go z nim. Skręcił nieco na lewo, żeby ich linia wzroku nie była zbieżna z położeniem Jeremy'ego.

— Dlaczego się tu ukrywasz? — zapytał Billy.

Harvey zmusił się do chichotu. Miał nadzieję, że zabrzmiał on bardziej szczerze, niż mu się wydawało.

— Przecież wiecie, co mówiliście — zażartował. — Sami byście się nie schowali, słysząc takie słowa?

Billy uniósł pistolet i skierował go w pierś Harveya. Harvey znał ten rodzaj spojrzenia. Już było po nim.

Ale drugi mężczyzna złapał Billy'ego za nadgarstek i pociągnął jego rękę w dół, mówiąc:

— Nie. Jeszcze nie teraz.

— Musimy...

— Jeszcze nie — powtórzył jego partner.

— Sean...

— Powiedziałem „nie”.

A więc ten drugi miał na imię Sean. Zawsze to miło wiedzieć, jak mają na imię faceci, którzy zamierzają cię zastrzelić. Harveyowi serce waliło jak młot, ale, o dziwo, głowa pracowała z nadzwyczajną jasnością.

— Tak, tak, Billy. On powiedział „nie” — odezwał się Harvey.

— Jezu, on zna nasze imiona — warknął Billy.

Harvey sądził, że lekka beztroska rozładuje napięcie. Mylił się.

Sean puścił nadgarstek kolegi i pozwolił, by Bill ponownie wycełował broń.

— Najwyższy czas, żebyś się wytłumaczył — powiedział.

Harvey cały czas, cal po calu, przesuwiał się w lewo, odwracając ich uwagę od obozowiska. Teraz się zatrzymał.

— Nie jestem dla was groźny — powiedział. — Jest tak, jak mówiliście wcześniej. Gdybym szukał towarzystwa policji, już byłoby ich tu pełno. Widzicie jakiegoś gliniarza?

Billy i Sean wymienili zaskoczone spojrzenia. Harvey wykorzystał chwilę ciszy, żeby wymyślić historyjkę, dzięki której zyska nieco na czasie.

— Byłem tu przedwczoraj wieczorem — zaczął. — Widziałem, jak przyciągnęli i zastrzelili tu tego chłopaka. Potem usłyszałem śmigłowiec. Bałem się jak cholera. Gdybym chciał kogoś powiadomić, zrobiłbym to wtedy, zgadza się?

Zdawało mu się, że słyszy, jak mózg Seana trawi jego rewelacje. Wiedział, jakie pytanie musi teraz nieuchronnie paść, postanowił więc ciągnąć opowieść.

— Prawdę mówiąc, spóźniliście się o jakieś trzy godziny.

Jego słowa podziały na mężczyzn jak siarczasty policzek. Kiedy doszli do siebie i ponownie wymienili spojrzenia, Harvey dostrzegł za ich plecami, nieco na prawo, jakiś ruch. To byli dwaj mężczyźni, jeden wielki, drugi średniego wzrostu. Starał się nie patrzeć wprost na nich, ale kątem oka zauważył, że są uzbrojeni i mierzą do tych, którzy chcieli jego zabić.

— Przyszło tu dwóch facetów i zabrało trupa — ciągnął, dziękując Bogu, że pojawienie się nowych aktorów na planie dodało mu inwencji. — Jeden był wielki jak szafa, a drugi taki normalny.

— Kłamie — podsumował Billy. — Można to wyczytać z jego gęby.

Sean wpatrywał się chwilę w Harveya, a potem skinął głową.

— Chyba masz rację. — I rzucił do Harveya: — Kiepski z ciebie pokerzysta.

Harvey nie wytrzymał i spojrzał wprost na nowych przybyszów, milcząco błagając o pomoc.

Nadeszła w tej samej chwili.

— Rzućcie broń! — krzyknął jeden z nich. Reszta rozegrała się w ciągu kilku sekund, ale Harvey był zbyt zajęty szukaniem kryjówek, by cokolwiek zobaczyć.

Boxers prowadził Batmobila, Jonathan siedział obok. Boxers ochrzcił tym mianem hummera H2, dlatego że samochód był ciężko opancerzony i naszpikowany elektroniką. Jonathan wreszcie pozbył się maski Leona Harrisa i zmienił garnitur, który mógłby go powiązać z ucieczką z więzienia. Ubranie i wynajęty samochód zostawił na farmie, pewny, że to co trzeba zostanie zniszczone, a co trzeba — zwrócone do wypożyczalni. W drodze powrotnej z muzeum Jerzego Waszyngtona obaj z Boxersem nie żalowali sobie wzajemnych pochwał za błyskotliwy plan przekazania Henry'ego z powrotem do więzienia.

Ich następnym przystankiem był samoobsługowy magazyn U-Lockit w Kinsale. Biorąc pod uwagę wczesną godzinę, trudno było przewidzieć, co tam znajdują, ale doświadczenie podpowiadało Jonathanowi, że wstrzymywanie tego, co nieuchronne, rzadko się na dłuższą metę opłacało. Poza tym minęło już dwadzieścia osiem godzin od napadu na szkołę.

— Wiesz co? — odezwał się Boxers, kiedy od magazynów dzieliła ich już tylko mila. — Pakujesz się w kłopoty, konkurując z FBI.

— Niech sobie prowadzą swoje dochodzenie — odparł Jonathan. — Oni nie pochwalają naszych metod.

— Nie uważasz, że za bardzo cię ta sprawa dotyczy, żebyś z nimi zadzierał?

Jonathan zerknął na olbrzyma z zaciekawieniem. Boxers nieczęsto się wycofywał.

— Oni nie mogą wykorzystać tego, co im podsuniemy — wyjaśnił. — Owoc z zatrutego drzewa i tym podobne... — Za jedną z wielkich słabości amerykańskiego systemu prawnego Jonathan uważał fakt, że nawet w wyjątkowo poważnych sprawach taką samą wagę przywiązywano do dowodów, jak do sposobu ich zdobycia.

— Poza tym — ciągnął Jonathan — kiedy wrócimy do Cove, damy kilka wskazówek Dougowi. — Doug Kramer był szefem

policji w Fisherman's Cove i przyjacielem z dzieciństwa Jonathana. Czy to przez przypadek, czy dzięki wnikliwemu śledztwu, Doug powiązał dość faktów, żeby z grubsza wiedzieć, czym zajmuje się Jonathan i jego firma Security Solutions. Chwilę później Boxers wskazał na coś przez przednią szybę.

— Co my tutaj mamy?

Na parkingu przed pustym biurem U-Lockit stał niepozorny chrysler sedan. Rząd budynków magazynowych zaczynał się dalej.

Jonathan spojrział na zegarek. Była piąta czterdzieści pięć.

— Podjedź spokojnie — polecił zaniepokojony. Nie wierzył w zbiegi okoliczności, dlatego uznał, że samochód musi należeć do kogoś stojącego po złej stronie.

Boxers podjechał na luzie do połowy podjazdu, zatrzymał się i wyłączył silnik.

— Co zamierzasz zrobić?

— Załatwimy to delikatnie. Broń w kaburze, ale odbezpieczona.

— Jonathan otworzył drzwi i wysiadł.

Boxers podszedł do przedniego zderzaka.

— Kogo się tam spodziewasz?

Dobre pytanie. Sądząc z opowieści Jimmy'ego Henry'ego, mógł to być jeden z bandziorów, który wracał na miejsce przestępstwa.

— Wolę być przygotowany na najgorsze — odpowiedział.

Podeszli do chryslera i Jonathan zauważył, że silnik jeszcze dobrze nie ostygł.

— Wygląda na to, że niedawno przyjechali — powiedział Boxers, odczytując myśli szefa.

Jonathan nasłuchiwał z przekrzywioną głową. Coś tu się nie zgadzało.

— Kto zostawia samochód na parkingu przed biurem o tej porze? Jeśli chce coś zabrać z magazynu, powinien pod niego podjechać. Ludzie z tego chryslera nie przyjechali po żadne rzeczy z magazynu. Chodzi im o coś innego.

— Na przykład o co?

To już było pytanie za milion dolarów. Jonathan wskazał ruchem podbródka, żeby Boxers szedł za nim w kierunku lasu zaczynającego się za parkingiem. Kiedy podeszli do zarośniętego trawą skrawka ziemi na brzegu lasu, wskazał na ziemię.

— Spójrz — powiedział.

Niedawno musieli tędy przejść jacyś ludzie. Jonathan i Boxers wyciągnęli broń i zagłębili się w las.

Jonathan usłyszał jakieś głosy. Wilgotne poranne powietrze niosło dźwięki daleko. Słyszał szmer męskich głosów, ale towarzyszące jego pracy odgłosy wystrzałów i wybuchów uszkodziły mu słuch na tyle, że nie potrafił rozróżnić pojedynczych słów.

Trzy minuty później natrafili na coś, co wyglądało jak pospolity rozbój. Dwóch facetów w schludnych T-shirtach napadło na tyczkowanego latynoskiego hipisa, który rozbił swoje obozowisko nad wodą. Wygląd tego miejsca wskazywał, że facet mieszkał tu już od dłuższego czasu. Mowa ciała całej trójki wskazywała, że Jonathan pojawił się w ostatniej chwili.

Poruszając się z wyuczoną przez lata współpracą jednogłębnością, Jonathan i Boxers rozdzielili się, dzięki czemu stanowili trudniejszy cel, i wyciągnęli broń. Zbliżywszy się na odległość dwudziestu jardów, Jonathan nawiązał kontakt wzrokowy z brodatą ofiarą napaści. Jego zainteresowanie wzbudził spokój, z jakim ten człowiek szerokim kręgiem oddalał się od obozowiska. Dla Jonathana stało się jasne, że ma tam coś cennego do ukrycia.

Z tej odległości ich słowa brzmiały wyraźnie. Hipis terkotał jak karabin maszynowy — coś o tym, że tamci dwaj spóźnili się o trzy godziny.

Jonathan poczuł na sobie spojrzenie Boxersa i odwzajemnił je z lekkim skinieniem głowy. Najwyższy czas podjąć interwencję.

— Rzućcie broń! — krzyknął.

Hipis, który najwyraźniej oczekiwał takiej konfrontacji, błyskawicznie padł na ziemię.

Mężczyźni w T-shirtach obrócili się z bronią gotową do strzału i morderczym spojrzeniem. Nie było czasu na negocjacje.

Jonathan i Boxers wystrzelili jednocześnie i obaj mężczyźni padli martwi. Każdy z nich dostał po trzy kulki — dwie w serce i jedną w środek czoła.

Choć oba cele zostały zneutralizowane, to ani Jonathan, ani Boxers nie opuścili broni.

— Jeśli cię nie zastrzeliłem, to lepiej wstań i pokaż mi swoje ręce.

Nikt się nie poruszył. Boxers wzruszył ramionami.

— To ostatnia szansa! — krzyknął Jonathan. — Jeśli to ja cię znajdę, pożałujesz tego.

Mówiąc te słowa, trzymał broń wycelowaną w miejsce, gdzie zniknął hipis. Jakież było jego zaskoczenie, gdy mężczyzna powoli podniósł się z ziemi dziesięć jardów na prawo.

Wyglądał starzej niż wcześniej. Był też bardziej mizerny i brudny. Stał wyprostowany i wyciągnął długie ręce bardziej przed siebie niż w górę, rozcapierzając przy tym palce. Sprawiał wrażenie śmiertelnie wystraszonego.

— Świetnie — pochwalił go Jonathan. — Bardzo rozsądnie.

Wyczuł jakiś ruch w pobliżu obozowiska w tej samej chwili, w której Boxers zawołał:

— Na lewo!

Ponieważ Jonathan był na lewym skrzydle, cel należał do niego. Momentalnie się obrócił.

To było dziecko. Wyraz trwogi na twarzy chłopca w niczym nie ustępował uczuciu przerażenia Jonathana, kiedy skierował wylot lufy swojej czterdziestkiątki w ziemię. Broń w dalszym ciągu była odbezpieczona i gotowa do strzału, ale przypadkowe pociągnięcie za spust nie mogło już nikomu zrobić krzywdy.

— Nie pozwól temu tam zbliżyć się choćby o cal — powiedział Jonathan, wskazując na hipisa. Ruszył w stronę chłopca, a po przejściu dwóch kroków rozpoznał go. — Jeremy? — To zdawało się zbyt piękne, by było prawdziwe.

Strach na twarzy chłopca ustąpił miejsca zaskoczeniu. W końcu poznał mężczyznę.

— Pan Jonathan — szepnął.

Jonathan schował odbezpieczony pistolet do kabury i ruszył w stronę chłopca. Zatrzymał się jednak, gdy dziecko się cofnęło o krok.

— Nic ci nie jest? — zapytał Jonathan. Rzucił pogardliwe spojrzenie stojącemu z uniesionymi wciąż rękami hipisowi. Zrobił jeszcze kilka kroków i przystanął. — Bardzo się o ciebie martwiliśmy. — Powstrzymał się przed pytaniem o drugiego zaginionego chłopca, Evana Guinna. Może po prostu nie chciał wiedzieć. Może chciał nacieszyć się sukcesem, zanim usłyszy złą wiadomość.



Jeremy się nie poruszał. Przekrzywił tylko lekko głowę, jakby biedził się nad poskładaniem elementów zbyt trudnej układanki.

Jonathan przypomniał sobie akta zaginionych dzieci, stąd wiedział, że Jeremy Schuler ma trzynaście lat — skończył siódmą klasę i za trzy lata może dostać prawo jazdy — ale w tym momencie reagował, jakby miał dziesięć, może nawet tylko osiem lat. Albo sześć. Z młodego mężczyzny przeistoczył się w małego chłopczyka.

Nagle rzucił się w stronę Jonathana, objął go ramionami, mocno uściskał i zaczął rozpaczliwie szlochać. Jonathan nie był przygotowany na taki rozwój wypadków. Ten wybuch emocji go onieśmielił. Poklepał Jeremy'ego po plecach, objął go i przytulił.

W pracy Jonathana nigdy nic dobrego nie wynikało, kiedy mieszało się sprawy serca i rozumu. Jego świat polegał na podejmowaniu szybkich decyzji dotyczących życia i śmierci. A to oznaczało unikanie uścisków uratowanych ofiar i budowanie emocjonalnego muru oddzielającego go od ludzi, którym pomógł.

Jeremy Schuler drżał i szlochał, a gorące łzy wsiąkały w materiał koszuli Jonathana, który czuł, że w gruzy sypie się jego mur obrony. Kilkanaście stóp dalej Boxers przeszukiwał hipisa.

To było zwycięstwo, uznał Jonathan. Ponieważ wciąż brakowało jednego chłopca, była to tylko połowa sukcesu, ale i tak warta świętowania. Wśród tysiąca pytań, na które nie znał odpowiedzi, Jonathan Grave wiedział z całkowitą pewnością jedno — ten, kto skrzywdził to dziecko, ten, kto być może wciąż krzywdził Evana Guinna, zapłaci za to wyjątkowo wysoką cenę.

# Rozdział 11

Brandy Giddings usiadła wygodnie w tapicerowanym fotelu w holu, udając, że nie zwraca uwagi na spojrzenia agentów Secret Service o srogich twarzach, stojących w narożnikach przedpokoju. Zachwycał ją sposób, w jaki sprawiali wrażenie jednocześnie śmiertelnie groźnych i zupełnie obojętnych. Ciekawa była, czy uczą ich tego spojrzenia na akademii.

A czy oni w ogóle mają jakąś akademię? Gdzieś musieli zdobywać swoje umiejętności, ale nigdy nie słyszała o takim miejscu. Akademia FBI — owszem, wszyscy wiedzieli, że znajduje się w Quantico w Wirginii i to właśnie ją skończyła Clarice Starling (bohaterka grana przez Jodie Foster w *Milczeniu owiec*), ale akademia Secret Service? Nigdy o takiej nie słyszała.

Nawet teraz, półtora roku od chwili, gdy rozpoczęła swoją wymarzoną pracę — półtora roku po tym, jak w Białym Domu pojawił się nowy gospodarz — od czasu do czasu musiała się uszczypnąć, żeby uwierzyć, że to prawda.

Zwiedziła cały świat, spotkała się z premierem Wielkiej Brytanii i papieżem w Rzymie, premierem Chin i prezydentem Rosji, ale nic nie dawało tak silnego poczucia władzy, jak siedzenie tu, w zachodnim skrzydle Białego Domu. Zupełny brak pretensjonalności — niski sufit i nadgryzione zębem czasu gzymsy — dodawał temu miejscu majestatu.

Brandy piastowała stanowisko asystentki specjalnej sekretarza obrony, choć wiedziała, co ludzie sobie myślą. Słuchała programów radiowych z udziałem słuchaczy i wiedziała, że Denise Carpenter — „Waszyngtońska suka” — ochrzciła ją mianem Lalunia Defcon. Ale

to były tylko obrzydliwe słowa królowej konserwatystów z obrzydliwego miasta. Harry Truman powiedział kiedyś: „Jeśli chcesz mieć w Waszyngtonie przyjaciela, kup sobie psa”.

Brandy Giddings nie przejmowała się tym, co mówią ludzie. Jej szef, Jacques Leger, był pierwszym sekretarzem obrony, który przedkładał pokój nad wojnę, wołał włączanie niż wykluczanie. A Brandy brała w tym udział. Aż trudno w to uwierzyć.

W wieku dwudziestu ośmiu lat wyglądała na dziesięć lat młodszą i miała wspaniałe ciało. Ale to, co byłoby błogosławieństwem w Hollywood, tu, na Wschodnim Wybrzeżu, stawało się przekleństwem. W Waszyngtonie królowały sandały i niewidoczny makijaż.

Do diabła z nimi. Atrakcyjny wygląd najpierw pomógł Brandy znaleźć się w ekipie przyszłego senatora Legera, a potem przenieść się do skrzydła E w Pentagonie, którego wyposażenie biurowe przyparowało urzędników Białego Domu o rumieniec wstydu. I choć nic nie mogło przebić wspaniałości Gabinetu Owalnego, to apartamenty jej szefa znane były na całym świecie jako najwspanialsze w rządzie federalnym.

Brandy zajmowała się tylko Wielkimi Sprawami. Stawiała na baczność czterogwiazdkowych generałów i urzędników z czterdzieści-letnim stażem, doprowadzając ich tym do szału. Jako prawa ręka Legera od spraw niekoniecznie związanych z obroną narodową, rzadko czekała dłużej niż dziesięć minut aż do niej oddzwoni. Za oficjalną zgodą szefa podróżowała po świecie najlepszymi samolotami wojskowymi, których mogli jej pozazdrościć prezesi największych korporacji.

Paplanina w radiowych talk-show mało ją obchodziła. Żadne z wypowiedzianych tam słów nie mogło zmienić tego, co osiągnęła. Kiedy zostaną napisane podręczniki historii, znajdzie się w nich jej ślad, choćby z powodu zwycięstw, jakie odniósł człowiek, któremu służyła.

Nie miała żadnego romansu z sekretarzem Legerem. Gdyby jej coś takiego zaproponował, sytuacja pewnie uległaby zmianie, szczególnie w czasach, gdy był senatorem, a tak ich wzajemne oddanie opierało się na zaufaniu i ciężkiej pracy. W miarę upływu czasu zrozumiała, że tak jest lepiej.

Teraz, siedząc w wąskim korytarzu przed Gabinetem Ovalnym i czekając na przełożenie terminu narady gabinetowej, bezmyślnie przeglądała w swoim blackberry maile i opracowywała strategię przekazania sekretarzowi złych wiadomości. Ich wysiłki zapanowania nad wynikami pewnego ważnego przedsięwzięcia spełzyły na niczym i teraz jej zadaniem było przekazać to szefowi, nie doprowadzając go jednocześnie do ostateczności. Ta szczególna sprawa miała swe korzenie w zamierchłej przeszłości, gdy Leger rozpoczął karierę.

Kiedy okazało się, że jej elektroniczna smycz nie zawiera żadnych nowych i lepszych wiadomości, wrzuciła telefon do torebki i ponownie spojrzała na zegarek. Szósta trzydzieści. Nie minęło jeszcze osiem godzin od chwili, gdy skończył się jej poprzedni, siedemnastogodzinny dzień pracy. W pracy dającej tak dużo korzyści godziny nie miały znaczenia.

Prezydent zawsze chwalił się tym, że jest rannym ptaszkiem, ale od czasu gdy trzy miesiące temu wspomniał o tym „New York Times”, przerodziło się to u niego w manię. Jasne, kiedy ma się do dyspozycji w domu służbę i lubi się wcześniej wstawać, czemu nie zwoływać zebrań na szóstą rano? Przecież nikt nie ośmielił się zaprotestować.

Brandy westchnęła i zdjęła nogę z nogi, tym razem odwzajemniając spojrzenie agenta. Gdyby nie życzyła sobie męskich spojrzeń, już dawno uległaby słabości do frytek. Gdyby nie chciała, żeby ślinili się na widok jej piersi, przestałaby nosić push-upy. To oczywiste, że ceną jej patriotycznej gorliwości była jawność życia erotycznego, dlatego więc miała nie zachęcać agentów Secret Service do ukradkowych spojrzeń? Istnieli z pewnością gorsi partnerzy w łóżku niż umięśnieni mężczyźni czekający na okazję, by poświęcić swoje życie dla innych.

Poza tym, jak to się mówi: „wielkie ręce, wielkie stopy, wielki... pistolet”.

Drzwi gabinetu otworzyły się i jej niedoszły kochanek stanął na baczność. Brandy także wstała. Kiedy zaczęli defilować przed nią przedstawiciele niższej rangi na prezydenckim dworze — sekretarze do spraw rolnictwa i spraw wewnętrznych weszli pierwsi — Brandy mogłaby być równie dobrze niewidzialna. Zawsze zdumiewała ją

wystudiowana obojętność na ich twarzach. Przez ponad dwieście lat istnienia państwa nikt na tych stanowiskach nie zapisał się w historii niczym szczególnym. Choćby taki do spraw transportu, handlu czy — Boże miej nas w swojej opiece — zdrowia. Z szacunku dla samych siebie udawali, że jej nie dostrzegają. Było jej ich nawet żal. Niełatwo u szczytu kariery żyć ze świadomością, że za chwilę odepdzie się w zapomnienie.

— Rozchmurz się — rzucił sekretarz Leger, wpadając do holu. — Nie przejmuj się, że jest wcześniej. Pomyśl, że to mocny początek dnia.

— Próbuję, sir — odpowiedziała z wymuszonym uśmiechem. Starła się dotrzymać mu kroku.

Leger spojrział na nią z ukosa.

— Powiedziałaś do mnie „sir”? Mam złe przeczucia.

Idąc w kierunku drzwi prowadzących na podjazd i do oczekujących limuzyn, Brandy utrzymywała odpowiednią odległość — trzech stóp — za szefem, na wypadek gdyby znalazł się tu jakiś fotoreporter. Druga zasada władzy w Waszyngtonie głosiła, że nie należy znajdować się na zdjęciu robionemu szefowi.

Wszyscy sekretarze dopadli swoich pojazdów z szoferami — ta dodatkowa korzyść była im należna z racji pełnionych funkcji. Tylko sekretarz stanu i obrony mieli dodatkową ochronę. Zgoda, niewielką — kierowca i ochroniarz, plus dodatkowy samochód z tyłu — ale wystarczającą, by dodać stanowisku aury tajemniczości. Ochroniarzem był trzydziestokilkuletni major w cywilnym ubraniu. Kiedy Leger podszedł do tylnych drzwi samochodu, major otworzył je, a następnie zamknął, kiedy tylko sekretarz się usadowił. Z drugiej strony samochodu Brandy musiała poradzić sobie sama. Kilka tygodni temu, w trakcie rozmowy, którą Brandy mylnie zinterpretowała jako flirt, major — o nazwisku Binder — dał jej jasno do zrozumienia, że jego obowiązki ochroniarza nie rozciągają się na jej osobę. A właściwie podkreślił, że pracownicy tacy jak ona są traktowani przez ochroniarzy niczym dodatkowa żywa tarcza utrudniająca potencjalnemu zabójcy oddanie celnego strzału.

W trakcie jazdy Leger wcisnął się w swój kąć fotela i założył nogę na nogę.

— A teraz przekaz mi złe wiadomości — powiedział.

Brandy opadła szczęka. Leger roześmiał się.

— Nie udawaj zaskoczonej. Potrafię cię rozgryźć lepiej niż własną żonę. Miałaś dla mnie złe wieści jeszcze przed naradą.

Brandy potrafiła zachować twarz pokerzysty, ale kiedy tylko chciała, stawała się przezroczysta jak szkło. Łatwiej przekazać złe wieści, kiedy ktoś o nie pyta.

— Nasza operacja specjalna napotkała przeszkodę — powiedziała w końcu.

Na tę wieść uszy Legera zaczerwieniły się, a prawe oko zaczęło lekko zezować. Najwyraźniej nie takiej złej wiadomości oczekiwał.

— Okazuje się, że ekipa nie dopełniła protokołu. Właśnie się dowiedzieliśmy, że jeden z celów został zabity na terytorium Stanów Zjednoczonych.

Teraz zadrżała szczęka Legera.

— Masz na myśli dozorcę? On nie żyje?

Brandy potrząsnęła głową.

— Nie. Mam na myśli jeden z celów.

Leger zamknął oczy i trzema palcami masował sobie czoło.

— Który?

— Bravo — odparła. Choć limuzyna była szczelna i codziennie sprawdzana pod kątem podsłuchu, oboje woleli w rozmowie o takich sprawach używać zawołanych określeń. Co innego, gdyby planowali inwazję, ale ten rodzaj biznesu wymagał zachowania największej tajemnicy.

— Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz? — zapytał z zaciśniętymi zębami.

— Miałam nadzieję, że zdołamy kontrolować szkody.

Spojrzał na nią, jakby była szalona.

— Kontrolować szkody? Na miłość boską, przecież on nie żyje.

Tej części rozmowy obawiała się najbardziej. Jej strategia polegała na tym, żeby wyłożyć kawę na ławę i czekać, aż minie burza, więc powiedziała:

— Wystaliśmy ludzi, którzy zabiorą ciało.

W jego spojrzeniu dała się zauważyć jakaś zmiana. Przez chwilę zdawało się jej, że Leger może ją uderzyć.

— Zabiorą ciało? Skąd zabiorą?

Brandy starała się starannie dobierać słowa.

— Z powodu strzelaniny nasza ekipa trochę spanikowała. Wiedzieli, że za chwilę pojawi się policja, więc zaczęli uciekać.

Pilot śmigłowca powiedział im, że nie zabierze takiego ciężaru, więc zaprowadzili Bravo do lasu i zastrzelili.

Oczy Legera z przerażenia stały się wielkie jak spodki.

— Jezu...

— Dowiedziałam się o tym, kiedy o trzeciej nad ranem zadzwonił do mnie Viper — ciągnęła Brandy. — Przysięgał, że nie było innego wyjścia. Powiedział, gdzie porzucili ciało, więc wysłałam tam ludzi, żeby zrobili porządek.

— Viper zadzwonił dziś o trzeciej rano? — Leger skrzywił się. — Dwadzieścia cztery godziny po całym zdarzeniu?

— Tak, sir. Najwidoczniej były jakieś problemy z łącznością.

Sekretarz Leger spojrzał na nią, jakby nie rozumiał jej słów. Potem podniósł wzrok i spojrzał na osłonę z logo Departamentu Obrony, oddzielającą ich od kierowcy i ochroniarza. Był przygaszony.

— Zapewniam, że wszystko jest pod kontrolą, sir — powiedziała Brandy. — Zdawaliśmy sobie sprawę, że to ryzykowne, ale koniec końców...

— Wiesz co, Brandy? — Odwrócił głowę i spojrzał na nią wzrokiem, w którym widać było zmęczenie.

— Tak, sir?

— Zamknij się na chwilę, dobrze?

## Rozdział 12

— Nic nie zrobiłem temu dzieciakowi — powtarzał hipis. Jonathan zauważył lekki hiszpański akcent. — Uratowałem mu życie. — Szli w kierunku Batmobila. Harvey cały czas trzymał ręce w górze, choć Jonathan powtarzał, że ma je opuścić. Wyszli spomiędzy drzew, znaleźli się na otwartej przestrzeni i widok obscurnego mężczyzny z uniesionymi rękami mógłby przyciągnąć czyjaś uwagę.

Dla Jonathana najważniejsze było teraz zabranie Jeremy'ego jak najdalej od zwłok. Biedny dzieciak dość już przeszedł; należało mu oszczędzić widoku rozbryźniętych mózgow. Na miejscu został Boxers, który przetrząsał kieszenie mężczyzn i gromadził informacje.

Jeremy przywarł do boku Jonathana. Kolejne zbyt dziecinne zachowanie chłopca. Jonathan powinien go jak najszybciej przekazać ojcu Domowi, który zajmie się jego psychiką.

— Powiedz mu, Jeremy — naciskał Harvey. — Nie zostawiaj mnie w takiej sytuacji. Powiedz mu, że uratowałem ci życie.

Jeremy nie odzywał się do nikogo. Patrzył wprost przed siebie.

— Niech pan posłucha, przysięgam na Boga... — ciągnął Harvey.

— Wierzę ci — przerwał mu Jonathan. Znajdowali się w odległości dziesięciu jardów od hummera, kiedy zatrzymał pochód.

Na twarzy Harveya malowała się nieufność.



— Słowo — odezwał się Jonathan. — Widziałem, jak chronisz chłopca, jak odciągasz ich uwagę od obozowiska, i wiem, że to nie ty go nie porwałeś. Więc teraz uspokój się, dobrze?

Strach minął. I ustąpił miejsca złości.

— Uspokój się! — wybuchnął Harvey. — Jak mam się, do diabła, uspokoić, kiedy w moim obozowisku leżą dwa trupy? I, z całym szacunkiem, jak mam się uspokoić, kiedy rozmawiam z facetem, który tamtych dwóch sprzątnął?

Jonathan obrzucił nerwowym spojrzeniem Jeremy'ego. Nie podobała mu się ta wymiana zdań w obecności dziecka. A potem zdał sobie sprawę, że dzinn i tak już się wydostał z lampy.

— Wiesz, kim oni mogli być? — zapytał łagodnym tonem w nadziei, że Harvey go podchwyci.

— Wiem tylko, że to byli mordercy! — odparł Harvey. — Przyszli tu zabrać jego ciało. — Wyciągniętym palcem wskazał Jeremy'ego zagubionego gdzieś we własnym świetle. — Tylko że chłopak nie jest martwy, ponieważ uratowałem mu życie. Otumanili go prochami — wiem, bo miał zwężone źrenice — i zamierzali zastrzelić, jednak chybili. — Wyrzucał z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego i żywo gestykulował. — Przysięgam na cały stos Biblii, że chciałem tylko jego dobra. Nie dotykałem go w nieodpowiedni sposób ani nie zrobiłem nic złego.

Jonathanowi wydało się to dziwne. Dlaczego zaprzeczał oskarżeniom, które nigdy nie padły?

— Gdzie przeszedłeś szkolenie medyczne? — zapytał. Pytanie było zasadne, ale specjalnie zadał je dopiero teraz, żeby hipis się uspokoił.

— A skąd wiesz, że przeszedłem szkolenie medyczne?

— Powiedziałeś, że Jeremy miał zwężone źrenice, więc był pod wpływem narkotyków. To specjalistyczna wiedza, a zwrot „zwężone źrenice” — fachowy.

— Dawniej służyłem w wojsku — odparł. — Byłem sanitariuszem. Dobrym sanitariuszem. Brałem udział w dwóch wojnach Bushów.

— W jakim korpusie? — Jonathan zaczął ich znów prowadzić w stronę hummera.

— Piechoty morskiej. — Harvey przez chwilę wrogo spoglądał na Jonathana, a potem potrząsnął głową. — Nie warto wspominać złych czasów. A tak à propos, kim ty jesteś?

Sposób, w jaki zadał to pytanie — szczerze niedowierzanie w głosie — rozbawił Jonathana.

— To dość skomplikowane — odpowiedział ze śmiechem.

— Pracujesz dla rządu?

— Nie. — Zapomniał dodać „przynajmniej nie teraz”. — Powiedzmy, że jestem przyjacielem.

— Czyim przyjacielem?

Dotarli do Batmobila.

— Jeremy'ego, oczywiście — odparł Jonathan. — I twoim, jeśli się zgodzisz.

— Na co mam się zgodzić?

— Po prostu odpowiadaj na pytania. Nie ty jeden uratowałeś dziś komuś życie, prawda? — Na wypadek gdyby pamięć hipisa zawodziła, wskazał ruchem głowy las i leżące tam dwa trupy. Zauważył, że Boxers właśnie wychodzi spomiędzy drzew i idzie w ich kierunku.

— Wyglądasz na kogoś z rządu — zauważył Harvey.

— Prawdę mówiąc, mówią mi, że wyglądam jak starzejący się skaut.

Harvey nareszcie zdobył się na uśmiech.

— Tak, to też. Ale wydaje mi się, że ci faceci, których zastrzeliliście, też pracowali dla rządu. Poznałem to po ich zachowaniu. I po krótko ściętych włosach.

I po samochodzie, jakim tu przyjechali — pomyślał Jonathan.

— Powiedz przynajmniej jak się nazywasz — powiedział Harvey. — Jak mam się do ciebie zwracać?

Zawahał się. Żył w świecie pseudonimów i fałszywych tożsamości, nie lubił występować pod własnym imieniem, a szczególnie na własnym terenie. Niemniej Jeremy wiedział, kim jest Jonathan, i wkrótce mógł się tego dowiedzieć Harvey, toteż dalsze utrzymywanie tego w tajemnicy nie miało sensu.

— Mam na imię Jonathan — powiedział, kiedy Boxers był już w zasięgu jego głosu. — Przyjaciele zwracają się do mnie Digger.

Harvey przez chwilę zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

— No, dobrze, Jonathanie — odezwał się, mrużąc oczy — co tu się właściwie dzieje?

Jonathan odblokował alarm hummera i otworzył przednie i tylne drzwi od strony pasażera.

— Wyjąłeś mi to z ust, Harvey. Zamierzałem zadać to pytanie pierwszy. — Zerknął ponad głowę Harveya na Boxersa. — Zabrałeś wszystko?

Olbrzym skinął głową. Znaczyło to, że zebrał z ziemi łuski, a ciała pozbawił wszelkich śladów umożliwiających ich identyfikację.

— Świetnie — pochwalił go Jonathan. Wsunął do samochodu głowę, sięgnął do deski rozdzielczej i ze schowka wyjął czarne pudełko wielkości paczki papierosów. Obracając głowę w stronę Harveya, powiedział: — Chcę zobaczyć twoje dłonie.

Harvey wsunął je do kieszeni.

— Po co?

Jonathan otworzył pudełko i wyjął z niego coś płaskiego, co przypominało iPoda, choć nim nie było.

— Zdejmę ci odciski palców. Chcę się po prostu upewnić, że nie jesteś groźniejszy, niż na to wyglądasz.

— Pieprz się.

Nad Harveyem wyrosła zwałista postać Boxersa.

— Uważaj na słowa, przyjacielu — warknął. — Nie należy się tak wyrażać przy dziecku.

Kiedy Boxers chciał kogoś zastraszyć, nawet najwięksi twardziele kulili się ze strachu. A Harvey Rodriguez na pewno nie był twardzielem. Wyciągnął przed siebie drżącą dłoń.

— Dziękuję — powiedział Jonathan. Chwycił palec wskazujący hipisa i przycisnął go do niewielkiego ekranu, a następnie powtórzył tę czynność z kciukiem. Upewniwszy się, że odciski są czytelne, wcisnął guzik WYŚLIJ. Za kilka minut Venice będzie mogła rozpocząć proces dopasowywania odcisków do człowieka.

— To nie było straszne, prawda? — powiedział Jonathan. — A teraz siadaj z tyłu. Jeremy usiądzie obok Boxersa z przodu.

Słyszając swoje normalne przezwisko, Olbrzym rzucił Jonathanowi gniewne spojrzenie. Jonathan zignorował je.

— Dlaczego? — zaproponował Harvey.

— Bo cię o to proszę?

— Dokąd mam jechać?

— Tam gdzie zawiezie cię Boxers — przerwał i uśmiechnął się.

— Jesteś bezpieczny, Harvey. Nic ci już nie grozi.

— A co z moimi rzeczami?

— Nic im się nie stanie — zapewnił go Jonathan.

— Tam jest cały mój dobytek.

Jonathan przekrzywił głowę i czekał, aż Harvey zrozumie bezsensowność własnych słów.

— Myślisz, że po tych dwóch nie pojawią się następni? — zapytał. — Kiedy ci dwaj nie pojawią się tam, gdzie powinni się pojawić, to nie uważasz, że przyjedzie ich tu więcej? Chyba nie miałbyś ochoty być tutaj, gdy się zjawią?

W oczach Harveya pojawił się błysk zrozumienia.

— Tamci pomyśleliby, że ja to zrobiłem — tłumaczył sobie. — Czy znajdą ich kumple, czy jakiś przypadkowy spacerowicz, pomyślał, że to ja ich załatwiłem.

— Nikt tak nie pomyśli — zapewnił go Jonathan.

— Oczywiście, że tak.

Jonathan gestem położył uspokajająco dłoń na ramieniu Harveya. Hipis się wzdrygnął.

— Zaufaj mi, Harvey. Potrafię się tym zająć.

Nagłe oświecenie. Harvey zrozumiał.

— A teraz wsiądź, proszę, do samochodu. I zachowuj się w środku przyzwoicie.

Harvey zawahał się i w końcu wsiadł.

— A ty siadaj na przednim fotelu — zwrócił się łagodnie do Jeremy'ego.

Chłopiec mocniej zacisnął dłoń na ramieniu Jonathana.

— Jeremy... — odezwał się Jonathan.

Chłopiec cały czas patrzył wprost przed siebie.

— Nic mu nie jest? — zapytał Boxers.

— Teraz już nic — odparł Jonathan. — Jeremy, spójrz na mnie, proszę.

Chłopiec uniósł głowę.

— Masz prawo źle się czuć w takiej chwili. Dużo przeszedłeś, ale teraz jesteś już bezpieczny. Mój wielki przyjaciel, pan Boxers, odwiezie cię do Fisherman's Cove. Wrócisz do ojca Doma. Lubisz ojca Doma, prawda?

Jeremy ledwo widocznie skinął głową.

— Nic ci się już nie może stać, rozumiesz? Ostatnie dni były straszne, ale teraz jesteś zupełnie bezpieczny. Chcę, żebyś wsiadł do samochodu.

— A ty jedziesz z nami? — zapytał Jeremy ochryplym głosem.

Jonathan ucieszył się, że chłopiec zaczął wreszcie mówić.

— Dojadę do was za godzinę lub dwie. Muszę się jeszcze czymś zająć.

— Czym?

Jonathan wymienił spojrzenia z Boxersem.

— Czymś, co ciebie nie dotyczy. A teraz bądź grzecznym chłopcem i wskakuj do wozu. Boxers będzie prowadził ostrożnie.

Potrzebne były jeszcze dwie minuty negocjacji, nim Jeremy usiadł i przypiął się pasami bezpieczeństwa, a Jonathan zatrzasnął drzwi.

— Na pewno nie chcesz, żebym to ja się tym zajął? — zapytał Boxers, kiedy znaleźli się z dala od ciekawskich uszu. — Możemy się zamienić.

Jonathan wolałby wskoczyć w ogień, niż dłużej mieć do czynienia z gniewem i żalem Jeremy'ego.

— Nie, tak będzie dobrze — odparł. — Zawieź ich prosto do domu. Zadzwoń wcześniej do Doma i zobacz, czy może na was czekać.

— A co z twoim włóczęgą?

— Znajdź mu jakiś pokój. Niech się czuje jak u siebie w domu, póki nie postanowimy, co z nim począć.

Boxers wręczył mu klucze, które wyjął z kieszeni jednego z martwych napastników.

— Daj znać w razie kłopotów — powiedział i usiadł za kierownicą.

Przed załadowaniem ciał do bagażnika chryslera Jonathan rozebrał się do bokserek. Czuł się trochę dziwnie, ale gdyby w ciągu najbliższych dziesięciu minut ktoś się napatoczył, to zakłopotanie byłoby jego najmniejszym problemem.

Jedną z największych niespodzianego tego dnia, i tak obfitującego w niespodzianki, był fakt, że bandyci — których odciski wystął Venice do identyfikacji — już wcześniej wyłożyli dno bagażnika plastikową folią. Czyż to nie ironia losu?

Dopiero po chwili dotarło do niego, jaką podłość planowali, i ironiczny uśmiech ustąpił miejsca złości. Zadaniem tych dupków było

ukrycie w bagażniku zwłok dzieciaka. Jednego z dzieci z Resurrection House, a więc w pewnym sensie jednego z dzieci Jonathana. Jak oni śmieli? Piekło wzbogaciło się dzisiaj o dwóch nowych mieszkańców, a Jonathan podejrzewał, że nawet szatan odczuwał pogardę dla dzieciobójców.

Podjechał chryslerem do ciał jak najbliżej, dzięki czemu spacer z nieboszczykiem na plecach był krótki. Obaj martwi bandyci byli dobrze zbudowani. Muskulatura sprawiała, że byli zbyt ciężcy jak na swój wzrost, ale dzięki brakowi tłuszczu nie wyslizgiwali się, kiedy pakował ich do bagażnika. Poczuł perwersyjną przyjemność, gdy przypadkowo ich głowy uderzyły o siebie nawzajem.

Upchnąwszy ciała, Jonathan zamknął pokrywę bagażnika i przyjrzał się sobie. Dłonie, klatkę piersiową i ramiona miał pobrudzone krwią. Skorupa zaschniętej krwi pokrywała jego paznokcie. Mógł sobie tylko wyobrazić, jak wyglądała jego twarz. Powędrował do namiotu hipisa, przejrzał jego rzeczy i znalazł kostkę mydła. Z mydłem w jednej ręce i pistoletem w drugiej, częściowo owinięty skradzionym ręcznikiem, przedzierał się przez wysoką trawę w stronę rzeki.

Kąpiel zajęła mu tylko kilka minut. Trochę się obawiał, że zostanie przyłapany w tak kompromitującym momencie, ale przede wszystkim martwiły go liczne mikroby żyjące w wodach Potomacu.

Czysty, suchy i przebrany usiadł za kierownicą chryslera i włączył bieg. Po przejechaniu kilku mil od miejsca zbrodni sięgnął do kieszeni po telefon komórkowy i wcisnął przycisk komendy głosowej.

— Dzwon do Nilesa Deckera — powiedział.

Mężczyzna odebrał po trzecim dzwonku. Jonathan przekazał mu, czego potrzebuje. Decker westchnął.

— Spotkamy się w biurze — odpowiedział. — Zajedź od tyłu.

— Będę za trzydzieści minut — powiedział Jonathan i rozłączył się.

Na miejsce dojechał pięć minut wcześniej.

Rodzina Deckera zajmowała się interesem pogrzebowym od pokoleń. Udało jej się stworzyć jedną z najlepiej rozpoznawalnych marek w północnej części Wirginii. Rozległy gmach firmy na

przedmieściach Montross był architektoniczną ikoną. Wysokie, pękate kolumny od frontu przypominały północny portyk Białego Domu. Przestronne pomieszczenia wewnątrz opływały w luksusy — bogatemu umeblowaniu towarzyszyły piękne obicia ścian i zdobne żyrandole. Dla członków społeczności farmerów i rybaków była to jedyna szansa, by znaleźć się w takim otoczeniu jak z bajki. Szkoda, że dopiero po śmierci.

Jonathan i Niles Decker chodzili razem do szkoły, od podstawówki aż po liceum. Choć nie trzymali się razem, łączyły ich interesy ich ojców. Oficjalnie Simon Gravenow — ojciec Jonathana — dorobił się fortuny na recyklingu odpadów. Jonathan był właścicielem tej firmy, a ona przynosiła dochody wystarczające do utrzymania rodziny na wysokim poziomie. Kilka lat temu Jonathan przekazał bezpośrednią kontrolę nad firmą Leonardowi Kingowi, ograniczając się do okazjonalnego uczestniczenia w zebraniach zarządu.

W wolnym czasie Simon Gravenow był złodziejem i mordercą, główną postacią w czymś, co prasa gładko określiła mianem Dixie Mafia. Przekupując polityków, sprawiał, że handel narkotykami rozkwitał. Ten, kto stanął mu na drodze, był bezwzględnie usuwany. Obecnie Simon był na garnuszku Wuja Sama w jednym z najpilniej strzeżonych więzień, gdzie zgodnie z wyrokiem sądu miał spędzić resztę życia.

Jonathan postawił sobie za cel trzymać się z dala od postępków ojca i wiedzieć na ich temat jak najmniej. Ojciec był z tego niezadowolony, a kiedy Jonathan skończył osiemnaście lat i zmienił nazwisko z Gravenow na Grave, kontakt między nimi praktycznie się urwał.

Niemniej niektóre z poczynań ojca przynosiły teraz korzyść Jonathanowi. Dzięki nim miał kontakt z rodziną Deckerów.

Dom pogrzebowy Deckera znajdował się na szczycie wzgórza. Ponieważ obrzydliwa część interesu pogrzebowego kręciła się w podziemiach, rozkopali wzgórze, budując w jego wnętrzu niewielką rampę, do której mogły podjeżdżać karawany — w tym wypadku chrysler sedan — i pozbywać się swojego ładunku. Tuż obok rampy znajdowały się pomieszczenia, gdzie wnętrzości i krew zastępowane były środkami konserwującymi.

Jonathan zawrócił na podjeździe i wjechał tyłem do tunelu, gdzie czekał na niego Niles Decker. Już w szkole średniej Decker był

modnisiem. Teraz, kiedy prowadzenie interesu wymagało od niego pewnej formalności, nigdy nie widziano go bez drogiego garnituru. Dzisiaj miał na sobie granatowy, do tego nieskazitelnie białą koszulę i krawat w ekstrawaganckie wzory. Swoją niską i kręłą sylwetką nie przypominał typowego przedsiębiorcy pogrzebowego, choć kilkukoleniowe doświadczenie w obcowaniu ze śmiercią wyprało go zupełnie z poczucia humoru.

— Witaj, Niles! — zawołał Jonathan, wysiadając z samochodu. Drzwi już się zamykały.

— Dzień dobry, Jon. — Przydomek Digger przylgnął do Jonathanu w wojsku i choć stosowała go większość ludzi, których znał, to Nilesowi nie pozwalało na to dobre wychowanie. Stał obok, kiedy Jonathan otworzył bagażnik i pokazał mu swój ładunek.

— Dobry pomysł z tą plastikową folią na dnie — zauważył Niles. — Byłeś dobrze przygotowany.

Jonathanowi nie chciało się tłumaczyć, że to nie on przygotował samochód do transportu zwłok. Przedsiębiorcy pogrzebowego nie powinno to obchodzić i pewnie nie obchodziło.

— Ośmielę się zapytać, cóż takiego uczynili ci dwaj dżentelmeni, że zasłużyli sobie na taki los?

— Próbowali mnie zastrzelić — wyznał Jonathan.

— Kiedy ci ludzie się nauczą? — Niles rozpiął marynarkę i powiesił ją na wieszaku obok drzwi prowadzących do środka. Z szafy wyjął dwa gumowane fartuchy z długimi rękawami. Jeden z nich wręczył Jonathanowi.

— Zechcesz mi pomóc w przeniesieniu zwłok?

Jonathan wziął fartuch i założył go przez głowę.

— Oczywiście — odpowiedział, wsuwając ręce w rękawy.

Następnie Niles otworzył szafkę zawierającą całą stertę worków na zwłoki. Wyjął dwa i rozłożył je na betonowej posadzce. Na koniec wyjął dwie pary gumowych rękawic, takich, jakich używa się do mycia naczyń w bardzo gorącej wodzie.

— Znamy ich nazwiska? — zapytał Niles, kiedy dźwignęli ciało, którego roztrzaskaną głowę pokrywały blond włosy.

— Jeszcze nie — odparł Jonathan. — Nie sądziłem, że to będzie miało dla ciebie znaczenie.

Niles obrzucił go pełnym dezaprobaty spojrzeniem.



— Są tacy, którzy przejmują się tym, co czasem muszą zrobić.

Jonathan podtrzymał głowę i ramiona trupa, i kiedy całe dzieliły je od podłogi, nieoczekiwanie puścił. Ciało runęło na posadzkę.

— Pod warunkiem że rzeczywiście się przejmujesz, Niles. To ważne. Na pewno nie przejmujesz się tak bardzo, żeby przestać to robić.

Niles znalazł zamek suwaka i zamknął torbę.

— Gdybym mógł, tobym przestał.

Jonathan puścił to mimo uszu i zajął się drugim nieboszczykiem. Tym razem także trafiła mu się cięższa część. Mechanizm pozbywania się ciał był prosty i niezawodny. Kiedy w domu pogrzebowym wystawia się zwłoki, cienki materac, na którym spoczywają, jest zawieszony na nylonowej siatce. Regulując wysokość siatki, przedsiębiorca pogrzebowy może umieścić ciało osoby chudej i otyłej na odpowiedniej wysokości. Ojciec Nilesa Deckera wyjawiał swojemu potomkowi, że miejsce pod siatką jest wprost idealne do ukrycia tam dodatkowych zwłok. Umieszczone w hermetycznym plastikowym worku nie wydzielają trupiej woni i nie były widoczne pod materacem. Dodatkowy ciężar wszyscy tłumaczyli sobie wagą samej trumny.

Dzięki rodzinie Deckerów niejeden grób w hrabstwie Westmoreland miał dodatkowego lokatora.

— Kiedy ci dwaj pójdą do piachu? — zapytał Jonathan.

— Jeszcze dzisiaj — odparł Niles. — Po południu mamy dwa pogrzeby. Dopilnuję osobiście, żeby zostali pochowani.

— Doceniam to — stwierdził Jonathan. Niles zniknął wewnątrz budynku i po chwili wrócił z wózkiem. Jonathan pomógł ułożyć ciała na wózku i zapytał: — Potrzebujesz jeszcze jakiejś pomocy?

— Dam sobie radę — odparł Niles.

Jonathan zauważył, że rola grabarza mafii zaczyna Nilesa przytłaczać.

— Niles? — Mężczyzna odwrócił się. — Ci dwaj strzelali wczoraj w Resurrection House. — Było to bliskie prawdy. Jeśli nawet to nie oni strzelali, byli kolegami napastników. — Nie musisz ronić łez nad ich grobem.

# Rozdział 13

Część gastronomiczna centrum handlowego Pentagon City Mail była taka sama, jak każdego innego centrum handlowego w każdym innym mieście na świecie. Taka sama pizza, taka sama chińszczyzna, takie same hamburgery. Jedno, co ją różniło od innych, to usytuowanie na najniższym piętrze. Przecież w innych centrach handlowych restauracje znajdowały się na najwyższym piętrze. Tutaj miało to sens, ponieważ kilka kroków dalej znajdowała się stacja metra Pentagon City. Restauracje znajdujące się pomiędzy przystankami Pentagon i Crystal City były idealnym miejscem do spotkań takich jak to.

Jak na dziesiątą trzydzieści rano dnia powszedniego restauracje były, zdaniem Brandy, wyjątkowo zatłoczone. Choć Brandy miała niewielkie doświadczenie pod tym względem. Sekretarz obrony miał osobistego kucharza, a ona — asystentka specjalna — również korzystała z tego bezpłatnego przywileju. Skoro pięciogwiazdkowej jakości jedzenie było dostępne za darmo, po cóż miałyby jadać gdzie indziej?

Aby nie wzbudzać nadmiernego zainteresowania swoją osobą, czekając, sączyła kawę latte Starbucksa i zagryzała cynamonową bułeczką, która smakowała jak słodzone trociny. Żeby nie zamieniła się w jej ustach w beton, musiała każdy kęs popijać kawą. Ze względów bezpieczeństwa wybrała krzesło w samym środku oceanu identycznych białych stołów, mając nadzieję, że w ten sposób trudniej będzie się do niej podkraść. Trzeba cierpieć na niezłą paranoję, żeby zwracać uwagę na takie rzeczy.

Osobiste spotkania były złem koniecznym. Wszystkie rozmowy przychodzące do Pentagonu i z niego wychodzące były rejestrowane — jeśli nawet nie ich treść, to numery rozmówców. Działo się tak, jak przypuszczała, odkąd w Pentagonie pojawiły się telefony, tyle że poprzednie administracje nie wyciągnęły wniosków z lekcji z czasów prezydentury Nixona — że każdy elektroniczny ślad prowadzi do czegoś, co chce się starannie ukryć. Mogła co prawda dać numer swojego telefonu komórkowego, ale nie napawała jej entuzjazmem perspektywa, że Jerry Sjogren będzie wiedział o niej więcej, niż wie do tej pory.

Pozostawało zatem spotkanie twarzą w twarz, takie jak to. Centrum handlowe wydawało się dostatecznie przyjaznym gruntem.

Dostrzegła Sjogrena, kiedy zjeżdżał ruchomymi schodami, ale nie nawiązała z nim kontaktu wzrokowego. Pozwoliła sobie tylko na przelotne spojrzenie i zauważyła, że on także udawał, iż jej nie poznaje. Za każdym razem ta gra wyglądała podobnie, choć Brandy właściwie nie wiedziała dlaczego. Skoro i tak mieli usiąść razem, rozsądniej byłoby uśmiechnąć się i pomachać do siebie niczym para kochanków.

Tyle że nikt by w to nie uwierzył. Jerry miał co najmniej pięćdziesiąt lat i posturę niedźwiedzia, oprócz tego gęste siwe włosy. Kiedy mówił, wydawało się, że parodiuje akcent z Nowej Anglii, wymawiając „are” jak nosowe „ah”. Łatwo wybuchał śmiechem i już po dwóch minutach rozmowy można było się zorientować, że jest gotów zrobić wszystko, do czego został najęty.

Brandy odczekała, aż wyrosnie przed nią jego cień, i dopiero wtedy podniosła głowę znad bułeczki.

— Nie wyglądasz na kogoś przynoszącego dobre wieści — zagała.

Sjogren usiadł na krześle naprzeciwko i oparł ramiona o stół z taką siłą, że blat się unioś.

— W tego rodzaju robocie trudno o dobre wiadomości — odparł. — Jeśli domyślasz się, co mam na myśli. — Tym razem jego protekcyjnalny ton nie dotknął jej. — Ale w tej chwili jest wręcz fatalnie.

Brandy poczuła dreszcz.

— Więc go zgubiliśmy?

Sjogren przekrzywił głowę i zachichotał.

— To już by wystarczyło, prawda? Ale jest jeszcze gorzej. Zgubiliśmy nie tylko dzieciaka. Zgubiliśmy też ludzi, których po niego posłaliśmy.

Brandy poczuła, że blednie.

— Zgubiliście ich? Co to znaczy?

Sjogren odchylił się do tyłu, żeby się odprężyć.

— Dokładnie to, co słyszysz. Zniknęli. Wyparowali. Puff. Wysłałem ich, nie odezwali się, a kiedy wysłałem kolejną ekipę, nie znaleźli niczego prócz kilku plam krwi w trawie.

— Plam krwi chłopca? — zapytała z nadzieją.

Wzruszył ramionami.

— Czerwonych plam krwi. Tyle wiem w tej chwili.

— Co się w takim razie stało?

Sjogren wybuchnął śmiechem.

— Chyba powinienem to „puff” określić jakoś inaczej. Nie mam pojęcia. Ludzie zniknęli, samochód zniknął.

— Jak to możliwe? — Ledwie wypowiedziała te słowa, zrozumiała, że palnęła głupstwo. Nie było sensu powtarzać w kółko tego samego przy użyciu innych słów. — Coś się musiało tam wydarzyć.

Przyznał jej rację wzruszeniem ramion.

— Jest tam w pobliżu obozowisko, które służy chyba komuś za dom, ale nie znaleźliśmy żywej duszy. Wysłałem ludzi, żeby popytali w okolicy, do kogo należy obóz. To może być jakiś ślad.

— „Może” nie jest ulubionym słowem mojego szefa.

— Wolałabyś, żebym kłamał?

Chyba tak — pomyślała. Teraz, kiedy wszystko poszło źle, mogła zwać winę na wykonawców.

— Myślisz, że oni... nie żyją? — ostatnie słowo wypowiedziała prawie szeptem.

— To było dwóch twardzieli — powiedział Sjogren, ponownie przekrzywiając głowę. — Trudno mi uwierzyć, że mógł ich załatwić jakiś bezdomny.

— Dlaczego więc...

— Ale jeszcze trudniej mi uwierzyć, że oni żyją i nie odzywają się. Nie zrobiliby tego. Dlatego wydaje mi się, że rzeczywiście nie ma ich już wśród nas.

Brandy zwróciła uwagę na rezerwę, z jaką wypowiadał te słowa. Takim samym tonem mówiłby o zgubionych śrubokrętach.

— Czy policja już wie?

Tym razem wybuch śmiechu był tak głośny, że zwrócił uwagę ludzi dookoła. Sjogren odczekał chwilę, oparł się wygodnie i założył nogę na nogę.

— Co właściwie miałbym powiedzieć policji? — zapytał. — Zwłaszcza wtedy, gdyby zapytali, co moi chłopcy tam robili?

Zadała kolejne głupie pytanie. Najgorsze było to, że nie przychodziło jej do głowy żadne mądre. Wszystko szło nie tak.

— Co w takim razie zamierzasz teraz zrobić? — spytała.

— Zamierałem spytać cię o to samo.

— To nie ja schrzaniłam sprawę — odparła Brandy. Była zadowolona, że jej głos zabrzmiał stanowczo mimo narastającej w niej paniki.

Spojrzenie Sjogrena stwardniało.

— To zależy, od którego momentu zaczniemy liczyć, prawda? Kto próbuje załatwić stary problem: ja, ty czy twój szef?

Brandy próbowała przybrać równie groźną minę.

— Z naszej trójki to ty za to zapłacisz. Reszta się nie liczy.

Sjogren zmrużył oczy i Brandy po raz pierwszy poczuła, że jej paranoja była uzasadniona. Ten człowiek nie był przyzwyczajony, żeby ktoś go ochrzaniał. A szczególnie bolesny musiał być fakt, że robiła to kobieta o połowę od niego młodsza.

Brandy nie poddała się i wyraz jego twarzy złagodniał.

— Dużo o tym myślałem — odezwał się w końcu łagodnie. — Słyszałaś o idiotycznej ucieczce z więzienia w jakimś pipidówku w Wirginii, niedaleko miejsca naszej akcji?

— W wiadomościach podali, że chodziło o kogoś podejrzanego w tej sprawie.

— Musieliśmy słuchać tych samych wiadomości. Powiedziano w nich, że uciekinierowi pomagał ktoś podający się za agenta FBI. Sprytnie pomyślane.

— Skoro tak uważasz... — powiedziała Brandy. Z jej punktu widzenia „sprytnie” nie było odpowiednim słowem. Właściwsze byłoby „fatalnie”.

— A słyszałaś ostatnie rewelacje? — ciągnął Sjogren. — Mimo takiej pomocy uciekinier został złapany.

Brandy nie słyszała. Oceniała wagę informacji i nie bardzo wiedziała, co o niej myśleć.

— To dobra czy zła wiadomość?

— Ja osobiście wolałbym, żeby zastrzelili tego sukinsyna. Martwi mnie fakt, że znaleźli go związanego niczym święteczną paczkę pod choinkę. Ten, kto pomógł mu uciec, nie zamierzał zostawić go na wolności.

Brandy czuła, że powinna wiedzieć, dokąd Sjogren zmierza, ale na razie nie potrafiła tych puzzli ułożyć. Zamiast przyznać się do tego, czekała na jego słowa.

— Wydostali go z więzienia, żeby wycisnąć z niego informacje — mówił Sjogren. — Wrócił za kraty, bo powiedział im coś wartościowego. W przeciwnym razie by go zabili. Podobno nieźle go pobijali.

— Kto go tak urządził? Sjogren głośno westchnął.

— Nie mam pojęcia.

— Czego mogli się od niego dowiedzieć? Mówiłeś, że on nic nie wiedział.

— Każdy coś tam wie. W tym wypadku wiedział, na przykład, gdzie wysadził pasażerów.

— A gdzie?

— Naprawdę cię to interesuje?

Święte słowa — pomyślała.

— Nie.

Uśmiechnął się.

— W tym samym miejscu zastrzelili chłopaka. I w tym samym miejscu zaginęli moi ludzie.

— Ktoś ich zaatakował — zaświtało jej nagle w głowie.

Sjogren potwierdził taką możliwość ruchem brwi.

— Tak przypuszczam. Jimmy Henry musiał im przekazać dość informacji.

Brandy przymknęła oczy.

— Na czym w takim razie stoimy?

Sjogren teatralnym gestem skrzyżował ramiona i założył nogę na nogę.

— Może uda nam się znaleźć właściciela obozowiska — powiedział. — Jeśli tak, to istnieje szansa, że wydusimy z niego jakieś informacje. Wet za wet. *Quid pro quo*.

— Czy to rozsądne mieszać do tego kolejną postronną osobę? — spytała Brandy. — Chodzi mi o to, że zadając pytania, wzbudzisz jego ciekawość... — Urwała, widząc jego spojrzenie pełne cierpliwej wyrozumiałości. — No tak, oczywiście — powiedziała, spuszczać wyrok. Przecież odpowiadając na pytania Sjogrena, tamten biedak wydałby na siebie wyrok. — Ale i tak musisz znaleźć ciało. Nadal nie rozumiem, co tam się wydarzyło.

Sjogren czuł się coraz bardziej zakłopotany.

— Tak, to ciekawe. Nie szukamy teraz ciała dzieciaka. Szukamy go żywego. Sądźmy, że przeżył.

— O mój Boże! — jęknęła Brandy.

— Przycisnąłem mocniej naszego przyjaciela Mitcha Pondera i okazało się, że Jenkins nie mógł się zdobyć na zastrzelenie chłopaka. Zamiast tego zaprowadził go do lasu i naszprycował środkami uspokajającymi. Myślał, że taka dawka go załatwi. Wystrzelił w powietrze, żeby zadowolić resztę, i odlecieli.

— I to ma być ten twój „profesjonalizm”? — zapytała Brandy. Bardzo starała się zyskać w tej rozmowie przewagę.

Sjogren wymierzył w nią palec.

— Uważaj na słowa, panienko. — Jego policzki i czoło zaczerwieniły się ze złości. — Nie ty zajmujesz się mokrą robotą, więc zachowaj komentarze dla siebie. Dobrze wykonuję powierzoną mi robotę, ale pamiętaj, że co innego ty, a co innego twój szef. Jak wejdziesz mi w drogę, zobaczysz na własne oczy, czym się zajmuję.

Brandy spuściła wzrok.

— Mam zamiar powęszyć trochę i znaleźć mieszkańca namiotu. Fakt, że zniknął, nie zabrawszy swoich rzeczy, świadczy o tym, że coś wie. Intuicja podpowiada mi, że kiedy znajdę jego, znajdę też chłopca.

— A kiedy go znajdziesz, to... — Urwała w pół zdania w nadziei, że zrozumie, co miała na myśli.

— Możesz mnie w każdej chwili odsunąć od tej sprawy — powiedział Sjogren. — Ale jeśli tego nie zrobisz, to muszę dokończyć robotę. Czy chcesz, żebym przestał szukać i zostawił dzieciaka w spokoju?

Brandy przymknęła powieki i wzięła głęboki wdech. Jak mogło do tego dojść?

— Nie — odparła z zamkniętymi oczami. — Chcę, żebyś to skończył. — Słowa zdawały się płynąć z ust kogoś innego. Siedem lat temu, kiedy kończyła politologię na Uniwersytecie Wirginii, myśl o zleceniu zabójstwa wydawałaby się jej nedorzeczna. Teraz zrobiła to po raz drugi w ciągu niecałego tygodnia.



# Rozdział 14

Jonathan wszedł do posiadłości o dziesiątej trzydzieści i po długim, bardzo gorącym prysznicu znów poczuł się jak człowiek. Dwie godziny snu też nie zaszkodziły. Oficjalnie olbrzymie gmaszysko w stylu kolonialnym mieściło biura Resurrection House i mieszkanie Venice oraz jej rodziny. Nieoficjalnie, dla całego miasta, pozostawało posiadłością Gravenowa i rodzinnym domem Jonathana. Jonathan przy pierwszej sposobności i z wielką radością przeniósł prawo własności domu za gigantyczną kwotę jednego dolara.

Jonathan tak bardzo chciał wymazać wspomnienia związane z tym domem, że rzadko tu przychodził, a jeśli już się zjawił, to powód musiał być naprawdę ważny.

Nie zwalniając kroku, przeszedł przez ozdobnie inkrustowane foyer, wszedł za masywne schody i otworzył wąskie drzwi prowadzące do piwnicy. Starał się zapomnieć czasy, kiedy w pokojach w piwnicy mieszkała cała służba. Kierowała nimi Mama Alexander, która w pewnym momencie wraz z córką Venice otrzymała bardziej przestronne mieszkanie na drugim piętrze domu.

Jonathan ze zdumieniem stwierdził, że pokoje w piwnicy wyglądały na większe, niż pamiętał z dzieciństwa, i znacznie mniej przypominały lochy. Korytarze były wystarczająco szerokie, żeby zmieściły się na nich wózki z jedzeniem i maszyny do sprzątanía, przesuwane z jednej windy serwisowej do drugiej. Znajdujące się po obu stronach korytarza sypialnie przypominały Jonathanowi akademik w college'u William and Mary — dwanaście stóp kwadratowych powierzchni i dziesięć stóp wysokości. Teraz większość pomieszczeń

stała pusta, jeśli nie liczyć kilku zawałonych rupieciami, które mogły się jeszcze na coś przydać.

— Ven?! — zawołał.

— Jestem na dole!

Obejrzał się i ujrzał Venice wchodzącą do holu i machającą mu ręką. W drugiej trzymała kopertę. Wyglądała na pięć lat starszą niż jeszcze dwa dni temu. Jej czekoladowa skóra zwiotczała i przybrała ziemisty odcień, co świadczyło o zbyt wielkiej ilości też wylanych w zbyt krótkim czasie.

— Jest tam Jeremy? — zapytał Jonathan, wskazując na pokój, z którego właśnie wyszła Venice.

Potrząsnęła głową.

— Nie. Jest w zakrystii z Domem.

— Dobrze się czuje?

— Fizycznie nic mu nie dolega — odparła Venice. — Dom wezwał doktora Hamiltona, żeby go zbadał.

Jonathan poczuł przypływ złości.

— Chyba ci mówiłem...

— Dom uświadomił mi konieczność dochowania tajemnicy — odpowiedziała Venice, słysząc pretensję w głosie Jonathana. — Podano mu narkotyki, Dig. Trzeba było go zbadać.

Venice miała rację, ale w tym momencie najlepszym sposobem utrzymania Jeremy'ego przy życiu było przekonanie wszystkich, że zaginął. Ten, kto zgubił jego ślad za pierwszym razem, nie zawahał się potem wysłać na poszukiwania bandy morderców. Skoro ktoś tak bardzo pragnął śmierci chłopca, nie zrezygnuje nawet z powodu piętrzących się trudności.

— Postaraj się tylko, żeby jak najmniej osób o tym wiedziało.

— Czy dotyczy to także Douga Kramera?

— Na razie tak — odparł Jonathan. — Do czasu gdy nie będzie innego wyjścia, trzymamy go z dala od tej historii. On ma dosyć roboty z tą strzelaniną. A jak pan Stewart?

Venice skrzywiła się i wzruszyła jednym ramieniem.

— Uważają, że wyjdzie z tego, ale martwi ich stan wątroby i śledziony. Pocisk uszkodził oba narządy, a kiedy go jeszcze pchnęli nożem... — Przerwała, bo załamał się jej głos.

Jonathan nie musiał słuchać reszty. Najważniejsze, że przeżyje. W takim dniu, kiedy wszystko szło nie tak, nawet tego rodzaju wiadomość była dobra.

— A co z naszymi nowymi przyjaciółmi?

— Z tych dwóch, których zastrzeliłeś, jeden jest czysty. Nie mogę nic znaleźć na jego temat. Jest taki jak ty — nigdy oficjalnie nie istniał.

Jonathan poczuł ucisk w żołądku. W dzisiejszych czasach odciski palców każdego człowieka były gdzieś zarejestrowane — każdego prócz tych, których odciski usunięto z kartotek. Ale usunięcie śladów ze wszelkich możliwych kartotek nie było rzeczą prostą.

— A ten drugi?

— Sean O'Brian — odparła Venice. — Wiemy to tylko dzięki temu, że był młodocianym przestępcą i przed dwudziestu laty wzięto od niego odciski palców. To jest jedyny ślad w dokumentach, mimo że sąd dla nieletnich zmusił go do wstąpienia do piechoty morskiej.

— Niech zgadnę: w archiwach marines nie ma po nim śladu. Venice kiwnęła głową.

— Baza danych o nim milczy.

Jonathan założył ręce na piersi i oparł się o ścianę.

— W takim razie byli agentami rządowymi — myślał na głos. — Albo cywilnymi zleceniobiorcami rządu. To by się zgadzało z tym, co powiedział nam Jimmy Henry. — Szybko przypomniał sobie, co mówił więzień o swojej roli w porwaniu.

— Dlaczego rząd miałby być zamieszany w napad na szkołę? — spytała Venice.

— To oczywiste, chodziło im o tych chłopców.

— Ale to przecież jeszcze dzieci. Co zrobili, żeby zasłużyć sobie na taki los?

Jonathan podejrzywał, że chłopcy nie zrobili niczego — a przynajmniej nic świadomie. Może być przecież tyle powodów porwania. Ale kiedy miesza się do tego rząd, lista skraca się do trzech: chęć zdobycia informacji, zapewnienie milczenia lub zmuszenie do współpracy. Uznał, że nie powie tego Venice.

Zamiast tego powiedział:

— Potrzebuję wszelkich informacji na temat strzelców i dzieci. Ci chłopcy mają ze sobą coś wspólnego — łączy ich jakiś sekret — i

musimy dowiedzieć się, co to jest. — Przerwał dla zaczerpnięcia oddechu i zmienił temat. — A co z hipisem?

Venice wskazała najbliższy pokój.

— Jest tam — powiedziała. — Nie chce rozmawiać. Nazywa się Harvey Rodriguez. Urodził się w Wenezueli i przeprowadził do Stanów, kiedy miał piętnaście lat. Molestował dzieci.

Jonathan się wzdygnął.

Venice wręczyła mu teczkę z dokumentami.

— Tu jest wszystko. Prawdę mówiąc, niewiele tego. Powinieneś to przeczytać, zanim zaczniesz z nim rozmawiać.

Wziął teczkę do ręki, ale przez dłuższą chwilę patrzył Venice w oczy, zanim ją otworzył. Czy są jeszcze na tej planecie ludzie, którzy pozwalają normalnie dzieciom dorastać?

— Nie mów o tym Boxersowi — rzekł Jonathan. — Zabiłby go.

— A byłoby w tym coś złego? — Venice ruszyła w stronę schodów.

Przyswojenie sobie informacji z teczki Rodrigueza zajęło Jonathanowi kilka minut. Kiedy skończył, otworzył drzwi i wszedł do pokoju.

Choć w środku znajdował się stół i krzesło, Harvey stał w kącie z założonymi rękami, oparty plecami o ścianę. Opróżniona butelka wody leżała na stole obok drugiej, pełnej.

— Nie macie prawa mnie tu przetrzymywać — wyrzucił z siebie pospiesznie, gdy tylko Jonathan przekroczył próg. Zabrzmiało to tak, jakby wcześniej przygotował sobie tę kwestię. — Nie jesteś gliniarzem. Nie możesz mnie zatrzymać.

Jonathan przekrzywił głowę, a potem wzruszył ramionami.

— Idź — powiedział i przesunął się na bok, robiąc przejście.

Harvey zmrużył oczy.

— Mówisz poważnie?

— Jak najbardziej. Wydawało mi się, że cię chronimy, a nie więzimy. Chcesz odejść, idź. Na ulicy staniesz się łatwiejszym celem, a ja nie będę musiał dłużej się tobą przejmować.

Harvey się zawahał.

— Mówię poważnie — powiedział Jonathan. — Idź.

Hipis rzucił niespokojne spojrzenie na Jonathana, doszukując się podstępów. Nagle dotarło do niego, co może się wydarzyć.

— Jeśli stąd wyjdę, spróbują mnie zabić.

Jonathan usiadł na krześle z metalowym oparciem.

— Przecież przed chwilą ci o tym mówiłem.

— Gdzie jest chłopiec?

— Gdzieś. Nie powinno cię to obchodzić. Może usiądziesz?

— To po niego przyszli — powiedział Harvey. — Zostawili go tam, żeby umarł. Wiedziałeś o tym?

— A ty go uratowałeś. Postąpiłeś właściwie. Więc teraz ja ratuję ciebie. — Dla lepszego efektu zrobił przerwę. — Chyba że zechcesz stąd wyjść.

Harvey zastanawiał się przez dobrą minutę.

— Wiesz przecież, że nie mogę.

— Wiem.

— Co mam w takim razie robić?

Jonathan nie spieszył się z odpowiedzią. To był rodzaj negocjacji i jak we wszystkich negocjacjach, należało uwzględnić interesy drugiej strony.

— Mam nadzieję, że docenisz naszą gościnność.

— Umieściliście mnie w piwnicy.

— Tylko dlatego, że tu nikt cię nie widzi — wyjaśnił Jonathan.

— Dzieją się tu rzeczy, które wydają się nie mieć sensu. Ale wiem jedno: jeśli ci ludzie byli gotowi zabić dziecko, to mogą zabić każdego.

Na twarzy Harveya odmalował się smutek, a wzrok skupił na nieistniejącym punkcie na ścianie.

— Nie lubię ludzi — wyznał. — Nikt mi nigdy nie pomógł. A teraz dzieją się przy mnie takie rzeczy i jestem w to zamieszany. — Wbił wzrok w Jonathana. — Czy to ma sens?

Jonathan polubił tego faceta. Nie potrafił powiedzieć dlaczego, ale go polubił.

— Dla mnie też wiele rzeczy na tym świecie nie ma sensu, Harvey. — Odczekał chwilę. — Na przykład, kiedy taki facet jak ty, sanitariusz w marines, zaczyna molestować dzieci.

Słyszac oskarżenie w głosie Jonathana, Harvey zacisnął zęby, choć jego oczy wyrażały zmęczenie.

— Odrobiłeś pracę domową — rzucił.

Jonathan pokiwał głową.

— Odrobiłem. I powiem szczerze, zaczynam żałować, że cię tam na miejscu nie zastrzeliłem.

Harveyowi poczerwieniały oczy. Nie odezwał się.

— Czy to prawda? — naciskał Jonathan.

— Prawdą jest, że zostałem zarejestrowany jako osoba molestująca.

Jonathan zmarszczył brwi.

— A jest jakieś „ale”?

Harvey uśmiechnął się ponuro.

— Nic, co mogłoby cię zainteresować.

— Dlaczego tak mówisz?

— Ponieważ nikt nie chce tego słuchać. W mojej kartotece zapisano, że dotykałem dzieci, i tylko to się liczy.

— To poważna sprawa.

Harvey próbował wyczytać coś w myślach Jonathana.

— Mówisz tak pod wpływem nastroju. Chcesz wyciągać od razu wnioski czy może usłyszeć prawdę?

— Wolę prawdę.

Harvey usiadł na krześle po przeciwnej stronie stołu. Przez dłuższą chwilę zbierał myśli, aż wreszcie rozpoczął opowiadanie.

— Miałem... kłopoty w dwa tysiące czwartym, po pierwszej bitwie o Falludżę. Nie wiem, czy masz jakieś pojęcie o operacjach wojskowych, ale ta była wyjątkowo zażarta. Nazwano ją „wojną uliczną”, choć dla mnie była to wojna miejska. Falludża liczy sobie jakiś tysiąc lat. Służyłem w kompanii K trzy pięć. Przez wiele dni byliśmy w strasznym gównie.

Jonathan rozszyfrował „trzy pięć” jako trzeci batalion piątego pułku piechoty morskiej.

— Ci pieprzeni Irakijczycy byli wszędzie. Mieliśmy mnóstwo rannych. Przez dwa tygodnie po kostki brodziłem we flakach kolegów. Co któregoś z rannych przygotowałem do transportu, pojawiał się kolejny z postrzałem. To było straszne.

Jonathan sporo czytał na ten temat i wiedział, że to była najbardziej krwawa walka uliczna w historii armii amerykańskiej. Od czasu operacji Iracka Wolność był już poza armią, ale pozostawał w kontakcie z kolegami, którzy dalej służyli. Amerykańska prasa nie pisała o nadzwyczajnych sukcesach armii, koncentrując się na liczbie ofiar i stratach wśród ludności cywilnej. Niemniej strategia zastosowana podczas tej trwającej tydzień kampanii będzie długo jeszcze przedmiotem studiów.

Harvey mówił dalej.

— Jeśli ktoś tam nie był, nie zrozumie, że w człowieku może coś pęknąć. Nie byłem prawdziwym marine, jak myślałem. Kiedyś byłem dobrym sanitariuszem — cholernie dobrym. Myślałem nawet o tym, żeby pójść na medycynę, ale potem już nie mogłem się tym zajmować.

Odkręcił zakrętkę z butelki z wodą i wziął spory łyk.

— Nazywali to PTSD, zespół stresu pourazowego. To brzmi nieźle, kiedy mówisz o kimś innym. A kiedy chodzi o ciebie, czujesz się jak „stuknięty”. Posłali mnie na krótko do Bethesda, ale potem stamtąd wywalili. Nie miałem nic przeciwko temu, ale jak miałem zarabiać na życie? Nie chciałem więcej babrać się we krwi i flakach, więc pomyślałem sobie, że zacznę pomagać dzieciom. Przyszłości narodu i świata, rozumiesz?

Sarkazmowi w głosie towarzyszył ponury śmiech.

— Podjąłem pracę w ośrodku zdrowia w hrabstwie Braddock, niedaleko Brookfield.

Jonathan przypomniał sobie, że Braddock to sąsiednie hrabstwo.

— Uczyłem pływania, pracowałem jako ratownik. Prowadziłem nawet kursy pierwszej pomocy. Tego mi właśnie było trzeba. Dzieci są z gruntu rzeczy miłe, prawda? Żyją w świecie, gdzie jedyna przeemoc to ta oglądana na ekranie telewizora. Ich obecność działa odświeżająco.

— I co, odświeżyłeś się... — wyrwało się Jonathanowi.

Harvey przeszył go wściekłym spojrzeniem.

— Będziesz słuchał czy wolisz mówić? — warknął. — Sam widzisz, że nie warto ludziom niczego wyjaśniać. Zobacysz etykietkę i wydaje ci się, że wszystko rozumiesz.

— Przepraszam — powiedział Jonathan. I zabrzmiało to szczerze.

Harvey przez chwilę przypatrywał mu się badawczo.

— W porządku. Prawdę mówiąc, dzieciaki potrafią być też okropne. Miałem taką jedną, Amandę Goldsbury, pyską, chyba trzynastoletnią smarkulę, którą latem rodzice podrzucali o siódmej rano, a odbierali o ósmej wieczorem. A naszym zadaniem było nianżczenie jej za sześć dolców na godzinę. Nie ona jedna była taka, ale ją najłatwiej było znienawidzić. Uważała się za królewnę. Terroryzowała inne dzieci i bez skrpułów mówiła dorosłym, żeby się od niej odpiępryli. Znasz ten typ?

Jonathan uśmiechnął się i postanowił nie wspominać, że ufundował szkołę właśnie dla takich dzieci. W Resurrection House szybko się zmieniały, ale przyjeżdżały tutaj albo jako łobuzy, albo jako ofiary łobuzów.

— Pewnego dnia wkurzyła mnie, więc powiedziałem, co myślę o jej wygłupach. To znaczy, naprawdę jej powiedziałem do słuchu. Narobiłem jej publicznie wstydu. — Harvey wciągnął głęboko powietrze przez nos, zamknął oczy i potrząsnął głową. — Następnego dnia w ośrodku pojawiło się pięciu policjantów. Aresztowali mnie pod zarzutem przemocy seksualnej drugiego stopnia wobec nieletniej. Tego dnia, kiedy ją upokorzyłem w obecności kolegów, po powrocie do domu powiedziała rodzicom, że obmacywałem ją w szatni.

— Prokurator, skończony kutas J. Daniel Petrelli, postanowił przykładnie mnie ukarać. Zaangażował do tego prasę, ktoś opowiedział o moim „braku stabilności psychicznej” i byłem ugotowany. Wszyscy wiedzą, że w takich sprawach dzieci nie kłamią, choć świetnie potrafią kłamać na każdy inny temat. I oto mam w perspektywie więzienie. Nie wiem, czy to prawda, ale słyszałem, że pedofile są przez innych więźniów strasznie traktowani. Wcale mi się ta perspektywa nie podobała. Doszło do ugody, którą zalecił mi mój prawnik. Przyznałem się do winy, a w zamian nie trafiłem do więzienia, tylko musiałem rozpocząć leczenie psychiatryczne i trzymać się z dala od dzieci. Moje nazwisko wylądowało natomiast na liście przestępców seksualnych.

Powieki Harveya zwilgotniały od łez, a oczy się zaczerwieńczyły.

— I w ten sposób, mój nowy przyjacielu, dostałem dożywotni wyrok. Nie mam pracy, a ponieważ nie wolno mi się zbliżać na odległość mniejszą niż pięćset jardów do szkoły, kościoła czy placu zabaw, nie mam też gdzie mieszkać.

Harvey rozłożył szeroko ramiona, jakby zamierzał zawołać „Tada!”.

— I oto jestem, bohater tego kraju, upadły z powodu kłamstwa jednego dziecka, które bez wątplenia pewnego dnia zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Jonathan przez długą chwilę wpatrywał się w Harveya w milczeniu. To największy truizm, że każdy przestępca jest w swoim mniemaniu niewinny. Jonathan już dawno przestał liczyć tych wszystkich



terrorystów i porywaczy, którzy patrząc mu prosto w oczy, twierdzili, że są niewinnymi ofiarami zbiegu okoliczności. Że znaleźli się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Że tylko korzystali z prawa do wyznawania swojej religii. Że po prostu próbowali pomóc swojej ofierze. Tłumaczyli się tak nawet wtedy, gdy ubrania mieli poplamione krwią swoich ofiar.

Jonathan nie był miłośnikiem płaczących opowieści, a mimo to uwierzył Harveyowi Rodriguezowi. Może dlatego, że nie odstawał komedii. Nie, nie o to chodziło. Przekonał go zupełny brak u Harveya nienawiści do samego siebie.

— Masz przesrane, Harvey — powiedział. Nie zamierzał być okrutny; po prostu stwierdził fakt.

— Dzięki — odparł Harvey. — Po ostatnich wydarzeniach mam zupełnie przesrane. — Roześmiał się głośno i podrapał po brodzie. — Jestem otwarty na twoje sugestie, w jaki sposób mam uczynić swoje życie lepszym.

— Chyba mam dla ciebie jedną radę — odezwał się Jonathan. — Co byś powiedział na pracę tutaj?

— Co? W szkole? Chyba nie słuchałeś, co mówiłem o...

— Wyroku? — Jonathan roześmiał się. — Wymień choć jedną rzecz, która się wydarzyła od czasu naszego spotkania i byłaby zgodna z prawem.

— Łatwo ci mówić. To ja trafię do więzienia. Nie mogę przebywać w otoczeniu dzieci. Do diabła, nawet nie mam już na to ochoty. Mam tego dość.

Biorąc to wszystko pod uwagę, Jonathan nie mógł mieć do niego pretensji.

— Nie możesz się tak kręcić, jeśli tu nie pracujesz. Nawet jeśli ja nie będę miał nic przeciwko, nie zgodzi się na to Mama Alexander.

— Mama jak?

Jonathan darował sobie. Trudno było wytłumaczyć, kim jest Mama Alexander, jeśli jej się nie poznało.

— Jest tu wolne stanowisko dozorczy — powiedział Jonathan. — Jeśli chcesz, jest twoje.

Harvey się skrzywił.

— Mam przepychać sacze i zmywać rzygowiny z podłogi?

— I dostawać za swoją pracę wynagrodzenie. To lepsze, niż mieszkać w lesie i dać się zastrzelić.

— Łatwo ci mówić.

— Próbuje ci pomóc.

Nagle w spojrzeniu Harveya nastąpiła jakaś zmiana.

— Coś nie tak? — zapytał Jonathan.

— Co z tego będziesz miał?

— Nic.

— Gówno prawda. Zawsze jest jakaś korzyść, nawet jeśli o tym nie wiesz. Mam uwierzyć, że nagle się przejąłeś moim losem? Spójrz na mnie. Nawet ja przestałem się tym przejmować.

Jonathan odsunął krzesło do tyłu i założył nogę na nogę. Otworzył kopertę, którą dała mu Venice, i powiedział:

— Mam słabość do weteranów wojennych.

Harvey roześmiał się gorzko.

— Przysięgam na Boga, jeśli powiesz jeszcze „dziękuję za służbę dla ojczyzny”, zaraz się porzygam.

Jonathan zaczął czytać z kartki:

— Purpurowe Serce, medal za wzorową służbę w marines, Krzyż Marynarki. — Podniósł wzrok. — To wysokie odznaczenie. — Pośród wszystkich medali za męstwo tylko Medal Honoru nadawany przez Kongres stał wyżej od Krzyża Marynarki.

— Jakie to ma znaczenie? — Harvey lekceważąco machnęła ręką. — Teraz już żadnego.

— W tym miejscu wiele znaczy — odparował Jonathan. Jego medale za męstwo były objęte tajemnicą i znajdowały się w kwaterze głównej oddziału w Fort Bragg. — Żyję dzięki takim sanitariuszom jak ty.

Harvey przyjrzał się swoim dłoniom.

— Nie jestem już sanitariuszem. Nie służę już w piechocie morskiej. Jestem odrażającym samotnikiem, który mieszka w namiocie, i dobrze mi z tym. — Podniósł wzrok. — A ty co robisz? Łazisz po lesie i strzelasz do ludzi? Co zrobiłeś z ciałami?

Harvey Rodriguez był problemem samym w sobie. Tajemna strona Security Solutions wymagała maksymalnej dyskrecji, a tymczasem zniweczyły ją wydarzenia tego poranka. Nie dość, że jeden z chłopców z Resurrection House widział, jak Jonathan zabija bandytów, to na dodatek miał teraz na karku teoretycznie niezrównoważonego bezdomnego.

Mówiąc, ważył każde słowo.

— Co wiesz o tej szkole?

— Tyle, że każdy z dzieciaków pewnie lepiej zna algebrę ode mnie.

I ode mnie też, pomyślał Jonathan.

— To jest szkoła z internatem dla dzieci, których rodzice siedzą w więzieniu. Zeszłej nocy został stąd porwany chłopiec, któremu pomogłeś, Jeremy Schuler.

— Więc jesteś gliniarzem — stwierdził Harvey.

— Nie. Jestem samarytaninem.

— Który zabija ludzi i pozbywa się ich ciał. I tak postępuje samarytanin?

Jonathan bezwiednie się roześmiał. Harvey podobał mu się coraz bardziej.

— Możemy się tym teraz nie zajmować? — zaproponował. — Naprawdę nie musisz wszystkiego wiedzieć.

— Policja nawet nie ma o tobie pojęcia, prawda? — zasugerował Harvey. — Ukrywasz mnie nie tylko przed mordercami. Ukrywasz mnie też przed glinami. — Jego oczy się zwięziły. — Masz sporo ciekawych sekretów, prawda, panie Graves?

Jonathan przekrzywił głowę i prychnął:

— Nazywam się Grave. Bez „s”. Co do pytania, nie potwierdzam, nie zaprzeczam.

— Dla mnie to brzmi jak „tak”. — Harvey był teraz innym człowiekiem. Po raz pierwszy wyczuwało się w jego głosie zaangażowanie. Strach gdzieś wyparował. — Ale nie martw się — dodał. — Nie zdradzę twojego sekretu. Nawet nie mam z kim się nim podzielić. Choć jest to ciekawe.

Jonathan ufał mu, choć wciąż jeszcze nie wiedział dlaczego. Z biegiem lat nauczył się ufać swoim instynktom. Przydawało się to, kiedy działał na tyłach wroga i miał do czynienia z przywódcami plemiennymi albo z szubrawcami w miastach.

— To naprawdę bardzo ważne dla mnie, żebyś został tu przez jakiś czas, Harvey. A dla ciebie jest pewnie ważne, żeby być użytecznym.

— Więc jesteś też psychiatrą.

— To tylko legenda. — Jonathan uśmiechnął się. — Pomyśl o tym, dobrze?

Przerwało im pukanie do drzwi.

To była Mama Alexander, matka Venice i naczelnia niańka wszystkich dzieciaków w Resurrection House. Zbliżała się do

siedemdziesiątki, ale zachowała figurę czterdziestolatki i była uderzająco podobna do aktorki Esther Rolle, występującej w latach siedemdziesiątych w serialu telewizyjnym *Good Times*. Po śmierci matki Jonathana, kiedy był jeszcze małym chłopcem, Mama mu ją zastępowała. W Fisherman's Cove i okolicy imię Mama oznaczało Mamę Alexander.

— Chciałeś mnie zobaczyć, Jonny? — zapytała. Spośród prawie siedmiu miliardów ludzi żyjących na ziemi tylko ona zwracała się do niego tym imieniem.

Obaj mężczyźni wstali.

— Mamo Alexander, chciałbym przedstawić ci Harveya Rodrigueza. Wczoraj uratował życie Jeremy'emu, dlatego proszę cię, żebyś traktowała go jako naszego wyjątkowego gościa.

Twarz Mamy rozjaśniła się niczym księżyc w pełni.

— Bardzo mi miło cię poznać — powiedziała i obiema dłońmi uściśniła jego dłoń. — Pan obdarza swoim uśmiechem każdego, kto pomaga swojemu bliźniemu.

Harvey uśmiechnął się z zakłopotaniem i rzucił szybkie spojrzenie Jonathanowi.

— Mama jest jednym z posłańców Pana — wyjaśnił Jonathan, zmrużywszy oko.

Mama żartobliwie klepnęła go w ramię.

— Stroisz sobie żarty, Jonny, ale wiesz, że mam rację.

— Jak się czuje Jeremy? — zapytał Jonathan. Wyczuł, że Harveya też to interesuje.

— Jest wystraszony — odparła Mama — i chce wrócić do kolegów.

— Rozmawialiśmy już na ten temat — tłumaczył Jonathan. — Musimy jego powrót utrzymać w tajemnicy. Przynajmniej przez jakiś czas. Chodzi o jego bezpieczeństwo.

— Nie zamierzam się z tobą spierać — powiedziała Mama. — Po prostu odpowiadam na pytanie.

— Doceniam to. A teraz zabierz, proszę, pana Rodrigueza na górę i przydziel mu pokój gościnny na drugim piętrze.

Dostrzegł w jej oczach niepokój, ale wiedział, że prędzej dałaby sobie obciąć rękę, niż obraziła gościa.

— Miejmy nadzieję, że Harvey zostanie z nami przez jakiś czas — ciągnął Jonathan. — Oczywiście decyzja należy do niego.

# Rozdział 15

Tym razem świadomość wróciła po gwałtownym szarpnięciu.

— Obudź się, synu — rozległ się czyjś głos. — Koniec drzemki. Pora otworzyć oczy.

Evan Guinn już jakiś czas temu odzyskał świadomość. Czuł, że jest przeraźliwie gorąco, i chciał się przeturłać w chłodniejsze miejsce, ale ciało nie reagowało. Kończyny nadal ważyły po sto funtów każda. Dlatego znów zapadł w sen.

Teraz poczuł silniejsze szarpnięcie, któremu towarzyszyło uderzenie w tył głowy.

— Dosyć spania. Obudź się. Robota czeka.

Robota? Czy on powiedział „robota”? Jaka robota...

Na jego ramionach spoczęły czyjeś ciężkie dłonie. Chwyciły mocno i poderwały go. Przez chwilę Evan zawisł w powietrzu, a następnie uderzył o ziemię.

— Hej! — krzyknął, a jego ręce i nogi szukały jakiegoś oparcia. — Zostaw mnie...

Nie rozpoznawał jeszcze otoczenia, ale całkiem wyraźnie poczuł, jak ktoś podnosi go za włosy. Napastnikiem był przysadzisty, muskularny mężczyzna niewiele wyższy od Evana, za to cięższy pewnie o sto funtów. Evan bez zastanowienia wymierzył mężczyźnie cios. Cios był słaby, dziecinny, zamaszysty i niecelny.

Natomiast kontra — a właściwie uderzenie otwartą dłonią, bo inaczej byłoby bardzo źle — wyładowała z całą mocą na brzuchu Evana. Evan już miał się zgiąć wpół, ale palce napastnika mocniej zacisnęły się na jego włosach.

— Nie bądź głupi — warknął mężczyzna. Wyraźnie przeciągał

samogłoski. — Zmusisz mnie, żebym zrobił ci krzywdę, zrobię ci krzywdę. Ty robisz, co ja mówię, ja być miły. *Entiende?*

Evan zakasłał i wziął głęboki wdech.

— Tak — odpowiedział. — Okay. — Wydawało mu się, że mężczyzna mówił po hiszpańsku.

— Dobrze — powiedział na to mężczyzna. — To ja puszczam.

Evan poczuł, że jego skalp wraca na swoje miejsce. Palcami przecesał włosy. Były mokre i tłuste.

— Kim jesteś? — zapytał. Usłyszał w swoim głosie oskarżycielski ton i przygotował się na kolejny cios. Ale cios nie padł.

Zamiast tego mężczyzna podał mu grubą stertę ubrań i powiedział coś, czego Evan nie zrozumiał. Coś jak „ropas”. Evan zmarszczył brwi.

— Co?

Mężczyzna powtórzył, wpychając ubranie w ręce Evana.

— Włóż — powiedział.

— Po co?

Tym razem mężczyzna szturchnął go palcem w to samo miejsce, gdzie wcześniej padł cios. Evan nie był pewien, czy zrobił to celowo, ale potraktował gest jako ostrzeżenie. Chwycił ubrania tak, jak wspomagający przejmując podanie od rozgrywającego, jedną ręką nad, a drugą pod stosem. Ubrania były ciężkie.

Mężczyzna wyciągnął dłoń z rozcapierzonymi palcami.

— *Cinco minutos* — powiedział.

Nie trzeba znać hiszpańskiego, by domyślić się, że chodziło o pięć minut.

Mężczyzna odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą liche drzwi i zostawiając Evana samego. Nagle pięć minut wydało się zbyt długim czasem. Pokój — jeśli można było go określić tym mianem — był mały, miał jakieś osiem stóp kwadratowych. Ściany i podłoga wykonane były z takich samych desek, ale ściany nie dochodziły do samej podłogi — pozostawała między nimi szeroka na jakieś sześć cali szczelina. Pokój był pozbawiony sufitu. W jego miejscu znajdowała się wysoka czapa wykonana chyba z trawy. Ściany kończyły się przed tym zwieńczeniem. Łóżko okazało się drzwiami przybitymi gwoździami do dwóch koźłów do piłowania drewna. Był to jedyny

przedmiot w pomieszczeniu, nie licząc stojącego w przeciwnym kącie kubła. Evan położył stos ubrań na desce i przyjrzał się im. To nie mogła być prawda.

— Hej! — zawołał. — Hej, proszę pana! Señor!

Odczekał kilka minut, a kiedy nikt nie odpowiedział, spróbował ponownie. Odpowiedzi nadal nie było, więc na bosaka podbiegł do drzwi i je otworzył.

— Hej!

Jezu, znajdował się w dżungli! Pięć stóp od niego dwóch mężczyzn w zielonych mundurach z kamuflażem poderwało się na dźwięk otwieranych drzwi i uniosło lufy karabinów.

Evan krzyknął, zakrył głowę rękami i padł na kolana.

Ktoś krzyknął i rozległ się odgłos ciężkich kroków. Evan znów został postawiony na nogi szarpnięciem za włosy i wepchnięty z powrotem do pomieszczenia. Wylądował na plecach i przejechał po podłodze.

— Nie strzelajcie! — wrzasnął.

— Stuknięty chłopak! — To był ten sam mężczyzna co poprzednio. — *Loco!* Stuknięty chciał uciec.

Evan wstał i po raz drugi poprawił sobie włosy.

— Nie uciekałem! — krzyknął.

— Ty uciekać!

— Nie!

— To dlaczego biec na zewnątrz?

— Chciałem z tobą porozmawiać! — wykrzyknął Evan. Strach pozostał, ale pojawiła się też złość. — Spójrz na te ciuchy! — Wskazał stos ubrań leżący na drewnianym łóżku. — To zimowe łachy! — Faktycznie, mężczyzna dał mu granatowe džinsy, golf i gruby wełniany sweter.

— Tak. Ty ubrać.

— Tu jest chyba ze sto stopni.

— Ty ubrać — powtórzył mężczyzna i wyciągnął trzy palce. — *Tres minutos.* — Odwrócił się w stronę drzwi, potem obejrzał za siebie i coś powiedział.

— Co?

Wykonał gest pukania do drzwi.

— Nie zastrzelić. — Odwrócił się, zamierzając wyjść.

— Zaczekaj.

Strażnik odwrócił się ponownie, a na jego twarzy pojawiła się złość.

— Muszę iść do łazienki.

Mężczyzna zmarszczył brwi. Nie mogli się porozumieć. Evan wykoślawił nogi i zaczął podskakiwać — pokazał uniwersalny gest oznaczający parcie na pęcherz.

— Chce mi się sikać — powiedział. — Muszę iść do łazienki.

Wyraz zakłopotania na twarzy strażnika zmienił się w niechętny uśmiech. Wskazał palcem stojący w kącie kubeł.

Evanowi opadła szczęka.

— Jaja sobie robisz.

— Si — odpowiedział, wskazując ponownie kubeł. — Srać. — Zamknął drzwi i z zewnątrz zawołał: — *Dos minutos!*

Biura Security Solutions zajmowały drugie piętro stuletniej dawnej remizy strażackiej. Na parterze i pierwszym piętrze znajdowało się mieszkanie Jonathana. Oparł się urokiem własnego mieszkania, podszedł do wejścia do firmy i uśmiechnął się do kamery. W ostatnich miesiącach wejście było remontowane. Wcześniej zdarzyło się, że niechciani goście złamali kody bezpieczeństwa i dostali się do środka. Teraz każdy z pracowników, który chciał wejść do biura, musiał zostawić odcisk kciuka na skanerze i przeciągnąć przez czytnik kodowaną kartę, a w tym czasie kamery przeprowadzały identyfikację gościa.

Ponieważ Jonathan był właścicielem firmy, wystarczył jego uśmiech. Zamek zabrzęczał i Jonathan popchnął drzwi.

Przywitał go widok labiryntu boksów. W tej frontowej części biura — nie wiadomo dlaczego nazywanej „jama” — ekipa dwudziestu śledczych wraz z pomocnikami zajmowała się oficjalną i legalną częścią interesów Security Solutions. Klientami byli najczęściej ludzie doskonale znani w świecie biznesu.

Ekipa Jonathana czekała na niego w centrum dowodzenia — sali konferencyjnej ze ścianami wyłożonymi drewnem tekowym, znajdującej się w „jaskini”, części przeznaczonej dla kierownictwa firmy. To tutaj załatwiano potajemne interesy. Mało kto w firmie wiedział,



co się właściwie dzieje w jaskini. A ci, którzy się domyślali, wiedzieli, że mają milczeć.

Boxers i Venice siedzieli za stołem. Podobnie najnowszy nabytek w firmie — Gail Bonneville. Wszyscy trzymali w dłoniach kubki z parującą kawą.

— Dzień dobry wszystkim — przywitał się Jonathan.

W odpowiedzi usłyszał tylko ciche mamrotanie. W pomieszczeniu panował żalobny nastrój. Cała trójka starała się odwrócić wzrok od wyświetlanego na ekranie wielkiego zdjęcia chłopca.

Jonathan wytłumaczył Venice, że dopóki ta sprawa nie znajdzie swojego wyjaśnienia, zdjęcie Evana Guinna będzie im towarzyszyło cały czas. Jego zdaniem znaczący był fakt, że dysponowali tylko tym jednym aktualnym zdjęciem, zrobionym kilka miesięcy wcześniej podczas szkolnego przyjęcia bożonarodzeniowego. A przecież Resurrection House miał być ich domem. Irytowało go, że życie chłopca było tak słabo udokumentowane.

Twarz patrząca z ekranu wyrażała zwyczajne emocje w zwyczajnym miejscu. Uśmiech był dostatecznie promienny, ale ograniczał się do zębów i ust. W oczach była pustka — wyraz postawy „nie pokazuj po sobie niczego, a nikt cię nie skrzywdzi” — typowa dla każdego więźnia: mieszanka strachu i stanowczości. Najbardziej charakterystyczna była długa, falująca grzywa blond włosów.

Z własną porcją kofeiny w ręku Jonathan usiadł u szczytu stołu i położył dłonie płasko na jego blacie.

— Spójrzcie na mnie — powiedział.

Cała trójka podniosła wzrok.

— Jak się miewa Dom? — zapytał Venice. Jak Mama Alexander była duszą Resurrection House, tak Dom był jego sercem.

Dom i Jonathan przyjaźnili się od czasów college'u.

Venice westchnęła.

— Robi, co może. Trudno jest radzić sobie z problemami dzieci, a dziennikarze są nadzwyczaj brutalni.

— Pieprzeni reporterzy gotowi są ukrzyżować każdego, kto ma jakiś związek z Resurrection House — warknął Boxers.

— Robią to, co do nich należy — odparł Jonathan. Przeciągnął dłonią po włosach i podrapał się w tył głowy. Ci, którzy go znali, wiedzieli, że ten gest jest wyrazem frustracji. — A my trzymamy

się od tego z dala. Ven, po naradzie, chcę, żebyś włączyła do działania Matta Bakera i Anne Hawkins. Dom niech skoncentruje się na pomocy dzieciom.

Venice zapisała w notesie słowa Jonathana, darując sobie uwagi na temat wyboru tych właśnie ekspertów od public relations i prawa. Być może zrozumiała, że sytuacja wymaga zatrudnienia najlepszych, nawet jeśli biorą po dwa tysiące za godzinę pracy.

— Kto rozmawiał z panem Stewartem?

Venice i Gail jednocześnie podniosły ręce.

— Jest uroczy jak zawsze — powiedziała Gail. — Martwi się bardziej o dzieci niż o siebie.

— Mam nadzieję, że nic nie wie o porwaniach?

— Chciałabym — odparła Gail — ale jakiś reporter dodzwonił się do niego.

— Pieprzeni reporterzy — powtórzył Boxers. — Dlaczego nikt nie przechwycił tej rozmowy?

— Teraz już to robią — uspokoiła go Venice. — Przez tę rozmowę. — Spojrzała na Jonathana. — Na pewno poczułby się lepiej, gdyby wiedział, że Jeremy'emu nic się nie stało.

Jonathan potrząsnął głową.

— Wiem o tym, ale nie możemy sobie pozwolić na żaden przeciek. Jeszcze nie teraz. Pan Stewart jest na dobrej drodze do wyzdrowienia?

— Jego stan jest wciąż krytyczny, ale stabilny — odparła Venice. — Nieoficjalnie lekarz powiedział mi, że najgorsze jest już za nim.

— Dzięki Bogu i za to — powiedział Jonathan. Wziął duży łyk kawy z kubka i powiedział zebranym, co przyniosły ostatnie godziny. Wstał przy tym z fotela, otworzył dwuskrzydłowe drzwi w ścianie i na białej tablicy spisał najważniejsze punkty.

— W tym miejscu obecnie się znajdujemy — podsumował. — Kierowcę, Jimmy'ego Henry'ego, wynajął człowiek nazwiskiem Sjogren, który ma związki z rodziną Slaterów poprzez jej nowego szefa, Sammy'ego Bella. Może tu więc wchodzić w rachubę przepięczość zorganizowana. — Zapisał to na tablicy.

— Czy to nie przez tę bandę twój ojciec miał kłopoty? — zapytał Boxers.

— Zgadza się — odparł Jonathan. — Ale to nie koniec. Mamy jeszcze powiązania z rządem. — Oddał głos Venice, która opowiedziała o swoich odkryciach na temat życiorysów zastrzelonych bandytów.

— Związki z rządem nie są pewne na sto procent — podsumowała Venice — ale na mój nos istnieją.

Gail Bonneville podniosła rękę.

— Nie chcę uchodzić za mało pojętą, ale mówicie o tym tak, jakby to miało jakikolwiek sens. Agenci rządowi napadają i zabijają dzieci? Czegoś tu nie rozumiem. — Gail zaczęła karierę w FBI, szybko pięła się w górę i wkrótce została szefem HRT, oddziału zajmującego się uwalnianiem zakładników, w biurze regionalnym FBI w Chicago. Burzliwy koniec kariery w FBI sprawił, że została szeryfem w jednym z hrabstw w Indianie. W tej roli spotkała Jonathana podczas jednej z jego wcześniejszych misji. Gail była kobietą zadbaną i wysportowaną, a poza tym, zdaniem Jonathana, piękną niczym gwiazda filmowa. Miała ciemnobrązowe oczy, ciemnobrązowe włosy i emanowała inteligencją.

— Na tym etapie wszystko może się wydawać pozbawione sensu — wtrącił Boxers. Jego lekceważący sposób bycia doprowadzał czasem innych do szału.

Venice zignorowała uwagę olbrzymia i spojrzała na Gail.

— Zastanów się, to wcale nie jest takie dziwaczne. Rodzice wszystkich dzieci w tej szkole to kryminaliści. Niektórzy weszli w konflikt z prawem federalnym. Wielu zalało za skórę ludziom ścięganym przez prawo federalne.

— No dobrze — powiedziała Gail. — Spróbujmy to połączyć w całość. Jakaś zorganizowana grupa przestępcza za karę porywa chłopców. Być może. Ale co tu robią agenci federalni?

Jonathan przyglądał się swojej nowej protegowanej z mieszaniną uwielbienia i pożądania. Gail potrafiła w ciągu kilku sekund przetworzyć zebrane informacje i wyciągnąć właściwe wnioski.

— Trudno mi uwierzyć — ciągnęła Gail — że agenci rządu Stanów Zjednoczonych zlecają porwanie i zamordowanie dzieci takim oprychom. To przecież nie ma sensu.

— Związek Seana O'Briana z rządem jest udowodniony — rzekł Jonathan. — I szczerze mówiąc, brak informacji na temat

drugiego mordercy też sugeruje, że Wuj Sam maczał w tym palce.

Gail nie była przekonana.

— Kiedy mówisz o organizacji przestępczej, przyznaję ci rację. Ale rząd? To nie ma sensu.

Jonathan uwielbiał patrzeć, jak czerwienieją jej Uszy, kiedy dyskusja staje się żarliwa.

— Może mafia wykorzystuje tych samych ludzi, z których usług od czasu do czasu korzysta Wuj Sam? Czy to wystarczająco dobrze tłumaczyłoby powiązania?

Bingo. To brzmiało przekonująco.

— Ven? — Jonathan zmienił temat. — Powiedz, czego się dowiedziałas o rodzicach chłopców.

Venice wyciągnęła ze stosu papierów teczkę i otworzyła ją.

— Zaczniemy od Franka Schulera — powiedziała, rozkładając przed sobą papiery. Wzięła do ręki policyjne zdjęcie podpisane nazwiskiem. — To ojciec Jeremy'ego. Siedzi w celi śmierci w Wirginii za zabicie żony, a matki Jeremy'ego.

Boxers wydał z siebie dźwięk powietrza uwalnianego z otwieranej puszki.

— Zdradzała go z facetem, który nazywa się Aaron Hastings. Schuler zastrzelił ją. W trakcie procesu cały czas utrzymywał, że jest niewinny, ale sąd nie dał temu wiary. Jeśli nie zdarzy się cud, za dziewięć dni dostanie śmiertelny zastrzyk.

Włożyła papiery dotyczące Schulera z powrotem do teczki i otworzyła drugą. Pokazała kolejne zdjęcie. Nikt nie mógł wątpić o pokrewieństwie łączącym Evana i jego ojca. Mieli takie same jasne włosy i niebieskie oczy, takie same kanciaste rysy.

— To jest Arthur Guinn — powiedziała — a oto twoje powiązanie z mafią. Arthur był egzekutorem.

— Płatnym zabójcą — poprawiła ją Gail.

Venice wzruszyła ramionami.

— Jeśli tak wolisz. Zabijał ludzi dla pieniędzy i dał się złapać. — Zajrzała do notatek. — Zamordował współpracownika byłego kongresmana Marka Levy'ego z Nowego Jorku.

Guinn twierdził, że skręcało go ze złości na myśl o polityce, jaką prowadził kongresman, ale z akt wynika, że federalni zawsze podejrzewali go o powiązania z mafią Slatera.

Jonathan zauważył uśmiech zadowolenia na twarzy Venice, kiedy wypowiadała to ostatnie zdanie.

— Kiedy przecięły się drogi Guinna i Schulera?

Uśmiech znikł.

— Nigdy — odparła Venice. — Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Nie wiem nawet, czy mieszkali kiedykolwiek w tym samym stanie, nie mówiąc już o mieście.

— Musi istnieć jakiś związek — zauważył Boxers.

— Naprawdę? — odparła Venice. — O kurczę! Powinna być o tym pomyśleć.

Boxers odchylił się do tyłu w fotelu.

— Co ja, do diabła, takiego zrobiłem?

— Zasugerowałeś, że Venice nie potrafi dobrze wykonać zadania — podsunęła mu Gail.

— Wcale nie! Ja tylko powiedziałem...

Jonathan uniósł obie ręce jak policjant wstrzymujący ruch w obu kierunkach jednocześnie.

— Ani słowa. Gail, chcę, żebyś przesłuchała obu ojców. Skoro zaginęli ich synowie, może zechcą się trochę otworzyć. Gdyby służba więzienna robiła trudności, poproś o pomoc Douga Kramera.

Gail zapisała coś w notesie z cętkowaną okładką, z którym się nigdy nie rozstawiała.

— Możesz się poczuć zawiedziona, kiedy pójdziesz porozmawiać z Arthurem Guinnem — powiedziała Venice. — Zadzwońłam do Departamentu Więziennictwa stanu Illinois, żeby sprawdzić, czy nie uda mi się czegoś od nich wyciągnąć, i dowiedziałam się, że pan Arthur Guinn nie widnieje w ich systemie.

Jonathan zatrzymał się w pół kroku i obrócił.

— Co to znaczy?

— Ty mi powiedz.

Jonathan spojrział na Boxersa i Gail, ale nie zobaczył żadnego śladu pomysłu.

— Co oni ci powiedzieli?

Venice podparła się notatkami.

— Powiedzieli, że nie ma żadnej bezpośredniej dyspozycji w jego sprawie, ale nie widnieje w systemie. Kiedy zapytałam, czy

został przeniesiony do jakiegoś innego systemu, usłyszałam: „nie potwierdzam, nie zaprzeczam”.

Jonathan zrozumiał, co Venice chciała przez to powiedzieć.

— Masz na myśli program ochrony świadków — rzekł.

Venice uśmiechnęła się z wyższością.

— Federalni chcą, żeby zeznawał — wtrąciła się Gail. — Muszą mieć na celowniku Sammy'ego Bella. Żeby skłonić Guinna do mówienia, zawarli z nim układ.

Jonathanowi spodobała się ta teoria. Wskazał na Venice i powiedział:

— Wiem, że Dom jest teraz zavalony robotą, ale chcę, żeby się skontaktował...

— Już z nim rozmawiałam. — Venice promieniała. — Masz umówione spotkanie z Wolverine o pierwszej.

# Rozdział 16

Evan Guinn dokładnie wypełniał wszystkie polecenia. Wyprowadzili go z chaty. Z dwoma strażnikami po bokach został doprowadzony w odległe o dwadzieścia jardów miejsce, które wyglądało jak plan filmowy. Strażnicy wycięli gęstą roślinność, dzięki czemu widoczna była spora skała pomalowana w białe pasy. Także ziemia dookoła skały była pomalowana na biało i posypana czymś, co wyglądało na plastikowe płatki śniegu, używane w świątecznych dekoracjach.

Za pomocą słów i gestów zmusili go do stanięcia przed skałą. Do ręki włożyli mu egzemplarz „Washington Post”, kazali trzymać go nieruchomo pod brodą i uśmiechać się. Porozumiewał się z nim przysadzisty człowiek z chaty, tłumacząc polecenia ciemnoskórego mężczyzny w czarnych spodniach i długiej białej koszuli, trzymającego w ręku telefon komórkowy z aparatem fotograficznym. Najwyraźniej chcieli zrobić zdjęcie, które sugerowałoby, że Evan znajduje się w jakimś chłodnym miejscu, choć pocił się jak świnia i miał bose stopy. Kto w to uwierzy?

Sztuczkę z gazetą widział już kiedyś w filmach na temat ofiar porwania. Używano nagłówka gazety jako dowodu, że ofiara wciąż żyje i należy zapłacić okup. Nagle poczuł ogarniający go strach. Kto miałby zapłacić za niego okup? Mama nie żyła, a tata siedział w więzieniu. Poza tym nie miał nikogo. Nikt nie miał nic wartościowego, na co można by go wymienić. Nie było żadnego powodu, żeby pozostawić go przy życiu.

A jednak musiał istnieć jakiś powód. Przewiezienie go w to miejsce kosztowało ich sporo zachodu. A gdzie się teraz znajdował? W Meksyku? W Ameryce Południowej?

Jezu, jak on długo spał? Ameryka Południowa i Meksyk znajdowały się daleko od Wirginii. Nie lubił lekcji geografii, ale tyle wiedział.

Co zamierzali z nim zrobić? Zalała go kolejna fala strachu. Zdarzało mu się już bywać samemu w towarzystwie spoconych mężczyzn, na przykład w rodzinie zastępczej, z której trafił do Resurrection House. Wiedział, do czego tacy ludzie są zdolni, i fakt, że w okolicy nie dostrzegł żadnej kobiety, przyprawiał go o skurcz żołądka. Evan przypomniał sobie, co powiedział ojcu Domowi podczas jednej z sesji terapeutycznych — że nigdy już nie pozwoli się w ten sposób wykorzystać. Poprzednim razem był mały i zabrakło mu sił, żeby się wyrwać z ich niedźwiedzich uścisków.

Teraz miał już prawie czternaście lat i wiedział to i owo. Wiedział, z jakich powodów warto zabijać, a z jakich warto umierać. Ale przede wszystkim wiedział, kiedy nie warto było dalej żyć.

Cała sesja fotograficzna trwała nie dłużej niż dziesięć minut.

Zadowolony z rezultatów Facet z Chaty odciągnął Evana od skały i dał mu porządnie znoszone szorty w nieokreślonym kolorze. Coś pomiędzy szarością a czernią. Evan zastanawiał się, czy przypadkiem nie były kiedyś białe.

— Ty... ubrać — odezwał się i wskazał na chatę. Potem coś paplał, wykonując przy tym powłóczyście ruchy dłońmi wzdłuż ciała chłopca.

— Że co?

Facet z Chaty chwycił palcami rękaw swetra Evana i lekko pociągnął.

— *Esto... sweeter?*

— Sweter? — domyślił się Evan.

Facet z Chaty kiwnął głową i wskazał na dżinsy Evana. Długo szukał słowa.

— Oddać.



Evan nie wahał się ani chwili. Zdjął sweter i golf przez głowę i oddał je mężczyźnie. Był teraz do pasa nagi. Dotarło do niego, że powinien oddać też spodnie, wrócił więc do chaty. Z ulgą stwierdził, że strażnicy tym razem nie poszli za nim.

W środku przebrał się w szorty i położył na drewnianych drzwiach. Zwinięte dzinsy włożył pod głowę jak poduszkę. Ramieniem zasłonił oczy i wziął głęboki wdech. Nie będę płakał — mówił do siebie. Niczego to nie zmieni, a pokaże słabość.

Co gorsza, słabość dodaje sił ludziom, którzy chcą cię skrzywdzić.

Kim byli ci ludzie? I co zamierzali z nim zrobić?

Co zamierzali mu zrobić?

Czuł, że drży i zacisnął mocniej powieki. „Musisz nauczyć się radzić sobie z rzeczywistością — słyszał słowa ojca Doma. — Kiedy przydarzają się nam złe rzeczy — szczególnie w dzieciństwie — chcemy znać powód. Tak uporczywie szukamy w dniu wczorajszym, że tracimy z oczu dzień dzisiejszy. A liczy się tylko dzisiaj. Dzisiaj i jutro. Wczoraj to przeszłość i musimy ją usunąć na bok, a wtedy Pan pozwoli nam zrozumieć”.

Leżąc w tej przepoconej cuchnącej norze, poczuł tęsknotę za domem. Zalała go fala smutku. Takie same uczucia dławily go, kiedy wreszcie pracownicy socjalni zaczęli go słuchać. Miał wtedy dziewięć lat. Trudno było nie poddać się ciemności.

— Co się ze mną dzieje? — wypowiedział te słowa na głos.

„Kiedy Bóg zechce, żebyś zrozumiał, powie ci o tym”.

Evan odstąpił szybko oczy i obrócił głowę w nadziei ujżenia ojca Doma. Tak wyraźnie zabrzmiał jego głos w głowie Evana.

*Kiedy zechce, żebym zrozumiał, powie mi o tym.*

Zalało go uczucie jasności, mrok ustąpił.

Nie miał czasu na uzalanie się nad sobą. Musiał wziąć się w garść i zmierzyć z rzeczywistością. A zatem musiał skupić się na fakcie, że został zabrany z miejsca, które lubił, i przeniesiony w miejsce, które cuchnęło pleśnią i było gorące jak piekło. Nie miał żadnych przyjaciół, a to znaczyło, że jest zdany na siebie.

Jak tu uciekać, skoro nie wiadomo, gdzie się jest? Trzeba przecież skądś zacząć ucieczkę, a Evan nie miał nawet kompasu, który wskazałby mu kierunek. Zresztą nie umiał posługiwać się kompasem.

Dlatego jego pierwsza decyzja była prosta — na razie zaczeka i zobaczy, co się wydarzy. Nie widział powodu, żeby prowokować tych ludzi, mogli go przecież zabić. Gdy przyjdzie czas, żeby ryzykować życie, Evan czuł, że będzie o tym wiedział i wtedy podejmie właściwą decyzję. A teraz po prostu zwinie się w kłębek i...

Drzwi otworzyły się z hukiem i w progu na tle ostrego światła dnia pojawiła się sylwetka Faceta z Chaty.

— Chodź — powiedział, przywołując go machnięciem ręki. — Pora iść.

— Dokąd? — zapytał Evan.

— *Appurate* — odparł mężczyzna. Evan zrozumiał, że to znaczy „szybko”. Zostawił zwinięte džinsy na swoim miejscu i ostrożnie podszedł do drzwi. Na zewnątrz zobaczył czekający na niego poobijany samochód z napędem na cztery koła.

# Rozdział 17

Więzienie stanowe Sussex 1 przy Musselwhite Road w Waverly w Wirginii rozciągało się niczym rakowa narośl na dawnych tytoniowych polach na południe od Richmondu. Otwarte w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku, było świetnym przykładem tak modnego w dzisiejszych czasach więzienia typu supermax.

Stanowiło dom dla najgorszych z najgorszych, którzy byli tu traktowani w odpowiedni sposób — zamknięci przez dwadzieścia cztery godziny na dobę w dźwiękoszczelnych celach, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę odpoczywali w samotności. Na swój sposób duszna atmosfera nowoczesnych cel musiała być bardziej uciążliwa niż żelazne klatki z dawnych lat.

Mimo wielu lat przepracowanych w charakterze stróża prawa — najpierw jako agentka FBI, a potem jako szeryf niewielkiej społeczności w Indianie — Gail Bonneville nie przywykła do przytłaczającej, dusznej atmosfery więzienia. Przefiltrowanym odorem ludzkich ciał trudniej było oddychać niż świeżym powietrzem na zewnątrz. Zastanawiała się czasem, czy można zamknąć drzwi tak szczelnie, że poziom tlenu w celi zacznie spadać. Jeśli dodać do ogólnej mizerności tego miejsca potworną wilgotność dusznego lipcowego dnia, zaczyna się rozumieć, jak niewiele różni się współczesny amerykański system więziennictwa od sal tortur średniowiecznej Europy. Ciekawa była, gdzie się podzieli ci wszyscy domagający się zamknięcia Guantanamo, skoro miejsca takie jak to — całkiem nowe — wciąż działały?

Jedynym plusem był fakt, że udało się zapanować nad hałasem, powszechnym w więzieniach starszego typu.

Umowa, jaką Gail zawarła z adwokat Franka Schulera, Marie Brady, nie przewidywała żadnych odstępstw — ona pozwoli swojemu klientowi pojawić się w tym samym pokoju co Gail, ale wszystkie pytania będą kierowane do niej. Następnie sama podejmie decyzję, czy na nie odpowie. Na niecałe dwa tygodnie przed egzekucją nie mogło to już niczego zmienić. W idealnym świecie Schuler nie powinien rozmawiać z nikim, choćby daleko spokrewnionym z jakimś stróżem prawa. Został uczyniony wyjątek tylko dlatego, że porwano syna skazańca.

Zgodnie z instrukcjami Jonathana Gail nie wspomniła słowem o ocalonym chłopcu.

Z szacunku dla beznadziejnej sytuacji Franka Schulera ubrała się skromnie i nieprovokująco. Oznaczało to szare spodnie i czarną bluzkę, na której nie było widać ewentualnego brudu z więziennych mebli.

Marie Brady pojawiła się pierwsza i czekała na przyjazd Gail w recepcji. Pani mecenas była ni to wysoka, ni niska, ubrana skromnie jak Gail, choć mniej formalnie, niż Gail się spodziewała. Czarne spodnie i top pochodziły na pewno ze sklepu z gotową odzieżą, a buty dawno nie widziały pasty i szczotki.

Kobiety przywitały się serdecznie, a następnie Marie przeprowadziła Gail przez całą procedurę dopuszczającą do wejścia do celi śmierci. W jej trakcie Gail zwróciła uwagę na szacunek, jaki strażnicy okazują pani mecenas. Kiedy zadawali zdawkowe pytania z formularza, odniosła wrażenie, że za chwilę przeproszą je za niestosowność swojego postępowania.

— Pewnie się tu pani czuje — powiedziała Gail, kiedy minęły służę bezpieczeństwa i ruszyły w głąb jasno oświetlonego korytarza.

— „Pewnie” nie jest właściwym słowem — odparła Brady. — Zwłaszcza gdy ma się misję do spełnienia. Ale jestem tu stałą bywalczynią. Powiem pani w sekrecie, wydaje mi się, że oni wszyscy chcą, żebym wygrywała sprawy, w których jestem obrońcą.

— Sprawy morderców? — W głosie Gail pojawiło się wzburzenie, którego nie chciała okazać.

— Istot ludzkich — poprawiła ją Brady. — Z biegiem lat powstaje więź między strażnikami a skazanymi. Niełatwo patrzeć, jak idą na śmierć za zbrodnie, które zostały popełnione dawno temu. — Kiedy zbliżały się do kolejnych drzwi, mecenas dodała jeszcze, mówiąc właściwie do siebie: — Gdyby w politykach była choć połowa człowieczeństwa najgorszego z tych zbrodniarzy, nie mielibyśmy do czynienia z usankcjonowanymi morderstwami. Wkrótce — ciągnęła Brady — pewnie za trzy, cztery dni przeniosą Franka do celi śmierci w Greenville. To jakieś trzydzieści pięć mil stąd. U niektórych strażników widywałam nawet łzy w kąciku oka, kiedy więzień wyjeżdżał w ostatnią podróż. Cóż, w takich sytuacjach górę biorą emocje.

Z jakichś, istotnych pewnie dla kogoś powodów stan Wirginia postanowił oddzielić cele śmierci od sali, w której wykonywane są egzekucje. W rzeczywistości ta sala znajdowała się w samym środku więzienia o średnim rygorze. I jak tu nie kochać biurokratów?

Minąwszy kolejne drzwi, Gail i Brady dotarli do małego pomieszczenia za szklanymi ścianami. Dla Gail był to szok, meble były sterylnie czyste i lśniące.

— Wie pani, Marie, że muszę włączyć magnetofon? — upewnił się strażnik, który przez całą drogę nie odezwał się ani słowem.

— Wiem — odpowiedziała z uśmiechem Brady. — Zwykle moje rozmowy z Frankiem są uprzywilejowane — wyjaśniła Gail. — Ale ponieważ pani nie jest adwokatem, a zamierza wysłuchać tego, co ma do powiedzenia Frank, władze stanu też chcą to usłyszeć.

Gail wydało się to niepokojące, choć nie potrafiła powiedzieć z jakiego powodu.

— Dlatego tak ważne jest, żeby wszystkie pytania były kierowane do mnie — ciągnęła Brady. — Jeśli w pytaniu pojawi się coś, o czym Frank nie powinien mówić głośno, przerwę wam. Bardzo proszę nie kwestionować moich decyzji, dopóki nie znajdziemy się poza więzieniem.

Gail się zgodziła. Mecenas miała dar przekonywania. Nie każdy potrafiłby wyrecytować taką instrukcję i nie sprawiać przy tym wrażenia wyniosłego.

Po minucie, może dwóch, otworzyły się drzwi w przeciwległej ścianie i drugi strażnik wprowadził skutego łańcuchami Franka Schulera. Wyglądał na dwadzieścia lat starszego niż na zdjęciu sprzed ośmiu lat. Był chudy, a właściwie wychudzony, a na głowie została mu tylko resztką siwych włosów. Powłóczył nogami, jak każdy skazany na dożywotni pobyt w więzieniu. Bez pouczeń obrócił się i wyciągnął przed siebie nadgarstki skute kajdankami.

Z uwolnionymi rękami, z rezygnacją i spokojem przyjąwszy fakt, że nogi będzie miał nadal skute, poczłapał do stołu i pozwolił się uściskać swojej adwokat.

— Powiedzieli mi, że chodzi o Jeremy'ego — wyrzucił z siebie w pośpiechu. — Czy coś wiadomo? Powiedzcie, że przynosicie dobre wieści.

— Frank, to jest Gail Bonneville, prywatny detektyw z Fisherman's Cove.

Frank natychmiast skojarzył nazwę.

— To miasto, w którym jest ta szkoła — powiedział.

Gail wyciągnęła rękę, którą Frank gorliwie potrząsnął.

— Tak, to jest to miasto, ale obawiam się, że nie mam dla pana żadnych nowych wiadomości — odparła. W tych okolicznościach kłamstwo brzmiało wyjątkowo paskudnie.

Mina mu zrzędała.

— To po co pani tu przyszła?

Gail wskazała na krzesło.

— Usiądźmy.

— Postójmy — odparł Schuler. — Po co pani tu przyszła? — Biły od niego przerażenie i strach.

— Szkoła zatrudniła mnie do przeprowadzenia niezależnego śledztwa.

— Jak mogło się coś takiego zdarzyć? — wykrztusił Schuler, a jego blada twarz poczerwieniała. — Przecież to jeszcze dzieci! Dlaczego nie było tam ochrony?

Gail powstrzymała pokusę, by go uspokoić.

— Pracuję dla, a nie w Resurrection House, panie Schuler. Próbuje ustalić, kto mógł porwać pańskiego syna i dlaczego.

— A może ustaliłaby pani najpierw, dokąd został zabrany?

Gail wstrzymała się przez chwilę z odpowiedzią. Taka taktyka pozwalała osobie przesłuchiwanej nieco ochłonąć

— To wszystko się ze sobą łączy. Mamy nadzieję, że wiedząc kto i dlaczego, dowiemy się też dokąd. Wiem, że jest pan zmartwiony...

— Tak pani myśli?

— ...ale rozpamiętywanie przeszłości nie wniesie nic nowego do przyszłości. — Gail starała się, żeby jej głos brzmiał przekonująco.

Twarz Schulera poczerwieniała jeszcze bardziej, ale w jego spojrzeniu zaszła jakaś zmiana. Rzucił krótkie spojrzenie swojej adwokat.

— Ona ma dobre intencje — powiedziała Marie. — Myślę, że powinieneś z nią porozmawiać.

Minęła długa chwila. Nikt się nie poruszył.

— Usiądźmy — zaproponowała Brady i przysunęła sobie krzesło. Udało się. Schuler miał czas, żeby się uspokoić, Gail, żeby zareagować, teraz przyszła pora na właściwą rozmowę.

Frank Schuler obrócił się ostrożnie i usadowił na krześle.

— Przepraszam za ten wybuch — rzekł. — Ale czy może pani sobie wyobrazić, jak to jest, kiedy człowiek siedzi w więzieniu i słyszy, że porwano mu dziecko?

— Jestem przekonana, że nic, co mogłoby mi przyjść do głowy, nie byłoby równie straszne — zapewniła go Gail.

Schuler nieco się odprężył.

— Dlaczego prywatny detektyw, a nie glina?

— Policja jeszcze z panem nie rozmawiała? — Gail nie próbowała ukryć zaskoczenia.

Brady odpowiedziała za swojego klienta.

— Proszę pamiętać o zasadach, pani Bonneville.

— Proszę mówić do mnie Gail.

— Ja mam na imię Marie. A to jest Frank. Oficjalne sformułowania byłyby trochę zabawne w tych okolicznościach. A odpowiadając na twoje pytanie, jestem pewna, że prędzej czy później policja tu dotrze. Moim zdaniem rozmowa z nami nie jest teraz dla nich najważniejsza. Szczerze mówiąc, jestem nieco zaskoczona, że dla ciebie to spotkanie ma znaczenie.

Gail postanowiła, że nie będzie się tłumaczyć z własnych teorii. Otworzyła swój notatnik i spytała:

— Czy nazwisko Guinn, Evan albo Arthur mówią coś twojemu klientowi?

Marie skinęła Frankowi głową. Najwyraźniej ta forma rozmowy była dla nich sprawą powszednią.

— Kim oni są?

Gail zamierzała odpowiedzieć, ale ugryzła się w język.

— Mogę mu odpowiedzieć? — zapytała Marie.

Adwokat uśmiechnęła się.

— Ważne są tylko twoje pytania i jego odpowiedzi — powiedziała. — A nie odwrotnie. Wierz mi, za chwilę się do tego przyzwyczaisz.

Na razie Gail czuła się z tym dziwnie.

— Evan to drugi chłopiec, który został porwany ze szkoły — wyjaśniła. — Arthur jest jego ojcem. Znasz ich?

Frank Schuler uciekł spojrzeniem w bok i skrzywił się. Jego twarz wyrażała żal.

— Nie — odparł. — Nazwisko brzmi znajomo, ale skąd mam wiedzieć? Spotkałem w życiu mnóstwo ludzi. To jedyne nazwiska, jakie masz?

Gail postanowiła przywołać nazwisko zabójcy, którego udało im się zidentyfikować.

— A Sean O'Brian?

Kolejna chwila zastanowienia.

— To też jest popularne nazwisko. Kto to jest?

Gail znalazła się na skraju przysłowiowej przepaści. Identyfikacja zabójcy była nielegalna. Odpowiadając na to pytanie, pokazałaby swoje karty. Z drugiej strony wymijająca odpowiedź może Franka rozwścieczyć albo skłonić do milczenia. Postanowiła zaryzykować.

— Podejrzewamy, że mógł mieć coś wspólnego z Sammym Bellem. Czy to...

Marie uniosła wyciągniętą rękę.

— Stop! Następne pytanie, proszę.

— Z tym gangsterem?

— Frank, nie.

Gail zareagowała błyskawicznie.

— Tak, z tym gangsterem.

Teraz Marie ostrzegawczo wyciągnęła palec.

— Obiecałaś mi, Gail.



— To on zadał pytanie. — Gail rozłożyła ręce, udając niewiniątko.

— Myślisz, że Sammy Bell ma z tym coś wspólnego? — naciskał Frank.

Marie uderzyła otwartą dłońią w blat stołu.

— Do cholery, Frank, przestań!

— Co mam przestać? — Frank był wściekły. — Rozmawiamy o moim synu. Moim jedynym dziecku. Czego mam twoim zdaniem nie robić?

— Masz przestać gadać! — warknęła Marie. — Sammy Bell to znany gangster. Wszystko, co powiesz...

— Co? — przerwał jej Frank. — Co takiego musiałbym powiedzieć, żeby znaleźć się w jeszcze większym gównie, niż jestem?

— Wciąż jeszcze mamy możliwość apelacji — przypomniała mu Marie. — Wszystko, co powiesz...

— Pieprzę apelację, Marie.

Adwokat sprawiała wrażenie, jakby Frank ją spoliczkował.

— Nie zamierzają zawiesić wykonania kary. Za dziewięć dni przywiążą mnie do stołu, wbiją igły w ręce i zabiją. Wolę umrzeć, wiedząc, że zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby pomóc Jerem'y'emu, niż umierać, nie wiedząc, gdzie on teraz jest. — Frank zwrócił się do Gail: — Pytaj.

— Niech cię szlag, Frank.

— Mam cię zwolnić, Marie?! — wrzasnął. — Nie chcę tego robić, ale może będę musiał. Decyzja należy do ciebie, ale musisz ją podjąć zaraz.

Gail zdała sobie sprawę, że od dłuższego czasu wstrzymuje oddech. Tymczasem Marie Brady wydawała się zraniona i była na granicy płaczu.

— To będzie koniec, jeśli się poddamy — powiedziała drżącym głosem.

Oczy Franka Schulera płonęły.

— Wspomniałaś o Sammym Bellu — przypomniał.

Gail przełknęła głośno ślinę.

— Marie...?

— On jest klientem — odrzekła z gniewnym machnięciem dłonią. I choć sprawiała wrażenie nadąsanej, Gail wiedziała, że to oznaka rezygnacji.

Gail przeniosła wzrok na Franka.

— Tak. Uważamy, że Sean O'Brian był człowiekiem Sammy'ego Bella.

— Czy on nie żyje?

— Jezu. — Marie złożyła dłonie.

— Kto nie żyje? — zapytała Gail. Ta rozmowa zaczynała przypominać huragan.

— Ten cały Sean. Mówiłaś o nim w czasie przeszłym.

Cholera, zakłęła w duchu Gail.

— Miałam na myśli, że zwykle pracuje dla Sammy'ego Bella.

— Miała nadzieję, że udało jej się zachować kamienną twarz.

— Co dla niego robił? — zapytał Frank. Gail nabrała powietrza w płuca i westchnęła.

— Niech pan posłucha, panie Schuler...

— Frank.

— Okay, Frank. Wiem, że chcesz się jak najwięcej dowiedzieć, ale muszę cię poprosić o odpowiedź na kilka pytań.

— Coś ukrywasz?

Cholera, pomyślała Gail, ostry facet.

— Każdy coś ukrywa, prawda? — odparła z pełnym zażenowania uśmiechem.

Lekkim skinieniem głowy przyznał jej rację.

— Tak, chyba tak. — Frank przeszedł do rzeczy. — Wiem, kim jest Sammy Bell, a na potrzeby magnetofonu powiem, że pan, panie podsłuchujący, też pewnie o nim słyszał. Ale o Seanie O'Brianie nie słyszałem.

Gail kątem oka dostrzegła, że Marie się nieco rozluźniła. Wyglądała jak pacjentka na fotelu dentystycznym, która spodziewała się najgorszego, a okazało się, że wcale nie bolało.

— Jeśli wierzysz w teorię o sześciu stopniach oddalenia — ciągnął Frank — to od Sammy'ego Bella dzielą mnie tylko dwa.

Marie wyprostowała się na krześle.

— Jasna cholera, Frank. — Rozluźnienie diabli wzięli, zastąpiło je przerażenie.

— No, może trzy — poprawił się Frank. — Zależy, jak liczyć.

— Jako twój adwokat stanowczo doradzam ci, żebyś się wreszcie zamknął.

Frank roześmiał się — głębokim, gardłowym śmiechem, świadczącym o tym, że słowa Marie nieźle go ubawiły.

— Uwielbiam cię, Marie. Masz absolutną rację.

Gail przyłapała się na tym, że śmieje się razem z nim. Po chwili Frank zaczął mówić dalej:

— Moja żona Marilyn pracowała u jednego z prawników Sammy'ego.

Gail kliknęła długopisem.

— Jak on się nazywa?

— Navarro — odpowiedział Frank, krzywiąc się i wyłamując palec. — Bruce Navarro.

Gail zapisała nazwisko w notesie.

— Wiesz, w czym się specjalizował?

— Pewnie w ratowaniu oszustów przed więzieniem. To akurat jest oczywiste, pomyślała Gail.

— Miałam nadzieję na coś więcej... Frank przerwał jej machnięciem reki.

— Wiem, o co ci chodzi. Byłem zwykłym dupkiem, a on zajmował się kontraktami, cokolwiek to znaczy.

— To znaczy pięćset dolców za godzinę — warknęła Marie.

— Czym się u niego zajmowała twoja żona — Gail zajrzała do notesu — Marilyn?

Frank wzruszył ramionami.

— Sprawy urzędowe. Była sekretarką. Nic szczególnie ważnego.

Pamięć podsunęła Gail wspomnienie czegoś, co czytała w aktach. Czegoś na temat Bruce'a Navarro. A dokładniej — Navarro i partnerzy.

— Aaron Hastings — rzuciła Gail.

— Och, proszę, zamknij się — wyjęczała Marie.

— Kochanek Marilyn — odpowiedział Frank. — Człowiek, który, jak sądzą, zabił Marilyn i wrobił mnie w to morderstwo.

Gail przeczytała wcześniej w aktach, że Schuler przez cały czas tak twierdził, choć nie miał na to dowodów.

— Ale nie wiesz dlaczego — przypomniała mu Gail.

— Nikt nie wie dlaczego, ponieważ policja już na samym początku uznała, że to moja robota. Nie zadali sobie nawet trudu, żeby podejrzewać kogoś innego.

Gail spojrzała na Marie w oczekiwaniu potwierdzenia i zobaczyła, że kobieta kiwa głową.

— Frank był jedynym podejrzanym od pierwszej chwili — przyznała. — Pamiętaj, jak działa system: władze stanu nie muszą mieć racji, muszą tylko przekonać do tego sąd.

Dla kogoś spoza systemu taka opinia mogła się wydawać cyniczna, ale Gail wiedziała, że Marie tylko stwierdza fakt. Cały przemysł prywatnych dochodzeń działał dzięki zbyt częstym przypadkom złego prowadzenia śledztwa. Koniec końców, prawnicy po obu stronach byli tylko ludźmi, a ludzie niechętnie przyznają się do błędów. Gail miała okazję poznać w swoim życiu co najmniej tuzin prokuratorów — zarówno na szczeblu lokalnym, jak federalnym — którzy traktowali zwycięstwo kosztem sprawiedliwości za zupełnie uczciwy układ. Nawet otaczane czcią FBI zostało ostatnio przyłapano na fabrykowaniu dowodów obciążających osobę, która była uważana przez jej agentów za winną.

Gail nie zamierzała tak łatwo dać mu spokoju.

— Masz na ten temat jakąś teorię? Dlaczego Aaron miałby zabijać Marilyn?

Frank spojrział niepewnie na Marie i wziął głęboki wdech.

— Teoria to za duże słowo — odparł. — Mam za to kilka pytań. Gdyby połączyć je z właściwymi odpowiedziami, wiadomo byłoby, kto jest mordercą.

— Słucham.

— Wiedziałas o tym, że Bruce Navarro zniknął mniej więcej w tym samym czasie, kiedy została zamordowana Marilyn?

— Co to znaczy „zniknął”?

— To, co słyszysz. Jednego dnia był, tłusty i zadowolony z siebie i swojej adwokackiej praktyki, a drugiego dnia już go nie było. Z tego, co wiem, słuch po nim zaginął.

— Myślisz, że został zabity?

— Nie wiem i nie obchodzi mnie to — wyznał Frank. — Ale jest tu facet, który przysięga, że wystawiono zlecenie na Navarro. Nie zleca się zamordowania kogoś, kto już nie żyje, prawda?

— Ludzie plotą różne głupstwa — zauważyła Gail.

— Zgadza się. Ale ten facet nie kłamie.

— Kto to jest?

Frank pokręcił głową.

— Nie twój interes.

— Ale gdybym mogła z nim porozmawiać...

— Nie. Niewiele mi zostało czasu, ale nie będę w ostatnich chwilach swojego życia kapował. Musisz mi uwierzyć, że on powiedziałby ci to samo. — Pochylił się nad stołem i oparł rękoma o blat. — Navarro, Hastings i moja żona pracowali w kancelarii prawniczej powiązanej z mafią. Teraz albo zniknęli, albo nie żyją. Mówisz, że jesteś prywatnym detektywem, Gail. Jak mam ci to prościej wytłumaczyć?

— Jak policja mogła to zlekceważyć? — Gail zwróciła się do Marie.

Marie wzruszyła ramionami.

— Znaleźli swojego winnego.

— Próbowalaś to dogłębnie wyjaśnić?

Mina Marie mówiła: „Daj spokój”.

— Oczywiście, że tak. Ale czas na podejrzenia i inne scenariusze skończył się, kiedy Frank został przez sąd uznany za winnego. Wynik głosowania był dwanaście do zera. W Wirginii, kiedy sąd wyda wyrok, tylko naprawdę niepodważalny dowód może zmienić bieg wydarzeń. Badania DNA pomagają tylko niesłusznie skazanym za gwałt, trudno je przeprowadzić. Zbyt wiele politycznych karier załamało się z powodu prokuratorskich błędów. Dlatego wolą postać niewinnego człowieka na śmierć, niż spojrzeć mu w oczy i przeprosić za utracone lata.

Cynizm tych słów palił do żywego. Gail była trybikiem w tej maszynie dostatecznie długo, żeby wiedzieć, że jest w tym wiele prawdy.

— Obawiam się, że mogło być nawet gorzej, niż myślisz, Frank — powiedziała Gail.

Frank zastanowił się nad tym, co powiedziała, i twarz mu pociemniała.

— O mój Boże!

Gail powiedziała to głośno do obojga:

— Wszyscy zniknęli albo nie żyją, ty jesteś w więzieniu i czekasz na egzekucję, a teraz Jeremy... — Urwała. Zostawili go na pewną śmierć, dokończyła w myślach.

Oczy Franka wypełniły się łzami.

— Chryste, oni chcą go zabić, prawda?

— Nie — odparła Gail ze zbytnią emfazą. — Nie pozwolę na to — dodała.

Marie zmrużyła oczy.

— Ty coś wiesz.

Gail poczuła, że serce zaczyna jej szybciej bić. Nigdy nie potrafiła dobrze kłamać. To, co myślała, miała wypisane na twarzy. Spojrzała Frankowi Schulerowi prosto w oczy.

— Powinieneś wierzyć, że Jeremy'emu nic się nie stanie.

Frank zmarszczył brwi. Zamierzał coś powiedzieć, ale zrezygnował, kiedy Marie położyła mu rękę na ramieniu.

— Masz do nas jeszcze jakieś pytania? — powiedziała Marie.

Gail zdawała sobie sprawę, że zdradziła tajemnicę, ale poczuła dzięki temu ulgę. Nikt nie powinien myśleć, że jego dziecko jest w niebezpieczeństwie, kiedy to nie jest prawda.

— Żadnych — odparła, wstając. Marie i Frank również wstali.

— Dziękuję — powiedział Frank. — Za wszystko, co zrobiłaś. I za to, co zamierzasz zrobić.

Gail zgarnęła swoje notatki i uścisnęła dłoń Franka.

— Uważam, że dzieje się tu jakaś niesprawiedliwość.

— Witamy w klubie — odparł Frank.

# Rozdział 18

Jonathan pojawił się dziesięć minut przed czasem.

Hotel Maple Inn przy Maple Avenue w centrum Vienny w Wirginii od dziesięcioleci był miejscem spotkań szpiegów i szubrawców. Znany był w okolicy z łuszczących się podłóg i samodzielnie skonstruowanego automatu do kawy, a piwa lało się tam więcej niż w trzykrotnie większych knajpach.

Leżący sześć i pół mili na południe od kwatery głównej CIA Maple Inn stanowił neutralny grunt, gdzie zaciekli wrogowie mogli czasem usiąść i omówić poza protokołem tematy, które niekiedy zmieniały bieg historii. Jonathan poznał to miejsce w czasach, gdy służył jeszcze w oddziale, a obowiązki wymagały podsłuchiwania rozmów, które nie były do tego stopnia poza protokołem, jak to się rozmówcom wydawało.

Uwielbiał tutejsze jedzenie i serdeczną atmosferę, doceniał nieoficjalną rolę, jaką lokal odgrywał w kształtowaniu polityki i strategii. Na świecie istniały dziesiątki takich miejsc, ale to znajdowało się najbliżej Fisherman's Cove i dlatego często spożywał tu posiłki ze swoimi informatorami.

Idąc przez zatłoczony parking, zauważył nieoznakowany czarny samochód rządowy, stojący przy Maple Avenue. Wolverine przyjechała wcześniej. Muskularny facet za kierownicą ze zwisającym z ucha skręconym przewodem nie wydawał się zadowolony z faktu, że został pominięty. Jonathan czuł pokusę, żeby mu po przyjacielsku pomachać, ale w końcu zdecydował się zachować dyskrecję. Venice byłaby z niego dumna.

Jonathan pociągnął drzwi i wszedł do środka, uwalniając dźwięki typowe dla pory lunchu, która trwała tu nieprzerwanie przez dwanaście godzin — mniej więcej od południa do północy. Chociaż wiedział, gdzie znajdzie Wolverine, omiół wzrokiem salę, upewniając się, że nie ma żadnego zagrożenia. I nie chodziło mu o przemoc. Biorąc pod uwagę rodzaj klienteli, mógł być pewny, że gdyby wyciągnął broń, zginąłby w krzyżowym ogniu. Bardziej niepokoił go wścibscy obserwatorzy z aparatami fotograficznymi.

Nie było w interesie ani Jonathana, ani Wolverine, żeby widziano ich razem. Oficjalnie nigdy ze sobą nie rozmawiali i dlatego właśnie wszystkie ich spotkania umawiał Dom D'Angelo.

Upewniwszy się, że jego anonimowość zostanie zachowana, ruszył wzdłuż pierwszego rzędu stolików, skręcił w kierunku drugiego końca sali, gdzie zobaczył Wolverine siedzącą w najdalszym, najślabiej oświetlonym narożniku. Czy to za sprawą projektanta, czy całkiem przypadkiem, akustyka była tu wprost idealna do prowadzenia potajemnych rozmów. Nie trzeba było krzyczeć, żeby zostać usłyszanym, a dochodzący z głębi sali hałas uniemożliwiał podsłuchanie tego, co się mówiło.

Na jego widok się uśmiechnęła. Cóż to był za uśmiech. Wolverine było pseudonimem sprzed lat, z czasów, gdy służył rządowi. Jonathan lubił ją nawet wówczas, gdy zdarzało się, że stali po przeciwnych stronach. A teraz, kiedy była Ireną Rivers, dyrektorem FBI, wielbił ją jeszcze bardziej. Nie dość, że była pierwszą kobietą piastującą to stanowisko, to także jedynym w historii dyrektorem, któremu zdarzało się czasem wyjść z za biurka i popracować w terenie.

Pochylił się i cmoknął ją w policzek, co miało uwiarygodnić ich przykrywkę, i jak zwykle odniósł wrażenie, że jej się to podoba.

— Cześć, Irene — powiedział, siadając tyłem do sali.

— Witaj, Digger. Dawno się nie widzieliśmy.

Uśmiechnął się znacząco.

— Cóż, jesteś sławna, więc myślałem, że nie masz czasu dla takich maluczki jak ja. — Ich ostatnie wspólne przedsięwzięcie, jeśli można to tak nazwać, podczas którego Jonathan znalazł skrzynię z bronią chemiczną, zapewniło wyjątkowo dobrą prasę FBI, a Irene w szczególności.



— Niestety, sława szybko przemija. Wszystko się zmienia, kiedy w mieście pojawia się nowy szeryf. — Jonathan rozumiał, że Wolverine ma na myśli nowego prezydenta. — Nie da się już działać tak jak dawniej.

— Masz na myśli te działania, które przynosiły nam zwycięstwa?

Irene uśmiechnęła się cierpko i potrząsnęła głową.

— Wciąż zwyciężamy — powiedziała. — Tylko strategia się zmieniła. Udajemy teraz, że nasi przeciwnicy nas lubią. Dzięki temu napięcie jest mniejsze. — Westchnęła i wypła łyk wody. — A skoro już mowa o udawaniu, odwaliliście dziś rano niezłą robotę. I to, na Boga, w muzeum Jerzego Waszyngtona. — Jej chichot zamienił się w śmiech.

— Nie mam pojęcia, o czym mówisz — odparł Jonathan, nie próbując nawet spojrzeć jej w oczy. Biorąc pod uwagę, ile na swój temat wiedzieli, nie bawili się w takie gierki.

— Udało ci się wydobyć z niego jakieś wartościowe informacje? — zapytała.

Z okolic kuchni zbliżała się do nich kelnerka, ale widząc, jak Jonathan przecząco kręci głową, obróciła się na pięcie i ulotniła.

Jonathan oparł się łokciami o stół i skinął na Irene, żeby się zbliżyła.

— Wiele razem przeżyliśmy, Wolfie, więc proszę, nie zaczynaj ze mną pogrywać.

Cofnęła się urażona.

— Co ty...

— Przyszli do szkoły, którą ufundowałem — powiedział Jonathan. Czuł, że zaczynają mu puszczać nerwy. — W środku nocy urządzili strzelaninę, ciężko ranił jednego z najzaciejszych ludzi na ziemi i uprowadzili dwóch chłopców. Przestań ze mną pogrywać.

Irene zdała sobie sprawę, że nie ma sensu dłużej udawać.

— Wiesz, kto to zrobił — stwierdził Jonathan.

Irene wbiła wzrok w blat stołu i zastanawiała się, jak postąpić.

— Nie — odparła. — Wydaje nam się, że wiemy, kto to zaplanował. I na pewno wiemy dlaczego.

— Macie w ręku Arthura Guinna? — zapytał Jonathan, przechodząc do sedna sprawy.

Tym razem na jej twarzy pojawił się wyraz szczerego zaskoczenia.

— Wow! Dobry jesteś.

Jonathan trochę się obawiał, że Wolverine przestanie czuć przed nim respekt, kiedy przyzna się, jak łatwo było to odgadnąć.

— Chodzi o Sammy'ego Bella?

Irene powiodła wzrokiem po sali, najpewniej sprawdzając, czy nikt ich nie podsłuchuje.

— Prawdę mówiąc, Digger, nikt nie powinien o tym wiedzieć.

— A Evan Guinn i Jeremy Schuler powinni być teraz na lekcji angielskiego. Zabawne, że czasem coś się dzieje nie tak, jakbyśmy sobie tego życzyli. — Celowo kłamał, że Jeremy się nie odnalazł. — To jak, Sammy Bell?

Irene westchnęła.

— Sądźmy, że to on. Gdybyśmy mieli dowód, tobyśmy postawili go w stan oskarżenia. Ale, owszem, udało nam się zawrzeć układ z Arthurem Guinnem. Obiecaliśmy mu nową tożsamość, jeśli opowie o wszystkim, co robił dla starego Slatera. Następnego dnia po przesłuchaniu doszło do tego porwania. Dostaliśmy właśnie zdjęcie Evana z dzisiejszym numerem „Washington Post”.

— Chcę mieć kopię tego zdjęcia — powiedział Jonathan.

— Mam najlepszych analityków na świecie...

— Chcę kopię — powtórzył Jonathan, tym razem bardziej stanowczo.

Irene odczekała chwilę.

— Zgoda.

— I chcę porozmawiać z Arthurem Guinnem.

— To niemożliwe. — Uniosła ostrzegawczo palec, nim zdążył wziąć oddech. — Nie trudź się. Jego już nie znajdziesz.

Jonathan mógł się tego spodziewać. Kiedy ktoś trafia do programu ochrony świadków, tajemnica musi być zachowana w stu procentach, inaczej nie miałoby to sensu.

— W takim razie poproszę o protokoły przesłuchań.

Irene potrząsnęła głową.

— Nie. — Jej spojrzenie było teraz twarde jak skała. Kolejna rzecz nie do negocjacji. — Co wcale nie znaczy, że nie potrzebuję twojej pomocy.

- Oficjalnie czy nieoficjalnie? Jej mina mówiła sama za siebie.
- Nie bądź idiotą.
- Co mam dla ciebie zrobić?

Jeszcze raz omiotła spojrzeniem salę. Kiedy się odezwała, jej głos był ledwie słyszalnym szeptem.

- Chcę, żebyś odnalazł Evana Guinna.

Jonathan wybuchnął śmiechem.

— Cóż, jeśli tylko tyle... — Nagle zdał sobie sprawę, że ona mówiła poważnie. — Irene, przecież za tobą stoi cała potęga i władza rządu Stanów Zjednoczonych. Dlaczego sama go nie sprowadzisz do domu?

- Ponieważ nie wolno mi tam sięgnąć.

- Gdzie jest to „tam”?

— Twoje stare, ulubione miejsce, jak sądzę. Kolumbia. Nie wpuszczą nas więcej na swoje terytorium, a prezydent nie zgodzi się na tajną operację. Sekretarz obrony nawet mu tego nie zarekomenduje. Co więcej, prezydent nie zgodzi się nawet na działania wywiadowcze.

Jonathan przekrzywił głowę.

- Co mam w takim razie zrobić?

Wzruszyła ramionami.

— To, co zwykle. Zlekceważyć prawo i działać. — Kiedy w odpowiedzi na jej bez troskę nie pojawił się uśmiech na jego twarzy, dodała: — Posłuchaj, Digger. Powiem to jeszcze raz. Reguły uległy zmianie. A reguły to reguły. Nie mogę kazać moim ludziom, żeby je łamali. To by oznaczało więzienie.

Jonathan roześmiał się.

- Wielkie dzięki.

— To robota dla ciebie. Masz talent. Proszę cię, żebyś zrobił to, co i tak zrobisz, nawet gdybym próbowała ci to wyperswadować.

Jonathan potarł czoło w nadziei, że zniknie mętlik w jego głowie.

— Jak masz zamiar usankcjonować moje działania, skoro będą one różne od twoich?

Irene odwróciła wzrok i wtedy zrozumiał.

— Jezu! Więc mam jeszcze za to zapłacić? Przecież połowa tej operacji będzie należała do ciebie, prawda?

Odrzuciła tę myśl machnięciem ręki.

— Gdzieś znajdę fundusze. Administracja jest zbyt świeża, nie zna jeszcze wszystkich tajnych skrytek. Jak to się wyda, pójdziemy do więzienia oboje. Poprawiło ci to humor?

Jonathan parsknął śmiechem.

— Oczywiście. Obie te rzeczy — i pieniądze, i towarzystwo za kratkami. — Zmienił temat. — Kolumbia to spory kraj. Wiesz, gdzie go trzymają?

— Mam tam informatora. Można na nim polegać. Powiedział mi, że porywaczem jest niejaki Mitchell Ponder. Chłopak jest z nim.

— Kim jest Mitchell Ponder?

— Paskudny typ. Kiedyś zajmował się mokrą robotą dla dobrych chłopców, ale potem skusiły go większe pieniądze. Nigdy nie udało się go złapać, ale jest podejrzany o serię napadów sprzed roku. Przypuszczamy, że teraz za cichą zgodą sowicie opłaconych polityków prowadzi w Kolumbii kokainowe interesy Sammy'ego Bella. Ale oficjalnie Waszyngton uznaje, że to nie nasza sprawa.

Jonathan czuł zaskoczenie.

— Po co mieliby zabierać chłopca aż tam? I dlaczego właśnie tam?

Irene wzruszyła ramionami.

— To nie jest pozbawione sensu. Chłopak jest poza granicami kraju, z dała od wścibskich amerykańskich oczu. Więc dlaczego nie?

Jonathan poczuł wagę wyzwania, jakiego się podejmował.

— Jak mam znaleźć chłopca wśród setek małych fabryczek rozsianych w górach?

— Mamy szansę. Ponieważ obecny rząd kolumbijski jest dobrym partnerem w handlu narkotykami, dochodzą nas słuchy, że Ponder zdołał skonsolidować swoją działalność w kilku tylko, za to sporych plantacjach.

— Chciałaś powiedzieć farmach niewolników — poprawił ją Jonathan.

Irene rozłożyła ręce.

— Taka jest prawda. Z tego, co wiemy, jeśli wieśniacy nie chcą współpracować, Ponder zamienia się w rzeźnika. Nie wiem, czy to prawda, ale mój informator twierdzi, że modus operandi Pondera polega na zabiciu wszystkich mężczyzn i nastoletnich chłopców w

wiosce, i wysłaniu młodszych chłopców do pracy w polu i fabryce.

— A dziewczynki? — zapytał Jonathan. W chwili gdy usłyszał własne pytanie, już znał przyprawiającą o mdłości odpowiedź.

— Stają się zabawkami dla mężczyzn. To ohydny biznes.

Jonathan nabrał głęboko powietrza do płuc.

— Powiedz mi, co wiesz o Brusie Navarro.

Irene ponownie wybałuszyła oczy.

— Jezu, wszyscy moi agenci terenowi są wolniejsi od ciebie. Był adwokatem Sammy'ego Bella. Byłby dla mnie wymarzonym świadkiem, ale poszedł w ślady Jimmy'ego Hoffy i zniknął. Dlaczego pytasz?

Jonathan uśmiechnął się znacząco, przypominając sobie, co powiedziała mu Gail.

— Wiedziałas, że był szefem Marilyn Schuler?

Irene zmarszczyła brwi.

— Kto to jest Marilyn... — Nagle zrozumiała. — Jasna cholera, nie wiedziałam.

Jonathan przekazał jej szczegóły rozmowy, jaką Gail przeprowadziła w więzieniu.

— Sądzę, że kiedy go znajdziemy, uzyskamy odpowiedź na kilka pytań.

Irene miała nieobecne spojrzenie.

— On ma siostrę w New Jersey — rzuciła. — Zawsze podejrzewaliśmy, że ona wie, gdzie go szukać, ale nie pisnęła nam ani słowa.

Jonathan uniósł brwi.

— Może porozmawia ze mną.

— Wątpię. Ale z tego, co wiem o Gail Bonneville... — Pozwoliła, żeby sam sobie dośpiewał resztę.

Jonathanowi spodobał się ten pomysł.

— Spróbujemy. — Parsknął śmiechem. — Oto przywilej bycia szefem. Ona poleci do New Jersey, a ja będę się rozbijał po świecie. — Pokręcił głową na myśl o tej ironii losu. — Opowiedz mi o tym swoim kolumbijskim informatorze.

Irene zaczęła się wykręcać.

— Mogę ci podać jego nazwisko, ale musisz wiedzieć, że to wolny strzelec, działa niezależnie.

— Jest dobry?

— Wykonał dla mnie porządną kawał roboty — odparła Irene.

— Problem polega na tym, że jego lojalność jest nieprzewidywalna. Lubi grać o wysokie stawki.

— Jak się nazywa?

— Jose Calderon. Teraz mieszka w Panama City, ale...

Twarz Jonathana się rozjaśniła.

— Josie Imprezowicz? Guerilla, który walczył pod Cartageną?

— Znasz go.

Jonathan roześmiał się na wspomnienie Josego.

— Pewnie, że go znam. To on doprowadził nas do Pabla, kiedy służyłem w oddziale. Niespokojny, mały człowieczek, ale znał się na swojej robocie. Myślałem, że jest teraz w Kolumbii PNG. — Wiedział, że Irene potrafi rozszyfrować skrót jako *persona non grata*.

— Nie wspomniałam, że lubi grać o wysoką stawkę?

— Pracował dla was ostatnio?

Irene potrząsnęła głową.

— Dla nas nie. Już od lat. Pod koniec kadencji poprzedniej administracji robił coś dla DEA. Słyszałam też, że chciał współpracować z Agencją w Nikaragui. W tym biznesie jest sporo bezrobotnych współpracowników.

— Skąd mamy wiedzieć, że nie podkupiła go druga strona?

— Tego nie wiemy. W ogóle niewiele wiemy.

Jonathan zawsze cenił sobie szczerłość. Czuł też, że dopisało mu szczęście z Josie Imprezowiczem. Ten człowiek znał wszystkich, cieszył się zaufaniem i w stosunkowo krótkim czasie mógł dostarczyć małą, w pełni uzbrojoną armię.

— Wiesz, gdzie go można znaleźć? — zapytał.

Irene uśmiechnęła się skromnie, sięgnęła do kieszeni zakietu i podała mu kartkę z nazwiskiem i numerem.

— Czeka na twój telefon — powiedziała.

# Rozdział 19

Podczas czterogodzinnej podróży z pierwszego więzienia Evana dżungla stawała się stopniowo coraz gęstsza. Mila za milą roślinność coraz natarczywiej chłostała ich SUV-a, a droga zamieniła się w wąski trakt. Jeszcze jeden głęboki oddech dżungli i zniknie zupełnie.

Evan jechał na tylnym siedzeniu, obok białego mężczyzny, który wydawał się tak samo nie na miejscu jak chłopiec. Nie odzywał się, tylko zerkał ukradkiem na Evana, a przyłapany na tym, szybko przenosił spojrzenie przed siebie. Nie gap się na mnie, pomyślał Evan. Chociaż to nic złego. Ale gdyby pomyślał, żeby mnie dotknąć, to pożałuje.

Jak kiedyś Evan powiedział ojcu Domowi, niewiele dobrego wyniósł ze swojego gównianego dzieciństwa, ale przynajmniej nauczył się, jak się o siebie troszczyć. Gdyby te dupki w szkole zaatakowały, kiedy był na chodzie, a nie w czasie snu, to nie byłoby go tu teraz. Może już by nie żył, ale na pewno nie znalazłby się tutaj — gdziekolwiek to „tutaj” się znajdowało. A napastnicy mieliby wydrapanę oczy i poprzetręcane kończyny.

— Jestem Mitch — przedstawił się jego towarzysz podróży, wyciągając przyjaźnie rękę. — A ty masz na imię Evan, tak? — Mówił płynnie po angielsku, ale miał jakiś dziwny akcent. Coś pomiędzy Melem Gibsonem (kiedy jeszcze był Australijczykiem) a Michaeliem Caine'em, grającym kamerdynera Alfreda.

Evan spojrział na wyciągniętą dłoń, ale nie wykonał żadnego ruchu, żeby ją uściśnąć.

— Więc masz czternaście lat? — dopytywał się Mitch.

— Nie odzywaj się do mnie, pieprzony zboku — wyrzucił z siebie Evan. Odwrócił się i wyjrzał przez okno. Spotykał już wcześniej takich facetów jak ten. Jeśli pozwoli im się choć przez moment uwierzyć, że jest się łatwym celem, pomyślą, że mogą zrobić wszystko, co chcą.

Ręka pozostawała wyciągnięta i nieruchoma.

— Możesz mi wierzyć lub nie, Evan, ale jestem twoim przyjacielem.

Evan starał się go ignorować, ale ponieważ słowa nie rozplywały się w powietrzu, odwrócił się do mężczyzny.

— Moim przyjacielem, tak? To może, przyjacielu Mitchu, zabrałyś mnie do domu?

Mitch cofnął rękę i położył ją z powrotem na kolanie.

— Wiem, że tego właśnie ode mnie oczekujesz — powiedział — ale w tej chwili to niemożliwe.

SUV wpadł w wielką koleinę, wszyscy podskoczyli, a Evan dziękował Bogu, że był przypięty pasami. Przez chwilę miał nadzieję, że uderzenie pozostałym zrobi krzywdę, ale zawiedziony zauważył, że też byli przypięci pasami.

— Jeżeli zechcesz, będzie to możliwe — odparł Evan.

— Niestety, nie — poprawił go Mitch. — Wiem, że trudno ci to pojąć, ale nawet ja nie mogę tego sprawić.

— Nawet ja nie mogę tego sprawić — powtórzył Evan, przeдрzeńiając akcent Mitcha. — To nic miłego być ofiarą, wiesz? Tylko ty i ja, w jednej celi.

Mitch wydawał się zadowolony, kiedy wyciągnął nogi i usadowił się wygodnie w swoim narożniku.

— Ktoś cię wsadził do celi? — zapytał.

Nagła zmiana zachowania Mitcha sprawiła chłopca w zakłopotanie. Miał wrażenie, że ten człowiek próbuje stworzyć atmosferę zagrożenia.

— Pytam całkiem serio, Evan. Widziałeś tu wnętrze celi?

— Widziałem, co miałem widzieć — burknął Evan.

— Chodzi mi o czas, kiedy jesteś naszym gościem. Czy widziałeś celę?

— Tak. Ten zasrany pokoik, w którym się obudziłem.



Mitch uniósł palec wskazujący i pokiwał nim powoli w rytm ruchu głowy.

— To była chata — wyjaśnił. — Równie ładna, jak wszystkie pozostałe w obozowisku. Jednak w przeciwieństwie do innych osób ty miałeś ją tylko dla siebie. Byłeś traktowany nie jak więzień, tylko jak gość.

— Gówno prawda.

— Takie brzydkie słowa w ustach małego chłopca.

— Nie jestem taki mały, jak pan myśli.

Na twarz Mitcha powrócił uśmiech.

— Faktycznie. Czy zostałeś związany i zakneblowany? Myślę o podróży.

— Gorzej. Podali mi narkotyki.

Słyszac to, Mitch się wzdrygnął.

— A kiedy się obudziłeś? Żadnych więzów? Żadnych kajdanek?

— To jeszcze nie znaczy, że nie jestem więźniem — odparł Evan. Serdecznie nie znosił tego człowieka.

Mitch wytrzymał przez chwilę jego spojrzenie, a potem zwrócił się do mężczyzn na przednim siedzeniu.

— Tito! — zawołał. Kierowca spojrzał w lusterko wsteczne.

Mitch powiedział do niego coś po hiszpańsku. Kierowca wydawał się zaskoczony, więc Mitch powtórzył.

Kierowca powiedział coś do mężczyzny siedzącego obok i zatrzymał wóz na środku drogi.

Mitch wydał kolejną komendę i zwołniła się elektryczna blokada drzwi Evana.

— Okay, idź — powiedział Mitch.

Evan spojrzał na drzwi, potem na Mitcha. Nie wiedział, co ma zrobić.

— No, idź. — Wykonał gest, jakby odganiał Evana. — Ty twierdzisz, że jesteś więźniem, a ja ci mówię, że jesteś wolny i możesz iść, dokąd chcesz. Więc idź.

To musi być jakiś kant, pomyślał Evan. Otworzy drzwi, a oni go zastrzelą. Albo po prostu wciągną z powrotem do środka i ukarzą za to, że nie zdał jakiegoś kretyńskiego testu lojalności.

— No dalej — Mitch coraz gwałtowniej odganiał Evana. — Wynos się. Bądź wolny.

Evan nie wiedział, co począć. Jeśli wysiądzie, to co dalej? W końcu znajdował się w jakiejś cholernej dżungli i na pewno nie był na szczycie łańcucha pokarmowego. Nie poruszył się.

— Teraz już nie ty decydujesz — powiedział Mitch. Ton jego głosu stawał się coraz ostrzejszy. — Wynoś się z mojego pieprzonego samochodu!

Evan poczuł narastającą panikę. Jeśli teraz wysiądzie, a oni odjadą, umrze w ciągu kilku dni — albo jeszcze szybciej, jeśli wziąć pod uwagę węże, jaguary i całe pozostałe paskudztwo.

Mitch odpiął pas i prawie położył się na piersi Evana, żeby sięgnąć do klamki i otworzyć drzwi.

— Jeśli zmusisz mnie, żebym wyrzucił cię siłą, to będzie bolało. Bardzo. — Odpiął pas chłopca i popchnął go w stronę otwartych drzwi.

Evan zaparł się jedną ręką o obrzeże drzwi, a palcami drugiej próbował znaleźć na skórzanym siedzeniu coś, czego mógłby się uchwycić. Niestety, miał za krótkie paznokcie, żeby wbić je w tapicerkę.

— Nie! — krzyknął.

Mitch popchnął go mocniej.

— Powiedziałem, wysiadaj z samochodu!

Mężczyzna obrócił się i zaczął wypychać chłopca nogami. Evan próbował się zapierać, ale czuł, jak jego pośladki przesuwają się po siedzeniu. Wierzgnął nogą i zaczepił palcami o kieszeń znajdującą się za przednim fotelem pasażera.

To nie wystarczyło. Jeszcze parę cali i do głosu doszła grawitacja. Poczul, jak ześlizguje się na ziemię. Uderzył biodrem o chromowany stopień i wylądował w krzakach. Odniósł wrażenie, jakby utonął w zieleni. Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest góra, gdzie dół. Otaczały go liście.

Usłyszał głośny odgłos zamykanych drzwi. Uruchomili silnik. Nie wiedząc, gdzie znajdują się koła, Evan przetoczył się na bok i skulił. Oczami wyobraźni widział, jak ciężki pojazd miażdży mu nogi. Po raz pierwszy od chwili przebudzenia w chacie poczuł prawdziwy strach. Paraliżujący strach.

— Nie zostawiajcie mnie! — zawołał wciąż skulony jak embrion. Po chwili wstał. Ledwie widział dach samochodu ponad

liśćmi. — Proszę, nie zostawiajcie mnie! — wrzasnął jeszcze głośniejszym, piskliwym, niemal dziewczęcym głosem.

Musiał odnaleźć drogę, w przeciwnym razie będzie stracony. Jeśli ją odnajdzie, pójdzie śladami samochodu i przekona Mitcha, żeby go nie zostawiał.

Droga — a właściwie ścieżka — musiała znajdować się nie dalej jak kilka jardów stąd, ale kiedy zrobił pierwszy krok, jakieś pnącze czy inne paskudztwo oplatało mu się wokół kostek i upadł. Wszystko wokół było mokre. Cały świat dookoła niego cuchnął stęchlizną i zgnilizną.

Martwymi rzeczami.

Martwymi chłopcami.

— Nie zostawiajcie mnie! — krzyknął.

Kolejna próba biegu również skończyła się upadkiem, postanowił więc czołgać się. Gałęzie drapały nagą skórę na plecach i brzuchu, nie wspominając już o rękach i kolanach. Nie widząc nic przed sobą, przeciskał się przez gąszcz jak ślepiec. Odjeżdżali. Musiał poruszać się szybciej. Jeśli się zatrzyma — jeśli choćby zwolni — znajdą się za daleko i nigdy już ich nie dogoni.

Pierwsza na wycinkę trafiła jego głowa. To właściwie nie była wycinka, tylko przerwa w dżungli. Cholerne liście przestały wreszcie smagać jego twarz i ramiona, nie było już tak duszno.

To była droga. To musiała być droga. Zobaczył koleiny, więc cóż innego miałoby to być?

Tyle że nie dostrzegł na niej samochodu.

— Hej! — zawołał. W odpowiedzi usłyszał tylko odgłosy milionów owadów i innych stworzeń, z którymi wołał się nie zadawać. Nie zamierzał zostać kolacją któregoś z nich.

Obrócił się w prawo, w kierunku, w którym odjechał samochód, i zaczął iść — początkowo powoli, ze zniechęceniem, przybity faktem, że został tu pozostawiony na pewną śmierć. Przeżywał przerażający sen na jawie. Oczami wyobraźni widział, jak jego ciało rozszarpują drapieźniki. Widział rozwleczone wokół wnętrzości i strzępy ciała, tak jak kiedyś widział w rzeczywistości myszołowy i wrony pożerające zabite przez samochody zwierzęta. Przyspieszył kroku.

Może wciąż istniała szansa, że dogoni samochód. Może wóz wpadł w koleinę albo musiał pokonać jakiś strumień i zwolnił. To dałoby mu czas, żeby go dogonić.

Musiał poruszać się szybciej. Zaczął truchtać, a w końcu biec. Kamienie i gałęzie raniły jego bose stopy, ale nie zwracał uwagi na ból. Nie było teraz miejsca ani czasu na ból.

Przyspieszył jeszcze bardziej, wymachując rękami, tak jak nauczył go tego pan Jackson, nauczyciel wychowania fizycznego w Resurrection House. Evan zawsze dobrze biegał — w ogóle był wysportowany — i pan Jackson zwrócił na niego szczególną uwagę. Twierdził nawet, że pewnego dnia Evan może otrzymać stypendium, ale przy takiej konkurencji liczy się każdy szczegół. Na przykład odpowiedni wymach ramion, dzięki któremu krok nieco się wydłuża.

Boże, jak tu było gorąco! Kiedy pokonał pierwszy zakręt drogi, poczuł, że kark oblepiają mu kosmyki mokrych, przetłuszczonych włosów. Przed nim zarysowało się wzniesienie. Niezbyt strome, lecz długie.

Nie zatrzymuj się, powiedział do siebie. Zatrzymać się to najprostsza rzecz. Najprościej też było wtedy umrzeć. Jeżeli już miał umrzeć, to raczej z wyczerpania i odwodnienia niż pożarty przez dzikie zwierzęta. Pochylił głowę i zmusił się do wysiłku. Wolał patrzeć pod nogi niż przed siebie. Widok tego, co przed nim, był zbyt przynębiający.

Jak ludzie mogli żyć w takim upale?

Po przebiegnięciu osiemdziesięciu pięciu kroków zrobiło się lżej. Nie zdawał sobie nawet sprawy, że liczy kroki. Podniósł głowę i zobaczył, że osiągnął szczyt wzniesienia.

Trzydzieści jardów dalej stał samochód. Mimo brzęczenia owadów słyszał pracujący na jałowym biegu silnik.

Przy tylnym zderzaku stał Mitch. Był ubrany w długie spodnie i rozpiętą pod szyją koszulę z krótkimi rękawami; wszystko koloru khaki. Przyjął postawę wyczekującą — opierał się o koło zapasowe z założonymi rękami i wyprostowanymi, skrzyżowanymi nogami.

Na widok mężczyzny Evan przystanął. Stał pośrodku drogi, dysząc ciężko, pot zalewał mu oczy. Wytarł go ręką, ale wtedy oczy zaczęły szczypać jeszcze bardziej. Łapczywie chwycił powietrze, serce dudniło mu w piersi. Jego ciało chciało runąć na ziemię, ale

sprzeciwiał się temu mózgi. Nie zamierzał dawać Mitchowi tej satysfakcji.

Widząc na twarzy mężczyzny lekceważący uśmiech, zdał sobie sprawę, że Mitch zabawił się jego kosztem. Jak zwykle u dorosłych, chodziło o pokazanie swojej siły. Potrzebujesz mnie, chłopcze — brzmiał przekaz. Beze mnie nie dasz sobie rady.

— Ty też mnie potrzebujesz — mruknął pod nosem. Był wykończony po biegu. Ostrożnie stąpał na drżących nogach.

— Długo to trwało — powiedział Mitch z drwiącym uśmiechem.

Evan bez słowa podszedł do drzwi. Kiedy mijał Mitcha, ten próbował go złapać, ale Evan się wywinął.

— Nie dotykaj mnie — warknął.

Mimochodem zauważył, że kierowca i jego kompan też wysiedli z samochodu i przyglądali się tej scenie z rozbawieniem.

Mitch wydawał się zaskoczony szybkością Evana. Ponownie skrzyżował ramiona.

— Dostałeś nauczkę?

Evan nie odpowiedział.

— Teraz musisz poprosić o pozwolenie, żeby wsiąść do mojego samochodu.

Evan nie do końca rozumiał wyraz oczu mężczyzny. Rzucił szybkie spojrzenia pozostałym, jakby się czuł zakłopotany.

Evan spróbował jeszcze raz podejść do drzwi, a Mitch ponownie spróbował go złapać za rękę.

— Weź mnie, kurwa, nie dotykaj! — wrzasnął Evan.

Ostry ton chłopca zaskoczył mężczyzn.

— Nie mów mi, kurwa, co mam robić! — odpowiedział krzykiem Mitch. — A teraz, albo poprosisz o pozwolenie na powrót do samochodu — i okażesz mi szacunek — albo, jak mi Bóg miły, zostawię cię tutaj na pewną śmierć.

Evanowi nigdy wcześniej serce nie biło tak mocno. W przeszłości, kiedy zdarzało mu się zmierzyć z taką demonstracją siły, w najgorszym razie mógł się spodziewać rozbitego nosa albo wybitego zęba. Tu kara za nieposłuszeństwo miała być znacznie surowsza.

Z drugiej strony nie zmienia się zasad w zależności od kalibru przeciwnika. Nigdy nie można sobie pozwolić na okazanie słabości.

Co mówił na ten temat ojciec Dom? „Zwycięstwo można ogłosić, ale poddanie się trzeba zaproponować”. Dla Evana znaczyło to tyle, co „zgiń, ale próbuj”.

— To ty mnie porwałeś. Zdążyłeś zapomnieć?! — wrzasnął Evan. — Nie możesz pozwolić mi umrzeć.

Tym razem podchodząc do drzwi samochodu, Evan zauważył, że pomagierzy Mitcha wyglądali na ubawionych.

Evan usiadł na swoim miejscu, zamknął drzwi i zapiął pasy.

W świecie płatnych zabójców i szpiegów najwyraźniej obowiązywała zasada, że nie wolno spotykać się dwukrotnie w tym samym miejscu, a przynajmniej nie w zbyt krótkim odstępie czasu. Dlatego restauracje w Pentagon City nie wchodziły w rachubę, pozostał Founders Park na Starym Mieście w Alexandrii.

Gdyby to zależało od Jerry'ego Sjogrena, spotkaliby się na podziemnym parkingu, jak we *Wszystkich ludziach prezydenta*, ale Brandy Giddings od razu odrzuciła ten pomysł. Jeśli już miała umrzeć, to przynajmniej w obecności jak największej liczby świadków.

Kierowała się wskazówkami Sjogrena. Pojechała metrem ze stacji Pentagon do Braddock Road, a następnie, na wszelki wypadek, dwiema taksówkami, pierwszą na lotnisko Reagana i drugą do Torpedo Factory — modnej kolonii artystów mieszczącej się w położonej na brzegu Potomacu fabryce torped z czasów drugiej wojny światowej. Stąd pozostał jej tylko krótki spacer do parku.

Brandy obiecała sobie, że tym razem to ona każe Sjogrenowi czekać na siebie, ale choć pojawiła się z dziesięciominutowym opóźnieniem, nigdzie go nie widziała. Zaczęła się już zastanawiać, czy nie wkurzył się na nią za spóźnienie i po prostu nie poszedł, ale potem przypomniała sobie, że to on nalegał na spotkanie.

Wybrała pierwszą z brzegu pustą ławkę i usiadła.

Nie usłyszała, jak podszedł do niej z tyłu.

— Próbuje pokazać, kto tu jest ważniejszy, panienko? — rozległ się jego tubalny głos za jej plecami.

— Jezu!

Sjogren obszedł ławkę w koło i usiadł obok Brandy.

— Spóźnianie się nie zawsze daje przewagę — zauważył. — Tak dla twojej wiadomości, jestem tu od czterdziestu pięciu minut i mogę opowiedzieć o wszystkich osobach, które się znajdują w okolicy. Widziałem też, jak ty przychodzisz. Patrzyłaś wprost na mnie.

Nie miała o tym pojęcia.

— Nazywają to szpiegowskim rzemiosłem. Jeśli chcesz się bawić w takie gierki, powinnaś to rzemiosło poznać.

Urażona odwróciła głowę.

— Poza tym to niegrzecznie kazać na siebie czekać — dodał.

— Zapamiętam to sobie na przyszłość — odpowiedziała, starając się zachować twarz. — Sądziłam, że szukasz tego bezdomnego.

— Wszystko w swoim czasie. Powinnaś wiedzieć, że jest gorzej, niż nam się wydawało podczas poprzedniego spotkania.

Brandy poczuła w żołądku znajomy ucisk. Nie sądziła, że można pograć się jeszcze bardziej.

— Wczoraj Franka Schulera odwiedził prywatny detektyw — ciągnął Sjogren. — Powiązali tę sprawę z organizacją Sammy'ego Bella i wiedzą już, że jest w nią zamieszany Bruce Navarro. — Opowiedział jej o szczegółach rozmowy, której nagranie otrzymał od swojego informatora z Departamentu Więziennictwa.

Faktycznie, pograżyli się strasznie.

— To niewiarygodne — rzekła Brandy. — Zaszliśmy tak daleko i teraz miałby nas załatwić jakiś niedoszły Lincoln Rhyme?

Sjogren wiedział, że chodzi jej o postać z powieści Jeffery'ego Deavera.

— Nie użyłem słowa „załatwić” — powiedział. — Relacjonuję tylko fakty.

Sięgnął do kieszeni koszuli i wyjął z niej złożoną kartkę papieru.

— Mam dla ciebie zadanie — powiedział, wręczając jej kartkę. — Dowiedz się wszystkiego na temat tego faceta.

Brandy przeczytała nazwisko.

— Kto to jest Jonathan Grave? To ten detektyw, który odwiedził Schulera?

Sjogren zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie. To była kobieta, Gail Bonneville, dobrze zapowiadająca się członkini Partii Demokratycznej, która w wyniku pewnej strzelaniny musiała zrezygnować ze stanowiska szeryfa miasteczka Samson. Wtedy zaczęła pracować dla tego Grave'a.

Brandy próbowała wcisnąć mu kartkę z powrotem.

— Sam sobie szukaj — odparła. — Dobrze ci idzie.

Sjogren pozwolił, by kartka upadła na ławkę pomiędzy nimi.

— Nie, jeśli chodzi o tego gościa. Mogę ci powiedzieć, że wcześniej nazywał się Jonathan Gravenow, mieszka w Fisherman's Cove i prowadzi firmę Security Solutions, która zatrudnia panią Bonneville.

Przerwał na chwilę, a kiedy Brandy ponownie próbowała się wykręcić, uciszył ją gestem dłoni.

— Wiem, że wstąpił do wojska — ciągnął — tuż po tym, jak zmienił nazwisko z Gravenow na Grave. Jego ojcem jest Simon Gravenow, gangster, który odsiaduje dożywocie w więzieniu federalnym.

Na chwilę zapadła cisza.

— Świetnie ci idzie. Ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Nasze biuro nie może być w żaden sposób powiązane z...

— Tylko twoje biuro może to zrobić — przerwał jej Sjogren. — Po tym jak wstąpił do wojska, zniknął. Przeszedł normalne przeszkolenie i szkołę komandosów i przepadł. Okazuje się, że w kartotekach nie ma nawet jego odcisków palców. Możesz mnie uznać za stukniętego, ale moim zdaniem zdobył takie umiejętności, że Wuj Sam uczynił go niewidzialnym.

Brandy postanowiła się nie odzywać.

— A to oznacza, panienko, że tylko twoje biuro może zdobyć informacje, których potrzebuję.

Brandy zrozumiała sugestię — że ten cały Grave to jakiś szpieg — ale nie rozumiała, dlaczego to takie ważne.

— Nie zdobędę takich danych sama — powiedziała. — Będę musiała zaangażować w to inne osoby. Wydaje mi się, że ryzyko zdobycia tych informacji za wszelką cenę przewyższa korzyści, jakie możemy osiągnąć z kilku dodatkowych faktów.



Sjogren uśmiechnął się z wyższością.

— Powiedz, że tylko żartujesz. Udowodnij, że nie jesteś taka tępa.

Brandy poczuła, jak dostaje wypieków.

— Rozmawiamy o człowieku powiązanym z mafią i byłym żołnierzem oddziałów specjalnych. W dniu, kiedy znikają moi dwaj najlepsi ludzie, pracownica tego żołnierzyka przypadkiem odwiedza więzienie w Wirginii. I ty mówisz o kilku faktach? No, powiedz, że żartujesz.

Chciałabym, pomyślała.

## Rozdział 20

Trudno było Harveyowi Rodriguezowi nie czuć się trochę jak więzień. Śliczna czarna lalunia o imieniu Venice zgoliła mu brodę i obcięła włosy. Jeszcze gorący prysznic i zmiana ubrania, i Harvey poczuł się i wyglądał jak nowo narodzony. Oficjalnie mógł chodzić, dokąd zechce, ale trudno włóczyć się po okolicy, kiedy szukają cię ludzie, którzy chcą cię zabić.

Mimo to potrzebował świeżego powietrza. Winić za to należało te sto dolców, które dał mu Digger. Skoro nie miał do opłacenia żadnych rachunków i miał zagwarantowany dach nad głową — nie byle jaki, w rezydencji — to gotówka w kieszeni oznaczała tyle, co piwo w żołądku. Tłumaczył sobie, że umierać po kilku butelkach corony będzie łatwiej niż o suchym pysku.

Tawerna Jimmy'ego znajdowała się nad wodą, oddalona o trzy przecznice od rezydencji. O czwartej trzydzieści po południu parking był już w trzech czwartych wypełniony, co świadczyło, że jest to odpowiednie miejsce, gdzie Harvey może unicestwić kilka swoich komórek mózgowych.

Jego nadzieje rozwiały się, gdy znalazł się w pobliżu lokalu i zobaczył na drzwiach wejściowych rzeźbę ryb — jin i jang — przy czym jedna obwąchała tyłek drugiej.

Złapał za brzuch rybę po prawej stronie i pociągnął drzwi z nadzieją, że przywita go zapach alkoholu i papierosowego dymu, ale zamiast tego uderzył go smród smażonego kurczaka i frytek. Zateęsknił za prawdziwym barem. To tutaj było knajpką dla rodzin z dziećmi.

Jeśli nie brać pod uwagę lewej strony sali, gdzie rzędy pustych stolików oczekiwały na gości, to w mniejszej, prawej części lokalu

znajdował się bar ze zbitych sosnowych desek i starych beczek po grogu. Wiedział, że beczki są po grogu, bo na każdej było namalowane to słowo. Na co drugiej beczce znajdował się znak ryby, taki jak na drzwiach, i słowo JIMMY'S.

Nigdy nie należy oceniać baru po wyglądzie jego kontuaru, lepiej oceniać go po liczbie różnych butelek stojących na tle lustra oraz podkładek pod kufle. Biorąc pod uwagę te oznaki, miejsce było całkiem przyzwoite.

Dzieciak za barem sprawiał wrażenie nie dość dorosłego, by podawać alkohol.

— Witamy u Jimmy'ego — odezwał się, podsuwając Harveyowi kartonową podkładkę. Z kolejnym rysunkiem jakiejś cholerniej ryby. — Co podać?

Reklamy na rączkach dozowników zapowiadały kłopotliwy wybór. Z setką niezarobionych uczciwą pracą dolarów wzgardliwie pominął tanie trunki krajowe, które najczęściej pijał, i zdecydował się na harp lager. Trzy albo cztery takie kufle i poczuje się jak leprechaun.

Chłopak postawił na podkładce kufel mocnego piwa i wyciągnął dłoń.

— Mam na imię Chris.

— Harvey. — Uścisnęli sobie ręce.

— Żartujesz? — powiedział z rozbawieniem Chris. — Minąłeś się ze swoim kumplem. Był tu dziesięć minut temu.

Harvey wzdrygnął się, wściekły na siebie, że głośno rozpowiada swoje imię.

— Taki wielki facet — wyjaśniał Chris. — Siwy, z wąsami. Mówił z bostońskim akcentem. — Naśladując go, powiedział „Bahston”. — Nie przedstawił się, ale prosił, żebym zwrócił na ciebie uwagę. Brzmi znajomo?

Jasne. Wielki facet, o którym w życiu nie słyszał. Pewnie przysłany, żeby pomóc swoich dwóch kumpli, których Harvey nie zabił.

— O to chodzi, że nie — odpowiedział barmanowi. Pociągnął łyk piwa, które nagle zaczęło smakować jak szczyny. Może to jeden z trzydziestu czterech smaków strachu. — Powiedział, dlaczego mnie szuka?

— Wspomniał coś, że jest starym kumplem z wojska.

— Mówił, że jesteś bohaterem wojennym — wtrącił się siedzący dwa krzesła dalej jakiś żylasty facet w dżinsach i z kosią bródką. — Oto niepisana reguła sąsiedztwa przy kontuarze: do rozmowy z barmanem może się przyłączyć dowolna osoba.

— Zgadza się — potwierdził Chris i nagle sobie przypomniał coś jeszcze. — Powiedział, że znalazł jakieś medale, które należą do ciebie. Gdzieś w piwnicy, chyba. Powiedział, że chce ci je oddać.

Nowy smak — kwaśny. Kolejny łyk mało nie doprowadził Harveya do wymiotów. Swój Krzyż Marynarki i Purpurowe Serce trzymał w oryginalnych pudełkach, ukrytych w dziurze wykopanej pod namiotem. Z trudem powstrzymał się, by nie zerwać się ze stołka i nie wybiec z knajpy.

— Teraz, gdy na ciebie patrzę, to myślę sobie, że wciskał kit — odezwał się Kozia Bródka. — Był ze dwadzieścia lat starszy od ciebie. Trudno uwierzyć, żebyście obaj służyli w tej samej jednostce. Chyba powinienes zachować ostrożność.

Harvey przyjrzał się uważnie mężczyźnie, ale zlekceważył jego uwagę. Miał dosyć tej rozmowy.

— Wszyscy muszą być ostrożni — odezwał Chris, wycierając od niechcienia kontuar, choć nie było takiej potrzeby. — Na przykład ta wczorajsza rozróbka w Resurrection House. Nie lubię, jak takie rzeczy dzieją się w sąsiedztwie. Skoro dzieci nie są bezpieczne, to nikt nie jest bezpieczny, prawda? — Potrząsnął ze smutkiem głową, a widząc, że zepsuł wszystkim humor, stał się nieco za bardzo życzliwy: — A skąd ty właściwie jesteś?

Harvey ponownie poczuł, jak strach ściska mu wnętrzności. Myślał, że Kozia Bródka jest tutaj stałym bywalcem.

— Zewsząd — odparł Kozia Bródka. — Zaczepiam się tam, gdzie znajdę jakąś pracę.

— Naprawdę? — Chris był najwyraźniej zaintrygowany. — A czym się zajmujesz?

Kozia Bródka wzruszył ramionami.

— Obecnie niczym. Rozglądam się.

Czy Harveyowi się tylko zdawało, czy facet, mówiąc, patrzył na niego? Jednym z problemów paranoika jest to, że nigdy nie wie, kiedy paranoja jest uzasadniona.

— Za czym? — nie ustępował Chris. — Czym się zajmowałeś do tej pory?

— Przez długi czas bronią. Ale ten wybuch pokoju mnie wykańcza.

Chris roześmiał się, a tymczasem Harveyowi zaczęły drżeć ręce. Broń. Dopiero co przyjechał do miasta. I to akurat teraz. Zbieg okoliczności czy strategia?

— A ty, Harvey? — zapytał Chris. — Skąd przyjechałeś? I co robisz?

Harvey wiedział, że dzieciak stara się być miły, ale chętnie by go zakneblował. Powinien być przygotowany na takie pytania.

— Pracowałem w firmie rybackiej — skłamał — ale mnie zwolnili.

Chris wydawał się zaskoczony.

— W której? Nie wiedziałem, że nasi rybacy zwalniają z pracy.

— W Georgii — sprecyzował Harvey. Nie miał pojęcia, dlaczego tak powiedział. Nigdy nie był w Georgii. — Niedaleko Savannah. — Boże, błagam, oby Savannah leżało nad jakąś wodą.

— W takim razie dobrze trafiłeś. A gdzie się zatrzymałeś?

Jezu Chryste, czy on nie może się wreszcie zamknąć?

— U znajomych.

Twarz chłopaka jeszcze bardziej się rozpromieniła.

— Znam ich?

Harvey otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował. Właśnie wyczerpał mu się zasób kłamstw. Patrzył na chłopaka bezmyślnie.

— Daj człowiekowi spokój — odezwał się Kozia Bródka. — Dopiero co się dowiedział, że jakiś nieznajomy dopytuje się o niego, a ty go tu maglujesz. Miałbyś na jego miejscu ochotę odpowiadać na te wszystkie pytania?

W głowie Chrisa zapaliło się światełko. Niemal dosłownie.

— Jezu, przepraszam. Nie chciałem być nachalny. Ja tylko...

— Nic się nie stało. — Harvey machnął lekceważąco ręką.

— Chociaż wyglądałeś na wystraszonego — powiedział Kozia Bródka i stuknął szklanką z czymś, co przypominało coca-colę, w kufel Harveya.

Harvey zdobył się na wymuszony uśmiech i zaczął obmyślać strategię odwrotu. Kozia Bródka go niepokoił. Jeśli miał złe zamiary, opuszczanie miejsca publicznego byłoby głupotą. Facet mógł pójść

za nim, wczekać na stosowny moment i zrobić z Harveyem, co zechce. Z drugiej strony pozostanie w barze oznaczało bez wątpienia spotkanie z wielkim bostończykiem.

A jeśli wyjdzie z baru, to dokąd ma pójść? Na pewno nie zamierzał zaprowadzić zabójców do rezydencji.

Kiedy brakuje dobrych rozwiązań, można tylko mieć nadzieję, że wybierze się najmniej złe. W tym wypadku oznaczało to dokończenie piwa i wyjście z baru. Osuszył kufel, odczekał kilka minut i poprosił o rachunek. Kiedy Chris go wypisywał, Kozia Bródka rozwiązał sytuację, wstając ze stołka i kierując się w stronę męskiej toalety.

— Mam nadzieję, że nasz przyjaciel nie wychodzi bez zapłacenia rachunku — zażartował Harvey, wkładając dwudziestkę pomiędzy plastikowe okładki z wizerunkiem ryb.

Chris uśmiechnął się i potrząsnął głową.

— Nie. Wygląda na uczciwego. — I wydając resztę, dodał: — Nie zaczekasz na swojego przyjaciela?

Harvey obrócił się na stołku.

— Coś ci powiem, Chris. Nie znam nikogo, kto pasowałby do twojego opisu, i nigdy nie zdobyłem żadnych medali. Jeśliby wrócił, zapomnij, że mnie kiedykolwiek widziałeś. — Spojrzał na pieniądze w dłoni Chrisa. — Reszta dla ciebie.

Na widok trzystuprocentowego napiwku oczy chłopaka zrobiły się wielkie jak spodki.

— O kim miałem zapomnieć?

# Rozdział 21

Jonathan rozsiadł się w fotelu u szczytu stołu konferencyjnego w centrum dowodzenia i oddał głos Venice. Z wiszącego na ścianie za jej plecami ekranu spoglądała na nich twarz Evana Guinna. Zniknęła, gdy Venice zaczęła mówić. Zastąpiła ją zrobiona z ukosa, zapewne aparatem w telefonie komórkowym, fotografia twarzy mężczyzny po czterdziestce.

— To jest Mitchell Ponder — rozpoczęła. — Z wszystkich jego zdjęć dostępnych w różnych bazach danych to jest najnowsze i najbardziej czytelne.

Czytelność to termin umowny, pomyślał Jonathan. Owszem, były tu jakieś rysy twarzy — facet miał nos i usta, i parę oczu, jak każdy człowiek, ale brakowało jakichkolwiek znaków szczególnych, a to oznaczało, że żaden program do rozpoznawania twarzy nie byłby w tym wypadku użyteczny.

Venice wcisnęła pilota i na ekranie pojawiło się znacznie młodsze wydanie tej samej twarzy, tyle że tym razem wraz z kompletem odcisków palców.

— To jest zdjęcie z poboru do wojska sprzed dwudziestu lat — wyjaśniła. — Przebieg jego służby nie jest godny uwagi. Po sześciu latach opuścił armię jako E pięć.

E-5 w armii amerykańskiej oznaczało sierżanta. Zdobyć trzeciego szewronu w sześć lat było godne podziwu, choć z drugiej strony nie było w tym nic nadzwyczajnego.

— Wielkim przełomem — ciągnęła Venice — są odciski palców. Ponieważ wiemy, kogo szukamy, i wiemy, gdzie go szukać,

udało mi się go namierzyć. — Wcisnęła ponownie guzik na pilocie i na ekranie pojawiło się zdjęcie z kamery monitoringu, które mogło przedstawiać okienko służby imigracyjnej na dowolnym lotnisku świata. Na zdjęciu widoczna była postać Pondera. — Kolumbijczycy są wciąż na nas wściekli za sto lat mieszkania się w ich sprawy, dlatego żądają odcisków palców każdego Amerykanina, Brytyjczyka czy Francuza, który wjeżdża do ich kraju lub wyjeżdża. — Data na zdjęciu świadczyła, że Ponder znajduje się w Kolumbii od ponad osiemnastu godzin. — Podróżuje jako Robert Zambrano. Nie wiem, czy ten pseudonim ma jakieś znaczenie.

— Kto jeszcze przyleciał tym samym samolotem? — zapytał Jonathan.

— Zbyt wiele osób, żeby to mogło nam w czymś pomóc — odparła Venice. — Przyleciał rejsowym samolotem z Houston z jakąś setką swoich najbliższych przyjaciół.

— Z Houston? — zdziwił się Boxers. — Nie z lotniska Dulleasa? Tak byłoby najbliżej. — Spojrzał na Jonathana. — Założę się, że wylądowali tym swoim składanym śmigłowcem na jakimś prywatnym lotnisku, a potem polecili prywatnym samolotem do Houston. Ale dlaczego nie od razu do Kolumbii?

Venice miała na to wyjaśnienie.

— Rząd kolumbijski bardzo dokładnie przygląda się cywilnemu ruchowi lotniczemu. A rząd amerykański jeszcze dokładniej.

— Ale dlaczego z Houston? — zastanawiał się głośno Jonathan. — Dlaczego wybrał właśnie to lotnisko? Czy wśród pasażerów były jakieś dzieci podobne do naszego chłopaka?

Venice pokręciła przecząco głową.

— Przyjrzałam się pobieżnie twarzom, ale nie znalazłam nikogo choć odrobinę podobnego.

— Gdzie on w takim razie był? — zapytał Boxers.

— Jeżeli znajdował się w samolocie, to przychodzi mi do głowy tylko jedno miejsce — wyjaśniła Venice. — Luk bagażowy.

— I nie udusił się? — zdziwiła się Gail.

— Też o tym pomyślałam — odparła Venice. — Ale okazuje się, że nie. Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam, ale okazuje się, że w luku bagażowym utrzymywane jest normalne



ciśnienie, ponieważ przewożone są w nim zwierzęta. Skoro jest ciśnienie, to i tlen oraz odpowiednia temperatura, żeby nie zamarznąć. Sprawdziłam to w Internecie. Ale najważniejsze... — Przerwała dla lepszego efektu, mając nadzieję, że Jonathan dokończy za nią myśl.

— Proszę cię, Ven. Wiesz, że nie znoszę takich gierek.

— Najważniejsze to odpowiednio uspić pasażera. Teraz zrozumiał.

— Jeremy Schuler też został uspiiony.

— Bingo! — zawołała Venice. Za pomocą pilota zmieniła obraz na ekranie. Teraz widać było dziesiątki bagaży, którymi zajmowali się umundurowani pracownicy lotniska. — Okazuje się, że lotnisko El Dorado w Bogocie ma doskonale środki bezpieczeństwa.

— Ale nie dotyczy to ich komputerów — zażartował Jonathan. — Od zawsze jestem pod wrażeniem twoich umiejętności w tym zakresie.

Uśmiechnęła się z fałszywą skromnością.

— Dopiero się rozkręcam. Tak więc na lotnisku każda sztuka bagażu jest pilnie śledzona. Mając odciski palców, znamy też numer biletu. Dzięki temu wiemy, co nasz przyjaciel wiozł ze sobą w czasie bezpośredniego lotu z Waszyngtonu.

Wcisnęła guzik i na ekranie pojawiło się zdjęcie niepozornej czarnej walizki i wielkiej skrzyni owiniętej taśmą zabezpieczającą.

— Przyjrzyjcie się temu wielkiemu pakunkowi — powiedziała — ponieważ moim zdaniem w środku znajduje się Evan Guinn. Zwróćcie uwagę na pomarańczową naklejkę ostrzegającą, że skrzynia ma ponadnormatywną wagę.

— Nie rozumiem — wtrącił się Boxers. — To zbyt ryzykowne. TSA otwiera połowę bagaży, które mają lecieć w luku.

Venice wcisnęła kolejny raz guzik. Na ekranie pojawiło się zbliżenie naklejki stwierdzającej kontrolę TSA.

— Pomyślałam sobie to samo, więc powiększyłam zdjęcie. Sprawdziłam numer bagażu z bazą danych i wiecie, co się okazało? Ta skrzynia wcale nie była kontrolowana przez TSA w Houston. Naklejka pochodzi stamtąd, ale bagaż nie został nadany w normalny sposób.

Jonathan był wciąż pod wrażeniem umiejętności Venice, ale teraz go zaskoczyła.

— Powiedz to po ludzku, Ven. Co to znaczy?

— Tak samo postępują władze, kiedy nie chcą, żeby ich bagaże były kontrolowane w czasie przesiadek — wyjaśniła. — Wygląda na to, że ktoś musiał dobrze posmarować, i to na wysokim szczeblu, gdzieś w Houston.

Jonathan przyznał jej rację.

— Mam nadzieję, że powiesz nam, co dalej działo się ze skrzynią.

Venice uśmiechnęła się z wyższością. Lata współpracy z Venice nauczyły Jonathana, że te teatralne gesty są dla niej równie ważne jak informacje, które zdobyła.

Teraz na ekranie zobaczyli nieruchomą postać Mitcha Pondera stojącego przy taśmie z bagażami i zdejmującego z niej ciężką skrzynię.

— Zaraz będziecie zaskoczeni — zapowiedziała Venice, zmieniając zdjęcie za zdjęciem. Razem tworzyły rodzaj filmu.

Wszyscy wpatrywali się, jak Mitch Ponder opuszcza terminal i ciągnie swój bagaż na coś, co zapewne było krótkoterminowym parkingiem lotniska.

— Zwróćcie uwagę, jak ostrożnie pokonuje krawężniki — powiedziała Venice. Miała rację. Jonathan nie mógł tylko zrozumieć, jak chłopiec mógłby się obudzić z powodu uderzenia skrzyni o krawężnik, skoro nie obudził się, gdy obsługa lotniska przerzucała bagaże.

Ponder coraz bardziej oddalał się od kamery, z której pochodziły zdjęcia, ale było wyraźnie widać, że podchodzi do ciemnego SUV-a. Następnie przykucnął przy tylnym kole, najwyraźniej szukając kluczyków. Wstał, włożył skrzynię do bagażnika, wycofał samochód i wyjechał poza kadr kamery.

— Przez chwilę myślałam, że go zgubiliśmy — odezwała się Venice, czytając w myślach Jonathana — ale okazało się, że mamy szczęście. — Tym razem na ekranie pojawiło się kilka zdjęć naraz. Po lewej zobaczyli postać kierowcy, niestety niewyraźną z powodu odbicia w szybie, ale za to po prawej — prawdziwy skarb.

— Jasna cholera! — wykrzyknął Boxers. — Czy to tablica rejestracyjna?

Venice triumfowała.

— Święty Graal. Jeśli nie zmieni tablic — a czemu miałyby to zrobić? — możemy go śledzić we wszelkich możliwych bazach

danych. Jeśli dopisze nam szczęście, to zostanie, na przykład, zatrzymany za przekroczenie prędkości.

— A jeśli nie? — zauważył Jonathan.

— Mamy coś jeszcze — odparła. Przewinęła jeszcze kilka zdjęć SUV-a z różnych kamer ustawionych na skrzyżowaniach. — To niesamowite, jak oni mają rozbudowany system monitorowania.

— Oficjalnie próbują walczyć z przemysłem narkotykowym — wyjaśnił Jonathan. — To kosztowało miliardy dolarów i tysiące ludzkich istnień, a mimo to — mrugnął okiem — interes kwitnie. Założę się o tysiąc dolarów, że ten system inwigilacji powstał za pieniądze pochodzące z amerykańskiej pomocy.

Venice przyznała mu skinieniem głowy rację, ale myślami była już gdzie indziej.

— Na dwóch czy trzech ostatnich zdjęciach widać, jak wjeżdża w dżunglę na północ od miasta — powiedziała. — Szkoda, że nie mamy więcej.

— To i tak dużo — odparł Jonathan. — Wiemy, że Evan żyje — przynajmniej Ponder tak uważał. Mamy też informacje pozwalające zidentyfikować samochód. — Zwrócił się do Boxersa. — Musimy przekazać te informacje Josiemu, niech zacznie przekupywać odpowiednich ludzi.

Na twarzy Boxersa odmalowało się niedowierzanie.

— Nie mogę pojąć, jak możesz znowu zaufać temu sukinsynowi.

Jonathan się wzdrygnął.

— A dlaczego nie? Co on takiego zrobił?

— Nie chodzi o to, co zrobił — wyjaśnił Boxers — tylko o to, czego nie zrobił.

Jonathan przewrócił oczami.

— Nie rozgrzebuj tego na nowo. Staraj się chronić siebie. Zrobił to, co uznał za najlepsze.

— Od kiedy to oznacza wpychanie cię pod autobus?

Venice przekrzywiła głowę.

— O czym wy mówicie?

— O niczym — uciął Jonathan.

— O końcu wielkiej kariery — poprawił Boxers. — A właściwie dwóch.

- Wołałem wyrażenie „o niczym” — upomniał go Jonathan.
- Świetnie. Rób, co chcesz. Ale ja zawsze obiecywałem sobie, że następnym razem, kiedy sukinsyna spotkam, wyrwę mu wątrobę przez nos.
- Jak miło to brzmi — wyjęczała Gail.
- Przekazałem Josiemu listę tego, czego potrzebujemy — Jonathan nie zwracał uwagi na tamtych oboje. — Ma się z nami spotkać na jakimś zadupiu, które będzie dla nas dobrą bazą wypadową.
- A wspomniałeś o samolocie? — podsunął mu Boxers.
- Ewakuujemy się stamtąd prywatnym odrzutowcem, ale dopiero po długiej pieszej wędrówce i podróży samochodem.
- A nie śmigłowcem?
- Brak ukrytych lotnisk — odparł Jonathan. — Nie możemy sobie pozwolić na niepotrzebny hałas.
- Jak dotrzemy do Kolumbii? — zapytał Boxers.
- Samolotem rejsowym. Tak jak Ponder. Kolumbijski rząd bez wahania zestrzeliwuje nieznane samoloty.
- A co z wizami?
- Ja polecę jako David Grossman. Ty jako Richard Lerner. — Oba nazwiska pochodziły z długiej listy sprawdzonych i oddanych sprzymierzeńców, tworzonej przez lata przez Jonathana.
- Byłoby dobrze, gdyby poleciał z nami jeszcze ktoś trzeci — myślał na głos Boxers. — Nas dwóch wystarczy, ale nie zaszkodziłoby mieć kogoś zaufanego. — Spojrzał na Gail.
- Nie — odparł szybko Jonathan. — Gail ma robotę tutaj.
- Bruce Navarro ma siostrę — wyjaśniła Gail. — Dzięki urokowi osobistemu może uda mi się z niej wyciągnąć jakieś informacje. Musimy znaleźć Bruce'a, inaczej nigdy się nie dowiemy, od czego cała historia się zaczęła.
- Boxers zwrócił się z powrotem do Jonathana.
- A skąd weźmiemy ludzi na miejscu? Jonathan odchrząknął. To był najślabszy punkt.
- Josie obiecał dostarczyć nam całą armię.
- Nie mówię o ćpunach i rolnikach w zielonych mundurkach, Dig. Chodzi mi o wyszkolonych ludzi, strzelców, którzy trafią we wroga, a nie w swojego.
- Jonathan zacisnął zęby, starając się nie wybuchnąć gniewem.

— Mamy mało czasu, Box. Musimy sobie poradzić. Josie powiedział, że postara się zaangażować tyle znanych nam osób, ile zdoła.

— Od razu mi lepiej — zadrwił Boxers.

— Dość! — Jonathan uderzył otwartą dłońią w stół. Wszyscy podskoczyli. — Box, Ven i Gail. Upewnijmy się, że wiecie, jakie mamy zadanie. Spójrzcie na ekran. — Wszyscy patrzyli na Jonathana z zaskoczeniem. — Tam patrzcie, na niego, do cholery!

Obrócili głowy w stronę zdjęcia przedstawiającego Evana Guinna. Głowa z gęstą czupryną blond włosów wydawała się mała. Błyszczały mu oczy.

— Byłem odpowiedzialny za Evana Guinna — powiedział Jonathan. — I nadal jestem. Jeśli Ven ma rację — a Ven zawsze ma rację — tego chłopca nadano na bagaż. Na bagaż! Jak jakiejś brudne łachy. Musimy coś z tym zrobić. — Zastanawiał się, czy nie zaczęły mu drżeć ręce.

W pomieszczeniu zaległa przytłaczająca cisza. Tylko Boxers ośmielił się odezwać.

— Uspokój się, Dig. Jesteśmy w jednej drużynie. Zrobimy, co trzeba. Nie pierwszy raz uwalniamy z niewoli dzieciaka.

Jonathan był nadal wściekły.

— Ale po raz pierwszy chodzi o mojego dzieciaka — powiedział.

## Rozdział 22

Harvey Rodriguez szedł wzdłuż ciągnącego się za tawerną nabrzeża. Wyszedł z lokalu frontowymi drzwiami, ale zamiast skierować swoje kroki wprost do rezydencji, skręcił w prawo. Uznał, że tutaj ma o wiele mniejszą szansę natknąć się na tajemniczego bostończyka niż na ulicy. Krążył pomiędzy zacumowanymi jachtami i dopiero po przejściu sporego odcinka zawrócił.

Piętnaście jardów dalej zastąpił mu drogę Kozia Bródka.

— Witaj ponownie — odezwał się mężczyzna. — Musimy porozmawiać. — W prawej dłoni trzymał pistolet.

Harvey zareagował odruchowo, obracając się na pięcie i uciekając w przeciwnym kierunku. To zdumiewające, z jaką prędkością mózg potrafi przetworzyć tysiące informacji w obliczu zagrożenia. Kozia Bródka potrzebował informacji, a więc potrzebny mu był żywy Harvey, czyli broń była czystym blefem. Zresztą nie mógł sobie pozwolić na strzał. Tu, nad wodą, echo poniosłoby huk wystrzału na odległość kilku mil.

Mimo to Harvey poczuł swędzący ból na plecach, pomiędzy łopatkami, tam gdzie powinien trafić go pocisk, gdyby został wystrzelony.

Jego stopy zadudniły na drewnianym pomoście, a po chwili usłyszał i poczuł obecność goniącego go napastnika. Jego kroki były wolniejsze, ponieważ był o trzydzieści funtów cięższy.

Harvey wydłużył krok i przyspieszył rytm. Dzięki temu wygrał zawody w college'u, a potem w wojsku. Dzięki temu zawsze

zajmował medalowe pozycje. Ale tak było dawniej, kiedy był w formie.

Jeżeli miał zwyciężyć w tym wyścigu, musiał dokonać tego w ciągu najbliższych sekund, dopóki nie opadnie poziom adrenaliny i nie zacznie tracić sił.

Przed sobą dojrzał schody prowadzące na ulicę, ale wbieganie po stopniach wymagałoby jeszcze większego wysiłku, a poza tym skróciłby się dzielący ich dystans. Schody odpadały. Bieg na dłuższy dystans również.

Pozostało tylko pływanie.

Biegając tylko w świetle księżyca i blasku padającym z okien domów przy ulicy, Harvey skręcił w prawo przy najbliższej pochylni. Ujrzał kątem oka postać Koziej Bródki i serce zaczęło bić mu szybciej. Dzieliła ich odległość mniej więcej dziesięciu stóp.

— Stój, do diabła! — zawołał Kozia Bródka.

Harvey przyspieszył. Biegł z pochyloną głową, kiedy nagle drewniany pomost pod jego stopami stał się tylko powietrzem. Wskoczył z rozpędem do wody. Uderzył o taflę dłońmi, a upewniwszy się, że nie zaryje w muliste dno i nie złamie sobie karku, wierzgnął nogami i zanurkował głęboko w obawie, że napastnik może do niego strzelić. Woda była wyjątkowo chłodna jak na lipiec.

Na szczęście port w Fisherman's Cove był głęboki. Nie dotarł do dna. Natknął się za to na całą płataninę lin, które w atramentowych ciemnościach wyglądały drapieżnie, jakby za chwilę miały go oplątać i wciągnąć pod wodę.

Nie miał pojęcia, jak długo przebywał pod wodą ani jak daleko odpłynął, ale nagle poczuł potrzebę zaczerpnięcia powietrza. Odepchnął się nogami i wyrzucił w bok ramiona. Jego płuca domagały się tlenu, a on był tak dezorientowany, że nie widział, czy płynie w stronę dna, czy wynurza się na powierzchnię.

Panika powodowała, że jeszcze bardziej potrzebował tlenu.

Ponownie wierzgnął, ale widząc zbliżającą się szybko powierzchnię, rozpaczliwymi wymachami ramion próbował zwolnić. Gdyby wyskoczył z głośnym pluskiem z wody, straciłby zyskaną przewagę. Kilka cali od powierzchni dostrzegł w mroku biały kadłub

z włókna szklanego. Oparł się o niego dłońmi i powoli wynurzył. Najgorsza była sama końcówka. Ciśnienie w płucach i panika nawoływały do poddania się. Nie poddał się.

Wynurzył się pionowo, najpierw czubek głowy, potem oczy, w końcu nos i usta. Cicho wciągnął powietrze i rozejrzał się po okolicy.

W rzeczywistości przepłynął pod dwoma pomostami i czterema rzędami zacumowanych łodzi — razem pewnie jakieś sto stóp, więcej niż wynosił jego życiowy rekord. Był z siebie dumny.

Ale Kozia Bródka, uzbrojony w pistolet, wciąż gdzieś tam się czaił. Harvey nie widział go ani nie słyszał, ale wiedział na pewno, że gdzieś tam jest.

Co miał dalej robić? Najchętniej pozostałby tu, gdzie się znajdował, ale mogłoby to się źle skończyć. Na tle białego kadłuba był zbyt widoczny. Prędzej czy później Kozia Bródka go dostrzeże i Harveyowi nie pozostanie nic innego, jak się poddać.

Musiał się dostać na ulicę. Potrzebował świadków — tłumu, w którym tamten nie mógłby go skrzywdzić. Tu, w wodzie, osamotnienie działało na korzyść napastnika. Tam sytuacja by się odwróciła.

Przywołał wspomnienie długich schodów prowadzących na ulicę. Przerażliwie powolnymi ruchami zaczął przesuwać się wzdłuż kadłuba w kierunku rufy. Była to łódź wyścigowa długości dwudziestu ośmiu stóp i zdaniem Harveya powinna mieć pokład kąpielowy. Po co komu taka łódź, jeśli nie można byłoby za nią jeździć na nartach wodnych?

Nie rozczarował się. Była to bardziej półka niż pokład — rząd listew imitujących drewno, zawieszonych osiem cali nad wodą. Zaciśnął dłonie na pierwszej desce i powolnym ruchem się podciągnął.

Prostując ramiona, starał się sięgnąć nogą pokładu. Jeszcze tylko półobrót i leżał na pokładzie z twarzą skierowaną ku gwiazdom.

Nie ruszał się. Nie mógł sobie pozwolić na jakikolwiek ruch. Dopóki jedynym słyszalnym w okolicy dźwiękiem był jego dudniący puls, groziło mu niebezpieczeństwo. Policzył do sześćdziesięciu, a potem jeszcze raz. Po dwóch minutach poczuł, że panuje nad swoim ciałem. Przynajmniej częściowo.



Powoli przekręcił się z pleców na brzuch, a potem przysiadł w kucki i zamarł bez ruchu. Jeśli nie liczyć chlupotu wydobywającego się spod zacumowanych łodzi i odgłosów śmiechu z tawerny, wokół panowała cisza. Wszystko wydawało się normalne.

Tak jak zawsze wydaje się ofiarom na chwilę przed tym, nim wpadną w zasadzkę.

Gdzie się podział Kozia Bródka? Harvey spodziewał się go zobaczyć o dwa pomosty dalej, wypatrującego na wodzie śladu swojej ofiary, ale teraz zdał sobie sprawę, że to nie miało sensu. Od czasu gdy wskoczył do wody i zanurkował, minęły długie minuty. Kozia Bródka postąpiłby najrozsądniej, wynajdując miejsce, skąd mógłby prowadzić obserwację i gdzie mógłby zastawić pułapkę. Tylko gdzie?

Obracając tylko głowę, Harvey omiótł wzrokiem całą marinę, szukając jakiejś anomalii zdradzającej obecność przeciwnika, ale nie dostrzegł niczego.

Do czasu.

Kozia Bródka, jakby czytając w myślach Harveya, zajął pozycję pośrodku schodów, które miały posłużyć jako droga ucieczki.

Harvey zaklął pod nosem. Podczas polowania czeka się na zwierzynę w miejscu, gdzie prędzej czy później musi się pojawić. Sytuacja była patowa.

— Dosyć! — powiedział na głos. To był tylko szept, ale jego donośność go zaskoczyła. — Masz jaja czy nie? — To ostatnie zdanie przywołało na jego usta uśmiech. Wrócił pamięcią do Mike'a Browna, jednego ze swoich najlepszych przyjaciół z Wielkiej Piaszkownicy. Niemalże słyszał głos Mike'a, wypowiadającego te słowa.

Masz jaja czy nie?

Pochylił się poniżej poziomu tylnego nadburcia i przykucnął.

Okay, wiem już, co jest nie tak, pomyślał. A teraz zastanów się, co się udało.

Po pierwsze, Kozia Bródka najwidoczniej nie wiedział, gdzie on jest. Póki Harvey pozostawał niewidoczny, miał wybór, nawet jeśli na razie nie wiedział jaki.

Po drugie, Kozia Bródka przyjął postawę wyczekującą, zakładając, że przeciwnik pierwszy zrobi ruch. Jeśli Harvey przeczeka, być może problem sam się rozwiąże.

Po trzecie, hmm, trzeciego nie było.

Harvey uniósł głowę, żeby się rozejrzeć i upewnić, że nic się nie zmieniło. Tak jak przewidywał, przeciwnik nie ruszył się z miejsca. Gotów był czekać...

Nagle uwagę Harveya przykuło czerwone światełko diody LED. Zobaczył je przez okno starannie zamkniętego kokpitu.

— Już po mnie — szepnął. Łódź była wyposażona w alarm antywłamaniowy. A dlaczegożby nie? Skoro tkwiła tu bez dozoru przez całe tygodnie, to należało ją jakoś zabezpieczyć przed dzieciakami.

Przed dzieciakami i bezdomnymi o imieniu Harvey.

— Założmy, że mam jaja — szepnął z uśmiechem.

Podciągnął się do nadburcia, chwycił reling i przetoczył na brzuch, wprost na wyściełaną ławeczkę, a z niej na drewniany pokład. Zrobił przy tym więcej hałasu, niż zamierzał — przez chwilę myślał ze strachem, że zdradził swoją kryjówkę Koziej Bródce, ale nie odważył się podnieść głowy i sprawdzić.

Zamiast tego zaczął kopać w drzwi kokpitu. Pierwsze uderzenie pokazało mu, że drzwi są solidne. Po drugim coś trzasnęło, a po trzecim kokpit stał przed nim otworem.

I wtedy włączył się alarm.

## Rozdział 23

Jonathan normalnym, niespiesznym krokiem wchodził na wzgórze, kierując się w stronę komendy policji w Fisherman's Cove. Ze strzępu informacji uzyskanej przez telefon od szefa Douga Kramera wynikało, że w ich miasteczku pojawił się jakiś facet polujący na grubego zwierza, a Jonathan najwyraźniej był na jego liście. Jonathan już dawno nauczył się, że im wolniej się porusza, tym baczniejszą uwagę zwraca na otoczenie.

Mimo nieznośnego upału miał na sobie marynarkę, pod którą skrywał swoją czterdziestkępiątkę.

Komisariat mieścił się w niepozornym budynku z cegły. Parter i piętro zajmowały biura, a w piwnicy znajdowało się pięć cel, sprawiających wrażenie sal tortur z czasów inkwizycji. Jonathan w ciągu ostatnich lat kilkukrotnie odwiedzał te cele, za każdym razem zastanawiając się, czy spędzenie w nich jednej lub dwóch nocy nie sprowadziłoby wszystkich ulicznych rzezimieszków na drogę cnoty i praworządności.

Wszedł i uśmiechnął się do pracującej tu chyba od dwudziestu lat cywilnej urzędniczki, Rachel. Rachel odwzajemniła uśmiech zza kuloodpornej szyby i przyciskiem otworzyła elektryczny zamek wewnętrznych drzwi.

— Cześć, Digger! — zawołała, machając mu, kiedy przekroczył próg. — Dawno cię nie widziałam. — Wskazała ręką odległy kąt po lewej. — Szef Kramer jest u siebie. Czeka na ciebie.

Każdego innego dnia o tej porze komisariat świeciłby pustkami, ale z powodu niedawnego porwania w środku tłoczyło się pełno

obcych przemieszanych z miejscowymi. Ci obcy musieli być z FBI, doszedł do wniosku Jonathan. Kilku z nich podniosło głowy, kiedy wszedł do środka, ale uznawszy, że nie stanowi zagrożenia, szybko wrócili do pracy.

Lawirując pomiędzy gęstwiną biurek i krzesel, Jonathan podszedł do drzwi gabinetu Kramera i głośno w nie załomotał. Wszedł, nie usłyszawszy zaproszenia. Doug podtrzymywał ramieniem słuchawkę przy uchu, ale gestem zaprosił Jonathana, by podszedł bliżej. Zamknąwszy drzwi, Jonathan obrócił się i zobaczył, że w pokoju jest też Harvey Rodriguez — siedzi na jednym z rozkładanych metalowych krzesel przeznaczonych dla gości. Ręce miał skute kajdankami, mokre ubranie przywarło do ciała, a mimo to wydawał się zadowolony.

— Jestem pod wrażeniem — odezwał się Jonathan. — Nie trzeba było długo czekać, żebyś wpadł w tarapaty.

— Lepiej wpaść w tarapaty, niż być trupem — odparł Harvey.

Doug odłożył słuchawkę i wstał, żeby przywitać się z Jonathanem.

— Rzeczywiście go znasz?

— Mieszka w rezydencji — wyjaśnił Jonathan. — Jest niegroźny, kajdanki są zbędne.

— Jego kartoteka mówi coś innego — zauważył Doug. — Nie powinien się zbliżać do miejsc, gdzie gromadzą się dzieci, na odległość mniejszą niż sześćset jardów.

— Jest moim gościem — stwierdził Jonathan.

— To niczego nie zmienia.

— I dlatego go zamknąłeś?

Doug zawahał się.

— Nie.

Jonathan wyciągnął rękę, dając znak, że chce kluczyk od kajdank.

— Zajmijmy się w takim razie w tej chwili jednym przestępstwem, zgoda?

Doug się skrzywił.

— Od kiedy masz słabość do pedofilów?

Słyszac to, Harvey wziął głęboki wdech, ale nie odezwał się słowem. Przewidywał, że taki będzie przebieg wypadków.

— Nie mam słabości do pedofilów — odparł Jonathan. — Dlatego proszę, żebyś mi zaufał i dał kluczyk.

Doug wytrzymał spojrzenie Jonathana, potem niechętnie sięgnął do kieszeni po klucz i podał go nad biurkiem Jonathanowi.

Jonathan rozpiął kajdanki i zwrócił je szefowi.

— Dzięki, Doug. No to dlaczego znalazł się w areszcie?

— Według relacji Harveya ktoś próbuje go zabić. Kiedy został osaczony w porcie, specjalnie, jak twierdzi, włamał się do łodzi, żeby uruchomić alarm i w ten sposób wezwać pomoc. To ostatnie się zgadza. Przypadkowo jeden z naszych posterunkowych znajdował się przecznicę dalej.

Jonathan obdarzył Harveya pełnym podziwu spojrzeniem.

— Naprawdę?

Harvey wzruszył ramionami i potarł nadgarstki.

— Dobrze pomyślane — pochwalił go Jonathan. — A co z tym bandziorem?

— Puff — odparł Doug. — Ani śladu.

— Proszę opowiedzieć mu resztę — nalegał Harvey. — Pański człowiek widział, jak tamten ucieka, kiedy włączył się alarm.

Doug potwierdził jego słowa wzruszeniem ramion i skinieniem głowy.

— Święta prawda. — Wskazał wolne krzesło. — Siadaj, Dig. Nauczony doświadczeniem wiem, że w naszym miasteczku takie rzeczy dzieją się tylko wtedy, kiedy ty maczasz w tym palce. Powiedz wujkowi Dougowi, co jest grane.

Jonathan usiadł, założył nogę na nogę i starając się wyglądać na rozluźnionego, zastanawiał się gorączkowo, jak uniknąć odpowiedzi na pytanie, które za chwilę padnie.

— Doug, przyjaźnimy się od lat...

Szef się roześmiał.

— O mój Boże. Kiedy zaczynasz od przyjaźni, wiem już, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

Jonathan zachował powagę.

— Zawsze panowało między nami porozumienie w sprawie mojej pracy. Ty nie zadawałeś zbyt wielu pytań, a ja się nie chwaliłem.

Teraz Doug też spowaźniał.

— Tak było, zanim ludzie zaczęli tu strzelać i porywać dzieci. Zanim banda dziennikarzy zaczęła mi przez dwadzieścia cztery

godziny na dobę zawracać dupę i zanim FBI wprowadziło się do mojego komisariatu. Zabawne, jak się sytuacja zmieniła.

— Masz prawo być zaniepokojony — stwierdził Jonathan. — Gdybym był na twoim miejscu...

Doug uniósł dłoń.

— Daruj sobie. Nie potrzebuję współczucia. Potrzebuję informacji i wydaje mi się, że ty je masz. Kocham cię jak brata, przyjacielu, ale nie myśl, że nie mogę cię zapuszkować za utrudnianie pracy policji. Jeśli to nastąpi, nie wiem, czy uda mi się zapanować nad przeciekami do prasy na temat twojej ubocznej działalności. Nie znam szczegółów, ale wiem wystarczająco dużo, żeby uprzykrzyć ci życie. A to, czego sam nie rozgryzłem, załatwią za mnie dziennikarze. A zatem mów, Dig.

Jonathan był zaszokowany.

— Grozisz mi?

Doug gwałtownie uniósł ręce.

— A mam inne wyjście? Wiem, że Resurrection House to twoje oczko w głowie, ale prawda jest taka, że ta szkoła znajduje się w moim mieście, a leżący teraz w szpitalu dozorca — Alvin Stewart — jest moim sąsiadem. Wiem też, że nie jesteś entuzjastą obowiązującego na tym terenie prawa, ale musisz go przestrzegać, podobnie jak cała reszta. A przynajmniej dzielić się informacjami z ludźmi, którym płacą za przestrzeganie tego prawa.

Harvey Rodriguez patrzył na nich jak na zawodników rozgrywających mecz tenisa. Obracał głowę to w jedną, to w drugą stronę.

— Nie chcesz znać niektórych szczegółów, Doug.

Szef uderzył dłonią w biurko.

— Nie mów mi, co chcę, a czego nie. Jestem już dorosły, Digger. Potrafię oddzielić rzeczy ważne od nieważnych.

Jonathan nigdy go takiego nie widział. Był jednym z najbardziej opanowanych ludzi, jakich znał. Widok zdenerwowanego Douga Kramera był niepokojący. Z drugiej strony miał rację. Zadaniem szefa policji było między innymi chronienie dzieci z Resurrection House, więc powinni współpracować. Kiedy Jonathan podjął już decyzję, jak dalej postępować, niemalże usłyszał głos protestującego głośno Boxersa. Olbrzym zawsze zarzucał Jonathanowi, że działa zbyt pochopnie i wbrew zasadom bezpieczeństwa, a pomaganie szefowi policji, nawet jeśli był przyjacielem od dziecięcych lat,

przekraczało wszelkie granice rozsądku.

Jonathan westchnął.

— Powiem to, co wiem, a nie to, co podejrzewam — zadeklarował. — I pod jednym warunkiem, że nie będziesz mnie pytał o źródło informacji. Uwierzysz mi albo nie, ale nie zamierzam dyskutować na temat szczegółów. Czy to uczciwy układ?

Kramer nie pokazał po sobie niczego.

— Przekonamy się.

Jonathan poukładał sobie w głowie różne elementy i postanowił zacząć od prawdziwej bomby.

— Jeremy Schuler żyje i ma się dobrze. Ukrywa się w rezydencji po drugiej stronie ulicy.

Doug sprawiał wrażenie, jakby ktoś zdzielił go porządnie w głowę.

— Jezus Maria, Digger. Czy ty wiesz...

Jonathan nie pozwolił mu dokończyć.

— Nie zamierzam wysłuchiwać kazań, Doug. Słuchaj albo nie, ale daruj sobie przemowy, okay?

Zaczekał na kiwnięcie głową.

— Wiemy, że Evan Guinn został porwany, żeby zniechęcić jego ojca do składania zeznań przeciwko rodzinie Slaterów. Pojawiło się pytanie, dlaczego porwano Jeremy'ego Schulera. Odkryliśmy, że on też miał zostać zamordowany. Nasz przyjaciel Harvey ocalił mu życie.

Twarz Douga pozostała nieprzenikniona, kiedy obrócił się i spojrział na swojego byłego więźnia. Harvey uśmiechnął się i pomachał mu ręką.

— To sięga głębiej — ciągnął Jonathan. — Mamy powody uważać, że zlecenie morderstwa Jeremy'ego wydał ktoś z rządu.

— Jakiego rządu?

— Tego w Waszyngtonie.

— Na miłość boską, Dig, dlaczego... — Przerwał i uciekł wzrokiem przed gniewnym spojrzeniem Jonathana.

— Jak już wspomniałem, mówię tylko to, co wiem na pewno. Kiedy odkryliśmy, że za porwaniem chłopca stoją ważne osobistości, uznaliśmy, że najlepiej będzie go ukryć. Trzymaliśmy to w sekrecie, mając nadzieję, że bandyci nie dowiedzą się, jaki popełnili błąd.

Doug oparł się ciężko na krześle i potarł czoło.

— Jezu, Dig. Czy ty zdajesz sobie sprawę, ilu ludzi szuka teraz tego chłopca?

— Mam nadzieję, że tysiące i że ich liczba z każdą minutą rośnie. Im bardziej są zaangażowani w poszukiwania chłopca i porywaczy, tym mniejsza szansa, że bandyci go dopadną.

Doug trawił przez kilka sekund uzyskane informacje, a potem wybuchnął śmiechem.

— Cholera, niezły z ciebie numer. A co z ludźmi, którzy pana ścigają, panie Rodriguez?

Harvey spojrzął na Douga otumanionym wzrokiem, a potem bezradnie rozłożył ręce.

— Dobrze mu idzie. Niech on opowie.

Jonathan zaczął wiercić się na krześle.

— Tu już w grę wchodzi ujawnienie źródeł — zaczął. — Wydaje mi się, że bandytom może brakować dwóch kolegów.

— Brakować?

— Idźmy dalej, Doug. To nieistotne.

Szef ustąpił. Nie miał innego wyjścia.

— W takim razie pozostało ci odnaleźć zaginionego chłopca i dostarczyć go do domu — powiedział to żartem, ale kiedy zobaczył minę Jonathana, na jego twarzy ponownie pojawiło się przerażenie. — Jasna cholera! Wiesz, gdzie on jest?

Jonathan wzruszył ramionami.

— Mniej więcej.

— Gdzie?

— Nie mogę ci powiedzieć.

— Cholera, Digger...

— Takie dostałem polecenie od FBI. Nie mogę ci powiedzieć.

Doug stracił rezon.

— Od naszego FBI? Tych, którzy tam siedzą za ścianą?

— Tak, od naszego FBI. Ale na pewno nie od tych za ścianą. Im nie możesz niczego zdradzić. Ani słowa, Doug. To kwestia życia i śmierci. Także mojego życia.

— To się nie trzyma kupy — odparował Doug. — Chcesz, żebym uwierzył, że FBI ma sekrety we własnym gronie?

Jonathan nie odpowiedział. Doug mógł sobie wierzyć, w co ze chce, ale od Jonathana nie dowie się niczego na temat informacji uzyskanych od Irene Rivers.



— To co ja mam w takim razie robić? — rzucił Doug. Złość sprawiła, że jego głos zabrzmiał o oktawę wyżej.

— Przecież mówił, że nie będzie pan chciał tego wiedzieć — wtrącił się Harvey.

— A ty się zamknij — warknął Doug, wycelowawszy palec prosto w nos Harveya.

— Nie mogę ci doradzić, co masz robić — odparł Jonathan. — Jeśli chcesz się przekonać, że Jeremy jest bezpieczny, to zapraszam. Ale pamiętaj, proszę, że ten, kto chciał jego śmierci, nie zmienił zamiarów.

— Chcesz, żebym utrudniał postępowanie i pozwolił federalnym uganiać się za własnym ogonem, skoro wiem, że to bez sensu?

— Brzmi to ostro, kiedy tak stawiasz sprawę — zauważył Jonathan.

— Jak ja będę wyglądał, kiedy coś wycieknie?

Jonathan poczuł rozczarowanie.

— Od kiedy to martwisz się, co powiedzą ludzie na twój temat? Dougowi Kramerowi, którego znam, zależało tylko na tym, żeby postępować właściwie. — Szeł poczerwieniał.

— Wiesz, co mam na myśli.

— Nie, chyba nie. Ja mówię o chronieniu życia dziecka, a ty o swojej karierze. Tak jakby obie te sprawy były równie istotne.

Doug roześmiał się drwiąco.

— Ach, ta dwuznaczna moralność Diggera Grave'a, samotnego wojownika, stojącego na piedestale. Musisz mi kiedyś opowiedzieć, jak stamtąd wygląda świat.

Jonathan nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. I to mówił człowiek, który jeszcze niedawno w imię sprawiedliwości gotów był nakłaniać do morderstwa.

— Z kim ja rozmawiam? — zadał pytanie.

Doug zacisnął zęby i z wściekłością spojrział na Jonathana.

— Wyjdź stąd, Harvey — powiedział Jonathan.

— Co?

— Po prostu zaczekaj kilka minut w drugim pokoju.

— Z federalnymi? — Jonathan równie dobrze mógł kazać rzuć mu się w ogień.

— Z nikim nie rozmawiaj i nie szwendaj się. Po prostu zaczekaj.

Szukając wsparcia, Harvey spojrzął na szeryfa Kramera, ale ten wpatrywał się w płamę na podkładce leżącej na biurku.

— To nie potrwa długo — obiecał Jonathan. W tonie jego głosu panowała idealna równowaga między prośbą a żądaniem.

Harvey wyszedł.

— Mów, Doug — zaczął Jonathan. — Co się dzieje?

Szef wciąż wpatrywał się w płamę, najwyraźniej nie zamierzając nic powiedzieć, ale kiedy cisza się przedłużała, przewrócił oczami. W ciągu dwóch minut postarzał się o dziesięć lat.

— Nie rozumiesz, jakie spustoszenie w naszym mieście może spowodować taki incydent? — odezwał się. — Nie rozumiesz, co znaczy zbiorowa utrata niewinności? To nie jest strefa działań wojennych, Dig. Do diabła, to nawet nie jest miasto. W Nowym Jorku czy Waszyngtonie, kiedy dochodzi do strzelaniny, media przechodzą nad tym do porządku dziennego, i ludzie też. Tu jest inaczej. Taka przemoc wżera się w samo serce tego miasta. I nie da się przejść obok tego obojętnie.

Jonathan skrzywił się.

— Co to ma wspólnego...

— Ciii... Posłuchaj. Chociaż raz w życiu posłuchaj. W ostatnich dniach byłeś bardzo zabiegany, więc pewnie nie czytałeś gazet, a powinieś. Padło wiele mocnych słów. Na przykład niekompetentny. To o mnie. Oddałem temu miasteczku całe swoje życie. Kiedy ty wędrowałeś po świecie i broniłeś naszej wolności, ja wypruwałem sobie flaki, żeby Fisherman's Cove było świetnym miejscem. Masz rację, nie robiłem tego dla sławy. Byłbym zadowolony z anonimowości, ale niech mnie diabli, jeśli pozwolę się nazwać niekompetentnym.

Nastąpiła przerwa. Jonathan myślał, że jego przyjaciel skończył, ale Doug znów zaczął mówić.

— Śledziłem każdy twój krok, Dig. Wiem, jakie przesrane życie miałeś w dzieciństwie, i wiem, jakim przyjacielem jesteś dla wszystkich w tym miasteczku. Ale te wszystkie tajemnice muszą mieć jakieś granice. Twój sąsiedzi toną we łzach i modlą się za chłopca, który, jak się okazuje, jest już bezpieczny. To dla nich bardzo ważne, żeby wiedzieli, że ich modlitwy zostały wysłuchane.

— Wkrótce się o tym dowiedzą — powiedział Jonathan. Pochylił się i oparł ramionami o blat biurka. — Ale dopiero wtedy, gdy będzie zagwarantowane jego bezpieczeństwo. Boję się, że nie skończy się na jednym porwaniu. Tak czy inaczej pojawi się przemoc i musimy nad nią zapanować.

Doug głęboko westchnął i napiął mięśnie szyi.

— Wiem, że masz rację — powiedział znów łagodnym tonem. — Nie podoba mi się to, ale wiem. Nie tak powinno to wszystko wyglądać.

Jonathan uśmiechnął się, widząc, że znów siedział przed nim człowiek, którego znał.

— Nic tutaj nie wygląda tak, jak powinno — powiedział. — Ale ja to naprawię.

— Naprawdę wiesz, gdzie jest ten chłopak Guinn?

— Tak mi się wydaje. Właściwie jesteśmy całkiem pewni.

— I zamierzasz go ściągnąć do domu?

Jonathan skinął głową. W zwyczajnych okolicznościach nie odpowiedziałby na to pytanie. Ale był to Dougowi winny.

Rozmowa stała się niezdarna, jakby zużyli już wszystkie dostępne słowa.

— Powinienem ci powiedzieć, żebyś na siebie uważał — odezwał się Doug — ale wiem, że tego nie znosisz.

Jonathan rzeczywiście tego nie znosił. W jego fachu ostrożni umierali młodo, zaraz po głupcach. Zawsze zwyciężał, gdy działał agresywnie i sprytnie.

— Skończyliśmy? — zapytał, podnosząc się z krzesła.

— Jeszcze nie. — Doug nie poruszył się. Miał srogą minę.

Jonathan usiadł z powrotem i czekał.

— Twój kumpel Harvey. Jest spory problem z jego zwolnieniem warunkowym. Chciałbym mu wybaczyć naruszenie prawa, bo za niego poręczyłeś, ale co mam z nim zrobić? Nie mogę pozwolić, żeby się tu kręcił. Twoje poręczenie to jedno, a wyrok — drugie. A skoro wyjeżdżasz, to nawet poręczenie staje się dyskusyjne. On musi stąd zniknąć.

Tego Jonathan nie przewidział.

— Mimo że chcą go zabić?

Szef wzruszył ramionami.

- Mogę go zamknąć w areszcie prewencyjnym.
- Nie zgodzi się na to.
- Mówię tylko, jakie są wyjścia. Okazuje się, że niewiele.

Jonathan zastanowił się. Doug miał rację. Jonathan wierzył Harveyowi, ale musiał przyznać, że opierał się na intuicji, nie na faktach. Istniały pewne granice, których nie mógł przekraczać, prosząc o coś nawet tak dobrego przyjaciela jak Doug Kramer. Wzruszył ramionami.

- Muszę go przekonać, żeby pojechał ze mną.

Harvey stanął w korytarzu jak wryty.

- Chyba oszalałeś.
- Nie masz specjalnego wyboru — przekonywał Jonathan.

Na wypadek gdyby Kozia Bródka czał się gdzieś w mroku i próbował strzelać, Doug odprowadzał ich do rezydencji.

- A co z moim życiem? Jestem do niego przywiązany.

Jonathan roześmiał się.

— I do czego cię to doprowadziło? Jeszcze się dobrze nie wysuszyłeś po kąpeli. Gdzie zamierzasz zanurkować następnym razem?

— Na pewno nie w Kolumbii, tyle ci powiem. Nienawidziłem pustyni, bo było tam sucho i gorąco. A teraz proponujesz mi jakąś pieprzoną dżunglę.

Jonathan cały czas się śmiał.

- Nadal pozostaje fakt, że nie masz wyboru.

Harvey stał z rozdziawionymi ustami, próbując znaleźć jakieś wyjście z sytuacji.

— Nie słuchałeś, jak mówiłem ci o moim zespole stresu pourazowego? Jestem szalony.

— Szaleństwo jest stanem trwałym — odparował Jonathan. — Poznałeś mojego przyjaciela Boxersa, więc wiesz, o czym mówię. Tam w porcie świetnie sobie poradziłeś. Wpadłeś na dobry pomysł. A mały Jeremy jest dowodem na to, że radzisz sobie jako sanitariusz. Jeśli dodać do tego fakt, że przyda mi się dodatkowa para rąk, to można chyba uznać, że jest to dla ciebie świetna okazja.

— Okazja. — Harvey smakował słowo. Nie podobało mu się. — Tak to nazywasz? Okazja do czego? Żeby umrzeć?

— Do odzyskania szacunku dla samego siebie — odparł Jonathan.

Harvey poczerwieniał.

— Nie zamierzam cię oceniać — ciągnął Jonathan — ale obserwowałem cię. Nie jesteś tak szalony, za jakiego chcesz uchodzić. Miałeś ciężkie przeżycia, zostałeś oszukany przez system, ale chyba nawet ty widzisz zmiany, jakie zaszły w tobie w ciągu ostatnich kilku dni.

Harvey poczerwieniał jeszcze mocniej.

— Mało że masz nadludzkie umiejętności, to teraz zostałeś jeszcze psychiatrą? A może widzisz przez ściany, co?

— Kpij sobie, jeśli chcesz. Ja ci tylko mówię, że twoje życie już uległo zmianie. Co zamierzasz zrobić? Wrócić do swojego namiotu? Jak chcesz zapewnić sobie bezpieczeństwo w nocy? Zamierzasz w ogóle nie spać?

— To wszystko dlatego, że zabiłeś tamtych koleśi. Wielkie dzięki.

— Nie, nie, nie. Nie zwalaj na mnie wszystkiego. To był twój wybór. To ty postanowiłeś pomóc Jeremy'emu. Ty go pielęgnowałeś.

— A co miałem zrobić? Umierać.

Jonathan przekrzywił głowę.

— Chcesz powiedzieć, że nie zastanawiałeś się, czy go zostawić i stamtąd uciec?

Harvey wbił wzrok w ziemię.

— To znaczy, że dokonałeś wyboru — nie ustępował Jonathan. — Mogłeś pójść swoją drogą, ale tego nie zrobiłeś. Mogłeś tu w barze zdradzić chłopaka, ale tego nie zrobiłeś, choć o mały włos nie zginąłeś. Czy ci się to podoba, czy nie, zachowałeś się jak bohater. Gdzieś tam jest sierżant od musztry, który jest teraz z ciebie dumny.

Harvey zamierzał zaprzeczać. Miał to wymalowane na twarzy. Składał wargi do mówienia, ale z jego ust nie padło ani jedno słowo.

— No, Harvey, kiedy ostatnio miałeś okazję zrobić coś szlachetnego?

Już mało brakowało.

— Dlaczego ja? Są pewnie setki byłych żołnierzy, którzy rwą się do walki w dżungli.

— Ponieważ nie mam czasu na prowadzenie rekrutacji. Ponieważ już siedzisz w tym po uszy. Hiszpański to twój ojczysty język, prawda?

Harvey wzruszył ramionami.

— Tak myślałem. Po prostu gdzieś tam głęboko boisz się zaangażować.

Harvey uśmiechnął się.

— Czyżby? Jak głęboko?

— Właściwie to niespecjalnie głęboko.

Uścisnęli sobie dłonie.

## Rozdział 24

Jersey City wcale nie było tak okropnym miejscem, jak to sobie Gail wyobrażała. Leżące nad rzeką Hudson, ze wspaniałym widokiem na Statuę Wolności, z rzędami dobrze utrzymanych kamienic i całym morzem niewielkich parterowych domków jednorodzinnych, przypominało jej robotniczą dzielnicę Chicago z czasów młodości.

Nawigacja GPS zaprowadziła ją prosto na Wilkinson Avenue — a właściwie wprost pod drzwi domu, którego szukała.

Gail wysiadła z wynajętej toyoty celiki, zamknęła drzwi i na wszelki wypadek rozejrzała się ostrożnie. Pewne nawyki były zbyt głęboko zakorzenione, by dały się wyplenić. Kiedy już nie chronił jej samochód, okolica wydała się mniej zachęcająca. Może lepiej było złożyć tę wizytę za dnia? Wcisnęła torebkę pod pachę, weszła na chodnik i zbliżyła do zniszczonych schodów prowadzących do domu Alice Navarro.

Składała tego rodzaju wizyty tysiące razy, kiedy była gliną i agentką FBI, ale dopiero w Security Solutions musiała robić to w pojedynkę. Odznaka dawała przywilej wsparcia. W sektorze prywatnym można było liczyć tylko na swoją broń i umiejętności korzystania z niej. Gail miała jedno i drugie — glocka w torebce i jako zabezpieczenie przytwierdzoną do kostki trzydziestkęosemkę o krótkiej lufie. W New Jersey za posiadanie broni groziło aresztowanie.

Lepiej być przesłuchiwanym przez dwunastu niż niesionym przez sześciu. Banał stawał się banałem nie bez powodu.

Dom Navarro liczył sobie siedemdziesiąt lat. Fasada, a także kolumny wspierające dach werandy były ceglane. Drzwi z siatki były zamknięte. Zastukała w szybkę w drzwiach.

Minęło piętnaście sekund, nim jakaś ręka odchyliła zasłonę. Za szybą pojawiła się zaniepokojona twarz starszego mężczyzny.

— Kim pani jest? — zawołał głośniejsze niż trzeba.

— Nazywam się Gail Bonneville — odpowiedziała. Starła się mówić na tyle głośno, żeby było ją słychać, i na tyle cicho, żeby nie wzbudzić zainteresowania sąsiadów. — Chciałabym porozmawiać z Alice Navarro.

— Po co? Czego pani chce?

Oba pytania uzasadnione, pomyślała.

— Mógłby pan otworzyć drzwi? — poprosiła. — To ważna sprawa.

— Nie otwieram po zmroku — odparł mężczyzna.

— Rozumiem. Ale to naprawdę bardzo...

— Jest pani gliną?

Gail musiała się uśmiechnąć.

— Nie, proszę pana. Już nie. Ale byłam. Teraz jestem prywatnym detektywem.

— Czego pani chce?

— Chodzi o brata Alice, Bruce'a — odparła.

Usłyszała otwierające się dwa zamki i drzwi otworzyły się tak szybko, że zadrżała jej ręka. Mężczyzna obrzucił ją wściekłym spojrzeniem.

— Proszę wejść do środka. — Jego ciało, będące jakby przedłużeniem drzwi, usunęło się na bok, otwierając jej przejście do przedpokoju.

Wyposażenie było stare. Ciemny drewniany parkiet w holu żółkł. Ciemne drewniane listwy ozdabiające schody i kwiatowy wzór tapet na ścianach pochodziły z lat osiemdziesiątych.

Znajdujący się na lewo od przedpokoju salon tonął w niebieskim blasku przyciszonego telewizora. W tym blasku kobieta, która według przypuszczeń Gail była Alice Navarro, wyglądała przeraźliwie bledo.

— Ma pani jakąś odznakę albo cokolwiek, co mógłbym zobaczyć? — zapytał mężczyzna po tym, jak zamknął drzwi na zamek. W rzeczywistości wyglądał młodziej niż przez okno.



Oceniła, że musi mieć około pięćdziesięciu pięciu lat. Ubrany był w podkoszulek, chyba uniwersalny strój wypoczynkowy klasy robotniczej. Jednak dzięki muskularnym ramionom dobrze w nim się prezentował.

Gail wyjęła z torebki srebrne pudełko na wizytówki i otworzyła je. Na pokrywce widniał emblemat biura szeryfa w Samson. Pudełko było jedyną pamiątką po poprzednim pracodawcy. Kiedy wyjmowała z niego wizytówkę, zauważyła, że emblemat przykuł uwagę mężczyzny.

Wyciągnęła na powitanie dłoń.

— Gail Bonneville — przedstawiła się.

Ucisnął jej rękę i ze zmarszczonymi brwiami czytał treść wizytówki.

— Ken Harper. Tu jest napisane „detektyw prowadzący”. Co to znaczy?

— To znaczy, że mam wysokie stanowisko w firmie.

W łukowym przejściu pojawiła się kobieta z salonu. W pełnym oświetleniu ona też wyglądała młodziej, ale w oświetleniu dziennym powinna jeszcze coś zrobić z potarganą brązową czupryną na głowie. Wyglądała, jakby przebudziła się ze snu.

— Powiedziała pani, że ma jakieś nowe wiadomości na temat Bruce'a? — zapytała.

— Pani nazywa się Navarro? — spytała Gail, wyciągając jeszcze jedną wizytówkę.

— Obecnie Harper — odpowiedziała. — Proszę do mnie mówić Alice. I proszę zatrzymać wizytówkę. Jedna wystarczy. Nie ma sensu niszczyć więcej drzew niż trzeba.

Gail wsunęła pudełko wraz z zawartością do torebki.

— Możemy na chwilę usiąść?

— Niech się pani cieszy, że wpuściłem panią do środka — odezwał się Ken. — Proszę nie igrać z losem. Jeśli pani coś wie o Bruce, proszę powiedzieć.

Gail zastanawiała się, jak najlepiej to ująć.

— Nie powiedziałam, że mam jakieś wiadomości. Nie mogłam tak powiedzieć, bo nie mam żadnych. Chciałam się tylko dowiedzieć, czy możecie mi pomóc go znaleźć.

Uszy Kena się zaczerwieniły. Sięgnął do klamki.

— Wystarczy — powiedział, otwierając zamki. — Proszę wyjść.

— Ale ja...

— Natychmiast.

Był wyraźnie wściekły, ale daleki od zastosowania przemocy. Jeśli Gail prawidłowo oceniła jego zachowanie, był po prostu zakłopotany. Spojrzała błagalnie na Alice.

— Tu chodzi o życie — rzuciła szybko. — O życie dziecka.

Zawahali się oboje. Nic nie było jeszcze przesądzone, ale pojawiła się szansa i Gail musiała ją szybko wykorzystać.

— Reprezentuję Resurrection House — powiedziała. — To taka szkoła w Wirginii, gdzie...

— Porwanie — wtrąciła Alice. — Słyszałam o tym w wiadomościach. To sierociniec, prawda?

— Właściwie to nie, ale można tak powiedzieć. Jeden z porwanych chłopców ma powiązania z twoim bratem.

Otworzył się drugi zamek.

— Wystarczy — powiedział Ken.

— Nie — przerwała mu Alice. — Chcę wysłuchać, co ona ma do powiedzenia.

— Nie, Alice — sprzeciwił się Ken. — Nie wyniknie z tego nic dobrego.

— Może wyniknąć, jeśli uda się uratować życie dziecku — warknęła Gail. — Z całym szacunkiem, panie Harper...

— Proszę mówić do niego Ken — powiedziała Alice. — Wszyscy tu mówią sobie po imieniu.

— Z całym szacunkiem, Ken, przejechałam kawał drogi, a stawka jest bardzo wysoka. Jeśli poświęcisz mi kilka minut, to chyba cię to nie zabije?

Ken sprawiał wrażenie zaskoczonego tym wybuchem, a może nawet lekko rozbawionego.

— Zabawne, że wspomniałaś o zabijaniu — mruknął.

W głowie Gail zapaliła się ostrzegawcza lampka.

— Co masz na myśli?

— On nie miał nic na myśli — wtrąciła się Alice. Odepchnęła się od ściany i wskazała ręką pogrążony w mroku salon. — Proszę. Siadaj. Przepraszam za lekki nieporządek, ale nie spodziewaliśmy się gości. — Sięgnęła pod żyrandol stojącej lampy i przekręciła wyłącznik. Pokój zalało bladożółte światło.

„Lekki nieporządek” to delikatnie powiedziane. Najwyraźniej Alice i Ken byli kolekcjonerami. Wszystkie powierzchnie poziome

były zajęte przez świecidełka i bibeloty. Małe ludziki i małe domki, małe szklane rybki i porcelanowe koniki. Małe wszystko. Setki małych przedmiotów. Może nawet tysiące. Gdybyś chciał postawić gdzieś swojego drinka, to nie myśl o tym. Na podłodze stopy ilustrowanych magazynów starannie powiązanych białym szpagatem zalegały wszędzie. Na jednym z nich, najbliższym fotela, w którym siedziała Alice, stała szklaneczka z drinkiem. A więc jednak znalazło się miejsce. W całej tej rupieciarni panował jednak jakiś porządek.

Gail bez pytania domyśliła się, że drugi fotel, oddzielony od fotela Alice stolikiem pełnym porcelanowych kotów, należał do Kena, więc nawet nie próbowała do niego podchodzić. Podejrzewała, że jest ich pierwszym gościem od długiego czasu. Nie było tu miejsca, gdzie mogłaby usiąść.

— Fotel dla gościa — powiedział pełnym rezygnacji tonem Ken i wskazał otwartą dłoń niebieskiego la-z-boya.

— Nie, nie mogę — zaprotestowała Gail.

— Oczywiście, że możesz — odezwała się Alice, rozsiadając się w swoim fotelu. Ze schowka w oparciu wyjęła pilota i położyła go na stoliku.

— A co z Kenem?

— Kenowi będzie wygodnie na „New Yorkerze” — powiedział Ken, przysuwając wysoką stertę bliżej foteli. Widząc, że Gail wciąż stoi, wskazał ruchem brody fotel. — Poważnie, siadaj. Mów, co masz do powiedzenia, a potem zostaw nas w spokoju.

— Ken!

Na pretensję w jej głosie odpowiedział, przewracając oczami.

— Jak możemy pani pomóc, pani... — zagaiła Alice.

— Gail. Też wolę, kiedy mówi się do mnie po imieniu.

Alice uśmiechnęła się. To pewnie był rodzaj testu.

— Czy mówi wam coś nazwisko Schuler? Frank Schuler albo Jeremy?

— To są ci porwani chłopcy? Ci, którym grozi niebezpieczeństwo?

— Jeden z nich, tak. Jeremy. Frank to jego ojciec. Siedzi teraz w więzieniu za zamordowanie swojej żony Marilyn, która pracowała u twojego brata.

— Która kiedyś pracowała u człowieka, który umawiał się z dziewczyną, która czyściła szyby Kevinowi Baconowi — zdrwił Ken. — To dla nas żadna rewelacja.

Ken zaczynał Gail irytować. Za każdym razem, kiedy zaczynała poważną rozmowę, wtrącał się i wszystko psuł.

— Gdybyś mógł...

Podniósł energicznie ręce.

— Nie próbuj mnie pouczać — powiedział. — Jeśli przeprowadziłaś swoje śledztwo, to wiesz, w jakie gówno ten człowiek nas wpakował. Mieliśmy tu gangsterów, którzy nas straszili. Potem mieliśmy FBI, które nas straszło, bo nie powiedzieliśmy im o gangsterach. Posłuchaj, wiemy, że zgarnął grubą forszę i teraz żyje gdzieś jak król, ale to ani nasz interes, ani problem. Więc jeśli zamierzasz wygłaszać jakieś komunały, to powiem ci głośno i wyraźnie — gówno mnie to obchodzi.

Gail patrzyła na niego, próbując zyskać na czasie. Właśnie zdobyła nową informację i nie wiedziała, jak to rozegrać. Zdecydowała się na pełną otwartość.

— Jakie pieniądze?

Ken skrzywił się i rzucił krótkie spojrzenie Alice.

— Pieprzysz — powiedział.

— Słucham?

— Powiedziałem, że pieprzysz. Chcesz mi powiedzieć, że nie wiesz nic o pieniądzach?

Gail wzruszyła ramionami.

— W takim razie pieprzę, bo nie wiem.

Kolejny rzut okiem na Alice, ale tym razem Gail nie dopuściła go do głosu.

— Nic nie wiem o pieniądzach, Alice. Wiem tylko, że Marilyn Schuler pracowała u twojego brata.

Alice nie uwierzyła jej.

— Jakie to ma znaczenie? Pewnie pracowała u różnych ludzi. Pewnie miała wielu przyjaciół, braci i siostry. Dlaczego przychodzisz z tym do nas? Dlaczego mój brat jest ważniejszy od innych?

— Ponieważ twój brat był prawnikiem gangsterów i morderców — odparła Gail. Obudził się w niej funkcjonariusz policji. Nie potrafiła postępować delikatnie. Biorąc pod uwagę zuchwałość tego porwania, nietrudno było powiązać je z mafią.

— Nie mam nic wspólnego z tym nonsensem — broniła się Alice. — Żadne z nas nie ma.

— Wcale nie sugeruję, że macie — zapewniła ją Gail. — Ale wciąż liczę na to, że pomożesz mi odnaleźć twojego brata. Przepraszam, jeżeli zaczęłam zbyt ostro, ale życie chłopca wisi na włosku. — Sięgnęła do kieszeni i wyjęła z niej zdjęcie, które zabrała ze sobą, przewidując taki rozwój wypadków. Uśmiechnięty Jeremy Schuler, typowy Amerykanin, tryskał na nim zdrowiem. Taki obraz potrafił zmiękczyć najbardziej zatwardziałe serca. — Uważam, że twój brat ma ważne informacje, które mogłyby pomóc w zidentyfikowaniu porywaczy tego dziecka.

— Nie naszą rolą jest ochrona tego świata — odezwał się Ken.

— On ma tylko trzynaście lat — dodała Gail. Obróciła się w fotelu i spojrzała na Alice, licząc na to, że odezwie się w niej instynkt macierzyński. — Jeśli masz jakieś przypuszczenia, gdzie może się znajdować twój brat... — Nie musiała kończyć zdania.

— Nie mów ani słowa, Alice — ostrzegł Ken. — To może być sztuczka. Ile razy i na ile sposobów już tego próbowali? Jeśli ktoś pomyśli, że wiemy coś o Brusie — a nie twierdzę, że wiemy — to nigdy nie da nam spokoju. Albo federalni pošlą nas do więzienia, albo te dupki z mafii do piachu.

Tym razem Gail uciszyła go gestem dłoni.

— Dlaczego mieliby to robić? — zapytała. — Czy ja o czymś nie wiem? Czy chodzi o te pieniądze, o których mówiłeś?

— Naprawdę nie wiesz? — zapytała Alice.

— Alice, nie... — wtrącił się Ken.

— Naprawdę — odpowiedziała Gail. — Wszystko dzieje się tak szybko, że nie zdążyłam nawet porządnie się rozeznać w sprawie. Osiem godzin temu widziałam się z Frankiem Schulerem w celi śmierci w Wirginii. Wspomniał o związkach z twoim bratem, a znajomy dał mi twój adres. Wsiadłam w samolot i oto jestem. Proszę, podziel się ze mną tym, co wiesz.

— Alice, nie musisz nic mówić — powtórzył Ken. — Nadal uważam, że to może być pułapka.

— Oczywiście, że to może być pułapka — prychnęła Gail. — Może jestem płatnym mordercą i mam na was zlecenie. A może przyszedłem, żeby was powiadomić o niespodziewanym spadku. Wiele jest tych „może”, Ken. Ale rzeczywiście jestem byłą

funkcjonariuszką policji i eksagentką FBI, a teraz staram się uratować życie dziecku. Możesz sobie wierzyć, w co chcesz, ale dlaczego nie spróbujesz uwierzyć w to, co jest prawdą, i dlaczego mi nie pomożesz?

— Nie jesteś pierwsza — powiedziała łagodnym tonem Alice.

Gestem dłoni poprosiła, żeby Gail zabrała zdjęcie Jeremy'ego. — Wszystkim się wydaje, że wiemy, gdzie jest Bruce, a jeśli nie, to przynajmniej wiemy, gdzie są pieniądze. Ale my nie kłamiemy.

Gail westchnęła z rezygnacją.

— Jakie pieniądze?

— To były pieniądze mafii — wyjaśniła Alice. — Bruce był pośrednikiem. Tym się zajmował. Miała nastąpić jakaś płatność, ale pieniądze nigdy nie dotarły. To była kupa forsy — kilkaset tysięcy dolarów. Bruce twierdzi, że nigdy ich nie dostał, ale musi uciekać, bo mafia mu nie uwierzy.

Teraz wtrącił się Ken:

— I dupek ucieka, potwierdzając w ten sposób podejrzenia mafii. I federalnych.

— Na co miały być przeznaczone te pieniądze? — zapytała Gail.

— Nie wiem i nie chcę wiedzieć — odparła Alice. — Wstyd mi, że mój brat miał coś wspólnego z takimi sprawami.

— Ale orientujesz się, gdzie on jest — domyśliła się Gail.

— Nie.

— To skąd w takim razie wiesz, że rzeczywiście nie wzięł tych pieniędzy? Skąd wiesz, że był pośrednikiem?

Alice otworzyła usta.

Gail postanowiła ją przycisnąć.

— Powiedziałaś: „twierdził, że nigdy ich nie dostał”. To znaczy, że rozmawiałaś z nim, kiedy już zaginał.

— A mówiłem ci, Alice, żeby nikomu nie otwierać drzwi — warknął Ken.

Alice sprawiała wrażenie oszołomionej. Poruszała ustami, jakby chciała coś powiedzieć, ale nie odezwała się słowem.

Gail postanowiła zawrzeć z nią układ. Pochyliła się i położyła dłoń na jej kolanie. Alice podskoczyła, ale Gail nie cofnęła ręki.

— Przysięgam, że jestem tym, za kogo się podaję, a to, co mi powiesz, zachowam w tajemnicy.

Gail odniosła wrażenie, że zbliża się przełom.

— Prędzej czy później będziesz musiała komuś zaufać. I pamiętaj o stawce — o życiu chłopca. Nie sądzisz, że to odpowiedni moment? — Kiedy ponownie wspomniała o Jeremym Schulerze, wróciło wspomnienie wyrazu bólu na twarzy jego ojca, który spodziewał się znacznie gorszego scenariusza.

Poczuła, jak ściska się jej serce. Manipulowanie prawdą w celu poznania ważniejszej prawdy było tą częścią jej fachu, do której nie mogła wciąż przywyknąć.

Ken podniósł się.

— Powinnaś już iść.

Gail uparcie patrzyła Alice w oczy.

— Wiesz, co trzeba zrobić. Więc po prostu zrób to.

— Nie każ mi wyrzucić cię siłą — ostrzegł Ken.

Te słowa zwróciły jej uwagę. Spojrzała na niego z łagodnym rozbawieniem.

— Z całym szacunkiem, Ken, jeśli mnie spróbujesz tknąć, przebiję twoją głową tę gipsową ścianę. Usiądź, proszę. — Bycie kobietą w oddziale specjalnym FBI nauczyło ją, jak nie dać sobą dyrygować, kiedy ktoś był większy od niej. Jediną przesadą w tej groźbie były słowa o przebiciu ściany. Istniało ryzyko, że głowa tylko utknie gdzieś pośrodku.

Ken wyglądał, jakby go ktoś zdzielił. Poszukał wzrokiem wsparcia u Alice, ale ponieważ go nie otrzymał, z nabzdyczoną miną zamierzał wyjść z pokoju.

— Zostań z nami, proszę — odezwała się Gail. Ton jej głosu wskazywał, że słowo „proszę” miało tylko zamaskować wyraźne polecenie. — Jesteś podenerwowany. Nie chcę teraz się zastanawiać, czy nie sięgasz po broń.

Ken się zawahał.

— Już kończę — obiecała. Wskazała mu stertę gazet.

Wahał się przez chwilę, w końcu usiadł.

Gail odwróciła się do kobiety.

— I co, Alice? Powiesz mi, co wiesz?

Twarz Alice odzwierciedlała toczącą się w niej wewnętrzną walkę, mętlik wywołany wątpliwościami, który zwykle poprzedza każde wyznanie w każdym pokoju przesłuchań na każdym posterunku na świecie.

Kiedy w końcu zaczęła mówić, okazało się, że wie bardzo dużo.

## Rozdział 25

Brandy Giddings potrzebowała odpoczynku. Brak snu odgrywał tu pewną rolę, ale odpoczynek, jakiego potrzebowała, to było coś więcej niż przyjęcie pozycji horyzontalnej i zamknięcie oczu. Marzyła o kilku kolejnych tygodniach — lub na początek choćby minutach — kiedy jej umysł mógłby się uwolnić od wszystkich tych okropnych rzeczy, które w ostatnich dniach go zaprzętały. Wydarzenia działały na nią destrukcyjnie i zdawały się ją przerastać; czuła się tak, jakby zawodziła sekretarza obrony.

Pracowała dla człowieka, który mówił prezydentowi, jak prowadzić wojny. Przemoc miała stać się częścią jej psyche. Znała nazwiska szefów sztabów wszystkich rodzajów wojsk. Musiała być silniejsza.

Kiedy na jej biurku zadzwonił telefon, podskoczyła. Z informacji na wyświetlaczu wynikało, że to była Pat Bachelor, sekretarka Legera. Poczowała ucisk w żołądku. Prosiła o pilne spotkanie z szefem, ale to było trzy godziny temu.

— Sekretarz Leger może cię przyjąć — powiedziała Pat. — Ale ostrzegam cię, że ma bilety do Kennedy Center na dziś wieczór, więc lepiej się pospiesz. — W Waszyngtonie wszystko odbywało się oficjalnymi kanałami służbowymi i z zachowaniem protokolarnych konwenansów, ale w Pentagonie wszyscy wiedzieli, że wyżej w hierarchii niż Pat Bachelor stał tylko sam sekretarz obrony. Co prawda nigdy dotąd nie dowodziła w walce zbrojnej, ale Brandy nie miała wątpliwości, że świetnie by sobie poradziła.



Źródło jej potęgi nie miało żadnych związków z jej związkami z Waszyngtonem. Była to raczej kwestia lojalności, którą rezerwowała wyłącznie dla Jacques'a Legera. Była jego sekretarką chyba od czasów, gdy wynaleziono koło.

Pat nie przepadała specjalnie za Brandy. Jeśli w przeszłości nie było to oczywiste, to dzisiejsze złe spojrzenie, jakim obdarzyła mijającą jej biurko Brandy, nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Brandy odczytała to jako: stara i gruba lekceważy młodą i piękną, ale nigdy nie pozwoliłaby sobie powiedzieć tego na głos.

Zabrzęczał zamek w ciężkich mahoniowych drzwiach i Brandy wkroczyła do eleganckiego oficjalnego gabinetu sekretarza Legera. To tu od czasu do czasu przypinano order, tu fetowani byli dziennikarze, ale prawdziwe najświętsze miejsce znajdowało się dalej. Zapukała i słysząc stłumiony głos sekretarza zapraszający do wejścia, otworzyła drzwi. Teraz znalazła się w pomieszczeniu uważanym w Waszyngtonie za jeden z najpiękniejszych gabinetów na świecie.

Z gabinetu rozciągał się majestatyczny, otwarty widok na Potomac na pierwszym planie i znane pomniki stolicy na dalszym. Wysoki sufit zdobiły misterne gzymsy, a na ścianach wisiała kolekcja obrazów Copleya i Sargenta z National Gallery of Art.

Brandy zauważyła, że w prywatnym gabinecie Legera rzucał się w oczy ostentacyjny brak jakichkolwiek nawiązań do wojska. Leger nigdy nie służył w wojsku i zawsze powtarzał, że trudno byłoby mu wybrać odpowiedni obraz, ale gdyby miał uwzględnić wszystkie rodzaje wojsk, to gabinet przypominałby „zamkowy donżon”. Dlatego otoczył się krajobrazami i martwymi naturami. One go uspokajały.

— Czym mogę służyć, panno Brandy? — zapytał Lager, podnosząc wzrok znad papierów, ale nie wstając na powitanie.

Spacer po leżącym tu dywanie to jak stąpanie po obłokach.

— Dobry wieczór, panie sekretarzu. Chodzi o... tę sprawę, o której rozmawialiśmy.

Zdawało się jej, że zeszytniał, kiedy wrócił do swoich zajęć.

— Mam nadzieję, że problem sam się rozwiązał.

Kiedy uciekł ze spojrzeniem, przestała iść w stronę biurka. Spłótła dłonie jak grzeczna dziewczynka i potrząsnęła przecząco głową.

— Nie, sir. Ale mam nowe informacje. — Przerwała w nadziei, że okaże na tyle duże zainteresowanie, żeby na nią spojrzeć. Kiedy tego nie zrobił, dodała: — Znaleźliśmy Bruce'a Navarro.

To podziałało.

— Tego Bruce'a Navarro? Tego, który zniknął dziewięć lat temu?

Podeszła już na tyle blisko, że w jej zasięgu znalazły się fotele dla gości. Wiedziała jednak, że lepiej na nich nie siadać bez zaproszenia.

— Tak, sir. Tego samego.

Leger skrzywił się, jakby nie wiedział, czy wierzyć jej, czy nie. W końcu otwartą dłońią wskazał jej fotel.

— Zamieniam się w słuch — powiedział.

Nie da się siedzieć w obliczu takiej władzy, żeby nie odczuć fali strachu. W końcu Brandy rozmawiała sam na sam z jedną z najbardziej rozpoznawalnych osobistości na świecie — człowiekiem zajmującym jedno z najważniejszych stanowisk. Dla uspokojenia wzięła głęboki wdech.

— Kilka godzin temu otrzymałam informację z firmy zwanej Potrójne S — Special Surveillance Specialists. Ci specjaliści donoszą, że długo uśpiona stacja podsłuchowa wychwyciła słowo kluczowe i przeszła w tryb aktywny. Stacja zapisała długą rozmowę, która odbyła się w mieszkaniu w Jersey City.

— Otworzyła skórzana aktówkę i wręczyła Legerowi dwunastostronicowy zapis rozmowy. — Adres znajduje się w górnej części strony.

Leger uciszył ją raptownym machnięciem ręką. Zamierzał spokojnie przeczytać cały dokument.

Brandy całkiem niedawno dowiedziała się, że „opluskwienie” domu czy firmy to takie skomplikowane zadanie. Nie zdawała sobie wcześniej sprawy, że urządzenie podsłuchowe może działać przez długie lata. Oczywiście, trzymanie po drugiej stronie człowieka, który przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, słuchałby każdego słowa, byłoby niepraktyczne. Dlatego te inteligentne urządzenia programowano w ten sposób, że biernie wyszukiwały określonej kombinacji słów i wtedy przechodziły w tryb aktywny. Domyślała się, że w tym wypadku takim kluczem były dwa słowa „Bruce Navarro”.

— Niech mnie diabli — odezwał się sekretarz, podnosząc wzrok znad papierów. — Kim jest ta druga osoba?

— Nie jesteśmy pewni. Przedstawiła się pewnie, zanim urządzenie się włączyło. Ale mam podstawy przypuszczać, że jest to Gail Bonneville, detektyw, która odwiedziła w więzieniu Franka Schullera. Nie wygląda na to, żeby byli przyjaciółmi.

Leger roześmiał się.

— Wcale. Mąż chyba chciał ją wyrzucić na zbity pysk za drzwi. — Z wyrazem lekkiego rozbawienia jeszcze raz przejrzał zapis rozmowy. — Tyle lat milczeli, a teraz wystarczyło, że pojawiła się jakaś kobieta i obiecała uratować życie dziecku. Niech mnie diabli.

— Niepokojąca jest ilość posiadanych przez nią informacji — zauważyła Brandy.

Leger w dalszym ciągu sprawiał wrażenie rozbawionego.

— Niepokojąca — powtórzył. — Chyba raczej kłopotliwa. Populacja wtajemniczonych mnoży się jak króliki. — Pod maską rozbawienia kryło się coś jeszcze. Może strach? Machnął stertą papierów, przesywając Brandy świdrującym spojrzeniem. — Kto jeszcze o tym wie?

— Ode mnie? Nikt. Tylko pan.

Wpatrywał się w nią badawczo, a po chwili wrócił do czytania papierów.

— Jest coś jeszcze, sir.

— Widać to po twojej minie — powiedział.

— Chodzi o tę detektyw, sir.

— Pracującą dla firmy, która próbuje nas przechytrzyć?

— Tak, sir.

W końcu podniósł wzrok i spojrzał na nią.

— I w ten sposób trafiliśmy na jeden z największych talentów naszych czasów.

Brandy poczuła, jak jej żołądek robi fikołka.

— Też tak sędzę, sir. — Może jeśli otuli go tymi wszystkimi „sir”, wybuch nie będzie tak gwałtowny.

A Leger najwyraźniej tego oczekiwał.

— Początkowo ją zlekceważyliśmy, panie sekretarzu. Ot, była pani szeryf z jakiegoś zadupia w Indianie. Ale potem przyjrzelśmy

się jej dokładniej i odkryliśmy kilka niepokojących faktów. Na przykład to, że odeszła z FBI i odgrywała drugoplanową rolę w trakcie tego wielkiego ataku terrorystycznego w Pensylwanii w ubiegłym roku. Pamięta pan? Chodziło tam o broń chemiczną.

Sekretarz obrony lekko się przygarbił. Szybko się wyprostował, ale nie na tyle, żeby ten fakt umknął uwadze Brandy.

— Co znaczy „drugoplanowa rola”? Poza tym oboje wiemy, że to nie był żaden terroryzm.

Brandy poczuła, że się czerwieni.

— Tak jest, sir. Ten incydent przydarzył się w czasie, kiedy następowała zmiana administracji, i postawił Departament Obrony w kłopotliwej sytuacji. Przez „drugoplanową rolę” rozumiem to, że była obecna na tamtej farmie w Pensylwanii. Napad terrorystyczny — przepraszam, ale wie pan, co mam na myśli — przeprowadzono na jej terenie.

Mina Legera wyrażała olbrzymi znak zapytania.

— I to ma być drugoplanowa rola? Co w takim razie w twoim świecie jest rolą pierwszoplanową?!

Brandy udała, że tego nie słyszy.

— Jedynym właścicielem firmy w Fisherman's Cove, dla której ona pracuje, jest Jonathan Grave, były żołnierz sił specjalnych. Szczerze mówiąc, nie udało mi się zdobyć na jego temat żadnych informacji, co świadczy o tym, że został bardzo, bardzo głęboko ukryte.

Teraz zaskoczony wydawał się Leger.

— Na litość boską, jestem sekretarzem obrony. Czy są takie kartoteki, do których nie mam dostępu?

— Na pewno kartoteka Jonathana Grave'a. — Słyszała zjadliwość swojego tonu. W innych okolicznościach to by ją martwiło, ale nie dzisiaj, kiedy Jacques Leger okazał się skończonym dupkiem. — Gail Bonneville, w czasach swojej kariery w FBI, była członkiem HRT, oddziału zajmującego się odbijaniem zakładników. Potem pojawiły się jakieś problemy, zaczęła zmieniać stanowiska i w końcu wylądowała w firmie należącej, moim zdaniem, do faceta z Delta Force. A może kogoś jeszcze bardziej zakamuflowanego — sama nie wiem. W każdym razie, kiedy o tym myślę, zapalają mi się wszystkie lampki alarmowe.

Leger w najlepszym razie zachował pozory tolerancji.

— I co te lampki alarmowe miałyby oznaczać?

Brandy nie mieściło się w głowie, że sekretarz obrony nie nadaża za jej tokiem rozumowania.

— A co mają ze sobą wspólnego HRT i Delta Force? — Oczekiwała na odpowiedź tylko przez kilka sekund, nim zorientowała się, że jej szef chyba nie lubi zagadek. — Odbijanie zakładników — odpowiedziała na swoje pytanie.

Czekała, aż powiąże ze sobą fakty, a ponieważ tego nie zrobił, przejęła inicjatywę.

— Kościół, do którego należy szkoła, gdzie ludzie Pondera dokonali porwania, sąsiaduje z domem Jonathana Grave'a. Grave zajmował się zawodowo ratowaniem ludzi. Teraz pracuje dla niego Gail Bonneville. Czy to nie oczywiste, że zamierzają uratować małego Guinna?

Patrząc na wysiłki sekretarza Legera próbującego to wszystko pojąć, widziała, że jest to brzemię ponad jego siły. Porozrzucił papiery na biurku, a potem odchrząknął.

— Chyba masz coś jeszcze, prawda? — zapytał.

Zastanawiał się przez chwilę.

— No, dobrze, mamy sporo do zrobienia — powiedział. — Mały Guinn to nie nasze zmartwienie. Powiemy komu trzeba wszystko, co o nim wiemy, i na tym kończy się nasz udział. Mnie bardziej interesuje sprawa tego Navarra. — Unikał jej spojrzenia. — Porozmawiaj ze swoim znajomym z Nowej Anglii. Powiedz mu, że ma zielone światło na wszystko, co musi zrobić, byle tylko Bruce Navarro i ta detektyw zostali wyeliminowani.

Brandy poczuła, że cierpnie jej skóra.

— Wyeliminowani, sir?

Leger teatralnym gestem wyprostował się fotelu i skrzyżował ręce.

— To chyba nie jest zbyt trudne słowo dla ciebie, Brandy, prawda?

Wpatrywała się w niego z otwartymi ustami. Nie, słowo nie było trudne. Przeciwnie, brzmiało prosto. To za sprawą morderców trudno było je wypowiedzieć. Skuliła się w fotelu.

— Jeżeli ma pan na myśli zabijanie ludzi, sir... — Nie dokończyła.

Leger roześmiał się.

— Na miłość boską, Brandy, dorosnij wreszcie. Od samego początku była mowa o zabijaniu. Witamy w pierwszej lidze. Tyle że tutaj nie nazywamy tego zabijaniem. Określa się to mianem rozwiązania problemu.

Brandy poczuła mdłości. Najpierw tamten dzieciak, a teraz to.

— Yhmmm, wydaje mi się, że nie mogę tego zrobić.

— Oczywiście, że nie możesz. Dlatego nigdy cię o to nie prosiłem. Mamy do tego odpowiednich ludzi. Powiedz tylko naszemu przyjacielowi z Bostonu, czego potrzebujemy, a on się wszystkim zajmie. Nie musisz nawet używać tego brzydkiego słowa na M. M — jak morderstwo.

Siedząc tam, Brandy czuła się przygnieciona brzemieniem. Czy to się nigdy nie skończy? Przytakiwała bezmyślnie, nie zastanawiając się nad sensem słów.

— Świetnie — powiedział. — I jeszcze jedno. Chcę, żebyś została moim posłańcem. Idź do domu i spakuj się. Lecisz do ciepłych krajów.

— Sir?

— Za kilka godzin ktoś się z tobą skontaktuje i przekaże ci szczegółowe instrukcje.

Zdawało się jej, że przespała jakąś część swojego życia.

— Nie rozumiem.

Leger machnął lekceważąco ręką. Oczywiście, że nie rozumiała.

— Zamierzamy wysłać cię do Kolumbii — oznajmił.

Evan Guinn zasnął na tylnym siedzeniu. Ukołysały go nieustające podskoki samochodu na wertepach dróg prowadzących przez dżunglę. Obudził się, kiedy wóz stanął. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Drzemka pozwoliła mu na chwilę zapomnienia. Teraz rzeczywistość powróciła.

Dotarli do niewielkiej polany, wielkości jednej czwartej boiska futbolowego. Wycięto tu wszystkie drzewa, pozostały tylko nisko rosnące paprocie i krzewy. Na kilku kwitły kwiaty, ale na większości nie. W innych okolicznościach to miejsce mogłoby być piękne. Ale teraz Evan myślał tylko o tym, że tu ma umrzeć i nikt nigdy nie znajdzie jego ciała.

Czuł rosnącą w gardle grudę, ale postanowił sobie solennie, że nie będzie płakał. Już raz zachował się jak pinda, kiedy goił

odjeżdżający samochód. I co mu to dało? Jeżeli zamierzali go tu zostawić, to nic nie zyskał. A może nawet stracił.

— Zostań tu — polecił mu Mitch. Nie czekając na odpowiedź, otworzył drzwi i wysiadł. Okrążył samochód i ruszył w kierunku środka polany. Tam zatrzymał się i stanął w rozkroku, a jego ciało przybrało kształt litery X. Powoli obrócił się dookoła i zamarł w bezruchu.

— Co on wyprawia? — zapytał Evan kierowcę. Pragnął, żeby ktoś z nim porozmawiał, ale nie zdziwił się, kiedy kierowca mu nie odpowiedział. Pewnie nawet nie zrozumiał pytania.

Po mniej więcej trzydziestu sekundach z dżungli wyłoniło się czterech ciemnoskórych mężczyzn uzbrojonych w karabiny — Evan przypuszczał, że są to M16, jakie widział na History Channel. Mężczyźni byli ubrani jak żołnierze: w dawno nieczyszczone mundury z kamuflażem. Oni sami też od dawna nie widzieli wody, Evan przez chwilę miał nadzieję, że zamierzają zastrzelić Mitcha, ale oni zaczęli tylko do niego podchodzić.

Kiedy byli już blisko, trzech z nich wycelowało broń w gości, a czwarty przywitał Mitcha jak starego, dobrego znajomego. Uśmiechnął się i coś do niego powiedział, a potem go obszukał. Znalazł pistolet przy pasie i wyjął go z kabury. Nie odrzucił go na bok. Chwytał delikatnie za lufę, a prawą ręką uściśnął dłoń Mitcha. Pozostali mężczyźni nie opuścili broni.

Mitch przez kilka minut rozmawiał z przybyszem. Śmiali się głośno i ponownie uściśnęli sobie dłonie, a potem razem podeszli do samochodu. Evanowi szybciej zabiło serce i poczuł uścisk w żołądku. Przyszli po niego. Cofnął się w kąt siedzenia, oddalając w miarę możliwości od zbliżających się porywaczy.

To była jego ostatnia szansa na ucieczkę. Odwrócił się w stronę drzwi, żeby pociągnąć za klamkę, i wrzasnął na widok stojącego przy nich żołnierza. Nie miał pojęcia, skąd on się tam wziął.

Mitch z nieznanym stali już przy samochodzie. Jedne i drugie drzwi otworzyły się jednocześnie. Te z lewej strony otworzył żołnierz o kamiennej twarzy, a te z prawej uśmiechający się zimno Mitch.

— Nawet o tym nie myśl, chłopcze — odezwał się Mitch. — Przed tobą długa wędrówka. Ciężko ci będzie iść ze związanymi rękami. Jeśli nas do tego zmusisz, zwiążemy cię. Wszystko zależy od ciebie.

Nie miał wyjścia. Właśnie dlatego lepiej było walczyć na śmierć i życie, zanim go porwali. Potem było już za późno.

— Pozwól, że się przedstawię — odezwał się żołnierz, z którym rozmawiał Mitch. — Mam na imię Oscar. — Wsunął wyciągniętą rękę do samochodu, ale Evan cofnął się, o mało nie wypadając z drugiej strony.

Stojący tam żołnierz próbował go przytrzymać, ale to nie było konieczne.

— Dlaczego to robicie? — zapytał Evan. Zdawał sobie sprawę, że zabrzmiało to jak kwilenie, ale cóż miał począć.

Rysy Oscara złagodniały. Nie uśmiechał się, ale był tego bliski.

— Wyobrażam sobie, jak musi cię to przerażać — powiedział. — Jakżeby inaczej? Kładziesz się wieczorem spać do łóżka, a wkrótce potem znajdujesz się w takim dziwnym miejscu. Przykro mi, że tak się musiało stać.

— Co tu się dzieje?

— Rozpoczynasz nową przygodę — odparł Oscar. Jego spojrzenie nie było tak przerażające jak spojrzenie Mitcha.

— Niepotrzebna mi żadna nowa przygoda. Nie chcę nowej przygody.

Oscar uśmiechnął się łagodnie.

— Rozumiem cię. Niestety, nie zawsze mamy wpływ na to, co może się wydarzyć w naszym życiu. Musisz pójść z nami, Evan. Nikt nie zamierza cię skrzywdzić. Przeciwnie, ta broń ma cię chronić.

Evan zerknął na żołnierza, który próbował go złapać w drzwiach. Mężczyzna uśmiechnął się tak, jak zwykle dorośli uśmiechają się do dziecka. Uspokajająco. Ale w taki sam sposób uśmiechali się ci, którzy molestują dzieci. „Pomożesz mi znaleźć zagubioną lalkę?”.

— Mamy do pokonania długą drogę przed zmrokiem, Evan — powiedział Oscar. — Musimy ruszać.

Gorączkowo szukał sposobu, żeby opóźnić wymarsz.

— Dokąd idziemy?

Oscar przekrzywił głowę.

— Jakie to ma znaczenie? Tędy czy owędy, muszę cię dostarczyć. Jak wspomniał mój przyjaciel Mitchell, będzie dużo łatwiej, jeśli nie będziesz stawiał oporu. — Odczekał, aż jego słowa dotrą



do Evana, a potem skinął na niego palcem. — Ruszajmy. — Wstał i odsunął się od drzwi, robiąc Evanowi miejsce.

Evan nie miał wyboru. Ślizgając się po tylnym siedzeniu, wysiadł z samochodu. Leżące na ziemi gałązki wbijały mu się w stopy i ła-skotały — nie tak, żeby wywołać chichot, ale wystarczająco, żeby zapragnął wziąć prysznic.

— Świetnie — pochwalił go Oscar — postępujesz rozsądnie. — Ponownie wyciągnął do niego rękę. — Zachowajmy się oficjalnie. Mam na imię Oscar. Miło mi cię poznać.

Evan wpatrywał się przez kilka sekund w wyciągniętą dłoń, a potem ją uściśnął.

— Evan Guinn — przedstawił się. Dłoń Oscara była chropawa i twarda jak granitowa skała. W ostatniej chwili ugryzł się w język, kiedy chciał powiedzieć, że jemu też jest miło.

Oscar puścił dłoń Evana i zwrócił się do Mitcha.

— Dobrze zaopiekujemy się chłopcem — powiedział. — Bądź spokojny.

Mitcha najwyraźniej to nie obchodziło. Wsiadł z powrotem do samochodu. Ostatnie słowa, jakie Evan usłyszał, zanim zatrasnęły się drzwi, brzmiały:

— Wyośmy się stąd.

Kiedy silnik SUV-a zawył, Oscar delikatnie odciągnął Evana na bok. Samochód zatoczył szeroki krąg wokół polany i zniknął.

Evan został sam na sam ze swoimi nowymi porywaczami. Żołnierz przewiesił karabin przez ramię, ale Evan cały czas myślał o szorstkiej dłoni Oscara spoczywającej na jego nagim ramieniu.

— Postaraj się nie bać — powiedział Oscar.

Evan próbował zapanować nad swoim oddechem, choć powstrzymując łzy, zaczął dyszeć niczym lokomotywa.

— Obiecuję, że nikt nie chce cię skrzywdzić. Wiem, że w przeszłości różnie bywało, ale teraz możesz być spokojny.

Evan skrzywił się i spojrzał na mężczyznę. Co on mógł wiedzieć o jego przeszłości?

— Dużo o tobie wiemy, Evan, tak samo jak o twoim ojcu. Nie jest moim zadaniem tłumaczenie tych spraw, ale chcemy, żebyś był bezpieczny. W tym kraju nie jest to proste i dlatego towarzyszą mi ci dżentelmeni z bronią.

Oczy Evana zwilgotniały od łez. Szybko wytarł je grzbietem dłoni. Ludzie, którzy nie chcą zrobić krzywdy, nie porywają.

— Ten człowiek, który przed chwilą odjechał — ciągnął Oscar — nazywa się Mitchell Ponder. To bardzo, bardzo niebezpieczny facet. Teraz, kiedy już pojechał, obiecuję ci, że jesteś bezpieczny.

— Ale dlaczego tu się znalazłem? — Gdyby wiedział to jedno, to może wszystko nabrałoby jakiegoś sensu. Ta jedna informacja pozwoliłaby mu się odprężyć. Choć trochę.

Oscar westchnął i przekrzywił głowę. To był gest szczerego współczucia, pomyślał Evan.

— Coś ci powiem. Ruszajmy w drogę, żeby nie marnować dziennego światła. A ja zastanowię się, jak ci to powiedzieć, nie łamiąc przy tym obietnicy dochowania tajemnicy. Wiem, że nie takiej odpowiedzi oczekiwałeś, ale może na tę chwilę ci ona wystarczy?

Evan i tak nie miał wyboru. Skinął głową. Ruszyli gęsiego: dwóch uzbrojonych żołnierzy z przodu, za nimi Oscar, a potem Evan. Trzech żołnierzy osłaniało tyły. Pochłonęła ich dżungla.

## Rozdział 26

Drużyna Jonathana pojawiła się w Kolumbii, lecąc do różnych miast innymi liniami lotniczymi i o różnych porach. Boxers wyleciał pierwszy, przez Miami do Panama City, a stamtąd do Cartageny. Dwanaście godzin później Jonathan i Harvey oddzielnymi samolotami dotarli w odstępie dziewięćdziesięciu minut do Santa Marta. Jonathan postarał się, żeby przylecieć wcześniej, na wypadek gdyby Harvey potrzebował dodatkowego wsparcia.

Obaj spotkali się przy odprawie bagażowej, a następnie zanurzyli się w saunie, którą było miasto Santa Marta.

— Już mam dosyć — powiedział Harvey. — Na wypadek gdybyś chciał wiedzieć. — Wsunął palec pod kołnierzyk T-shirta.

Jonathan postanowił nie informować Harveya, że upał tu, na wybrzeżu, jest niczym w porównaniu z tym, co czekało ich w dżungli. Tutaj przynajmniej wiała bryza od morza.

— Improwizujemy czy mamy jakiś plan? — zapytał Harvey.

Jonathan nie zaszczylił tego pytania odpowiedzią.

— Musimy odwiedzić przyjaciela — odparł krótko.

Złapali taksówkę i Jonathan kazał kierowcy jechać do schroniska młodzieżowego w centrum, słynącego z tego, że przygarniało amerykańskich uczniów college'ów w czasie ich obowiązkowej pielgrzymki śladem narkotyków. Nawet w swoim nędznym sąsiedztwie schronisko przypominało norę.

— No tak — psioczył Harvey. — Coraz lepiej.

Jonathan uciszył go piorunującym spojrzeniem i zapłacił kierowcy. Dodał szczodry napiwek, który dawnymi czasy zapewniłby pełną dyskrecję kierowcy, na wypadek gdyby ktoś zaczął zadawać mu pytania.

Stali na ulicy przed wejściem do schroniska. Żeby przykuć uwagę Harveya, Jonathan położył dłoń na jego piersi.

— Proszę, żebyś był teraz moim milczącym partnerem. Felipe to mój stary przyjaciel, ale jest przesadnie podejrzliwy.

— Jak się poznaliście?

Odpowiedzią były uniesione brwi Jonathana.

— Aha.

— I żadnych nazwisk. Jak będziesz musiał, przedstaw się jako Smith.

Harvey się przygarbił.

— Smith? Nic lepszego nie przyszło ci do głowy? Dlaczego nie Jones?

Jonathan uśmiechnął się.

— Bo to nazwisko już jest zajęte.

Schronisko w środku sprawiało mniej tandetne wrażenie niż na zewnątrz. Widać było, że zbyt wiele imprez organizowało tu zbyt wielu młodych ludzi, z których w tej chwili nie widać było żadnego.

— Halo! — zawołał Jonathan.

Z pomieszczenia, które w pamięci Jonathana zapisało się jako kuchnia, wyszedł zasuszony staruszek. Poznali się w jednej chwili.

— Cześć, Felipe — powiedział po angielsku Jonathan.

— Señor Jones! — wykrzyknął staruszek. Dolną część jego twarzy wypełnił szczerbaty uśmiech. Szurając nogami, zbliżył się z rozpostartymi ramionami, żeby zgnieść Jonathana w niedźwiedzim uścisku. Wziąwszy pod uwagę jego niski wzrost, był to raczej uścisk niedźwiadka. — Tak długo się nie widzieliśmy!

Jonathan nigdy nie zdołał się oswoić z latynoamerykańskim *abrazo* — męskim uściskiem — ale przynajmniej poklepał staruszka po plecach.

— Zbyt długo — przyznał.

— Dobrze wyglądasz — powiedział Felipe, kiedy się od siebie odsunęli. Poklepał klatkę piersiową Jonathana. — Chudy jesteś.

Teraz przynajmniej widać, że masz szyję. — Staruszek się roześmiał.

Jonathan też się śmiał. Kiedy widzieli się po raz ostatni, Jonathan służył w oddziale i brał udział w operacji, w której wraz z kolegami miał przeniknąć do miejscowego półświatka i zdobyć informacje na temat karteli narkotykowych. Felipe był ważnym łącznikiem w łańcuchu komunikacyjnym. Zawsze droczył się z Jonathanem, twierdząc, że zbyt dobrze wygląda jak na tubylca.

— Starzeję się — wyznał Jonathan.

Felipe uszczypnął go w policzek.

— Nie. Dobrze się trzymasz. Wyglądasz zdrowo. — Odwrócił się do Harveya i wyciągnął rękę. — Kim jest twój przyjaciel?

— To pan Smith — odparł Jonathan. — Jest moim współnikiem w interesach. I nie jest specjalnie rozmowny.

Felipe ujął serdecznie dłoń Harveya w swoje dłonie.

— Co za zbieg okoliczności — odezwał się. — Jeszcze jeden współnik nazywa się Smith.

Harvey wyszczerzył w uśmiechu zęby.

— Smithów jak psów — powiedział.

Felipe odwrócił się i kiwnął ręką, prosząc gości, żeby szli za nim w głąb budynku.

— Dalej, dalej. Potem pogadamy.

Kiedy dotarł do maleńkiej recepcji, przechylił się przez blat i wyciągnął tabliczkę z angielskim napisem ZAMKNIĘTE. Felipe uchwycił porozumiewawcze spojrzenie Jonathana.

— Tak, nadal nie mam nic przeciwko amerykańskim dolarom — powiedział. Skinął ponownie i poprowadził ich do tylnego wyjścia prowadzącego na podwórko, które od czasu ostatniej wizyty Jonathana, ponad dziesięć lat temu, nie zmieniło się ani trochę. Te same kępki trawy wyrastały z tych samych szczelin w ceglanej ścianie. Nawet aluminiowe krzesła ogrodowe skrzypiały tak samo.

Felipe uniósł dwa krzesła i stuknął nimi o ścianę.

— Siadajcie. Przyniosę kawę.

— Kawę?! — wydał stłumiony okrzyk Jonathan. — Jezus Maria, Felipe, tu jest sto stopni!

— Tylko trzydzieści osiem w skali Celsjusza — odpowiedział z chytrym uśmiechem staruszek. — Prawda, że to brzmi lepiej?

— Tak czy owak, dziękuję. — Jonathan machnął ręką.

— W takim razie piwo — nalegał Felipe. — Albo tequila. A może whiskey?

Harvey już zamierzał skusić się na piwo, ale pod wpływem groźnego spojrzenia Jonathana zrezygnował.

— Naprawdę nic — upierał się Jonathan. — Bardzo dziękujemy. *Muchas gracias*. — Usiadł na zaferowanym krześle i wskazał ręką sąsiednie. — Proszę, Felipe. Usiądź z nami. Porozmawiajmy.

Uśmiech na twarzy staruszka ustąpił miejsca zatroskaniu.

— Nie podoba mi się ten ton, przyjacielu. Już go wcześniej słyszałem. Obawiam się, że zaraz mi powiesz, że to nie jest zwyczajna podróż i nie przyjechałeś, żeby wspominać stare dobre czasy z Felipe.

Uśmiechnęli się do siebie. Obaj doskonale wiedzieli, jak Jonathan nie znosi tej części świata. Upał, korupcja, przemoc i bieda połączone razem powodowały fale nieszczęść.

— Moja misja nie jest w najmniejszym stopniu tak poważna i trudna jak poprzednim razem — powiedział Jonathan. — Może to poprawi ci nastrój.

Felipe rozsiadł się na krześle i założył nogę na nogę. Jak na mężczyznę w jego wieku poruszał się z niezwykłą gracją.

— Jak słyszę, pracujesz ze swoim starym przyjacielem Jose — rzekł Felipe. Zauważył zaskoczone spojrzenie Jonathana i dodał: — Co ty myślisz, że nie mam uszu? — Najwyraźniej chciał udowodnić, że nadal jest na bieżąco.

— Jak się miewa Josie Imprezowicz?

— Głoduje. Jak my wszyscy.

— Nadal jest godny zaufania?

— A kiedykolwiek był?

Jonathan zakołysał dłonią.

— Nigdy nie miałem z nim problemów. Przynajmniej nigdy mnie nie zdradził.

— To dlatego, że się ciebie bał — powiedział Felipe z cierpkim uśmiechem. — Dlatego, jeśli nadal się ciebie boi, to możesz na niego liczyć. A twój przyjaciel-olbrzym, jak on się nazywał?

— Smith — podpowiedział Jonathan.

— *Si*. Señor Smith. Co się z nim dzieje? — Spojrzał na Harveya. — Mam nadzieję, że ma się dobrze.

— O, tak — odparł Jonathan. — Wciąż pracujemy razem. Zresztą dziś wieczorem mam się z nim spotkać.

— A Jose o tym wie?

— Jeszcze nie.

Felipe roześmiał się — głębokim gardłowym śmiechem, który wycisnął mu łzy z oczu.

— Kiedy Jose dowie się, że tamten pan Smith jest z tobą, będzie bardzo, ale to bardzo godny zaufania.

Jonathan również zaczął się śmiać. Na całym świecie — od Cleveland do Soweto — Boxers sprawiał wrażenie olbrzyma. W Ameryce Południowej Guliwer wyglądałby przy nim jak konus. Josie Imprezowicz bał się go do tego stopnia, że słowo „przerażony” było zbyt delikatne. Boxers zawsze się tym delectował, a Jonathan wykorzystywał to do swoich celów.

Kiedy śmiech ucichł, Jonathan porzucił lekki ton.

— Zastanawiamy się nad lojalnością Josiego, ale ja muszę naprawdę wiedzieć, czy nie zszedł na złą drogę. Od tego zależy życie dziecka.

W kulturze południowoamerykańskiej rodzina była wszystkim, dlatego Jonathan wiedział, że Felipe go zrozumie. Felipe zmarszczył czoło.

— Więc nie chodzi o narkotyki?

— W Kolumbii, przyjacielu, wszystko jest związane z narkotykami. Ale pierwszą i najważniejszą rzeczą, jaką muszę się zająć, jest porwanie.

— Dla okupu? — Felipe dostatecznie dobrze znał życie, by wiedzieć, że uprowadzenie uprowadzeniu nierówne.

— Nie tym razem. Chodzi o informacje.

— Co dziecko może wiedzieć?

— Nie mogę zdradzać szczegółów. Ale nie mogę też dopuścić do zdrady.

Felipe uniósł rękę, jakby składał przysięgę.

— Na grób mojej matki, Jose wspominał o twoim przyjeździe tylko po to, żeby zrobić na mnie wrażenie. Z tego, co wiem, ma dobre intencje. — Przerwał. — Tylko za dużo gada. Czy mogę ci jakoś pomóc?

— Słyszałeś kiedyś o Mitchellu — albo Mitchu — Ponderze?

Felipe uciekł wzrokiem w najdalszy kąt podwórka. Próbował skutecznie ukryć strach.

Jonathan roześmiał się.

— Felipe, to ja. Wiesz, że prędzej umrę, niż zdradzę twoje sekrety. — Nie przesadzał i Felipe dobrze o tym wiedział.

— Señor Jones, przyjaźnimy się już długo i wiesz, że niełatwo mnie przestraszyć. — To mówił człowiek, który w czasie procesu w latach dziewięćdziesiątych wskazał palcem Pablo Escobara z kartelu narkotykowego w Medellin.

— Jesteś jednym z najodważniejszych ludzi, jakich znam — zapewnił go Jonathan.

— Ten cały Ponder mnie przeraża. Ponieważ wspomniałeś o nim, domyślałam się, że jest wplątany w to, czym się zajmujesz.

— Owszem, jest.

— W takim razie bądź ostrożny. Bardzo ostrożny. Ten człowiek jest tutaj znany jako *El Matador*. Morderca.

Jonathan zrobił zdziwioną minę.

— To brzmi trochę teatralnie, nie uważasz? Z całym szacunkiem, twój kraj pełen jest morderców.

Felipe potrząsnął energicznie głową.

— To nie to samo. Nikt nie może się równać z Ponderem. Przypomina mi Pablo. Jest — jak wy to mówicie — litosny.

— Bezlitosny — poprawił go Jonathan. — Skoro udało się złapać prawdziwego Pabla, to z podróbką nie powinno być problemu.

— Za tamtym Pablem uganiały się dwa rządy i tysiące ludzi. Teraz jest chyba inaczej, prawda?

Jonathan nie chciał wspominać, że wtedy rząd kolumbijski bardziej przeszkadzał, niż pomagał.

— Ponder to gringo — ciągnął Felipe. — Wiesz, jacy jesteśmy my, Latynosi. Gringo przewodzi, my idziemy za nim. Ponder opłacił tak sownie polityków, że pozwolili mu produkować kokainę w dżungli. *Policía* i *políticos* mówią, że przeganiają z kraju narkotyki, ale zajmują się tylko tymi, którzy nie dość dużo zapłacili. Ponder płaci dobrze. Bardzo dobrze.

Jonathan był zaskoczony.

— Skoro portfele są pełne, to po co zabijać?

— W najokrutniejszy sposób są zabijani rolnicy i mieszkańcy wiosek, którzy się sprzeciwiają. Odrąbuje im stopy i dłonie, a potem całe ramiona i nogi. Pozostali muszą na to patrzeć. Każę ludziom



okrutnie cierpieć, nim poderżnie im gardła. Zabiera dzieci wieśniaków do pracy na plantacjach koki. Wielu rodziców już nigdy potem nie widzi swoich *hijos*.

W głowie Jonathana uruchomił się dzwonek alarmowy. To musiała być przesada.

— Daj spokój, Felipe. Robisz z Pondera potwora z bajek.

— Skądś się te historie biorą. Mówię ci, to jest człowiek, o którym będą się uczyły nasze dzieci.

— To przecież nie ma sensu. Kiedy ktoś terroryzuje ludzi, oni zaczynają szykować odwet.

— Może ci się wydawać, że to nie ma sensu, ale to prawda. — Zaskrzyły mu się oczy. — Kiedy nie ma się u boku pana Jonesa, pozostaje strach.

Jonathan wyczuł w tych słowach przytyk, ale nie wiedział, jak go interpretować. Czyżby Felipe sugerował, że oprócz małego Guinna powinien wyzwolić całe wioski? Na pewno nie.

— Wciąż nie rozumiem, dlaczego człowiek taki jak *El Matador* poleciał do Ameryki, żeby porwać chłopca — odezwał się Felipe.

— Dla mnie też jest to zagadką — wyznał Jonathan. — Ale jego nazwisko wciąż się pojawia. Opowiedz mi o tych plantacjach koki. Gdzie one są?

— Tam gdzie już wcześniej bywałeś, jak sądzę. W Sierra Nevada de Santa Marta. Nie ma lepszych plantacji w całej Kolumbii.

Jonathan rzeczywiście już tam kiedyś był. Pamiętał, że Sierra Nevada de Santa Marta to chyba najbardziej morderczy obszar świata. Dżungla tam jest nieprawdopodobnie gęsta i aż do lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku mieszkały w niej nieodkryte jeszcze plemiona. Na wschód od miasta Santa Marta biegł z północy na południe grzbiet górski z wysokim na osiemnaście tysięcy stóp szczytem Pico Cristobal Colon. Do tej pory jest to okolica zupełnie bezprawia.

Utworzone kosztem miliardów dolarów grupy paramilitarne zostały zlikwidowane w latach dziewięćdziesiątych przez kolumbijski rząd, a tajemnicą poliszynela był fakt, że atakowanie podczas wojen narkotykowych tylko dostaw skazane było na niepowodzenie. Dopóki amerykańscy senatorzy i ich pomocnicy będą w swoich prywatnych gabinetach kosztować produktów, które zobowiązali się tępić,

dopóty ludność miejscowa znajdzie sposób, by produkcja trwała w najlepsze.

A tam, gdzie zyski rodzą się z łamania prawa, zawsze znajdzie się ktoś wystarczająco sprytny, żeby za łapówkę przejąć kontrolę nad interesem. Korupcja polityczna wciąż była obecna.

— Musisz być bardzo ostrożny, przyjacielu. — Felipe wymierzył palec w pierś Jonathana. — Nikt cię tam nie chce. I jest tam nie tylko *El Matador*. Bóg jeden wie, dla kogo pracuje dziś DAS. Zresztą jutro sytuacja może się zmienić, a Indianie w ogóle nikogo nie lubią.

Jonathan nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Faktycznie, kolumbijski aparat bezpieczeństwa DAS — Departamento Administrativo de Seguridad, był od lat sześćdziesiątych instytucją do wynajęcia. Za każdym razem, kiedy następowała jakaś względna stabilizacja, ktoś kogoś mordował i na nowo trzeba było zasłużyć sobie na lojalność.

Tubylcze plemiona z kolei miały dość dyrygowania sobą i przestały komukolwiek dowierzać.

— Czyli mogę się czuć bezpieczny tylko wtedy, gdy będę spał z otwartymi oczami i rozglądał się bez przerwy wokół?

— Mądre słowa, señor Jones.

— Nie mamy wyboru. Chyba że zechciałbyś dołączyć do nas i służyć za przewodnika.

Teraz Felipe się roześmiał.

— Pokażę wam na mapie. Nie jestem wojownikiem. Zbyt wiele śmierci już się naoglądałem. I za dużo śmierci zadałem innym. Nie mogę już tego robić. — Jego oczy zwężyły się. Obrzucił Jonathana ojcowskim spojrzeniem. — Dziwię się, że ty jeszcze możesz.

Jonathanowi nie podobała się ta skłonność do sentymentalizmu.

— Ja nie zabijam — odparł. — Robię to, co niezbędne, żeby ocalić ludzi.

— Bez urazy, señor Jones. — Spojrzał na Harveya. — A ty jesteś naprawdę małomówny.

Harvey wzruszył ramionami.

— Ale kiedy już zacznę mówić, staję się błyskotliwy.

Felipe najwyraźniej nie zrozumiał dowcipu, lecz mimo to się uśmiechnął.

— Jak mogę wam pomóc, nie narażając się na niebezpieczeństwo? — zwrócił się do Jonathana.

— Potrzebne nam zaopatrzenie — odparł Jonathan.

Staruszek przekrzywił głowę.

— Takie jak zwykle?

— Mniej więcej.

— Dokumenty czy sprzęt?

— Jedno i drugie. Ale dużo mniej niż kiedyś.

— Jose mówił, że to on dostarczy wszystko.

Jonathan odchylił się na oparcie krzesła i założył prawą nogę na lewą.

— Ostrożność zawsze wychodziła mi na zdrowie — powiedział. — Prócz tego nie brakuje w Kolumbii moich wrogów, a z Josiem spotkam się dopiero za kilka godzin.

— Rozumiem — rzekł Felipe. — W takim razie broń dla ciebie i pana Smitha. I dla drugiego pana Smitha też?

— Tak jest. — Jonathan skinął głową. — Nie mam zbyt wiele czasu. Co masz na składzie?

Felipe uśmiechnął się znacząco.

— Chodźcie. Pokażę wam. Sami sobie wybierzecie.

Felipe poprowadził ich z powrotem do budynku, minął kuchnię po lewej i wszedł do sypialni na tyłach domu, znacznie lepiej utrzymanej od pokojów gościnnych.

— To twój pokój? — zapytał Harvey.

— Nie jest duży, ale za to wygodny — odparł staruszek. — Na pewno twój dom jest znacznie ładniejszy.

Harvey już zamierzał coś powiedzieć o swoim namiocie, ale ugryził się w język. Budynek, w którym mieściło się schronisko, był większy, niż wyglądał na pierwszy rzut oka, i składał się z dwóch połączonych ze sobą brył. Pokój Felipe znajdował się w tylnej części.

Kiedy weszli, staruszek zamknął za nimi drzwi na klucz. Pod oknem wychodzącym na podwórko, na którym przed chwilą siedzieli, stał ogromny drewniany kufer. Po obu stronach okna, na wysokości głowy, wisały kute świeczniki. Felipe zasunął zasłony, potem otworzył kufer i przeniósł na łóżko trzy zawiniątka z koców. Następnie zdjął ze świecznika świecę i wręczył ją Jonathanowi.

— Możesz potrzymać?

— Oczywiście — odparł Jonathan.

Staruszek zdjął ze ściany cały świecznik, odkręcił od niego cienką metalową płytkę i odwiesił go na miejsce. Następnie oderwał brzeg drewnianego dna kufra, pod którym widniał skierowany do góry bolec. Nakręcił płytkę na bolec i w tej samej chwili coś zgrzytnęło pod podłogą. Dno kufra uniosło się, ukazując schody prowadzące do ciemnego tunelu.

Jonathan wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— A nie mówiłem, że ci się tu spodoba? — odezwał się do Harveya.

Felipe wyjął z górnej szuflady komody trzy latarki i wręczył każdemu po jednej. Kiedy Harvey wyciągnął rękę, Felipe przytrzymał latarkę chwilę dłużej, niż to było konieczne.

— Ufam ci, bo ufa ci señor Jones — powiedział. — Nie zawiadź mnie. Dla swojego dobra.

Jonathan zachował pogodną minę, choć nigdy wcześniej nie słyszał tak mocnych słów z ust staruszka.

— Ręczę za niego bezwarunkowo — zapewnił.

Felipe bez pospiechu zapalił latarkę i poprowadził ten mały oddział na dół.

Kiedy Jonathan po raz pierwszy zobaczył podziemny magazyn Felipe, zaniemówił z wrażenia. Tak mu się spodobał ten pomysł, że później zbudował podobne pomieszczenie pod swoim domem. Jego zbrojownia była, oczywiście, większa i klimatyzowana.

Felipe stworzył magazyn na miarę swoich możliwości. Podziemna komnata była niewielka, ale pełno w niej było wszelkiego rodzaju broni, w większości jeszcze w oryginalnych skrzyniach. W czasach walki z Pablo Escobarem Jonathan zainwestował w tę nietypową piwnicę dziesiątki tysięcy dolarów, uzbrajając obywateli do walki przeciwko baronom narkotykowym.

Staruszek bez pytania podszedł i otworzył jedną z mniejszych skrzyń. Ze środka wyjął colta model 1911 kalibru .45 — ulubioną broń Jonathana. Wysunął magazynek, odciągnął zamek i wręczył pistolet Jonathanowi.

— Nie zapomniałem, señor Jones — powiedział, szczerząc zęby.

Jonathan nie mógł się powstrzymać od śmiechu.

— Rzeczywiście, przyjacielu. — Kilkakrotnie przeładował. Broń była dobrze naoliwiona. Zamierzał oczywiście później przy niej pomajstrować, ale na razie wydawała się bez zarzutu. Włożył z powrotem magazynek, wprowadził nabój do komory i nie zabezpieczając broni, wsunął ją z tyłu za pasek spodni. Jakie to wspaniałe uczucie być znowu uzbrojonym.

— Odstrzelisz sobie dupę, jak będziesz trzymał pistolet odbezpieczony — zauważył Harvey.

Jonathan uśmiechnął się pobłaźliwie, a potem zwrócił do Felipe:

— Mój przyjaciel służył w marines. Potrzebuje malutkiego pistoletu. Czegoś z trzema bezpiecznikami i blokadą spustu.

— Wal się, piechociarzu — najeżył się Harvey. — Nie chcę tylko, żebyś sobie przestrzelił przewód pokarmowy.

Jonathan roześmiał się.

— To może berettę? — zapytał Felipe.

Beretta stanowiła nowe, standardowe wyposażenie armii, zastąpiła ukochaną czterdziestkępiątkę Jonathana. Miała co prawda większy zasięg i lepszą celność, a także była łatwiejsza w obsłudze, ale trafieni z niej ludzie nie padali na ziemię dostatecznie szybko.

— Jestem tu jako medyk — odparł Harvey. — Masz może jakieś bandaże i jodynę?

Felipe wyglądał na kompletnie zaskoczonego.

— On żartuje — wyjaśnił z uśmiechem Jonathan. — Bandaży dostarczy nam Josie. Poprosimy o berettę dla mojego przyjaciela i jeszcze jedną dla drugiego pana Smitha. A co z bronią długą?

— Mam MP5, jeden albo dwa M4 i mnóstwo AK.

Na wzmiankę o AK Jonathan się skrzywił. W obiegu znajdowały się dziesiątki milionów tego cholerstwa. Była to świetna broń, ale ważyła za dużo, a poza tym Jonathan nie chciał wyglądać jak terrorysta.

— Biorę wszystkie M4 i dwa MP5. Poza tym po pięćset pocisków do każdego karabinu i po sto do pistoletów. A masz coś z noktowizorów?

Staruszek zatrzymał się na krótko i spojrzał na Jonathana z zakłopotaniem.

— Obawiam się, że nic.

— Żaden problem — odpowiedział Jonathan, choć bardzo go to zmartwiło. Zdolność skutecznego działania w nocy z wielokrotnością siłą, szczególnie w dżungli. To niedobrze, że musiał liczyć na Josiego jako jedyne go dostawcę tak ważnego sprzętu.

— A tak przy okazji — ciągnął Jonathan. — Muszę kupić samochód. Możesz mi coś polecić?

Na twarz Felipe powrócił uśmiech.

— Mogę ci polecić kupno mojego samochodu.

## Rozdział 27

Przed przyjazdem do Kolumbii Brandy Giddings wyobrażała sobie ten kraj jako scenerię filmu *Miłość, szmaragd i krokodyl* z Michaielem Douglasem i Kathleen Turner. Spodziewała się błotnistych dróg, po których spacerowałyby kury i kozy. Spodziewała się na każdym rogu jakichś przerażających osobników i trzydziestoletnich motorów.

Tymczasem Santa Marta okazało się nowoczesnym, choć nieco pretensjonalnym miastem na wybrzeżu. Był tu hotel Santorini z zupełnie przyzwoitą klimatyzacją i barmanem potrafiącym przyrządzić dobre caipirinha. I cóż w tym dziwnego? Przecież Kolumbia była znacznie bliżej miejsca, gdzie narodził się ten tradycyjny brazylijski koktajl, niż Waszyngton.

Brandy usiadła przy oknie, skąd widziała panoramę Morza Karaibskiego i ulicznych sprzedawców nachalnie wciskających swoje towary turystom, których kieszenie były celem włóczących się rzemieszeków. Tu, w środku, czuła się bezpiecznie, widząc dwóch muskularnych żołnierzy strzegących frontowych drzwi. Zresztą może to byli policjanci. W tej części świata wszyscy nosili podobne mundury. Najważniejsze, że odgradzali ją skutecznie od bandytów.

Po raz setny z kolei musiała uszczypnąć się, by uwierzyć, że tu się znalazła. Kiedy po swojej ostatniej rozmowie z sekretarzem Legerem siedziała w domu, w pewnym momencie rozległ się dzwonek u drzwi. W progu stał młody mężczyzna w sterylnie białym mundurze marynarki, z nasuniętym w wystudiowany sposób na czoło

daszkiem czapki. Brakowało mu tylko plakietki z nazwiskiem.

— Pani Giddings? — zapytał z miną pogodnego twardziela.

— We własnej osobie — odpowiedziała i natychmiast pożałowała pompatyczności stylu rodem z college'u Wellesley.

Wręczył jej kopertę.

— Mam polecenie dostarczyć to pani osobiście.

Bez zastanowienia odebrała kopertę.

— Czyje to polecenie?

— Ma pani to uważnie przeczytać i nikomu nic nie mówić.

Zachichotała. Zabrzmiało to jak kwestia z filmu.

— Czy to od... — Przerwała na wszelki wypadek. — Kto to przysłał?

Młody oficer pełnym galanterii ruchem uchwycił palcem wskazującym i kciukiem daszek czapki. Boże, był cudowny.

— Życzę miłego dnia, madame — rzekł.

W kopercie znajdował się amerykański paszport z jej zdjęciem, ale innym nazwiskiem, prócz tego niepodpisane przez nikogo polecenie przygotowania się do kilkudniowego pobytu w gorącym klimacie i przybycie w ciągu trzech godzin do bazy sił powietrznych Andrews. Miała nikomu nie wspominać o tej korespondencji i nie robić zbędnego zamieszania.

Z bazy Andrews poleciała do Hurlburt Field na Florydzie, a stamtąd, z paszportem na nowe nazwisko, rejsowym samolotem do Santa Marta. O określonej godzinie powinna siedzieć w barze hotelowym z jednym tylko zadaniem: wręczenia kolejnej koperty mężczyźnie, który do niej podejdzie.

Czuła się jak jakiś szpieg. Starła się z całych sił, żeby nie drżały jej ręce.

Do tej pory zdążyła wyłowić z tłumu już pięciu mężczyzn, z których każdy po kolei — jej zdaniem — miał być jej kontaktem i za każdym razem zawiedziona patrzyła, jak mijają ją obojętnie, żeby przywitać się z kimś innym albo zamówić drinka, albo zrobić cokolwiek innego.

Musiała się uspokoić. Jeśli jeszcze raz zacznie się wpatrywać w kolejnego mężczyznę, wezmą ją za prostytutkę i wyrzucą z baru.

Nieświadoma tego, co robi, ścisnęła kurczowo kopertę, przesuując palcem po zaklejonym skrzydełku. Jeszcze w samolocie nie



mogła powstrzymać ciekawości i w toalecie ją otworzyła. To, co znalazła w środku, nie zaskoczyło jej. Zaskoczyła ją za to beznamiętność, z jaką przyjęła do wiadomości fakt, że w wyniku jej działań wkrótce mieli zacząć umierać ludzie.

Zwróciło jej uwagę jakieś poruszenie po lewej stronie, przy frontowych drzwiach. Jeden z żołnierzy czy policjantów z kimś się szarpał. Brandy wyciągnęła szyję i o mało nie wybuchła głośnym śmiechem, widząc, że drugą stroną w przepychance jest może dwunastoletni dzieciak. Jeśli się nie myliła, był to jeden z chłopców, których widziała wcześniej przez okno, jak polują na turystów. Biedaczek, pewnie próbował wyciągnąć komuś z kieszeni portfel i został przyłapany na gorącym uczynku.

Czy to w Kolumbii obcinali za kradzież dłoń, czy w jakiejś innej części świata?

Brandy zmęczyło oglądanie tego widowiska i kiedy odwróciła się z powrotem do stolika, zdarzyła się najdziwniejsza z możliwych rzeczy. Policjant wyprostował się i spojrzał wprost na nią. A potem wskazał w jej kierunku palcem.

Brandy instynktownie obróciła się, żeby zobaczyć, kto stoi za jej plecami. W pobliżu nie było nikogo. Poczowała ucisk w żołądku.

Mężczyzna w zielonym mundurze maskującym szedł prosto w jej kierunku, ściskając palcami ucho urwisa. Chłopiec szedł z przekrzywioną głową, starając się dotrzymać mężczyźnie kroku.

Brandy poczuła niewytłumaczalną potrzebę ukrycia koperty. Nie mogła tego jednak zrobić bez zwrócenia na siebie uwagi. Co tu się, do diabła, działo?

Żołnierz doprowadził chłopca na odległość, z której mogli swobodnie rozmawiać.

— Przepraszam, señorita — odezwał się z tak silnym akcentem, że Brandy ledwie rozumiała jego słowa. — Czy pani... — Uwolnił z uścisku ucho chłopca i gestem kazał mu dokończyć pytanie.

Chłopiec odchrząknął.

— Witam, pani Chalmers — odezwał się dużo lepszym angielskim niż jego towarzysz.

Brandy zesztyniała i poczuła na skórze mrowienie. Na taki właśnie sygnał czekała. Gorączkowo usiłowała przypomnieć sobie odzew. *Jezu, tylko tego nie schrzań.*

— Cześć, Peter — odpowiedziała. — Jak się miewa ciotka Consuela? — Ucząc się na pamięć tego tekstu, uważała, że jest dziwaczny, ale teraz zdała sobie sprawę, że pojawienie się chłopca jest częścią planu.

— Jest chora — odparł chłopiec. — I chce się z panią zobaczyć.

To było to. Hasło i odzew zostały wypowiedziane w całości. Szanse, że był to przypadek — że zdawkowa rozmowa mogła potoczyć się w ten sposób — równały się zeru. Tylko co ona miała teraz począć? Po prostu wręczyć przesyłkę chłopcu?

Dzieciak zdawał się czytać w jej myślach, bo zerknął na kopertę, ledwie zauważalnym ruchem głowy pokazał, że „nie” i przeniósł wzrok na policjanta.

Brandy lekko podskoczyła na krześle. Zdążyła już zapomnieć o jego obecności.

— Och — zwróciła się do niego — wszystko w porządku.

— Pani zna tego chłopca? — zdziwił się żołnierz. — To zły chłopiec. Bardzo zły. Złodziej.

*No, świetnie.* Teraz pewnie będzie musiała za niego zapłacić jakąś grzywnę.

— Nie — odparła z nadzieją, że jej uśmiech wygląda na szczerzy. — To mój przyjaciel.

Żołnierz sprawiał wrażenie bardzo zdziwionego.

— To jest przyjaciel? *Esta un amigo?* — Chyba mu przyszło do głowy, że to słowo ma więcej znaczeń niż w języku hiszpańskim.

Brandy pokiwała głową i uśmiechnęła się szerzej.

— *Si.* Tak. To jest mój amigo.

To musi być jednak gliniarz, nie żołnierz, pomyślała Brandy, bo zaczął ją przesłuchiwać.

— Ale pani nie z Kolumbii?

Cholera! Zaczepnęła głęboko powietrza, serce zaczęło jej bić szybciej. Nie była na to przygotowana. Co powinna teraz odpowiedzieć?

Zajął się tym chłopiec. Przeszedł dwa dzielące ich od siebie kroki i usiadł Brandy na kolanach, obejmując ją za szyję.

— Nie pozwól, żeby mnie skrzywdził! — zawołał odrobinę za głośno, zwracając uwagę pozostałych osób w lokalu. — On mnie uderzył i kopnął.

To posunięcie zaskoczyło Brandy, ale nie tak, jak policjanta. Uświadomił sobie, że wszystkie oczy są zwrócone w jego kierunku.

— Wszystko w porządku — odezwała się do funkcjonariusza, a potem machnęła ręką pozostałym. — Naprawdę, wszystko gra.

Policjant zawahał się, ale w końcu nie miał innego wyjścia i ulotnił się.

Kiedy zostali we dwoje, chłopiec zwolnił uścisk i wbił wzrok w pierś Brandy.

— Fajne cycki — pochwalił.

Wybuchła śmiechem, nim zdążyła się powstrzymać.

— Co takiego?

— Cycki. — Wskazał. — Są w porządku. — Z uznaniem uniósł kciuk, jego brązowe oczy uśmiechnęły się filuternie.

Brandy ponownie się roześmiała.

— Powinam chyba podziękować.

— Mogę je zobaczyć?

— Nie! — Brandy poczuła, że się czerwieni. Rozejrzała się po sali, czy nikt ich nie obserwuje. — Ile ty masz lat?

— Osiemnaście — odparł.

*Akurat.*

— W takim razie ja mam siedemdziesiąt trzy i jestem dla ciebie za stara.

Zrezygnowany chłopiec wzruszył ramionami.

— Okay. Musisz iść ze mną.

Brandy się skrzywiła.

— Dokąd?

Chłopiec wskazał kopertę.

— Tam, gdzie ma pójść ta koperta. — Wstał i nie oglądając się za siebie, ruszył w kierunku drzwi.

Brandy poderwała się z krzesła, potrącając stolik i wylewając resztkę swojego koktajlu.

— Zaczekaj! — zawołała. Kim, do cholery, był ten dzieciak?

Do drzwi szli razem, a chłopak wydawał się szczęśliwy, mogąc ją trzymać za rękę.

Po kilku godzinach spędzonych w klimatyzowanym pomieszczeniu zdążyła już zapomnieć, jak nieprawdopodobny upał panuje na zewnątrz. Miała na sobie spodnie rybaczkki i lekką bluzkę, bo

wydawało jej się wcześniej, że to odpowiedni strój na „pobyt w gorącym klimacie”, ale teraz, po pokonaniu piechotą jednej przecznicy, zdała sobie sprawę, że nie ma garderoby, która przy tak dużej wilgotności powietrza nie byłaby uciążliwa. Boże, jakżeż ona się pocila! Na sali gimnastycznej można to znieść, ale na ulicy wydawało się upokarzające. Bluzkę miała zupełnie mokrą. A co można zrobić z mokrą od potu bluzką, kiedy jest się w obcym kraju?

Dwie przecznice od hotelu skręcili w prawo, oddalając się od wybrzeża i orzeźwiającej bryzy.

— Dokąd idziemy? — zapytała ponownie.

Chłopiec uśmiechnął się przez ramię.

— Niedaleko. Zaraz będziemy na miejscu.

— Jak masz na imię?

— Zaraz — odparł, wskazując na bliżej nieokreślony punkt przed nimi.

Im bardziej oddalali się od wody, tym szybciej rosła temperatura i gwałtowniej wznosił się teren. I pomyśleć, że przechadzka po Rzymie wydawała jej się kiedyś wyczerpująca! W porównaniu ze wzgórzami w Santa Marta, Rzym wydawał się płaski niczym boisko do koszykówki.

Brandy starała się z całych sił dotrzymać kroku swojemu przewodnikowi, ale on czasem wyprzedzał ją nawet o dobre pół przecznicy, a dopiero potem obracał się i czekał na nią. Czuła dziwną potrzebę usprawiedliwienia się przez chłopcem.

Im dalej szli, tym było wyżej. Ulice zaczęły przypominać obrazki ze starej Europy — wąskie uliczki i nieprzerwany ciąg fasad domów. Po piętnastu minutach marszu Brandy zaczęły dręczyć wątpliwości. Okolica nie zachęcała do samotnych spacerów, a obecność dwunastolatka uważającego się za prawdziwego mężczyznę nie dawała jej poczucia bezpieczeństwa.

Jakby o tym pomyśleć poważnie, to co za głupiec podążałby ślepo za dzieciakiem, którego nawet imienia nie zna. Pewnie za chwilę zostanie napadnięta albo porwana. Ale gdyby tak miało się stać, to skąd chłopiec znałby hasło i odzew?

Nie, nie, wszystko było w porządku. To było — jak Sjogren to nazywał? — szpiegowskie rzemiosło.

Chłopiec ponownie się zatrzymał, ale tym razem cztery, może pięć domów przed nią. Na jego twarzy pojawił się uśmiech, kiedy wskazał drzwi.

— Jesteśmy na miejscu — obwieścił.

Wskazał na różową fasadę domu, który kiedyś mógł być wspaniały, ale teraz podupał. Zdała sobie sprawę, że tak samo mogłyby wyglądać przedmieścia San Francisco, gdyby nikt ich przez dwadzieścia lat nie odnawiał. Ciężkie drewniane drzwi miały kolor purpury. Wyposażone były w ogromną staromodną klamkę, chyba mosiężną. Brandy zastanawiała się, czy gdyby ją porządnie wypolerować, odzyskałaby blask.

Zatrzymała się przed drzwiami na wysypanej pokruszoną cegłą drożce i zerknęła na chłopca.

Uśmiechnął się.

— Mam zapukać?

Dźgnął palcem drzwi.

— Po prostu wejdź — odparł.

Brandy zawałała się. Coś tu było nie w porządku. Dlaczego upierał się, żeby weszła pierwsza? Czy to rodzaj pułapki?

— Wszystko gra — powiedział chłopiec. — Ja nie mogę wejść.

Teraz wszystko stało się jasne, prawda? Kiedy chce się kogoś zabić, niepotrzebny jest świadek w osobie wścibskiego łobuziaka.

— W środku czeka na ciebie mężczyzna — powiedział chłopiec, pieczętując swoje słowa wspaniałym uśmiechem.

Dlaczego właściwie tak się denerwowała? Przecież spotykała się z wysłannikiem sekretarza obrony. To tak, jakby miała się spotkać z samym Legerem. Nie ma w takim razie na świecie bezpieczniejszego miejsca. To właśnie było to szpiegowskie rzemiosło.

Nie ma miejsca na wahanie, pomyślała. Musiała postępować w sposób zdecydowany. Nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi.

Przeszedłszy z ostrego słonecznego światła do mrocznego wnętrza, poczuła się zupełnie oślepią.

— Halo-oo! — zawołała.

Co jest? Druga sylaba uległa wydłużeniu z powodu kłującego bólu nad prawą pierś. Przez ułamek sekundy było to tylko lekkie ukłucie, ale po chwili ból zaczął narastać. Uniosła lewą rękę, żeby

dotknąć tego miejsca i wtedy poczuła w piersi kolejne szarpnięcie. To bolało dziesięć razy bardziej niż poprzednie. Chciała krzyknąć, ale z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

To była piękna śmierć — zupełnie niezwykła. Zagnieździła się w jej wnętrzu, a kiedy Brandy zgięła się w pół, po raz pierwszy dostrzegła krew na podłodze. Cóż to takiego? Krew była też na dłoni. I na bluzce. Poczuela, że świat wiruje wokół niej. Oparła się z trudem o ścianę, wypuściła z rąk kopertę. Patrzyła, jak powoli wyslizguje się pomiędzy jej palców, i choć próbowała ją przytrzymać, to ciało nie reagowało na polecenia. Mogła tylko obserwować lot koperty ku brudnemu linoleum.

Osuwając się po ścianie, by dołączyć do leżącej koperty, dostrzegła wyłaniającą się z cienia postać. Mężczyzna trzymał coś w dłoni. Kiedy podszedł bliżej, uniósł trzymany w ręku przedmiot i wycelował go w głowę Brandy.

— Proszę, nie... — jęknęła.

Trzy strzały, żeby zabić, to coś żenującego, ale nie było innego wyjścia. Gdy strzela się w samym środku dnia, trzeba zachować ciszę, a to oznaczało użycie poddźwiękowych pocisków i tłumika. Do tego celu Mitch Ponder używał lekkich pocisków kalibru .22 z miedzianym płaszczem. Gdyby mógł strzelać z małej odległości, gwarantującej celny strzał, mógłby użyć czterdziestki z tłumikiem. Jednak podczas wystrzału tak duża ilość gazów trafia do deflektora tłumika, że pozostała ich część nie może już nadać pociskowi odpowiedniej prędkości.

Ponieważ Brandy stała w słonecznym świetle, strzał w głowę nie wchodził w rachubę. Wycelował zatem w środek ciała, ale i tak, oślepiiony, dwukrotnie nie trafił w serce. Może i dobrze, pomyślał. Gdyby trafił w mostek, powolny, lekki pocisk mógłby nie przebić się w głąb klatki piersiowej.

— Proszę, nie... — jęknęła.

Mitch nie znośli, kiedy błagali o litość. Nieważne, jak małowalibrowa była broń, kiedy pocisk trafiał w oko, zawsze docierał do mózgu. W końcu Brandy znieruchomiała.

Mitch podszedł bliżej, podniósł kopertę, którą upuściła jego ofiara, i sprawdził, czy nie ma na niej krwi. Nie był sentymentalny, ale nie chciał, żeby coś, co należy do niego, było zabrudzone krwią. Uśmiechnął się z zadowoleniem. Oto kolejna korzyść ze stosowania pocisków małego kalibru.

Na podłodze pojawił się cień sylwetki. To był Jaime, jego posłaniec.

— Dobrze się spisałem? — zapytał chłopiec. W jego głosie brzmiała nuta dumy.

Kucając, Mitch obrócił głowę.

— Świetnie — odparł.

— To zapłacisz mi teraz? — Jaime wyciągnął dłoń.

Mitch uśmiechnął się.

— Oczywiście.

Po raz kolejny przekonał się, że pocisk trafiający w oko dociera do mózgu. Chłopiec był martwy, nim ugięły się pod nim kolana.

## Rozdział 28

Jak wynikało z drobiazgowego śledztwa przeprowadzonego przez Venice, Bruce Navarro u szczytu swojej kariery był człowiekiem dobrze sytuowanym. Wielki dom, drogie samochody i po jednej kochance na Zachodnim i Wschodnim Wybrzeżu Stanów Zjednoczonych oraz, podobno, jeszcze kilka w Europie i Azji. W zeznaniach podatkowych deklarował roczne dochody przekraczające dwa miliony dolarów. Większość miała swe źródło w uczciwie wykonanej pracy dla uczciwych klientów. W dokumentach nie było żadnego śladu powiązań Sammy'ego Bella czy syndykatu Slaterów z firmą Navarra, ale Venice szybko doszła do wniosku, że w pośpiechu mogła przeoczyć fakt, iż jakiś „uczciwy” klient był tylko przykrywką dla przestępczego imperium.

Informacje przekazane przez Alice Navarro Harper okazały się nieocenione. Człowiek znany niegdyś jako Bruce Navarro nazywał się teraz Tony Planchette, a jego nowy adres to Standard w stanie Alaska, jakieś dwadzieścia mil na zachód od Fairbanks. Mimo nieustającej obserwacji ze strony stróżów prawa przez wszystkie te lata utrzymywał w miarę regularne kontakty z siostrą, zasypując Jersey City zawierającymi zakodowane wiadomości ulotkami reklamowymi fikcyjnych towarów. Było to oszustwo pocztowe, ale Gail uznała je za wspaniały — choć drogi — sposób na prowadzenie tajnej korespondencji. Rozsyłał tysiące ulotek po to, żeby skontaktować się z tylko jedną osobą — swoją siostrą.

Kiedy Alice pokazała Gail stos zebranych przez lata ulotek, ta zrozumiała, że gromadzenie czasopism i gazet miało stanowić kamuflaż na wypadek rewizji. Bruce wykorzystywał szyfr, do którego



klucz znajdował się w kodach kreskowych. Sama treść ulotek była bzdurna, co musiało niektórych adresatów porządnie irytować, ale ponieważ ulotki pojawiały się z częstotliwością nie większą niż co sześć, osiem tygodni, nikt nie był na tyle wkurzony, żeby powiadamiać władze.

Poza tym to była Ameryka. Skoro ktoś chce na swój koszt wysłać pocztą jakieś bzdury, to ma do tego święte prawo.

Charakter wiadomości był głównie gawędziarski. Bruce opisywał szczegóły swojego życia w ukryciu. Gail doszła do wniosku, że głównym celem przesłania tych listów było informowanie siostry, iż wciąż żyje i ma się dobrze.

Jeśli Alice mówiła prawdę, nie istniał żaden mechanizm, który pozwoliłby Bruce'owi otrzymywać wiadomości zwrotne. Alice musiała zdawać sobie sprawę, że jej korespondencja jest skrupulatnie sprawdzana, i nie mogła pozwolić, by ktokolwiek podejrzewał, że utrzymuje z Bruce'em kontakt. To by znaczyło bowiem, że jej brat żyje.

To była pierwsza wizyta Gail na Alasce. Jadąc wynajętym z wypożyczalni jeepem z lotniska w Fairbanks, była zaskoczona tym, jak bardzo bez wyrazu jest okolica, którą mija. Żadnych wartych wspomnienia wzgórz, mnóstwo drzew i opuszczonych, zniszczonych budynków. Nie było tu brzydko, brakowało tylko pewnej dozy egzotyki.

Ostatnie dwie godziny lotu Gail spędziła na studiowaniu ściągniętych z sieci przez Venice zdjęć satelitarnych, pokazujących miejsce, gdzie znajdował się dom Bruce'a Navarro. Wymagało to trochę zachodu, ponieważ nie ma zbyt wielu map satelitarnych tej części świata. Venice musiała poprosić o pomoc SkysEye, prywatną firmę zajmującą się opracowywaniem map satelitarnych, której właścicielem był stary przyjaciel Jonathana, Lee Burns. Za absurdalnie wysoką roczną subskrypcję i jeszcze bardziej absurdalną opłatę za konkretne zlecenie szpiegowska sieć satelitów Lee Burnsa potrafiła dokonać cudów.

Navarro kompletnie zmienił styl życia. Wypielęgnowany trawnik, stajnie dla koni i basen w obrzydliwie bogatym Great Falls w Wirginii

zamienił na domek z prefabrykatów na kompletnym pustkowiu.

Standard okazało się nie tyle miastem, ile punktem na mapie leżącym przy torach Alaskan Railway na północ od Goldstream Creek. Jeżeli chciało się zniknąć, to było odpowiednie miejsce.

Navarro pewnie jest uzbrojony, uznała Gail. Na pewno miał broń palną pod ręką. Musiałby oszaleć, gdyby nie miał, choćby po to, żeby odstraszyć jakiegoś grasującego grizzly. Poza tym żył samotnie, jak większość ludzi, którzy są obiektem polowania. Ktoś taki na pewno łatwiej pociąga za spust.

Gail otworzyła drzwi i wyszła na przyjemnie świeże powietrze. Temperatura oscylowała gdzieś w okolicach dwudziestu stopni i wiała delikatna bryza, która mogła stłumić odgłos jej kroków.

Z bliska dom okazał się większy, niż to wynikało ze zdjęć satelitarnych. Zajmował taką samą powierzchnię jak typowy podwójny domek składany, ale bez wątpienia został ustawiony na fundamentach. Podniszczone deski sidingu z całą pewnością były niegdyś ciemnozielone — koloru lasu — ale bezlitosne ciepło, chłód, wiatr i deszcz pozbawiły je blasku.

Zdenerwowana wspięła się po trzech stopniach na zabudowaną werandę. Zastukała do drzwi, walcząc jednocześnie z chęcią wyjęcia z kabury broni.

Przez okno z lewej strony usłyszała jakiś ruch — głośny ruch, jakby ktoś skoczył z dużej wysokości na podłogę. Dźwiękowi towarzyszyło ciche przekleństwo, a potem zapadła cisza.

— Panie Planchette? — zawołała Gail. — Nic się panu nie stało?

Ani słowa, żadnego ruchu.

— Proszę się nie obawiać — powiedziała. Odsunęła się od drzwi i stanęła na krawędzi werandy, skąd lepiej widać było okno. — Nie jestem z policji ani z władz federalnych, nie przysłał mnie też Sammy Bell. Przyjechałam tu, bo potrzebuję pańskiej pomocy. Sprawa jest na tyle ważna, że pańska siostra Alice powiedziała mi, gdzie mogę pana znaleźć. — Miała nadzieję, że tyle informacji uwiarygodni ją w jego oczach.

Zdecydowała się jednak nie wymawiać nazwiska Navarro, gdyż obawiała się, że go wystraszy.

— Jest pani uzbrojona? — rozległ się głos z panującego za oknem mroku.

— Tak. Tutaj chyba wszyscy są.

— Pani nie jest stąd.

Uśmiechnęła się.

— Nie. Ale pan jest. — Nie odważyła się przerywać długiej ciszy, która zapadła. Trudniej byłoby mu wtedy myśleć.

— Czy u Alice wszystko porządku? — zapytał w końcu.

— Tak. Przesyła panu pozdrowienia. Fakt, że nie mogła się z panem kontaktować, był dla niej okropną torturą. Ale ten plan z ulotkami jest genialny. — Gadaj jak najęta, pomyślała, prędzej czy później facet się rozluźni.

— Niech pani zejdzie na podwórko i odłóż broń — rozkazał głos.

— Nie zrobię tego — odparła Gail. Dawno temu nauczyła się, że w trakcie trudnych negocjacji rzeczowe mówienie — nawet jeśli jest to odmowa spełnienia żądania — uspokaja drugą stronę. — Gdybym była osobą, której pan się obawia, to nie rozmawialibyśmy teraz, tylko strzelalibyśmy do siebie. A z drugiej strony nie zamierzam się wystawiać bardziej na cel niż teraz.

Napięcie wzrosło, kiedy usłyszała w środku ruch. Po chwili drzwi się otworzyły. Mężczyzna w progu miał te same rysy twarzy co na fotografii, którą widziała Gail, tyle że zniknęły wszelkie pozory wygładzonego prawnika, pozostawiając szczuplejszą, bardziej wymiersoną wersję. Miał na sobie niebieskie dzinsy i szarą sportową bluzę. Zdaniem Gail był teraz atrakcyjniejszy niż tamten bardziej wysublimowany z przeszłości. Obrzucił ją spojrzeniem, kołysząc w rękę strzelbą samopowtarzalną. Palec trzymał z dala od języka spustowego i nie celował w nią.

— Proszę powiedzieć, o co pani chodzi — odezwał się Navarro.

— Chciałabym wejść do środka.

— A ja chciałabym mieć znowu dwadzieścia lat. Co jest bardziej prawdopodobne, jak pani myśli?

Gail uśmiechnęła się. Niezależnie od tego, czy był dobrym, czy złym człowiekiem, trzeba mu przyznać, że miał poczucie humoru.

— Zamierzam sięgnąć do tylnej kieszeni. Mam tam kartkę od Alice. Może ona pana uspokoi.

Navarro skinął głową.

Unikając jakichkolwiek gwałtownych ruchów, Gail sięgnęła lewą ręką do kieszeni i namacała palcami brzeg koperty. Wyjęła ją i wręczyła Navarze.

Odebrał kopertę i zawahał się przed spuszczeniem wzroku z Gail.

— Zaczekam na podwórzu — powiedziała. Zeszła po schodach na trawnik. Uznała, że z takiej odległości Navarro będzie się czuł mniej zagrożony.

Koperta była zaklejona, ale Gail oczywiście przeczytała wcześniej treść kartki — postąpiłaby nieroztropnie, nie upewniając się, czy przypadkiem Alice nie wydaje bratu polecenia zabicia jej. Liścik był krótki i czuły, mimo upływu lat dziwnie pozbawiony informacji o charakterze osobistym. Może rozłąkę łatwiej jest znieść, kiedy komunikacja ma charakter biznesowy. Fakt, że Navarro podniósł wzrok na Gail po dobrej minucie, świadczył, że przeczytał list kilka razy.

Kiedy nareszcie skończył, obrócił się na pięcie i zniknął we wnętrzu domu, pozostawiając otwarte drzwi. Gail uznała to za zaproszenie.

Wnętrze domu było równie zadbane jak podwórko. Navarro urządził je, jakby to był apartament w Nowym Jorku, kolory były jaskrawe, a minimalistyczne meble musiały kosztować fortunę. Drugie tyle kosztowało pewnie dostarczenie ich tutaj. Na pierwszy rzut oka było tu ciemno, ale wchodząc dalej, Navarro nacisnął włączniki i wszystkie pomieszczenia zalało światło, które zdawało się emanować ze ścian. A może przez ściany. W każdym razie efekt był zdumiewający.

— Ma pan wspaniały dom — odezwała się Gail, żeby cokolwiek powiedzieć.

Zatrzymał się przed znajdującym się pod oknem kącikiem do rozmów, składającym się z dwóch foteli i niewielkiej dwuosobowej kanapy.

— Myślę, że najlepiej będzie od razu przejść do rzeczy. — Wskazał jej jeden z foteli. — Proszę. — Sam usiadł na kanapie, chyba najbardziej zniszczonym meblu w tym domu. Wgniecenie na

poduszce wypowiedziało Gail, że musiał spać, kiedy zapukała do drzwi. Nie rozstawał się ze strzelbą ani na chwilę. Ale też nią nie wygrażał. Trzymał ją w zgiętej ręce ot tak, na wszelki wypadek. Za jego plecami znajdował się stojak z bronią. O osobowości Navarra świadczył fakt, że z wielu innych rodzajów broni wybrał strzelbę. Gail nie bardzo wiedziała, o czym to dokładnie świadczy, ale można było wyciągnąć jakieś wnioski z takiego postępowania. Może po prostu nie był dobrym strzelcem.

Siedzisko fotela zmarszczyło się, kiedy Gail usiadła.

— Rzadko ktoś w nich siedzi — wyjaśnił, odczytując jej myśli.

— Ze względu na sytuację niechętnie przyjmuję gości.,

Gail uśmiechnęła się z sympatią.

— Musi być pani z siebie dumna. Znalazła pani człowieka, na którego wszyscy od lat polują.

— Miałam przewagę — odparła Gail. — Łatwiej jest robić właściwe rzeczy z właściwych powodów.

Navarro pokiwał głową.

— Moja siostra wspomniała w liście coś o porwaniu.

Gail opowiedziała mu o napadzie na Resurrection House i podzieliła się informacjami, które zdążyła zdobyć. W miarę opowieści pogłębiały się zmarszczki na twarzy Navarra.

— Panie Navarro — zbliżała się do końca — stanowi pan w tej historii wspólny mianownik. Arthur Guinn jest zastraszony, żeby nie zeznawał przeciwko Sammy'emu Bellowi i syndykatom Slaterów, Marilyn Schuler pracowała u pana, a pan pracował dla Sammy'ego Bella. Wygląda na to, że tylko dzięki panu będzie można rozwiązać tę zagadkę.

Przez dłuższy czas siedział, rozmyślając w milczeniu nad tym, co usłyszał. Gail nie popędzała go. Po dobrej minucie zauważyła, że strzelba w jego ręku się poruszyła. Gail poczuła niepokój — ale tylko przez chwilę. Navarro szerokim łukiem odłożył ją na stojący obok kanapy stolik.

Wstał, włożył ręce do kieszeni i obrócił się w stronę okna.

— Życie nigdy nie przestaje mnie zaskakiwać — odezwał się odwrócony plecami do Gail. — Kto by się spodziewał, że pakując się w takie kłopoty jak ja, można przeżyć tak długo. Niezły wynik —

dziewięć lat to prawie o dziesięć dłużej, niż miałem prawo żyć. Zawsze myślałem, że kiedy mnie w końcu dopadną, będzie to miało bardziej dramatyczny przebieg.

Odwrócił się i spojrzał jej w oczy. Gail wysiliła się na najbardziej uroczy z uśmiechów.

— Jeśli wam powiem, co stanie się z informacją?

— Wykorzystamy ją do uratowania dziecka.

Navarro zastanawiał się jeszcze chwilę, a potem poddał temu, co nieuniknione.

## Rozdział 29

Szli długo. Evanowi wydawało się, że trzy godziny, ale równie dobrze mogło to trwać dwie albo pięć godzin. Dżungla się nie zmieniła. Upał nie słabł. Na każdym kroku wyczuwało się dziwny zapach, jakby wszystko wokół nich gniło. Początkowo marzył, żeby mieć na nogach buty, jak Oscar i żołnierze, ale kiedy przyszło im brodzić do połowy łydki w wodzie, był pewien, że teraz oni woleliby iść bosy jak on. Na History Channel oglądał kiedyś program na temat odparzeń stóp. Mógł się założyć, że jego strażnicy zrobiliby wszystko, żeby nie zdejmować po takim marszu skarpetek wraz ze skórą.

W czasie marszu nikt nie rozmawiał — a w zasadzie nikt nie rozmawiał z nim. Evan był z tego zadowolony, przyrzekł sobie bowiem, że nie odezwie się do nikogo słowem, póki nie dostanie odpowiedzi na swoje pytania. Tak więc szedł krok za krokiem, z nadzieją, choć śmieszną, że odciski jego stóp naprowadzą na jego ślad kogoś, kto go uratuje z opresji.

Nikt nie mógł go tu odnaleźć. Nikt, oczywiście prócz Boga, dlatego posuwając się naprzód, modlił się, by Bóg odpowiedział ojcu Domowi, że Evan żyje. Ojciec Dom na pewno się martwił.

Zabawne, jak umysł zwalnia, kiedy nie ma nic do powiedzenia ani zobaczenia. Evan miał wrażenie, że kilkugodzinny marsz nie pozostawił w jego pamięci żadnych wspomnień. Nie było żadnych osobliwych roślin czy kwiatów, które zwróciłyby jego uwagę — choć przecież widział piękne okazy. Było tak, jakby jednostajność

powodowała jeszcze większą jednostajność, a wszystko to w rezultacie kończyło się nicością.

Kiedy już oswoił się z tą jednostajnością, nieoczekiwanie pojawił się nowy zapach. Nie wiedział, skąd dochodzi, ale czuł, jakby coś przyjemnego próbowało się przebić przez cuchnące wyziewy dzungli. Czyżby był to zapach jedzenia?

Wytłumaczył sobie, że po prostu jest głodny, a ten zapach to tylko iluzja, ale po kolejnych dziesięciu krokach zmienił zdanie. Rzeczywiście czuł jedzenie. Zaburczało mu w brzuchu.

Najwyraźniej wszyscy musieli poczuć ten zapach, bo cała karawana przyspieszyła kroku. Evan obliczył, że robili około jednego kroku na sekundę, a teraz dwukrotnie zwiększyli tempo. Tylko czy pozwoli mu coś zjeść?

Serce mu żywiej zabiło na szaleńczą myśl — może ten ktoś, kto gdzieś tam gotuje posiłek, pomoże mu uciec? Czy prosi o zbyt wiele? Nie domagał się wielkiej odmiany — niech będzie choć małą. „Jakiegokolwiek portu w czasie burzy” — jak mawiał ojciec Dom.

Kiedy teren zaczął się obniżać, cała kolumna zaczęła iść jeszcze szybciej. Nie był to jeszcze bieg, ale Evan musiał dobrze wyciągać nogi, żeby nie wyprzedzili go idący z tyłu żołnierze.

Ziemia była tu twarda i wysuszona. Ubita ścieżka stała się wygodniejsza dla bosych stóp. A jedzenie pachniało bajkowo.

Nieoczekiwanie dzungla rozstąpiła się, ustępując miejsca polanie, stały na niej chaty całkiem podobne do tej, w której poprzedniego dnia się obudził. Bo to chyba było wczoraj? A może dwa dni temu? Albo tydzień? Boże, co się z nim dzieje?

Evan nie wiedział, czego może się spodziewać w wiosce. Żołnierze wymachiwali nad głowami karabinami i wykrzykiwali słowa, których nie rozumiał.

Mieszkańcy wioski rozproszyli się i Evan nie był w stanie ich policzyć, ale podejrzewał, że musi ich być co najmniej czterdzieścioro lub pięćdziesięcioro. Zwrócił też uwagę, że przeważały osoby całkiem młode i stare. Zdecydowanie brakowało młodych mężczyzn. Jeśli nie liczyć eskortujących go żołnierzy, Evan był najstarszym chłopcem w zasięgu wzroku. Nie musiał się długo zastanawiać, żeby dojść do wniosku, że to nie jest dla niego dobra wiadomość.



Dwaj żołnierze z jego konwoju zaczęli gonić mieszkańców wioski, którzy ratowali się ucieczką. Jeden z żołnierzy, stojący najbliżej Evana, najwyraźniej upatrzył sobie dziewczynę w tłumie, która z kolei starała się trzymać od niego jak najdalej. W końcu żołnierz ruszył za nią. W ostatniej chwili udało się dziewczynie wykonać niespodziewany zwrot w prawo i umknąć przed wyciągniętą ręką żołnierza, który wyrzucił z siebie cały ciąg sylab, bez wątplenia przekleństwa. Dziewczyna przyspieszyła. Mężczyzna zatrzymał się nieoczekiwanie, przykucnął, podniósł z ziemi kamień wielkości piłki baseballowej i rzucił nim. Kamień poszybował w powietrzu i trafił dziewczynę w tył głowy. Upadła twarzą na ziemię.

Padając, krzyknęła i chwyciła się oburącz za głowę.

Evan dostrzegł pomiędzy jej palcami czerwony odblask. Wszyscy wokół przestali biegać. Wielu stało i obserwowało ten atak. Evan nie mógł uwierzyć, że nikt nie reaguje.

Żołnierz już nie biegł. Podszedł szybkim krokiem do dziewczyny i coś wrzasnął. Kiedy się skuliła na ziemi, pochylił się, chwycił ją za włosy i pociągnął. Krzyknęła głośniejsze, a on szarpnął mocniej i postawił ją na nogi. Kiedy próbowała się wywinąć, uderzył ją otwartą dłonią w twarz. Cios zamroczył ją, stała bez ruchu, a żołnierz chwycił ją za koszulę i zdarł ją z jej ramion, odsłaniając piersi. Próbowwała się zasłonić, ale w końcu uległa.

Żołnierz pochylił się i pocałował jej pierś, a potem odwrócił do pozostałych żołnierzy, prezentując dziewczynę niczym trofeum, jedną ręką obejmował jej ramię, a drugą pocierał sobie krocze. Pokazał wyciągnięty w geście triumfu kciuk i zawlókł dziewczynę do najbliższej chaty. Po chwili z chaty wybiegła jakaś stara kobieta i mały chłopczyk.

— Nie można odmawiać młodemu mężczyźnie, który ma potrzeby — odezwał się Oscar.

Evan odwrócił się i zobaczył, że stoi tuż obok.

— Mogę im powiedzieć, żeby tobie też przyprowadzili jedną, jeśli chcesz — zaferował Oscar, mrugając do Evana.

Evan się cofnął.

— Nie odchodź za daleko — powiedział Oscar z drwiną w głosie. — Co dżungla pochłonie, rzadko oddaje. — Z chaty dobiegł krzyk dziewczyny. Trwał chwilę, potem nagle ucichł.

Evan czuł się zdezorientowany. Gdzie oni są? Co tu się dzieje? Dlaczego ci wszyscy ludzie stali i gapili się, kiedy gwałcono dziewczynę? Tak, Evan dobrze wiedział, co się dzieje. Trudno z jego przeszłością nie wiedzieć, jak wygląda gwałt.

Mieszkańców wioski było dziesięciokrotnie więcej. Dlaczego nie...

Na jego ramieniu wylądowała czyjaś ręka. Evan podskoczył jak rażony prądem i obrócił gwałtownie. Przed nim stała stara kobieta i wyciągała do niego dłoń. Odsunął się w bok, żeby znaleźć się dalej od niej, a jednocześnie nie zbliżyć do Oscara i żołnierzy.

Kobieta uśmiechnęła się, rozchylając usta, w których brakowało połowy zębów. Miała łagodne spojrzenie.

— Chłopiec — powiedziała. Skinęła sękatą starą dłonią. — Biały chłopiec. Jeść.

Czuł, że nie chce zrobić mu krzywdy. Patrzyła na niego przyjaźnie. Może nawet mogłaby go obronić, ale jak tu paradować u boku kogoś tak... okropnego?

— Ty. Biały chłopiec. Jeść? — Pokazała na migi wkładanie pokarmu do ust i uśmiechnęła się.

Jedzenie. Wróciło wspomnienie tamtego zapachu i znów zaburczało mu w brzuchu. O Boże, tak, jeść. Kiwnął głową. Kobieta kolejno raz skinęła na niego.

— Jeść. — Podeszła do otwartych drzwi jednej z chat, co chwila oglądając się i sprawdzając, czy Evan idzie za nią.

Szedł. Jedna jego połowa uważała, że jest szalony, idąc za staruchą, ale to nie była ta połowa, która wołała o jedzenie. Przez głowę przebiegła mu ledwie uchwytna myśl o Jasiu i Małgosi. Nie było tu nigdzie chaty na kurzej stopce.

Starucha, zbliżywszy się do drzwi chaty, machała na niego ręką coraz bardziej agresywnie.

— Jeść, jeść, jeść.

W tej chwili Evan zdał sobie sprawę, że mówiła „iść”, a nie „jeść”. Próbowwała porozumieć się z nim po angielsku. Zrobiło mu się ciepło na sercu.

— *Gracias* — powiedział, mając nadzieję, że to właściwy odpowiednik „dziękuję”. Wszedł za kobietą do ciasnego wnętrza, które bardziej przypominało tipi z Dzikiego Zachodu niż współczesny dom. Nie było tu żadnych prawdziwych mebli — prócz kilku

obskurnych drewnianych krzesel — a podłogę stanowiła taka sama goła ziemia jak na zewnątrz, tylko odrobinę czystsza. A na pewno bardziej sucha.

To pojedyncze pomieszczenie zapełniało osiem osób — sześć starzych i dwie w wieku poniżej pięciu lat. Kiedy Evan wszedł, wszyscy wstali. Starucha przez dobrą minutę coś mówiła, a słuchacze wydawali się zadowoleni z jej słów. Rozluźnili ciasny krąg, w jakim stali pośrodku chaty, i zrobili mu miejsce przy niewidocznym wcześniej stole. Dalej, za stołem stał garnek z jakąś gotującą się potrawą, która pachniała wprost niebiańsko. Jeden z dorosłych zabrał dziecku miskę i postawił ją na stole przed Evanem. Kobieta powiedziała do Evana coś, czego nie zrozumiał, ale z towarzyszącego słowom uśmiechu wywnioskował, że jest traktowany jak specjalny gość.

Evan zajął miejsce pośrodku długiej ławy, a inna staruszka pochyliła się nad stołem i nałożyła mu szczerze porcję jedzenia. Evan nie miał pojęcia, co to może być, ale ponieważ wywar był brązowy i pływały w nim zielone warzywa, uznał, że jest to duszona wołowina. Pierwszy łyk pozbawił go złudzeń, ale postanowił o tym nie myśleć. Cokolwiek to było, smakowało dobrze, a teraz jedynie to się liczyło. To i fakt, że wreszcie mógł napełnić żołądek.

Po zjedzeniu dwóch lub trzech kolejnych łyżek zdał sobie sprawę, że tylko on je. Podniósł wzrok na kobietę, która go tu przyprowadziła, i wskazał gestem na garnek.

— Proszę — powiedział. — Jedzcie.

Najwyraźniej wszyscy czekali na te słowa, bo bezzwłocznie zaczęli nakładać sobie potrawę do misek. Wokół niego toczyła się rozmowa, której nie rozumiał. Wszyscy siedzieli ścieśnieni na ławach. Wydawali się szczęśliwi, a Evan nie mógł pojąć, jak to możliwe w sytuacji, gdy dziewczyna z ich plemienia jest dręczona tuż obok. Z tego, co wiedział, każdy z żołnierzy był teraz zajęty gwałtem. A tymczasem ludzie tu, w chacie, śmiali się i cieszyli. To nie było w porządku.

Potrawa była znakomita. Jadł tak łapczywie, jak potrafi młody wygłodniały mężczyzna, połykał łyżkę za łyżką, od czasu do czasu rozgryzając warzywa czy żując kawałek mięsa, które smakowało zupełnie inaczej niż to, co jadał w przeszłości. Dopiero kiedy opróżnił miskę, zdał sobie sprawę, że pozostali byli daleko w tyle.

Obserwowali go i śmiali się, patrząc na miny, jakie robił podczas jedzenia. Poczul, że czerwienieją mu uszy, a wtedy oni roześmiali się jeszcze głośniej.

To był przyjazny śmiech. On także się uśmiechnął. Pomyślał nawet, że mógłby się pośmiać razem z nimi, gdyby tylko wiedział, co ich tak bawi.

Kobieta, która go tu przyprowadziła, przechyliła się w jego stronę i powiedziała coś, czego nie zrozumiał. Zabrzmiało to jak „blan ki roho”. Kiedy wzruszył ramionami, dając znać, że nie rozumie, powtórzyła. Wciąż nie wiedział, o co chodzi.

Wyciągnęła do niego dłoń, a on położył na niej swoją. Uniosła delikatnie jego rękę i przesunęła po niej palcami. Dotknęła jego blond włosów.

— Białe — powiedziała. — *Blanco*. — Potem pogładziła jego policzek i ucho. — *Roho*. — Zamilkła w poszukiwaniu odpowiedniego słowa. — Czerwony?

Wreszcie zrozumiał. Białe chłopiec. Biała ręka, białe włosy, czerwona twarz. Evan uśmiechnął się. Pogładził drugą dłonią policzek i powiedział:

— Rumieniec. Biała skóra i czerwona twarz znaczy rumieniec.

Kobieta powtórzyła za nim. Potem z głośnym śmiechem próbowali powiedzieć to słowo wszyscy. W najlepsze trwały pogaduszki i śmiech, kiedy nagle na twarzach zgromadzonych wokół Evana ludzi pojawił się strach.

Evan poczul obecność Oscara, nim zdążył go zobaczyć.

— Synu?! Jesteś gotowy?!

Chłopiec się przygarbił. Wiedział, że w ten sposób okazał swoją słabość.

— Nie — odparł. — Podoba mi się tutaj.

Oscar roześmiał się.

— Dwie minuty — rzucił. — *Dos minutos*. Nie każ mi wyciągać cię stąd siłą. Trudno chodzić ze złamaną nogą. — Dwie sekundy później już go nie było.

Nastrój w chacie się popsuł. Staruszka wstała, a za nią cała reszta. Chwyciła Evana pod rękę i delikatnie go podniosła. Kiedy wstał, położyła mu dłoń na policzku i powiedziała coś, czego nie zrozumiał, choć z tonu głosu wywnioskował, że musi to być coś ważnego.

Potrząsnął głową.

— Nie rozumiem, co mówisz. — Strach zaczął ścisnąć mu gardło.

Kobieta rozejrzała się po pozostałych, szukając pomocy. Nagle jej oczy rozjaśniły się i uniosła wyprostowany palec na znak, że wpadła na pomysł. Trzymając Evana pod rękę, zaprowadziła go w drugi koniec pomieszczenia, gdzie stała komódka z szufladami pełnymi przeróżnego śmiecia. Szybko wyrzucając z siebie słowa, odebrała kawałek papieru i uformowała go w kształt owalu. Uniosła go tak, żeby Evan dobrze widział. Wykonywała przy tym identyczne ruchy jak ojciec Dom rozdający komunię świętą w czasie mszy.

Cokolwiek chciała mu przekazać, miało to związek z tym kawałkiem papieru. To musiał być bardzo ważny papier.

— Nie rozumiem. — Evan wzruszył ramionami.

Kobieta potrząsnęła z emfazą głową i poklepała palcem jego wargi. Chciała, żeby milczał i słuchał.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby wiedział, czego ma słuchać.

— Evan! — rozległo się wołanie Oscara.

Kobieta przyspieszyła. Wciąż mamrocząc, wskazała ponownie na papier, włożyła go do ust, a potem raptownie wypluła.

Evan instynktownie odskoczył, ale starucha chwyciła go za rękę i splunęła jeszcze trzy razy dla większego efektu.

— Mam splunąć? — zapytał. Pokiwała radośnie głową.

— *Si, Si.* Pluć.

Niewiele myśląc, splunął. Żadną flegmą, ot, po prostu, śliną.

— Nie, nie, nie, nie — zawołała i znów zasypała go potokiem słów po hiszpańsku. A może po marsjańsku. W równym stopniu nie znał ani jednego, ani drugiego.

— Evan! — W drzwiach pojawił się ponownie Oscar. — Ruszaj się. *Ahora.*

Kobieta zamarła w bezruchu. Oddychała ciężko, po chwili krótko uścisnęła Evana.

— *Vaya con Dios* — powiedziała.

Evan wiedział, co znaczą te słowa, choć nie mógł sobie uświadomić, skąd je zna. Powiedziała do niego: Idź z Bogiem. Uśmiechnął się, choć chciało mu się płakać.

— Dziękuję — odpowiedział. — *Gracias.*

Kobieta uśmiechnęła się, potem obróciła go i klepnęła w siedzenie.

— *Bye, bye, rumieniec.*

Evan się odwrócił. Chciał się do nich wszystkich uśmiechnąć, ale unikali jego wzroku.

— Chodź, synu — rzekł Oscar. — Chłopcy się odświeżyli, a przed nami długa droga.

Przed chatą sformowała się na nowo kolumna. Mijając chatę, do której została zaciągnięta dziewczyna, odwrócił wzrok. Może mu się tylko wydawało, ale mógłby przysiąc, że słyszy dochodzący z wnętrza płacz.

## Rozdział 30

Navarro nie mógł usiedzieć w miejscu. Ruszył na tył domu, w stronę kuchni, prosząc, żeby Gail mu towarzyszyła.

— Napije się pani herbaty? — zapytał.

— Tak, poproszę — odpowiedziała z uśmiechem. Nie znosiła herbaty. Przypominała jej o chorobach z dzieciństwa, kiedy jej matka stosowała przesłodzoną herbatę do zamaskowania smaku tych swoich domowych „cudownych” leków. Wiedziała jednak, że pozytywna odpowiedź sprawi, iż Navarro będzie mówił dalej.

Napełnił wodą z kranu miedziany czajniczek i postawił go na palniku. Przekręcił pokrętło i pochylił się, żeby sprawdzić, czy błękitny płomień ma odpowiednią wysokość. Następnie odwrócił się do Gail.

— Byłem ich prawnikiem — powiedział, wracając do rzeczy.

— Najczęściej miałem do czynienia z człowiekiem, który nazywał się Arthur Guinn, ale raz czy dwa spotkałem też pana Bella. To byli zaskakująco uprzejmi ludzie. Bardzo serdeczni, zawsze pełni godności. Zupełnie inni niż można byłoby się spodziewać z racji ich profesji. Gdybym nie wiedział, że to gangsterzy, można by pomyśleć, że są członkami elitarnego klubu Ivy League.

— Czyli rozpoczynając z nimi współpracę, wiedział pan, że to mafiosi? — Gail odsunęła od kuchennego stołu krzesło i usiadła na nim.

Navarro podszedł do zlewozmywaka i odkręcił gorącą wodę.

— Oczywiście, że wiedziałem. Cały świat o tym wiedział. Ale kiedy zaczynałem, zajmowałem się tylko ich legalnymi interesami.  
— Napełnił dzbanek do herbaty gorącą wodą i odstawił go na bok.  
— Bardzo ważne jest wcześniejsze podgrzanie dzbanka — wyjaśnił.  
— Przepraszam?  
— Przy parzeniu herbaty. Wielu ludzi popełnia błąd, wlewając wrzątek do zimnego dzbanka. To niszczy smak herbaty.  
— Ja zawsze wkładam saszetkę z herbatą do wrzątku — odparła Gail.

Navarro się otrząsnął.

— Równie dobrze może pani pić błoto z kałuży. — Wyjął z szafki nad kuchenką dwie filiżanki z podstawkami i zaczął je też podgrzewać. — Picie herbaty i palenie fajki wymaga dużo zachodu, ale jednocześnie przynosi satysfakcję.

Gail zupełnie to nie obchodziło, ale nie chciała zbyt mocno go naciskać.

Navarro oparł się o blat i skrzyżował ramiona i nogi.

— Pamiętam ze studiów prawniczych, jak jeden z profesorów mówił nam o kruchości etyki. Był absolutystą. Jego ulubione zdanie brzmiało: „Nie można być tylko trochę zabrudzonym”. W szkole to miało sens, ale w praktyce nie jest takie łatwe. Racjonalizacja to oszustwo. Wiesz, że pracujesz dla przestępcy, ale usprawiedliwiasz się, powtarzając sobie, że nawet kryminalista potrzebuje porady prawnej. Tak działa nasz wymiar sprawiedliwości. Zajmowałem się tylko legalną częścią ich interesów. Ale po dziesięciu latach ta niewyraźna granica zaczyna się zacierać. Zanim się człowiek zorientuje, zaczyna ją dostrzegać całkiem wyraźnie, tyle że z drugiej jej strony. A w końcu siedzi się w tym już tak głęboko, że przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie, gdzie ta granica się znajduje.

Zagwizdał czajnik i Navarro odwrócił się, żeby się nim zająć.

— Czym pan się zajmował pod koniec?

Navarro wyłączył palnik pod czajnikiem i wylał wodę z podgrzewanego dzbanka i filiżanek. Wylał je do sucha ściereczką i z puszki odmierzył dwie łyżeczki herbaty.

Gail nigdy wcześniej nie widziała całego tego widowiska towarzyszącego parzeniu herbaty i była nim dziwnie zafascynowana.



Navarro nalał wody z czajnika do dzbanka i przykrył go pokrywką.

— Trzy minuty — powiedziały. — Ani więcej, ani mniej. — W Ameryce przeważnie zbyt długo parzymy herbatę. Na czym skończyliśmy?

— Miał mi pan powiedzieć, jakie usługi świadczył pan Samm'y'emu Bellowi i jego firmie.

— No tak. Pod koniec dostarczałem gotówkę. Byłem zaufanym pośrednikiem.

— Na co te pieniądze?

— Nie pytałem.

— Ale wiedział pan.

— Początkowo podejrzewałem, ale później już wiedziałem. Płaciłem za świadczone usługi. Ponieważ na tych pieniądzach były moje odciski palców — dosłownie i w przenośni — stawało się to transakcją pomiędzy klientem a jego adwokatem, czyli transakcją niemożliwą do wyśledzenia.

— Na co były przeznaczone te pieniądze?

Zawahał się.

— Na wszystko, co pani przyjdzie do głowy. — Zajął się przeszukiwaniem kuchennych szuflad.

Gail ciężko westchnęła.

— Bardzo proszę nie utrudniać.

Na te słowa poderwał głowę.

— To jest trudne, panno Bonneville. To jest wyjątkowo trudne, a ja robię, co mogę, żeby nie zamilknąć i nie odeść pani do diabła.

Gail, z niewiadomych przyczyn zmieszana, uciekła spojrzeniem.

Ale on jeszcze nie skończył.

— Robiła pani coś, za co przyszło się pani potem wstydzić?

Poczuła, jak koniuszki uszu zaczynają jej płonąć. Na Boga, tak, pomyślała, choć nigdy nikomu by o tym nie powiedziała.

— Jeśli tak, to wie pani, jak łatwo jest się usprawiedliwić. — Zamknął jedną szufladę i otworzył drugą. — Stworzyłem sobie tu, na wygnaniu, całkiem przytulny zakątek. Udało mi się prawie dotrzeć do punktu, kiedy mogę spojrzeć w lustro bez obrzydzenia. — Tym razem zatrzasnął szufladę z hukiem i otworzył trzecią. — Skoro więc

irytuje panią fakt, że nie dość szybko odsłaniam swoją duszę, to mogę tylko prosić o wybaczenie.

Trzecią szufladę zamknął z takim impetem, że zadrżała podłoga.

— Gdzie się podziało to sitko?!

Gail podniosła się z krzesła i od razu je dostrzegła.

— Czy o to chodzi? O to na blacie? — Wskazała sitko do herbaty leżące niedaleko zlewozmywaka.

Podążył wzrokiem za jej palcem i opuścił bezsilnie ramiona.

— Tak — powiedział. — Dziękuję. — Wziął sitko do ręki i opłukał je nad zlewem. — Skoro mam panią wprowadzić w cudowny świat herbaty, to muszę ją odsączyć, prawda?

Przy tych ostatnich słowach głos mu się załamał. Gail usiadła z powrotem na krześle i patrzyła, jak Navarro kończy ceremoniał. Trzymając w ręku spodki z filiżankami i małymi łyżeczkami z boku, powiedział:

— Cukier jest na stole. Życzy pani sobie cytrynę albo śmietankę?

Nie życzę sobie nawet tej choleralnej herbaty, pomyślała Gail, a głośno powiedziała:

— Nie, dziękuję. — Otworzyła cukiernicę, w której z zaskoczeniem znalazła kostki cukru. Włożyła dwie kostki do filiżanki i zamieszała herbatę. Navarro włożył trzy. Wzięła łyk i poczuła się przyjemnie zaskoczona. Smak w niczym nie przypominał herbaty, jaką do tej pory zdarzało jej się pić. — Dobra — powiedziała z wyraźnym zaskoczeniem w głosie.

— Niech to będzie dla pani lekcja — odezwał się Navarro. — Życie jest zbyt krótkie i pełne rozczarowań, żeby odmawiać sobie tego, co najlepsze. — Wypił łyk swojej herbaty i rozkoszował się jej smakiem. — Herbata w saszetkach to profanacja.

Gail roześmiała się. Poczowała się, jakby przeszła na drugą stronę lustra i trafiła na podwieczorek. Ten człowiek delektował się swoją herbatą, tak jak Jonathan delektował się dobrą szkocką. Pozwoliła chwili trwać jeszcze trochę, a potem wróciła do tematu.

— Mały chłopiec oczekuje na ratunek, pewni ludzie chcą go skrzywdzić — wyjaśniła. — Musimy wrócić do naszej rozmowy.

Navarro lekko się przygarbił.

— Proszę — odrzekł.

— Niech pan mi opowie o Marilyn Schuler — poprosiła Gail.

— Jaka była jej rola?

Navarro wyprostował się na krześle i wbił wzrok w jakiś punkt nad ramieniem Gail. Podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem, ale niczego tam nie znalazła.

— Marilyn była wspaniałą kobietą — odparł Navarro. — Wspaniałą w każdym znaczeniu tego słowa. — Spojrzał na Gail i zadrżały mu brwi. — Może zbyt wspaniałą i to ją zgubiło.

Gail czekała.

— Wie pani, że miała romans z pewnym młodym człowiekiem z mojej kancelarii?

Udała zdziwienie.

— Nazywa się Aaron Hastings. Nigdy go specjalnie nie lubiłem. I nigdy mu nie ufałem. Ale zarekomendował go mój największy klient.

Gail zastrzygła uszami.

— Sammy Bell?

— We własnej osobie. A przecież nie wypada rozczarowywać swojego największego klienta.

— Zwłaszcza takiego — dodała Gail.

— Otóż to. — Wziął kolejny łyk. — Gdyby pan Bell znał prawdę na temat swojego przyjaciela...

— A jak wygląda ta prawda?

Navarro wydał się zaniepokojony.

— Alice nie powiedziała pani?

— Zdziwiłby się pan — albo był zadowolony — jak mało mi pańska siostra powiedziała. — Gail stwierdziła, że musi ponownie przemyśleć swój stosunek do herbaty.

Navarro odsunął się wraz z krzesłem od stołu i założył nogę na nogę.

— Nie mam żadnych dowodów, rozumie pani. Jak powszechnie wiadomo Marilyn została zamordowana przez męża, bo miała romans z Aaronem. Ja jednak miałem od początku wrażenie, że biedny pan Schuler został przez tego młodego człowieka wrobiony, a prawdziwym mordercą jest właśnie on.

Gail się wzdrygnęła.

— Dlaczego miałby to zrobić?

Twarz Navarra wykrzywił gorzki uśmiech.

— Mam nadzieję, że jest pani przygotowana na długą opowieść.

Kiedy Navarro zaczął snuć swoją historię, Gail zrozumiała, że musiał o niej często myśleć przez te wszystkie lata spędzone na odлюдziu.

— Czasami zdarzało mi się przewozić pieniądze — tłumaczył. — Nigdy nie byłem zupełnie pewny, na co miały być przeznaczone, choć z czasem zyskuje się pewne przeświadczenie. Kwoty były zawsze olbrzymie. Dziesiątki tysięcy dolarów. W dziesięciu przypadkach na dziesięć zasilaty operacje pana Bella. Rzadko trafiały gdzieś indziej.

Gail wyczuła ukryty podtekst.

— Czyli były wyjątki?

Wycelował w nią palec.

— Zgadza się. Były wyjątki. Na przykład trzy dni przed tym, kiedy miałem stracić życie. Dostarczaliśmy wypłatę w wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Gail zamurowało.

— Jasna cholera...

Navarro uśmiechnął się.

— Pomyślałem tak samo. Przewoziliśmy pieniądze w dwóch transzach. Połowę w jednym tygodniu, połowę w drugim. — Zmrużył powieki. — I co, pani detektyw, czym to pani pachnie?

— Połowa przy zawarciu umowy i połowa po dostawie.

Navarro skinął głowę.

— Opuściłem jeden szczegół. Nie było żadnej dostawy jakiegokolwiek towaru. Po prostu płatność po płatności.

W głowie Gail zaświtała pewna myśl.

— Mokra robota?

Ponownie dźgnął palcem powietrze.

— Do takiego właśnie doszedłem wniosku. To jedyne sensowne wytłumaczenie. Biorąc pod uwagę wysokość kwoty, musiało chodzić o kogoś cholernie ważnego. I jeszcze ta skrzynka kontaktowa. O tym też zapomniałem wspomnieć. Nie mieliśmy dostarczyć pieniędzy żadnej konkretnej osobie, tylko złożyć je w skrzynce kontaktowej na parkingu za rogatkami miasta. Kupa forsy, anonimowy odbiorca.

Gail przyłapała się na tym, że kiwa potakująco głową.

— Ewidentnie mokra robota.

— Zgadza się. Morderstwo. Z zimną krwią. Szczerze mówiąc, tego było za wiele. Miałem cholernego pietra. Co innego ryzykować wykluczenie z palestry i może rok do trzech za kratkami, ale to była już grubsza sprawa.

— Powiedział pan „nie”?

Rzucił jej spojrzenie z rodzaju „nie udawaj idiotki”.

— O czymś takim nie mogło być mowy. Zbyt głęboko w tym tkwiłem, żeby bawić się w takie gierki. Zacisnąłem zęby i dostarczyłem pierwszą ratę. I wtedy, wracając do domu, jakieś trzy mile od skrzynki kontaktowej, zostałem zatrzymany za przekroczenie prędkości. Miałem na liczniku siedemdziesiąt osiem mil, a dopuszczalna prędkość wynosiła sześćdziesiąt pięć. To zabawne, jak dobrze się pamięta niektóre szczegóły, prawda?

— Pozostał ślad — ubiegła go Gail.

— No właśnie. To była rutynowa kontrola prędkości, zdaję sobie z tego sprawę. Nie było się nad czym zastanawiać. Ale jeśli potem miał ktoś zginąć, to policja zaczęłaby sprawdzać.

Tak właśnie policja powinna postąpić, pomyślała Gail. Jednym z pierwszych zadań śledczych po ujawnieniu morderstwa jest sprawdzenie wszelkich wykroczeń drogowych w okolicy.

— Miał pan kryminalną przeszłość?

— Nie, ale byłem dobrze widoczny. Ludzie wiedzą, kto jest adwokatem gangsterów. Zdziwiłaby się pani, ilu ludzi potrafi być zazdrosnych. Przez cały kolejny tydzień byłem jednym kłębkim nerwów. Wertowałem gazety i przeglądałem Internet w poszukiwaniu informacji o morderstwie, ale nic nie znalazłem. A potem dostałem polecenie dostarczenia drugiej raty.

— I nikt nie został zamordowany?

— Ja przynajmniej nic o tym nie wiem. Byłem przerażony. Nie chciałem mieć na rękach cudzej krwi, więc wysłałem z pieniędzmi Marilyn Schuler. Nie chciała tego zrobić, póki jej nie powiem, co zawiera paczka. A kiedy jej powiedziałem, wkurzyła się. Oczywiście nie wiedziała, na co te pieniądze są przeznaczone, ale to była kupa kasy. Powiedziała, że pojedzie, ale pod warunkiem, że pozwolę, by ochraniał ją jej przyjaciel.

— Aaron Hastings?

— Właśnie. — Navarro pochylił się do przodu. — Tylko że pieniądze nigdy nie dotarły. Marilyn i Aaron zniknęli. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co zaszło, aż do następnego dnia, kiedy Arthur Guinn poinformował mnie, że pojawił się jakiś cholernie wkurzony i bardzo groźny facet, który domaga się swoich pieniędzy. — Navarro przyknuł oczy i uniósł głowę, jakby wspomnienia sprawiały mu ból.

— Nie powiedział mu pan o Marilyn? — zapytała Gail.

Pokręcił głową.

— Kiedy teraz na to patrzę, nie mogę uwierzyć, że byłem taki głupi. Ale gdybym mu powiedział, przyznałbym się, że zwałem swoją robotę na asystentkę. Nie wiadomo, co z tego mogło wynikać. — Usiadł znów prosto. — Poza tym nie sądzę, żeby była na tyle niemądra, by kraść pieniądze Slaterów. Potem znaleziono ją martwą, a pieniądze wraz z Aaronem zniknęły. Po Aaronie słuch zaginął. Tak po prostu. — Strzelił palcami. — Tymczasem ja miałem na karku mafię i tego „bardzo groźnego faceta”, a nie miałem im co dać. Więc też zniknąłem.

Gail skrzywiła się na te słowa.

— Jest pan bogatym człowiekiem. Dlaczego nie uregulował pan po prostu długu z własnej kieszeni?

— Ponieważ byłem przekonany, że mam do czynienia z zawodowym mordercą. Każdy scenariusz, jaki przychodził mi do głowy, kończył się moją śmiercią. Szczególnie dlatego, że nie wytłumaczyłem się od razu po pierwszym telefonie od Arthura.

— Spanikował pan — podsumowała Gail.

Navarro wzruszył ramionami.

— Wolę myśleć, że zareagowałem w jedyny sensowny sposób.

Gail jeszcze przez chwilę notowała, a potem przejrzała zapiski.

— Jest jeszcze coś — powiedział Navarro, wrywając ją z zamyslenia.

Spojrzała na niego uważnie.

— Miałem dużo czasu, żeby to sobie dogłębnie przemyśleć. A Internet to prawdziwe błogosławieństwo. Nie dawała mi spokoju wysokość tej kwoty. Taka fura pieniędzy oznacza coś więcej niż zwykle mafijne porachunki. To nadzwyczajna stawka dla

nadzwyczajnego zabić. W końcu kompetencje liczą się w każdym zawodzie, prawda?

Gail pokiwała głową.

— Wynika z tego, że Slaterowie chcieli zlikwidować kogoś w wielkim stylu.

Navarro sprawiał wrażenie przerażonego.

— Slaterowie? Nie, na litość boską, takiego morderstwa nie mogli zlecić Slaterowie. Oni byli tylko pośrednikami. Ktoś chce kogoś zabić, udaje się do miejscowej rodziny mafijnej i zawiera z nią umowę brokerską. Pierwotnego zleceniodawcę dzieli od wykonawcy cały łańcuszek pośredników, więc praktycznie nie można go namierzyć.

Gail pogubiła się w tym wszystkim.

— Dlaczego w takim razie Slaterowie cię szukają?

— Przecież musieli pokryć straty, prawda? Musieli wyjść z tej transakcji z twarzą, w przeciwnym razie „bardzo groźny facet” mógłby wziąć ich na celownik. Przecież nikt nie potrzebuje takich kłopotów. A żeby chronić swój zadek, postarali się, żeby każdy bukmacher wiedział, że to ja wypuściłem piłkę.

Dla Gail nie brzmiało to jeszcze przekonująco.

— I tu pojawia się to twoje powiązanie z rządem — rzekł Navarro, jakby to była najoczywistsza na świecie rzecz. Widząc jej powątpiewanie, warknął: — Rząd był tym klientem.

Błysk zrozumienia.

— Oczywiście, nie rząd *per se* — poprawił się Navarro, machnąwszy nerwowo ręką. — Raczej jakaś mocna figura w rządzie.

Gail z wrażenia pochyliła się w jego stronę.

— Pamięta pani, jak mówiłem, że miałem zapłacić drugą ratę, mimo że nikt nie został zabity? Zdałem sobie sprawę, że rozglądałem się po zbyt małym obszarze. Sądziłem, że do morderstwa dojdzie gdzieś w okolicach skrzynki kontaktowej, w której zostawiłem pieniądze. Teraz zrozumiałem, że za takie pieniądze można zabić gdziekolwiek. I dopiero wtedy zrobiło się strasznie.

Gail nie mogła się doczekać. Dramatyczne zwierzenia zmęczyły ją, ale ponieważ ten człowiek od lat nie rozmawiał z ludźmi, starała się nie okazywać zniecierpliwienia.

— Śledzi pani uważnie politykę Waszyngtonu, panno Bonneville?

— Wręcz przeciwnie. Staram się unikać polityki.

— W takim razie pewnie pani nie pamięta kampanii wyborczej do Senatu w Dakocie Południowej w tamtym roku. Walki toczącej się pomiędzy Lincolnem Hinesem a...

— Czy to nie ten, który popełnił samobójstwo?

— A więc pamięta pani. Tak, w powszechnej opinii popełnił samobójstwo, ale są tacy, którzy twierdzą, że nigdy by tego nie zrobił. Na przykład jego rodzina.

Gail przewróciła oczami.

— Ech, teorie spiskowe. Chyba jest pan ich miłośnikiem.

— Co to było, co Henry Kissinger powiedział Richardowi Nixonowi? Fakt, że jestem paranoikiem, nie oznacza jeszcze, że cały świat nie sprzymierzył się przeciwko mnie. Powinna się pani niektórym teoriom dokładniej przyjrzeć. Oprócz tego, że wiele osób twierdzi, iż nie miał skłonności samobójczych, jest jeszcze kwestia ułożenia ciała i znalezionych na jego ubraniu włókien.

— Jak zwykle w takich przypadkach — rzekła Gail. Kanapowi detektywi byli zmorą każdego prawdziwego śledczego. — Niech mi pan wierzy. Gdyby te włókna i cała reszta miały jakiegokolwiek znaczenie, przeprowadzono by śledztwo.

— A jeśli prokurator należał do tej samej partii co polityczny przeciwnik zmarłego? I szeryf prowadzący śledztwo też?

Absurdalność tej teorii kazała wybuchnąć Gail śmiechem.

— Polityk zabija swojego konkurenta i każe wszystkim zatuszować sprawę? Proszę wybaczyć, panie Navarro, ale to się nie trzyma kupy.

Navarro pozostał niezrażony.

— Nie sugeruję żadnej konspiracji. Przeciwnie, sądzę, że nic takiego nie miało miejsca. Jednak wnikliwe obserwacje rodzą podejrzenia, a podejrzenia są motorem napędowym śledztwa, czyż nie?

— Oczywiście, ale...

— Proszę mnie uważnie posłuchać. Ludzie twierdzą, że kandydat, który oficjalnie zmarł od zadanej sobie własnoręcznie rany postrzałowej, w rzeczywistości został zamordowany. Logiczne jest, że podejrzanym powinna być osoba, która miała najwięcej do stracenia.



Osoba piastująca urząd, której odejście mogłoby zachwiać równowagę polityczną w senacie na rzecz partii opozycyjnej. Pani wytworny i czarujący podejrzany twierdzi, że te zarzuty są śmieszne, że i tak bez trudu wygrałby w wyborach, chociaż sondaże wskazywały inaczej. Prócz tego ma żelazne alibi na czas zabójstwa. Dokąd w takich okolicznościach zaprowadziłby panią instynkt śledczego?

Gail nabrała powietrza w płuca i westchnęła głośno. W każdym śledztwie pojawiają się niedorzeczne teorie, które trzeba obalić lub odrzucić. W przeciwnym razie żadna sprawa nie zostałaby zamknięta. Zdarza się czasem, że odrzucona teoria okazuje się prawdziwa, ale to rzadkie przypadki. Mimo to w amerykańskich więzieniach odsiada wyroki sporo niewinnych ludzi, a wśród nich z całą pewnością Frank Schuler.

Navarro uśmiechnął się i wskazał ją palcem.

— Widzę, że już nie jest pani do śmiechu. Proszę pomyśleć, jaka była stawka: senator zabił swojego konkurenta, wykorzystując rodzinę Slaterów jako pośrednika. Wszystko miało pójść gładko. I oto kurier — podniósł wysoko rękę — spieprzył robotę.

— O którym senatorze mówimy? — zapytała Gail. — Nie pamiętam, który jest który.

— On już nie jest senatorem — odparł Navarro. — Po zaprzysiężeniu nowego prezydenta facet został sekretarzem obrony.

— Jacques Leger?

— Zgadza się. A jednak interesuje się pani waszyngtońską polityką.

Gail ucichła. Nie mogła w to uwierzyć, ale z drugiej strony szalone teorie Navarro sporo tłumaczyły.

— Niech pan pomoże mi to zrozumieć — poprosiła. — Czy Arthur Guinn mógł o tym wiedzieć?

— Naturalnie. W najdrobniejszych szczegółach. Nie pisnąłby na ten temat ani słówka, jeśli chciałby dożyć jutra, ale z całą pewnością wiedział.

Gail nie podzieliła się z nim informacją, że Guinn został objęty programem ochrony świadków.

— W takim razie można by zmusić go do milczenia, porywając mu syna.

— Jak najbardziej. Albo po prostu go zabić.

Gail pokiwała głową.

— Frank Schuler to kolejny niedopięty guzik. Trzeba się go pozbyć, bo Marilyn mogła mu coś zdradzić. Może nawet podejrzewają go, że ukrył pieniądze. Ale Schulerem za tydzień i kilka dni zajmie się wymiar sprawiedliwości stanu Wirginia.

— Pozostaje jego syn. Przypuszczenie, że on coś wie, byłoby chyba przesadą, chociaż może? — Na twarzy Navarra pojawił się wyraz z troskaniem. — Zdaje sobie pani sprawę, że chłopak pewnie już nie żyje? Jeżeli mamy rację i tak wyglądał scenariusz, to nie ma sensu trzymać go przy życiu.

Rzeczywiście, nie ma, pomyślała Gail. Dlatego zostawili go na pewną śmierć.

— I jak pani sądzi, mam rację?

Jasna cholera. Czy uważa, że urzędujący sekretarz obrony zlecił zabójstwo swojego rywala do senatorskiego fotela? Czy uważa, że dla zatuszowania sprawy dopuszczono się porwania i kolejnego morderstwa? Czy jest zdania, że chora ambicja może tak zaślepić funkcjonariusza administracji? Na samą myśl o tym robiło jej się niedobrze.

— Tak — odpowiedziała. — Uważam, że tak to się odbyło. Navarro w geście triumfu uderzył otwartymi dłońmi w stół.

— Tak! — wykrzyknął. — I co zamierza pani z tym zrobić? Interesujące pytanie, na które istniała tylko jedna odpowiedź.

— Wyprostujemy to.

Triumfalny uśmiech znikł z jego twarzy.

— My?

Gail wzruszyła ramionami.

— Okay. Pan wyprostuje.

Navarro roześmiał się.

— Jasne. Jeszcze mi życie miłe.

— Sekretarz obrony jest mordercą. Nie może pan z tym żyć.

— O czym pani mówi? Ja z tym żyję od dawna. Wczoraj też był mordercą, takim samym jak dzisiaj. Reszta mnie nie obchodzi.

— Mogę zorganizować panu ochronę — zaproponowała Gail.

Navarro roześmiał się jeszcze głośniejsze.

— Doprawdy? Pani chyba pracuje w prywatnej agencji detektywistycznej?

Gail nie dała się zbić z tropu.

— Owszem, pracuję w prywatnej agencji detektywistycznej, ale takiej, o jakiej pan nie słyszał. Mamy odpowiednie koneksje...

— Tak? Gratuluję. Ja nie mam. Mogę liczyć tylko na siebie. Przez ostatnie lata musiałem na siebie bardzo uważać. Przywykłem do swojego nowego ja i coraz mniej obchodzą mnie inni. Dostała pani to, czego chciała. Teraz proszę zająć się resztą. — Wstał. Spotkanie dobiegło końca. — Życzę szczęśliwego powrotu do domu.

Gail się nie poruszyła.

— Nie może się pan doczekać ponownego zniknięcia?

— O czym pani mówi? — Fakt, że nagle zbladł, upewnił Gail, że trafiła.

— Panie Navarro, są tajemnice, których nie uda się dochować. Nie przy tak wysokiej stawce.

— Chce mi pani powiedzieć, że mnie zdradzi?

— Nie chcę tego — odparła. Starła się zachować proszący ton. — Ale czy mam inne wyjście?

— Powinna pani docenić moją otwartość i szczerść i zrozumieć, że jestem w bardzo trudnym położeniu.

Gail przekrzywiła głowę. Cóż, on wiedział swoje.

— Mogłem panią zabić — powiedział. — Nikt nigdy nie znalazłby pani ciała.

Uśmiechnęła się.

— Z całym szacunkiem, uśmierciłabym pana trzy razy, zanim dotknąłby pan spustu.

— W takim razie mógłbym popełnić samobójstwo.

Gail zaprzeczyła ruchem głowy.

— Miał pan na to kilka lat. Najwyższy czas zrobić coś pożytecznego.

Navarro roześmiał się.

— Jasne. Na tym etapie życia mam zacząć... — Nagle na jego twarzy pojawiło się napięcie. Przekrzywił głowę. — Słyszysz pani coś?

Gail też przekrzywiła głowę. W pierwszej chwili chciała odpowiedzieć, że nie, nic nie słyszy. Ale potem doszedł ją dźwięk — dochodzące z oddali dudnienie. W mieście byłoby niesłyszalne, ale tu brzmiało nie tylko wyraźnie, ale coraz głośniej.

— Śmigłowiec? — domyśliła się.

Navarro zerwał się na równe nogi, przewracając krzesło. Chwycił strzelbę z takim impetem, że Gail odruchowo się skuliła.

— Nie! — krzyknęła.

— Co pani zrobiła?! — wrzasnął Navarro. — Komu pani powiedziała?

Nie czekał na odpowiedź. Wybiegł z kuchni i dopadł otwartego okna w salonie.

— Co to? — spytała Gail, biegnąc za nim.

— Jakiś cholerny śmigłowiec! — wykrzyknął Navarro.

— Może to...

— Nie ma żadnego może — warknął Navarro. — Co pani narobiła?

# Rozdział 31

Jonathan nie miał pojęcia, jak Felipe zdołał wykombinować najnowszy model range rovera, ale im gorsza stawała się droga, tym bardziej był wdzięczny za szeroki rozstaw osi i napęd na cztery koła. Sądząc po mocno promocyjnej cenie, Felipe musiał samochód komuś ukraść albo przynajmniej kupić od złodzieja. Skórzane wnętrze i klimatyzacja nie do końca pasowały do charakteru ładunku i misji, jaką mieli do spełnienia u kresu podróży. Mimo sporych wysiłków włożonych w porządne zamocowanie bagażu broń i sprzęt robiły straszny harmider, kiedy wóz podskakiwał na wybojach tego, co tylko ludzie w krajach Trzeciego Świata mogli nazywać drogą.

Kiedy zbliżali się do miejsca zbiórki — nie miasta, ani nawet nie wioski, raczej do miejsca o określonych współrzędnych — Jonathan kazał Harveyowi się zatrzymać.

— Z przyjemnością — powiedział Harvey. — Jeśli każesz mi zawrócić, powiedz tylko słowo, a już nas tu nie będzie.

Jonathan nie zareagował. Czas, jaki spędzili razem, sprowadzał się do trzech godzin nieustannego psioczenia i już dawno temu zaczęło ono go męczyć. Na litość boską, w końcu dał człowiekowi szansę na rozpoczęcie nowego życia, a ten ciągle jęczał.

Jonathan wyjął ze schowka przenośny radiotelefon i włączył mikrofon.

— Olbrzymie, tu Skorpion. Jak mnie słyszysz?

Spodziewał się opóźnienia, bo człowiek po drugiej stronie szukał odpowiedniego przycisku, dlatego był zaskoczony, słysząc natychmiastową odpowiedź Boxersa.

— Już czas.

— Jesteśmy pół mili od was — odparł Jonathan. — Nie chciałem nikogo wystraszyć.

— Miałem nadzieję, że to wy. Widzieliśmy samochód na zdjęciu satelitarnym, ale nie byliśmy pewni. Czekamy.

— Jedziemy. — I dodał do Harveya: — Słyszysz, co powiedział. Ruchy!

Harvey wcisnął pedał gazu.

— Z jakich zdjęć satelitarnych korzystacie? — zapytał Harvey, wracając do wzmianki Boxersa.

— Z prywatnych — odparł Jonathan. Chociaż Harvey był częścią zespołu, to o systemie SkyEye nie musiał wiedzieć.

Niecałą minutę później Jonathan wskazał przed siebie i nieco na prawo, gdzie zauważył pierwszego wartownika.

— Widzisz tamtego faceta między drzewami?

Harvey skinął głową.

— Widzę. Co zamierzasz zrobić?

Jonathan zmienił ułożenie M4 na kolanach, tak żeby w razie potrzeby mógł strzelać lewą ręką.

— Jedź dalej. Jeśli podniesie broń, zdejmę go.

— Myślałem, że ci ludzie to nasi sprzymierzeńcy.

— Za godzinę może będą sprzymierzeńcami, ale na razie to uzbrowieni obcy.

— Jest drugi tam po lewej — zauważył Harvey. Wskazał palcem tak dyskretnie, że nikt nie mógł tego zauważyć.

Jonathan docenił jego ostrożność.

— Widzę go.

— W ilu kierunkach naraz potrafisz strzelać?

— Jak silną mam motywację? — zażartował Jonathan. — Zdziwiłbyś się. Jedź dalej. Nie przyspieszaj ani nie zwalnij. Nikt w nas nie celuje, więc chyba dotarła do nich wiadomość.

— Nie masz pojęcia, jak mało mnie to uspokaja.

Jonathan uświadomił sobie, że błędem było zamknięcie okien. Strzelanie przez szybę było w najlepszym razie niecelne. A brak celności można było nadrobić tylko liczbą wystrzelonych pocisków.

Przygotowując się na taką ewentualność, pogładził palcem przełącznik rodzaju ognia w swoim M4, upewniając się, że jest ustawiony na trzystrzałowe serie. Dopóki żył i miał palec na spuście, nie było takiego celu na tym świecie, którego nie trafiłby sześcioma pociskami.

Dziesięć sekund później minęli wartowników i zbliżali się do polany, na której znajdowało się ich obozowisko. Łącznie z wartownikami, których widział teraz w lusterku wstecznym biegnących za samochodem, Jonathan naliczył siedmiu żołnierzy. Wszyscy mieli maskujące mundury i byli uzbrojeni w karabiny. Na lewo od środka górował nad pozostałymi Boxers, a obok niego stał zupełnie niezmienny Jose Calderon.

— Jezu, trudno sobie wyobrazić, jaki on jest wielki, dopóki nie stanie koło innych ludzi, co? — zachwycił się Harvey. — Wygląda jak stwór Frankensteina.

Jonathan wskazał przypadkowe miejsce tuż przed przednim zde-rzakiem.

— Zatrzymaj się gdzieś tutaj — powiedział. — A gdzie pan Smith? — Jonathan fanatycznie przestrzegał, żeby w trakcie operacji nie używać prawdziwych nazwisk, nawet jeśli nikt nie słuchał.

— Tak?

— Zamierzam udzielić ci teraz prawdziwej lekcji życia. Jeśli ją zapamiętasz, być może dłużej pożyjesz. Olbrzym nie znosi, kiedy ludzie przezywają go od stworów Frankensteina i tym podobnych. Nie lubi ksywki Lurch, Paul Bunyan też mu się nie spodoba. Szczególnie mówiąc, nie jest zachwycony nawet Olbrzymem, ale tu ustąpił, bo to jego oficjalny pseudonim. W ogóle nie lubi żartów.

— Jest takim trochę socjopatą, co?

Spojrzenie Jonathana pociemniało.

— Ten człowiek niejedną raz ocalił mi tyłek, więc zaczynasz mnie wkurzać.

Harvey otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Jonathan nie był zainteresowany. Pociągnął za klamkę i wyszedł wprost w parną dżunglę. Nim zatrzaskał za sobą drzwi, już się do niego zbliżał z otwartymi ramionami Josie Imprezowicz. I znów te uściski.

— Señor Jones, to już tyle lat.

Jonathan wyciągnął przed siebie rękę, żeby go powstrzymać. Kiedy mu się to udało, sygnał do zatrzymania zamienił się w uścisk dłoni.

— Jak się masz, Josie?

W pierwszej chwili Jose sprawiał wrażenie zmieszanego, ale po chwili uśmiechnął się szeroko.

— Zapomniałem, że nie lubisz, jak się ciebie dotyka — powiedział.

— Nie mam nic przeciwko dotykaniu — odparł Jonathan. — Nie lubię tylko potem sprawdzać, czy mój portfel znajduje się na swoim miejscu.

Jose położył dłoń na piersi, pokazując, jak bardzo jest zraniony.

— To tak się wita starych przyjaciół?

— To nie ma nic do rzeczy. Ilu ludzi wie, że tu jestem?

Rana Josego zaczęła bardziej krwawić.

— Nikomu nie mówiłem, señor Jones.

Wyczuwając kłopoty i bez wątpienia ciesząc się, że będzie mógł je rozwiązać, Boxers podszedł bliżej. Za jego plecami z range rovera wysiadał właśnie Harvey. Żołnierze Josego też wyczuli napięcie i kilku z nich zdjęło z ramion karabiny.

— Nie bądź idiotą, Josie — warknął Jonathan. — Jak myślisz, gdzie zdobyłem range rovera?

Uśmiech na twarzy Josego przybladł, ale po chwili powrócił w pełnym blasku.

— A tak, Felipe wie, oczywiście.

— Oczywiście. — Przyjrzał się twarzom zbliżających się powoli mężczyzn. — Powiedz swoim ludziom, żeby się zatrzymali — rozkazał.

Jose odezwał się do nich po hiszpańsku, a kiedy mężczyźni zawahali się, powtórzył rozkaz jeszcze raz, ale dobitniej. Żołnierze rozluźnili się nieco, ale nie do końca.

— Widzisz to, szefie? — odezwał się Boxers.

Jonathan obrócił się lekko, żeby móc lepiej obserwować tłum, i kontynuował pogawędkę z Josiem.

— Panie Smith! — zawołał, nie oglądając się.

— Tak? — odezwał się Harvey.

— Weź swoją broń.

Przez twarz Josiego przemknął cień niepokoju.



— Co ty robisz, przyjacielu?

Jonathan zerknął w bok i z satysfakcją stwierdził, że Harvey wyciąga z samochodu broń.

— Wygląda na to, że spodziewasz się z mojej strony przemocy — powiedział Jose. — Przecież jestem twoim przyjacielem.

— Powiedz mi, skąd Felipe tyle wie.

Jose zaszurał nogami i zmusił się do uśmiechu.

— Felipe wie wszystko, prawda?

Boxers zdawał się rosnąć, a Jose wprost przeciwnie, coraz bardziej się kurczył.

— Kto jeszcze wie? — nie ustępował Jonathan.

Mały człowieczek wyciągnął przed siebie rękę, jakby zamierzał składać przysięgę.

— Na grób mojej matki, nikomu nic nie mówiłem.

— Uważaj, Skorpion — warknął Boxers. — Węże się nie rodzą, tylko wykluwają.

Jose odwrócił się w jego stronę i zadarł głowę, żeby spojrzeć Boxersowi w oczy.

— Nie lubię cię — wyznał. — Przez cały dzień być dla ciebie miły, a ty opowiadać takie rzeczy. — Teraz z kolei zwrócił się do Jonathana: — A potem ty przychodzisz i traktujesz mnie jak zdrajcę. Nigdy cię nie zdradziłem, panie Jones. Ani razu, nawet kiedy walczyliśmy z Pablem. Gdybym cię zdradził, byłbym bogaty, ale nie zrobiłem tego.

— Gdybyś nas zdradził, byłbyś martwy — poprawił go Boxers.

— Wtedy wszyscy myśleliśmy, że już jesteśmy martwi — odparł Jose. — czułbym się bezpieczniej, gdybym powiedział ludziom o tobie, ale nie zrobiłem tego.

Jonathan poczuł, jak napięcie z niego ustępuje. Jose Imprezowicz miał rację. W czasie wojny narkotykowej były takie chwile, kiedy bezpiecznie mogli czuć się tylko ci, którzy łamali prawo. Tacy ludzie jak Jose w zamian za zdradę przechodzili na emeryturę.

— Zawsze byłeś moim przyjacielem — stwierdził Jonathan. — Ale minęło dużo czasu i wszystko się pozmieniało. Jeśli przestałeś być wobec mnie lojalny, masz teraz jedyną okazję, żeby mi to powiedzieć. Mów, co powiedziałeś innym, a ja obiecuję, że pozwolę wam odejść i nie będę was szukał.

W oczach Josego zaszła jakaś zmiana. Może to krótki przebłysk paniki. Boxers też to dostrzegł. Mocniej ścisnął karabin i położył palec na spuście.

— O cholera — zaklął.

Harvey czuł napięcie panujące między Jonathanem a jego starym znajomym, ale nie dostrzegł w ich zachowaniu nic groźnego. Polecenie sięgnięcia po broń zaskoczyło go, ale nawet wtedy nie czuł potrzeby, żeby się spieszyć. Wyjął MP5, ale uznając, że jest to gest bardziej symboliczny niż prawdziwe przygotowanie do walki, nie rozłożył nawet teleskopowej kolby. Stał tam, patrzył i usiłował słu-chać, a broń zwisała mu w ręce niczym przerośnięty pistolet.

W tej samej chwili jeden z najemników po lewej uniósł swój M16 i wycelował.

— O cholera — zaklął Boxers i dżungla eksplodowała hukiem karabinowych strzałów.

Harvey padł na ziemię, a kiedy się przekręcił i uniósł karabin, zajmując pozycję strzelecką, było już po wszystkim. Żaden z najemników już nie stał. Większość wyglądała na martwych, a jeden, leżący najbliżej, związał się z bólu. Z jego rany tryskała strumieniem krew.

Harvey uniósł głowę w stronę miejsca, gdzie ostatnio widział Jonathana i Boxersa. Obaj klęczeli. Lufy ich karabinów dymiły, wciąż skierowane w cel. W ciągu pięciu sekund powalili na ziemię siedmiu mężczyzn. Harvey nigdy czegoś takiego nie widział.

— Wszystko w porządku, panie Smith?

Harvey rozdziawił usta. Słuch miał przytępiony, jakby zatkał sobie uszy watą.

— Jasna cholera, tak.

Jonathan nie opuszczał broni, a tymczasem Boxers wstał i z bronią gotową do strzału podszedł do leżących ciał.

— Jeśli nie masz nic lepszego do roboty, to może podasz mi rękę? — odezwał się.

— J-ja? — zająknął się Harvey.

— T-tak, t-ty — przedrzeźniał go Boxers. — Zabierz ich broń. Harvey poderwał się na równe nogi.

— Przecież oni nie żyją. Jezu! — Gdy wstał, zobaczył, jak zginęli — każdy otrzymał strzał w głowę.

— Rozbrojony i martwy jest lepszy od zwyczajnie martwego.

— Nie, Olbrzymie, potrzebuję go tutaj — powiedział Jonathan. — Klęczał przy Josie Imprezowiczu i przyciskał zakrwawione dłonie do jego brzucha. — Znajdź apteczkę i przynieś.

Apteczka leżała na stosie sprzętu leżącym obok jednego z chevroletów Josego.

Harvey zdał sobie sprawę, że jest źle, kiedy spojrzał na bladą twarz Josego. Umiejscowienie rany w górnym lewym kwadracie brzucha i obfite krwawienie świadczyły o trafieniu w śledzionę.

— Tu potrzebny jest chirurg — powiedział Harvey.

Jonathan spojrzał na niego znacząco. Josie nie pożyje już długo.

— Rób, co możesz.

Harvey poczuł, jak ściska go w środku strach. Od wielu lat nie widział rany postrzałowej, a w czasach, kiedy je widywał, wystarczyło przez radio wezwać śmigłowiec. Nie był obdarzony magiczną mocą. Ten człowiek umierał, a on miał go opatrzeć.

— O co tu chodzi? — zapytał Harvey. — Co się stało?

— Opatrz rany, doktorze — upomniał go Jonathan. — Reszty dowiemy się później.

Jonathan pomógł Harveyowi zdjąć koszulę Josiego. Ranił go jego własny człowiek, przypadkowo, jak przypuszczał Jonathan, choć z najemnikami różnie bywało. Człowiek, który ich zdradził, miał kłatkę piersiową i brzuch zniekształcony przez blizny po odniesionych ranach, podobnie jak Jonathan. Ta najnowsza rana była idealnie okrągłym otworem o średnicy ołówka. Rana wylotowa na plecach była poszarpana i miała trzy razy większą średnicę.

Kiedy Harvey wyjmował z apteczki pakiet HemCon, Jonathan zwrócił się do Josiego:

— Powiedz mi, co zrobiłeś, Josie.

— Mocno oberwałem?

— Tak — odparł. — Mocno. — Bez względu na wszystko Jonathan był mu winien prawdę.

— Rana jest śmiertelna?

— Prawdopodobnie.

— Jezu — jęknął Harvey. — Gdzie cię uczyli takiego podejścia do pacjenta?

Jonathan nie zwracał na niego uwagi.

— Muszę znać szczegóły, Josie. Nie chcesz chyba umierać jako zdrajca.

— To będzie bolało — ostrzegł Harvey. Naciągnął lateksowe rękawiczki i przygotował się do wsunięcia w głąb rany tamponów HemCon. Przypominające wyglądem zwykłą gazę tampony HemCon nasączone były środkiem koagulującym, który skutecznie powstrzymywał krwawienie do czasu dostarczenia pacjenta do szpitala.

— Zaczekaj chwilę — odezwał się Jonathan.

— Nie. — Harvey potrząsnął głową.

Nie istniał prosty sposób na wciśnięcie materiału do otworu wydrążonego przez pocisk. Josie wył jak zwierzę, kiedy Harvey zatkał najpierw ranę wlotową, a potem wylotową. Jonathanowi w tym czasie żołądek podchodził do gardła.

Kiedy było po wszystkim, Josie leżał mokry od potu i ciężko łąpał powietrze. O mało nie odgryzł sobie dolnej wargi.

— *Dios mio* — jęczał.

Jonathan pogładził go po włosach.

— Już po wszystkim. To spowolni krwawienie.

— To może będę żył?

Harvey rzucił mu krótkie spojrzenie.

— Może — rzekł Jonathan. — Ale teraz musisz mi powiedzieć, co zrobiłeś. Potem dostaniesz zastrzyk przeciwbólowy.

Josie spojrzał Jonathanowi w oczy. W jego spojrzeniu krył się strach i wstyd.

— Przyszedł do mnie pewien człowiek. Wiedział, że w przeszłości współpracowaliśmy. Miał twoje zdjęcia. Całej waszej trójki.

Jonathan poczuł, że zaczyna mu łomotać serce. Przecież nikt nie miał pojęcia o ich przyjeździe.

— Kim był ten człowiek?

— Nie znam go.

— Ale znasz jego nazwisko — rzekł Jonathan z niezadowoleniem. — Ja też je znam, ale chcę, żebyś to ty je wymienił. Proszę, nie okłamuj mnie. Nie teraz.

Z kącików oczu mężczyzny popłynęły łzy.

— Nie wiem, jak mnie znalazł — tłumaczył. — Podszedł do mnie na ulicy, pokazał zdjęcie mojej rodziny i powiedział, że jeśli zobaczę któregoś z was — pokazał mi wasze zdjęcia — mam do niego zadzwonić.

— I co miałeś mu powiedzieć?

— Zapewne, że was widziałem.

Podszedł do nich Boxers. Stał wyprostowany. Jego cień zasłaniał oczy Josego przed słońcem.

— Groził mojej rodzinie — wyjaśnił Jose.

Jonathan teraz rozumiał.

— Czego chciał?

Resztki oporów znikły. Jonathan czuł gryzące Josego wyrzuty sumienia. Widział szczerą skruchę.

— Wiedział, że zbieram ludzi. Domyślił się, że to dla was. — Próbował się po przyjacielsku uśmiechnąć. — Nie kłamię, tak jak kiedyś. Chciał, żebym was zabił.

Jonathan roześmiał się z goryczą.

— Z pomocą ludzi, których dla mnie wynajależ?

Josie zamknął oczy, walcząc z kolejną falą bólu.

— Zrobiłbym to z bólem serca — powiedział. — Ale miał zdjęcia mojej rodziny. Zabiłby ich.

— A dlaczego uważasz, że my tego nie zrobimy? — zapytał Boxers.

Jonathanowi nie spodobało się to pytanie, nie spodobał mu się ton i nie spodobały mu się wnioski. Nie dał jednak tego po sobie poznać.

Jose uśmiechnął się.

— Przyjechaliście tu, żeby uwolnić dzieciaka. Ludzie, którzy ratują dzieci, nie zabijają ich.

Bingo, pomyślał Jonathan. Faktycznie, list pochwalny uzasadniający przyznanie Srebrnej Gwiazdy wisiał w sztabie oddziału w Fort Bragg, wspominano w nim o bohaterstwie Boxersa broniącego dzieci.

Jonathan wyciągnął szyję, żeby spojrzeć na zwalistą sylwetkę Olbrzyma.

— Połącz się z Kwoką, niech sprawdzi z góry, czy jesteśmy tu sami.

Boxers cofnął się kilka kroków i uruchomił radio. Jonathan ściszył swoje.

— Muszę wiedzieć wszystko, Jose. Znać każdy szczegół. Zaczniemy od jego nazwiska.

Josie skrzywił się oślepiiony słońcem.

— Wiedziałem, kim jest, od pierwszej chwili, gdy go zobaczyłem. Nazywają go *El Matador*. Ludzie w górach bardzo się go boją, a policja pozwala mu robić, co chce. On zabija ludzi, panie Jones. Nazywa się Ponder. A na imię ma Michael. Tak mi się wydaje. Nie, imię jest inne, tylko podobne do Michaela. Sam nie wiem.

Jonathan nie wiedział, co powiedzieć. Ledwie misja się zaczęła, a plan już diabli wzięli.

— Zrobiłem to, żeby ratować swoją rodzinę — powtórzył Josie. Przez jego ciało przetoczyła się kolejna fala bólu. Naprężył się. — Nigdy nie zamierzałem cię zdradzać. Przysięgam.

Powrócił cię Boxersa.

— Jesteśmy sami — zameldował.

— Dobrze wiedzieć. — Jonathan odetchnął z ulgą i zwrócił się ponownie do Josego: — Spróbowałaś przynajmniej odszukać tego chłopca?

— Si. Znalazłem go.

Jonathan rzucił spojrzenie Boxersowi i Olbrzym poszedł do jednego ze zdezelowanych chevroletów blazer, których Jose używał do transportu. Wrócił z laminowaną mapą pokrytą zapiskami wykonanymi ołówkiem. Jonathan rozłożył mapę i podsunął Josemu pod nos.

— Pokaż.

Jose przez chwilę studiował ją, usiłując się w niej rozeznać.

— Jesteśmy dokładnie tutaj — powiedział, pozostawiając na mapie krwawą kropkę. Następnie wskazał kolejne miejsce. — Tu jest chłopak. Nie da się tam dojechać ani dolecieć. Musicie iść pieszo.

— Skąd wiesz, że to właśnie jest to miejsce?

— Chłopiec, którego szukacie, ma bardzo jasne włosy, prawda?

— Zgadza się.

Josie wskazał jeszcze jeden punkt na mapie.

— Wszyscy wiedzą, że w tym miejscu jest stałe obozowisko Pondera. To jest — jak wy to mówicie? — etap.

— Punkt etapowy — poprawił go Jonathan. — Czemu służy?

— Gromadzą tam żywność i materiały, które potem dostarczają do położonych w górach plantacji.

— Ile tam jest tych plantacji?

Jose wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Nikt nie wie. Dużo. Ale jednego z pracujących tam ludzi łatwo przekupić. Powiedział mi, że dwa dni temu przyprawiono do punktu etapowego jasnowłosego chłopca. On — jak wy to mówicie? — spał, ale nie normalnym snem.

— Był nieprzytomny — odpowiedział mu Jonathan.

— Tak. Właśnie tak. Kiedy się obudził, wsadzili go do samochodu i pojechali w głąb dżungli.

— Do jednej z plantacji.

— *Exactamente*. Do tej. — Ponownie wskazał miejsce, gdzie jego zdaniem znajdował się chłopak.

— Skąd wiesz, że właśnie do tej?

— Znów dzięki jasnym włosom. Wieść o takich rzeczach szybko rozchodzi się pomiędzy indiańskimi wioskami. Ta tutaj — miejsce, które wskazał tym razem, nie miało żadnego oznaczenia na mapie — została przez ludzi Pondera potraktowana szczególnie paskudnie. Wiele gwałtów i zabójstw. W wiosce nie pozostał żaden mężczyzna. Nie ma nawet chłopców starszych niż *ocho anos*. Wszystkich zabili albo zabrali do pracy na plantacjach. Praca niewolnicza. Kiedy pojawił się chłopiec podobny do waszego, zostało to zauważone. Był tam wczoraj. W pobliżu znajduje się tylko jedna plantacja. Tam znajdziecie waszego blondyna. — Jose uśmiechnął się blado, najwyraźniej dumny z siebie.

Nagle uśmiech znikł z jego twarzy.

— Kiedy Ponder odkryje, że żyjecie, zabije moją żonę i dzieci.

— Przykro mi. — Jonathan westchnął.

— Okłam go — zaproponował Harvey. — Zadzwoń i powiedz, że nas zabiłeś. Zyskamy na czasie.

— Gdyby to było takie proste. — Jose zamknął oczy. — Miałem mu dostarczyć wasze głowy.

Dziesięć minut później byli gotowi do drogi. Jonathan i Boxers zajęli się załadunkiem dwóch samochodów, a Harvey przygotował do drogi Josego. Jak najdelikatniej przeciągnął go w ocienione

miejsce i oparł o dwa plecaki, których dotychczasowi właściciele już nie potrzebowali.

— Wygodnie ci? — zapytał.

Josie sprawiał wrażenie przerażonego. Zgodnie z obietnicą Harvey dał mu zastrzyk przeciwbólowy, ale to nie zmniejszyło strachu przed umieraniem.

— Proszę, zabierzcie mnie z sobą — błagał. — Nie pozwólcie mi tu umrzeć.

— Szef powiedział „nie”. — Harvey unikał wzroku Josego.

— Proszę. Może uda ci się go przekonać. Wyglądasz na sympatycznego młodzieńca.

— Cóż, pozory mogą mylić.

— Proszę.

Harvey czuł ucisk w żołądku.

— Nie mogę — odpowiedział, wstając.

— W takim razie zabij mnie. Daj mi jeszcze jeden zastrzyk. Daj mi pięć zastrzyków. Pozwól mi zasnąć i...

Do Harveya podszedł Jonathan.

— Nie jesteśmy mordercami, Jose. On cię nie uśpi. I zanim zapytasz, ja cię nie zastrzelę. My tak nie postępujemy. — Położył dłoń na ramieniu Harveya. — Pakuj się do samochodu. Pojedziemy range roverem.

Jose próbował się lekko unieść, ale ciało odmawiało posłuszeństwa.

— Panie Jones. Te wszystkie lata...

— To przeszłość. Przykro mi. Szkoda, że zrobiłeś, co zrobiłeś.

— Ale moja rodzina.

— Przypuszczam, że oni i tak zginą.

— Mógłbyś im pomóc.

Jonathan nie zamierzał dać się złapać na ten haczyk. Ale przecież ten człowiek umierał. Potrzebny mu był choćby cień nadziei. Za jego plecami rozległ się odgłos uruchamianego silnika blazera.

— Żegnaj, Josie.

Jose nabrał głęboko powietrza w płuca i zebrał całą energię.

— Nie chcę tu umierać! — wykrzyknął.

Jonathan odwrócił się do dawnego znajomego plecami i odszedł.



## Rozdział 32

Kiedy dźwięk nadlatującego śmigłowca stał się głośniejszy, Navarro zdjął ze stojaka karabin AR-10 i rzucił go w stronę Gail.

— Umie pani strzelać? — zapytał.

Gail skryła urazę. Nie mógł znać jej przeszłości.

— Całkiem dobrze — odparła.

— Mam nadzieję — mruknął. — Proszę to wziąć.

Gail chwyciła karabin. Poznała go od razu — monstrum kalibru 7,62 mm, którym można wszystko przedziurawić.

— Czy my trochę nie przesadzamy?

— Przesadą byłoby strzelanie do śmigłowca stacji telewizyjnej — zażartował Navarro, sięgając ponownie do stojaka. — Odpieranie szturm z powietrza jest całkowicie uzasadnione. — Złapał M14 rocznik 1950 — pierwowzór karabinu Gail, uważany przez większość ludzi za jeden z najlepszych rodzajów broni, jaką kiedykolwiek produkowano.

— Potrzebuję amunicji — odezwała się Gail.

Navarro był szybszy. Wręczył jej dwa pełne magazynki. Wraz z tym, który już miała zamontowany, dysponowała sześćdziesięcioma pociskami i dodatkowo piętnastoma w swoim glocku. Jeśli dodać do tego kolejne sześćdziesiąt Navarra, szykowała się prawdziwa wojna.

— Tu nie ma żadnego ruchu lotniczego — wyjaśnił Navarro. — Nie pojawiają się też żadni goście. Jeśli wszystko to zdarza się jednego dnia, to znaczy, że dzisiaj ktoś zginie. Nie chcę, żeby to mnie spotkało. — Ruszył w kierunku tylnego wyjścia.

- Dokąd idziemy?
- Na zewnątrz.
- Ale dokąd?

Navarro nie odpowiedział, a Gail uznała, że dowie się, jeśli pójdzie za nim.

Navarro poruszał się z zadziwiającą zwinnością. Przystanął tylko na chwilę, żeby otworzyć trzy zamki w drzwiach. Odgłos łopata wirnika tnących powietrze przybierał na sile. Gail odbierała to jak głuchy łomot w piersiach.

— Bez wątpienia leci tutaj — powiedział Navarro chyba do siebie, ale na tyle głośno, że usłyszała też Gail. Navarro najwyraźniej miał jakiś plan. I cóż w tym dziwnego? Miał dosyć czasu, żeby przygotować się na każdą ewentualność.

Przekroczywszy próg tylnego wyjścia, Navarro skierował swoje kroki w stronę oddalonej o jakieś dwadzieścia jardów linii drzew. Jeżeli rzeczywiście zaprojektował swój dom jako rodzaj twierdzy, to bez wątpienia planował raczej obronę niż atak. Szerokie pole ostrzału sprawdzało się doskonale podczas odpierania atakujących, ale nie pozwalało przedrzeć się w niewidoczny sposób. Wystarczy o to zapytać jakiegokolwiek projektanta więziennych podwórek.

Odgłos pracującego silnika nasilił się, kiedy byli w połowie drogi dzielącej ich od lasu. Navarro przyspieszył, żeby ukryć się, nim zostaną dostrzeżeni. Gail biegła za nim krok w krok, zaciskając prawą rękę na uchwycie AR-10, a w lewej trzymając zapasowe magazynki.

Kiedy pozostało im jeszcze kilka jardów, mogłaby przysiąc, że maszyna jest już nad ich głowami. Na potwierdzenie swoich najgorszych obaw usłyszała głos boga:

- Agenci federalni. Stój w miejscu!

Przez krótką chwilę — nie dłuższą niż uderzenie serca — Gail zamierzała się podporządkować poleceniu. Nawet Navarro zwolnił w pół kroku. Ale to nie byłoby właściwe. Nie była jeszcze pewna dla czego, ale jeśli to miała być akcja federalnej agencji, coś tu nie grało.

- Biegnij! — zawołała. — No, dalej!

Navarro w jednej chwili przyspieszył.

Nie ma sposobu, żeby dokładnie śledzić upływ czasu w stresującej sytuacji, ale w ciągu tych sekund, dzielących ich od schronienia

pomiędzy drzewami, na karku Gail zdążyły się zjeżyć włosy. Kierując się wyłącznie instynktem, skręciła gwałtownie w prawo, a po chwili w lewo, uniemożliwiając ewentualnemu snajperowi oddanie celnego strzału.

Pierwszy strzał padł, kiedy dobiegli do drzew. Pocisk przeleciał pomiędzy nimi i wbił się w pień sosny.

Navarro rzucił się na ziemię, a Gail przebiegła jeszcze trzy kroki, nim uświadomiła sobie, co zrobił.

— Bruce! — zawołała. Nie weszli jeszcze na tyle głęboko w las, żeby zapewnić im odpowiednią osłonę. Dwa kolejne pociski uderzyły stanowczo za blisko niego. Snajper mierzył coraz celniej.

— Leż! — krzyknęła Gail. Przyklękła za drzewem i złożyła się do strzału. Starła się pozostać niewidoczna, kiedy przeczesywała horyzont w poszukiwaniu celu. Dudniący odgłos wirnika nie osłabł ani trochę, ale teraz jakby dobiegał z innego kierunku. Nie miała pojęcia, gdzie znajdują się strzelcy, ale skoro ona ich nie widziała, to oni też jej nie widzieli.

— Bruce, wstawaj. Poszukaj sobie schronienia.

Navarro zareagował błyskawicznie, po raz kolejny zaskakując ją swoją zręcznością. Przykucnął, a potem nie tyle dobiegł, ile doskoczył do drugiego drzewa.

— Co oni robią?

Warkot silnika wyrównał się, jakby śmigłowiec zawisł nieruchomo w powietrzu nad ich głowami. Dokładnie nad ich głowami.

— O, psiakrew! — stęknęła Gail. — Ruszaj, Bruce! — wrzasnęła. — Musimy biec. Za mną!

— Co? — Teraz przyszła jego kolej na zadawanie nieistotnych pytań.

Ruszyła biegiem między drzewami, ale równoległe do skraju polany, w kierunku, jakiego jej zdaniem napastnicy się nie spodziewali.

W ciągu dziesięciu sekund pomiędzy koron drzew zaczęły spadać na ziemię granaty. Wybuchy nie były tak głośne, jak się spodziewała — przypominały odgłos rozrywających się granatów ogłuszających, jakich używała w czasie służby w HRT — ale za to siła rażenia była ogromna. Krzewy i mniejsze drzewa padały jak ścięte, a grube konary traciły wszystkie liście. Była pewna, że słyszała trzy

eksplozje, ale potem nastąpiła prawdziwa kakofonia dźwięków, a ich niedawna kryjówka zmieniła się w wielki, pusty krater. Nie przejęła się dwoma ukąszeniami w prawą łydkę. Wiedziała, że to nie szerszenie, tylko odłamki granatu.

Przystanęła za kolejnym drzewem, największym w okolicy. Po chwili dołączył do niej Navarro.

— Bomby?! — zawołał histerycznie. Zniknęły gdzieś jego stalowe nerwy, a to, co je zastąpiło, wcale nie wyglądało sympatycznie.

— Ręczne granaty — odparła. — Spodziewałam się, że zaczną coś zrzucać z góry, skoro snajper nie mógł nas wziąć na cel. A kiedy śmigłowiec zawisł nieruchomo, byłam już pewna. Nic panu nie jest?

— Rzucali we mnie granatami!

— Jest pan ranny?

Navarro potrząsnął głową. Ale kiedy jego wzrok spoczął na nogach Gail, zaniepokoił się.

— Pani krwawi — stwierdził.

— Wiem, trochę boli — odparła. — Ale da się wytrzymać. — Teraz, kiedy się zatrzymali, czuła wyraźnie, jak strużki krwi płyną je po łydce. W innych okolicznościach pomyślałaby, że to pot.

— Na pewno wszystko w porządku?

— Rzucali we mnie granatami! — Gail spróbowała naśladować jego pełen niedowierzania ton głosu i udało jej się wywołać na jego twarzy uśmiech. — Chyba nic mi nie jest.

Wolała nie patrzeć na swoją nogę. Uznała, że póki ból jest do zniesienia, a krew sączy się, a nie tryska, to rana nie jest poważna. Oglądanie łydki czy znalezienie poważniejszej rany ani nie pomogłoby w niczym, ani niczego nie zmieniło. Kości były nienaruszone, a ona wciąż żyła.

Śmigłowiec znów zaczął krążyć nad wolną przestrzenią pomiędzy domem a lasem. Był to stary bell jet ranger, często spotykany w policji w latach dziewięćdziesiątych. Nie miał żadnych znaków identyfikacyjnych, a więc należał do prywatnej osoby. Maszyna obróciła się lewą burtą do drzew z nosem skierowanym wprost w Gail i Navarro.

Gail przez szybę wyraźnie widziała pilotów — na tyle wyraźnie, że trudno było jej uwierzyć, iż oni ich jeszcze nie dostrzegli. I wtedy

zrozumiała. Przyglądali się dokonanym przez siebie zniszczeniom. Navarro uniósł karabin.

— Zestrzelmy ich.

— Nie! — warknęła Gail. Intensywnie myślała. Szukała najodpowiedniejszego rozwiązania. W tej chwili mieli przewagę. Maszyna była bezbronna. Gdyby otworzyli ogień, mogli ją strącić i zneutralizować niebezpieczeństwo. Tyle że nie mieli powodu, by tak uczynić. Nie groziło im żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo, a każdy funkcjonariusz sił porządkowych wiedział, że kiedy nie ma zagrożenia, nie wolno używać broni. Strzał to ostateczność. Takie zasady obowiązywały w uporządkowanym, cywilizowanym społeczeństwie. Zawsze było inne wyjście. Zawsze było lepsze rozwiązanie niż zabicie.

W bocznych drzwiach jet rangera pojawił się człowiek z karabinem. Uniósł broń i otworzył ogień, zasypując tłące się zgłiszcza ich niedawnej kryjówki gradem pocisków.

*Pieprzyć to.*

Gail uniosła broń.

— Niech pan celuje w pilotów — rozkazała. — Ja biorę strzelca. — Nie czekając na odpowiedź, oparła karabin o pień drzewa i przymierzyła się do strzału z pięćdziesięciu metrów.

Dwukrotnie upewniła się, że przełącznik jest ustawiony na strzał pojedynczy, wzięła poprawkę na odchylenie strug powietrza wywołane wirnikiem helikoptera, pociągnęła za spust i...

Navarro strzelał w trybie automatycznym, w niecałe dwie sekundy opróżniając magazynek z dwudziestu pocisków. Dwudziestu pocisków, które podziurawiły niebo, nie trafiając w cel. Jezu! Jak to w ogóle możliwe?

Pocisk Gail zniósło nieco w górę i na prawo. Roztrzaskał tylko niegroźnie szybę bocznych drzwi.

Pilot zareagował błyskawicznie, dodając mocy i zmieniając kąt nachylenia. Nos zapikował ostro — niebezpiecznie, pomyślała Gail — a łopaty zaczęły wściekle mielić powietrze. Maszyna uniosła się ze zdumiewającą prędkością. Uderzona strugą powietrza Gail próbowała jeszcze wycelować w kokpit, ale okazała się nie dość szybka. Wystrzeliła w kierunku maszyny trzy pociski, ale na próżno. Była przekonana, że trafiła w śmigłowiec, ale musiałaby mieć dużo szczęścia, żeby go uszkodzić. Helikopter leciał teraz zakosami, pilot

zastosował taktykę, która nawet tak wolno poruszający się cel czyniła trudnym do zestrzelenia z ziemi. Zastanawiała się, czy nie spróbować kolejnego strzału, ale w końcu zrezygnowała. Szanse skutecznego trafienia zmalały do zera.

Na prawo od niej Navarro skończył zmieniać magazynek i przewiesił karabin przez ramię.

Gail opuściła lufę.

— Co to miało być?! — wrzasnęła. — Jak można z tak bliska nie trafić takiego wielkiego celu?

Twarz Navarra przybrała nienaturalnie czerwoną barwę, kiedy odpowiedział krzykiem:

— Byłem trochę zestresowany, okay?! Nigdy wcześniej nie próbowałem niczego zestrzelić. A co z panią, pani ekspert od siedmiu boleści? Wcale nie poszło pani lepiej. A teraz proponuję stąd wiać.

— Dokąd?

— Donikąd. Pani ma swój wóz, ja mam swój. Po prostu wsiadamy i jedziemy.

— Nie wtedy, kiedy oni są w powietrzu. — Gail z miejsca odrzuciła ten pomysł. — Naszą jedyną przewagą jest mobilność. Samochód jest uzależniony od dróg, a drogi to coś przewidywalnego. To jest ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy.

— Co w takim razie robimy?

— Czekamy na to, co oni zrobią, a potem zareagujemy.

Weszła głębiej w las i skręciła w lewo, tam gdzie znajdowała się ich pierwsza kryjówka. W HRT nauczyli ją, że ludzie najczęściej uciekają w jednym kierunku i rzadko wracają do miejsca, skąd przyszli.

— Dlaczego wracamy? — zapytał Navarro.

— Bo tak — odparła. Czasami najprostsza odpowiedź jest najlepsza.

Zatrzymali się oboje i z niedowierzaniem wpatrywali w miejsce, gdzie granaty spowodowały kompletne spustoszenie. Ze zrytej odłamkami ziemi wystawały korzenie drzew. Na pniach widać było setki białych nacięć. Widząc ogrom zniszczeń, Gail poczuła silniejszy ból w nodze. Piekące klucie ustąpiło miejsca tępemu, świdrującemu bólowi. Bez zastanowienia dotknęła dżinsowego materiału, ale szybko cofnęła rękę, kiedy poczuła na opuszkach palców lepka ciecz.

— To jeszcze nie tutaj — powiedziała i lekko szturchnęła Navarra w ramię.

— Dokąd idziemy?

— Będę wiedziała, kiedy zobaczę — skłamała. Właściwa odpowiedź powinna brzmieć: Dokądkolwiek, byle daleko stąd.

Kiedy oddalili się na odpowiednią odległość, ponownie skrzyła w stronę skraju lasu. Z ogromnym wysiłkiem przykłęknęła na lewe kolano i wyrzała ostrożnie zza pnia dębu. W pierwszej chwili wydawało się, że śmigłowiec się nie porusza. Wisiał nieruchomo nad odległym lasem, poza zasięgiem strzału. Czyżby prosili przez radio o instrukcje? A może czekali na wsparcie?

Na myśl o posiłkach zadrżała, ale szybko doszła do wniosku, że to niemożliwe. Gdyby mieli więcej ludzi, zaczekaliby na nich. Cokolwiek zamierzali zrobić, zrobią to teraz sami albo pojawią się kiedy indziej.

— Okay, idę z panią — zadeklarował nie wiadomo à propos czego Navarro. — Niech się przekonam.

Gail prawie zdążyła zapomnieć o jego obecności.

— Naprawdę? Skąd ta zmiana?

Roześmiał się z goryczą.

— Cóż, moja kryjówka wyleciała w powietrze, zgodzi się pani ze mną?

Gail nie odpowiedziała.

— Nikt nie powinien mieć tyle władzy — zagaił Navarro. — Tyle przemocy, żeby zatuszować morderstwo.

Przyznała mu rację skinieniem głowy.

— Jak pani sądzi, znaleźli mnie, śledząc panią? — zapytał.

— Pewnie tak — przyznała. — Nie mam pojęcia, jak to się stało, ale to już teraz nie ma znaczenia.

— Chyba wracają. — Wskazał ręką.

W pierwszej chwili niczego nie zauważyła. Ale faktycznie, śmigłowiec stawał się coraz większy. Trzymał się poza zasięgiem strzału, ale zataczał coraz ciasniejsze kręgi. Najwyraźniej zbliżał się do frontowej części domu.

— Co oni kombinują? — zastanawiała się na głos Gail.

— Może po prostu nas szukają. No wie pani, krążą, żeby sprawdzić, czy się tam nie ukrywamy.

Gail nie była przekonana.

— Nie, oni wiedzą, że wciąż jesteśmy gdzieś w lesie. Gdybyśmy próbowali zbliżyć się do domu, dostrzegliby nas.

— Z takiej odległości?

— W taki pogodny dzień jak dziś można dostrzec każdy szczegół, jeśli kogoś się wypatruje. — Co w takim razie zamierzali robić z przodu budynku? Kiedy w drzwiach pojawił się strzelec, zrozumiała, jaki mają plan.

— O cholera! — zawołała. — Chcą zabrać samochód. I uwięzić nas tutaj.

— Ale ja też mam samochód — zauważył Navarro.

— Niech się pan modli, żeby się o tym nie dowiedzieli.

W głowie Gail zrodził się nowy plan.

— Niech pan mnie posłucha, Bruce. — Mówiła tak szybko, że słowa się zlewały. W oddali zaczął się poruszać jet ranger. — Kiedy dam znak, proszę zrobić to, co wcześniej. Niech pan wyceluje w śmigłowiec i wywali w niego cały magazynek. A potem proszę się zwinąć w kłębek za drzewem i nie wystawiać głowy, dopóki nie ucichnie strzelanina.

— Co... — Navarro był kompletnie zaskoczony.

Strzelec stojący w drzwiach zaczął strzelać z przodu domu.

— Kiedy dam znak — przypomniała Gail i odbiegła dziesięć kroków w prawo. Zatrzymując się raptownie w miejscu, poczuła, jak jej zraniona noga protestuje. Złożyła się do strzału. Z drugiej strony domu unosił się ku niebu słup dymu z unieruchomionego jeepa.

— Teraz! — krzyknęła.

Jej komenda nie zdążyła jeszcze wybrzmieć, kiedy Navarro opróżnił z dwudziestu naboju kolejny magazynek.

Tym razem pilot zamierzał zastawić pułapkę. Śmigłowiec z zawrotną prędkością zniżył się i podleciał sześćdziesiąt jardów bliżej, wystawiając się na cel. Strzelec ze śmigłowca otworzył ogień w stronę kryjówki Navarra.

Gail z kolei otworzyła ogień w kierunku strzelca. Przełącznik miała tym razem ustawiony na automat i wystrzeliła dwie serie po trzy pociski. Pierwsza seria znów trafiła w drzwi, ale tym razem porządnie wystraszyła strzelca, który przykłęknął i wycelował wprost w wylot lufy karabinu Gail. Druga seria dosięgła go, kiedy składał się do strzału. Gail zdążyła tylko zauważyć różową mgiełkę w drzwiach, a widok mężczyzny wypadającego z maszyny i lecącego



ku ziemi zapamiętała jak przez mgłę. Natychmiast obrała nowy cel.

Ze swojego miejsca nie widziała przedniej szyby śmigłowca, ale za to widziała grodz oddzielającą kokpit od części ładunkowej. Doskonale zdawała sobie sprawę, że za grodzią znajduje się fotel pilota. Choć maszyna skierowała swój nos w stronę ziemi i próbowała umknąć, Gail oparła łożę karabinu o pień drzewa i pociągnęła za spust, opróżniając cały magazynek.

Tym razem nie zmarnował się ani jeden pocisk. Czternaście, piętnaście pocisków, czy ile ich tam było w magazynku, rozorało maszynę. Śmigłowiec zawisł nieruchomo, a potem okręcił się wokół osi. Pilot starał się za wszelką cenę ustabilizować lot śmiertelnie ранego ptaka.

Gail odrzuciła pusty magazynek i założyła nowy. Oparła się o drzewo, instynktownie wstrzymała oddech i ponownie otworzyła ogień, celując w grodz. Wystarczyło pięć, sześć pocisków i było po wszystkim. Maszyna zachybotła się i przechyliła na prawą burtę.

Gail rzuciła się na ziemię, przywarła do niej i nakryła ramionami głowę. Tak jakby gołe ciało mogło ochronić ją przed odłamkami rozpadającego się śmigłowca. Ziemia zadrżała od uderzenia, a chwilę później fala gorącego powietrza poprzedziła cichą eksplozję.

Przywarła mocniej do ziemi, kiedy nad jej głową ze świstem przeleciały odłamki, wywołując nawałnicę spadających liści i gałęzi.

Palący żar utrzymywał się w powietrzu jeszcze przez trzy, cztery sekundy, a potem zniknął równie szybko, jak się pojawił. Gail wyobraziła sobie ognistą kulę wzbijającą się w niebo. Kiedy ośmieliła się w końcu unieść głowę, zobaczyła ją naprawdę.

Świat wokół niej stał w ogniu. Zaczęło się od jej samochodu, a teraz śmigłowiec. Ale kiedy maszyna spadała, zahaczyła o dach domu Navarra i teraz płomienie lizały dach, przenosząc się z przeciwnego końca ku temu bliższemu.

Navarro podniósł się z ziemi i stał ze zwieszonym karabinem.

— Jasna cholera — wyrzucił z siebie. Odwrócił się w jej stronę.  
— Dobrze, że kluczyki od samochodu zostawiłem w stacyjce, prawda?

## Rozdział 33

Deszcz zaczął padać dokładnie wtedy, gdy Evan Guinn ze swoją eskortą dotarł do wielkiego obozowiska w dżungli. A kiedy już spadł, to jak lawina. Żadne tam kap, kap, a potem narastające bębnienie. Ta nawałnica to było prawdziwe oberwanie chmury. Ojciec Dom nazywał to mnóstwem deszczu. Ale nawet tak dramatyczny opis nie oddawał istoty tego potopu. Żadna chmura nie mogła zawierać tyle wody. Strugi były tak obfite, że trudno było cokolwiek dostrzec z odległości piętnastu stóp. Ziemia zamieniła się w głęboką po kostki rzekę błota. Evan jeszcze raz dziękował Bogu, że nie ma na nogach butów.

Obozowisko wyglądało z grubsza tak samo jak to, w którym się po raz pierwszy obudził, tyle że było trzy razy większe i znajdowało się tu dziesięć razy więcej ludzi. Wielu z nich było uzbrojonych w karabiny maszynowe, a kilku nosiło mundury wojskowe. Widział tu także więcej chat z wysoko nad ziemią umieszczoną podłogą. Większość chat była pozbawiona ścian. Dachy wykonano z gałęzi, a boki były otwarte na oścież. W oślepiających strugach deszczu trudno było stwierdzić, ile ich jest. Naliczył osiem i uznał, że musi ich być kilka razy więcej.

Kiedy minął pierwszy budynek, eskortujący go żołnierze odłączyli się i zniknęli w deszczu. Evan chciał ruszyć za nimi, ale Oscar chwycił go za kark i poprowadził prosto. W innych okolicznościach mogłoby to wyglądać na żartobliwy gest.

— Jesteśmy prawie na miejscu — odezwał się Oscar.

Im dalej zapuszczali się w głąb obozowiska, tym bardziej rozmiękły był grunt. Aż wreszcie w samym środku błoto sięgało po kostki. Ich wędrówka dobiegła końca u podstawy wielkiej chaty, a właściwie u stóp prowadzących do niej pięciostopniowych schodów.

Z chaty dochodziły odgłosy krzątania i smród benzyny. Dziesięciu na wpół rozebranych ludzi, z czego kilku niewiele starszych od Evana, biegała jak szalona, najwyraźniej starając się szybko coś zakończyć, tyle że Evan nie miał pojęcia, co to mogłoby być.

Oscar trącił go w ramię.

— Na górę! — rozkazał. — Ty pierwszy.

— Gdzie my jesteśmy?

Oscar uśmiechnął się, nie zwracając zupełnie uwagi na wodę lejącą się strumieniem po jego nosie i brodzie.

— To jest twój nowy dom.

Evan starał się niczego po sobie nie okazać. Oslaniając przed deszczem oczy, zadarł głowę, żeby spojrzeć na szczyt schodów i zaczął się po nich wspinać. Nie potrafił tego wyjaśnić, ale im wyżej wchodził, tym mniej śmierdziało benzyną. Bardzo mu to odpowiadało, bo ten zapach przyprawiał go o mdłości.

Kiedy dotarł na szczyt, deszcz przestał padać. Po chwili zdał sobie sprawę, że stoi pod dachem. Chwilę później u jego boku pojawił się Oscar i wyciągając szyję, rozejrzał się wokół. Widać było, że kogoś lub czegoś szuka. Wreszcie jego spojrzenie napotkało wzrok mężczyzny w odległym kącie chaty i pomachał do niego, unosząc wysoko rękę nad głowę.

Evan spojrział w tamtym kierunku i zobaczył, że mężczyzna macha, a potem odwraca się, żeby dokończyć rozmowę. Wyglądał na wściekłego, a chłopiec, z którym rozmawiał — na wystraszonego. Kiedy mężczyzna zaczął swoje pretensje przeplatać wymierzaniem policzków, chłopiec się skulił. W końcu mężczyzna odwrócił się, a chłopiec wrócił do swojej roboty.

Rozzłoszczony mężczyzna długimi, szybkimi krokami podszedł wprost do nich. Zrobił to w tak stanowczy sposób, że Oscar odsunął się o krok od Evana, a Evan też zrobił krok w bok. Evan nie zamierzał pozwolić, by obcy go bił. Tymczasem na ospowatej twarzy mężczyzny pojawił się szeroki uśmiech — bardziej groźny niż serdeczny.

— A więc to jest ten słynny Evan Guinn! — wykrzyknął. — Wyglądasz okropnie. — Zwrócił się do Oscara. — Co wyście z nim, do cholery, robili?

Oscar odpowiedział po hiszpańsku. Evan nie rozumiał słów, ale z gestów wynikało, że opowiada o długiej, ciężkiej wędrówce przez dżunglę. Rozzłoszczony facet chyba jeszcze bardziej się wściekł. Odwrócił się do zbitego ciasno tłumu robotników i coś do nich warknął. Kilka sekund później ktoś przybiegł z jakąś białą kostką w rękę. Mężczyzna wyrwał mu ją i wręczył Evanowi.

— Masz — powiedział. — To jest mydło. Użyj go.

Evan patrzył oniemiały. Rozumiał słowa, ale nie miały one dla niego sensu.

Mężczyzna podszedł krok bliżej i ponownie wcisnął Evanowi mydło do ręki.

— Bierz to i zmyj sobie z twarzy to całe gówno. Włosy też umyj. Bo inaczej obetnę ci je nożyczkami.

— Jak się nazywasz? — zapytał Evan.

Teraz mężczyzna wyglądał na zaskoczonego. Nagle się roześmiał.

— Jak się nazywam? *Dios mio*, czyżbym zapomniał się przedstawić? — Skłonił się głęboko. Evan wiedział, że ten przesadny gest miał go wprowadzić w zakłopotanie w obliczu ludzi. — *Me llamo Antonio*. Ale ty możesz mówić do mnie *jefe*. — Brzmiało to jak „heffe”.

— A teraz, *por favor* mister Evan Guinn, czy byłby pan tak uprzejmy i zmył sobie z twarzy i włosów to gówno?

Antonio miał beznamiętny wzrok, który przerażał Evana. Uznał, że to nie czas na kłótnie.

— Gdzie? — zapytał.

Antonio znów się roześmiał. Wskazał na padający deszcz.

— Witaj w dżungli — powiedział — gdzie nie musisz szukać wanny, bo prysznic sam cię znajdzie.

Czy to były żarty? Miał tak po prostu stanąć na deszczu i szorować się przy wszystkich?

Antonio pochylił się, żeby spojrzeć Evanowi prosto w oczy.

— Mam dla ciebie robotę, panie Guinn, która wymaga, żebyś był czysty. Jeśli chcesz, żebym ja cię wyszorował, użyję drucianej szczotki, a to ci się nie spodoba. — Jego oddech cuchnął czymś,

czego Evan wcześniej nie znał, czymś w rodzaju lekarstwa, choć niezupełnie.

Nie mając wyboru, Evan obrócił się na pięcie. Wyszedł z powrotem na deszcz z kostką mydła w ręku. A co tam, powiedział do siebie. Woda to w końcu woda, prawda? Spodni nie musiał zdejmować. Tak samo postępował pod prysznicem w Resurrection House (no dobrze, tam to były spodniki kąpielowe). Kiedy zaczął myć mydłem — to było Ivory, jego ulubione — klatkę piersiową i twarz, poczuł się od razu lepiej. Następnie wyszorował ręce, ale postanowił zrezygnować z mycia nóg i stóp. Jaki to miało sens, skoro stał w błotnistej kałuży? Na koniec namydlił włosy, odłożył mydło na stopień schodów i czekał, aż deszcz go opłucze.

Gdy skończył, ziemia wokół jego stóp pieniała się na biało, a on czuł się znacznie lepiej. Dopiero wchodząc po schodach, zdał sobie sprawę, ilu ludzi mu się przyglądało i jak bardzo wszyscy byli brudni.

Antonio też musiał to zauważyć, bo warknął szybko jakąś komendę i wszyscy wrócili do pracy.

Kiedy Evan znalazł się znów pod dachem, oddał mydło i stał, ociekając wodą.

— Lepiej? — zapytał.

Sądząc po minie Antonia, nie. Znów coś warknął i pojawił się ręcznik — śmieszny, purpurowy, z wizerunkiem myszki Miki.

— Wytrzymaj się i chodź ze mną.

Zaprowadził go na opustoszały środek dużej przykrytej dachem platformy. Dziękując Bogu, że wreszcie nie moknie, Evan wytarł się ręcznikiem i patrzył, jak Antonio otwiera czarną tubę, z której wyjął coś, co przypominało stertę aluminiowych prętów z czarnymi plastikowymi zakończeniami. Następnie rozciągnął złożone pręty, tworząc z nich wysoką na sześć stóp ramę. Z tuby wyjął rulon, a kiedy go rozwinął i przypiął do ramy, oczom Evana ukazało się zdjęcie jakiegoś nadmorskiego kurortu z mnóstwem budynków wzniesionych na stromym zboczu góry i nieprawdopodobnie błękitną wodą w tle.

— To Wybrzeże Amalfitańskie — wyjaśnił Antonio. — Bardzo piękne.

Następnie Antonio otworzył grubą wyściełaną kopertę i wyjął z niej szafirowy T-shirt z logo Pумы i wyhaftowaną powyżej

zielono-biało-czerwoną tarczą herbową. Pośrodku tarczy znajdowała się stylizowana piłka z literami FIGC.

— Włóż to — powiedział Antonio.

— Po co? — Ledwie padło to pytanie, Evan już się z niego wycofał. Bez szemrania wciągnął T-shirt przez głowę.

— Poznajesz? — zapytał Antonio. — To koszulka narodowej reprezentacji piłkarskiej Włoch.

Evana to nie obchodziło. Nie wiedział nawet, że Włosi grają w piłkę nożną.

Antonio wskazał palcem miejsce na podłodze przed rozciągniętym na ramie zdjęciem.

— Stań tutaj.

Evan wykonał polecenie, a tymczasem Antonio wyjął z koperty niewielki aparat fotograficzny i gazetę. Gazeta nosiła tytuł „Il Golfo”. Na okładce znajdowało się zdjęcie mężczyzny, którego Evan nigdy wcześniej nie widział.

— Trzymaj gazetę przy głowie i uśmiechaj się — polecił mężczyzna.

Evan stał z kamienną twarzą.

Antonio zmierzył go zimnym spojrzeniem.

— Mister Guinn, nie znamy się jeszcze dobrze, ale w najbliższych latach będziemy mieli okazję się poznać bardzo dobrze, a wtedy przekonasz się, że nie jestem miłym facetem. Jestem złośliwy i lubię krzywdzić ludzi. Ciebie też skrzywdzę.

Evan poczuł lodowate zimno w żołądku. Czy on powiedział „w najbliższych latach”? Czy to możliwe?

— Evanie Guinn, tak czy inaczej będziesz się uśmiechał na fotografii, ale zapewniam cię, że znacznie trudniej się śmiać, kiedy wszystko boli.

Evan wyprostował się, uniósł gazetę i uśmiechnął się. Lampa aparatu rozbłysła pięć razy. Kiedy było po wszystkim, Antonio schował aparat do koperty i wyrwał chłopcu gazetę z rąk.

— Oddawaj koszulkę — warknął.

Evan już miał zapytać dlaczego, ale się powstrzymał. Wysunął ramiona z rękawów, zdjął T-shirt przez głowę i oddał go.

— Bardzo dobrze — pochwalił go Antonio. Starannie złożył koszulkę i wsunął ją do koperty, którą odłożył na stół.

— Dobrze, że mamy to już za sobą — ciągnął Antonio. — A teraz znajdziemy ci zajęcie.

## Rozdział 34

Po czterech szklankach wody sodowej z limonką Mitch Ponder zamówił piwo Modelo. Jego gość się spóźnił, a restauracja zaczęła się zapęlniać, jeśli więc nie chciał, żeby go wyrzucono, musiał zamówić coś konkretnego.

Fakt, że Jose do tej pory się nie odezwał, oznaczał, że albo się rozmyślił, albo przeszedł na drugą stronę. Tak czy inaczej rano jego rodzina będzie już martwa. Obietnica jest obietnicą, a każde działanie pociąga za sobą konsekwencje. Oczywiście Mitch nie będzie się zajmował takimi drobiazgami — znalezienie bandziora gotowego zabić nie było w tym zapomnianym przez Boga kraju problemem. Kiedy świerbiły go ręce, by odebrać komuś życie, zawsze znalazł się ktoś, kto był gotów za to zapłacić.

Dobre wynagrodzenie było efektem dobrze wykonanej usługi, a tymczasem z powodu zabójstwa Lincolna Hinesa zaczynało brakować zleceń. Kto by pomyślał, że coś, co się wydarzyło tyle lat temu, może być przyczyną kłopotów teraz.

Tamta robota nie była nawet specjalnie skomplikowana. Owszem, dotyczyła wysokiego szczebla, facet był kandydatem na senatora, a zleceniodawca pierwszym podejrzanym, ale upozorowanie samobójstwa to najprostsze z możliwych zadań. Do przeszłości gościa dodaje się kilka pełnych smutku i rozgoryczenia maili i tworzy tandetny scenariusz podwójnego życia. Potem trzeba się upewnić, że ktoś znajdzie podrobione listy od szantażysty, które skłoniły ofiarę do targnięcia się na własne życie. Po zakończeniu tego etapu przygotowań trzeba za człowiekiem pochodzić, zorientować się, kiedy będzie

sam i wtedy go dopaść. Ludzie znajdują ciało, sfalszowane dowody, dodają dwa do dwóch, wychodzi im cztery, i po sprawie.

Fakt, że zleceniodawca — w tym wypadku Jacques Leger — był tak oczywistym podejrzanym, w końcu wyszedł mu na zdrowie. Wszyscy zgodnie uznali, że nikt nie byłby na tyle głupi, żeby ściągać na siebie uwagę.

Mitch zajmował się takim zaszranym procederem od lat i był w tym naprawdę dobry. Na tyle dobry, że w tych rzadkich sytuacjach, kiedy coś poszło nie tak, ochoczo i bez trudu potrafił po sobie posprzątać. Kiedy zaangażowana była trzecia strona — tak jak dzisiaj rodzina Josego — bandziory, które rwały się do wykonania roboty dla *El Matadora*, tak się bały znaleźć na jego czarnej liście, że były gotowe pogwałcić prawa fizyki i chemii, byle wszystko poszło zgodnie z planem.

Mitch długo i ciężko pracował na swoją opinię okrutnego mistrza. W tym biznesie przy życiu utrzymuje człowieka strach. Ta uniwersalna prawda tłumaczyła, dlaczego tak dobrze mu się pracowało dla Sammy'ego Bella i rodziny Slaterów. Ludzie bali się ich co najmniej tak bardzo, jak Mitcha Pondera. Tam, gdzie panował ogólny strach, wszystko działało jak w zegarku.

Kto mógłby przypuszczać, że spośród wielu trybików, z których składa się mokra robota, zawiedzie właśnie ten odpowiedzialny za zapłatę. Jakim wyjątkowym idiotą musiał być człowiek, który zwiął z forszą rodziny mafijnej przeznaczoną dla płatnego mordercy? I kto mógł się spodziewać, że temu wyjątkowemu idiocie uda się tego dokonać?

Rodzina Slaterów postąpiła słusznie, pokrywając dług wobec Mitcha, ale tamten człowiek źle pokierował swoją karierą prawniczą. Bruce Navarro.

Tyle że Navarro nie był złodziejem.

Prawdziwymi złodziejami była sekretarka Navarro i jej przyjaciel. Ta suka nazywała się Schuler. Mitch domyślił się jej związku ze sprawą już godzinę po tym, jak dowiedział się o jej śmierci. Przyjaciel zabił sekretarkę i zwiął z forszą. W przekonaniu Mitcha sto dwadzieścia pięć kawałków to za mała kasa, żeby skazywać się na dożywotnie oglądanie przez ramię, ale podziwiał oryginalność przyjaciela tej Schuler. Wyjątkowo zręcznie wmanewrował męża w



zabójstwo. To była świetna robota. Mężulek dostał czapkę. Czy mogło być lepiej? Wywinąwszy się z morderstwa, teraz przyjacielowi pozostało tylko uchronić się przed śmiercią.

Z punktu widzenia Pondera cała ta komedia omyłek zaczęła przybierać trwały charakter. Navarro ukrywał się, bo zlecenie na niego wciąż było w mocy, przyjaciel żył na wysokiej stopie, ale wciąż w niepewności, a mąż tej Schuler za chwilę zostanie przez państwo oficjalnie skreślony z listy. Zaangażowanie Jacques'a Legera było ściśle strzeżoną tajemnicą. Wszyscy mogli odetchnąć.

I wtedy dał się aresztować Arthur Guinn.

Boże Wszchemogący, co za pieprzony los. Kiedy pod koniec lat dziewięćdziesiątych umarł staruszek Slater, a na tronie organizacji zasiadł Sammy Bell, Arthur awansował na numer drugi, stanowisko zajmowane dotychczas przez Sammy'ego. To uczyniło go naturalnym spadkobiercą, a fakt jego aresztowania wywołał u Sammy'ego atak paniki. Już po dwóch godzinach pobytu Guinna w areszcie Sammy wydał na niego zlecenie, tyle że nie było okazji, by wykonać wyrok. FBI zdawało sobie sprawę, jakim skarbem jest dla nich Guinn i ilu ludzi chce go wyeliminować, dlatego nałożyło mu czapkę niewidkę. Kiedy go przewozili z miejsca na miejsce, miał lepszą ochronę niż prezydent Stanów Zjednoczonych. Zamknęli nawet przestrzeń powietrzną.

Mitch wielokrotnie współpracował z rodziną Slaterów — podobnie jak z ich konkurentami, a od czasu do czasu z władzami federalnymi — ale nigdy nie widział Sammy'ego Bella tak wstrząśniętego, jak po aresztowaniu Guinna. Szczegóły nie obchodziły Mitcha, ale było dla niego jasne, że Guinn wiedział wszystko.

Srebrny medal za paniczną reakcję przypadł w udziale senatorowi Legerowi. Kiedy jest się potężnym człowiekiem i wynajmuje się do brudnej roboty ludzi takiego kalibru, oczekuje się też absolutnej dyskrecji. Mitch był pewny, że Leger regularnie i ochoczo za tę dyskrecję płacił. Nic zatem dziwnego, że krew go zalała na wieść o aresztowaniu Guinna.

Tymczasem nic więcej się nie stało.

Kiedy już minęła początkowa panika i nikt nie został aresztowany przez następne dwanaście miesięcy — a potem dwadzieścia cztery

i trzydzieści sześć — Sammy zaczął się stopniowo rozluźniać. Wmówił sobie, że być może Arthur postanowił być lojalny wobec starych przyjaciół. Mitch również starał się w to wierzyć, mimo że wiedział z doświadczenia, jak ciężko musi być w tej chwili Arthurowi. Mitch zdawał sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu, kiedy Arthur pęknie.

Potem do władzy doszła nowa administracja, Leger został sekretarzem obrony i ten awans sprawił, że ludzie znów stali się nerwowi.

Najwyraźniej Sammy Bell miał jakąś dobrą wtyczkę w FBI albo w więzieniu — a może i tu, i tu — i ta wtyczka powiedziała mu jakiś tydzień temu, że Guinn gotów jest zawrzeć układ w zamian za ochronę. Twardo negocjował — zgodził się powiedzieć wszystko, jeśli zostaną spełnione jego warunki, albo nic, jeśli nie zostaną spełnione. Mitch słyszał plotki, że ostateczną decyzję miał podjąć Biały Dom, i miał nadzieję, że Leger będzie obecny na spotkaniu, podczas którego prokurator generalny albo dyrektor FBI będą na ten temat debatować. Taka plotka musiała spowodować kolejną falę paniki.

A na pewno spowodowała pilny telefon do Sammy'ego Bella, który z kolei w trybie nagłym skontaktował się z Mitchem. Na koniec dnia cały bałagan miał być posprzątany i wszyscy oczekiwali, że Mitch się tym zajmie.

Jak najskuteczniej powstrzymać człowieka zamierzającego otworzyć się przed ludźmi, którzy mogą mu zaoferować, czegokolwiek zażąda? Najlepiej postraszyć jego rodzinę. Ta taktyka sprawdza się równie dobrze w przypadku grubych ryb, jak i wyrobników pokroju Josego. Rodzina w ogóle — a dzieci w szczególności — to pięta achillesowa każdego, od bohatera po socjopatę. Sztuka polega na tym żeby groźba była realna i nieustająca. To groźba zastosowania przemocy skłania do milczenia w takich sytuacjach, a nie sama przemoc.

Wiedzieli, że Guinn ma syna. Krótkie śledztwo doprowadziło ich do szkoły w małym miasteczku w Wirginii, o którym nikt nie słyszał. Najlogiczniejszym rozwiązaniem wydawało się wzięcie dziecka jako zakładnika, choć strategia ta wiązała się z dużym ryzykiem — między innymi zaangażowaniem FBI. Porwanie kogoś i zapadnięcie się z nim pod ziemię było zadaniem trudnym, ale wykonalnym. Ale trzymanie zakładnika w ukryciu, a jednocześnie

utrzymywanie kontaktu z Guinnem, w znacznym stopniu zwiększało ryzyko. Każda próba nawiązania kontaktu dawała FBI okazję trafienia na jakiś trop, a niezależnie od tego, jak skutecznie zacierało się ślady, zawsze jakiś trop pozostawał.

Rozwiązanie podpowiedział Troy Flynn, człowiek, który zastąpił na stanowisku Arthura Guinna. (To już zaczyna przypominać królewską sukcesję). Flynn zaproponował wywiezienie zakładnika za granicę. Miał ponoć zapewnienie z wiarygodnego źródła, że jeśli wybiorą odpowiedni kraj, to FBI nie będzie w stanie ich śledzić, a jeśli nawet, to nie uda się doprowadzić do ekstradycji.

I co się okazało? Najpoważniejszym kandydatem do przeprowadzenia całej operacji okazał się kraj, w którym Mitch Ponder prowadził liczne interesy.

Nim jednak niepostrzeżenie chłopaka tam przewieźli, trzeba go było najpierw złapać, a do tego Mitchowi potrzebna była odpowiednia ekipa. Dodatkowi gracze to jednocześnie większe ryzyko, że coś się nie powiedzie albo ktoś coś wypapla.

Udział trzeciej strony rozwiązał inny problem, jaki napotkał Mitch. Z racji złożoności zadania, którego się podjął, i ze względu na fakt, że Leger i jego pomocnicy zapewniali mu pewien rodzaj wsparcia, musiał znaleźć sposób na bardziej bezpośredni kontakt z sekretarzem obrony. Troy Flynn i Sammy Bell byli niemiłe widziani na korytarzach Pentagonu. Z tego samego powodu nie bywał tam też Mitch.

W ten sposób do gry wchodzi Jerry Sjogren, olbrzymi bostończyk, który, zdaniem Mitcha, nie bał się nikogo. Mitch nigdy wcześniej z nim nie współpracował, ale wiele o nim słyszał. Sjogren wyglądał jak wykidajło w barze. Prawdę mówiąc, to on zagadnął Mitcha i dał mu do zrozumienia, że ma dojścia do sekretarza Legera.

To Sjogren pierwszy zwrócił uwagę, że dzieciak Marilyn Schuler chodzi do tej samej szkoły co syn Guinna, i dał do zrozumienia, że szef życzyłby sobie, żeby małego Schulera też porwać. Mitch sprzeciwił się temu choćby dlatego, że trudniej jest porwać i wywieźć za granicę dwie osoby niż jedną. Podwójny zakres działania w tego rodzaju operacjach oznaczał poczwórne kłopoty logistyczne. Ryzykowanie powodzenia operacji z tak ważnym celem jak mały Guinn

po to, żeby dopaść mało znaczącego syna Schulera, było wyjątkową głupotą. Prawdę mówiąc, w jaki sposób mały Schuler mógłby zagrozić Legerowi?

Sjogren obstawał jednak przy swoim. Poza tym uważał, że Mitch nie musi się drugim dzieciakiem w ogóle przejmować, bo od razu po porwaniu zostałby zlikwidowany. Tak więc z punktu widzenia Mitcha nic by się nie zmieniło.

Akurat. Nigdy jeszcze, odkąd znane jest Prawo Murphy'ego, tak wiele rzeczy nie poszło tak źle w najgorszym z możliwych momentów. Wszystko, czego się dotknął Sjogren, zmieniało się w gówno, włącznie z porwaniem.

Cała litania rzeczy, które poszły nie tak jak trzeba, przewijała się przez głowę Mitcha z taką klarownością, że nie zauważył pojawienia się swojego gościa.

— Dobry wieczór — przywitał się nowo przybyły z wyraźnym cudzoziemskim akcentem.

Mitch podniósł głowę, zadowolony, że jego gość w końcu dotarł. Był zaniepokojony faktem, że pozwolił sobie na takie oderwanie od rzeczywistości. Przez nieuwagę najłatwiej zginąć.

Mitch wstał, żeby przywitać się z mężczyzną.

— Jak pan się miewa, generale Ruiz? Dziękuję, że zechciał pan przyjść. — Wskazał na sąsiednie krzesło. — Proszę usiąść.

Generał Ignacio Ruiz był szefem PNC — Policia Nacional de Colombia — kolumbijskiej policji. Podobnie jak większość poprzedników, z wyjątkiem krótkiego okresu na przełomie dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku, awansował, pnąc się w górę po trupach zamordowanych i zniesławionych ludzi. Ponieważ kariery wszystkich po kolei urzędników na jego stanowisku trwały krótko, regułą było maksymalne wykorzystanie tej chwili. Żył się szybko i intensywnie. Tego wieczoru generał odwiesił do szafy mundur i włożył beżowe lniane spodnie oraz białą koszulę.

Ruiz rozejrzał się niespokojnie.

— To chyba nie jest odpowiednie miejsce — zauważył.

Mitch ponownie usiadł na krześle.

— Z całym szacunkiem, uważam, że miejsce jest dobre. Jest pan bez munduru, możemy rozmawiać po angielsku, a ja będę czuł się bezpiecznie, rozmawiając z człowiekiem... o tak wyjątkowych zdolnościach w miejscu publicznym.

Ruiz wahał się jeszcze chwilę, a potem uśmiechnął i usiadł.

— Niech pan mówi, co leży panu na sercu — zachęcił Mitcha generał.

Pojawił się kelner. Natychmiast ze zdziwieniem rozpoznał generała. Ruiz po hiszpańsku kazał mu zostawić ich samych. Kelner znikł.

— Coś pan mówił — przypomniał generał.

— Tak, rzeczywiście. — Mitch uśmiechnął się. — Przeszedłem, żeby pana ostrzec przed inwazją, jaką przeprowadza się na pański kraj.

Twarz Ruiza pociemniała.

— Jaką inwazją?

— Niewielką, ale znaczącą. Wymierzoną w moje interesy w Santa Marta.

Mina Ruiza wyrażała obrzydzenie.

— Nie pochwalam pańskich interesów. Są brudne.

— I zyskowe — przypomniał mu Mitch. — Na tyle zyskowe, że interesują się nimi pańscy szefowie. — Zaczekał, aż do generała dotrą jego słowa. Już wcześniej zdarzało mu się dyskutować z nim na te tematy. Choć każdy z nich wyznawał inną filozofię życiową, to obaj wiedzieli, że nią nie można zapłacić rachunków. — Skoro nie interesuje to pana jako biznesmena, to apeluję do pańskiego patriotyzmu. Naprawdę chciałby pan, żeby ci najeźdźcy cofnęli nas do lat dziewięćdziesiątych?

— A ci najeźdźcy, jak ich pan nazywa, to Amerykanie?

Mitch pokiwał głową.

Ruiz machnął lekceważąco ręką.

— Nie wierzę. Amerykański rząd zapewnił nas, że...

— Ich nadal nie obchodzą plantacje, generale. Oficjalnie ingerencja się skończyła. Ta inwazja jest mniejsza od poprzednich, ale jeśli się nie mylę, niektórzy uczestnicy są ci sami.

Ruiz obejrzał się nerwowo przez ramię, a potem oparł łokcie o stół.

— Mówi pan samymi zagadkami, panie Ponder. Nie mam ani czasu, ani ochoty na zgadywanie.

Mitch kiwnął ze zrozumieniem głową.

— Oczywiście. Wśród moich licznych interesów jest także

pewien specjalny. Proszę mi wierzyć, nie chciałby pan znać zbyt wielu szczegółów. To coś innego i ważniejszego niż typowa produkcja. Ci komandosi wtargnęli do pańskiego kraju po to, żeby zdobyć ten specjalny produkt. Przylecieli ze Stanów Zjednoczonych rejsowymi samolotami. Mieli fałszywe paszporty, ale niestety nie znam nazwisk, jakimi się posługują.

Ruiz w przesadnym geście wznosił ręce do nieba.

— Jeśli wie pan, dokąd zmierzają, to przecież ma pan dość ludzi i broni, żeby poradzić sobie samemu. Czego pan oczekuje ode mnie?

Mitch w zamyśleniu pokiwał głową.

— Mamy powody przypuszczać, że zgromadzili wokół siebie coś w rodzaju małej armii.

— Na pewno nie większą od naszej.

— Nie, generale, oczywiście, że nie. Ale jest całkiem możliwe, że lepiej wyszkoloną.

Ruiz pochylił się jeszcze bardziej i ściszył głos do szeptu.

— Jeśli chce mnie pan prosić, żebym wysłał swoich ludzi w góry do obrony pańskich interesów, to moja odpowiedź brzmi nie. Boże, przecież pozwolono panu...

Mitch przerwał mu, unosząc dłoń.

— Nie, generale, nigdy bym pana o to nie poprosił.

Ruiz wyprostował się i założył ręce na piersi.

— W takim razie o co?

Mitch wyłożył mu swój plan w niecałe pięć minut. Kolejne dziesięć zajęły pytania i odpowiedzi. A potem się rozeszli.

## Rozdział 35

Dżungla była tak gęsta, że satelita w najlepszym razie „widział” tylko niektóre punkty. Dla Jonathana system śledzenia w komputerze przebytej drogi był zbyt zawodny. GPS też się nie sprawdzał, ale kompasy nigdy nie zawodziły. Dobre tradycyjne wyszkolenie zostało swój ślad i Jonathan z przyjemnością z niego skorzystał. Otuchy dodał mu fakt, że droga była dobrze ubita. Musiały nią jeździć duże i ciężkie pojazdy.

Dziękował też Bogu za to, że pracuje z nimi Venice. Kierując satelity SkysEye na obszary wskazane przez Josiego, zdołała potwierdzić istnienie wioski i położonej na szczycie góry plantacji. Niestety, przy obecnych warunkach pogodowych mogła korzystać wyłącznie z detektorów ciepła. Póki niebo się nie przejaśni, niemożliwe było wzrokowe potwierdzenie obecności ludzi.

Venice przekazała również wiadomość, że na założonej przez porywaczy stronie internetowej zamieszczono nowe zdjęcie Evana Guinna. Porywacze najwyraźniej chcieli wszystkich przekonać, że dzieciak jest we Włoszech — w ręce włożyli mu wczorajsze wydanie lokalnej gazety z Wybrzeża Amalfitańskiego.

— To jest tło — powiedziała Venice. — Tylko tło. Na dodatek tandetne. Evan może znajdować się gdziekolwiek. Próbuję ustalić lokalizację serwera, na którym jest umieszczona ta strona. Byłoby mi łatwiej, gdybym mogła ograniczyć się do samej Kolumbii, ale na razie nie miałam szczęścia. Ludzie, którzy się tym zajmują, to prawdziwi fachowcy.

— Podobnie jak ty — dodał jej otuchy Jonathan. — A co u Gail? Jak jej wyprawa na Alaskę?

Cisza przed udzieleniem odpowiedzi mówiła sama za siebie.

— Wydaje mi się, że nie mam dobrych wiadomości, Digger. Na zdjęciu satelitarnym widzę tam tylko ogień i dym.

— Wydaje ci się? Jezu, Ven...

— Wiem, wiem. Gail się nie odzywa. Na pewno coś poszło źle, ale nie mam pojęcia, czy coś jej się stało.

— Od kiedy to tak wygląda?

— Dwanaście minut temu na ekranie nie było nic niepokojącego, natomiast od ośmiu minut monitor pokazuje tylko ogień i dym.

Jonathan zastanowił się nad wszystkimi możliwymi scenariuszami. Gail była bystra i przedsiębiorcza. Jeśli przeżyła, odezwie się.

— Co tam się pali? — zapytał.

— Trudno powiedzieć, pod tym kątem niewiele widać — odparła. Satelity SkysEye krążyły w okolicach równika, dlatego zdjęcia dalekiej północy i południa były zawsze zniekształcone. — Na pewno płonie dom i chyba wynajęty przez nią samochód, ale na północ od budynku jest kolejny pożar. — Z tonu głosu wynikało, że mówiąc te słowa, patrzy na zdjęcie.

— Wiesz co, Digger, wygląda to tak, jakby płonęła benzyna. Dym jest czarny i gęsty.

Jonathan czuł ucisk w żołądku. Wiedział dobrze, co to oznacza. Taki pożar nie pojawiał się samoistnie w naturze, czyli został wywołany przez człowieka, a ten człowiek musiał mieć na celu dokonanie jak największych zniszczeń.

— Okay, Ven. Posłuchaj, co masz zrobić. Zadzwoń do Wolverine. Niech się zaangażuje.

— W co?

— W to, co się tam dzieje. To jej też dotyczy. Niech wyśle śmigłowiec medyczny albo miejscową ekipę, sam nie wiem. Jeśli Gail jest ranna, to chcę, żeby otrzymała pomoc. Na-tych-miast.

To było dla Jonathana nowe doświadczenie. Dotychczas nigdy nie musiał rozdzielać swojego oddziału — przynajmniej odkąd odszedł z wojska. Tajną częścią interesów zajmował się on i Boxers, czasem tylko korzystali z pomocy najemników. Przez wszystkie te



lata sukces operacji zależał od jego umiejętności dowódczych — umiejętności, którym aż zanadto ufał. Teraz, kiedy pojawiła się Gail, po raz pierwszy nie był w stanie wszystkiego upilnować. Coś poszło nie tak, a on nie mógł nic na to poradzić. Poczuł, jak strach zaczyna pełznąć po całym jego ciele.

Po zakończeniu tej rozmowy Venice miała zadzwonić do Wolverine. Od tej pory nie miał od Venice żadnej wiadomości, a minęły już cztery godziny.

Zdążyli już dojechać range roverem i blazerem do miejsca, gdzie droga urywała się, a dalej prowadziła tylko ścieżka. Szli nią, przeważnie pod górę. Bez pośpiechu podzielili się sprzętem. Na polecenie Jonathana Jose dostarczył im plecaki, jakich używają marines. Jonathan nie dał się zwieść sentymentom — były lepsze niż te, które są na wyposażeniu piechoty. Wykonane z kamuflującego materiału MARPAT, miały mnóstwo pasek na amunicję i były tak zaprojektowane, że pasowały do kamizelki taktycznej i bidonów CamelBak.

Ponieważ nie mieli żadnych wiarygodnych danych na temat warunków, w jakich przetrzymywany był chłopak, musieli być przygotowani na różne ewentualności. Boxers i Jonathan przewiesili sobie przez pierś karabinki bojowe M4, a na pasku typu bungee-sling mocowanym pod pachą zwiisały im strzelby Mossberg. W kaburze na udzie Jonathan miał jeszcze swojego colta 1911 kalibru .45, a Boxers berettę. Każdy z nich zabrał po dziesięć zapasowych magazynków do karabinu — czyli po trzysta nabojów — oraz po cztery magazynki do broni krótkiej i po dwadzieścia nabojów do Mossberga — piętnaście loftek i pięć nabojów Fostera. Do tego po trzy granaty odłamkowe i dwa z gazem łzawiącym, kilka kostek C4 z zapalnikami. Łącznie każdy z nich niósł dodatkowy ciężar równy połowie ich masy ciała.

Zgoda, w przypadku Boxersa to była tylko jedna czwarta jego wagi, ale i tak sprzęt był ciężki. Jonathan i Olbrzym ciągnęli losy, kto będzie niósł nożyce do cięcia prętów z długimi rączkami — na wypadek gdyby trzeba było przecinać kłódkę — i Boxers przegrał. Jonathanowi zrobiło się go prawie żal. Prawie. Boxers był co prawda dwa razy silniejszy od Jonathana, ale to on właśnie miał zamiast kości udowej pręt. Jonathan uznał, że równoważy to fakt, iż on

został dwa razy w życiu trafiony w jamę brzuszną i jego trzewia gorzej funkcjonowały. Nie bardzo wiedział, co to znaczy, ale brzmiało nieźle.

Z kolei Harvey niósł pistolet maszynowy MP5 z dwustu sztukami amunicji, broń krótką i wielki pakunek medykamentów. Jonathan próbował wybić mu niektóre z nich z głowy, ale Harvey nie słuchał. Harvey w ogóle wypowiedział nie więcej niż dziesięć słów od czasu, gdy zostawili Josiego.

Jonathan zarządził, że mają wyglądać jak żołnierze, nałożyli więc kamizelki kuloodporne i hełmy. Misja będzie najprawdopodobniej wymagała walki na ograniczonym obszarze, wołał więc, żeby wszyscy byli dobrze przygotowani. Powiedział: „Nie chodzi o wygodę, chodzi o profesjonalizm. Evan Guinn odzyska wolność pod warunkiem, że my pozostaniemy żywi. Jeśli będziemy musieli nieść kogoś z nas, to nie będziemy mogli nieść jego”.

Jonathan ruszył pierwszy, w środku szedł Harvey, a kolumnę zamykał Boxers. Po godzinie Jonathan wycofał się i szedł teraz obok Harveya. W prawdziwej strefie działań wojennych byłoby to niewybaczalne, ale teraz mogli sobie pozwolić na takie zbicie się w gromadę.

Martwiło go milczenie Harveya. Wyglądało na to, że hipis walczy z emocjami po walce z Josiem. Jonathan już wcześniej zauważył, że sanitariusze nadają na innych falach niż pozostali żołnierze. Tak samo potrafią ryzykować życie — może nawet bardziej — ale zachowują dystans do tego, co w wojnie najważniejsze, do zabijania. Granica dzieląca swoich i obcych często zaciera się u nich na widok rannego.

Harvey po prostu maszerował. Miał zaciśnięte szczęki, wargi tworzyły wąską linię, a w środku gotował się ze złości.

W końcu Jonathan miał dość.

— Wyrzuć to wreszcie z siebie, Harvey. Czego nie chcesz mi powiedzieć?

Harvey zerknął na niego i szybko wrócił spojrzeniem na drogę.

— Niczego. Nie mam nic do powiedzenia.

— Chcę, żebyś mi powiedział, że jesteś zdolny do wykonania zadania.

Harvey obrzucił go wzrokiem i prychnął.

— Przez „zdolny do wykonania zadania” rozumiesz „nie będziesz świrował i nie rozszarpiesz dowódcy”?

— Na początek może być — odparł Jonathan.

Harvey nie spieszył się z odpowiedzią.

— Nie martw się, potrafię odróżnić dobro od zła — odezwał się w końcu. — Zabijanie nigdy nie było moim hobby. Jeśli wprowadziłem cię w błąd, to przepraszam. Lepiej mi wychodzi ukrywanie się i opatrywanie ran, więc jeśli spodziewasz się, że będę strzelał jak szalony, to możesz się zawieść. Kto wie? A jeśli chodzi o świrowanie? Powiem prosto z mostu — nie wiem. Mam nadzieję, że nie. Ale jeśli tak się zdarzy, to nie jestem winny przeprosin ani tobie, ani nikomu innemu. To wy mnie tu zaciągaliście, pamiętasz?

— Pamiętam — odpowiedział Jonathan. I docenił szczerłość Harveya.

— A jeśli chodzi o to, że zostawiliście tamtego faceta na pewną śmierć, cóż, stało się. Nie pytaliście mnie o zgodę, więc nie potrzebujecie też mojego przebaczenia. To pewnie dlatego w piechocie morskiej nigdy nie zostałem dowódcą.

— I to mówi człowiek, który dostał Krzyż Marynarki — zauważył Jonathan.

Harvey roześmiał się.

— Krótkotrwały napad szaleństwa, zapewniam cię.

— Czytałem wzmiankę pochwalną.

— Więc tym lepiej wiesz, że to był krótkotrwały napad szaleństwa.

— Wiem, że wielokrotnie wystawiłeś się na ciężki ostrzał nieprzyjacielski, żeby odciągnąć trzech ciężko rannych żołnierzy.

Harvey unikał jego wzroku.

— Chyba zaczynam się powtarzać. Szaleństwo.

Jonathan nie zamierzał tego tak zostawić.

— To nie przesłuchanie w senacie, Harvey. Masz przed sobą faceta, który też tam był. Wiem, co zrobiłeś, i wiem, ile to cię musiało kosztować.

— No to zostałeś jednym z trzech na tym świecie, którzy to wiedzą. Gratuluję. — Zamilkł na dłuższą chwilę, a Jonathan nie chciał przerywać ciszy. Starał się nie patrzeć Harveyowi prosto w oczy, ale kątem oka dostrzegł, jak oczy sanitariusza wilgotnieją.

Harvey odezwał się po dobrej minucie.

— Wiesz co? Potrafię wskazać dokładną chwilę, kiedy zdałem sobie sprawę, że mam tego dość. Chcesz posłuchać?

Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, Jonathan odpowiedziałby szczerze, że nie. Był nieczuły na wszystko, co wiązało się obnażaniem ludzkich emocji. Ale z drugiej strony szanował waleczność i tych, którzy się nią wykazywali.

— Pewnie — odpowiedział.

— W obozie dla rekrutów miałem kumpla, Johna Avery'ego. Trzymaliśmy się razem. Po unitarce trafiliśmy razem na szkolenie piechoty. W ostatnim tygodniu szkolenia rozwalił sobie kolano podczas jakiegoś kretyńskiego ćwiczenia gimnastycznego, i nasze drogi się rozeszły. On skończył szkolenie sześć miesięcy po mnie. Moja zmiana się skończyła i wróciłem do Stanów, wtedy dotarła do mnie wiadomość, że John został zabity przez snajpera w prowincji Anbar.

— Przykro mi — powiedział Jonathan.

— Mnie też było przykro. Wtedy byłem u szczytu szaleństwa, wiesz? Tak czy owak chciałem pójść na jego pogrzeb. Lekarze nie byli pewni, czy to dobry pomysł, ale uparłem się i mnie puścili.

Odkasznął.

— Wiesz, to był młody chłopak. Ile on mógł mieć? Może dwadzieścia trzy? Przebieg służby taki, o jakim kręcą filmy. Wspaniały facet, znakomity dowódca, nie bał się absolutnie niczego. No i snajper trafił go, kiedy siedział na słupku przed kantyną i popijał kawę. Pogrzeb był piękny i straszny zarazem. Mnóstwo rodziny, mnóstwo łez, mnóstwo ludzi z jego miasta w Tennessee.

Korpus piechoty morskiej wystawił wartę honorową i zrobił wszystko, żeby pogrzeb był bardzo wojskowy. Pochowali go na podwórku kościoła baptystów, gdzie jego prapradziadek wraz ze wszystkimi potomkami został ochrzczony i gdzie brał ślub. To było na swój sposób piękne.

I wtedy pojawili się przeciwnicy wojny z transparentami. Na pieprzonym pogrzebie, człowieku. Na pieprzonym pogrzebie. Takie trzecie pokolenie niby hipisów, które nigdy o nic nie walczyło. I kiedy rodzina i przyjaciele próbują pogrzebać prawdziwego bohatera wojennego, tamci chcą pokazać, że to ich impreza. Czy o to

walczyliśmy? O to, żeby każdy mógł mówić, co mu ślina na język przyniesie? Na pogrzebie Johna gliniarze, którzy mieli pełnić wartość honorową, musieli w końcu ochraniać tych dupków, którzy nie mieli nic lepszego do roboty, jak zniszczyć ostatnie wspomnienie matki o synu. Możesz mi powiedzieć, gdzie tu sens, gdzie logika?

Jonathan potrząsnął głową.

— Nie.

— Widzisz, w takich sytuacjach lepiej nie być stukniętym. Bo z mojego punktu widzenia nie ma sensu nawet próbować. Pieprzyć ich wszystkich. Jakaś głupia nastoletnia cipa, która bardzo chciała zobaczyć się w telewizji, sprawiła, że przestałem myśleć o rzeczach, za które warto umierać. Wiesz, co mam na myśli?

Jonathan wiedział. Wiedział od dziesięcioleci; ale wyróżnikiem amerykańskiego żołnierza było to, że potrafił przymknąć oczy na słabości polityków i leniwych obiboków i wykonać zadanie, które oni mu zlecili. Lata spędzone w wojsku ukształtowały jego obraz Boga i ojczyzny. Jonathan był przekonany, że cywile powinni kontrolować armię, ale modlił się, żeby nastał wreszcie dzień, kiedy ci sami cywile przestaną traktować takich ludzi jak on niczym pionki na politycznej szachownicy.

Kiedy Jonathan ze swoją ekipą dotarli do wioski, deszcz osłabł i zmienił się w nieprzyjemną mżawkę. W wiosce było dziwnie cicho. Z całą pewnością była zamieszкана, ale wszyscy mieszkańcy siedzieli w chatach. Ich trójka zebrała się pośrodku czegoś, co można by nazwać placem, gdyby byli teraz w Ohio. W oknie stojącej nieopodal chaty pojawiła się na chwilę twarz, ale zaraz znikła.

— Jakieżś pomysły? — powiedział Jonathan.

— Może po prostu schowali się przed deszczem? — zasugerował Boxers.

— A może robią ze strachu w portki, kiedy zobaczyli, że mamy dość broni i amunicji, żeby zająć cały kraj? — wpadł na pomysł Harvey.

Jonathan przychyłał się do tej drugiej teorii.

— *Hola! Hay alguien aqui?!* — zawołał. Miało to znaczyć: Halo! Jest tu kto?

W oknach pojawiło się więcej twarzy, ale nikt nie wyszedł, żeby się z nimi przywitać. Jonathan spróbował jeszcze raz.

— *Me gust aria hablar con su lider, por favor.* Chciałbym porozmawiać z waszym przywódcą. *Somos amigos.* Jesteśmy przyjaciółmi. — I przeszedł do rzeczy: *Estamos aqui para serir sus enemigos!*

Boxers roześmiał się.

— Jesteśmy tu, żeby zrobić krzywdę waszym wrogom — przetłumaczył. — To mi się podoba.

Spodobało się też wieśniakom. Dwójkami, trójkami wychodzili z chat, żeby się przyjrzeć przybyszom. Nie podchodzili blisko, ale i nie uciekali. Zbierali się w gromady i dyskutowali zawzięcie, nie spuszczać z nich oczu.

— Tu nie ma mężczyzn — zauważył Harvey.

— Ani chłopców — dodał Boxers. Jonathan zawołał ponownie:

— *Me gustaría hablar con su lider, por favor.*

Przed szereg wyszła kobieta. Mogła mieć pięćdziesiąt, ale równie dobrze osiemdziesiąt lat.

— Nasi przywódcy nie żyją — odezwała się po hiszpańsku. — *El Matador* ich zabił.

Jonathan zdjął hełm i wyciągnął na powitanie dłoni.

— Jak się masz? — powiedział po hiszpańsku. — Nazywam się Jones. Przykro mi z powodu waszej straty.

— Wielu strat — poprawiła go. — Ja jestem Isabella. Czy ten człowiek jest lekarzem? — Wskazała na czerwony krzyż zdobiący torbę Harveya.

— Tak — odpowiedział Jonathan.

Harvey zdjął hełm i wcisnął go pod pachę.

— Napadli dziś moją córkę — wyjaśniła Isabella. — Wydaje mi się, że ona potrzebuje lekarza.

— Proszę mi pokazać gdzie — powiedział Harvey. — Z przyjemnością pomogę.

Isabella zaprowadziła go do chaty, z której sama przed chwilą wyszła.

Jonathan trzymał się z tyłu, a Boxers został pośrodku podwórka i wodził dokoła groźnym wzrokiem. Jednym słowem każdy robił to,

co potrafił najlepiej. Isabella zatrzymała się przed wejściem i zaprosiła gestem Harveya do środka. Jonathan usłyszał jęk, a zerknąwszy do środka, zauważył jakiś ruch. Sprawiało to wrażenie czuwania przy łożu śmierci. Harvey musiał poczuć to samo, bo rzucił swojemu szefowi niepewne spojrzenie, nim przekroczył próg. Jonathan ruszył za nim, ale Isabella powstrzymała go, wyciągając rękę.

— Ty nie — powiedziała. A potem krzyknęła coś do zgromadzonych wieśniaków tak szybko, że Jonathan niewiele zrozumiał. Usłyszał jednak słowa „powitać” i „jedzenie”, wiedział więc, jakie są intencje.

Wszyscy mieszkańcy wioski w jednej chwili się zbliżyli. Otoczyli kręgiem Jonathana i Boxersa i zasypali zaproszeniami. Nie wiadomo skąd pojawiły się ławki, a następnie stoły. Po kilku minutach zaczęto podawać jedzenie. Jonathan nie miał pojęcia, co to jest, ale entuzjazm, z jakim był goszczony, mówił mu, że jest traktowany w specjalny sposób.

Idąc za przykładem Jonathana, Boxers zdjął plecak i hełm, ale położył je w zasięgu ręki. Ani jeden, ani drugi nie odłożyli broni. Zaczęło się przyjęcie, na którym byli honorowymi gośćmi. Wieśniacy byli zafascynowani gabarytami Boxersa. Jonathan odczuwał dziwną satysfakcję, patrząc na Boxersa zakłopotanego zainteresowaniem swoją osobą.

Jonathan usiadł tak, żeby obserwować chatę, w której zniknął trzeci członek jego zespołu. W trzynastej minucie przyjęcia pojawił się Harvey, bez swojego wyposażenia, tylko z bronią. Sprawiał wrażenie wstrząśniętego, a jego mundur był zakrwawiony.

— Przepraszam — powiedział Jonathan i wstał od stołu.

Boxers, niczym cień Jonathana, wykonał identyczny ruch.

— Co się dzieje? — zapytał. A potem odwrócił się, zobaczył Harveya i zrozumiał. — Niedobrze — mruknął pod nosem.

Jonathan przeszedł pół drogi i czekał, aż Harvey do niego podejdzie.

— Wszystko z tobą w porządku? — zapytał. — Wyglądasz strasznie.

— Polujemy na zwierzęta, szefie — odparł Harvey. — Pieprzone zwierzęta. Musiałbyś widzieć, co oni zrobili tej dziewczynce. Na litość boską, ona ma czternaście lat!

Jonathan poczuł, jak szybciej zaczyna bić mu serce. Nie miał ochoty tego oglądać. Dość się naoglądał ofiar ludzkich drapieżców. Wszystko, co mówił Felipe, okazało się prawdą.

— Będzie z nią okay? — zapytał Jonathan.

— Myślę, że przeżyje — odparł Harvey. — A czy będzie okay, tego nie wiem.

— Gdzie twoja broń i sprzęt? — zapytał Boxers.

Harvey wskazał na chatę.

— Zaraz ją wezmę.

— Czyś ty oszalał?! — zawołał Boxers. — Nie możesz tak po prostu...

— Cicho, Box — wtrącił się Jonathan.

— Nagle zaczynamy zwracać się do siebie prawdziwymi imionami?

— Może się jednak zamkniesz? — warknął Jonathan. Następnie zwrócił się do Harveya: — A z tobą wszystko w porządku?

Harvey podniósł wzrok i spojrzał na Jonathana.

— Ona ma czternaście lat — powtórzył. — Co? Tak, w porządku. — Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę chaty. Nagle zatrzymał się i obejrzał. Z minuty na minutę stawał się coraz bardziej zdolny do wykonania zadania.

Navarro siedział za kierownicą dwudziestoletniego forda bronco. Jego karoseria składała się w większej części z rdzy niż z lakieru, a opony były w fatalnym stanie.

— Kupno samochodu to jedna z najtrudniejszych rzeczy, kiedy próbuje się zachować anonimowość — tłumaczył Gail, powoli dojeżdżając wyboistym traktem do głównej drogi. Napastnicy byli martwi, a cały jego dobytek spłonął. Przez dobry kwadrans włoczyli się wokół zgliszczy, aż wreszcie uznali, że czas odjechać, nim pojawi się straż pożarna zaalarmowana unoszącym się słupem dymu.

Kiedy ruszali z miejsca, Bruce nie zdobył się na to, żeby rzucić ostatnie pożegnalne spojrzenie na swój płonący dom.

— Jeśli nie kupujesz kupy złomu za kilka tysięcy dolców, to albo musi pozostać jakiś ślad na papierze, albo ludzie zwrócą na to uwagę.



Przez chwilę jechali w milczeniu.

— Myśli pani, że trafię do więzienia? — zapytał.

Gail spojrzała na niego i przygotowała odpowiedź, która nie różniła się od tej, jakiej udzieliłaby rok temu, gdy była jeszcze policjantką.

— Nie, jeśli dobrze pan to rozegra.

Navarro cały zamienił się w słuch.

— Niech pan to przemyśli. Jest pan w posiadaniu informacji, które wystarczą do rozpoczęcia śledztwa prokuratorskiego. Za tego rodzaju informacje należy się nagroda. — Przerwała i czekała, aż dotrą do niego jej słowa. — Na pana miejscu zażądałabym nietykalności i nowej tożsamości.

— Myśli pani, że mogliby mi to dać?

Gail wzruszyła ramionami.

— To pokerowa zagrywka. W pierwszej chwili odmawia pan zeznań, a potem przedstawia swoje warunki. Wydaje mi się, że to może poskutkować.

Navarro uśmiechnął się, a potem zachichotał.

— Cóż to byłby za wspianiały kopniak w... o, psiakrew!

Gail zobaczyła, że Navarro wpatruje się w lusterko wsteczne.

Obróciła się w fotelu i dostrzegła sedana z rzędem reflektorów na dachu, który zaczął zajeżdżać im drogę.

— Zna pan ten wóz?

Navarro włączył kierunkowskaz i zjechał na prawo.

— Znam tego faceta. To Jerry Soaring Eagle. Miejscowy szeryf.

Gail wysilała umysł, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Co im pozostało innego, jak nie zjechać na pobocze?

— Lubi go pan?

Zerknął na nią.

— Jest szeryfem. Jego obowiązkiem jest znać wszystkich. A moim trzymać się z dala. Nie jesteśmy kumplami, ale to przyzwoity facet. — Bruce opuścił szybę i czekał, aż szeryf podejdzie. — Portfel został w domu — mruknął.

Gail obróciła się w fotelu, żeby spojrzeć na zbliżającego się szeryfa. Zwróciła uwagę, że jego broń spoczywa w kaburze, a on sam idzie lekkim, spokojnym krokiem. Nie widziała na razie jego twarzy — do momentu, kiedy stanął przy drzwiach kierowcy i zgiął się w pasie.

— Jak się pan miewa, panie Planchette? — zapytał szeryf.

Gail już prawie zdążyła zapomnieć przybrane nazwisko Navarro.

— Wszystko w porządku, szeryfie — odparł Navarro.

Szeryf zerknął w głąb wozu i natknął się na spojrzenie Gail.

Jego rysy zdradzały indiańskie pochodzenie.

— Tylko tyle? A ja myślę, że gdyby wszystko, co miałem, strawił ogień, to nie użyłbym zwrotu „wszystko w porządku”.

Navarro zbladł i rzucił przelotne spojrzenie Gail. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, szeryf zapytał:

— Pani nazywa się Gail Bonneville?

Gail zdębiała.

— T-tak...

Zmierzył ją wzrokiem.

— Czy mogę prosić, żebyście wysiedli z samochodu?

Gail poczuła ucisk w żołądku, ale nadal nic jej nie przychodziło do głowy. Ten facet był naprawdę gliniarzem. Ale skąd wiedział, kim ona jest? Chwyciła za klamkę, a tymczasem szeryf otworzył drzwi kierowcy.

— Muszę panu powiedzieć szeryfie, że jestem uzbrojona.

— Zauważyłem — odparł gliniarz. — Proszę nie dotykać swojej broni, a ja nie dotknę swojej. Zgoda?

Coś było nie tak. Powinien przynajmniej zapytać o pozwolenie. Poczekala, aż Navarro wysiądzie, i dopiero wtedy się ruszyła. Nie chciała nadwerężyć zmysłów szeryfa. Przy jej drzwiach był rów, więc przy pierwszym kroku zrobiła się sporo niższa. Obeszła samochód z prawej strony i stanęła wprost przed zdezelowanym fordem medalionem. Dalej na prawo stał przerażony Navarro.

Szeryf spoglądał to na jedno z nich, to na drugie, a potem skrzywił się lekko i pokręcił głową.

— Wiecie co? — odezwał się. — Właśnie miałem najgorszy w swoim życiu telefon w waszej sprawie.

Navarro rzucił Gail pełne strachu spojrzenie.

— Naprawdę? — Gail próbowała udawać nieporuszoną.

— Owszem. Długo, bardzo długo jestem szeryfem. Widziałem i słyszałem mnóstwo dziwnych rzeczy. Po pewnym czasie człowiek się przyzwyczaja do niespodzianek, ale tego telefonu w życiu się nie spodziewałem.

Wziął głęboki wdech i skrzywił się jeszcze bardziej.

— Nie co dzień dzwoni do człowieka dyrektor FBI.

Isabella wyszła z chaty z Harveyem i dołączyła do pozostałych. Harvey miał na głowie hełm, swój MP-5 trzymał w rękę, a plecak przewiesił przez ramię. Wyglądał, jakby potrzebował długiego snu.

Isabella machnęła dłońmi tak samo jak Mama Alexander, kiedy odganiała gołębie, gdy Jonathan był jeszcze chłopcem — i wieśniacy zniknęli. Na środku placu pozostał tylko stół dla ekipy Jonathana i sama Isabella.

— Przykro mi z powodu pani córki — odezwał się po hiszpańsku Jonathan.

— Mam ich dużo — odpowiedziała. — Żołnierze to bardzo źli ludzie. — Speszyła się. — Ty nie. Oni. Ty uratowałeś moją córkę. Jestem bardzo wdzięczna. Szukasz jasnowłosego chłopca?

Ta bezpośredniość zaskoczyła Jonathana — tym bardziej że ta kultura znana była z zaciemniania spraw. Rzucenie takiego pytania w trakcie zupełnie niezwiązanej z nim rozmowy było starą sztuczką przesłuchujących śledczych. Jonathan był na siebie wściekły, że zdradził się ze swoją reakcją. Żeby nie brnąć dalej w kłamstwa, odpowiedział:

— Tak. A dlaczego pani pyta?

Isabella uśmiechnęła się smutno, ukazując obfitujący w ubytki rząd zepsutych zębów.

— Widzę różne rzeczy — powiedziała. — Czasami trudno je dostrzec, czasami łatwo. Białego chłopca z białymi włosami łatwo. A zaraz potem łatwo dostrzec białych żołnierzy z bronią. Może jedno z drugim ma coś wspólnego?

— Ma na imię Evan — powiedział Jonathan. — Zabrali go z domu, a my przyjechaliśmy go uwolnić.

Isabella z zaskoczeniem uniosła brwi.

— Tylko we trzech?

Jonathan wzruszył ramionami.

— Ich jest dużo — ciągnęła. — Trzydziestu, może czterdziestu.

— Jasna cholera — zaklął Boxers.

Jonathan nie zwracał na niego uwagi.

— Trzydziestu lub czterdziestu wszystkich, tak? Nie trzydziestu czy czterdziestu żołnierzy?

Isabella pokiwała głową.

— Dwudziestu żołnierzy. Ale dużo ludzi ma broń. Mężczyźni i chłopcy z bronią pilnują, żeby nie uciekli mężczyźni i chłopcy bez broni.

Jonathan i Boxers widzieli to nieraz w różnych zakątkach świata. Młodym mężczyznom, którzy nie mają nic do stracenia, broń myli się z męskością. Można to też zobaczyć na ulicach amerykańskich miast, ale w Trzecim Świecie ci młodzi mężczyźni z bronią mają do wykonania zadanie, za które są sownie opłacani. Z jego obserwacji wynikało, że średnia wieku strażników, terrorystów i piratów oscylowała w okolicy piętnastu lat. Jak wszystkie nastolatki na świecie, byli nieustraszeni. Ta nieustraszeność połączona z wpojonym przekonaniem, że należy zabijać bez wahania, czyniła z nich wyjątkowo bezwzględnych wojowników.

Jonathan postanowił zmienić temat.

— Powiedziała pani, że Evan był tu wczoraj. Jak długo?

Isabella kiwnęła głową.

— Pięć, sześć godzin. Może dłużej. Był z mężczyznami, którzy skrzywdzili moją córkę. — Jej spojrzenie stwardniało. — Z chłopcami, którzy jej to zrobili. — Chyba wyczuła, co myślą o angażowaniu młodych ludzi w walkę. — Z chłopcami, którzy zrobili to wielu kobietom w wiosce. Mają po piętnaście, szesnaście, siedemnaście lat, a już są diabłami. Nie szkoda ich.

— Jak się czuł Evan? — dopytywał się Jonathan. — Był zdrowy?

W nagłym odruchu przywdziała maskę podejrzliwości. Wszelkie oznaki gościnności wyparowały. Wydawała się rozdrażniona.

— Wynoście się — powiedziała.

Jonathan się cofnął. Spojrzał na Boxersa, ale zobaczył tylko jego wzruszenie ramion.

— Czy zrobiłem coś złego? — zapytał.

— Idźcie — powtórzyła. — Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Jonathan nie zrobił nic, by spełnić jej żądanie. Przeciwnie, pochylił się i zniżył głos.

— Jeśli panią uraziłem, to przepraszam.

Spojrzała na niego gniewnie.

— Obraża mnie pan, zostając tutaj — wyrzuciła z siebie. — Widział pan moją córkę. Ja panu mówię o diabłach z gór, ale pana interesuje tylko biały chłopiec. Amerykanin. Gringo. Mój syn nie żyje. Wielu synów nie żyje z powodu tamtych diabłów, ale nikogo to nie obchodzi. Ten biały chłopiec — twój Evan — jest też synem jakiejś matki. Jeśli ci pomogę, ściągnę niebezpieczeństwo na całą wioskę. Ciebie nie obchodzą moi ludzie, mnie nie obchodzą twoi. Musisz stąd pójść.

Harvey odchrząknął, czym ściągnął na siebie uwagę wszystkich.

— Gdzie są mężczyźni z wioski? — zapytał.

— Nie żyją — odpowiedziała.

— Wszyscy?

— Wszyscy, którzy byli wystarczająco dorośli, żeby walczyć. Pozostali pracują tam. — Wskazała jakieś nieokreślone miejsce w powietrzu.

— Na czym polega ich praca? — zapytał Jonathan. Znał odpowiedź, ale chciał ją usłyszeć z jej ust.

— Kokaina — powiedziała. — Mają tam na górze plantację. A my im dostarczamy żywność. — Mówiąc ostatnie słowa, odwróciła wzrok. Jonathan domyślił się, że chodziło też o inne usługi, jakie musiała świadczyć ta wioska niewolnic.

— Dlaczego stąd nie wyjedziecie? — zapytał Harvey.

— To są nasi synowie — odpowiedziała, jakby to była najoczywistsza rzecz na świecie. — Pracują albo umierają. My zostajemy albo oni umierają. Jeśli spróbują uciec, umierają. Dlatego pracują dla diabła.

— Jezu — wyjęczał Harvey.

Jonathan widział to już wcześniej w różnych zakątkach Trzeciego Świata. Przeciętny Amerykanin, przyzwyczajony do całodobowej telewizji kablowej i klimatyzacji, nie zdołałby pojąć cierpień pozostałych osiemdziesięciu pięciu procent ludzkiej populacji. My ścigamy za mowę nienawiści, a tymczasem reszta świata czyni ze swoich wrogów niewolników.

Jonathan głośno westchnął.

— Jeśli nam pomożecie, naprawimy to — zaoferował. — Pomóście nam, a sprawimy, że przestaną was krzywdzić.

Boxers zaczął się niespokojnie wiercić w krześle.

— Hmm, Skorpion? — odezwał się po angielsku. — Co ty wygadujesz?

Isabella zainteresowała się słowami Jonathana.

— Nie wiem, czy dobrze rozumiem.

— Część z nich zabijemy, a pozostali będą tak wystraszeni, że nie ośmielią się już nigdy więcej was krzywdzić.

— Musimy porozmawiać — nalegał po angielsku Boxers.

— Jest was tylko trzech — zauważyła Isabella.

— Ale jesteśmy mistrzami w swoim fachu — odparł Jonathan.

— Skorpion, dość!

Jonathan uderzył otwartą dłońią w stół.

— Cicho!

— Czy ty słyszysz, co wygadujesz? — nie dawał za wygraną Boxers. — Nie uważasz, że trzeba zwołać naradę?

Oczy Jonathana płonęły. Przeszedł na angielski.

— A jaki mamy wybór? Co chcesz, żebym zrobił? Mamy się podkraść, zabrać nasz cenny ładunek, a pozostałych zostawić na pastwę losu?

— Na tym właśnie polega moje zadanie — rzucił Boxers. — Taka jest misja. Mamy działać z chirurgiczną precyzją, zapomniałeś już? Jeśli wszystko się powiedzie, mamy się podkraść i zabrać chłopaka bez jednego wystrzału. A ty mi tu mówisz o prawdziwej wojnie.

Jonathan przekrzywił głowę.

— A od kiedy to wycofujesz się tuż przed wybuchem wojny?

— Od chwili gdy nauczyłem się liczyć i odkryłem, że trzech przeciwko całemu mnóstwu to zły pomysł. To nie jest nasza wojna.

— Ale nasza wojna pogorszy ich sytuację.

— I co z tego? Nasze wojny zawsze pogarszały czyjąś sytuację. Taki fach.

— Nie musi tak się stać. — Jonathan wstał. Lepiej mu się myślało, kiedy się przechadzał. — Sam powiedz, nie chciałbyś dokończyć tego, co już zaczęliśmy? Nie chciałbyś rozwiązać głębszego problemu i przywrócić sprawiedliwość?

Boxers się zmieszał.

— Czy my wciąż jeszcze rozmawiamy o Evanie?

— Przemysł to — ciągnął Jonathan. — Wietnam, Grenada, Mogadiszu, operacja Heavy Shadow, dwie wojny w Zatoce. Psia-  
krew, jeszcze Afganistan. Wpadaliśmy tam, robiliśmy swoje i znika-  
liśmy, pozostawiając bałagan. Wmawialiśmy sobie, że odnieśliśmy  
sukces, bo osiągnęliśmy swoje cele, a zostawialiśmy za sobą same  
nieszczęścia.

— O co ci chodzi z tym „my”? My wykonywaliśmy swoją ro-  
botę. My zostawialiśmy tam tak długo, jak było trzeba. Ale my byli-  
śmy tylko muskularni tych dupków z Waszyngtonu.

Jonathan złożył ręce tak, jakby niósł jakąś niewidzialną czarę.

— Nie rozumiesz? Myślisz tak samo jak ja. Waszyngton nie ma  
tu nic do rzeczy. Chodzi o nas. To my decydujemy, co robimy, a  
czego nie. I mamy szansę postąpić właściwie.

Boxers podniósł się. Isabella i Harvey poczuli się niepewnie.  
Gdyby doszło do wymiany ciosów, szybko mogłoby się zrobić nie-  
przyjemnie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie postawiłby choćby  
dolara na Jonathana.

— Jezu, Skorpion, dlaczego ty zawsze musisz wyciągać takie  
rzeczy? Dlaczego zawsze stawiasz przede mną jakieś pieprzone dy-  
lematy moralne? Ci ludzie mają pecha z racji urodzenia. To wina  
tego, co kręci kołem fortuny. Jakby je wcześniej zatrzymano, to ży-  
cie tych biednych popaprańców wyglądałoby inaczej.

A my nie naprawimy całego świata. Nawet gdybyśmy mieli dość  
amunicji, to nie zdołalibyśmy jej unieść i prędzej czy później jakiś  
zasraniec by mnie zastrzelił.

Harvey usiłował im przerwać, podnosząc dłoń.

— Chcesz powiedzieć, że...

— A ty się zamknij — warknął Boxers, grożąc mu palcem.  
Gdyby to był pistolet, Harvey już by nie żył.

Jonathan potwierdził kiwnięciem głowy, że byłoby lepiej, gdyby  
Harvey się nie wtrącał. Chciał wysłuchać Boxersa do końca. Cenił  
sobie uwagi Olbrzyma na temat swoich niekiedy pełnych donkiszote-  
rii planów.

— Co z małym Guinnem? — zapytał Boxers. — Zamierzasz  
ryzykować jego życie, żeby ocalić Trzeci Świat?

— Jego życie i tak jest zagrożone — odparł Jonathan.

— Dlatego tu jesteśmy. Jak myślisz, jak będzie łatwiej zabrać

go do domu? Wykradając go pod osłoną nocy czy wywołując prawdziwą wojnę? To był celny strzał. Jonathan chciał się spierać. Pragnął, żeby Boxers się mylił, i chciał walczyć o wolność tych ludzi. Ale Olbrzym miał rację. Evan Guinn był dla nich najważniejszy. Od niego wszystko się zaczęło i na nim miało się skończyć. Powinni zająć się wyłącznie misją. Kiedy indziej, w innych okolicznościach, z większymi siłami, mogli rozważyć sensowność walki.

Ale nie dziś.

— Możemy im dać zbędną broń — odezwał się Harvey, lekceważąc niebezpieczeństwo narażenia się Boxersowi i Jonathanowi.

Mężczyźni obrócili się jednocześnie w stronę Harveya.

— Broń, którą zostawiliśmy u stóp wzniesienia. Możemy ją zostawić w wiosce, niech walczą sami. My nie jesteśmy im potrzebni.

Boxers wyprostował się i podparł rękami pod boki.

— Tak po prostu? Zostawić broń miejscowym i zwać? Bez szkolenia? Tego cię uczyli w piechocie morskiej? — Roześmiał się pogardliwie. — To tłumaczy marne umiejętności strzeleckie marines.

— Będą potrafili tyle samo co ludzie, do których będą strzelać — stwierdził Harvey, lekceważąc przytyk.

— Albo dostarczą dodatkową broń bandytom — zauważył Jonathan. — Celowo lub niechcący. — Potrząsnął głową. — Nie miałem racji — przyznał. — To był głupi pomysł.

Harvey wstał z ławki.

— Wcale nie. Tak właśnie należy postąpić.

— Sanitariusz będzie mi tu decydował — zadrwił Boxers.

Harvey zrobił dwa kroki w kierunku Olbrzyma, wyciągając wysoko w górę szyję, żeby mu dorównać wzrostem.

— Tak, sanitariusz. Ten sam sanitariusz, który dopiero co uratował komuś życie. Ona ma teraz pięćdziesiąt procent szans na urodzenie dziecka. Poza tym miała pociętą twarz. Chcesz zobaczyć?

Boxers poszukał wzrokiem u Jonathana wsparcia, ale Jonathan nie zareagował.

— Chodź — nie ustępował Harvey, ciągnąc Boxersa za rękaw. — Chodź i rzuć okiem. Przekonaj się, czy warto o to walczyć.



Boxers uwolnił ramię.

— Nie muszę widzieć tego, co już wiem — powiedział. — Wi-  
działem wcześniej. Drugi raz nie muszę tego oglądać.

— Ale nie przeszkadza ci, że to się może znowu zdarzyć?

— Powstrzymanie ich nie jest naszym zadaniem. Naszym zada-  
niem jest wyrwanie z ich rąk chłopca.

— Białego chłopca — zadrwił Harvey. — Tak jak powiedziała  
Isabella. Kochamy białych, ale tylko dodaj im trochę barw, a już  
przestają cię obchodzić.

— Kim ty, do cholery, jesteś, żeby mnie pouczać? — warknął  
Boxers. — Nie masz pojęcia, co noszę w sercu. Nie masz pojęcia, co  
chcę, a czego nie chcę zrobić. Musisz za to wiedzieć, że profesjona-  
lista nie idzie za wskazaniem serca. Profesjonalista myśli głową. Nie  
wiem, skąd się biorą marines, ale tam, gdzie mnie szkolili, celem  
profesjonalisty było odrzucenie całego tego gówna i skoncentrowa-  
nie się na wykonaniu zadania. Jeśli mam zdechnąć w takiej zasranej  
dziurze, to tylko dlatego, że starałem się zrobić to, co do mnie nale-  
ży.

— A ci ludzie? — Harvey zatoczył ręką szeroki łuk. — Co z  
nimi?

— Na drugi raz słuchaj, a nie podsłuchuj — rzekł Boxers. —  
Moje zadanie ich nie przewiduje. Nie tym razem.

Harvey poddał się i zwrócił do Jonathana:

— Nie wycofuj się, szefie. Za pierwszym razem miałeś rację.  
Powinniśmy zrobić, co do nas należy. To oczywiste. Ale co się póź-  
niej stanie z mieszkańcami tej wioski? Przecież to oni zapłacą cenę  
za nasze zwycięstwo.

— Traktujesz ich jak niewiniątka — włączył się ponownie do  
boju Boxers. — Gówno prawda. Ci ludzie może nie są takimi potwo-  
rami jak tamci, ale też maczają palce w tym biznesie. Dobrze wiedzą,  
co tam się dzieje, i każdego dnia na to pozwalają.

— Bo są bezsilni! Nie mogą tego powstrzymać! — wykrzyknął  
Harvey.

Teraz do dyskusji wtrącił się Jonathan.

— Niezupenie. Olbrzym ma rację. W czasie drugiej wojny  
światowej Eisenhower obciążył ludność miejską odpowiedzialnością

za istnienie obozów koncentracyjnych. Sprzedawali w swoich sklepach żołnierzom żywność i utrzymywali w należytym porządku drogi, po których jechały transporty więźniów do obozów śmierci. To chyba Edmund Burke powiedział: „Dla triumfu zła potrzeba tylko, żeby dobrzy ludzie nic nie robili”.

— Zgadza się — rzekł Boxers. — Cieszę się, że mnie rozumiesz.

Jonathan spojrział na niego z poważną miną.

— Jesteśmy dobrymi ludźmi, Olbrzymie — powiedział, mrugnawszy — i musimy coś zrobić.

## Rozdział 36

Po zrobieniu Evanowi zdjęć El Jefe wyznaczył nowych strażników, którzy mieli zaprowadzić chłopca dalej w głąb dżungli, za skupisko chat będących chyba siedzibą działającego tu przedsiębiorstwa.

Evan nigdy wcześniej nie czuł się tak wyczerpany. Bolały go wszystkie mięśnie, a każdy cal kwadratowy skóry doświadczył ukąszeń Bóg wie ilu gatunków owadów. Z programów, które oglądał na History Channel i Discovery, wiedział, że w dżungli wciąż jeszcze panują czasy prehistoryczne, wciąż można spotkać mięsożerne rośliny i owady pijące galonami ludzką krew. Jak ludzie mogli tu egzystować, skoro trzy czwarte przyswojonych kalorii tracili na strząsanie z siebie robactwa albo drapanie swędzących po ugryzieniu miejsc?

Po kilku minutach wspinaczki dotarli na grzbiet wzgórza, skąd rozciągał się piękny widok. Rosło tu mniej drzew, więc można było podziwiać gęste poszycie zbocza kończącego się niewielką doliną, za którą wyrastało w niebo kolejne wzniesienie. Evan nie był dobry w ocenianiu odległości, ale podejrzewał, że od kolejnego szczytu dzieliło ich pół mili, może trochę więcej.

Gałęzie krzewów falowały, ożywiając okolicę. Evanowi przez chwilę wydawało się, że to wiatr, ale rytm był dziwny. Nienaturalny. Kiedy odkrył prawdę, serce podskoczyło mu do gardła. Okolica jakby żyła z powodu dzieci, które rozsiane pomiędzy krzewami, w poście czoła zrywały z gałęzi liście i upychały je do przewieszonych przez ramię worków.

Wśród pracujących widział tylko chłopców, a wśród strażników tylko mężczyzn — czasem nastoletnich. Dzieci miały na sobie resztki czegoś, co niegdyś było łachmanami biedaków. Niektóre były zupełnie nagie. Evan ocenił wiek robotników na osiem do czternastu lat.

Pojawienie się Evana zaskoczyło lekko przysypiającego żołnierza. Kiedy jeden ze strażników Evana zawołał go po imieniu, żołnierz podskoczył i zaczął się szarpać z karabinem — Evan poznał, że to AK-47 — ale rozpoznawszy w końcu przybyszy, uspokoił się. Strażnik, który go zawołał, był w eskorcie Evana od chwili pierwszego spotkania z Oscarem. Teraz urywanymi zdaniem i z wściekłością w głosie rугał śpiącego. Żołnierz przyjmował to bez słowa, ale wydawał się coraz bardziej przerażony.

Strażnik zakończył swój monolog mocnym pchnięciem w pierś. Żołnierz potknął się i runął na ziemię.

Evan nie zrozumiał z przemowy strażnika ani słowa, ale uchwycił kontekst. *Estupido* znaczyło po hiszpańsku pewnie to samo co angielskie *stupid*, czyli głupi.

Nie uszło jego uwagi, że strażnicy traktowali wszystkich innych znacznie surowiej niż jego. Nie to, żeby byli mili — daleko im było do tego. Raczej starali się go nie dostrzegać, a jeśli już, to tak jakby był psem albo meblem. Bez wątpienia cennym psem czy meblem.

Zadowolony z siebie strażnik poprowadził dalej kolumnę w stronę bezkresnego pola krzewów. Powiedział coś przez radio i znowu się zatrzymali. Kilka minut później z gęstwiny krzewów wyłonił się jakiś mężczyzna. Był bardzo wysoki, bardzo ciemny i nosił podobnie zszargane ubranie jak robotnicy, tyle że przy pasie miał zwinięty pejcz, a w rękę trzymał porządnie poobijany kij baseballowy Louisville Slugger.

Evan poczuł, że strach ścisną mu żołądek. Ten człowiek o lśniącej skórze i potężnych mięśniach musiał być zły. Wprost emanowało z niego zło, miał je wypisane na twarzy.

Przy nowo przybyłym agresywny dotąd strażnik wydawał się łagodnym barankiem. Z wymiany zdań między obu mężczyznami Evan wywnioskował, że mówią o nim, a wściekła mina czarnego wskazywała, że chłopiec nie jest tu mile widziany.

Strażnik położył rękę na ramieniu Evana i popchnął go w stronę czarnoskórego.

— Oto nasz książę — odezwał się czarnoskóry. W jego głosie słychać było sarkazm. — Witaj w swoim nowym domu. — Wyciągnął do Evana rękę.

Evan wyciągnął swoją. Zamierzał powiedzieć: „Miło mi pana poznać”, ale nim zdążył wykrztusić słowo, potężny uścisk zmiażdżył mu dłoń.

— Mam na imię Victor — powiedział. — A ty jesteś teraz mój. Będziesz robił, co każę. Jeśli będziesz zbyt powolny albo będę w podłym nastroju, oberwiesz pejcem. Jeśli spróbujesz uciec, połamie ci nogi kijem baseballowym. Masz jakieś pytania?

Evan nie mógł oderwać oczu od kija baseballowego i sposobu, w jaki mężczyzna go trzymał. Mówiąc o łamaniu nóg, zrobił potężny wymach, pokazując, że potrafi się nim posługiwać. Evan potrząsnął przecząco głową — takie milczące kłamstwo. Miał mnóstwo pytań — zżerała go ciekawość — ale doskonale wiedział, że w tym momencie jedynie poprawna odpowiedź brzmi „nie”.

— *Bueno* — rzekł Victor. Następnie powiedział coś szybko do strażnika. Strażnik roześmiał się i odszedł, obrzucając jeszcze Evana groźnym spojrzeniem, na które chłopiec w swoim mniemaniu nie zasłużył.

Victor próbował szturchnąć Evana kijem baseballowym w brzuch, ale chłopiec zgiął się w pół i odskoczył do tyłu. Victor roześmiał się.

— Dobry refleks — powiedział. — Przyda ci się w kontaktach z innymi robotnikami. Chodź.

Poprowadził go w dół zbocza, w gęstwinę krzewów. Jeśli to w ogóle możliwe, upał i wilgotność znacznie wzrosły. Większość krzewów była wyższa od Evana, a liście uniemożliwiały jakikolwiek ruch powietrza. Po minucie skórę miał błyszczącą od potu, który wabił owady.

— Co to za miejsce? — zapytał Evan.

— Twój dom.

Odpowiedź miała go wystraszyć, faktycznie tak się stało. Mimo to Evan postanowił nie okazywać strachu — nie chciał dawać swojemu porywaczowi satysfakcji.

— Chodziło mi o te krzaki — wyjaśnił. — Co to jest?

Victor uśmiechnął się drwiąco.

— Masz włosy jak dziewczyna.

— To nie jest odpowiedź.

— Chyba muszę ci je ściąć.

Evan spojrzał mu prosto w oczy.

— Jeśli będziesz chciał, to zetniesz. Nie jestem dość duży, żeby cię powstrzymać. — Prawdę mówiąc, z powodu upału, nie miałby nic przeciwko temu. Z ulgą przyjąłby bzyzcący dźwięk maszyny. Czuł jednak, że ci ludzie nie pozwolą mu ściąć włosów, nawet gdyby o to błagał. Nie wiedział dlaczego, ale bardzo im zależało na robieniu mu zdjęć. Pstrykali je już dwa razy, więc pewnie niedługo to się powtórzy.

— Słyszałeś takie powiedzenie, że pieniądze nie rosną na drzewach? — zapytał Victor.

Evan kiwnął głową.

— Te krzewy — Victor trącił je końcem kija baseballowego — są dowodem, że to nieprawda. Każdy liść tutaj jest jak jednodolaryowy banknot. A tam mamy euro. I ruble, i rupie, i peso. Dzięki naszej pracy ludzie się bogacą. — Zerwał kilka liści i wcisnął je do ręki Evanowi. — Masz.

Evan zacisnął dłoń. Wyglądały jak zwykłe liście — były zielone i owalne. Spojrzał na Victora.

Porywacz zerwał kilka liści dla siebie i włożył je do ust.

— Żuj liście. Ssij je. Poczuj się szczęśliwy. Poczuj się silny.

Evan przypomniał sobie miłą staruszkę z wioski wypływającą z ust kawałek papieru przypominający kształtem te liście.

— Nie, dziękuję. — Chciał oddać liście czarnoskóremu.

Victor sprawiał wrażenie urażonego.

— Liście koki. Bardzo dobre dla ciebie. Jak coca-cola.

A więc to było to. Produkowali tu kokainę. Evan oglądał kiedyś film dokumentalny na temat historii napojów gazowanych i przypomniał sobie, że na samym początku coca-cola zawierała kokainę. Nie dodawano jej już od dawna, ale teraz, sto lat później, ta wiadomość najwyraźniej jeszcze do Victora nie dotarła.

Evan rzucił liście na ziemię i otrzepał dłońe.

— Nie, dziękuję. — Nagle zobaczył przed oczami gwiazdy i poczuł eksplodującą falę bólu. To Victor uderzył go kijem w tył głowy. Chłopiec krzyknął i zgiął się w pół, łapiąc się za głowę.

Drugie, mocniejsze uderzenie w biodro powaliło go na kolana. Zwinął się w kłębek, oczekując kolejnego ciosu.

— Wstań! — polecił Victor.

Na wszelki wypadek z zamkniętymi oczami wyciągnął rękę, która miała go ochronić przed nowym uderzeniem.

— Stawaj na nogi, *chico*, bo naprawdę oberwiesz. Na razie tylko cię lekko klepnałem. — Szturchnął chłopca końcem kija, prowokując go do krzyku. — Wstajesz czy mam ci przyłożyć?

Zaskoczony niespodziewanym atakiem i bólem, Evan zaczął się zbierać. Wreszcie wstał, cały czas trzymając się za głowę.

— Kiedy każę ci coś zrobić, rób to — powiedział spokojnie Victor. Brzmiało to jak głos rozsądku. — A teraz podnieś liście, które ci dałem.

Liście, na szczęście, upadły na ścieżkę, którą tu przyszli. Na nie-szczęście wylądowały w błocie. Podnosząc je, Evan zauważył, jak brudne są jego ręce. Jakby nigdy ich nie mył. Pewnie dlatego nikt się tu nie mył.

Pokazał Victorowi trzy liście, rozkładając je palcami na dłoni niczym talię kart.

— Włóż je do ust — pouczył go Victor. — Przeżuj lekko, żeby zmiękły, a potem umieść tutaj. — Pokazał palcem miejsce między policzkiem a dolnym dziąsłem.

Evan przeżuwał posłusznie liście, choć miały okropny, gorzki smak. Po chwili poczuł, jak drętwieje mu język — niezupełnie tak jak po nowokainie u dentysty, chociaż podobnie.

— Tylko ich nie połknij — powiedział Victor. — Teraz możesz je umieścić przy dziąsłach.

Evan wypełnił polecenie, a Victor patrzył na niego wyczekująco.

— Jak się czujesz?

— Zdrętwiały mi usta — odparł. — Nie podoba mi się to.

— A co z głową? I z biodrem?

Jasna cholera, ból prawie zupełnie minął. Nie powiedział nic, ale można to było wyczytać z jego miny.

— Widzisz? — Victor uśmiechnął się. — Mówiłem, że koka dobrze ci robi. Chodź.

Ruszyli dalej. Po dobrej minucie zaczęli mijać pracujących ludzi. Było tak, jak się spodziewał. Wszyscy robotnicy byli młodymi chłopcami, on był wśród nich chyba najstarszy. Większość nawet

nie zauważyła, jak ich mijali; nieliczni posłali im zaciekawione spoj-  
rzenia i szybko wrócili do zrywania liści. Na lewo od siebie Evan  
zauważył, jak jakiś dzieciak z wypiętymi tuż nad ziemią pośladkami  
się załatwia. Co ciekawe, smród kału ginął we wszechobecnym odo-  
rze zgnilizny i rozkładu.

— Charlie! Gdzie jesteś chłopcze? — zawołał Victor. Evan do-  
piero po chwili uświadomił sobie, że porywacz krzyczał po angielsku.  
Ponieważ nie było żadnej odpowiedzi, Victor szturchnął kijem  
innego chłopca.

— Jesus — powiedział i chłopak podskoczył. Victor zapytał go  
o coś po hiszpańsku, na co chłopak wskazał ręką za siebie.

— Zostań tu — powiedział do Evana i cofnął się ścieżką kilka  
jardów. — Charlie! — zawołał ponownie. — Wylaż stamtąd.

Spomiędzy krzewów wyłoniła się postać mniej więcej dwunasto-  
letniego chłopca. Evanowi zamarło serce. To był ten sam, którego  
widział wcześniej załatwiającego potrzebę. Miał równie ogorzałą  
skórę jak pozostali, ale włosy brązowe, a nie czarne. Evanowi przy-  
szło do głowy, że kolor jego skóry był raczej wynikiem działania  
słońca, a nie genów. Chłopiec był też szczuplejszy od pozostałych.  
Porwane portki trzymały się na biodrach dzięki przewiązanemu w  
pasie sznurkowi. Był nieprawdopodobnie brudny i patrzył na nich  
tępo. Evan od razu poczuł do niego niechęć.

— Zobacz, Charlie, kogo ci przyprowadziłem — powiedział  
Victor, podprowadzając chłopca bliżej. — Jeszcze jednego, który  
mówi po angielsku. Charlie, podaj Evanowi rękę.

Chłopak posłusznie wyciągnął na powitanie dłoń, ale Evan się  
zawahał. Tamten miał brudne ręce, a tu nie używało się papieru toa-  
letowego.

W końcu wysunął zaciśniętą pięść. Przybili żółwika.

— Charlie, chcę, żebyś się zajął Evanem — powiedział Victor.

Charliemu wcale się ten pomysł nie spodobał. Rzucił kilka słów  
po hiszpańsku, ale Victor odpowiedział ostrym tonem. Po krótkiej  
przerwie Victor dodał coś jeszcze i Charlie skapitulował.

— Przez kilka pierwszych dni będziecie mieli jeden worek —  
wyjaśnił Victor. — Dzisiaj będziesz się uczył, Evan. Jutro będziesz  
współodpowiedzialny za to, żeby Charlie zebrał dwa razy więcej  
liści. Nie możesz nawalić. Pokaż mu, Charlie. — Victor zakręcił



palcem i Charlie obrócił się, pokazując blizny na plecach. Po chwili obrócił się z powrotem.

— Powiedz naszemu nowemu koledze, skąd się wzięły — zachęcił go Victor.

Charcie odchrząknął i ze spuszczoną głową powiedział:

— To od pejcza. Bo nie pracowałem wystarczająco szybko.

— *Exactamente.* — Victor uśmiechnął się. — Wielu ma tu blizny. Ja lubię robić blizny. — I jakby czytając w myślach Evana, pochylił się i spojrzał mu w twarz. — I nieważne, jak bardzo będą krwawić ci plecy, na zdjęciach zawsze wypadniesz dobrze.

Jonathan wraz z całą ekipą zgromadzili się wokół komputera, żeby przyjrzeć się zdjęciu satelitarnemu przesłanemu przez Venice specjalnym szyfrowanym łączem.

— Wspaniałe zdjęcia, Kwoko — pochwalił Venice przez radio Jonathan. — Nie zauważyłaś na nich jasnowłosego chłopca? — W centrum dowodzenia Venice dysponowała dziewięćdziesięciosześcioletnim monitorem o wysokiej rozdzielczości.

— Szukam — odparła. — Widzę te zdjęcia tak samo krótko jak ty.

Zdjęcia zostały zrobione zaledwie przed kilkoma minutami i przedstawiały plantację kokainy tak wielką, jakiej Jonathan nigdy wcześniej nie widział. Rozciągała się w trudnym terenie na powierzchni setek akrów i była tak zorganizowana, że Pablo Escobar mógłby jej właścicielom tylko pozazdrościć. Ponieważ nie było już potrzeby ukrywać się przed władzami, wprowadzono rozwiązania typowe dla legalnej działalności. Znajdowało się tam coś, co wyglądało na główną siedzibę, choć szczegóły trudno było rozpoznać z powodu gęstej roślinności. Udało im się jednak doliczyć czternastu krytych dachem budynków o różnych rozmiarach, z czego trzynaście postawiono w kwadracie wokół głównego cztery razy większego gmachu.

Na południowy wschód od tego miasteczka — dlaczego nie używać tej nazwy, skoro tak to miejsce wyglądało? — rozciągały się setki akrów krzewów koki, a pomiędzy nimi widać było dziesiątki krzątających się robotników. I choć stopień szczegółowości zdjęć był zdumiewający, to ta komercyjna wersja nowoczesnej techniki

dawała tylko widok z lotu ptaka. Bardziej zaawansowane wersje pozwalały na konwersję obrazu do poziomu ziemi, co umożliwiało rozpoznanie twarzy pojedynczego człowieka z odległości dwustu mil.

— Przybliż na trzydzieści stóp — poprosił wpatrzony w monitor Jonathan. — Chcę się przyjrzeć któremuś z robotników.

— Któremu?

— Wybór należy do ciebie.

Na laptopie też można było manipulować zdjęciem, ale łatwiej było to zrobić Venice. Obraz przesunął się do miejsca, gdzie z wysokości trzydziestu stóp widać było czterech robotników.

— Widzę dzieci — powiedział Harvey. — Wy też widzicie dzieci?

— Rusza cię to? — sprowokował Boxers.

— Wal się.

— To możliwe — warknął Jonathan. — Widzimy tam dzieci, Kwoko. A jak to wygląda na dużym ekranie?

— Boże, to straszne! — zawołała Venice.

Jonathan uznał to za potwierdzenie.

— Okay, cofnij na sto stóp. — Teraz prócz dzieci widać było na ekranie południowo-zachodni skrawek plantacji. Jonathan dotknął czubkiem długopisu punktu na ekranie. — Pokaż mi ten budynek. Z odległości dziesięciu stóp.

Kiedy obraz zaczął się poruszać, Boxers zapytał:

— Chcesz obejrzeć strzechę na dachu?

— Właśnie. — Budynek, który chciał zobaczyć, jako jedyny nie był zasłonięty przez korony drzew. Dzięki temu można było przyjrzeć się jego konstrukcji.

Gdy obraz znieruchomiał, a komputer skończył dostosowywanie rozdzielczości, ukazał się wyraźny widok chaty bez bocznych ścian. Tak jak się Jonathan spodziewał, dach był wykonany z liści palmowych.

— Dlaczego strzecha jest taka ważna? — zapytał Harvey.

— Bo dobrze się pali — odparł Boxers.

Harveya zamurowało.

— Co my właściwie zamierzamy zrobić?

— Wbrew oczekiwaniom zwyciężyć — rzucił Jonathan.

I zwrócił się do Venice: — Teraz pokaż mi wszystkie budynki.

— Szukamy czegoś konkretnego? — zapytała.

— Zbiorników z benzyną — odpowiedział. Mówił do mikrofonu, ale tak, żeby słyszał go też Harvey. — Produkcja kokainy to dziwaczny proces. Gdyby ludzie wiedzieli, jak to się robi, to nie wciągaliby tego świństwa. Najpierw udeptuje się liście, a potem moczy je przez chwilę w kwasie siarkowym. Dalej następują kolejne dwa czy trzy etapy produkcji i znów się liście moczy, ale tym razem w benzynie. Dlatego potrzebne jest dobre zaopatrzenie.

— Benzyna, tak? — odezwała się Venice. — Trzeba było od razu mówić. Spójrz na to. — Obraz przez chwilę zamigotał, zamienił się w negatyw, podskoczył kilka razy, a potem się obrócił.

— Co się dzieje? — zaniepokoił się Harvey.

— To cała Venice — odparł Boxers.

— Z czasem zrozumiesz, że nie należy zadawać pytań — dodał Jonathan. — Najlepiej siedzieć cicho, dopóki nie skończy. Jest taka dobra w komputerowych sztuczkach, że nawet elektrony jej się boją. — W oczekiwaniu na show, jaki zawsze towarzyszył komputerowym wyczynom Venice, Jonathan odłączył słuchawkę od radia i podłączył radio do głośników laptopa.

— Nie obgadujcie teraz Venice — powiedział — bo nas słyszy.

— Cha, cha, cha. Bardzo śmieszne — rozległ się jej głos.

Słyszeli stukot klawiszy jej komputera, zmieniały się barwy i obrazy na ekranie. Pierwsza część tego oszałamiającego pokazu była wycieczką po całej okolicy. Jeden po drugim następowały zbliżenia kolejnych fragmentów. Na jednym z takich zbliżeń pojawiła się żółtopomarańczowa aura.

— Jest! — triumfalnie wykrzyknęła Venice.

— Co jest? — zapytał Jonathan.

— Zaczekaj.

Główny budynek się oddalił. Zza zasłony koron drzew widać było tylko zarysy budowli. Venice przeskakiwała z jednego budynku na drugi, zatrzymując obraz na sekundę lub dwie, i przechodziła do kolejnego. Po kilku takich kolejnych zbliżeniach i oddaleniach zatrzymała obraz na jednej z chat, chyba najmniejszej ze wszystkich. Zrobiła zbliżenie i na ekranie pojawiała się podobna żółta aura.

— To są twoje zbiorniki z benzyną — obwieściła.

Boxers roześmiał się.

— Powiesz nam, skąd to wiesz? — zapytał Jonathan. Nie podawał w wątpliwość jej odkrycia — Venice zawsze miała rację — chciał tylko wiedzieć, jak do tego doszła.

— Zapomniałeś, do jakich celów został stworzony SkysEye? — zapytała.

Pojął w lot. Faktycznie, zapomniał.

— Do poszukiwań ropy — powiedział.

— Bingo. Program został stworzony do poszukiwania ropy naftowej. Nie pytajcie, jak to działa, liczy się wynik.

— Niech mnie diabli! — zawołał zachwycony Harvey.

— Mówiłem ci, że jest dobra. — Jonathan uśmiechnął się.

Venice kontynuowała:

— Ta pierwsza żółta plama to była benzyna w procesie produkcji. Pomyślałam, że będzie ją łatwiej znaleźć, a największy budynek to na pewno wytwórnia. Musiałam zobaczyć, jaki obraz daje parująca mocno benzyna, żeby potem poszukać zbiorników, gdzie parowanie jest mniejsze.

— Niech mnie diabli! — powtórzył Harvey. — Skoro już wiemy, gdzie są zbiorniki, to co zamierzamy z nimi zrobić?

Jonathan i Boxers spojrzeli na siebie i jednocześnie odparli:

— Wysadzić w powietrze.

Jonathan rozwinął myśl.

— Musimy wykonać dywersyjną robotę, żeby wydostać stamtąd nasz cenny ładunek. Jeśli strażnicy będą mieli do wyboru ratować jedno dziecko albo całą wytwórnię, jest szansa, że osiągniemy sukces.

— Skoro mowa o przełomie — odezwała się Venice nieoczekiwanie lekkim tonem. — Zaraz wam coś pokażę. — Ekran zamigotał w czasie odświeżania i po chwili znów patrzyli na wyraźny obraz plantacji.

Niewiele się zmieniło. Robotnicy pracowali, cienie przez nich rzucone były ostre. Ale kiedy zaczęła robić zbliżenie, Jonathan w oczekiwaniu na wynik poczuł lekkie łaskotanie w żołądku. Czy to możliwe, żeby znalazła w tym tłumie Evana?

Odpowiedź poznał w tej samej chwili, gdy dostrzegł jasne włosy.

— Jasna cholera, to on, prawda?! — zawołał, wskazując palcem ekran.

Chłopiec stał z wysokim czarnym mężczyzną i drugim dzieckiem. Obraz był nieruchomy, więc trudno było stwierdzić to z całą pewnością, ale chyba ze sobą rozmawiali.

— Powiększ to maksymalnie.

Wiedział, że przesadził. Gdyby Venice posłuchała polecenia, mógłby policzyć piegi na ramionach chłopca. Jednak Venice zrozumiała dobrze, o co mu chodzi, i zrobiła odpowiednie zbliżenie.

— Widzę białego chłopca z długimi blond włosami — powiedział Boxers. — Zobaczcie, jakie ma spalone przez słońce ramiona. To jest ktoś, kto nie jest przyzwyczajony do takiego skwaru. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent to on.

Jonathan zgodził się z nim.

— Potwierdzam — powiedział. — W takim razie pora ruszać. Kwoko, czy możesz go jakoś naznaczyć i śledzić jego ruchy?

Cisza.

— Jesteś tam? — zapytał Jonathan.

— Jestem — potwierdziła. — Po prostu nie wiem, co ci odpowiedzieć. Ciepła wydziela tyle samo co inni. Mogę go śledzić wzrokiem, ale po zmroku go zgubię.

— Chrzańić to — odezwał się Boxers. — Wiemy już, że tam jest. Najpierw wprowadzimy element drobnego chaosu, a potem go znajdziemy.

— Będzie duże zamieszanie — zaproponował Jonathan. — Nie chcę szukać chłopaka wśród biegających dookoła ludzi.

— W takim razie znajdziemy go przed wysadzeniem zbiorników. Wypatrzymy go i wtedy zrobimy bum.

— I będziemy jedynymi poruszającymi się obiektami w obozowisku. Nie jestem taktykiem jak wy, chłopcy, ale to brzmi strasznie.

Boxers roześmiał się.

— Strasznie? Przecież wiesz, jak wygląda wojna, nie?

— Mam — odezwała się Venice.

Wszystkie głowy obróciły się w stronę komputera.

— Co masz? — Jonathan zadał pytanie w imieniu wszystkich.

— Wiem, jak go śledzić po zmroku, pod warunkiem że się gdzieś nie schowa. Problem nie w złapaniu śladu wydzielanego przez niego ciepła, tylko w wyeliminowaniu identycznych śladów innych.

Jonathan spojrział na Boxersa.

— Zrozumiałeś coś z tego?

— Absolutnie nic.

Jonathan uśmiechnął się.

— Ani ja.

— To proste — ciągnęła Venice. — Normalnie ślad ciepła ma służyć do odróżnienia jednego celu od drugiego. Ta metoda nie działa w populacji, gdzie wszyscy mają temperaturę około trzydziestu siedmiu stopni Celsjusza. Ale można nauczyć komputer ignorować wszystkie identyczne obiekty prócz jednego.

— Teraz rozumiem — powiedział Jonathan. Nie był pewien, czy rzeczywiście rozumie, ale bez słowa przeciągnął palcem po szyi, dając pozostałym znak, że mają nie drążyć tematu. Skoro Venice powiedziała, że to możliwe, to znaczy, że tak jest. Zrozumienie wszystkich jak i dlaczego nie było teraz istotne.

— To nie zajmie dużo czasu — powiedziała Venice. — Najpierw określę współrzędne każdego z celów i wprowadzę je do wazszego sprzętu. Nie chcę, żebyście się zgubili w ciemnościach.

Jonathan uśmiechnął się. Technologia wojskowa bardzo się zmieniła ostatnimi czasy, i nie chodziło tylko o uzbrojenie. Sama istota walki pozostała ta sama. Nadal trzeba było naszpikować ciało człowieka ołowiem, żeby go zabić, tyle że teraz robiło się to z większą dokładnością i skutecznością. Największe zmiany dotyczyły całej otoczki walki. Kiedy Venice skończy wprowadzać dane, będą dysponować dokładnymi współrzędnymi wszystkich ważniejszych obiektów w obozowisku. W pochmurną, mglistą noc przy zerowej widoczności będą dzięki nim mogli dotrzeć do celu, a potem wrócić. To był zupełnie nowy świat, jeśli chodzi o nawigację lądową.

Kiedy Venice pracowała przy swojej cyberprzestrzennej sztaludze, Jonathan wraz ze swoją ekipą dopracował plan ataku. Biorąc pod uwagę ograniczone rozpoznanie, musiał być prosty. Wedrzeć się, przeprowadzić dywersję, wycofać się. Każdy uzbrojony przeciwnik miał być bez wahania eliminowany. Nieuzbrojonych

należało zostawić w spokoju pod warunkiem, że nie wejdą w drogę.

— Pod względem taktycznym ty, Boxers, odpowiadasz za materiały wybuchowe. Harvey, ty jesteś sanitariuszem. Ja dowodzę i decyduję o każdym posunięciu. Trzymamy się razem i nawzajem osłaniamy, ale kiedy cenny ładunek znajdzie się w naszych rękach, niezwłocznie zabieramy go do samochodu. Jeśli zostaniemy rozdzieleni, ten, który dotrze do samochodu z Evanem, natychmiast odjeżdża na miejsce, skąd nas zabiorą do kraju. To dlatego mamy dwa samochody. Kiedy cenny ładunek będzie już bezpiecznie odtransportowany, a my zostaniemy rozdzieleni, możemy trochę poimprovizować. — Spojrzał na Harveya. — Jesteś nowy w zespole, więc musisz poznać zasady. Nie zostawimy cię, jeśli będziesz żywy, chyba że to będzie jedyny sposób na bezpieczne odtransportowanie cennego ładunku. Rozumiesz?

— My z piechoty morskiej też nie lubimy zostawiać ludzi na pastwę losu — powiedział Harvey.

Jonathan kiwnął głową.

— Ale nie zaszkodziło o tym wspomnieć. — Popatrzył na zegarek. — Jest piąta dwadzieścia osiem. Do zachodu słońca mamy pięćdziesiąt sześć minut, wtedy ruszamy. W trzy godziny powinniśmy dotrzeć do obozowiska, no a potem czeka nas noc pełna wrażeń. Tak czy inaczej za jakieś jedenaście godzin powinniśmy zniknąć z tego pieprzonego kraju.

## Rozdział 37

— Wypluj to gówno — powiedział Charlie, kiedy Victor w końcu odszedł. — Pomiesza ci w głowie. Oni wszyscy są tu i tak na wpół stuknięci. Więcej wariatów nie potrzeba.

Evan zakrzywionym palcem wyjął z ust liście o dziwnym smaku.

— Jak ty to robisz, że cię nie bije?

Mina Charliego mówiła: Daj spokój.

— Pamiętasz blizny? To znaczy, że wcale nie jestem taki dobry.

— Podszedł do jednego z nielicznych rosnących tu drzew i zerwał z niego kilka zielonych listków. — Ssij to.

— Co to jest?

Charlie wzruszył ramionami.

— Nieważne. Jak je przeżujesz, będą wyglądać tak samo, a ty poczujesz się lepiej.

Evan z wdzięcznością przyjął liście i włożył je do ust w miejsce liści koki.

— Dlaczego się tu znalazłeś?

— Lepiej bierzmy się do roboty — powiedział Charlie. — To nic trudnego. Po prostu zrywaj liście i wkładaj je do worka. — Zademontrował. Jednym pociągnięciem kciuka i wskazującego palca mógł oczyścić całą gałązkę.

Evan powtórzył ruch i zaczął machać ręką poparzoną od tarcia.

— To boli.

— Zgadza się. Na razie możesz zrywać normalnie, póki się skóra nie przyzwyczai. Za kilka tygodni nic nie będziesz czuł.



Evan zdębiał.

— Kilka tygodni? Nie zamierzam tu zostać kilka tygodni.

Charlie zachichotał.

— Co w tym śmiesznego?

— Nic. Po prostu wszyscy tak mówią. I nikt nie odchodzi. W każdym razie nie tak, jakby sobie życzył.

— Dlaczego?

Charlie zerknął na niego, nie przerywając zbierania.

— Lepiej zajmij się zrywaniem. Ten pejcz boli jak cholera. — Wyciągnął szyję, żeby sprawdzić, czy nie są obserwowani. — Nikt nie odchodzi, bo nie ma dokąd. Przyszędłeś tu piechotę, prawda? Widziałeś jakieś miejsce, dokąd można by uciec?

— Mogę pójść na policję.

Tym razem Charlie wybuchnął głośnym śmiechem.

— Nie trudź się, sami tu przyjdą. Wciąż się pojawiają. I nie rób sobie nadziei. Nawet nie pomyśl o tym, żeby ci pomóc. Przychodzą tu po łapówki od szefów, po trochę towaru, i po to, żeby przelecieć dziewczyny w wiosce. To taki miejscowy Disneyland. Pieprzony park rozrywki. Pójdiesz na policję, a oni cię przyprowadzą z powrotem. A wtedy czeka cię poważna rozmowa z Victorem i jego zabawkami. Wierz mi, nie masz dokąd pójść. Lepiej zacznij się przyzwyczajać.

Evan czuł, jak strach znowu zaczyna ścisnąć mu żołądek.

— Jak długo tu jesteś?

Charlie wzruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia. Miałem dziesięć lat, kiedy moi rodzice zginęli podczas napadu w Bogocie. Przez jakiś czas krążyłem od sierocińca do sierocińca, aż w końcu wylądowałem tutaj. To było dawno temu. Naprawdę nie wiem jak dawno. Tu nie obchodzi się żadnych świąt. Ani urodzin, ani Bożego Narodzenia. A pogoda się nie zmienia. Więc skąd mam wiedzieć? Ile masz lat? Jesteśmy tego samego wzrostu.

— Trzynaście — odparł Evan.

Charlie przerwał pracę i przyjrzał mu się. Rumieniec odpląnął z jego twarzy.

— Trzynaście? Naprawdę?

Evan skinął głową.

— Nie jesteś za niski jak na swój wiek?

— Nie — odpowiedział Evan i zaraz pomyślał, że może lepiej było skłamać.

Charlie uciekł ze spojrzeniem. Przez dłuższą chwilę nic nie robił i nie odzywał się. Wreszcie wrócił do pracy, ale stał odwrócony do Evana plecami.

Evan czuł się strasznie. Jak Charlie mógł spędzić tu trzy lata, nie zdając sobie z tego sprawy? Naprawdę nie wiedział, ile czasu upłynęło? Evan nie powinien był się odzywać.

— Dlaczego tak dobrze mówisz po angielsku? — zapytał.

— Moi rodzice byli Amerykanami — odparł Charlie. Miał chropowaty głos. — Jestem potrzebny Victorowi, kiedy pojawia się ktoś taki jak ty.

Żołądek Evana ścisnął się jeszcze mocniej.

— Ktoś taki jak ja?

Charlie zbył to milczeniem.

— Co miałeś na myśli, mówiąc o kimś takim jak ja?

Charlie potrząsnął głową.

— Zapomnij, że coś mówiłem.

— Trochę na to za późno.

Charlie ponownie przerwał robotę i spojrzał Evanowi w oczy.

— Oni mogą dostać kupę forsy za amerykańskie dzieciaki, które wyglądają tak jak ty.

Evan nie rozumiał. A może nie chciał rozumieć.

— A jak ja wyglądam?

— Przejrzyj się w lustrze, to zrozumiesz.

Evan szturchnął go. Charlie stracił równowagę, ale się nie przewrócił.

— Mów, do cholery!

Kara pojawiła się zniecka. Charlie uderzył Evana otwartą dłonią w ucho z taką siłą, że ten upadł na ziemię.

Charlie podszedł i spojrzał na niego. Oczy miał zaczerwienione i wilgotne. Zdawało się, że brakuje mu tchu.

— Jesteś biały, głupi kutasie! — wrzasnął. — Jesteś biały i wyglądasz jak dziewczyna. Są ludzie, którzy płacą kupą forsy za chłopców przypominających dziewczynki. Wiesz, o czym mówię?

Evan nie ruszał się z ziemi, czekając, co nastąpi. Przez dłuższy czas Charlie stał nad nim w bojowej pozycji, z jedną nogą wysuniętą przed siebie i rękami uniesionymi do walki. W pewnej chwili

oprzytomniał. Opuścił ręce i przygarbił się.

— Pamiętaj, że to ty pytałeś — powiedział łagodnym tonem.

A potem wrócił do pracy.

Evan podniósł się i otrzepał ubranie.

— Przepraszam, że cię przepytywałem — wymamrotał.

Charlie nie przerwał zrywania liści. Obrócił się i powiedział:

— Szkoda, że nie potrafisz walczyć. — Szeroki uśmiech oznaczał, że to był żart. Między chłopcami zaczęła się rodzić przyjaźń.

Na odgłos serii z broni maszynowej Evan podskoczył, a potem padł na ziemię.

Widząc to, Charlie zaczął się śmiać tak głośno, aż się zakrztusił.

— Oni nie strzelają do ciebie — wyjaśnił i poprawił pasek, na którym wisiał worek z liśćmi.

— W takim razie do kogo?

— Do nikogo — odparł Charlie i ruszył przed siebie. — Chodź. Czas na obiad.

Wypełniony liśćmi worek był wielki i ciężki. Charlie ciągnął go z mozołem za sobą.

— Pomóc ci? — zapytał Evan.

— Nie, dzięki. Victorowi to by się nie spodobało. Wkrótce dostaniesz własny.

Evan szedł obok Charliego. Dotarli na szczyt wzniesienia, a potem zaczęli schodzić do obozowiska. Kiedy podeszli bliżej, zapach obiadu mieszał się ze smrodem benzyny i odorem zgniłych jaj. Ta mieszanka aromatów zniechęcała do jedzenia. Dotaszczyli worek do dużego budynku pośrodku obozowiska, gdzie przed starą zardzewiałą wagą, jaką można czasem spotkać w gabinecie lekarskim, tyle że większą, ustawiła się kolejka robotników.

Każdy z chłopców po kolei kładł swój worek na wadze. Jeden z mężczyzn przesuwiał odważnik na skali, a potem notował ciężar na kartce. Oczekując na swoją kolej, Evan rozejrzał się i zauważył, że wszyscy chłopcy mieli na plecach blizny po uderzeniach pejczem. Niektórzy mieli ich więcej od pozostałych, ale widać było, że nikomu nie udało się umknąć przed Victorem i jego zabawkami. Wokół panowała nienaturalna cisza. Evan zastanawiał się, czy przypadkiem

rozmowy nie są tu zakazane, ale nie ośmielił się zapytać ze strachu, że może to okazać się prawdą.

Dla zabicia czasu zaczął przyglądać się wewnętrznej stronie swoich dłoni. Były obolałe i lepiące — nie wiedział tylko, czy od popękanych pęcherzy, czy może od soku rośliny. I tak był zadowolony, że posłuchał Charliego i zrywał liście palcami, zamiast przeciągać dłonią po gałęziach, jak to czynili pozostali. Gdyby tego nie zrobił, pewnie miałby skórę zdartą do kości.

Nareszcie znaleźli się na początku kolejki. Charlie wrzucił worek na wagę. Mężczyzna z drugiej strony przesunął na suwaku odważnik i powiedział coś po hiszpańsku. Charlie grzecznie odpowiedział i mężczyzna się uśmiechnął. Jeszcze kilka słów i byli wolni.

— Co on powiedział? — zapytał Evan.

— Powiedział, że ciężko dziś pracowałem. — Charlie zachichotał. — Nie wspomniałem mu, że pracowałeś ze mną.

Evan poczuł dumę, że dobrze się spisał, pomagając swojemu nowemu przyjacielowi, ale radość szybko prysła, kiedy zdał sobie sprawę, co go czeka. Miał być sprzedany jakiemuś gwałcicielowi.

Nie, to nie może się zdarzyć. Nie widział jeszcze, co zrobić, żeby tego uniknąć, ale musiał coś wymyślić. Przypomniał sobie słowa pana Jonathana z jednej z ciekawych pogadarek na temat postępowania wobec obcych: „Lepiej umrzeć na ulicy, niż dać się wciągnąć do samochodu”.

No, niech tylko ktoś spróbuje wymachiwać przed nim kutasem. Tak czy inaczej na podłodze będzie dużo krwi.

— A teraz powiem ci, jak wygląda obiad — tłumaczył Charlie, kiedy zbliżali się do środka obozowiska, gdzie ktoś rozpalił kilka gazowych grilli. — Bierz, co ci dają, i uśmiechaj się. Victor ma fioła na punkcie okazywania wdzięczności. Kiedy już dostaniemy jedzenie, podchodzimy do jednego ze stołów i jemy. Jedz wszystko, co dasz radę przełknąć. Jeśli następnego dnia nie będziesz pracował, to zostaniesz pobity i nikogo nie będzie obchodziło, że zemdlałeś z głodu. Jedz wszystko, co możesz, rozumiesz?

Evan skinął głową. Im bardziej się zbliżali, tym bardziej cuchnęło.

— Co oni gotują?

— Lepiej nie pytaj — odparł Charlie. — Za pytanie też możesz oberwać, a co gorsza, dostaniesz odpowiedź. Ręczę ci, że nie chciałbyś wiedzieć.

Rząd grilli służył za przegrodę pomiędzy różnymi grupami w obozowisku i oddzielał dorosłych zgromadzonych wokół głównej chaty od robotników. Charlie wskazał drogę. Wziął plastikowe tace — podobne do tych ze stołówki w Resurrection House — i wręczył jedną Evanowi, a drugą zatrzymał dla siebie. Charlie podszedł do kucharza pierwszy i bez słowa wyciągnął przed siebie tacę. Kucharz położył na niej kawałek mięsa, a do kubka nalał jakiegoś żółtego paskudztwa. Charlie uśmiechnął się grzecznie i podszedł do rzędu rozpadających się plastikowych stolików ogrodowych.

Evan wiernie naśladował jego postępowanie, wkładając całą energię w to, żeby nie okazać obrzydzenia na widok kawałka zwierzęcej nogi, która wylądowała na jego tacy. Ta noga miała jeszcze pazury. Teraz przyszła kolej na kubek z dziwnym paskudztwem. Kiedy się temu lepiej przyjrzał, stwierdził, że być może to, co tam pływa, to kukurydza. Niech będzie, że to kukurydza, powiedział do siebie. Lubił kukurydzę. Jeśli przekona sam siebie, że lubi to świństwo, to może uda mu się je wypić i nie zwrócić.

Charlie podszedł do stolika, który nie był jeszcze zajęty. Evan usiadł naprzeciw niego.

— Lepiej nie rozmawiaj za dużo z innymi robotnikami — poradził Charlie. — Oni nie lubią gringo. Gringo zabili mnóstwo ich krewnych. Mówienie tu po angielsku to problem, a niemówienie po hiszpańsku to wielki problem.

— Ale ty mówisz po angielsku.

— A widzisz wokół mnie grono przyjaciół? Te dupki wiedzą, że nie jestem jednym z nich. Wiedzą, że nie cmoktam tego ich zieliska i żyję po swojemu. Nie podoba im się to. — Odgryzł kawałek mięsa i skrzywił się, czując jego smak. — Na ich miejscu też bym nie lubił takiego jak ja.

Evan nie wiedział, co odpowiedzieć, więc milczał. Podniósł swój kawałek mięsa i powąchał. W końcu zamknął oczy i ugryzł.

O Chryste, musi się stąd wydostać.

Evan zdawał sobie sprawę, że jest uważnie obserwowany i mówi się na jego temat. Chłopcy przy sąsiednich stolikach wyciągali szyje, żeby go lepiej widzieć. Ci, którzy byli dalej, nawet wstawali od stołu.

— Czujesz się jak w zoo, co? — zauważył Charlie.

— Po niewłaściwej stronie ogrodzenia — stwierdził Evan. — Wszyscy milczą. Same dzieci w jednym miejscu, należałoby się spodziewać harmidru.

— To przez to zielsko — powiedział Charlie. — Dlatego każą wszystkim je żuć. To gówno robi papkę z mózgu. Wydajniej pracujesz i nic cię nie obchodzi. No i śpisz dobrze.

Evan nadstawił uszu.

— Sen? Co ze snem?

— Śpi się w tych chatach. — Wskazał cztery stojące w szeregu chaty, które różniły się od pozostałych tym, że miały ściany i były wyższe. Pięć stóp nad podłogą znajdował się rząd okien zabezpieczonych drucianą siatką. — Zamykają nas tuż przed zmrokiem, a wypuszczają, kiedy wszędzie słońce.

Evanowi zaczęło szybciej bić serce. Nie cierpiał co prawda na klaustrofobię, ale myśl o zamknięciu w jednym pomieszczeniu z niechętnymi mu obcymi — i to po ciemku — była niczym scena z sennego koszmaru.

— A jak zachce ci się w nocy sikać?

Charlie odpowiedział z ustami pełnymi jedzenia:

— Staram się powstrzymać. Ale jeśli trzeba, to w kącie stoi beczka. Jedną z kar jest sprzątanie tej beczki. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby komuś udało się przy tym nie zwymiotować.

Tego było już za wiele. Musiał stąd uciec. Może zginie podczas próby ucieczki, ale nie wyobrażał sobie życia tutaj.

Nagle w obozowisku zrobiło się duszno, jakby ktoś wyssał całe powietrze.

— Oho — odezwał się Charlie. — Przemówienia nie wróżą niczego dobrego.

Evan wychylił się i zobaczył Victora stojącego obok grilla, podpierającego się pod boki. Z daleka wyglądał jeszcze groźniej niż z bliska. Jego skóra błyszczała w świetle zachodzącego słońca. Nie odzywał się, póki w obozie nie zapadła cisza.

Zaczął mówić tubalnym głosem. Choć Evan nie rozumiał słów, wiedział, że są ważne. Już po kilku sekundach wskazał palcem Evana i wypowiedział jego imię.

Evan spojrział na Charliego.

— Mówi, że jesteś gościem specjalnym. Ale wcale tak nie myśli. Żartuje sobie z ciebie.

Wszystcy jak jeden mąż obrócili się, żeby mu się przyjrzeć.

— Mówi, że nie można ci ufać. — Charlie mu z trudem przychodziło tłumaczenie, tak jakby starał się interpretować słowa, zamiast je po prostu przekładać. Po kilku sekundach dał sobie spokój i zaczął tłumaczyć normalnie.

— Pana Evana Guinna nie wolno skrzywdzić. Nie wolno robić żadnych znaków na jego twarzy. Nie mówi w naszym języku, więc głupotą będzie próba rozmawiania z nim. Ponieważ jest specjalnym gościem, nie będzie pracował tak ciężko jak reszta z was, ale będzie mieszkał z wami.

— Co on, do cholery, wyprawia? — syknął Evan.

Charlie go uciszył. Dostatecznie trudno było tłumaczyć jedną osobę, brakowało czasu na odpowiadanie drugiej.

— Uważnie go obserwujcie — tłumaczył dalej Charlie. — Jest dla mnie więcej wart niż którykolwiek z was. Jeśli stanie mu się krzywda, ukarzę was okrutnie.

Na poparcie ostatnich słów zamachnęła się kijem baseballowym.

— Jeśli ucieknie albo ktoś po niego przyjdzie, zrobię wam krzywdę. Jeżeli nie wróci, jeden z was będzie musiał umrzeć tylko dlatego, że będę bardzo zły.

Evan czuł, że zaczynają płonąć mu uszy. Victor tak to urządził, że teraz wszyscy będą go nienawidzili.

— Nasz nowy lokator ma przyjaciół, którzy będą próbowali wszystko nam odebrać. Pewnego dnia, niedługo, mogą spróbować zabić mnie i was wszystkich. Mogą się przed wami usprawiedliwiać, ale wszystko, co powiedzą, będzie kłamstwem. Kiedy przyjdą ci cudzoziemcy, będą chcieli zabrać Evana, a jeśli im się uda, to wy też możecie zginąć. Będzie tak jak kiedyś, kiedy Amerykanie zabijali waszych ojców i matki.

Victor dla lepszego efektu przerwał i zaczął przechadzać się wzdłuż stołów. Zatrzymał się obok Evana, który spojrział na niego spode łba. Victor nieoczekiwanie chwycił chłopca za ucho i zmusił

do wstania. Evan zaskowyczał i złapał Victora nadgarstek.

— Co zamierzacie zrobić, jeśli ci ludzie przyjdą po Evana?

Przez kilka sekund wszyscy milczeli, aż wreszcie wstał jakiś chłopiec. Musiał mieć nie więcej niż dziesięć lat.

— *Mataremos* — powiedział.

Pozostali zaczęli wiwatować.

Victor przyłożył wolną rękę do swojego ucha i pochylił się. Powiedział coś i wszyscy jednocześnie zawołali:

— *Mataremos!*

— Co? — Victor pochylił się jeszcze bardziej.

— *MATAREMOS!* — krzyczeli chłopcy. Victor puścił ucho Evana i popchnął go z powrotem na ławkę. Wokół słowo, którego nie rozumiał, brzmiało jak pieśń.

— *Ma-ta-re-mos, ma-ta-re-mos...*

Charlie wyglądał na zakłopotanego. Na milczące pytanie Evana odpowiedział:

— Zabijemy ich.



## Rozdział 38

— Skorpion, tu Kwoka.

Jonathan wcisnął guzik mikrofonu na kamizelce.

— Cześć. — Cała trójka wspinała się na wzniesienie, które jakby nie miało końca. Prowadził Jonathan, a pochód zamykał Boxers. Panowały prawie zupełne ciemności, ale dzięki noktowizorom noc miała dla nich zielony blask. GPS wskazywał, że przeszli dwie mile od wioski. Z każdym kolejnym krokiem Jonathan mocniej zaciskał dłoń na kolbie swojego M4. Palec trzymał jeszcze z dala od języka spustowego, ale w każdej chwili gotów był do walki.

— Mam dobre wiadomości z Alaski — powiedziała Venice. — Wolverine pokazała, co potrafi. Nasi przyjaciele lecą teraz specjalnym samolotem. Podobno są cali i zdrowi, a misja zakończyła się sukcesem.

Jonathan uśmiechnął się.

— Warto będzie posłuchać tej historii.

— Ja część już znam — pochwaliła się Venice.

— Nie mogę się doczekać. A masz jakieś dobre wieści dla nas?

— Mam. Chyba udało mi się ustalić miejsce pobytu naszego cennego ładunku. Jest w budynku Golf. To chyba rodzaj sypialni, sądząc z liczby obecnych tam osób.

Bez patrzenia na mapę czy do komputera Jonathan wiedział, że chodzi o trzecią chatę na wschodnim skraju obozowiska. Zatrzymał się i czekał, aż pozostali do niego dołączą. Boxers i Harvey mieli taki sam sprzęt, ale to Jonathan jako dowódca miał łączność z Fisherman's Cove.

— Jesteś pewna? — zapytał.

— Na sto procent widziałam, jak wchodzi do budynku Golf. Później wiarygodność przekazu spada — powiedziała Venice. — Będę sprawdzała wychodzących, ale w takim wypadku nie ma sposobu, żeby się dowiedzieć, kto kim jest.

— Przyjąłem — odparł Jonathan. — My przeszliśmy dwie mile. Potwierdzasz?

— Potwierdzam. Ale jest pewien kłopot. W obozie jest jasno jak w dzień. Porównałam to ze zdjęciami z wczoraj. Wygląda na to, że te reflektory to nowość.

— To znaczy, że się nas spodziewają — szepnęła Boxers. — Pieprzony Josie.

— To znaczy, że się czegoś spodziewają — poprawił go Jonathan i włączył mikrofon: — Znalazłaś generator?

— Chyba tak — odparła Venice. — Mam źródło ciepła o temperaturze około dwustu sześćdziesięciu stopni. Taka jest temperatura zapłonu benzyny. Generator jest przy zachodniej ścianie głównego budynku. Problem w tym, że to miejsce jest doskonale oświetlone. Nie uda wam się do niego podejść.

— A jakby go unieruchomić snajperskim strzałem? — zapytał Harvey.

Jonathan pokręcił głową.

— My strzelamy z broni kalibru pięć pięćdziesiąt sześć milimetra, a ty z dziewiątki. Ani jedna, ani druga nie jest dość celna. — Jonathan przeklinał się, że nie wziął karabinu 7,62 mm należącego do Josiego.

— Musimy po prostu podłożyć ładunek wybuchowy — odezwał się Boxers.

Jonathana za każdym razem zaskakiwało, jak trudne operacje w ustach Olbrzyna nagle stawały się proste. Oczywiście, miał rację.

— To będzie moje zadanie — powiedział Jonathan. I zwrócił się do Harveya: — W takim wypadku będziesz musiał nas osłaniać sam. Dasz radę?

Harvey przekrzywił głowę i prychnął gniewnie:

— A jeśli powiem, że nie, to znajdziesz zastępstwo?  
To była właściwa odpowiedź na głupie pytanie.

— Nie martw się o mnie — powiedział Harvey. — Zaczynam wracać do formy. Dawno nie strzelałem, więc mogę mieć problem z celnością, ale będę się tak ostrzeliwał, aż zagrzeje się lufa.

— Jesteście tam jeszcze? — odezwała się Venice.

— Przepraszam. Pracowaliśmy nad nową strategią.

— No to weźcie pod uwagę nowe okoliczności. Widzę dwóch ludzi wychodzących z obozu. Idą w waszym kierunku. Mają latarki i sądząc po sylwetkach, także karabiny.

Boxers się roześmiał.

— Skradają się.

Jonathana ucieszyła informacja o sztucznym świetle. To stawiało przeciwników w podwójnie niekorzystnej sytuacji. Nie tylko będą dobrze widoczni, nim rozpocznie się walka, ale na dodatek potem nie będą nic widzieli, kiedy zniszczą im latarki. Taką miał przynajmniej nadzieję.

— Jesteś pewna, że idą w naszą stronę? — zapytał Jonathan.

— Widzę, że idą ścieżką, która prowadzi do was — odparła Venice. — Czas pokaże, czy to wy jesteście celem. Wydaje mi się, że nie.

— Też tak sędzę — stwierdził Jonathan. — Gdyby wiedzieli, że się zbliżamy, woleliby zaatakować nas wszystkimi siłami.

— A ja sędzę, że zastawiają pułapkę — wtrącił Boxers.

Jonathan był tego samego zdania.

— Pilnuj ich, Kwoko. Jeśli zatrzymają się na dłużej, zapisz współrzędne.

— Postaram się, ale pamiętaj o tym, że zdjęcie aktualizuje się co cztery minuty.

— Rozumiem. Mimo to postaraj się. A teraz cisza w eterze.

Venice była niezrównana w swoich umiejętnościach i oddaniu sprawie, ale kiedy siedziała sama pośród swoich elektronicznych gadżetów, robiła się zbyt rozmowna przez radio. Czasami trzeba było jej po prostu przerwać.

— Mam pytanie — odezwał się Harvey po kilku minutach ciszy. — W czasie wojny w Zatoce mieliśmy problem z Irakijczykami, którzy fałszowali przekaz satelitarny. Wiedzieli, że ich oglądamy i robili dla nas show. Jest szansa, że ci tutaj robią to samo?

— Niemożliwe — odpowiedział z wahaniem Boxers.

— Jesteś pewien?

— Josie nic nie wiedział o zdjęciach satelitarnych — wtrącił Jonathan. — Nie powiedzieliśmy mu o tym. A skoro nie wiedział, to nikomu nie mógł o tym powiedzieć.

Kiedy przyszedł czas, by zapędzić chłopców do chat, między strażnikami wybuchła kłótnia. Evan nie miał pojęcia, o co chodzi. Charlie wytłumaczył mu to po fakcie.

— Część *guardia* uważa, że umieszczenie ciebie i mnie w jednej chacie to błąd. Boją się, że możemy coś planować, a nikt nie będzie rozumiał, co mówimy.

Evan wzruszył ramionami.

— No... tak.

Sprzeczka trwała tak długo, że do chaty weszli ostatni. Ledwo Charlie przekroczył próg, a drewniane drzwi zamknęły się z hukiem.

W chacie stało chyba dziesięć wojskowych łóżek ustawionych w dwóch rzędach po obu stronach prostokątnego wnętrza. Kiedy już wszyscy znaleźli się w środku, Evan naliczył tylko dziewięciu mieszkańców, łącznie ze sobą. Upał i stęchlizna były nie do zniesienia. Już po dziesięciu sekundach miał ochotę wymiotować. Plany pozbycia się jedzenia z żołądka wzięły jednak w łeb, kiedy jeden z chłopców rzucił swoimi japonkami w Charliego. Pierwszym trafił go w czoło, ale za drugim razem spudłował i kłapek poszybował do kąta, gdzie stała beczka do srania. Chłopcy parsknęli śmiechem, a potem poleciała długa wiązanka po hiszpańsku, przerywana drwiącymi wybuchami śmiechu.

Chłopak, który rzucił kłapką, ruszył z zaciśniętymi pięściami w kierunku Charliego. Kiedy walka wydawała się nieunikniona, Evan wkroczył do akcji, chcąc pomóc nowemu przyjacielowi. Ramieniem zablokował napastnika z taką siłą, że ten upadł na podłogę. Wściekły próbował się podnieść, ale Evan powalił go ponownie. W drugim końcu chaty chłopcy zaczęli krzyczeć i przesuwać się do przodu.

Evan nie zważał na to. Każdy z nich był mniejszy od niego. Jeśli chcieli walki, to będą ją mieli. Musiał kogoś uderzyć, musiał komuś coś złamać. Jeśli to miał być nos albo ząb, tym lepiej. To nie była pierwsza bójka w jego życiu.

Chłopak, którego powalił na podłogę, wycofał się tyłem w stronę pozostałych, którzy pomogli mu wstać. Rozpoczęła się regularna bójka.

W panującym tumulcie nie słyszał nawoływań Charliego, który prosił go, żeby przestał. Był kompletnie zaskoczony, kiedy czyjeś ramiona objęły go mocno i wyrwały z pola walki.

— Przestań! — krzyknął Charlie.

Evan był zbulwersowany.

— Przestać? Żartujesz? Ten dzieciak rzucił w ciebie butem!

— Nieważne — odparł Charlie.

Nagle otworzyły się gwałtownie drzwi i do środka wpadło trzech strażników z bronią gotową do strzału.

Charlie rzucił się w ich kierunku z rozwartymi szeroko ramionami.

— Nie, nie, nie! — zawołał i rozpoczął długi monolog po hiszpańsku. Początkowo strażnicy wydawali się obojętni na jego słowa, ale im dłużej przemawiał, tym bardziej się rozluźniali. Pozostali chłopcy stłoczeni w drugim końcu chaty umilkli i zaczęli rozchodzić się do łóżek.

Po trzydziestu sekundach incydent dobiegł końca. Z gestów Charliego Evan wywnioskował, że jego przyjaciel kończy jakiś rodzaj negocjacji. Uspokojeni strażnicy pokiwali głowami i wycofali się za drzwi. Rozległ się szczeł zamykanych zamków i było po wszystkim.

Charlie obrócił się, spojrzał gniewnie na współmieszkańców, a potem podszedł i podniósł klapki, którymi w niego rzucono.

— Co się dzieje? — zapytał Evan.

— Nie wtrącaj się nigdy więcej do moich porachunków, okay? — Wskazał mu łóżko stojące najbliżej prowizorycznej toalety. — Jest twoje. Nowy zawsze dostaje najbardziej śmierdzące miejsce.

Evan spojrzał na niego zaskoczony.

— Nie ma za co — powiedział.

Charlie odwrócił się w jego stronę.

— Nie dziękowałem ci — warknął. — Niech ci się nie wydaje, że rozumiesz, co tu się dzieje, Evan. Panują tu pewne zasady, a jedna z nich głosi, że nowy śpi koło sracza. Ponieważ jestem twoim aniołem stróżem, to oznacza, że ja też będę spał w smrodzie. —

Przeniósł się na drugie od końca łóżko, usiadł na jego brzegu, a potem się położył. — A teraz spróbuj zasnąć.

Evan usiadł na swoim łóżku twarzą do Charliego i położył dłonie na kolanach.

— Próbowali obrzucić cię gównem, chłopie. Nie możesz na to pozwolić. Ja też mieszkałem w internacie i mówię ci, o swoje dobre imię trzeba walczyć.

Charlie obrócił głowę i spojrzał Evanowi w oczy. Miał lekko rozbawioną minę.

— Czy to ci przypomina internat? To jest obóz koncentracyjny. Syberia bez klimatyzacji. Możesz cały dzień walczyć albo po prostu cały dzień żyć. Co za różnica, jak blisko sracza będę spał? Cały ten obóz cuchnie jednakowo. Trochę w tę, trochę w tamtą stronę, co za różnica? Nie jest to warte złamanego nosa czy poobijanych jaj. I tyle. — Przeniósł wzrok na sufit, a potem zamknął oczy. — A teraz idź spać.

Na zewnątrz, gdzieś w oddali, słychać było dźwięk uruchamianego silnika i chwilę później przez okna wdarło się ostre światło, rzucając na ściany i sufit cienie. Wszyscy chłopcy jak na komendę usiedli na łóżkach i zaczęli między sobą szeptać.

— No, no, to co innego — powiedział Charlie, siadając na łóżku. — Naprawdę zamierzają tu po ciebie przyjść?

Evan skrzywił się i potrząsnął głową.

— Chciałbym. Będę wdzięczny każdemu, kto mnie zechce stąd uwolnić.

Charlie roześmiał się, a potem położył i osłonił ramieniem oczy przed światłem.

Evan zrobił to samo, ale był tak daleki od zaśnięcia, że zaczął martwić się, jak długo ta noc będzie trwała.

Pięć minut później, kiedy z drugiego końca chaty zaczęły dolatywać odgłosy twardego snu, Charlie szepnął:

— Nie śpisz?

— Niestety nie.

— Wyświadczyć mi przysługę. Jeśli jakaś załoga zbłądzi tu i przyplynie po ciebie, zabierz mnie ze sobą z powrotem na statek-bazę, dobrze?

Czasami najgłupsze marzenia potrafią wywołać chichot.

— Znów zaczęli iść — zaskrzeczało radio Jonathana. — Teraz oddalają się od was.

Venice śledziła ruchy dwóch mężczyzn, którzy z karabinami wyszli z obozu, i miała szczęście uchwycić moment, gdy na ścieżce zakopywali minę pułapkę. Gęsta roślinność dżungli przesłaniała widok, nie mogła więc określić, jakiego rodzaju ładunku użyli, ale fakt, że zajęło im to tyle czasu, podpowiedział Jonathanowi, że mina musiała być dość prymitywna. Dzięki dużemu zbliżeniu obrazu Venice zdołała określić współrzędne miny z dokładnością do jednej sekundy i natychmiast przesłała je do urządzeń nawigacyjnych Jonathana i jego ekipy.

— Skorpion, jesteście jakieś sto pięćdziesiąt jardów od pułapki — ostrzegła Venice.

— Obserwuj tamtych dalej. Mam już współrzędne miny. Znajdziemy ją. Chcę być pewny, że nie zastawią drugiej pułapki.

— Z każdą chwilą coraz mniej jestem zadowolony z tego, że postanowiłem iść z wami — zrzędził Harvey. — Miny pułapki. Jezu.

Jonathan podziwiał Boxersa, że nie zareagował. Wiadomo było, że Olbrzym ogólnie nie lubi obcych — szczerze mówiąc, ogólnie nie lubił ludzi — ale wprost nienawidził, kiedy ktoś się za nim włókł podczas operacji. Jeśli przemilczał narzekania Harveya, oznaczało to, że bardzo się pilnuje.

Po pięciu minutach marszu dotarli w okolice pułapki. Kiedy GPS dał im sygnał, że dzieli ich od niej dziesięć jardów, Jonathan zatrzymał pochód i zebrał ludzi wokół siebie. Groziło to tym, że wszyscy razem wylecą w powietrze, ale ocenił ryzyko na niewielkie.

Rozmawiali szeptem.

— Mina, którą tu zostawili, jest jakieś dziesięć jardów przed nami — powiedział Jonathan. — Harvey, idź jej poszukaj.

— Co? — W jego głosie brzmiało żalosne przerażenie.

— Żartuję. — Jonathan roześmiał się.

Harvey położył dłoń w okolicy serca.

— A niech to jasna cholera.

Jonathan spowaźniał.

— Od tego momentu jesteśmy gotowi do walki. Broń w gotowości i odbezpieczona, uważać na spust. Jasne?

Harvey widowiskowo przełączył bezpiecznik swojego MP5 na ogień seriami po trzy. Jonathan i Boxers zrobili to już wcześniej. Uważanie na spust oznaczało ni mniej, ni więcej, że należy trzymać palec z daleka od tego draństwa, dopóki nie przyjdzie czas na strzelanie. Amerykańska opinia publiczna byłaby wstrząśnięta, gdyby dowiedziała się, ilu jej synów i córek zginęło w różnych wojnach tylko dlatego, że jakiś nieostrożny gamoń pociągnął za spust w nieodpowiedniej chwili.

— Poszukam miny przy świetle latarki, więc odwróćcie wzrok — ciągnął Jonathan. — Ty, Boxers, będziesz mnie osłaniał z bliska. Harvey zostaje tutaj plecami do mnie. Jeden z nas musi dobrze widzieć w nocy. Wszystko jasne?

— Jasne jak słońce — potwierdził Boxers.

— U-ra! — mruknął Harvey.

Jonathan uśmiechnął się. „U-ra” to wersja „hura”, używana przez piechotę morską (marines wszystko muszą robić inaczej). Skoro Harvey jej użył, to znaczyło, że odrodził się w nim żołnierz.

Jonathan zdjął noktowizor, włączył lampkę przymocowaną do lufy karabinu i skierował jej światło na ścieżkę. Pochylił się, lekko przykucnął i ruszył ostrożnie do przodu, omiatając ścieżkę promieniem latarki. Szukał rozciągniętego w poprzek drutu albo innego rodzaju zapalnika. Tuż obok z bronią skierowaną przed siebie kroczył Boxers, który musiał zaufać Jonathanowi, że w porę ostrzeże go przed niebezpieczeństwem. Obaj mężczyźni polegali na sobie bezwarunkowo od lat. Czasem mogło się wydawać, że potrafią czytać nawzajem w swoich myślach.

Posuwali się do przodu przeraźliwie wolno — młodym żołnierzom często nie starczało w takich sytuacjach cierpliwości i płacili za to życiem. Po minucie Jonathan zatrzymał się i spojrzął na GPS, który powiedział mu, że jest w odległości kilkunastu cali od miny.

Gdzie ona była? I jak wyglądała? Przesunął się jeszcze trochę i znów spojrzął na GPS.

— Okay, Box — szepnął. — Teraz się nie ruszaj.

Olbrzym zastygł w miejscu.

— Jestem w niebezpieczeństwie? — zapytał, nie przestając szukać potencjalnego celu.



— Nie wiem. To jest miejsce, które zaznaczyła Venice, ale nic nie widzę. Spodziewałem się rozciągniętego drutu. Granatu albo czegoś w tym rodzaju. A nic nie widzę.

— Może to prawdziwa mina? — podsunął Boxers.

Czyżby chłopcy byli aż tak przebiegli? — pomyślał Jonathan.

Zdjął z lufy karabinu latarkę, przykucnął i zaczął dokładnie badać ścieżkę w poszukiwaniu jakiegoś śladu kopania.

— Pewnie nie masz przy sobie georadaru? — zażartował.

— Zostawiłem w drugich spodniach.

Jonathan czuł, że zjeżyły mu się włosy na karku.

— Są cholernie sprytni — mruknął i pochylił się nisko nad ziemią. Nie widział niczego. Poświecił latarką z boku, mając nadzieję, że pod innym kątem uda mu się coś znaleźć. Na próżno.

Już miał zrezygnować i ruszyć dalej, kiedy zauważył wygładzony ślad na ziemi. Był zbyt regularny, żeby uchodzić za powstały w naturalny sposób. Jonathanowi przyszła do głowy tylko jedna przyczyna, dla której ktoś chciał dłonią tak wygładzać ziemię. Zamaskował w ten sposób dziurę, w której ukrył minę.

— Znalazłem — obwieścił. — Dobra robota, Box.

— Zaznacz ją i ruszajmy dalej — powiedział Box.

— Nie. Musimy ją wyjąć.

Olbrzym głośno westchnął.

— Nie znoszę, kiedy mówisz jak macho. A jeszcze bardziej nie znoszę, kiedy zaczynasz dłubać przy czymś, co może z nas zrobić obłok pary.

— Jeśli ją zostawimy, możemy mieć kłopot w czasie odwrotu — wyjaśnił Jonathan. — Myślę, że wtedy będziemy poruszać się dużo szybciej. Teraz nie goni nas czas.

Nie zamierzał poddawać tego pod głosowanie. Odłożył karabin na ziemię. Z latarką, niczym cygaretką, w zębach wyjął z kieszeni na lewym ramieniu nóż Ka-Bar i ostrożnie wsunął ostrze w ziemię. Tak jak się spodziewał, nóż wchodził gładko, co znaczyło, że ziemia była wzruszona. Czubkiem ostrza zaczął ostrożnie odsłaniać minę. Po trzech minutach skończył.

— Proszę, proszę — zachwycił się na głos, wyjmując latarkę z ust. — Związek Radziecki wiecznie żywy. Mamy tu PMN-2. — Schował nóż do pochwy.

— Jasne — warknął Boxers. — My zawsze musimy znajdować najgorsze świństwo.

Miny przeciwpiechotne PMN-2 po raz pierwszy pojawiły się w dużych ilościach w Azji Południowo-Wschodniej. Mniejsze i lżejsze od swoich poprzedniczek mogły być bez trudu transportowane, a ładunek stu gramów mieszaniny TNT i RDX gwarantował co najmniej urwanie stopy komuś, kto na nią nadepnął. Żołnierze w Iraku i Afganistanie dość się naoglądali tego świństwa.

Dobrą stroną było to, że mechanizm wyzwalający był dość toporny.

— Byłoby miło, gdybyś zechciał cofnąć się kilka kroków — powiedział Jonathan.

— Jeśli wysadzisz mnie w powietrze, to przez całą wieczność będziesz ode mnie dostawał cięgi — odparł Boxers. — Przestań się wygłupiać i rób swoje.

Uśmiechając się mimo trzymanej znów w zębach latarki, Jonathan ostrożnie palcami obu rąk odgarnął ziemię dookoła miny. Teraz, kiedy była w całości odsłonięta, miała wielkość dłoni.

— Wyjmuję ją — ostrzegł. — Ostatnia szansa, żeby się wycofać.

— Codzienne lanie dupska przez całą wieczność, szefie. Pomyśl o tym. Czy ci się uda, czy nie, ja będę górą.

Jonathan przykucnął nad dziurą w ziemi z szeroko rozstawionymi stopami, wsunął palce pod minę i wstał. Gdyby nie konieczność zachowania ciszy, rzuciłby minę gdzieś pomiędzy drzewa i zdetonował, ale dziś nie mógł pozwolić sobie na taki luksus. Wydawało mu się, że pamięta, jak rozbroić PMN-2, ale nie był do końca pewny. Przeniósł minę dwa kroki w głąb dżungli i ostrożnie położył na ziemi. Potem wstał, otrzepał dłonie z piachu i podniósł karabin.

— Jakaś mała będzie miała niespodziankę — zażartował Boxers.

Jonathan uśmiechnął się i zgasił latarkę, a następnie założył noktowizor.

— Pułapka rozbrojona — powiedział do mikrofonu. — Nasi przyjaciele zastawili jeszcze jedną?

— Nie — odparła Venice. — Cały czas ich obserwuję. Gdy się zatrzymają, dam wam znać.

Dołączył do nich Harvey.

— Co to było? — zapytał.

Jonathan pokazał mu leżącą w zaroślach minę.

— Zaminowali ścieżkę, którą miejscowi chodzą do obozowiska.

— W głosie Harveya czuć było pogardę. — To skończone dupki.

— Ktoś, kto wykorzystuje pracę dzieci do produkcji czegoś, co zabija inne dzieci na całym świecie, musi być dupkiem — podsumował Boxers.

## Rozdział 39

Jonathan dostrzegł łunę światła nad obozem dwadzieścia minut przed dotarciem do jego granic. W obozie było jasno jak w dzień, a samo miejsce przypominało skład używanych samochodów przy słynnej autostradzie Route One z lat sześćdziesiątych.

Resztki wątpliwości, czy nieprzyjaciel wie o ich eskapadzie, opuściły Jonathana i jego ekipę, kiedy zbliżyli się do obozowiska. Oprócz rżęskiego oświetlenia pełno było strażników wałęsających się tam i z powrotem dwójkami i trójkami, z karabinami gotowymi do strzału.

Zapewne z powodu panującej nerwowości zapomnieli jednak o podstawowych zasadach obrony. Oświetlając obóz, zyskiwali pewność, że nikt nie podkradnie się do jego centralnej części, ale za to nie mogli dostrzec intruzów przychodzących z zewnątrz. Co gorsza, hałas, jaki powodował pracujący generator, zagłuszał wszelkie dźwięki.

Jonathan z ekipą podeszli od południowo-zachodniego narożnika, położonego najbliżej generatora. Chaty, w których spały dzieci, znajdowały się w drugim końcu obozowiska, na jego wschodnim skraju. Po lewej stronie, w odległości może dwunastu jardów, znajdował się zbiornik na benzynę, a po prawej, zaledwie dwadzieścia stóp od nich, wielki generator na kołach — ku zaskoczeniu Jonathana otoczony płotem z drutu kolczastego, z furtką od wschodniej strony. Cała okolica usłana była przeróżnymi narzędziami, które miały pewnie dla obrońców wielką wartość bojową. Żeby przez furtkę

dostać się w pobliże generatora, Jonathan musiałby ujawnić całemu obozowisku swoją obecność.

— Kto, do diabła, buduje płot wokół generatora? — szepnął Boxers.

Jonathan ostrożnie zdjął plecak i położył go obok siebie na ziemi, a następnie wyjął z kieszeni spodni jeden z najwspanialszych wynalazków świata — wielofunkcyjne narzędzie Leathermana. Rozłożył je i po chwili trzymał w ręku nożyce do cięcia drutu. Z kieszeni plecaka wyjął zwój lontu detonacyjnego i nożem odciął czterocalowej długości odcinek. Następnie przeciął ten kawałek na dwie połowy. Z kolejnej kieszeni wydobył dwa elektroniczne zapalniki i rolkę czarnej taśmy izolacyjnej.

— Granatem byłoby prościej — zażartował Boxers.

Gdyby nie konieczność zniszczenia generatora nieco później, mogliby rzeczywiście użyć granatu. Niestety, musieli działać ukradkiem. Jonathan upewnił się, że koledzy go słuchają i powiedział:

— Miejcie oczy szeroko otwarte, ale nie strzelajcie, dopóki to nie będzie konieczne.

Kiedy zobaczył, jak mu przytakują, ruszył do akcji. Skraj dżungli dzieliła od najbliższego boku ogrodzenia odległość dwudziestu pięciu stóp. Przywarł do ziemi na tyle, na ile pozwalała mu kamizelka z dodatkową amunicją, i zaczął się czołgać. Następnie przywarł do ogrodzenia z drutu kolczastego, mając nadzieję, że nadal pozostanie niewidoczny.

Rozpoczął od dolnej części ogrodzenia. Za pomocą nożyc Leathermana przeciął dziesięć drutów pionowo, a następnie dziesięć poziomo, tworząc w ten sposób wahadłowe drzwi. Odchylił ich skrzydła i przewrócił się na plecy, żeby łatwiej przecisnąć się między ostrymi krawędziami przeciętego drutu. W milczącej modlitwie błogosławił ryk silnika generatora zagłuszający jego działania.

Najwięcej kłopotu zawsze sprawiały ramiona i głowa. Przywarł mocniej do wilgotnej ziemi, chwycił dłońmi w skórzanych rękawiczkach ostre zakończenia drutów i osłonił ramionami oczy i nos. Zgiął nogi w kolanach, wbił pięty głęboko w ziemię i zaczął się odpychać. Warunki były sprzyjające, więc bez wielkiego wysiłku po

chwili górna połowa jego ciała znajdowała się już wewnątrz ogrodzenia. Teraz wystarczyło tylko usiąść i przeciągnąć nogi.

Jakżeż tu było jasno! Strumienie światła padały ze wszystkich naróżników, nie dając ani odrobiny cienia, w którym można by się skryć. Poruszał się szybko. Nisko pochylony przebiegł obok stert wiader, lejków, koryt, żerdzi i kanistrów, aż dotarł do generatora stojącego tuż obok furtki w płocie. Maszyna była ogromna i stara. Przez myśl przebiegł mu obraz całej rzeszy robotników, którzy musieli przenieść ją na ramionach od drogi aż tutaj. Potem przyszło mu do głowy, że być może przetransportowano go śmigłowcem.

Od tej chwili wielkie znaczenie miała prędkość i odrobina szczęścia. Znieruchomiał na chwilę przy niewidocznym boku generatora, kilka razy głęboko zaczerpnął powietrze nosem i wypuścił przez usta. Czas było ruszać.

Wychylił się i rozejrzył, czy nikogo nie ma w bezpośrednim sąsiedztwie, a potem szybko obiegł maszynę dokoła i otworzył przednią płytę, pod którą kryły się przełączniki i pokrętła. Cała maszyna składała się z dwóch części: generatora i wprawiającego go w ruch silnika diesla. Jonathan zamocował ładunki w obu częściach — w pierwszej wokół głównego przewodu elektrycznego, a w drugiej przy przewodzie paliwowym. Lont detonujący miał spowodować wybuch ładunków wielkości ciastka. Wystarczyło go tylko włożyć i przytwierdzić taśmą izolacyjną. Dziś miał użyć zapalników uruchamianych drogą radiową, ale w przeszłości stosował też inne.

— Ktoś się do ciebie zbliża — usłyszał głos Boxersa.

Jonathan przykucnął i sięgnął po czterdziestkępiątkę. Dwie sekundy później już był po drugiej stronie generatora.

Przywarł plecami do boku maszyny i wcisnął guzik mikrofonu.

— Zauważył mnie? — szepnął.

Odpowiedź przyszła z opóźnieniem.

— Trudno powiedzieć — wyszeptał Boxers. — Nie wygląda na wystraszonego, ale idzie prosto na ciebie. Może chce dolać paliwa do tej bestii. Ma AK, ale z lufą skierowaną w dół. Chyba wszystko w porządku. Zrobiłeś, co trzeba?

Jonathan uniósł podniesiony kciuk, wiedząc, że Boxers go obserwuje.

— To wypieprzaj stamtąd. Pora wracać do tatusia.

Wybrał najlepszą możliwość. W nocy najrozsądniej jest nie poruszać się, kiedy istnieje ryzyko, że zostaniemy zauważeni, ponieważ ludzkie oko łatwiej reaguje na ruch niż na nieruchomy obiekt; ale kiedy cała okolica jest zalana światłem, takie niuanse nie mają znaczenia.

Przygięty ruszył w drogę powrotną przez całą rupieciarnię do otworu w ogrodzeniu. Przed płotem rzucił się płasko na ziemię, przewrócił na plecy i już zamierzał wyczołgać się na drugą stronę, kiedy usłyszał syk Boxersa:

— Stój, stój. Zaraz będzie przy tobie. Cholera.

Jonathan zamarł. Nie miał gdzie się schować. Uniósł głowę, rozejrzał się w lewo i w prawo, szukając zagrożenia. I wtedy go zobaczył — z prawej strony zbliżał się ku niemu szybkim krokiem umundurowany żołnierz. Jonathan uznał, że musi go zabić. Sięgnął po swoją czterdziestkępiątkę i z przerażeniem stwierdził, że mały otwór w siatce uniemożliwia mu wyciągnięcie pistoletu z kabury.

Na szczęście okazało się, że żołnierz wcale nie idzie w jego kierunku. On po prostu szukał miejsca, gdzie mógłby się załatwić. Miął Jonathana w odległości trzech jardów zajęty rozpinaniem rozporaka. Pośpiech, z jakim to robił, skojarzył się Jonathanowi z człowiekiem, który przy barze wypił o jedno piwo za dużo. Chwilę później dał się słyszeć odgłos potężnego strumienia i westchnienie ulgi żołnierza.

Jonathan wykorzystał moment, w którym żołnierz stał odwrócony do niego plecami i przecisnął się przez otwór w ogrodzeniu. Zamierzał właśnie wstać, przyklęknął już na jedno kolano, kiedy strumień uciął i pozostał tylko jednostajny huk dieslowskiego silnika.

Tak jak się obawiał, żołnierz wyczuł jakiś ruch i odwrócił się.

Nazwanie żołnierza mężczyzną byłoby grubą przesadą, ale jak u każdego żołnierza, w oczach tego nastolatka widać było żądzę mordy, choć mina wyrażała kompletne zaskoczenie. Sięgnął po karabin.

W jednej chwili Jonathan wyjął colta i wymierzył w czoło dziecka. Stali tak blisko siebie, że Jonathan mógł mu zmierzyć puls

na szyi. Dzieciak zamarł, a miejsce zaskoczenia zajęło przerażenie. Jonathan przyłożył palec wskazujący lewej ręki do ust, nakazując chłopcu milczenie.

Twarz żołnierza wyrażała niezdecydowanie, ale obowiązek brał górę nad pragmatyzmem i wolą przeżycia. Jonathan niemal słyszał, jak chłopak podejmuje głupią decyzję. Potrząsnął głową, żeby mu uświadomić, że to nie jest właściwy wybór, ale trudno jest walczyć z młodzieńczą zapalczywością.

Kiedy chłopak otwierał już usta do krzyku, za jego plecami wyrosła zwalista sylwetka Boxersa. Olbrzym chwycił go za włosy i uniósł głowę, jednocześnie wbijając nóż w szyję. W ułamku sekundy ostrze przecięło żyłę szyjną, tętnicę i głośnię. Żołnierz w milczeniu upadł. Fontanna krwi zabarwiła ziemię na czerwono. Umarł w niecałą minutę.

Jonathan patrzył przez chwilę, jak ciało dzieciaka zмага się z tym, co nieuniknione, i w milczeniu go za to przeprosił. Gdyby była możliwość pozostawienia go przy życiu, zrobiliby to, ale taka jest natura wojny, że czasami człowiek trafia w miejsce, gdzie nie powinien się znaleźć. I płaci za to wysoką cenę.

Harvey patrzył z przerażeniem na tę scenę, z trudem powstrzymując się od wymiotów. Nie chodziło o samą jatkę czy sam fakt zabijania, chodziło o skuteczność. Sam spędził pięć lat w towarzystwie żołnierzy piechoty morskiej, z czego trzy na prawdziwej wojnie, więc takie widoki nie były mu obce; ale zawsze towarzyszyła im chwila zawahania, czysto ludzkie uczucie strachu. Tu tego nie spostrzegł. Młody człowiek zabłąkał się w miejsce, które wcześniej odwiedzał już pewnie setki razy, i teraz nieoczekiwanie został wysłany na tamten świat. Boxers zrobił to bez wahania, tak jakby zabijał natrętnego owada.

Kiedy żołnierz zupełnie się wykrwawił, Boxers wytarł ostrze o spodnie leżącego i wsunął nóż do pochwy. Harvey nie potrafił powiedzieć, dlaczego ten gest wydał mu się tak bardzo przerażający. Może dlatego, że był pewny, iż sam nigdy tak by nie zrobił. Zrozumiał teraz, dlaczego Boxers nie chciał jego towarzystwa podczas tej operacji — wahanie było grzechem, który mógł kogoś kosztować życie.



Tymczasem dla Harveya oznaczało to, że człowieczeństwo jest grzechem. Jeżeli chwila wahania przed odebraniem komuś życia odbierze życie komuś innemu, to czy to jest złe?

Być może Boxers miał rację. Być może zabranie go na tę misję było wielkim błędem.

Zatrzymali się przed szopą, w której stał zbiornik z benzyną. Budynek miał drzwi z przodu i z tyłu. Boxers błyskawicznie wszedł i po chwili wyszedł. W tym czasie Jonathan i Harvey go osłaniali. Jonathan przyłożył do oka lunetę i przyjrzał się chacie, w której, jak podejrzewali, więziono Evana Guinna. Zwrócił uwagę na zabezpieczone okna i jedyne drzwi zablokowane rygłem i kłódką, z którą bez trudu powinny poradzić sobie nożyce Boxersa.

Dużo bardziej kłopotliwe od kłódki było towarzystwo dwóch strażników stojących przy drzwiach z bronią gotową w każdej chwili do strzału.

— Mam nadzieję, że ci dwaj złapią przynętę, kiedy nastąpi eksplozje — szepnął do Harveya.

Harvey wydał z siebie dziwny pomruk. Jonathan odchylił się, żeby spojrzeć mu w twarz.

— Nic ci nie jest?

Harvey wyglądał, jakby się postarzał o kilka lat.

— Zaraz mi przejdzie.

Jonathan kiwnął głową, nie okazując niepokoju, jaki odczuwał.

— Po prostu rób swoje — powiedział. — Lepiej ci idzie składanie ludzi do kupy niż robienie im krzywdy, i nic w tym złego. Przy odrobinie szczęścia będziesz musiał jedynie szybko uciekać.

Drzwi szopy otworzyły się ponownie i w progu stanął rozpromieniony Boxers.

— Podłożyłem pięć GPC\* — zameldował. \* General Purpose Charge. Skrót oznaczał ładunek ogólnego przeznaczenia. W ten sposób w oddziale nazywano półfuntową kostkę C4 z lontem detonującym. — Trzy na zbiorniku z benzyną i dwa na szkielecie konstrukcji, żeby się lepiej paliło. Uzbroiłem wszystkie ładunki w zapalniki, ale potem

zrobiłem jeszcze wianuszek z tych na zbiorniku. Będą niezłe fajerwerki. — Wianuszek oznaczał połączenie lontem detonacyjnym ładunków w szereg. Sznur przenosi eksplozję z ładunku na ładunek z prędkością pięciu tysięcy stóp na sekundę, a w rezultacie powstaje fala ciśnienia, która znacznie zwiększa moc ładunków.

— Im lepsze fajerwerki, tym większe mamy szanse — powiedział Jonathan i uśmiechnął się. — Wszyscy gotowi? — Pytanie skierował do obu, ale właściwym adresatem był Harvey.

Sanitariusz kiwnął głową.

— Przypomnij sobie dziewczynkę, którą zgwałcili — odezwał się Boxers. — Ludzi, których zabili. Nic, co my robimy, tego nie przebiję.

Jonathan gapił się ze zdumieniem na przyjaciela. Wyglądało na to, że Olbrzym staje się wrażliwy. I chyba naprawdę tak myśli. Ciekawe.

Cofnęli się i schronili w cieniu. Następnie obeszli obozowisko dookoła i podeszli jak najbliżej chaty Evana. Z ostatniej chaty w szeregu — z budynku Delta — dochodziły jakieś ożywione głosy. Z tego, co Jonathan zdołał zrozumieć, była to zwyczajna pogawędka mężczyzn po służbie — mieszanina dobrodusznych przytyków i seksualnych przechwałek.

Boxers położył Jonathanowi dłoń na ramieniu, wskazał kciukiem baraki i gestem dłoni naśladował eksplozję. Jonathan potrząsnął głową i pokazał opuszczony kciuk. Nie było sensu zawczasu alarmować strażników.

Za każdym razem, kiedy Jonathan planował jakąś operację przy użyciu zdobyczy nowoczesnej techniki, jak zdjęcia satelitarne czy mapy komputerowe, odnosił wrażenie, że już wcześniej odwiedzał te miejsca. Tak było i tym razem. Obozowisko wyglądało dokładnie tak, jak przewidywał. Tylko odległości uległy przekłamaniu — w rzeczywistości obóz był większy, niż przypuszczał — ale położenie budynków i ukształtowanie powierzchni były właściwe.

Dotarli wreszcie w okolice chaty Evana, którą określali mianem budynku Golf (litera G w alfabecie wojskowym). Z tej strony obozowisko było dla nich niewidoczne i nie mogli określić położenia

żołnierzy. Jonathan przyłożył dłoń do drewnianej ściany chaty i oparł się o nią. Solidna konstrukcja.

Jonathan przywołał do siebie Harveya i szepnął mu cicho do ucha:

— Pamiętaj, kiedy odetniemy prąd, załóż noktowizor i nie patrz na ogień.

Następnie spojrzał na Olbrzyma, który trzymał już w dłoni telefon komórkowy gotów wysłać sygnał do zapalników. Z wąskiej kieszeni na udzie Jonathan wyjął swój telefon, wstukał trzycyfrowy kod i zawiesił palec nad przyciskiem WYŚLIJ.

— Na trzy — powiedział Jonathan, wyciągając rękę z telefonem przed siebie. — Jeden, dwa...

# Rozdział 40

Po pewnym czasie Charlie przestał tłumaczyć szeptane groźby kierowane pod adresem Evana. Chłopcy zamierzali zabić go we śnie albo wpuścić do jego łóżka węża. Były to głupie pogaduszki, podobne nawet do tego, co mówiło się w sypialni w Resurrection House, kiedy nikt z dorosłych nie słuchał. W cywilizowanym świecie były tylko czczą gadaniną, ale tutaj brzmiały jak zapowiedź czegoś straszego.

Charlie starał się przekonać Evana, że mówią głupoty — przecież Victor wyprużył im flaki, gdyby coś się Evanowi stało — ale niezdolny upał i sztucznie rozświetlone ciemności nadawały groźbom realny wymiar.

„Lepiej umrzeć na ulicy, niż dać się wciągnąć do samochodu”.

Jedno było pewne. Nie będzie więcej...

Nagle cały świat się rozpadł.

Wszystkie eksplozje połączyły swe siły w jednej fali uderzeniowej, rozrywając noc niszczycielskim hukiem. Nawet w najodleglejszym kącie, za chatą, Jonathan odczuł to jak uderzenie potężną pięścią w pierś.

W ciągu pierwszych milisekund absolutna ciemność pochłonęła ich tak szczelnie, jakby nagle zacisnęli powieki. Następnie, po upływie może pół sekundy, niebo zakipiało złością. Przez zburzone ściany chaty kanistry z benzyną strzelały w górę jak rakiety, rozbryzgując na niebie płonące plamy paliwa, które spadały na ziemię niczym sztuczne ognie.

Niemal od razu do kakofonii dźwięków dołączył terkot broni automatycznej. Zaczęło się od pojedynczego wystrzału gdzieś w pobliżu, a po chwili dołączyły się inne, w różnych częściach obozu. Jednym z najpoważniejszych błędów popełnianych przez niedoświadczonych lub wystraszonych żołnierzy jest strzelanie na oślep do wszystkiego, co uważają za źródło swojego strachu.

Jonathan po cichu policzył do trzech i przystąpił do działania. Pochylony nisko, z kolbą karabinu przyciśniętą do ramienia, wybiegł zza narożnika i pięcioma długimi susami pokonał długość krótszego boku chaty i ponownie skrzył za róg. To, co zobaczył, wprawiło go w zachwyty.

Boxersowi udało się w jakiś niepojęty sposób rozpętać prawdziwe piekło. Wybuch zbiornika z benzyną spowodował dosłownie deszcz ognia spadający na cały obóz i wywołujący setki mniejszych i większych pożarów. Już w dziesiątej sekundzie ataku wielki budynek pośrodku — ten, który Jonathan uważał za wytwórnię — stał w płomieniach. Kiedy języki ognia docierały do zgromadzonych w nim chemikaliów, następowały kolejne eksplozje. Za jego plecami zgromadzone w chacie dzieci zaczęły krzyczeć.

Ich wołania były niczym w porównaniu z krzykiem, który rozdarł noc po drugiej stronie obozu — z krzykiem płonących ludzi.

Strażnicy, którzy pilnowali drzwi, byli kompletnie pochłonięci widokiem rozrywających się kanistrów z benzyną. Stali tyłem do drzwi z bronią gotową do strzału i bezskutecznie wypatrywali na podwórzu wroga. Jonathan zabił ich obu pojedynczym strzałem w głowę.

*Widzisz faceta z bronią, zabijasz faceta z bronią.* Hollywoodzki wyznacznik honoru, który nie pozwalał strzelać przeciwnikowi w plecy, był czystą fikcją. W prawdziwej batalii sztuka polegała na tym, żeby zabić wroga, zanim stanie się prawdziwym zagrożeniem. Gdyby zostawił strażników żywych, musiałby się z nimi zmierzyć jeszcze raz w czasie odwrotu.

Przy prawym boku Jonathana pojawił się Harvey. Patrzył na świat jak urodzony wojownik. Z bronią gotową do strzału przyklepnął i przejął osłanianie drzwi chaty.

— Nie masz przypadkiem czegoś do zrobienia? — zapytał Skorpiona.

Miał, jak najbardziej. Zgodnie z planem Boxers przyniósł nożyce do cięcia prętów. Jonathan, jak tyle już razy wcześniej, patrzył skupiony, jak odpada przecięta kłódka. Po otwarciu drzwi Boxers miał wpaść do środka i skrócić w prawo, a Jonathan w lewo.

Obaj założyli noktowizory i otworzyli drzwi.

Evan był przerażony. Wybuch wystraszył go porządnie, strzelania też była okropna, ale zupełnie wytrąciła go z równowagi fala gorąca, która wpadła przez okna. Stoczył się z łóżka na podłogę i zwinął w kłębek. W całym baraku po niedawnych pozorach męskości nie pozostał żaden ślad. Teraz pomieszczenie pełne było chłopców panicznie bojących się śmierci.

Obok niego na podłodze leżał Charlie i próbował wślizgnąć się pod łóżko. Evan gorączkowo myślał, jak się stąd wydostać — czy przegryźć siatkę w oknach, czy może spróbować wyważyć drzwi — ale jego ciało nie reagowało na bodźce. Leżał jak skamieniały. Słyszał wcześniej takie wyrażenie — zamarł ze strachu — ale nigdy nie przypuszczał, że może być ono tak dosłowne.

— Co się dzieje?! — zawołał do Charliego.

Drugi chłopiec miał szeroko otwarte, zaczerwienione oczy. Potrzęsnał głową.

Evan usłyszał dwa strzały, które padły gdzieś blisko, a potem jakiś szcęk przy drzwiach. Przypominało to wszystkie jego wcześniejsze koszmary senne, w których potwór pożerał drzwi, żeby się dostać do środka, a on nie mógł nic zrobić, by go powstrzymać.

Rzucił jeszcze jedno wystraszone spojrzenie w stronę Charliego, a potem położył się płasko na podłodze, jakby chciał rozpułnąć się po drewnianych deskach.

Boże, proszę, pomyślał. Ale zdał sobie sprawę, że nie wie, o co ma się modlić.

„Nie szkodzi — powiedział mu kiedyś ojciec Dom. — Bóg widzi twoje serce. Nie musi słyszeć słów”.

Więc „Boże, proszę” wystarczy.

Drzwi otwały się i do środka wszedł potwór. A właściwie dwa potwory. Z karabinami.

— *En El piso!* — krzyknął jeden z nich. Był ogromny — widziany z podłogi większy niż drzwi, którymi wszedł. — *En El piso!*

W drugim końcu pomieszczenia rozległo się skrzywienie łóżek i chłopcy rzucili się na podłogę.

— Evanie Guinn! — zawołał ten drugi.

Coś w nim pękło, zalała go kolejna fala strachu. Przyszli, żeby go zabić. Wszystko zmieniły następane słowa mężczyzny.

— Evanie Guinn! Przyszliśmy zabrać cię do domu!

Wewnątrz po lewej stronie gówno było — dosłownie, jak się okazało — więc po obrzuceniu szybkim spojrzeniem tej części pomieszczenia Jonathan przeniósł swoją uwagę na prawą stronę.

Boxers zawołał po hiszpańsku:

— Na podłogę! — a po chwili powtórzył to jeszcze raz.

Wszystkie dzieci posłuchały rozkazu. Co do jednego i bez zbędnej zwłoki. A były tu same dzieci. Żadnego dorosłego.

Jonathan ocenił, że minęły już dwie minuty od rozpoczęcia ataku, a to znaczyło, że przekroczyli wyznaczony czas. Za chwilę do kogoś dotrze, co tu się naprawdę dzieje, a wtedy żar płomieni zblednie w porównaniu z ogniem bitewnym.

— Evanie Guinn! — zawołał Jonathan. Trudno było z noktowizorem na oczach ocenić odcień skóry czy kolor włosów. — Evanie Guinn! Przyszliśmy zabrać cię do domu!

Znalazł się dwie sekundy później. Pierwsze łóżko przy drzwiach po wschodniej stronie budynku. W pierwszej chwili zobaczył tylko ruch, a potem szopę włosów i białą skórę. Taki odcień skóry i kolor włosów trudno było pomylić. Dzieciak był teraz widoczny niczym kreda na czarnej tablicy.

— Mam go — obwieścił Boxersowi.

— Przyjąłem — odpowiedział Boxers. Olbrzym przysunął się do zachodniej ściany, żeby zrobić miejsce Jonathanowi.

Chłopiec próbował stanąć, kiedy Jonathan złapał go za ramię i podniósł. Potem przykucnął i zdjął noktowizor.

— Jesteśmy przyjaciółmi, Evan. Z Ameryki. Przyszliśmy zabrać cię tam, gdzie twoje miejsce.

W tańczącym, rozedrganym blasku płomieni Jonathan zobaczył, że oczy chłopca otwierają się szeroko ze zdziwienia.

— Pan Jonathan? — wykrztusił.

Jonathan uśmiechnął się.

— Ten sam.

— Co pan tu robi?

— To długa historia — odparł Jonathan. — A teraz, zachowuj się spokojnie i trzymaj blisko mnie. Spróbujemy wydostać się z tego piekła żywi.

Jeden z pozostałych chłopców zerwał się na nogi i próbował do nich podbiec, ale Boxers wyciągnął swoją wielką dłoń i powstrzymał go.

— Zabierzcie mnie ze sobą — powiedział chłopiec.

Jonathana zaskoczyło, że chłopiec odezwał się po angielsku, ale mimo to ruszył w kierunku drzwi.

— Wracaj do łóżka, synu — odezwał się Boxers. — Zabieramy tylko jednego.

— Nie! — krzyknął chłopiec. — Evan, obiecałeś!

Evan wyrwał się z uścisku Jonathana, obrócił w miejscu i przywołał machnięciem ręki Charliego.

— Chodź! — powiedział.

Jonathan złapał Evana ponownie za ramię, tym razem silniej.

— Nie, to ty chodź.

— To mój przyjaciel.

— Znajdziesz sobie nowych — warknął Boxers. — Skorpion, musimy się pospieszyć.

Z karabinem wycelowanym w drugiego chłopca zaczął się wycofywać, kiedy Jonathan na wpół popychał, a na wpół ciągnął Evana przez drzwi.

— Panie Jonathanie, panie Jonathanie, nie mnie pan posłucha. To jest Charlie. Tylko on jeden mi pomógł...

— Nie możemy — odparł Jonathan. — Po prostu nie możemy.

— Chodź, Charlie! — zawołał Evan. — On powiedział, że możesz z nami iść!

W drzwiach pojawił się Boxers.

— Co jest, do cholery?

Jonathan był oszołomiony. A drugi dzieciak stał już obok nich. I co miał teraz zrobić? Zastrzelić go?



Mniej czasu zajmie poddanie się niż przekonywanie.

— W porządku — zgodził się. — I do Boxersa: — Puść go...

Z drugiego końca obozu dobiegł Jonathana zgodny chór wrzasków. Ogień dotarł do najdalszego z baraków — budynku India — i zaczynał trawić jego zachodnią ścianę. Języki ognia lizały deski ścian i sięgały krytego strzechą dachu. Kiedy spojrział, zrozumiał, że ogień wdrze się do środka przez wysokie okna. Jeżeli niczego nie zrobią, dzieci spłoną żywcem.

— Szefie — odezwał się Harvey.

Jonathan rzucił spojrzenie Boxersowi.

— Musimy — powiedział. Puścił ramię Evana. — Trzymaj się mnie. Nie oddalaj się na krok, rozumiesz?

Nie czekał na odpowiedź. Obrócił się na pięcie i pobiegł w kierunku powiększającego się pożaru. To była scena jak z koszmaru — taka, którą wbijał do głowy bez końca chętnym do służby w oddziale Delta, kiedy był instruktorem. W trakcie misji 0300 liczył się tylko cenny ładunek. Kiedy cenny ładunek już był bezpieczny, pod ręką, nie wolno było robić niczego, co mogłoby zagrozić jego bezpieczeństwu. Tak to wyglądało na szkoleniach. Tyle że nikt nie przewidział scenariusza, zgodnie z którym musiały ratować tuzin dzieci.

Ogień rozszerzał się z przerażającą prędkością. W ciągu dziesięciu czy piętnastu sekund, jakie zajęło Jonathanowi pokonanie dystansu, cała tylna ściana już płonęła. Ze środka dobiegały najbardziej przerażające wrzaski, jakie zdarzyło mu się w życiu słyszeć. Był pewien, że wykrzykują jakieś słowa, ale nie miał czasu na zgadywanie ich znaczenia. Ton tych głosów mówił wszystko, co chciał wiedzieć. Kiedy był o kilka jardów od budynku, minął go Harvey i pierwszy dopadł drzwi. Jonathan nie podejrzewał, że ten niepozorny człowieczek potrafi tak szybko biegać.

Niespodziewany ogień z karabinu automatycznego kazał Jonathanowi stanąć w miejscu i sięgnąć po broń. To był Boxers. Szedł, niosąc karabin skierowany lufą ku niebu i wpatrywał się w południowo-zachodni narożnik obozu. Podążył za jego wzrokiem i w porę powalił na ziemię szykującego się do strzału żołnierza.

— Pospiesz się, Dig! — zawołał Boxers. — Tracimy kontrolę. Już mamy kłopoty.

Jonathan mógł na palcach obu rąk policzyć sytuacje, kiedy jego przyjaciel był zdenerwowany. Przewaga, jaką dało im wysadzenie w powietrze zbiornika i generatora, stopniała. Prawdę mówiąc, dywersja, jaką przeprowadzili, skierowała się przeciwko nim. Element zaskoczenia zniknął i teraz wszystko sprowadzało się do umiejętności strzeleckich.

— Ruszaj się, Harvey! — warknął Jonathan. Przewiesił M4 przez ramię i sięgnął po mossberga. Otworzył zamek, wsunął nabój z grubym śrutem, a potem pocisk Fostera. Koniec lufy przysunął na pięć centymetrów do zamka drzwi, obliczył kąt rykoszetu i pociągnął za spust.

Mossberg szarpnął, a zamek przestał istnieć. Jonathan otworzył szeroko drzwi i dzieci wybiegły na zewnątrz. Kaszłały i płakały, ich twarze były czarne od sadzy, ale Jonathan nie zauważył śladu poparzeń. Stojący obok Harvey próbował je w biegu zbadać. Najwyraźniej wszystkie były zdrowe, bo żadnego nie udało się zatrzymać.

Ścianę budynku na lewo od drzwi przeszły seria z karabinu. Dzieci zaczęły krzyczeć i rzuciły się na ziemię. Jonathan instynktownie odszukał wzrokiem Evana. Stał tam, gdzie powinien, a obok niego jego przyjaciel.

Najchętniej już by się stamtąd oddalił, ale musiał sprawdzić, czy w środku nie zostało żadne dziecko. Wbiegł po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Pochylił się nisko nad podłogą, bo tam powietrze nadawało się jeszcze do oddychania, zrobił kilka kroków i rozejrzał się. W tym miejscu było pusto. Na drugim końcu ściana ognia przypominała żywego, pożerającego wszystko potwora. Jeżeli ktoś tam został, już nie żył.

Szybko wyszedł na zewnątrz.

Dzieci z płonącego baraku nigdzie się nie oddaliły. Zgromadziły się wokół Boxersa i Harveya, a kiedy pojawił się Jonathan, także wokół niego. Jeden z chłopców, mniej więcej dwunastoletni, który w wyniku jakiegoś dawnego wypadku nie miał prawego oka i ucha, chwycił Jonathana za rękę i po hiszpańsku zapytał:

— Co my teraz zrobimy? Gdzie mamy pójść? Proszę, weźcie mnie ze sobą.

Pozostałe dzieci w taki sam sposób błagały Boxersa i Harveya. Był przerażone, ale w jakiś sposób rozumiały, że ci obcokrajowcy

z karabinami mogli zapewnić im lepszą przyszłość niż miejscowi.

Jonathan milczał. Co miał powiedzieć? Ta misja zaczęła się zupełnie wymykać spod kontroli.

— Musimy ruszać! — zakomenderował.

— Wróg na północy! — wykrzyknął Boxers.

Jonathan wyciągnął rękę i chwytając Evana za kark, pochylił go bliżej ziemi. Ponad tuzin mężczyzn w niedopiętych mundurach porzuciło myśl o gaszeniu pożaru i zaczęło stanowić realne niebezpieczeństwo. Część już zajęła pozycje. Jonathan zastrzelił dwóch jedną potrójną serią.

Żołnierze zaczęli się pojawiać ze wszystkich stron. Byli wystraszeni, nie celowali dokładnie, dlatego ich strzały nie stanowiły większego zagrożenia, ale stare porzekadło głosi: „Jeśli pošlesz odpowiednio dużo ołowiu, coś na pewno trafisz”.

Dzieci rzuciły się na ziemię. Przynajmniej większość. W baraku za ich plecami — budynku Hotel, jedynym wciąż zamkniętym, choć stojącym z dala od ognia, dzieci krzyczały i waliły w ściany, najwyraźniej wystraszone strzałami i pociskami, które chybiwszy celu, rozłupywały drewniane ściany chaty.

Jonathan i Boxers pochylili się nisko. Dodatkowo Jonathan osłaniał Evana, który próbował cały czas wyslizgnąć się z jego żelaznego uścisku.

— Osłaniaj cenny ładunek! — Jonathan krzyknął do Harveya, który stał w miejscu, jakby go замуrowało.

— Harvey!

Wreszcie oprzytomniał. Jonathan przekazał mu Evana.

— Zabierz go na tyły budynku Hotel i osłaniaj. Zastrzel każdego, kto się zbliży.

Harvey chyba po raz pierwszy zrozumiał, o jaką stawkę toczy się bitwa. Pochylił się, chwycił Evana i pociągnął za sobą.

Evana nie trzeba było dodatkowo zachęcać. Kiedy wyrwał się z uścisku Jonathana, sam pędził, żeby skryć się za chatą. A Charlie za nim. Harvey ledwo mógł za nimi nadążyć.

— Nie możemy tu zostać! — zawołał Boxers. W pewnej chwili pociski zryły ziemię pod ich stopami. Olbrzym bez namysłu zastrzelił snajpera.

Jonathan zdawał sobie sprawę, że Boxers ma rację. Nie było sposobu, żeby niepostrzeżenie zabrać stąd Evana. W obozowisku zaczęły się formować dwu-, trzysobowe oddziały żołnierzy. Zdradzał ich ruch i rozbłyski z luf, było ich tak wielu, że pozostawało tylko kwestia czasu, kiedy ich dopadną.

— Nie możemy bronić tej pozycji! — krzyknął Jonathan, strzelając jednocześnie do jakiegoś ruchomego celu. Chybił.

— Naprawdę?! — odkrzyknął Boxers. Odrzucił pusty magazynek i założył nowy.

— Idziemy w lewo — ogłosił Jonathan, tym razem korzystając z radia, żeby Harvey też ich słyszał. — Harvey, nie ruszaj się. Box, nasz cel, ciemna strona płonącego baraku. — Wyrzucił magazynek, w którym pozostało jeszcze sześć nabojów i założył nowy, z trzydziestoma. — Dobra, Olbrzymie, ty walisz we wszystko na północ, ja biorę wszystkich na południu. Kryjemy ogniem!

Działając z niezwykłą harmonią, zasypali gradem pocisków przeciwnika, a potem szybko przykucnęli w poszukiwaniu schronienia. Jonathan opróżnił swój magazynek w siedem sekund. Dwie sekundy później miał już nowy, który udało mu się opróżnić w sześć sekund. Celem nie było zabijanie — choć trafiał, ilekroć miał okazję — tylko raczej celowanie jak najbliżej przeciwnika. Kolejna podstawowa zasada walki mówiła, że nie można jednocześnie kulić się ze strachu i zabijać. Zachowanie zimnej krwi pod ostrzałem odróżniało doświadczonych żołnierzy od amatorów. No i oczywiście umiejętność trafienia w cel.

Kiedy biegli, szukając schronienia za piekłem, w które zamienił się płonący budynek India, Boxers zdołał wystrzelić dziewięćdziesiąt pocisków z taką prędkością, że Jonathan nie słyszał przerwy na przeładowanie magazynka.

Jonathan pierwszy dopadł względnie bezpiecznej kryjówki w cieniu płonącego budynku. Kilka sekund później dołączył do niego Boxers.

— Nie odpowiadają ogniem — powiedział Boxers. Patrzył szeroko otwartymi oczami, twarz miał skupioną jak dziecko czekające na prezent od Świętego Mikołaja. — Możemy ich unieszkodliwić.

Jonathan skinął głową. Ogień osłaniający stanowił nie tylko test, ale także strategię. Można się było dzięki niemu dowiedzieć, czy

przeciwnik kryje się przed ogniem. Gdyby role się odwróciły i dwóch amatorów zasypałoby gradem pocisków profesjonalistów, obaj szybko zostaliby wyeliminowani.

— Ale musimy działać szybko — powiedział Jonathan. — Ściągniemy ich z lewej na prawą.

— Będą szukać schronienia w jednym z ocalałych budynków — przewidywał Boxers.

Jonathan uśmiechnął się.

— Jeśli będziemy mieli szczęście. — Granaty ręczne zostały skonstruowane do eliminowania przeciwników znajdujących się w zamkniętych pomieszczeniach.

Nie było potrzeby powtarzać tego, co zaplanowali. Tyle razy już przez to przechodzili, że walka była prawie tak instynktowna jak oddychanie.

Kiedy radio zaskrzeczało, Mitch Ponder najpierw usłyszał odgłosy walki, a dopiero potem ludzki głos.

— Oni wysadzają w powietrze całą plantację — krzycał po hiszpańsku Victor. — Wielkie eksplozje! Musi ich być ze dwudziestu! Pospieszcie się!

Nie czekając na polecenie, pilot uruchomił silnik luksusowego śmigłowca Sikorski S-76, w którym nawet fotele były obite skórą. Czekali w pogotowiu w odległości trzydziestu mil na podwórku jednego ze współników. Obracający się wirnik obudził siedzącego z tyłu strzelca.

— Wszystko płonie! — wydierał się Victor. — Zabijają wszystkich po kolei. Wytwórnia zniszczona.

Ponder poczuł niemiłe ukłucie w piersi.

— Co to znaczy „zniszczona”?

— Posłuchaj! — Ponder wyobraził sobie, że Victor trzymał teraz mikrofon za oknem. Odgłosu strzałów nie można było z niczym pomylić.

— Powstrzymaj ich — rozkazał Ponder. — Masz tam przecież całą pieprzoną armię. Wiem, bo płaciłem za ich broń.

— Postaramy się — obiecał Victor. — Ale nie mogę dłużej zagwarantować bezpieczeństwa białego chłopca.

— Pieprzyć białego chłopca — warknął Ponder. Miał dług wobec amerykańskiego sekretarza obrony, ale nic nie było wart milionów straconych w zniszczonej wytwórni. Większość producentów kokainy zadowalała się produkcją kilku kilogramów miesięcznie; on wytwarzał setki kilogramów tygodniowo. Nie było większego przedsiębiorstwa w Ameryce Południowej. — Lepiej jeśli pozostanie żywy, ale jeśli musi umrzeć, niech umiera. Lecimy do was.

Skinął na pilota. Łopaty wirnika wgrzyły się w wilgotną noc i ziemia uciekła im spod nóg. Kiedy wznieśli się nad drzewami i skierowali na północ, na horyzoncie ukazała się żółtopomarańczowa luna pożaru.

— Mój Boże — wymamrotał Ponder. Nie tak wszystko miało wyglądać. Zgodził się na przetrzymywanie chłopca na plantacji, ponieważ było to jedyne miejsce pod jego kontrolą, gdzie byłby pod nieustannym nadzorem i mógłby odpracować koszty utrzymania.

Victor i jego żołnierze mieli powstrzymać ludzi, którzy zamierzali uwolnić chłopaka. Śmigłowiec miał zostać użyty tylko w ostateczności, gdyby napastnikom udało się odbić chłopca i zniknąć z nim. Dzięki urządzeniom działającym na podczerwień i noktowizorom napastnikom nie udałooby się ukryć w dżungli.

Gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z planem, chłopiec mógłby żyć, a jeżeliby zginął, to nikt by się o tym nie dowiedział. Ojcu mówiono by, że jego syn jest cały i zdrowy, wymyślono by jakąś historyjkę tłumaczącą, dlaczego nie ma więcej zdjęć. Gdyby okazało się, że to nie wystarczy, żeby powstrzymać ojca od zeznawania, cóż, to nie byłby już problem Pondera.

Odległa luna pulsowała i stawała się coraz jaśniejsza. Ponder zacisnął zęby. Był gotów zabijać.

# Rozdział 41

Ponieważ nieprzyjaciel zdawał się oczekiwać, że pojawią się z drugiej strony budynku, Jonathan i Boxers wyłonili się w tym samym miejscu, gdzie zniknęli. Skręcili w lewo i ostrzeliwując się, przebiegli alejką pomiędzy płonącym barakiem a płonąca wytwórnią.

Kiedy wydawało się, że minęli lewe skrzydło przeciwnika, obrócili się w prawo i zaczęli skutecznie zabijać. Każda sylwetka z bronią stała się dla nich celem.

Poruszali się razem, ciało przy ciele, bez przerwy strzelając i przeladowując broń, robiąc przypadkowe uniki, które uniemożliwiały ich zatrzymanie. To już nie był ogień osłonowy. Teraz chodziło o celność strzału, o strzelanie jednoczesne, kiedy każdy z pocisków trafiał w cel i zabijał. Kiedy przeciwnik stał frontem, Jonathan kierował w niego dwa pociski — jeden w serce, drugi w głowę. Jeżeli stał bokiem — celował w ucho. Jeżeli uciekał — dostawał między łopatki.

W którąkolwiek stronę skierowali broń, tam ginęli ludzie. Jonathan nie próbował nawet liczyć, ale wiedział na pewno, że w ciągu pierwszych dziesięciu, piętnastu sekund położył pięciu. Przeciwnik odpowiadał ogniem, tyle że beładnym. Jonathan był pewny, że żaden nieprzyjacielski pocisk nie padł bliżej niż pięć stóp od niego. Dla porównania żaden pocisk, który on wystrzelił, nie chybił celu.

Po dwudziestu sekundach walki przeciwnik zaczął tracić animusz, instynkt przetrwania zaczął przeważać nad pragnieniem zwycięstwa.

Jonathan i Boxers nie zwalniali ani na chwilę. Kiedy na ich drodze leżało jakieś ciało, przeskakiwali nad nim. W innych okolicznościach, gdyby przeciwnik był lepiej wyszkolony, takie bezpośrednie natarcie mogłoby pozwolić na przeprowadzenie manewru uniemożliwiającego oskrzydlenie, po prostu wróg zaczekałby, aż atakujący go minie, a potem zaatakowałby z tyłu lub ze skrzydła. Jonathan na wszelki wypadek sprawdzał co chwila swoje tyły, ale okazało się, że manewr nie został przeprowadzony.

Kierowali się na północ wzdłuż wschodniej granicy obozu. Kiedy mijali pozostałości po zbiorniku benzyny — budynek Alfa — Jonathan dostrzegł żołnierzy wycofujących się do budynku Bravo, który sądząc z konstrukcji, był bliźniaczo podobny do baraku dla dzieci, tylko pozbawiony zamykanych drzwi i siatek w oknach.

Jonathan i Boxers zatrzymali się przy ścianie budynku, tuż pod oknem. Ryzykowali, że któryś z przeciwników strzeli z karabinu, a pocisk przebije cienką ścianę z desek.

Strzelanina ustała, ale Jonathan zdawał sobie sprawę, że cisza nie będzie trwała wiecznie.

— Proponuję wysadzić ten barak — szepnął Boxers. Jonathan przyznał mu rację. To był jedyny... Spojrzał na środek obozowiska.

— O cholera — wyszeptał.

Evanowi zdawało się, że to jest najstraszniejszy film, jaki w życiu widział — tyle że eksplozje były prawdziwe, a zakrwawione ciała całkiem rzeczywiste. Wszystko tu było realne. Każda chwila ostatnich kilku dni nie miała sensu, ale to, co się teraz działo, przekraczało już wszelkie granice. Na litość boską, tu ginęli ludzie. Budynki wylatywały w powietrze.

I pan Jonathan! Jezu. Zawsze sprawiał wrażenie twardziela — przyjaznego, ale na swój dziwny sposób — jednak Evan nigdy by nie przypuszczał, że ten człowiek będzie zabijał, żeby go uwolnić. Czuł w głowie zamęt. Za dużo się działo, żeby mógł to wszystko pojąć.

— Evan, co się dzieje? — zapytał nieco zbyt głośno Charlie. Nie zauważył, że nagle zapadła cisza. — Kim są ci ludzie?



— Tamten facet to pan Jonathan. On jest...

— Cicho — warknął człowiek, który z nimi został. Evan nie widział go wcześniej, ale gość wydawał się nerwowy. Miał na głowie hełm, miał rękawiczki i prawdziwy wojskowy karabin, ale wyglądał na wystraszonego. U pana Jonathana to było najdziwniejsze, że on wcale nie wyglądał na wystraszonego. Evan nie wiedział, czy to dobrze, czy źle.

— Kim pan jest? — zapytał Evan. Zniżył głos do szeptu, ale ton pozostał napastliwy.

— Jestem przyjacielem. Mam na imię Harvey i proszę, żebyście obaj byli cicho. — Po namyśle wyciągnął dłoń w rękawicze. — Ty jesteś Evan Guinn. Miło cię poznać.

Evan przekrzywił głowę zmieszany, ale uściśnął dłoń mężczyzny.

— Mnie też miło pana poznać.

— A ja mam na imię Charlie — odezwał się drugi chłopiec, wpychając dłoń pomiędzy tamtych.

— To mój nowy przyjaciel — wyjaśnił Evan. — Jest tu już od dawna. Oni zabili jego rodziców.

Harvey uściśnął dłoń Charliego, ale jego twarz się zmieniła. Wydawał się smutny.

— Cóż, mam nadzieję, że znajdziemy ci jakiś ładny dom — powiedział.

— Co teraz zrobimy? — zapytał Evan.

— Zabierzemy was stąd.

— Ale jak?

Harvey zrobił śmieszoną minę, jakby nie znał odpowiedzi na to najbardziej oczywiste pytanie.

— Obserwuj i ucz się — powiedział.

— Czy my się ukrywamy? — zapytał Charlie.

— No jasne, że się ukrywamy — odpowiedział Harvey. — Ich zadaniem jest wyeliminowanie wszelkich zagrożeń. Moim, zadbać, żebyście tu byli bezpieczni. — Jakby dla podkreślenia swoich słów mocniej ścisnął kolbę karabinu. — Żeby was dopaść, musieliby się zmierzyć ze mną.

Harvey słuchał swoich słów godnych prawdziwego twardziela i poczuł zażenowanie. Nie czuł się tak okropnie od czasów wojny w

Zatoce. Nie czuł też, że żyje. Wojna to najpotworniejsze doświadczenie, jakie może człowieka w życiu spotkać, ale tutaj, w ogniu walki, przypomniał sobie, w jakie kiedyś wpadł uzależnienie. Świat w uścisku śmiertelnego terroru stawał się nagle nadnaturalnie przejrzysty; kolory były żywsze, strach silniejszy, entuzjazm większy. Dopiero kiedy było po wszystkim, kiedy martwy wróg i martwy przyjaciel na powrót stawali się istotami ludzkimi, zaczynały człowieka dręczyć wyrzuty sumienia i wątpliwości. Dopiero gdy było po wszystkim, dreszcz emocji zmieniał się w dreszcz przerażenia.

W tej chwili codzienność jego dotychczasowego życia — namiot, nieustanne uczucie strachu, ciągle poczucie bezużyteczności — wydawała się odległa o lata świetlne. Zdawało się, że była udziałem kogoś innego. Tu tkwił w samym środku sprawiedliwej wojny i miał o co walczyć. Miał za co umierać. Pamiętał słowa sierżanta z czasów szkolenia w marines, który mówił, że warto żyć tylko po to, by umrzeć w obronie innych.

Wtedy przyjmował te słowa na rozum, teraz zagościły one w jego sercu. Może musiał wszystko stracić po to, żeby zrozumieć potrzebę chronienia tego, co ważne. Był odpowiedzialny za tych dwóch chłopców. Jeżeli tu zginą, to z jego winy, ale jeśli dożyją jutra, to właśnie dzięki niemu.

Boże, dopomóż.

Po obozie biegał w kółko wystraszony chłopiec. Zatrzymał się nad zwłokami żołnierza, który leżał dziesięć jardów dalej. Jonathan pamiętał, że niedawno go zastrzelił.

Jonathan nie wiedział, gdzie się podziały pozostałe dzieci, ale temu chłopcu ewidentnie groziło niebezpieczeństwo.

— *Tu! Nino! A cubierto!* — zawołał Jonathan. — Ty! Chłopcze! Ukryj się.

Chłopiec nie zareagował. Zamiast tego podszedł bliżej trupa i pochylił się, żeby przyjrzeć się jego twarzy. A potem zaczął go kopać. Raz, drugi, trzeci.

Jonathan zaklął pod nosem.

— *Parar!* — krzyknął. — *No hagas eso!* Przestań! Nie rób tego! — Ale dzieciak nie słuchał. — Jasna cholera. Boxers, osłaniaj mnie.

— Co ty znowu...

Jonathan już pobiegł. Dzieciak w dalszym ciągu kopał ciało. Żaden żołnierz nie będzie się temu przyglądał beczynnienie...

Z budynku Bravo i Delta padły strzały, rozrywając nocną ciszę. I chłopca. Padł na ziemię tam, gdzie stał.

— Pieprzony drań! — wrzasnął Jonathan, zrywając z ramienia karabin i obsypując gradem pocisków okna i ściany tuż nad głową Boxersa, który z kolei otworzył huraganowy ogień w stronę budynku Delta.

Przeciwnik nie odpowiedział ogniem; skrył się głęboko.

Jonathan przeładował karabin, przyklęknął, zgiętą w łokciu lewą ręką uniósł bezwładne ciało chłopca i szukając schronienia, opróżnił kolejny magazynek.

Schroniwszy się w cieniu budynku położył ciało na ziemi. Chłopiec miał rozerwaną krtani i dwa otwory po kulach w piersi. W blasku płomieni nieruchome źrenice były szkliste.

— On nie żyje, Dig — powiedział Boxers. — Nic nie poradzisz.

Chłopiec musiał mieć nie więcej niż jedenaście lat. Co on sobie myślał? Co kazało mu stać na otwartej przestrzeni i profanować zwłoki?

— Musimy iść, Dig. On nie żyje. Skurwiele go zabili.

Jonathan poczuł, jak okropne myśli zaczynają się wdzierać do jego świadomości i szybko je od siebie odsunął. Na miłość boską, to była wojna, gdzie cały świat składał się z bieżących wydarzeń i przyszłych celów. Przeszłość staje się nieistotna, gdy tylko przemienie. Nie można martwić się o nieżyjących, kiedy zamierza się ochraniać żywych. Ale z drugiej strony ten chłopiec był taki młody...

— Skoncentruj się, Dig — upomniał go Boxers.

— Już dobrze — odparł Jonathan. — Żaden z tych dupków nie wyjdzie stąd żywy. Żaden.

Boxers kiwnął głową.

— To mi pasuje.

Jonathan zmienił magazynek, przewiesił karabin przez ramię, a od kamizelki odczepił granat odłamkowy M67.

— Przyduś do ziemi tych w budynku Delta — powiedział. — Jak rozwałę skurwieli w Bravo, zajmę się nimi.

— Od razu mi lepiej. — Boxers uśmiechnął się szeroko. Zmienił magazynek. — Powiedz kiedy.

Jonathan dla uspokojenia wziął głęboki wdech.

— Teraz.

Boxers wyprostował się i kryjąc się za narożnikiem budynku, wycelował i posłał trzy pociski w kierunku baraku.

Jonathan w kucki przesuwał się wzdłuż ściany, przywierając do niej lewym ramieniem. Za jego plecami Boxers opróżniał magazynek, a w budynku Bravo nikt nie wiedział, co robić.

Jonathan uchwycił łyżkę granatu kciukiem i palcem wskazującym wyjął zawleczkę. Odsunął się nieco od ściany, tak że nadal znajdował się poza zasięgiem wzroku każdego, kto ośmieliłby się wyrzeć, i puścił łyżkę. Nie chciał dać przeciwnikowi szansy na odrzucenie granatu, dlatego policzył do dwóch i dopiero wtedy cisnął granat przez otwarte okno.

— Wybuch — rzucił szeptem do mikrofonu, ostrzegając Boxersa, że za chwilę nastąpi eksplozja. Jonathan padł na ziemię, a dwie sekundy później usłyszał głośną eksplozję, która oznaczało zwycięstwo. W następnej chwili dały się słyszeć krzyki rannych. Podbiegł dwa okna dalej i wszystko powtórzył.

— Wybuch.

Po drugiej detonacji przyszedł czas na porachunki osobiste, z bliska.

— Wchodzę — zameldował przez radio.

— Przyjąłem.

Jonathan założył z powrotem noktowizor i sięgnął po mossberga. Wykonał wszystkie te czynności w jednej chwili, pokonując jednocześnie trzy stopnie schodów i kopniakiem otwierając drzwi.

Pozostający na zewnątrz Boxers o dwie trzecie zmniejszył liczbę wystrzeliwanych pocisków. Nie było sensu marnować setek nabojów do osłony ogniowej, skoro człowiek, którego osłaniał, znajdował się wewnątrz chaty.

W chwili gdy przekroczył próg, Jonathan skręcił w prawo, żeby oczyścić teren za drzwiami. O mało nie krzyknął, kiedy stanął twarzą w twarz z żołnierzem. Mężczyzna stał spokojnie, zdezorientowany i zakrwawiony. Trzymał w rękach M16, ale ten karabin wydawał mu się obcy.

Myśl o darowaniu mu życia nie wytrzymała konfrontacji z oczywistym faktem, że kiedy dojdzie do siebie, znów będzie stanowił śmiertelne zagrożenie. Jonathan zabił go strzałem z przystawionego do ciała mossberga. W ten sposób wpakował w jego klatkę piersiową dziewięć śrucin kalibru .32.

Następnie obrócił się w lewo i niespiesznie przeszedł się po tym, co pozostało z dwóch rzędów piętrowych łóżek. Kopnął wystającą spod łóżka rękę, żeby sprawdzić, czy jej właściciel żyje, ale po podłodze potoczyła się sama ręka. Przed nim jakiś człowiek związał się z bólu. W noktowizorze jego tułów był cały mokry i czarny. Jonathan ocenił, że rana jest śmiertelna i postanowił zostawić rannego samemu sobie, a tymczasem on uniósł rękę z zakrwawionym pistoletem. Jonathan go zastrzelił.

Piętnaście sekund po wejściu do chaty wcisnął guzik mikrofonu.

— Budynek Bravo czysty. Wychodzę.

— Jasna cholera, uciekają! — usłyszał w słuchawce głos Boxersa. Rozległy się strzały.

Jonathan dobiegł do otwartych drzwi i przykleknął, sięgając po M4. Widział, jak grupa mężczyzn wybiega z budynku Delta. Potykając się i potracając nawzajem, wypadali z drzwi i zbiegali po schodach. Niektórzy padali od kul Boxersa, ale większość uciekała dalej w panice. Biegli w stronę drzew w drugim końcu obozowiska.

Jonathan wcisnął guzik mikrofonu.

— Miejcie się na baczności, Harvey. Idą wprost na was.

Harvey poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła.

— O kurwa.

— Słucham? — zapytał Evan, zauważając nagłą zmianę nastroju.

Harvey nie zdawał sobie sprawy, że zaklął na głos. Z całą mocą położył dłoń na ramieniu chłopca.

— Na ziemię — powiedział. — Połóżcie się płasko. Nieprzyjaciel się zbliża. Cokolwiek się stanie, nie ruszajcie się, póki ktoś z nas nie przyjdzie.

Chłopcy się zaniepokoiли.

— Kto to jest?

— Wasi strażnicy. A teraz na ziemię. — Harvey założył noktowizor i od razu dostrzegł ludzi uciekających w stronę dżungli. Naliczył siedmiu, może ośmiu. Harvey ich nie interesował. Marzyli tylko o tym, żeby jak najszybciej stąd zniknąć.

Czy powinien strzelać, czy pozwolić im uciec? To było trudne pytanie. Jego zadaniem było dostarczenie chłopca całego i zdrowego do domu. Otwierając ogień, zdradziłby swoją pozycję i sprowokował do odpowiedzi ogniem, który z kolei mógłby zagrażać chłopcom. Jeśli jednak puści ich wolno, przeżyją i mogą ponownie zaatakować.

— *Los banditos estati aqui!* — rozległ się za jego plecami głos. Tu są bandyci! Harvey obejrzał się, a kiedy nikogo obcego nie zauważył, zdał sobie sprawę, że krzyczał jakiś chłopiec z baraku, którego jeszcze nie zdążyli otworzyć. Do pojedynczego głosu dołączył teraz cały chór. — *Los banditos estan aqui!*

Zaczęli te słowa nucić. Poskutkowało. Uciekający żołnierze obejrzeli się. Znajdujący się najbliżej uniósł broń do strzału.

MP5 Harveya zaterkotał, wypuł z siebie trzy pociski i żołnierz upadł. Harvey nie miał pojęcia, czy był martwy, ranny, czy tylko wystraszony. Najważniejsze, że już nie strzelał.

Za to strzelać zaczęła cała reszta. Dżunglę rozjaśniły rozbłyски z luf, terkot tuzina karabinów przypominał dźwięk rozdzieranej tkaniny. Strumień pocisków szatkował ścianę baraku za ich plecami i otaczającą ich roślinność. Harvey wepchnął chłopców głębiej pod barak, a tymczasem zamknięty w środku dzieciak, który wywołał tę strzelaninę, krzyknął z przerażenia i bólu, kiedy kule żołnierzy podziurawiły ścianę z cienkich desek.

Harvey doskonale wiedział, że nie może tu zostać. Jeśli odpowie ogniem z tego miejsca, żołnierze zasypią ich gradem pocisków. Zginie i on, i Evan.

Po tym wszystkim, co tu się stało — po krwi i cierpieniu — było niewybaczalnym grzechem, gdyby Evanowi coś się stało.

— Nie ruszaj się — syknął do chłopca. — Cokolwiek się wydarzy, nie ruszaj się.

— Dokąd...

Harvey nie czekał, aż chłopiec dokończy pytanie. Wciśnięty w wilgotną ziemię przeczołgał się wzdłuż ściany chaty i zniknął w ciemnościach po północnej stronie. Rozbłyски z karabinowych luf wskazywały pozycje przeciwników. Za każdym razem, gdy dostrzegł

rozbłysk, posyłał w tamtym kierunku dwie trzystrzałowe serie. Tłumik ognia zamontowany na jego lufie czynił go prawie niewidocznym, chyba że ktoś patrzyłby uważnie akurat w chwili, gdy pociągał za spust. Odgłos strzałów z jego karabinu także go nie niepokoił, ponieważ tonął w kakofonii dźwięków.

O mały włos nie narobił w portki, kiedy czyjaś ręka wylądowała na jego ramieniu. Obrócił się, żeby się zmierzyć z niebezpieczeństwem, a wtedy druga ręka chwyciła jego broń.

— Przyjaciele — odezwał się Jonathan. Po chwili wszyscy trzej zgodnie odpierali atak. Minęło piętnaście sekund i było po wszystkim.

Kiedy wrócił im słuch, do ich uszu zaczęły docierać łagodne dźwięki nocy. Takie jak jęki i skowyt rannych dzieci.

A także odgłos nadlatującego śmigłowca. Jonathan i Boxers wymienili spojrzenia.

— Wzywałeś kawalerię? — zapytał Boxers.

Jonathan kopnął grudkę ziemi.

— Jasna cholera. Tylko tego nam trzeba. Ataku z powietrza.

— Ale śmigłowiec by się przydał — zauważył Harvey. — Chodzi o te ranne dzieciaki. Nie możemy ich bezpiecznie sprowadzić na dół. — Spojrzał surowo na Boxersa. — I nawet nie próbuj powiedzieć, że to nie nasza sprawa. To wszystko przez nas.

— Jeśli masz jakiś pomysł, słucham.

Harvey westchnął i pokręcił głową, rozpinając jednocześnie kamizelkę i zdejmując hełm.

— Mam pomysł! — zawołał nagle, zdejmując kamizelkę. — Wkurza mnie, że to ja, ale mam pomysł.

Żeby go zrealizować, musiał działać szybko.

Jeszcze z odległości mili skala zniszczeń okazała się dziesięć razy większa, niż oczekiwał Ponder. Wszędzie dokoła leżały zwłoki, zupełnie jakby ktoś pozrzucał je z samolotu. Wszystko płonęło — w niektórych miejscach nawet ziemia stała w ogniu — a to, czego nie strawiły płomienie, bezlitośnie posiekały kule karabinowe. Atak z powietrza nie mógł już pogorszyć sytuacji.

— Mój Boże — jęknął. — Mój Boże, Boże...

Nie mógł się zabrać do liczenia milionów, które stracił.

— Szukajcie białoskórych żołnierzy. Zabijcie każdego, którego zauważycie — rzucił po hiszpańsku do interkomu.

Za jego plecami, w przedziale bagażowym, strzelec szykował swój AK-47.

Nadlecieli z dużą prędkością i na niskim pułapie, tuż nad czubkami drzew, tak żeby trudniej było ich zestrzelić. Nie padł jednak żaden strzał. Nikt się nie poruszył. To było królestwo śmierci i zniszczenia.

— Niewiarygodne — odezwał się pilot. Nagle wszystko zniknęło, obraz destrukcji ustąpił miejsca mrocznej dżungli.

— Przeleć raz jeszcze — rozkazał Ponder. — Tym razem wolniej.

Śmigłowiec zawisł nieruchomo w powietrzu, a po chwili położył się na jedną burtę i zawrócił.

— Jak będziemy lecieć wolniej, łatwiej nas będzie zestrzelić — ostrzegł pilot.

— Gdyby ktoś chciał nas zestrzelić, już dawno otworzyłyby ogień — odparł Ponder. — Oni albo nie żyją, albo już uciekli. — Wziął głęboki oddech. — Wszystko tu wydaje się martwe.

— Widzę jakiś ruch w dżungli! — zawołał strzelec. — Po prawej stronie.

Ponder się obrócił. Dzięki noktowizorowi mógł też to zobaczyć. Kilka osób biegło. To były dzieci.

— Pracownicy — stwierdził Ponder. Przynajmniej ci mu pozostali. Przez głowę przemknęła mu myśl, że skoro żołnierze i nadzorczy nie żyją, to dzieci też powinny zginąć. Nie mógł dopuścić, żeby wieść o jego klęsce dotarła do wieśniaków.

— Spójrzcie tam — powiedział pilot, wskazując ręką. — Jeden z nadzorców wciąż żyje.

Ciemnoskóry mężczyzna, bosy, bez koszuli, wybiegł na środek placu i wymachując rękami, przywoływał śmigłowiec do lądowania. Pilot zawiesił maszynę nieruchomo w powietrzu. Mężczyzna osłonił rękoma głowę przed podmuchem.

— Poznaje go pan? — zapytał pilot.

Ponder pokręcił głową.

— Sam nie wiem. Wygląda na półżywego. — Mężczyzna stał wyraźnie pochylony w lewo, jakby był ranny w nogę.



— To może być zasadzka — odezwał się pilot. — Co mam robić?

Harvey miał nadzieję, że nie przesadza z tym przedstawieniem. Nigdy wcześniej nie miał w swoim repertuarze roli przynęty i wychodząc na otwartą przestrzeń, bał się, że przygarbiony, ledwie powłóczący nogami będzie wyglądał jak Quasimodo. Kiedy śmigłowiec zwolnił, a potem zawisł nad jego głową, wiedział już, że zwrócił na siebie uwagę. Mimo to czuł podświadomie, że lufy karabinów w maszynie są wycelowane wprost w jego pierś.

Aby upodobnić się do jednego ze strażników, zdjął kamizelkę bojową, koszulę i buty, ale brak ubrania oznaczał jednocześnie brak miejsca, gdzie mógłby ukryć broń. Musiał teraz polegać tylko na swojej szybkości i na umiejętnościach strzeleckich Jonathana i Boxersa. Jeśli to zawiedzie, czekała go niechybna śmierć w miejscu, w którym za żadne skarby nie chciałby żyć.

Podmuch powietrza unióśł w górę pył i sadzę i otoczył Harveya chmurą, przez którą nie mógł nic dostrzec.

Trzymając się roli, zamknął oczy i zasłonił głowę, modląc się o powodzenie akcji.

Kiedy usłyszał, jak zmienia się tonacja dochodzących z góry dźwięków, wiedział już, że maszyna ląduje.

I wtedy rozległy się wrzaski.

Jonathan przykucnął za narożnikiem baraku i wycelowwał karabin w kokpit maszyny. Za nim klęczący na kolanie Boxers mierzył w przedział bagażowy tego cadillaca wśród helikopterów, z którego wyjęto boczne drzwi. Plan był prosty: kiedy tylko koła śmigłowca dotkną ziemi, Jonathan zdejmuje pilota, a Boxers osobę, która siedzi w przedziale bagażowym. Całość powinna trwać nie dłużej niż kilka sekund.

Jonathan czuł dziwną ojcowską dumę z Harveya i jego gotowości do podjęcia ryzyka. Dobrowolne rozbrojenie się w ogniu walki stanowiło dowód bezprzykładnej odwagi. Kiedy będzie już po wszystkim...

Z tyłu rozległ się przeraźliwy krzyk.

— Na pomoc! Panie Jonathanie! Panie Jonathanie! Na pomoc!

Kiedy Jonathan obrócił się, żeby zobaczyć, co się dzieje, coś ciężkiego uderzyło w ścianę baraku.

Evan bał się, że zaraz się posika. Trudno było o tym wspominać, kiedy leżało się w kałuży wody pod chatą pełną jęczących, płaczących i błagających o ratunek dzieci. Zresztą nikogo by to pewnie nie obeszło prócz niego. To takie dziecinne.

Leżąc tak bez ruchu, nie widząc, co się dokoła dzieje, słysząc tylko przerażające odgłosy walki, musiał sobie powtarzać bez przerwy, że nie zostanie tu porzucony, że przecież pan Jonathan zapewnił go, iż wszystko będzie dobrze, jeśli nie będzie się stąd ruszał.

Obok niego leżał w błocie Charlie. Nie odzywał się, słychać było tylko jego oddech, przyspieszony, głośny i chrapliwy niczym sapanie starego parowozu.

— Czy my zginiemy? — wyjęczał Charlie.

— Nie sądzę — odparł Evan. Starał się, żeby jego słowa zabrzmiały przekonująco, choć w myślach pytał się o to samo. Nie mógł sobie jednak pozwolić na atak paniki. Charlie wpadł w nią wcześniej, a jeden z nich musiał zachować trzeźwość umysłu.

— Kim oni są? — zapytał Charlie.

— To długa...

Nim Evan zdążył odpowiedzieć na pytanie, poczuł w głowie eksplozję bólu, a potem ktoś zaczął go ciągnąć po błotnistej ziemi. Sięgnął ręką do swojej głowy i natknął się na czyjeś palce zaciśnięte na włosach. Tajemnicza ręka zaczęła szybciej wyciągać go spod chaty.

Próbował zaprzeć się piętami o ziemię, ale nie udało mu się zatrzymać napastnika. Po kilku sekundach znalazł się na wolnej przestrzeni.

Górowała nad nim zwalista sylwetka Victora. Jego ciało było mokre od czegoś, co w przytłumionym świetle wyglądało jak krew. Oczy płonęły gniewem.

Dla utrzymania równowagi Evan chwycił przedramię mężczyzny i kopnął go w krocze na tyle mocno, że Victor rozluźnił chwyt, ale nie dość mocno, żeby go puścił.

— Na pomoc! — krzyknął Evan. — Panie Jonathanie! Panie Jonathanie! Na pomoc!

Victor wciąż miał przy sobie swój kij baseballowy. Zamachnął się nim w głowę chłopca. Evan przykucnął, a kij roztrzaskał ścianę chaty i upadł w błoto. Evan znów zaczął krzyczeć.

W migotliwym blasku ognia zobaczył uśmiechniętą twarz Victora unoszącego nad głową kij. Evan wrzasnął, najpierw z przerażenia, potem z bólu.

Jonathan w jednej chwili zorientował się, co się dzieje. Przeklął się w duchu, że stracił czujność. Nie wolno patrzeć tylko w jednym kierunku i nie wolno spuszczać cennego ładunku z oczu. Tymczasem on popełnił oba błędy naraz, a teraz wielki i porządnie wkurzony tubylec zamierzał ciosem kija baseballowego zniweczyć wszystkie jego wysiłki.

Jonathan odskoczył od ściany.

— Zajmij się śmigłowcem — rozkazał Boxersowi. Ponieważ fortel Harveya udał się i helikopter przymierzał się do lądowania, nie mógł strzelić. Wyciągnął z pochwy nóż i rzucił się na mężczyznę.

Evan leżał skulony na ziemi na lewym boku, osłaniał rękami głowę i darł się jak zarzynane zwierzę. Tymczasem napastnik trzymał nad głową kij niczym katowski topór. Jonathan zaczął biec w jego kierunku. Dzieliły ich jeszcze dwa kroki, kiedy kij spadł z całą mocą, trafiając Evana w wyciągniętą w górę goleń. Usłyszał głośny trzask pękającej kości.

Zmroził go potworny krzyk bólu.

Jonathan zaatakował napastnika. Wykręcił mu rękę i wbił w brzuch nóż aż po rękojeść. Mężczyzna próbował krzyknąć, ale to był daremny wysiłek. Ostrze noża trafiło na aortę i w jednej chwili ciśnienie krwi spadło do zera. Kiedy Jonathan wyjął nóż z rany, Victor bezwładnie osunął się na ziemię.

— Moja noga! — jęczał Evan. — O Boże, moja noga!  
Boxers otworzył ogień do śmigłowca.

Ponder poczuł, że coś jest nie w porządku, chwilę po tym, jak dał

rozkaz do lądowania. Uwagę stojącego na ziemi człowieka — człowieka, który rzeczywiście po bliższym przyjrzeniu się nie wyglądał znajomo — przykuwało coś, co znajdowało się po prawej stronie. Ponder spojrział tam, ale niczego nie dostrzegł.

Kiedy jego wzrok padł ponownie na mężczyznę, w jego postawie zaszła zmiana. Jakby nagle ozdrowiał.

— To pułapka! — krzyknął Ponder, kiedy koła dotknęły ziemi.  
— Do góry!

Pilot podskoczył w fotelu, jego ręce powędrowały do sterów, a chwilę później jego głowa eksplodowała, obryzgując szybę i tablicę ze wskaźnikami krwi i resztkami mózgu. Za plecami Pondera, w przedziale bagażowym, strzelec wydał z siebie głos przypominający szczekanie psa. Kiedy Ponder usłyszał trzask upadającego karabinu, zrozumiał, że strzelec też nie żyje.

Czuł, co nastąpi za chwilę. Sięgnął do klamki, ale roztrzęsiony nie zdołał jej pociągnąć. Coś ogromnego i niewidocznego trafiło go w pierś, opróżniając płuca z powietrza. Cokolwiek to było — a wiedział, że to pocisk — sprawiło, że ręce stały się bezużyteczne.

Na białej koszuli pojawiła się krew i Ponder zdołał jeszcze pomyśleć, jakie to dziwne, że umieranie jest tak mało bolesne.

## Rozdział 42

Podczas gdy Harvey zajmował się rannym, Jonathan i Boxers zabezpieczali teren. Polegało to na przemierzeniu całego obszaru obozu, wyszukiwaniu żywych przeciwników i eliminowaniu ich. Fakt, że Harvey nie słyszał żadnych wystrzałów, świadczył, iż pierwsza fala zniszczenia była skuteczna.

Po dziesięciu, dwudziestu minutach do obozu zaczęły powracać dzieci, które uciekły wcześniej do dżungli. Gromadziły się teraz wokół swoich wyzwolicieli. Chciały się dowiedzieć, co mają robić. Niektóre pragnęły dołączyć do ekipy Jonathana bez względu na to, dokąd ona zamierzała się udać.

— Nie możemy ich wszystkich zabrać — powiedział Boxers.

— A jak zamierzasz wybrać tych, którzy mają tu zostać? — zapytał Harvey.

— Pierwszeństwo mają ranni — wtrącił się Jonathan. — O losie pozostałych zadecydujemy później. — Było oczywiste, że zespół ratowniczy nie może tu przybyć, póki Evan nie znajdzie się bezpieczny w domu.

— Więc co ma się stać z resztą? — naciskał Harvey.

Jonathan wzruszył ramionami.

— Muszą się wykazać cierpliwością. Poradzą sobie sami.

Przez chwilę. Mam nadzieję, że zajmą się nimi wieśniacy. Może ktoś jeszcze. Nie zajmujemy się uchodźcami. A przynajmniej nie teraz.

Harvey wysłuchał tych słów i od razu wiedział, co ma zrobić.

— Zostanę z nimi.

— Och, nie — zaprotestował Boxers. — Nie zamierzam wracać, żeby cię stąd zabrać.

— Wcale tego po tobie nie oczekuję — odparł Harvey. — Chcę powiedzieć, że naprawdę zostaję. — Spojrzał na Jonathana. — Nie mam do czego wracać. Żyłem jak sęp, zapomniałeś? Bez pracy, bez mieszkania, ciągle kogoś wkurzałem. Na razie mam dość.

Jonathan wpatrywał się w niego, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Pieprzysz — zaprotestował Boxers. — Szefie, powiedz mu coś.

Jonathan zmierzył Harveya długim, surowym spojrzeniem.

— To decyzja, która zaważy na twoim dalszym życiu. Przemyśl ją dobrze.

Harvey uśmiechnął się.

— Najechałem bezprawnie ten kraj, nie mam paszportu, co gorszego może się zdarzyć? — Kiedy zauważył, że żart nie został przyjęty z aplauzem, zmienił ton. — A teraz na poważnie, szefie. Tu dostaję drugą szansę na życie. Tam, w kraju, jestem tylko dla wszystkich utrapieniem. — Rozłożył szeroko ramiona, przygarniając wszystkie dzieci. — Tu mam swoją trzódkę. — Wbił wzrok w Boxersa. — I nie jestem taki, jak mówią.

Olbrzym poczuł się zakłopotany.

— Rób, jak uważasz — powiedział. A potem zwrócił się do Jonathana: — Ptaszek będzie gotowy do lotu za pięć minut. Jeśli mamy się stąd ewakuować, pora rozpocząć pakowanie. — Odszedł w stronę śmigłowca.

— Plany były inne, Harvey — odezwał się Jonathan.

Harvey roześmiał się.

— Moje też. Ale skoro trafia się okazja...

— Z czego będziesz żył?

— Adaptuj się i improwizuj. Czy to nie twoje motto? — Wzruszył ramionami. — Widzisz, tam nic mi się nie udawało. Niektóre okazje przepuściłem, część rzeczy wymknęła mi się spod kontroli. W rezultacie nic mnie tam nie trzyma. A na poważnie, dzieci, które uwolniliśmy, muszą odnaleźć swoje rodziny. Muszą się uczyć. Może wezmę z ciebie przykład i zbuduję kolumbijską wersję Resurrection House. Poradzę sobie.

Jonathan był z niego bardzo dumny.

— A pomożesz nam się pakować?

Zajęło to tylko kilka minut. Najciężej ranni zajęli miejsca na białych skórzanych kanapach, a reszta usiadła na podłodze obok Evana, który dzielnie znosił cierpienie. Z powodu ograniczonego udźwigu śmigłowca narysowali na piasku linię, której zdrowe dzieci nie mogły przekroczyć. Jak ujął to zwięźle Boxers:

— Nie jesteśmy jakimś cholernym szkolnym autobusem.

Po ostrej wymianie zdań zdecydowano się jednak zrobić wyjątek dla Charliego. W końcu obietnica jest obietnicą.

Kiedy przedział bagażowy był już pełny, a coraz więcej dzieci próbowało się wspiąć na pokład, nadszedł czas odlotu. Jonathan po raz ostatni zwrócił się do Harveya:

— Możemy zrobić ci miejsce. Powiedz tylko słowo.

Harvey uśmiechnął się.

— Już powiedziałem, co miałem do powiedzenia. Ktoś musi tu zostać. A ja chcę.

Jonathan zaniemówił — rzadko mu się to zdarzało. Wyciągnął na pożegnanie rękę.

— Dziękuję — powiedział. — Nie dalibyśmy sobie bez ciebie rady.

Harvey uścisnął wyciągniętą dłoń.

— Założę się, że znalazłby się jakiś sposób. I dziękuję, że uznałeś mnie za tak szalonego, że zabrałeś mnie tu ze sobą.

Ściskali sobie ręce tak długo, że zaczęło to być krępujące. Jonathan chciał powiedzieć temu marine, że powinien być z siebie dumny, ale wiedział, że słowa zburzą tylko nastrój chwili. Dlatego rzucił tylko.

— Czas na nas.

— Tak — odparł Harvey. — Pozdrówcie wszystkich.

— Zrobię to. Uważaj na siebie.

— Ja dam sobie radę. A ty uważaj na te dzieciaki. Mam nadzieję, że pamiętasz przeszkolenie medyczne.

— To tylko pięćdziesiąt minut lotu — odparł Jonathan. Zamiast dziesięciu godzin ciężarówką, jak zakładał ich pierwotny plan.

— Karetki czekają?

— Powinny. Venice powiedziała, że się tym zajmie, a na niej można polegać.

Harvey ponownie wyciągnął dłoń.

— No to wynoście się stąd do diabła.

Przed wejściem do przedziału bagażowego Jonathan pozbył się broni, zostawiając sobie tylko colta przy pasie i trzydziestkęsemkę w kieszeni spodni. Zamierzał zajmować się po kolei wszystkimi pacjentami, więc im mniej był obciążony, tym lepiej.

Boxers obrócił się w fotelu pilota i spojrzał do tyłu. Pokazał skierowany ku górze kciuk w formie pytania, a Jonathan założył na głowę słuchawki.

— Cenny ładunek bezpieczny — powiedział.

Nim przebrzmiało ostatnie słowo, już byli w powietrzu.

Evan nigdy wcześniej nie leciał śmigłowcem i choć powinien odczuwać radość i ulgę, zawładnął nim smutek. A może wstyd. Otoczony rannymi chłopcami czuł się w jakiś sposób odpowiedzialny za ich cierpienia. Bądź co bądź to z jego powodu zostali postrzeleni. Kiedy pomyślał o tych, którzy zginęli, oczy mu zwilgotniały.

Nadal nie wiedział, dlaczego to się wydarzyło. Nie rozumiał, z jakiego powodu został porwany z internatu, nie rozumiał, dlaczego pan Jonathan i inni ryzykowali życie, żeby go odbić. Ale zrobili to. Zrobili to dla niego. Jak miał z tym żyć?

— Bardzo boli? — jakiś głos próbował przekrzyczeć szum silnika i wiatru.

Evan nie zauważył, że Charlie usiadł przy nim. Podczas gdy Evan czuł się jakby mu przybyło trzydzieści lat, Charlie wydawał się dziecinnieć. Spotulniał. Potrzebował wsparcia.

Evan bezwiednie dotknął nogi.

— Z szyną jest lepiej.

— Wiesz, że twój przyjaciel go zabił? Mam na myśli Victora?

— On zabił dziś wielu ludzi.

— Ale Victora zabił nożem. Widziałem to. Widziałem wyraz jego oczu, kiedy to robił. On chyba lubi to robić.

Może przez zwykły zbieg okoliczności akurat w tej chwili przez połamaną nogę Evana przemknęła fala dojmującego bólu.

— Ja też bym lubił — wycedził przez zaciśnięte zęby. — Ten sukinsyn mówił, że połamię mi nogi, jak spróbuję uciec. Chyba mam szczęście, że złamał mi tylko jedną.



Zapadła cisza, ale Evan czuł, że Charlie miał jakiś powód, żeby koło niego usiąść. Postanowił zaczekać.

— Co się ze mną stanie? — zapytał po pewnym czasie Charlie.

— Co masz na myśli?

Chłopiec wzruszył ramionami.

— Po prostu. Gdzie mam pójść, jak już dotrzemy na miejsce? Czy twój przyjaciel zabierze mnie ze sobą do Ameryki?

— To jest pan Jonathan. Myślę, że tak.

— I co potem? Nikogo nie znam w Ameryce. Nie mam gdzie tam mieszkać. — Charlie czekał, aż Evan to pojmie. — Będę potrzebował jakiegoś mieszkania.

W końcu Evan zrozumiał.

— Chciałbyś zamieszkać ze mną w Resurrection House? To fajne miejsce. — Uśmiechnął się kpiarsko. — Jak zostaniesz porwany, to cię uwolnią.

— Pozwolą mi?

Evan wzruszył ramionami i w tej samej chwili, nie wiedzieć czemu, noga zaboląa bardziej.

— Dlaczego nie mieliby pozwolić? Jeśli ktoś będzie się sprzeciwiał, wystarczy powiedzieć ojcu Domowi. On już się tym zajmie.

— Kim jest ojciec Dom?

— To ksiądz. Sympatyczny. Prowadzi te szkołę. Poznasz go.

— Polubi mnie?

— On wszystkich lubi.

Charlie zamyślił się i łagodnie kiwał głową. Nagle westchnął i zaczął szlochać.

Dużo czasu minęło od chwili, kiedy Jonathan po raz ostatni musiał odgrywać sanitariusza, ale okazało się, że dobrze sobie radzi. Miał ułatwione zadanie, bo przed wylotem Harvey ustabilizował stan wszystkich rannych dzieci. Najbardziej martwił go chłopiec z raną klatki piersiowej. W czasie lotu Jonathan musiał dwukrotnie odchyłać opatrunek, żeby płuco napełniło się powietrzem. Dobra wiadomość była taka, że choć chłopiec pozostawał nieprzytomny, jego funkcje życiowe były zachowane, a źrenice reagowały na światło.

Jak podczas każdego innego lotu, także teraz istniał pewien określony rytm, dzięki któremu Jonathan zorientował się, że za chwilę będą lądować na rzadko używanym lotnisku na dalekich przedmieściach Santa Marta. Za pieniądze przekazane przez Jonathana Josie Imprezowicz zorganizował gulfstreama, który miał ich po zakończeniu operacji zabrać do Stanów. Samolot był własnością byłego członka nikaraguańskich kontras. Jak się okazało, opuszczenie Kolumbii nie stanowiło żadnego problemu, jeśli tylko zatroszczył się o rząd.

— Szeffie! — zawołał przez interkom Boxers. — Pomyślałem, że zechcesz na to rzucić okiem.

Jonathan obszedł jednego z rannych chłopców, minął Evana i jego przyjaciela i w końcu położył dłoń na oparciu fotela pilota. Boxers wskazał pas startowy lotniska i czekające na jego końcu karetki.

— Cóż mam rzec? — zażartował Jonathan. — Venice zawsze dotrzymuje słowa.

— Nie mówię o ambulansach — warknął Boxers. — Spójrz na tych żołnierzy.

Kilkudziesięciu umundurowanych ludzi otaczało jeden z odrzutowców stojących na pasie do kołowania. Jonathan domyślił się, że to jest właśnie samolot, który na nich czekał.

— Jasna cholera — zaklął do mikrofonu.

— Co mam robić?

Jonathan rozważył kilka wariantów postępowania, ale na żaden nie mógł się zdecydować. Było oczywiste, że zostali zdradzeni. Jonathan podejrzewał, że mogło tak się stać z powodu Josiego, ale liczył, że jakoś sobie poradzą. Jeśli nie wylądują tutaj i skierują się na inne lotnisko, odsuną tylko w czasie to, co nieuniknione, a śmigłowcem do Stanów nie mogli lecieć.

— Ląduj — polecił Jonathan.

— A jaki jest plan B?

— Nie ma planu B — przyznał Jonathan.

— Może Panama nas przyjmie.

— Spójrz na wskaźnik paliwa. Nawet gdyby się zgodzili, nie dolecimy.

— Nie możemy walczyć z taką armią.

— Masz rację.

— Ani zgnić w jakimś więzieniu w środku dżungli.

— Nie wszystko naraz, Box — ostrzegł go Jonathan. — Posadź nas na ziemi, a ja wypróbuję swoje umiejętności dyplomatyczne.

— Mam jeszcze tam na podłodze około stu nabojuw dyplomatycznych pięć pięćdziesiąt sześć — zażartował Boxers, zerkając na leżącą obok niego skrzynkę z bronią.

— Chodzi o życie wielu ludzi, Olbrzymie. Nie tylko twoje i moje. Na razie ląduj.

Boxers głośno westchnął i zde gustowany pokręcił głową.

Jonathan wyjął z kabury czterdziestkępiątkę i odłożył ją na stertę pozostałej broni. W zależności od nastroju żołnierzy może więcej zwojują, nie afiszując się z bronią.

Teraz zwrócił się po hiszpańsku do pasażerów. Kazał im po wyładowaniu pozostać na miejscach i czekać, aż lekarze zabiorą ich do karetek. Po angielsku powiedział Evanowi, że ma się nigdzie nie ruszać bez niego lub Olbrzyma.

— Ma pan na myśli, że lepiej umrzeć na ulicy, niż dać się wciągnąć do samochodu?

Zdanie wydało się Jonathanowi znajome.

— Tak pan mówił podczas pogadanki — przypomniał mu Evan.

Jonathan mrugnął do niego.

— Pamiętam. Tak czy owak jeszcze dzisiaj będziesz w domu.

Kiedy śmigłowiec zaczął się zniżać, Jonathan stanął w rozkroku w otwartych drzwiach przedziału bagażowego. Gdy tylko koła maszyny dotknęły ziemi i Boxers wyłączył silnik, żołnierze zaczęli biec w stronę śmigłowca, mimo że łopaty wirnika wciąż jeszcze się obracały.

— Mam tu ranne dzieci — zawołał po hiszpańsku. — potrzebna jest pomoc lekarska! Proszę, nie róbcie im większej krzywdy.

Młody oficer — porucznik — zerknął przez ramię na Jonathana i na jego twarzy pojawił się wyraz niepokoju. Zobaczył strumienie krwi i grupę stłoczonych dzieci.

— Boże, co tu się stało?

— Poganiacze niewolników w górach strzelali do nich. Producenti narkotyków. Strzelali do tych chłopców, tak jak wcześniej strzelali do ich ojców. Mój przyjaciel i ja uratowaliśmy ich i przywieźliśmy tutaj.

W miejsce przerażenia pojawiła się teraz niepewność.

— Dostaliśmy inne informacje.

— Ale to prawda. Czy może pan przepuścić lekarzy?

Żołnierz się zawahał.

— To tylko dzieci, poruczniku — powiedział łagodnym tonem Jonathan. — Dajmy im szansę dorosnąć.

Porucznik kiwnął głową i wydał odpowiednie rozkazy. Trzydzieści sekund później żołnierze wspólnie z personelem karettek wynosili chłopców na noszach ze śmigłowca.

— Tego z jasnymi włosami i tego obok nie ruszajcie — dwukrotnie powtarzał Jonathan. — Oni są ze mną. Sam ich zabiorę do lekarza. — To było śmiałe zagranie, ale Jonathan miał nadzieję, że się uda.

Boxers siedział spokojnie na miejscu pilota. Od lat panowała milcząca zgoda co do tego, że Boxers nigdy nie pozwoli wziąć się żywcem i jak Jonathan podejrzewał, nic pod tym względem się nie zmieniło. Gdyby ktoś próbował aresztować Olbrzyma, doszłoby do jatki.

Kiedy ostatni z chłopców został wyniesiony z maszyny, dwóch wałęsających się w pobliżu żołnierzy nagle wyprostowało się jak struna i stanęło na baczność. Ich ręce w salucie karnie powędrowały do czoła.

Jonathan powędrował wzrokiem za ich spojrzeniem i ujrzał zbliżającego się starszego mężczyznę. Mężczyzna odsalutował, ale nie wydał komendy spoczniej. Po kroku Jonathan poznał, że to musi być generał, i faktycznie, kiedy podszedł bliżej, trzy gwiazdki na epoletach potwierdziły jego przypuszczenia.

Dobre wychowanie i lata wojskowego drylu kazały Jonathanowi stanąć w jego obecności prosto. Nawet jeśli się nie szanuje człowieka, to trzeba szanować szarżę.

— A więc to jest ta armia amerykańskich najeźdźców, o której słyszałem? — odezwał się nienaganą angielszczyzną.

— Przepraszam? — Jonathan się skrzywił.

— Poznaję ten śmigłowiec. Należy do mojego przyjaciela.

— Skoro tak, generale, to z całym szacunkiem, powinien pan poszukać sobie lepszych przyjaciół. Właściciel tego śmigłowca był mordercą i porywaczem.

Generał zmrużył oczy.

— Był? — Najwyraźniej musiał zwrócić uwagę na czas przeszły.

— Tak, sir. Zabiliśmy go.

Generał wyglądał na zszokowanego.

— I pan się do tego przyznaje?

— Ja się z tego cieszę — poprawił go Jonathan. — Był gwałciicielem i mordercą. Torturował ludzi. Jak sądzę, mówimy o tym samym człowieku? O Mitchellu Ponderze?

Generał zerknął przez ramię Jonathana na zakrwawione wnętrze śmigłowca. Kiedy podszedł bliżej, Jonathan przeczytał na plakietce, że nazywa się Ruiz.

— Ta krew — gestem ręki omiół okolice — to krew dzieci?

Jonathan skinął głową.

— Tak, sir. Krew Pondera jest w kokpicie. Chce pan ją zobaczyć?

Generał uśmiechnął się dziwnie.

— Nie, dziękuję. Jest pan pewny, że on nie żyje?

— Całkowicie.

— Rozumiem. — Generał sięgnął do kieszeni munduru i wyjął paczkę marlboro. Wytrząsnął z niej jednego papierosa, włożył go do ust i schował paczkę z powrotem do kieszeni, wyjmując z niej z kolei zapalniczkę. Przypalił papierosa, zaciągnął się głęboko i zdjął coś palcami z czubka języka.

— Widzę, że ma pan bardzo ciekawe umiejętności — odezwał się generał. — Czy nie mylę się, że już pan wcześniej gościł w moim kraju?

Jonathan starał się zachować kamienną twarz.

— Jeżeli gościłem, to zapewne w okolicznościach, o których wolałbym nie wspominać.

Generał Ruiz uniósł brwi i wycelował dwa palce w Jonathana, przyznając, że uwaga była celna.

— Nigdy nie myślałem o handlu narkotykami — powiedział — ale żołnierz taki jak ja po prostu służy swojemu rządowi. Mój rząd ma słabość do zysków, jakie przynosi handel kokainą. Gdzie są zyski, tam jest władza. A polityk nigdy nie ma dość władzy.

Nastąpiła długa przerwa, podczas której Jonathan nie wiedział, jak postąpić. Postanowił milczeć.

— Ja z kolei mam słabość do sprawiedliwości i zdrowia małych dzieci. Coś mi mówi, że zabijając Pondera, uczynił pan ten świat lepszym. Oddał pan mojemu krajowi przysługę, nawet jeśli jego kierownictwo jest odmiennego zdania. — Zastanawiał się przez dłuższą chwilę nad następnym krokiem, aż wreszcie przypieczętował swoją decyzję skinieniem głowy. — Uznam to za osobistą przysługę, jeśli to będzie pańska ostatnia wizyta w moim kraju. — Rzucił niedopałek papierosa na ziemię i zgniół go czubkiem buta. — Może pan lecieć.

## Rozdział 43

Jonathan trzymał się z tyłu, kiedy uśmiechnięty od ucha do ucha Alvin Stewart z każdym dzieckiem spędzał chwilę, częstując go cukierkami wyjmowanymi z torebki, którą trzymał na kolanach. Wózek prowadziła Mama Alexander. W sali panowała taka atmosfera szczęścia, jaka się pojawia, gdy wiadomo, że serdeczny przyjaciel dochodzi do zdrowia. Jonathan zdawał sobie sprawę, że miną miesiące, nim pan Stewart odzyska pełnię sił, ale lekarze zapewniali, że wyzdrowieje zupełnie.

Z lewej strony dostrzegł jakiś cień, a kiedy się obrócił, zobaczył, że koło niego staje Gail.

— Odprowadzisz mnie do domu? — zapytała.

Tego właśnie pragnął. Wyszli po cichu z wielkiej sali w rezydencji i po schodach dotarli do drzwi w holu. Na zewnątrz wieczorne powietrze nie było już tak upalne jak po południu, ale wciąż utrzymywała się wilgoć. Gail poruszała się powoli, opierając się ciężko o poręcz, próbując odciążać ranną nogę.

— Mogę pomóc? — zapytał Jonathan. Stał, gotów w każdej chwili złapać ją, gdyby się potknęła.

— Nie, dam sobie radę — wystękała Gail. — Najgorzej jest na schodach — dodała. Kiedy stanęła na chodniku, zatrzymała się i wyprostowała.

— Niezły z ciebie numer, Diggerze Grave. Przez większą część życia pracowałam jako stróż prawa, wyważałam drzwi, aresztowałam ludzi i nigdy nie miałam nawet zadrapania. A gdy tylko przeszłam do prywatnego sektora, od razu otrzymałam postrzał.

Jonathan uśmiechnął się i wzruszył lekko ramionami.

— Jeśli chodzi o ścisłość, to nie był postrzał, tylko odłamek.

— Niech będzie. — Roześmiała się.

W połowie drogi znalazła ich Joe i radośnie zatoczyła kilka kręgów, starając się zwrócić ich uwagę na patyk, który trzymała w pysku. Pełna wigoru czarna labradorka była bezdomna, ale od czasu do czasu uznawała Jonathana za swojego pana. Jonathan nie przyjął zaproszenia do zabawy w aportowanie, ale zwierzę nie traciło nadziei.

— A jak ty się czujesz? — zapytała Gail, dotykając lekko jego ramienia.

— Ja? Świetnie. Znowu wygrali ci dobrzy. Widziałas wczoraj w wiadomościach, jaki był zaskoczony sekretarz Leger? — Irene Rivers zawsze miała słabość do dramatycznych scen, dlatego postarała się, żeby odpowiednio dużo dziennikarzy obserwowało, jak oświadczenie arestuje sekretarza obrony pod zarzutem morderstwa i spisku.

— Czy widziałam? Oczywiście. A twoja przyjaciółka Wolverine jest najlepsza w zacieraniu śladów. O naszym udziale nie było ani słowa.

— Czyżbym słyszał rozczarowanie? — Byli teraz na Church Street i schodzili ze wzgórza w stronę wody. O tej porze dnia rozciągał się stąd piękny widok. Zawieszona nisko nad horyzontem słońce oblewało port płynnym złotem.

— Masz na myśli podziękowania? — Gail potrząsnęła głową. — Wcale nie. To chyba nawet lepiej. Dość, że wyjątkowo serdecznie dziękowała Dougowi Kramerowi za uratowanie życia Jeremy'emu Schulerowi.

Jonathan roześmiał się złośliwie.

— Może kiedyś Doug się z tym pogodzi. On nie lubi podziękowań za coś, czego nie zrobił.

— Ale to lepsze, niż dostać naganę za coś, czego się nie zrobiło. Jonathan skinął głową.

— Oczywiście. Doug jest po prostu wkurzony, że postawiłem go w takiej sytuacji. I ma do tego prawo.

Kiedy znaleźli się nad wodą, Joe wpadła na nowy pomysł. Wybiegła kilka kroków naprzód, położyła na ich drodze patyk, przywarowała i zaczęła zawzięcie wymachiwać ogonem.



— Spójrz na nią — odezwała się Gail.

— Trudno jej nie zauważyć — odparł Jonathan. Przykucnął, podniósł patyk i przez chwilę wazył go w ręce. — Ona to uwielbia — powiedział. Joe cała drżała z emocji, cofała się o krok, potem podbiegała do przodu. Jonathan rozejrzał się, czy nie ma w pobliżu żadnego samochodu i cisnął patyk jak najdalej. Pies zamienił się w czarną smugę.

Gail obróciła głowę i spojrzała na Jonathana.

— Co? — zapytał. — Dlaczego się na mnie patrzysz?

— Czekam, aż odpowiesz na moje pytanie.

— Nic nie wiem o żadnym pytaniu.

— Pytałam, jak się czujesz.

— I odpowiedziałem. Dobrze.

Gail się skrzywiła.

— Dobrze to żadna odpowiedź. To wymówka.

— Boże — jęknął. — Lepsi od ciebie próbowali wniknąć do mojej głowy, Gail. Daj spokój. Naprawdę wszystko jest w porządku. A jest w porządku, bo się niczym nie zajmuję.

— Tylko chcesz za takiego uchodzić.

Jonathan czuł, że zaraz się rozzłości. Czasami „w porządku” musiało wystarczyć. Złe rzeczy się zdarzają. Trzeba to przeżyć i dostosować się. Rozwodzenie się nad nimi byłoby tak samo bezcelowe jak próba zmieniania przeszłości.

— Obserwowałam cię, jak patrzyłeś, kiedy Jeremy Schuler witał się z ojcem.

— Przestań, Gail. — Joe wróciła z patykiem, ale coś wyczuła. Zamiast błagać o kolejny rzut, po prostu położyła się przy nodze Jonathana.

— Nie tak to sobie wyobrażałaś, co?

Jonathan chciał okazać tym pytaniem zniecierpliwienie, ale Gail miała rację. Pierwszoplanowe role w tym dramacie przypadły w udziale ojcu Domowi i Mamie Alexander i Jonathan czuł, że cierpią tak samo jak on. Na podstawie zgromadzonych przez Gail dowodów Frank Schuler został wypuszczony z celi śmierci na wolność i przyjechał wprost do Resurrection House po syna. Frank chciał tylko przytulić Jeremy'ego, a Jeremy przed nim uciekał. Wtulił się w Mamę Alexander i błagał, żeby mógł zostać. Wszyscy spodziewali się wybuchu radości, a okazało się, że to wyjątkowo smutna uroczystość.

Jonathan tłumaczył postępowanie Jeremy'ego.

— Przez dziewięć z lat trzynastu swojego życia myślisz, że ojciec zabił twoją matkę, i czekasz, kiedy państwo go za to uśmierci. Zaakceptowanie prawdy jest trudne. Kiedy w ten sposób na to patrzę, myślę, że należało się tego spodziewać.

Odchrząknął.

— Słyszałem natomiast, że spotkanie Evana Guinna z ojcem było udane.

— Program ochrony świadków to ciężkie doświadczenie — powiedziała Gail.

— Nie cięższe niż dotychczasowe życie.

Gail nie była do końca przekonana.

— W tych okolicznościach to szczególnie trudne wyzwanie. Na początku urzędnicy pomagają, ale potem trzeba sobie radzić samemu.

Jonathan wzruszył ramionami.

— Bardziej się martwię o tego drugiego dzieciaka, Charliego. Guinn zgodził się przyjąć go do rodziny, ale z tym dzieciakiem mogą być problemy. Nie wiem, czy nie byłoby lepiej, gdyby został w Resurrection House. Dom dałby sobie z nim radę.

— A co z zabitymi? — zapytała Gail. — Jak sobie z tym radzisz? — Do tego zmierzała od początku ich rozmowy, ale dla Jonathanu to był cios poniżej pasa.

— Daj spokój, Gail.

— Wiem, że ci to ciąży, Dig.

Spojrzał na nią gniewnie. Nie zamierzał kontynuować tego tematu.

— Nie chcę się wtrącać w nie swoje sprawy, Dig, ale martwię się o ciebie. Bardzo się martwię. Nie możesz tak po prostu pomijać tego tematu. Uwierz mi, ja to wiem. Ja też zabijałam, ale nie miałam do czynienia z martwymi dziećmi.

Dotarli do krótkich schodów prowadzących do alejki, przy której znajdował się dom Gail.

— Trafisz już stąd do drzwi? — zapytał Jonathan.

— Dig, proszę, nie zamykaj się przede mną.

Jonathan wziął ją w ramiona. Była w jego uścisku silna i krucha zarazem. Pachniała delikatnym mydłem i szamponem. Była czuła i

miła, i twarda jak skała. Czasem zdawało mu się, że ją kocha. Wiele razy próbował jej to powiedzieć, ale zawsze bał się, że coś zepsuje.

— Nie zamykam się przed tobą, jeśli chodzi o inne sprawy — szepnął. — Ale te drzwi są zamknięte celowo. — Puścił ją i pocałował. — Jeśli się o mnie martwisz, to nie naciskaj zbyt mocno.

Odwrócił się i ruszył z powrotem do remizy.

— Dobranoc — rzucił na pożegnanie.

Joe biegła tuż przy jego nodze, łagodna bryza znad rzeki wicherzyła mu włosy i niesła zapach morskiej soli i ryb. To był zapach domu, aromat miasta, które zawsze przynosiło zadowolenie. Nie jemu, innym. Dawno temu pogodził się z faktem, że dla niektórych mężczyzn zadowolenie zawsze będzie czymś nieuchwytnym. Niektórzy mężczyźni byli stworzeni do brudnej roboty, która pozwalała społeczeństwu żyć w poczuciu pokoju — poczuciu chyba iluzorycznym.

Taki był los Jonathana, a pociechę znajdował w tym, że był w swoim fachu dobry. Czasem, kiedy wypełniał misję, źli ludzie stawiali mu na drodze i wtedy musiał ich zabić. Takie reguły rządziły w jego świecie.

Ale ta misja była inna. Czy to możliwe, żeby za uratowanie życia jednemu dziecku trzeba było płacić taką cenę? Czy szczęśliwe zakończenie warte było tylu cierpień?

— Nieważne — powiedział na głos, prowokując zaciekawione spojrzenie psa. Co było to było. Misja zakończyła się sukcesem, do cholery. Jeśli zostały popełnione błędy, to postara się ich w przyszłości nie powtórzyć, ale rozpamiętywanie w tej chwili nie miało sensu. Niczego nie zmieniało. W końcu straty przeciwnika były ogromne, a po jego stronie nikt nie zginął.

Na dłuższą metę tylko to się liczyło. Mafijna rodzina wkrótce zostanie rozbita, morderca zniknie z prezydenckich gabinetów, a wszystko to dzięki Jonathanowi i jego ekipie. Niezły wynik.

Kiedy dotarł do remizy, otworzył drzwi i wpuścił do środka psa. Joe jak zwykle zajęła miejsce na skórzanej sofie w salonie, a on powłókł się do biblioteki, nalał sobie odrobinę whisky Lagavulin i zasiadł do przeglądania nieprzeczytanych gazet.

Dziesięć minut później usłyszał, jak otwierają się tylne drzwi.

— To ja! — zawołał donośnie Dom. Zawsze w ten sposób zapowiadał swoje wejście. Bez wątpienia bał się, że Jonathan weźmie go za włamywacza i zastrzeli.

— W bibliotece! — krzyknął Jonathan. Kiedy ksiądz stanął w progu, Jonathan uniósł szklaneczkę z whisky i ruchem głowy wskazał butelkę. — Nalej sobie.

Dom napełnił swoją szklankę i usiadł naprzeciwko na rozłożystej kanapie pod ścianą.

— Dzwoniła Gail — powiedział.

Jonathan zachmurzył się.

— Co się dzieje, Dig?

Jonathan niecierpliwie machnął ręką.

— Proszę — wyjęczał Dom. — Jestem twoim starym przyjacielem, psychologiem i mam bezpośredni telefon do Pana Boga. Potrafię czytać w tobie jak w otwartej księdze.

Jonathan przyglądał mu się, zastanawiając się, czy taki przyjaciel to błogosławieństwo, czy przekleństwo. Było jednak w Domie coś takiego, co przełamywało wszystkie opory Jonathana. Zdawało się, że ma klucze do wszystkich płotów, murów i zasieków, jakie Jonathan stawiał, kiedy ukrywał swoje demony. Jako ksiądz Dom doskonale zdawał sobie z tego sprawę i odpuszczał mu każdy jego grzech. Jako psycholog pomagał poradzić sobie z tym brzemieniem. Ale najwięcej potrafił zdziałać jako przyjaciel, bo po prostu nim był.

— Tym razem podobało mi się zabijanie — odezwał się Jonathan. — Co gorsza, podobało mi się zadawanie bólu.

— Myślisz, że to się nie zdarza ludziom wymierzającym sprawiedliwość zbrodniarzom, którzy molestowali dzieci?

— Nie mogę mówić za innych. Wiem tylko, że z całego serca pragnąłem ich śmierci i w końcu doprowadziłem do tego. — Przerwał i zaczerpnął głęboko powietrza. — Wielu z nich było nastolatkami, chłopcy niewiele starsi od dzieci, które ratowaliśmy.

— Byli żołnierzami — odparł Dom. — To był ich wybór.

— A jaki mieli? Lista jest cholernie krótka. Niewolnik, nadzorca albo trup.

Minęła dłuższa chwila. Obaj mężczyźni zbyt się nawzajem szanowali, by wygłaszać komunały.

— Co mogłeś zrobić inaczej? — zapytał w końcu Dom.

To samo pytanie tysiące razy zadawał sobie Jonathan, ale nie znajdował odpowiedzi.

— Zostać agentem ubezpieczeniowym po skończeniu college'u?

Dom zaśmiał się uprzejmie, ale nie odpowiedział. Pytanie zawisło w powietrzu.

Jonathan dopił swoją szkocką i spojrzał na sufit.

— Nie jestem mordercą, Dom. Nie chcę stać się mordercą.

Dom rozsiadł się wygodniej na sofie i założył nogę na nogę.

— Porozmawiajmy o tym — zaproponował.

Rozmowa ciągnęła się wiele godzin.

# PODZIĘKOWANIA

Każda książka należy do mojej rodziny; po części dlatego, że ona mnie wspiera, ale głównie dlatego, że odwzajemnia moją miłość. Joy i Chris, jesteście najwspanialszi.

Składam specjalne podziękowania prawdziwej Brandy Giddings, która z racji hojnego wspierania American Heart Association dała nazwisko wytworowi mojej wyobraźni. Zapewniam, że jest ona znacznie lepszym człowiekiem niż jej fikcyjny odpowiednik.

Także inne osoby z mojej przeszłości i teraźniejszości, z własnej woli, choć nie zawsze, użyły swoich nazwisk bohaterom powieści. Wysoko cenię sobie ich poczucie humoru. Jacques Leger i Jerry Sjogren to wspaniali ludzie i dobrzy przyjaciele, nie można myśleć o nich inaczej, jak tylko ciepło. W niczym nie przypominają postaci noszących ich nazwiska w tej książce. Jeśli chodzi o prawdziwego Douga Kramera, to nie jest on policjantem, choć gdyby był, to byłby pewnie najlepszym.

*Zakładnik* odmalowuje obraz Kolumbii i jej mieszkańców w celowo fałszywym świetle, a to z powodów dramaturgicznych. W rzeczywistości Kolumbia to piękny, egzotyczny kraj, zamieszkały przez gościnnych, ciężko pracujących ludzi. Proszę wszystkich moich południowoamerykańskich przyjaciół o zrozumienie, że nie chciałem nikogo urazić.

W wydawniczym biznesie nic by się nie działo bez pomocy i wsparcia wielu osób. Anne Hawkins jest fantastyczną agentką i serdeczną przyjaciółką. Bez niej dryfowałbym po płytkich wodach. Michael Hamilton to bez wątpienia najwspanialszy wydawca, z jakim przyszło mi kiedykolwiek pracować. Będąc w równej mierze adwokatem, jak i doradcą, uczynił ze mnie lepszego pisarza.